



EMIL GABORIAU
NAD PRZEPASCIĄ



CZEŚĆ PIERWSZA

POŻAR W VALPINSON

W nocy z dnia 22 na 23 czerwca 1871 roku, około pierwszej godziny, na Przedmieściu Paryskim, które jest najgłówniejszym i najludniejszym przedmieściem pięknego miasteczka Sauveterre, rozległ się tętent pędzącego po bruku konia.

Kilku mieszczan wyjrzało oknem.

Wśród ciemnej nocy zaledwie mogli dojrzeć jakiegoś wieśniaka, który tylko w koszuli, z gołą głową, siedział na oklep na rosłej, białej klaczy, okładając ją kijem i dodając jej bodźca łydkami.

Przejechawszy przedmieście, skręcił w ulicę Mautrec i zatrzymał się przed pięknym domem na rogu ulicy Zamkowej.

Tu mieszkał mer Sauveterre pan Seneschal, były adwokat i członek rady generalnej.

Wieśniak ów, zsiadłszy z konia, uchwycił za rączkę od dzwonka i zaczął tak silnie nią szarpać, że w jednej chwili w całym domu wszyscy zerwali się na nogi.

W minutę później otworzył mu drzwi gruby służący z zaspanymi oczami i zawołał z gniewem:

— Coś ty za jeden? Czego chcesz? Pijany jesteś, czy co! Wiesz, komu dzwonki obrywasz?

— Chcę się widzieć z panem merem — odpowiedział wieśniak — i to zaraz, obudźcie go.

Ale pan Seneschal już nie spał.

Odziany w popielaty wełniany szlafrok, ze świecą w ręku, przerażony i źle ukrywający ten przestrah, wszedł do sieni i wszystko słyszał.

— Otóż jest i mer — odezwał się z niezadowolaniem — czegoż chcesz o tej porze, gdy wszyscy porządni ludzie śpią?

Odsunawszy na bok służącego wieśniak zbliżył się do niego nie zważając na żadne formy grzeczności.

— Przyszedłem — odrzekł — prosić pana, żebyś nam pan przysłał straż ogniową.

— Straż ogniową!

— Tak jest, tylko zaraz, spiesz się pan!

Mer pokiwał głową.

— Hum! — mruknął, co było u niego oznaką wielkiego zakłopotania — hum! hum!

I któż by też nie był zakłopotany na jego miejscu!

Żeby zebrać straż ogniową, trzeba było uderzyć na trwogę, powyraszać z łóżek poczciwych mieszkańców Sauveterre, którzy już i tak przez cały rok nasłuchali się smutnego odgłosu bębna w czasie najścia Prusaków i podczas komuny.

Toteż pan Seneschal zapytał:

— Czy to wielki pożar?

— Wielki! — zawołał wieśniak — a jakież by mógł być w taki straszny wichur, co wszystko wywraca?

— Hum! — rzekł jeszcze mer — hum! hum!

Wieśniacy z tych okolic tak często krzyčili „wilk idzie”, kiedy zaledwie jego cień się ukazał, że kiedy wilk naprawdę przyszedł, to im nie chciano wierzyć.

— No — rzekł nareszcie pan Seneschal — powiedz mi, co się tam takiego pali?

Zwłoka ta doprowadzała wieśniaka do wściekłości.

— To panu trzeba koniecznie powtarzać — przerwał mu — że się wszystko pali, wszystko jest w płomieniach: stodoły, folwarki, zboże, chaty, zamek, wszystko! Jeżeli się pan będzie dłużej ociągał, to z Valpinson nie zostanie kamień na kamieniu.

Nazwisko to zrobiło nadzwyczajne wrażenie.

— Jak to — zapytał mer stłumionym głosem — to w Valpinson jest pożar?

— Tak jest.

— U hrabiego de Claudieuse'a?

— Naturalnie!

— Czemuż mi tego od razu nie powiedział! — zawołał mer.

Nie namyślał się dłużej.

— Prędko! — rzekł do swego służącego. — Podaj mi ubranie. — Zresztą nie, nie! Pani pomoże mi się ubrać, a ty pobiegiesz do Boltona, wiesz gdzie i w moim imieniu każesz mu dzwonić na alarm, tylko natychmiast, wszędzie. Potem pójdziesz do kapitana Pareneau i poprosisz go, żeby wziął z merostwa klucz do pompy. Czekać no! Jak już to wszystko zrobisz, to wrócisz tu i zaprzęgniesz. Pożar w Valpinson! Pojadę razem ze strażą. No, spiesz się, wszędzie stukaj do drzwi i wołaj: pali się, punkt zborny na rynku Nowego Targu!

A kiedy służący pobiegł, pan Seneschal rzekł do wieśniaka:

— Ty zaś, mój Chłopcze, wsiadaj na konia i jedź uspokoić pana de Claudieuse'a, niech nie tracą odwagi, niech wytrwają, pomoc wkrótce nadejdzie.

Ale wieśniak nie ruszał się z miejsca.

— Zanim wrócę do Yalpinson — rzekł. — muszę jeszcze w mieście załatwić jeden interes.

— Co takiego?

— Muszę poszukać i przywieźć ze Sobą doktora Seignebosa.

— Doktora! Czy ktoś jest ranny?

— Tak jest, sam właściciel, pan de Claudieuse.

— Nieostrożny... niezawodnie naraził się na niebezpieczeństwo, tak jak zwykle...

— Och, nie. Tylko dwa razy do niego strzelano! Merowi Sauveterre o mało świeca nie wypadła z ręki.

— Dwa razy strzelano! — zawołał. — Gdzie? Kiedy? Jak? Kto?

— A czy ja wiem!

— Jednak...

— Tylko tyle mogę panu powiedzieć, że go zaniecono do stodoły, w której jeszcze nie było ognia. Tam go widziałem, wyciągniętego na garści słomy, bladego jak trup, z przykniętymi powiekami, zbroczonego krwią.

— Boże mój! Czyżby umarł?

— Żył jeszcze, kiedym odjechał.

— A hrabina?

— Pani de Claudieuse — odrzekł wieśniak głosem pełnym uszanowania — była w stodołę i klęcząc przy panu hrabi, obmywała mu rany zimną wodą; były tam także i obie panienki.

Pana Seneschala przebiegł dreszcz.

— A więc popełniono zbrodnię — szepnął.

— Naturalnie. —

— Ale kto? W jakim celu?

— Sami chcielibyśmy wiedzieć.

— Pan de Claudieuse jest wprawdzie prędko, bardzo gwałtowny, ale to najlepszy w świecie człowiek, wszyscy o tym wiedzą.

— Wszyscy.

— U siebie na wsi świadczył same dobrodziejstwa.

— Nikt temu nie śmiałyby zaprzeczyć.

— Hrabina zaś...

— Och! — zawołał żywo wieśniak — to święta kobieta! Mer koniecznie chciał wyciągnąć stąd jakieś wnioski.

— Zbrodniarz — mówił dalej — musi być więc obcy. Pełno dziś mamy włóczęgów i koczujących żebraków. Nie ma dnia, żeby w merostwie nie żądało zasiłku przynajmniej kilku ludzi, którzy wyglądają, jakby się co tylko urwali z szubienicy.

Wieśniak przytakiwał głową.

— Tak i mnie się zdaje — rzekł. — A najlepszy na to dowód, że jadąc tu myślałem sobie, żeby to może i nieźle było dać znać policji.

— Nie trzeba — przerwał mu pan Seneschal — to już należy do mnie. Za kilka minut będę u prokuratora. Ty wracaj zatem, nie oszczędzaj konia i powiedz pani de Claudieuse, że wkrótce po tobie przyjedziemy.

Mer Sauveterre przez cały czas swego administrowania nie był ani razu w takich opalach. Stracił głowę tak zupełnie, jak w ów pamiętny dzień, kiedy mu niespodzianie przyszło żywić i rozkwaterować dziewięćuset zmobilizowanych żołnierzy. Bez pomocy żony nie byłby się nigdy skończył ubierać.

Wreszcie wrócił służący; spełnił wszystkie polecenia i już gdzieś na skraju miasta słychać było odgłos bębna.

— Teraz zaprzęgaj — powiedział mu pan Seneschal — żeby powóz stał już przed bramą, kiedy wrócę.

W mieście wszystko było w ruchu. Z każdego okna wychylała się jakaś twarz, ciekawie albo z przerażeniem, ze wszystkich stron słychać było trzaskanie drzwiami.

— Mój Boże, żebym tylko zastał Daubigeona w domu — denerwował się pan Seneschal.

Na przemian to prokurator cesarski, to znów rzeczypospolitej, pan Daubigeon był wielkim przyjacielem pana Seneschala.

Był to człowiek czterdziestoletni, wejrzenie miał rozumne, twarz uśmiechniętą. Uporczywie obstawał przy starym kawalerstwie i chlubił się tym.

W Sauveterre wszyscy byli zdania, że ani jego charakter, ani powierzchowność nie odpowiadały jego zawodowi.

Szanowano go wprawdzie bardzo, ale miano mu za złe optymistyczną filozofię, jego uśmiechającą się dobroduszość, a szczególnie miękkość przed kratkami sądu, miękkość, która przechodziła niemal w obojętność ośmielającą zbrodnię.

On sam oskarżał się o to, że nie ma w sobie świętego ognia i o to, jak mawiał, że zabiera, ile może czasu zimnej Temidzie, żeby go poświęcić muzom.

Światły zbieracz, namiętnie lubił dobre książki, rzadkie wydania, cenne oprawy, piękne zbiory rycin, toteż większa część jego dochodu szła na te drogie szpargały.

Zbudzony nagle, tak jak i wszyscy, ubierał się spieszenie, chcąc wyjść na miasto czegoś się dowiedzieć, kiedy weszła jego stara gospodyni, okropnie zmieszana, oznajmiając mu wizytę pana Seneschala.

— Niech wejdzie — zawołał — niech wejdzie!

Gdy tylko mer wszedł, pan Daubigeon spytał:

— Co się stało? Co znaczy ta wrzawa, krzyki i odgłos bębnow?

— Okropne nieszczęście. Jacyś złoczyńcy podpalili Valpinson — odrzekł mer smutno.

— Co ty mówisz! O, bogowie!

— Ofiara nikczemnej zbrodni, hrabia de Claudeuse, może kona w tej chwili.

— Och!

— Bęben, któryś słyszał, zwołuje straż ogniową, posyłam ją do pożaru, a jeżeli przyśledł do ciebie o tej godzinie, to dlatego, żeby ci oficjalnie dać znać o zbrodni i żądać przedniego wymierzenia sprawiedliwości!

Nawet tyle nie trzeba było, żeby prokurator wszedł w swoją rolę.

— Dosyć tego — odparł żywo. — Chodź, postaramy się, żeby nam się winowajcy nie wymknęli.

Kiedy przyszli na ulicę Narodową, był tam większy ruch niż w południe, bo Sauveterre jest jednym z tych prowincjonalnych miasteczek, w których za mało jest rozrywek, żeby nie miano chwycić każdej sposobności zapowiadającej silniejsze wrażenia.

Wiedziano już i rozprawiano szeroko o smutnych wypadkach. Z początku nie chciano im wierzyć, ale przekonano się, że tak jest rzeczywiście, kiedy w największym pędzie przeleciał kabriolet doktora Seignebose, eskortowany przez wieśniaka na koniu.

Straż ogniowa także nie traciła czasu. Gdy tylko mer z panem Daubigeonem ukazali się na rynku Nowego Targu, kapitan Parenteau pospieszył naprzeciwko nich i przykładając po wojskowemu rękę do hełmu rzekł:

— Moi ludzie już są gotowi.

— Wszyscy?

— Prawie Wszyscy. Gdy się dowiedzieli, że to idzie o niesienie pomocy państwu de Claudieuse, nikogo nie trzeba było ciągnąć za uszy.

— A więc ruszajcie, a żwawo — zakomenderował pan Seneschal. — My was dogonimy w drodze. Ja z panem Daubigeonem prosto stąd idziemy po pana Galpin-Daveline'a, sędziego śledczego.

Nie musieli daleko chodzić.

Bo właśnie ów sędzia szukał ich po mieście od pół godziny, przyszedł na rynek i właśnie ich spostrzegł.

W przeciwieństwie do prokuratora pan Galpin-Daveline wyglądał zupełnie na człowieka swego fachu, a nawet na coś więcej. Wszystko w nim, począwszy od sukiennych kamaszy aż do blond wypłowiałych faworytów, zdradzało prawnika. Mało powiedzieć, że był poważny, on był wcieleniem powagi. Nikt nie mógł się pochwalić tym, że widział go uśmiechniętego albo żartującego. A taki był sztywny, że wedle słów pana Daubigeona wyglądał, jak gdyby połknął miecz sprawiedliwości.

W Sauveterre pan Galpin-Daveline miał reputację człowieka ze wszech miar wyższego. On sam uważał się za takiego.

Toteż oburzył się, że ma zbyt małe pole do działania i że musi marnować wielkie zdolności, którymi, jak sądził, był obdarzony, na tak nędzne zajęcia jak poszukiwania złodziei, którzy kradną drzewo albo drób z kurnika.

Jego rozpaczliwe zabiegi w celu otrzymania jakiegoś wyższego stanowiska zawsze obracały się wniwecz. Na próżno poruszał wszelkie sprężyny. Na próżno mieszał się do polityki, gotów służyć każdemu stronnictwu, byle ono mu posłużyło do wyniesienia.

Ale pan Galpin-Daveline nie należał do tych, to się łatwo zniechęcają. W ostatnich czasach po powrocie z Paryża, zaczął rozgłaszać, że świetny ożenek zapewni mu protekcję, której mu dotąd brakowało.

Przywitał się z panem Seneschalem i z panem Daubigeonem.

— A co -T- zaczął — straszne zdarzenie, które niezawodnie będzie miało ogromny rozgłos.

Mer chciał mu opowiedzieć bliższe szczegóły.

Nie trudź się pan — rzekł. — Wszystko, co pan wie, też już wiem. Spotkałem i wypytałem się wieśniaka, którego do pana przysłano.

Później zwrócił się do prokuratora:

— Myślę, że naszym obowiązkiem jest pospieszyć natychmiast na miejsce popełnionej zbrodni.

— To samo chciałem panu powiedzieć — rzekł pan Daubigeon.

— Trzeba by dać znać żandarmerii.

— Pan Seneschal dał już znać.

Sędzia śledczy był wzruszony, tak dalece wzruszony, że poniekąd pękła na nim ta powłoka zimnej obojętności, w którą zwykł się być przywdziewać.

— Będziemy mieli do czynienia ze zbrodnią.

— Oczywiście.

— Możemy zatem działać zgodnie, każdy stosownie do swego urzędu, pan jako oskarżyciel, ja jako stwierdzający pańskie oskarżenie.

Ironiczny uśmiech przemknął przez twarz prokuratora.

— Musisz mnie pan znać na tyle — odpowiedział — że wiesz, iż ze mną nigdy nie dochodzi do sporu, jam człowiek spokojny, przyjaciel zgody i nauki.

— Więc nic nas tu już nie zatrzymuje — zawołał pan Seneschal niecierpliwie — mój powóz zajechał.

Zawahał się. Teraz dopiero spostrzegł, jak był ubrany pan Galpin-Develine.

— Ależ pan jesteś we fraku — rzekł mu — w białej kamizelce...

— Tak jest. Wieczór spędziłem u panien Lavarande i właśnie wróciłem od nich do domu, kiedy zaczęto bębnić.

— A więc idź się pan przebrać.

— A to po co! Jedna minuta stracona, na próżno może pomóc zbrodniarzowi w ucieczce. Jedźmy!

Z Sauveterre do Valpinson na przełaj nie ma więcej jak siedem kilometrów, ale droga jest nieco dalej.

Szcęściem pan Seneschal miał doskonałego konia, może najlepszego w całej okolicy, tak przynajmniej mówił obu panom, wsiadając z nimi do powozu.

Dosyć na tym, że w dziesięć minut dopędzili straż ogniową, która wyruszyła o wiele wcześniej od nich.

Pocziwi ci ludzie, prawie wszyscy majstrowie z Sauveterre — mularze, cieśle, pobijacze dachów, śpieszyli się jednak, jak mogli. Oświetleni sześcioro pochodniami, szli stękając i sapiąc po nierównej drodze, pchając przed sobą dwie pompy i wózek, na którym były wszystkie przyrządy do gaszenia.

— Żwawo chłopcy! — zawołał mer przejeżdżając koło nich.

— Żwawo!

W trzy minuty później, pędząc jak rycerz z ballady, na drodze ukazał się jakiś wieśniak na koniu.

Pan Daubigeon kazał mu się zatrzymać.

Był to ten sam człowiek, który już był w Sauveterre, dając znać o wypadku.

— Jedziesz z Valpinson? — zapytał pan Seneschal.

— Tak jest — odpowiedział wieśniak.

— Jak się ma hrabia de Claudieuse?

— Odzyskał przytomność.

— A cóż mówi doktor?

— Że wyjdzie z tego prawdopodobnie. A ja lecę do apteki po lekarstwo.

Pan Galpin-Daveline wychylił się z powozu, żeby lepiej słyszeć.

— Cóż, czy nie ma tam kogoś podejrzanego? — zapytał.

— Nie, nikogo.

— A pożar?

— Wodę mają — odpowiedział wieśniak — ale pompy nie ma, więc też niewiele można zrobić! A tu wichur coraz większy! Ach, cóż to za nieszczęście, co za nieszczęście!

I popędził dalej, zaś pan Seneschal nie szczędził razów swojemu koniowi, który nie przyzwyczajony do podobnego traktowania zamiast pospieszać, rzucał się i spinał.

Pocziwy mer był w rozpacz. Zbrodnia ta wydawała mu się najstraszniejszą zniewagą, jaką tylko można było wyrządzić jego urzędowi.

— Bo nareszcie — powtarzał swoim towarzyszom już coś po raz dziesiąty — czyż to jest naturalne, proszę was, czyż jest w tym choć odrobina logiki, żeby zbrodniarz uwziął się właśnie na hrabiego i hrabinę de Claudieuse, na człowieka najzacniejszego i najbardziej szanowanego w całej okolicy i na kobietę, której imię jest symbolem cnoty i miłosierdzia!

I nie zważając na wstrząsy i kołysanie się powozu pan Seneschal opowiadał wszystko, co tylko wiedział o właścicielach Valpinson.

Hrabia Trywulcy de Claudieuse był ostatnim potomkiem jednej z najstarszych rodzin w kraju.

Około 1829 roku, mając wtedy lat szesnaście, wstąpił do marynarki i w ciągu kilkunastu lat parę zaledwie razy, i to na krótko, pokazywał się w Sauveterre.

W 1859 został kapitanem okrętu i przedstawiony został do rangi kontradmirała, kiedy nagle podał się do dymisji i powrócił do Valpinson, żeby odtąd zamieszkać w zamku, z którego dawniejszej świetności zostały zaledwie dwie wałce się wieżyczki pośród ogromnej kupy szerniałych i mchem porośniętych kamieni.

Przez dwa lata żył samotnie, odbudowując sobie mieszkanie i ze szczątków majątku swoich przodków tworząc za pomocą starań i czynnych zabiegów skromną zamożność.

Myślano, że tak będzie aż do samej śmierci, kiedy wtem rozeszła się wieść, że hrabia się zeni. A wieść ta, rzadka rzecz, tym razem była prawdziwa.

Pan de Claudieuse pewnego pięknego poranka pojechał do Paryża i z listów, które nadeszły niebawem, dowiedziano się, że się ożenił z córką jednego ze swych dawnych kolegów wojskowych, panną Genowefą de Tassar de Bruc.

Niezmiernie się temu dziwiono.

Hrabia miał wprawdzie wspaniałą postawę i był jeszcze bardzo przystojny, ale miał już czterdzieści siedem lat, a panna de Tassar de Bruc zaledwie dwadzieścia.

Gdyby młoda hrabina była uboga, to by prędzej zrozumiano, a nawet pochwalono to małżeństwo. To przecież rzecz naturalna, że uboga paniątka poświęca serce dla powsze-

dniego chleba. Ale tu nie było tego wypadku. Margrabia de Tassar de Bruc uchodził za bogatego i dał, jak mówiono, córce w posagu pięćset tysięcy dukatów.

Wyobrażano sobie zatem, że młoda hrabina musi być okropnie brzydka, słabowita albo kaleka, a może głupia albo też złoźnica.

Tymczasem mylono się. Ukazała się i zachwyciła wszystkich szlachetną i pełną spokoju pięknnością. Przemówiła i wszystkich oczarowała.

Czyżby to więc było małżeństwo z miłości?

Tak wszyscy myśleli. Pomimo to jednakże wiele starszych kobiet kręciło na to głową, mówiąc, że dwadzieścia siedem lat różnicy między małżeństwem to za wiele i że ten związek nie będzie szczęśliwy.

Fakty zadały kłam tym smutnym przepowiedniom.

Na dziesięć mil wokoło nie było tak szczęśliwie dobranego małżeństwa jak państwo de Claudieuse, a dwoje dzieci, dwie córeczki, między którymi były cztery lata różnicy, miały na zawsze utrwalić szczęście ich domowego ogniska.

Hrabiemu z dawnych czasów, kiedy rządził odległymi posiadłościami Francji, został zwyczaj wyniosłego rozkazywania, postawa surowa i zimna, zwięzły i krótki sposób wyrażania się. Przy tym był tak gwałtowny, że przy najmniejszym sprzeciwie cały czerwieniał. Ale za to hrabina była uosobionym spokojem i łagodnością, a że zawsze pośredniczyła między zagniewanym mężem a tym, który na siebie ściągnął jego gniew, że przy tym oboje byli sprawiedliwi, nadzwyczaj dobrzy, hojni i litościwi dla biednych, uwielbiano ich.

Tylko na punkcie polowania pan de Claudieuse był nieubłagany. Namiętny myśliwy, przez cały rok z niespokojną chciwością skąpca strzegł swojej zwierzyny, powiększając ciągle liczbę służby leśnej, ścigając złodziei zwierzyny tak zawzięcie, że mówiono o nim, iż wolałby, żeby mu ktoś ukradł sto pistoletów, aniżeli jednego kosa.

Państwo de Claudieuse żyli zresztą dosyć odosobnieni, zajęci rozległym gospodarstwem rolnym i edukacją córek. Bardzo rzadko przyjmowali u siebie, a w Sauveterre widziano ich najwyżej cztery razy do roku u panien de Lavarande i u starego barona de Chandorego.

Co lato, w końcu lipca, jechali na miesiąc do Royan, gdzie mieli letni domek.

Co roku też, gdy się tylko zaczynało polowanie, hrabina jechała z córkami na kilka tygodni do swoich rodziców, którzy mieszkali w Paryżu.

Dopiero katastrofa 1871 roku zakłóciła to spokojne życie.

Na wieść, że Prusacy, jako zwycięzcy, depczą świętą ziemię francuską, w byłym kapitanie marynarki obudziły się na nowo wszystkie uczucia Francuza i żołnierza. Pomimo perswazji wyruszył z domu.

Zacięty legitymista oświadczył, że gotów życie oddać za rzeczpospolitą, byle Francja ocalała. Nie wahając się ani chwili, ofiarował swoją szpadę na usługi Gambetcie, którego nienawidził. Mianowany pułkownikiem pułku piechoty, bił się jak lew od pierwszego aż do ostatniego dnia, w którym usiłując wstrzymać straszną rozsypkę jednej części armii generała Chanzy, został powalony na ziemię i zdeptany nogami.

Kiedy powrócił do Valpinson w czasie zawieszenia broni, nikt prócz żony nie mógł z niego wyciągnąć ani jednego słowa o tej smutnej kampanii. Namawiano go, żeby stanął do wyborów jako kandydat, z pewnością byłby wybrany, ale nie chciał się na to zgodzić, mówiąc, że umie wojować szablą a nie językiem.

Ale prokurator cesarski i sędzia śledczy z roztargnieniem słuchali tej historii, którą znali równie, dobrze jak i pan Seneschal.

Wreszcie pan Galpin-Daveline zapytał:

— Cóż to, czy stoimy w miejscu? Nie widzę nigdzie ognia.

— Bo teraz jesteśmy w dolinie — odpowiedział mer. — Ale dojeżdżamy już, a gdy wyjdziemy na ten pagórek, to bądź spokojny... zobaczysz.

Ten pagórek znany jest w powiecie, a nawet słynie pod nazwą Góry Sauveterskiej. Jest on tak stromy, a przy tym utworzony z tak twardego granitu, że inżynierowie, którzy wytyczali gościniec z Bordeaux do Nantes, zboczyli o pół mili, by go ominąć.

Kiedy pan Seneschal i jego towarzysze stanęli na szczycie, nie byli w stanie powstrzymać okrzyku zgrozy.

— Straszne! — mruknął prokurator.

Główne gniazdo pożaru zasłaniał im jeszcze wysoki las Rochepommier, ale płomienie buchające ponad wielkimi drzewami rozświetlały cały horyzont krwawym odbłaskiem.

Cała wieś była w ruchu. Dzwoniono na gwałt w kościele w Brechy, którego na pół zwałona dzwonnica rysowała się czarno na purpurowym tle nieba. Z ciemności rozlegał się chrapliwy jęk muszli morskich, używanych do zwoływania robotników z pola.

Zewsząd dochodził odgłos trwożliwych kroków i widać było wieśniaków, jak biegali z wiadrami.

— Pomoc przyjdzie za późno — rzekł pan Galpin-Daveline.

— Taka piękna posiadłość! — zawołał mer. — Tak dobrze zagospodarowana!

I z narażeniem się na wypadek puścił konia galopem po spadzistości pagórka, bo Valpinson leży w dolinie o pięćset metrów od małej rzeczki.

Wszyscy tam byli przerażeni, w nieładzie, w okropnym zamieszaniu. A jednak nie brak było ani rąk, ani dobrej woli. Na pierwszy okrzyk trwogi zbiegli się wszyscy z okolicy i przybywało ich jeszcze więcej z każdą chwilą, ale nie było nikogo, kto umiałby nimi pokierować.

Najbardziej zajęci byli ratowaniem ruchomości. Najodważniejsi dostali się do mieszkania i z gorączkowym pośpiechem wyrzucali oknami wszystko, co im tylko wpadło w rękę. Na środku dziedzińca leżały zwałone na stos łóżka, materace, stołki, bielizna, książki i suknie.

Okrzykiem radości powitano pana Señeschala i jego towarzyszy.

— Pan mer przyjechał! — wołali chłopci uspokojeni samym jego widokiem i gotowi na jego rozkazy.

Pan Seneschal jednym rzutem oka objął całe położenie.

— Tak, przyjechałem — rzekł — i muszę was pochwalić, że tak chętnie niesiecie pomoc. Ale w tej chwili chodzi głównie o to, żeby nie marnować na próżno naszych sił. Folwarku, gumien i budynków gospodarskich już iiiie potrafimy uratować, dajmy im więc spokój. Całe nasze usiłowania zwróćmy ku zamkowi, zorganizujmy się. Rzekę mamy blisko, utwórzmy łańcuch. Wszyscy do łańcucha, kobiety i mężczyźni! I wody, jak najwięcej wody! Oto i pompy!

Rzeczywiście słyhać było, jak pędziły z hukiem.

Straż nareszcie przybyła. Kapitan Parenteau objął kierownictwo akcji. Pan Seneschal mógł się nareszcie zapytać o pana de Claudieuse'a.

— Nasz pan jest tam — odpowiedziała mu jakaś staruszka, wskazując odległy o sto kroków domek pod słomianą strzechą — doktor kazał go tam zanieść.

— Panowie, chodźmy do niego — odezwał się mer do prokuratora i do sędziego śledczego.

Zatrzymali się w progu jedynej izby w tym ubogim domku.

Był to duży pokój bez podłogi, z poczerniałym pułapem, zawieszonym różnymi narzędziami i woreczkami z ziarnem.

Dwa łóżka z toczonymi nogami i z firankami z żółtego perkalu stały w głębi pokoju.

Na łóżku, które stało po prawej stronie, spała pięcioletnia dziewczynka owinięta w kołdrę, pilnowała jej siostra o dwa albo trzy lata od niej starsza.

Na tym zaś, które stało z lewej strony, leżał, a raczej siedział, bo mu podesłano pod krzyż wszystkie poduszki, jakie tylko można było wyratować z ognia, hrabia de Claudieuse.

Plecy miał nagie i zbroczone krwią, a nad nim, tylko w koszuli, z rękawami zawiniętymi po łokcie, stał doktor Seignebose z gąbką w jednej a z lancetem w drugiej ręce, zajęty jakąś ważną a delikatną operacją.

Hrabina de Claudieuse, odziana w przezroczystą muślinową suknię, stała w nogach łóżka blada, ale wspaniała spokojem i rezygnacją. W ręku trzymała lampę, kierując jej światłem wedle wskazówek doktora.

W kącie na kufrze siedziały dwie służące i płakały trzymając fartuszki przy oczach.

Dziwnie wzruszony mer Sauveterre odważył się nareszcie wejść.

Pierwszy spostrzegł go hrabia de Claudieuse.

— Ach, to poczciwy Seneschal! zawołał. — Przybliż się, przybliż, mój drogi! Widzisz, rok 1871 jest fatalnym rokiem. Z wszystkiego, co miałem, za chwilę zostanie tylko garść popiołu.

— To okropne nieszczęście — odpowiedział zacny mer — ale myśmy się obawiali większego, już nie do powetowania... Dzięki Bogu, będzie pan żył.

— Kto wie. Okropnie cierpię.

Pani de Claudieuse drgnęła.

— Trywulcy! — szepnęła błagalnym głosem — Trywulcy!

Nigdy kochanek nie spojrział na swoją bogdanę tak czułym wzrokiem, jakim pan de Claudieuse ogarnął swoją żonę.

— Przebacz mi, droga Genowefo — rzekł — przebacz ten brak odwagi.

Drgnął pod wpływem bólu i krzyknął:

— Panie łaskawy! Doktorze, do pioruna! Zarzynasz mnie!

— Mam ze sobą chloroform — odrzekł doktor spokojnie.

— Nie chcę!

— No to pan cierp spokojnie... Nie ruszaj się, bo każde poruszenie zwiększa ból.

Po czym zmywając gąbką strumień krwi, który wytrysnął spod lancetu, dodał:

— Teraz wypoczniemy sobie chwilę. Moje oczy i ręka są już zmordowane. Widocznie się zestarzałem.

Doktor Seignebose miał sześćdziesiąt lat. Był małego wzrostu, cerę miał żółkłą, był chudy, łysy, w ubiorze zawsze okropnie zaniedbany, nosił złote okulary, które całe życie zdejmował, wycierał i wkładał na powrót.

Jako doktor miał bardzo dobrą reputację, w Sauveterre mówiono o kilku jego cudownych operacjach; mimo to nie miał przyjaciół.

Rzemieślnicy zarzucali mu wzgardliwą dumę, chłopcy chytryść na pieniądze, a mieszczaństwo opinie polityczne.

Pozował na zaciętego demokrate, był duszą i wyrocznią zebrań socjalistów w okolicy. Zadziwiał, kiedy mówił o reformach, o których marzył, i postępie, jaki chciał zaprowadzić. Ludzie drżeli słysząc, jakim tonem mówił: „ogniem i mieczem sięgnąć trzeba w zgniłe wnętrza społeczeństwa!”

Podobne opinie kazały niekiedy wątpić o zacności i zdrowych zmysłach doktora. Najpobłażliwsi mówili: to oryginał.

Oryginał ten, naturalnie, lubił pana Seneschala, byłego adwokata, reakcjonistę. Miał mało szacunku dla prokuratora, bezużytecznego zbieracza szpargałów. Ale pana Galpin-D'eveline'a to już serdecznie nienawidził.

Uklonił się jednak wszystkim trzem i nie zważając na to, czy go chory słyszy, rzekł:

— Widzicie panowie, pan de Claudieuse jest w bardzo złym stanie... Strzelono do niego ze strzelby nabitej śrutem, a za leczenie podobnych ran nie można ręczyć. Zdaje mi się, że żaden z głównych organów nie został nadwerężony, ale nie odpowiadam za nic. Często zdarzyło mi się widzieć w czasie mojej praktyki lekkie zadraśnięcia, takie, jakie może sprawić jedno ziarnko śrutu, mimo to zadraśnięcia te były śmiertelne, co się okazywało dopiero po dwunastu albo piętnastu godzinach.

Byłby mówił jeszcze dłużej, gdyby mu nie był przerwał sędzia śledczy.

— Panie konsyliarzu — odezwał się — ja tu jestem dlatego, że popełniono zbrodnię. Winowajcę trzeba odszukać i ukarać. Toteż od tej chwili w imieniu prawa żądam od pana wyjaśnień.

Tymi kilku słowami pan Galpin-Daveline despotycznie zawładnął sytuacją, odsuwając na drugi plan doktora Seignebosa, pana Seneschala i prokuratora. Teraz została tylko zbrodnia, której sprawcę trzeba było wykryć, i on, sędzia.

Ale na próżno usiłował być jeszcze sztywniej szy niż zwykle i okazywać tę wzgardę dla ludzkich uczuć, która bardziej szkodzi sprawiedliwości aniżeli jej najstraszniejsze omyłki. Wszystko w nim drgało tajoną radością, wszystko, nawet broda, podstrzyżona jak szpalery wersalskie.

— A więc, panie konsyliarzu — mówił dalej — czy nie ma pan nic przeciw temu, że-
bym pytał chorego?

— Lepiej by zapewne było dać mu wypocząć — rzekł doktor Seignebos — wymęczy-
łem go przez godzinę, za chwilę zacznę znowu wyciągać ziarnka śrutu, które powchodziły w
ciało. Ale jeżeli panu na tym zależy...

— Bardzo.

— No, to się pan śpiesz, bo niedługo dostanie gorączki.

Pan Daubigeon nie taił swego niezadowolenia.

— Daveline — szepnął — Daveline...

Tamten nie zważał na to.

Wyjawszy z kieszeni notatnik i ołówek, zbliżył się do łóżka i nic zmieniając tonu zapytał
rannego:

— Czy może pan, panie hrabio, odpowiadać na moje pytania?

— Oczywiście.

— Zechciej mi więc pan powiedzieć wszystko, co pan wiesz o smutnych wypadkach
dzisiejszej nocy.

Z pomocą żony i doktora Seignebosa hrabia podniósł się trochę i wsparł o poduszki.

— To, co ja wiem — zaczął — nie będzie, niestety, żadną wskazówką dla sądu. Mogło to być koło jedenastej, bo nawet godziny stanowczo oznaczyć nie mogę; położyłem się spać i już dawno zgasłem świecę, kiedy wtem mocne światło odbiło się w szybach mego pokoju... Zdziwiło mnie to, ale nie umiałem go zidentyfikować, bo byłem jeszcze niezupełnie rozbudzony. Powiedziałem sobie: Co to może być? — ale mimo to nie wstałem. Dopiero ogromny huk jak gdyby walącego się muru otrzeźwił mnie. Wtedy wyskoczyłem z łóżka mówiąc sobie: To pożar! Jeszcze bardziej się zaniepokoiłem, przypomniawszy sobie, że na dziedzińcu i naokoło budynków leży szesnaście tysięcy drzew ściętych w zeszłym roku. Na wpół zaledwie ubrany wybiegłem na schody. Przyznaję, że byłem tak zdenerwowany, że w żaden sposób nie mogłem otworzyć drzwi wejściowych. Otworzyłem je nareszcie. Ale zaledwie wyszedłem za próg, kiedy w prawym boku powyżej biodra poczułem okropny ból i tuż koło mnie posłyszałem wystrzał...

Sędzia przerwał hrabiemu.

— Pańskie opowiadanie, panie hrabio — rzekł — jest nadzwyczaj jasne. Ale mnie chodzi szczególnie o uwydatnienie jednego szczegółu. Czy w tej samej chwili, kiedy się pan wychylił za próg, strzelono do pana?

— Tak.

— Więc morderca był tuż koło pana, w krzakach. Wiedział, że ogień zmusi pana do wyjścia i zaczął się.

— Tak sobie pomyślałem i tak mi się dotąd zdaje — odpowiedział hrabia.

Pan Galpin-Davelinę zwrócił się do pana Daubigeona.

— W-ięc morderstwo — rzekł — jest głównym punktem oskarżenia, podpalenie jest okolicznością obciążającą, sposobem wymyślonym przez winowajcę, zapewniającym mu możliwość popełnienia zbrodni.

Po czym zwrócił się do hrabiego:

— Proszę mówić dalej.

— Czując, że jestem ranny — ciągnął dalej pan de Claudieuse — chciałem się rzucić w stronę, skąd dosięgnął mnie strzał. Ale nie uszedłem trzech kroków, kiedy znowu otrzymałem postrzał w łopatkę i w szyję. Drugi raz, zdaje się, raniono mnie mocniej, bo się zachwiałem i upadłem na ziemię.

— Nawet pan nie mógł zobaczyć mordercy?

— Owszem. W chwili, kiedym padał, zdaje mi się, że widział, a nawet z pewnością widziałem człowieka, który wyskoczył spoza kupy narąbanego chrustu, przebiegł przez dziedziniec i popędził w pole.

— Czy poznałby go pan?

— Nie.

— Ale pan widział, jak był ubrany, może mi pan go mniej więcej opisać?

— I to nie. W oczach mi się ćmiło, a on przebiegł jak cień.

Sędzia śledczy z niezadowoleniem machnął ręką.

— Mniejsza o to — rzekł — i tak go znajdziemy. Ale proszę mówić dalej.

Hrabia odrzekł:

— Nie wiem już nic więcej. Zemdlałem i dopiero po kilku godzinach na tym łóżku odzyskałem przytomność.

Pan Galpin-Daveline nadzwyczaj starannie zapisywał odpowiedzi hrabiego.

— Jeszcze — rzekł — nie raz wrócimy do okoliczności towarzyszących morderstwu. Ale teraz, panie hrabio, chciałbym wiedzieć, co zaszło potem, gdy pan stracił przytomność. Kto mógłby mi to wyjaśnić?

— Moja żona.

— Tak sądziłem. Pani hrabina musiała wstać równocześnie z panem?

— Moja żona nie kładła się zupełnie.

Sędzia śledczy żywo się obrócił ku niej i jedno spojrzenie przekonało go, że ubiór hrabiny nie wyglądał na ubiór kobiety zbudzonej nagle pożarem we własnym domu.

— Rzeczywiście — mruknął.

— Marta — mówił dalej hrabia — nasza najmłodsza córka, ta, która leży tam owinięta kołdrą, ma szkarlatynę i jest bardzo chora. Żona czuwała przy niej. Niestety, okna pokoju dzieciennego wychodzą na ogród, w przeciwną zupełnie stronę od miejsca, w którym podłożono ogień.

— Jakim więc sposobem pani hrabina mogła wiedzieć o pożarze?

Nie czekając, aż jej się wprost zapyta, pani de Claudieuse zbliżyła się do sędziego.

— Tak jak to już panu powiedział mój mąż — rzekła — czuwałam przy Martynce. Spędziwszy i wczorajszą noc przy niej, znużona nieco, zdrzemnąłam się, kiedy wtem zbudził mnie wystrzał, tak mi się zdawało. Pomyślałam, że to jakieś przywidzenie, aż tu zaraz prawie po tamtym strzale rozległ się drugi. Bardziej zdziwiona niż niespokojna, wybiegłam z pokoju dzieciennego. Ach panie, taki już był straszny ogień, że na schodach widno było jak w dzień. Zbiegłam prędko na dół. Drzwi wejściowe stały otworem, wyszłam. O pięć albo sześć kroków, przy blasku płomieni spostrzegłam ciało mego męża. Rzuciłam się na niego; nie słyszałam mnie, zdawało mi się, że już nie żyje; rozpaczliwie wołałam o pomoc.

Pan Seneschal i pan Daubigeon drżeli słuchając.

— Dobrze — przytakiwał z zadowoleniem pan Galpin-Daveline — bardzo dobrze!

— Wie pan — mówiła dalej hrabina —jaki wiejscy ludzie mają twardy sen. Zdaje mi się, że bardzo długo klęczałam sama koło męża. W końcu jednak blask pożaru, walące się mury zbudziły ekonomów, robotników folwarcznych, naszą służbę. Wszyscy wybiegli na dwór wołając: pali się! Kiedy mnie spostrzegli, przybiegli i pomogli i przenieść męża z dala

od niebezpieczeństwa, które z każdą chwilą wzrastało. Rozdmuchiwany szalonym wichrem pożar szerzył się z przerażającą szybkością. Stodoły były jedną otchłanią ognia, fojwarki płonęły, składy okowity były całe w płomieniach i już dach zamku zajmował się ze wszystkich stron. A tu nikogo, kto by miał choć trochę przytomności! Ja tak dalece straciłam głowę, że zapomniałam o własnych dzieciach i w ich pokoju już było pełno dymu, kiedy jakiś pocziwy i odważny człowiek wyratował je ze straszego niebezpieczeństwa. Na to, że przyszłam trochę do siebie, wpłynęło dopiero przybycie doktora Seignebosa i kilka słów nadziei z jego ust. Ten pożar to może nasza ruina, ale mniejsza o to, skoro mój mąż i dzieci są ocaleni.

Doktor Seignebos z widoczną niecierpliwością słuchał tych wyjaśnień.

Pan Seneschal zaś, prokurator i dwie służące nie mogli ukryć wzruszenia.

Doktor wzruszał ramionami i mruzczał pod nosem:

— Formalności! Subtelności! Dzieciństwa!

Zdjął, wytarł i włożył na powrót na nos złote okulary, siadł przy kulawym stoliku przelizując w łyżeczce te piętnaście czy dwadzieścia ziarenek śrutu, które wyjął z ciała hrabiego de Claudieuse'a.

Ale przy ostatnich słowach hrabiny wstał z krzesła i zwracając się do pana Galpin-Daveline'a rzekł stanowczym tonem:

— Teraz zapewne mi pan odda chorego?

Obrażony, a przynajmniej dotknięty sędzia śledczy zmarszczył brwi i odpowiedział chłodno:

— Wiem, że pańska czynność jest bardzo ważna, ale moje zadanie nie jest ani mniejszej doniosłości, ani mniej pilne...

— Och!

— Udzieli mi zatem pan konsyliarz jeszcze jakich pięciu minut?

— Dziesięć, jeżeli pan sędzia tego wymaga. Tylko muszę panu oznajmić, że odtąd każda minuta może przyczynić się do śmierci rannego.

Zbliżyli się do siebie i mierzyli się oczami, z których błyskała nienawiść.

Czyżby się mieli pokłócić nawet przy łóżku hrabiego de Claudieuse'a?

Zdaje się, że hrabina obawiała się tego, bo z wymówką rzekła:

— Ależ panowie, przez litość...

Kto wie, czy jej pośrednictwo wystarczyłoby, gdyby się nie byli w to wmieszali pan Seneschal i pan Daubigeon, przemawiając do obu przeciwników.

Pan Galpin-Daveline był bardziej uparty, bo pomimo wszystko rzekł:

— Teraz zadam panu hrabiemu tylko jedno pytanie. Gdzie i jak pan stał? Gdzie pana zdaniem mógł stać morderca w chwili popełnienia zbrodni?

— Powiedziałem już panu — odrzekł hrabia widocznie znużony — że stałem w progu drzwi wejściowych, obrócony twarzą do dziedzińca. Morderca musiał stać o jakieś dwadzieścia kroków ode mnie z prawej strony, za stosem chrustu.

Zapisawszy odpowiedź rannego, sędzia śledczy zwrócił się do doktora:

— Słyszał pan — rzekł. — Teraz pańską powinnością jest uzyskać pewność: w jakiej odległości stał zbrodniarz wtedy, kiedy strzelał?

— Nie jestem jasnowidzem — odburknął doktor.

— Ostrożnie, mój panie — zawołał pan Galpin-Daveline — sprawiedliwość, której tutaj jestem reprezentantem, ma prawo i sposoby nakazania dla siebie szacunku. Pan jesteś lekarzem, a medycyna doszła do takiej doskonałości, że potrafi określić zarówno odległość, jak i kierunek, z jakiego padły strzały.

— Może potrafią to zrobić ci paryscy uczeni, którzy mają czas na takie studia i eksperymenty, ale ja jestem zwykłym lekarzem zajęтым na co dzień opatrywaniem ran i zapisywaniem pigulek.

— Pan utrudnia pracę wymiaru sprawiedliwości — pouczył oschle doktora prokurator. — Słyszał pan, co powiedział hrabia. Czy mógłby pan potwierdzić jego wrażenie, że strzelano z dwudziestu kroków?

Zirytowany doktor odsłonił chustę okrywającą plecy hrabiego. Pan Seneschal nieco zbladł, a pan Daubigeon odwrócił się do drzwi.

— Co ja mogę powiedzieć na podstawie tego, pańskim zdaniem? Może pan potrafiłby wyciągnąć jakieś wnioski, ale mnie proszę pozwolić robić to, po co zostałem tu wezwany. Ostrzegam, że stan hrabiego pogarsza się z każdą chwilą.

Pan Daveline nalegał przejęty ważnością swego zadania:

— Proszę zrozumieć, taka informacja może być ważną poszlaką w śledztwie.

— Sumienie nie pozwala mi mówić czegoś, co mogłoby spowodować skazanie niewinnego człowieka. Ponieważ sprawcy nie złapano na gorącym uczynku, dowody będą pośrednie. Czy pan, jako urzędnik miejski nie wie o tym, że na tej ważnej okoliczności oprze się całą sprawa przed sądem przysięgłych?

Po czym, postanowiwszy nie odzywać się więcej, doktor zabierał się na powrót do lancetu i szczypczyków, gdy nagle na zewnątrz rozległ się krzyk tak straszny, że pan Seneschal, pan Daubigeon, a nawet pani de Claudieuse rzucili się ku drzwiom.

Dach na głównym budynku zawalił się w tej chwili, grzebiąc pod sobą biednego dobosza Boltana, który jeszcze przed dwoma godzinami bębnił na alarm, i jednego ze strażaków, nazwiskiem Guillebault, który cieszył się największym szacunkiem spomiędzy wszystkich cieśli w Sauvetterre i był ojcem pięciorga dzieci.

Kapitan Parenteau o mało nie oszalał, a wszyscy rwali się na wyścigi, usiłując wydrzeć okropnej śmierci tych biedaków, których rozpaczliwe wycia słychać było mimo strasznego trzasku pożaru.

Atoli wysiłki te były daremne. Jeden z żandarmów i jakiś dzierzawca okoliczny, którzy koniecznie chcieli dostać się do nich, o mało sami nie zostali w tym ognistym piekle i zaledwie ich samych z największym poświęceniem udało się ocalić.

Wtedy razem ze słupami dymu i iskier wzniosły się ku niebu okrzyki zemsty:

— Śmierć, śmierć podpalaczowi!

Wtedy to również szlachetny gniew ogarnął pana Seneschala. —

Stanąwszy więc na kupie zgliszczy zawołał dobitnym i silnym głosem:

— Tak jest, moi przyjaciele, macie słuszość: śmierć podpalaczowi! Tak jest, bohater-skie ofiary najnikczemniejszej zbrodni powinny być pomszczone, trzeba znaleźć podpalacza, trzeba go koniecznie znaleźć! Od was to jedynie zależy. Nie wierzę, żeby między wami nie znalazł się ani jeden, który wie choć cokolwiek, niech więc przemówi. Pamiętajcie, że najmniejsza wskazówka może oświecić sprawiedliwość; milczeć w takiej sytuacji to stać się współnikiem zbrodni. Zastanówcie się, naradźcie się między sobą...

Tłum począł coś szeptać, aż nareszcie ktoś się odezwał:

— Jest tu jeden taki, kto mógłby coś powiedzieć.

— A kto?

— Cocaleu! On tu był od samego początku. On wyniósł z pokoju córki pani de Claudie-use. Gdzie on się podział? Cocaleu! Cocaleu!

Trzeba znać życie wiejskie i wieśniaków, żeby sobie wyobrazić i zrozumieć oburzenie i gniew tych poczciwych ludzi, tłoczących się dokoła spopielonych ruin Valpinson.

Wieśniak czuje całe niebezpieczeństwo, którym grozi mu jego odosobnienie. Prosta drewniana zapora zamyka jego drzwi i nikt nie ma obowiązku czuwać nad jego bezpieczeństwem w nocy. Gdy go napadnie morderca, nikt nie usłyszy jego wołania o pomoc. Niech mu się dom zapali, to obróci się w perzynę, zanim przybędzie pierwsza pomoc, i może mówić o szczęściu, jeżeli siebie i swoją rodzinę zdoła ocalić z płomieni.

Toteż wszyscy ci wieśniacy, których do żywego wzruszyły słowa pana Seneschala, z gorączkową skwapliwością poczęli szukać tego, który, jak sądzili, musiał coś wiedzieć. Człowiekiem tym był niejaki Cocaleu.

Wszyscy go znali dobrze i od dawna.

Nie było między nimi ani jednego, który by mu nie podał łyżki stawy, gdy był głodny, ani jednego, który by mu odmówił wiązki słomy w kącie stajni, kiedy deszcz padał lub było zimno.

Cocaleu bowiem był jednym z tych nieszczęśliwych, którzy włóczą po wsi ciężar jakiegoś strasznego fizycznego lub moralnego kalectwa.

Na jakie dwadzieścia lat przed tymi wypadkami jeden z bogatych właścicieli ziemskich w Brechy postawiwszy sobie dom, sprowadził był z Angouleme kilku pokojowych malarzy, którzy spędzili u niego prawie całe lato.

Jeden z tych malarzy zawrócił głowę pewnej biednej dziewczynie z pobliskiego folwarku, imieniem Colette, którą oczarowała jego długa biała bluzka, ładne ciemne wąsiki, jego wesołość, śpiewki, komplementy.

Ale po ukończeniu robót uwodziciel wyniósł się razem ze swoimi towarzyszami, nie troszcząc się o nieszczęśliwą.

A ona była w ciąży.

Gdy już nie mogła ukryć swego stanu, wyrzucono ją za drzwi domu, w którym służyła, a jej krewni, którzy sami zaledwie mogli wyżyć, odepchnęli ją bez litości.

Odtąd nękana bólem, wstydem i wyrzutami sumienia, błąkała się biedna od folwarku do folwarku, żebrząc, wyśmiewana, wyszydzana, a nawet pobita nieraz.

Nareszcie gdzieś w głębi lasu, pośród zimy, sama jedna, bez pomocy, powiła chłopca.

Jakim to cudem się stało, że matka i dziecko nie umarły z zimna, głodu i nędzy?

Kilka lat włóczyli się koło Sauveterre żyjąc ze wspańiałości wieśniaków, krwawo nieraz opłaconej.

Później matka umarła opuszczona przy śmierci tak, jak i za życia. Ciało jej znaleziono w rowie.

Chłopiec został sierotą.

Miał osiem lat, był bardzo silny na swój wiek, jeden z tamtejszych gospodarzy ulitował się nad nim i wziął go do siebie za pastucha.

Ale biedactwo i do tego nie było zdatne.

Póki miał matkę, to jego lękliwość, błędne wejrzenie, jakąś zwierzęcość przebijającą się w nim, przypisywano na pół dzikiemu życiu.

Ale kiedy się zaczęto nim opiekować, okazało się, że nie można było obudzić żadnej myśli w tym nadwężonym mózgu.

Był idiotą, a co gorsza, dotknięty był jedną z tych strasznych nerwowych chorób, które w czasie ataku wstrząsają ciałem, a mięśnie twarzy wprawiają w konwulsyjny ruch.

Nie był niemową, ale z nadzwyczajną trudnością, okropnym jękaniem przychodziło mu wymówić każde słowo.

Czasem rozweseleni wieśniacy mówili mu:

— No, chłopcze, powiedz nam, jak się nazywasz, to dostaniesz za to grosz.

On wtedy najmniej pięć minut potrzebował, żeby wyjąkać imię swojej matki.

— Co... co... co... lette...

Stąd też jego przezwisko.

Osądzono, że nie był zdatny do niczego. Przestano się nim zajmować, został włóczęgą.

Państwo de Claudieuse, zdjęci litością, postanowili zająć się jego losem.

Ale na próżno usiłowali osadzić go na jednym ze swych folwarków. Włóczęgowska natura przemagała w nim nawet głód. W zimie podczas śniegów i mrozów prędzej jeszcze usiedział w miejscu, ale gdy tylko liście na drzewach zaczynały się rozwijać, rozpoczynał znowu wędrówkę po polach i lasach, błędząc tak bez celu i całymi nieraz tygodniami nie pokazując się w domu.

Z czasem jednak obudziło się w nim coś na kształt instynktu właściwego domowemu zwierzęciu.

Przywiązał się do pani de Claudieuse i okazywał to po psiemu, podskakiwał w górę i krzyczał radośnie, gdy tylko ją spostrzegł. Bardzo często, kiedy wychodziła z domu, towarzyszył jej biegnąc i skacząc koło niej zupełnie jak pies. Lubił także bardzo obie dziewczynki i zdawało się, że sprawia mu wielką przykrość, że mu się do nich nie pozwalano zbliżać, gdyż usuwano go zawsze od nich, bojąc się wpływu jego nerwowych napadów na małe jeszcze dzieci.

Później nawet stał się zdolny do pewnych drobnych posług. Podlewał kwiatki, przywoływał służących, umiał zanieść list na pocztę w Brechy.

Uczył nawet tak znaczne postępy, że to obudziło pewne wątpliwości w niektórych nieufnych wieśniakach, którzy utrzymywali, że Cocolu nie jest takim „niewiniątkiem”, jakim się wydaje, że to, przeciwnie, jest filut, który udaje głupiego, żeby mógł żyć nie pracując.

— Mamy go nareszcie! — krzyknęło nagle kilku ludzi. — Jest! Jest!

Tłum się rozstał i natychmiast też ukazał się młody chłopak szturchany i popychany naprzód przez kilku mężczyzn.

— Skrył się tam, za ten płot — mówili — i nie chciał kanalia wyleźć.

Podarta odzież świadczyła najlepiej, że musiał stawiać silny opór.

Był to chłopak osiemnastoletni, bez żadnego zarostu, bardzo wysoki, nadzwyczaj chudy i taki zgarbiony, że aż się wydawał kaleką. Gęste, ostre jak szceć rude włosy sterczały mu nad wąskim, wklęsłym czołem. —

Małeńkie oczy, szerokie usta z dwoma rzędami spiczastych zębów, spłaszczony nos i ogromne uszy nadawały jego twarzy jakiś dziwny wyraz obłądu, idiotyzmu, a jednak obok tego zwierzęcej zmyślności.

— Trzeba go, moi drodzy, zaprowadzić przed sędziego śledczego — odpowiedział mer — tam, do tego małego domku, do którego przenieśliście pana de Claudieuse'a.

— I musi powiedzieć, co wie — mruknęli wieśniacy. — Słyszysz, he? No, ruszaj!

Usiłując zachować zimną krew i obojętność doktor Seignebos i pan Galpin-Daveline nie ruszyli się nawet z miejsca, żeby zobaczyć, co się dzieje za oknami.

Doktor zabierał się na nowo do operacji i systematycznie, spokojnie, tak jak gdyby był w swoim gabinecie, płukał gąbkę i obcierał szczypczyki i lancet.

Sędzia śledczy znów, stojąc na środku izby z założonymi rękami, zdawał się ścigać okiem w przestrzeni jakieś nieuchwytnie kombinacje. Może myślał sobie, że mu nareszcie jakaś szczęśliwa gwiazda zesłała tę sprawę, która będzie miała wiele rozgłosu, sprawę, jakiej od tak dawna serdecznie a na próżno oczekiwał.

Ale pan de Claudieuse nie był obojętny tak jak oni. Rzucał się niespokojnie na łóżku i gdy tylko w drzwiach ukazali się pan Seneschal i pan Daubigeon, bladzi i zmieszani, zapytał:

— Co znaczy ten gwar?

A kiedy mu opowiedziano, co się stało, zawołał:

— Mój Boże! A ja narzekałem, że na wpół zrujnowany! Dwóch ludzi zginęło! To dopiero prawdziwe nieszczęście! Biedne ofiary poświęcenia! Bolton, trzydziestoletni chłopak! Guillebault, ojciec rodziny, który zostawia pięcioro dzieci w nędzy!

Hrabina, która w tej chwili weszła do pokoju, usłyszała ostatnie słowa męża.

— Póki tylko sami będziemy mieli kawałek chleba — odezwała się głosem drżącym ze wzruszenia — póty ani matce Boltona, ani dzieciom Guillebaulta na niczym nie będzie zbywać!

Więcej nie mogła nic powiedzieć.

Wieśniacy, którzy odszukali idiotę, zaczęli napępniać izbę, popychając przed sobą swego jeńca.

— Gdzie tu sędzia? — pytali się. — Oto świadek!

— Co? Cocaleu! — zawołał hrabia.

— Tak jest, on coś wie, sam to powiedział. Musi to powtórzyć przed panem sędzią.

Pan Seignebos zmarszczył brew.

Nie cierpiał on idioty, którego widok przypominał mu nieudane próby wyleczenia go, z czego dotąd podrzywano sobie w Sauveterre.

— Czy pan naprawdę zamierza go badać? — zapytał się pana Galpin-Daveline'a.

— A dlaczego nie? — odrzekł sucho sędzia.

— Dlatego, że to jest zupełny głupiec, kompletny idiota. Dlatego, że nie może zrozumieć konsekwencji swoich odpowiedzi.

— Może nam w każdym razie dostarczyć poważnych wskazówek.

— On! Istota pozbawiona rozumu! Niepodobna, żebyś to pan mówił na serio. Sąd nie może przecież przywiązywać żadnej wagi do bezsensownych odpowiedzi wariata.

Pan Galpin-Daveline zeszywniał jeszcze bardziej, co było oznaką wielkiego niezadowolenia.

— Przypominam panu — odezwał się — że ja wiem, co mam robić.

— A ja — odparł doktor — znam także swój obowiązek. Zażądałeś pan pomocy mojej nauki, więc służę nią panu i oświadczam, że stan umysłu tego chłopaka jest taki, iż niepodobna go badać nawet w celu uchwycenia poszlak. Odwołuję się w tym do pana prokuratora.

Myślał, że pan Daubigeon poprze jego zdanie. Ale kiedy ten milczał, dodał:

— Pamiętaj pan, że zapuszczasz się w drogę, z której nie ma wyjścia. Cóż pan zrobi, jeżeli ten nieszczęśliwy na pańskie zapytania odpowie formalnym oskarżeniem? Czy pociągnie pan do odpowiedzialności tego, którego on oskarży?

Wieśniacy z otwartymi ustami słuchali tej dyskusji.

— Ho, ho! Cocaleu nie taki głupi, jak się zdaje — rzekł jeden z nich.

— Wie dobrze, co mówi — dodał drugi.

— W każdym razie winnam mu życie moich dzieci — dodała łagodnie pani de Claudieuse. — On sobie o nich przypomniał wtedy, kiedy ja straciłam przytomność i kiedy wszyscy o nich zapomnieli. Przybliż się, Cocaleu, przybliż się, chłopcze, nie bój się, nikt ci tu nic złego nie zrobi.

Idiota potrzebował tej zachęty. Przerażony okropnie gwałtownym postępowaniem wieśniaków drżał na całym ciele tak, że aż mu zęby dzwoniły.

— Ja się nie bo... bo... ję — wyjąkał.

— Jeszcze raz protestuję — odezwał się doktor. —

Jakoż przekonał się, że nie sam był tego zdania

— I mnie się tak zdaje, że niebezpiecznie jest badać tego biedaka — rzekł pan de Claudieuse.

— I ja tak sędzę — dorzucił pan Daubigeon.

Ale sędzia był panem położenia jako przedstawiciel władzy, którą prawo przyznaje urzędnikowi śledczemu.

— Proszę was, panowie — rzekł stanowczym głosem — pozwólcie mi działać według mojego uznania.

I usiadłszy zwrócił się do chłopaka:

— No, Cocaleu, uważaj i staraj się zrozumieć to, co ci powiem. Wiesz, co zaszło tej nocy w Valpinson?

— Pożar — odpowiedział idiota.

— Tak, pożar, który zniszczył dom twoich dobroczyńców, pożar, przy którym zginęło dwóch biednych strażaków. Ale nie na tym koniec, chciano zamordować hrabiego de Claudieuse'a. Widzisz, leży tam na łóżku blady i zboczony krwią. Widzisz, jak pani de Claudieuse nad tym boleje.

Czy Cocaleu zrozumiał? Z wykrzywionej kurczowo twarzy nic nie było można wyczytać.

— Głupstwo! — mruknął doktor. — Zarozumiałość, upór.

Pan Galpin-Daveline posłyszał ostatnie słowa doktora, toteż zawołał gwałtownie:

— Niech mnie pan nie zmusza do tego, abym sobie przypomniał, iż mam pod ręką ludzi, których obowiązkiem jest pilnować, aby każdy uszanował mój urząd.

I zwrócił się znowu do idioty:

— Sprawcą tych wszystkich nieszczęść, mój przyjacielu, jest podły podpalacz. Ty nie cierpisz tego zbrodniarza, nieprawdaż, ty go nienawidzisz?

— Tak jest — odrzekł Cocoleu.

— Chcesz, żeby był ukarany.

— Tak, tak, chcę.

— No, to musisz mi pomóc w tym, żeby go odszukać i oddać w ręce żandarmów, którzy go odprowadzą do więzienia i oddadzą w ręce sądu. Ty wiesz, kto to taki, sam powiedziałeś, że go znasz.

Sędzia przestał mówić na chwilę, Cocoleu ciągle milczał.

Panu Galpin-Davelineowi przyszła do głowy nowa myśl.

— Gdzieś był dziś w nocy? — zapytał chłopaka.

— Na dzie... dzie... dzińcu.

— Czy spałeś, kiedy się zaczął pożar?

— Nie.

— Więc widziałeś od samego początku ogień?

— Tak. —

— Opowiedz nam, jak to było.

Idiota uporczywie wpatrywał się w panią de Claudieuse z tym wyrazem bojaźni i uległości psa, który chce wyczytać wyrok dla siebie z oczu swego pana.

— Opowiedz, Cocoleu — odezwała się łagodnie hrabina — bądź posłuszny, mów...

Iskra rozumu błysła w oczach nieszczęśliwca.

— Pod... ło... ło... żono ogień — wyjąkał.

— Naumyślnie?

— Tak jest.

— Kto taki?

— Jeden pan...

Wszyscy wstrzymali oddech, żeby lepiej słyszeć. Doktor zerwał się z krzesła.

— Ależ to badanie nie ma sensu! — zawołał.

Ale sędzia śledczy udał, że tego nie słyszy i nachylając się zapytał drżącym głosem:

— Widziałeś tego pana?

— Widziałem.

— I znasz go?

— Ba... bar... dzo dobrze.

— Wiesz jak się nazywa? —

— Och! Wiem.

— Jakże się więc nazywa?

Wyraz nieopisanej trwogi wykrzywił bladą twarz Cocaleugo, zawahał się, ale nareszcie z nadzwyczajnym wysiłkiem odpowiedział:

— Bois... Bois... Boiscoran.

Szmer niezadowolenia i uśmiech niedowierzania przyjęły nazwisko, które wyjąkał idiota.

Nie było nawet cienia wątpliwości.

— Pan Boiscoran podpalaczem! — mówili wieśniacy. — A któż by w to uwierzył?

— To nie ma sensu! — rzekł pan de Claudieuse.

— To szaleństwo! — dodali panowie Seneschal i Daubigeon.

Doktor Seignebos zdjął okulary i wycierał je z tryumfalną miną.

— A mówiłem! — zawołał. — Ale pan sędzia śledczy nie raczył zważać na moje uwagi.

Pan sędzia śledczy był najbardziej ze wszystkich wzruszony. Zbladł okropnie i widać było, jak wysiłał się, żeby zachować pozory zimnej krwi.

Prokurator nachylił się ku niemu i szepnął:

— Na pańskim miejscu, skończyłbym na tym, a to, co się dotąd stało, uważałbym za rzecz niebyłą.

Ale pan Galpin-Daveline był jednym z tych ludzi, których często zaślepia zbyt dobre wyobrażenie o sobie i którzy by się prędzej dali porąbać w kawałki, aniżeli by się mieli przyznać do tego, że się omylili.

— Nie cofnę się — odrzekł.

I znowu zwrócił się do idioty pośród tak głębokiej ciszy, że można było słyszeć szelest przelatującej muchy.

— Czy ty dobrze rozumiesz, mój kochany, co mówisz? Czy wiesz, że oskarżasz człowieka o straszną zbrodnię?

Nie wiadomo było, czy Cocoleu zrozumiał, czy nie, bo tylko przerażenie było na nim znać. Pot kroplami oblał mu wklęsłe czoło, drgania nerwowe wstrząsały całym ciałem, twarz się konwulsyjnie wykrzywiła.

— Po... powiedziałem prawdę — wyjąkał.

— Więc to pan Boiscoran podpalił Valpinson?

— Tak.

— I jakże on to zrobił?

Cocoleu błędnym wzrokiem wodził to po hrabim, który zdawał się być mocno oburzony, to po hrabinie, która słuchała z bolesnym zdziwieniem.

— Mówże! — nalegał sędzia śledczy.

Idiota jeszcze się chwilę wahał, po czym zaczął opowiadać, co widział, najmniej jednak pięć minut jąkał się i wykrzywił, zanim wytłumaczył sędziemu, że widział, jak pan Boiscoran wyciągnął z kieszeni gazety, jak przytknął do nich zapalną i podłożył to wszystko pod stóg słomy, który stał tuż przy dwóch ogromnych stosach drzewa, które znów przylegały do składu okowity.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał doktor.

Pan Galpin-Daveline nie zmieszał się tym. Spojrzawszy dokoła gniewnie, rzekł:

— Jeżeli ktoś jeszcze raz odezwie się, to przywołam żandarmów i wszystkich stąd każe usunąć.

I znów zaczął wypytywać idiotę:

— Skoroś tak dobrze widział pana de Boiscorana, powiedz mi, jak był ubrany?

— Miał szare spodnie — odpowiedział Cocoleu ciągle okropnie się jąkając — brązową kamizelkę i wielki kapelusz, słomiany. Spodnie miał w buty...

Kilku wieśniaków spojrzęło na siebie tak, jak gdyby nagle powzięli jakieś podejrzenie.

Widywali oni zwykle pana de Boiscorana w kostiumie opisanym przez idiotę.

— A gdy podłożył ogień — mówił dalej sędzia — cóż potem zrobił?

— Skrył się za stosy drzewa.

— A potem?

— Przygotował strzelbę, a gdy pan wyszedł, strzelił. —

Pan de Claudieuse, zapominając o bólu, jaki mu sprawiały rany, rzucił się i niecierpliwości i z oburzenia na łóżku.

— Ależ to straszna rzecz — zawołał — pozwolić takiemu idiotcie oczerniać zanego człowieka takimi głupimi oskarżeniami! Jeżeli widział, że pan de Boiscoran podkłada ogień i chce mnie zabić, dlaczegoż nikogo o tym nie przestrzegł, nie zawołał kogoś?

Pan Galpin-Daveline powtórzył pytanie:

— Dlaczego nie zawołałeś nikogo?

Ale półgodzinny wysiłek do reszty wyczerpał siły biednego idioty. Roześmiał się głupkowato i pochwycony atakiem nerwowym upadł na ziemię, krzycząc i rzucając się tak, że musiano go wynieść z pokoju.

Sędzia śledczy wstał blady, wzruszony i ze zmarszczonymi brwiami, ustami zaciśniętymi zdawał się namyślać.

— Co pan zamierza zrobić? — zapytał go po cichu prokurator.

— Prowadzić śledztwo dalej! — odrzekł również po cichu.

— Och!

— Czyż na moim stanowisku wolno mi inaczej postąpić? Bóg mi świadkiem, że badając tego idiotę chciałem właśnie dowieść nieprawdopodobieństwa jego oskarżeń. Rezultat zawiódł moje oczekiwanie.

— A teraz...

— Nie mogę się ani chwili wahać. Dziesięciu świadków było obecnych przy śledztwie, tu idzie o mój honor, muszę dojść, czy człowiek oskarżony tutaj jest winny, czy nie...

I natychmiast, zbliżywszy się do łóżka pana de Claudieuse'a, zapytał:

— Czy zechce mi pan wyjaśnić, jakie były pańskie stosunki z panem de Boiscoranem?

Hrabia poczerwieniał z oburzenia i zdziwienia.

— Czyż to możliwe — zawołał — żebyś pan wierzył w to, coś usłyszał przed chwilą?

— Ja niczemu nie wierzę — odpowiedział sędzia. — Moim obowiązkiem jest dojść prawdy! Toteż szukam jej.

— Wszak doktor panu powiedział, jaki jest stan umysłu tego chłopaka.

— Racz pan odpowiedzieć na moje zapytanie.

Pan de Claudieuse rzucił się gniewnie i spiesźnie odrzekł:

— Ha! Kiedy tak, to oświadczam panu, że moje stosunki z panem de Boiscoranem nie były ani złe ani dobre; nie mieliśmy ze sobą żadnych stosunków.

— Utrzymują jednakże, że panowie bardzo źle odnosili się do siebie.

— Ani źle ani dobrze. Ja się nie ruszam z Valpinson, pan Boiscoran znowu trzy czwarte roku spędza w Paryżu. On nigdy u mnie nie był i moja noga również u niego nie powstała. —

— Słyszano jednak, że pan się o nim dość nieszczególnie wyrażał.

— Być może. Różnimy się wiekiem, upodobaniami, opiniami i pojęciami. On jest jeszcze bardzo młody ja — prawie starzec. On lubi Paryż, świat i ludzi, ja znowu lubię samotność i polowanie. Ja jestem legitymistą, on był orleanistą, a teraz jest demokratą. Mnie się zdaje, że tylko potomek naszych prawowitych królów może zbawić kraj, on znowu jest przekonany, że tylko Rzeczpospolita może go uratować. Ale można być przeciwnikami politycznymi, a mimo to szanować się nawzajem. Pan Boiscoran to człowiek porządny. Należy do tych, którzy w czasie wojny godnie wywiązali się ze swych obowiązków, bił się walecznie i był ranny.

Pan Galpin-Daveline starannie zapisywał odpowiedzi hrabiego. Nareszcie rzekł:

— Tu idzie nie tylko o różnice w kwestiach politycznych. Pan miał z panem Boiscoranem pewne spory i zatargi.

— Bagatelne...

— Przepraszam, pozywaliście się panowie.

— Majątki nasze, jak pan wie, graniczą ze sobą. Oddziela nas tylko rzeczka, która dla mieszkających nad nią wieśniaków jest przedmiotem nieustannych zająć. Ja, niestety, jestem gwałtowny, bardzo gwałtowny, niech się pan o to zapyta żony. Ale w końcu wszystko to jakoś dało się ułożyć dzięki pośrednictwu obecnego tutaj pana Seneschala.

Pan Galpin-Daveline pokręcił niedowierzająco głową.

— Panowie mieliście nie tylko takie nic nie znaczące sprzeczki ze sobą — rzekł. — Przecież doszło między wami do słownych obelg.

Hrabiego de Claudieuse'a doprowadzało to do rozpacz.

— No, prawda, pokłóciliśmy się jednego razu trochę. Pan Boiscoran miał dwa przekłete jamniki, które zawsze wymykały się z psiarni i polowały sobie po moich polach. Nie uwierzycie panowie, co one mi napsuły zwierzyny.

— Toteż właśnie... I kiedyś się pan raz spotkał z panem de Boiscoranem, zagroziłeś mu pan tym, że mu wszystkie psy wystrzelasz.

— Bo byłem wtedy okropnie rozgniewany, przyznaję się, racji jednak nie miałem żadnej; ubliżyłem mu.

— Powiedzmy. Obaj panowie mieliście przy sobie broń, pan się uniosłeś, zacząłeś mu się odgrażać, on zaś zmierzył się do pana. Nie zapieraj się pan tego, dziesięć osób widziało to na własne oczy, ja wiem, bo on sam mi to powiedział.

Wszyscy w miasteczku wiedzieli, jaką straszną chorobą dotknięty był Cocaleu, a wiedzieli i o tym, że nie było na nią lekarstwa.

Toteż ludziom, którzy go wynieśli z pokoju, zdawało się, że położywszy idiotę na wilgotnej słomie zrobili wszystko, co mogli. Zostawili go, a sami, wmieszawszy się w tłum, rozpowiadali to, co przed chwilą słyszeli.

Trzeba oddać sprawiedliwość kilkuset wieśniakom, którzy krzatali się koło tlejących szczątków Valpinson, że usłyszawszy idiotę oskarżającego pana de Boiscorana jako sprawcę pożaru w pierwszej chwili obrzucili go złorzeczeniami i przekleństwami.

Niestety, pierwsze odruchy, najczęściej dobre, trwają krótko.

Jeden z tych hultajów, których pełno bywa i w miastach, i po wsiach, próżniak i pijak zazdroszczący wszystkim wszystkiego, zawołał:

— A kto to może wiedzieć?

I tych kilka słów dało hasło do najśmielszych wniosków.

Ciągłe sprzeczki hrabiego de Claudieuse'a z panem de Boiscoranem odbywały się publicznie. Wiedzano dobrze o tym, że zaczepka zawsze była ze strony hrabiego i że jego młody sąsiad zawsze mu w końcu ustępował.

Dlaczegoż pan de Boiscoran, ciągle upokarzany, nie miałby się uciec do tego środka, żeby się pomścić na człowieku, którego zapewne nienawidził?

— Czy może dlatego, że szlachcic i bogaty? — zaśmiał się ów złośliwiec.

Od tego wyszukiwania okoliczności popierających twierdzenia idioty był

już tylko krok. Jakoż poczęły się tworzyć grupy i niebawem dwóch mężczyzn i jedna kobieta dali do zrozumienia, że może niejeden zdziwiłby się, gdyby oni opowiedzieli wszystko, co wiedzą. Zaczęto na nich nalegać, ale oni zaczęli się wzdragać. Nic to jednak nie pomogło. Zaprowadzono ich do domu, w którym właśnie w tej chwili pan Galpin-Daveline wypytywał hrabiego de Claudieuse'a.

Tłum zbliżał się z takim krzykiem i hałasem, że pan Seneschal, lękając się, czy się nie stało coś nowego, poskoczył ku drzwiom.

— Co to znaczy? — zawołał.

— Świadkowie, nowi świadkowie — odparli wieśniacy.

Pan Seneschal porozumiawszy się wzrokiem z panem Daubigeonem rzekł do sędziego:

— Proszę pana, przyprowadzono panu świadków.

Pan Galpin-Daveline przeklinał bez wątpienia w duszy tę sprawę. Ale znając wieśniaków, wiedział bardzo dobrze, jak ważne jest korzystać z ich dobrej woli i że później nic by z nich nie wydobył.

— Wrócimy jeszcze potem do naszej rozmowy, panie hrabio — odezwał się do pana de Claudieuse'a.

A odpowiadając panu Seneschalowi, rzekł:

— Niech wejdą ci świadkowie, ale sami i pojedynczo.

Pierwszy wszedł niejaki Ribot, jedyny syn zamożnego dzierżawcy z miasteczka Brechy. Był to dwudziestopięcioletni chłopak, wysoki, barczysty, z głową maleńką, niskim czołem i ogromnymi, czerwonymi jak rak uszami.

Na dwie mile dokoła miał sławę uwodziciela, któremu się żadne serce nie zdoła oprzeć i był niepomernie dumny z tej reputacji.

Zapytawszy go o imię, nazwisko i wiek, pan Galpin-Daveline rzekł następnie:

— Cóż pan tedy wiesz?

Ribot wyprostował się i z ważną miną, którą tak dobrze zrozumieli wieśniacy, że wybuchnęli głośnym śmiechem, zaczął mówić:

— Miałem wieczorem, pewien interes... bardzo ważny, po tamtej stronie zamku Boiscoran. Oczekiwano na mnie, ja spóźniłem się cokolwiek i dlatego puściłem się najbliższą drogą przez bagna. Wiedziałem, że wskutek deszczów rowy muszą być wypełnione wodą, ale kiedy człowiek ma takie interesy, jakie ja miałem, już tam nóg nie żałuje...

— Oszczędź nam pan tych niepotrzebnych szczegółów — odezwał się sędzia.

Zdobywca serc zdawał się bardziej zdziwiony niż zmieszany tą przerwą.

— Słucham pana sędziego — rzekł. — Było już jakoś po ósmej i zaczynało się ściemniać, kiedy przyszedłem nad stawy. Były one tak wezbrane, że odpływająca z nich woda strumieniem głębokim na parę cali przecinała mi drogę. Namyślałem się właśnie, co by tu zrobić, żeby się nie zamoczyć, kiedy z drugiej strony ujrzałem idącego naprzeciw mnie pana de Boiscorana.

— Czy pan jesteś pewny, że to był on?

— Oczywiście, przecież z nim mówiłem! Ale za pozwoleniem. On nie bał się wcale zamoczyć. Nie namyślając się wcale, podniósł spodnie, wsunął je w cholewy wysokich butów i przeszedł. Przeszedłszy, dopiero spostrzegł mnie i zdawał się być zdziwiony. Ja też się zdziwiłem. „Pan tutaj?” rzekłem. A on mi odpowiedział: „Tak jest, mam się widzieć z kimś w Brechy”. Nie było w tym nic dziwnego, jednak odezwałem się jeszcze: „Przyznam się, że szczególną drogę pan sobie obrałeś!”. On zaczął się śmiać. „Nie wiedziałem, że stawy wylały — rzekł — i spodziewałem się ubić po drodze kilka wodnych ptaków”. I mówiąc to pokazał mi strzelbę. Wtedy nie wydawało mi się to dziwne, ale teraz, po tym, co się stało, widzę to inaczej.

Pan Galpin-Daveline zapisał to zeznanie, a potem zapytał:

— Jak pan de Boiscoran był ubrany?

— Zaraz, proszę pana... Miał szare spodnie, kurtkę aksamitną brązową i kapelusz pana-ma z szerokimi skrzydłami.

Zdumienie i niepokój odmalowały się na twarzach hrabiego i hrabiny de Claudieuse, pana Daubigeona, a nawet doktora Seignebose.

Uderzyło ich w zeznaniu Ribota, że widział, jak pan de Boiscoran kładł spodnie w buty, żeby przejść przez wodę.

— Możesz pan odejść — rzekł pan Galpin-Daveline — niech wejdzie drugi świadek. —

Nowo przybyły był to człowiek już niemłody, nieszczególnej reputacji, który mieszkał sam jeden w nędznej chacie o pół mili od Valpinson. Nazywano go ojcem Gaudry.

O ile młody Ribot był pewny siebie, o tyle ten świadek, ubrany w brudne i odrażające łachmany, zdawał się być pokorny i wystraszony.

Powiedziawszy swoje imię i nazwisko tak zaczął swoje zeznanie:

— Mogło być około jedenastej w nocy, kiedy szedłem ścieżką przez lasek Rochepommier...

— Szedłeś kraść drzewo — przerwał mu surowo sędzia.

— Chryste Panie — zajęczał stary składając ręce — jak też można mówić coś podobnego! Ja, kraść drzewo! Nie, proszę pana, szedłem po prostu na noc do lasu, żeby o wschodzie słońca być na miejscu i nabierać grzybów, które chciałem sprzedać w Sauveterre. Szedłem sobie tedy ścieżką, gdy wtem usłyszałem za sobą ludzkie kroki. Naturalnie strach mnie zdjął.

— Bo szedłeś kraść!

— Nie, proszę pana, tylko zwyczajnie noc, rozumie pan. Koniec końców schowałem się za drzewo i natychmiast ujrzałem idącego pana de Boiscorana, którego doskonale poznałem, choć było ciemno i który musiał być bardzo rozgniewany, gdyż mówił do siebie głośno, wymachiwał rękami, a od czasu do czasu zrywał pełnymi garściami liście z gałęzi.

— Czy miał strzelbę?

— Miał, proszę pana, i właśnie to ta strzelba narobiła mi tyle strachu, gdyż wziąłem go za gajowego.

Trzecim i ostatnim świadkiem była gospodyni nazwiskiem Courtois, której grunty leżały po drugiej stronie lasu Rochepommier.

Zapytana, po chwili wahania rzekła:

— Ja tam wielkich rzeczy nie wiem, ale co wiem, to powiem. Ponieważ spodziewaliśmy się mieć w tych dniach dużo robotników, chciałam więc jutro upiec chleba i dlatego zabrawszy ze sobą osła, udałam się do młyna w Sauveterre po mąkę. Nie było gotowej, ale młynarz powiedział mi, że mogę jej dostać, jeżeli poczekam, zostałam więc u niego na wieczerzy. Około godziny dziesiątej dał mi worek, który jego chłopcy włożyli mi na osła i ruszyłam do domu. Uszłam już więcej niż pół drogi i mogło być około jedenastej, kiedy nagle w lasku Rochepommier mój osioł się potknął, a worek spadł mi na ziemię. Byłam w wielkim kłopotcie, nie mogłam włożyć go na powrót, gdy wtem o kilka kroków odemnie zjawił się jakiś człowiek. Zawołałam na niego i on przyszedł. Był to pan Boiscoran. Poprosiłam go, żeby mi pomógł, a on też nie dał się prosić, położył strzelbę na ziemi i władował mi worek na osła. Podziękowałam mu, on mi powiedział, że nie ma za co i na tym koniec.

Stojąc ciągle w drzwiach, od których odganiał cisnących się ciekawych wieśniaków, mer Sauveterre pełnił dobrowolnie skromne funkcje woźnego.

Gdy pani Courtois odeszła zawstydzona i żałująca już może tego, co powiedziała, zawołał na cały głos:

— Czy ktoś jeszcze ma coś do powiedzenia?

A gdy nikt się nie odezwał, zamknął drzwi bez ceremonii dodając:

— Rozejdźcie się, przyjaciele, i pozwólcie sprawiedliwości działać w spokoju-

Sprawiedliwość w osobie pana sędziego śledczego była w tej chwili w nie lada kłopotcie.

Pan Galpin-Daveline poruszony do żywego siedział wsparty łokciami o stół, trzymając się rękami za głowę i zdawał się szukać wyjścia z tego położenia, w które się zaplątał.

Nagle zerwał się, zapominając o swojej zwykłej sztywności i zrzucając maskę wymuszonego spokoju.

— I cóż teraz? — zawołał, jakby w swoim zakłopotaniu spodziewał się pomocy lub żądał rady. — I cóż teraz? — powtórzył.

Nikt mu nie odpowiedział.

Wszyscy pogrążeni byli w takim samym jak on osłupieniu, zarówno państwo Claudie-use, jak i pan Seneschal, prokurator i doktor Seignebos.

Żadne z nich nie mogło się jeszcze oswoić z tym rezultatem tak nieprawdopodobnym, trudnym do uwierzenia, niesłychanym.

— Widzicie panowie — odezwał się żywo sędzia z dziwną goryczą — że miałem rację badając tego Cocolęgo. Och, nie przeczcie daremnie, wszyscy podzielacie teraz moje domysły i podejrzenia. Któż z was śmiałyby utrzymywać, że pod wpływem silnego wrażenia, ten idiota nie odzyskał na chwilę zmysłów! Gdy wam powiedział, że był świadkiem zbrodni i wymienił winowajcę, wrzuszaliście ramionami. Ale zjawili się inni świadkowie, a z ich zeznań wynikają straszliwe poszlaki.

Począł się ożywiać coraz bardziej.

Przyzwyczajenie silniejsze od niego zaczęło brać nad nim górę.

— Pan de Boiscoran — mówił dalej — był dzisiejszego wieczoru w Valpin-son. To jest rzecz niewątpliwa. W jaki sposób przyszedł tutaj? Po kryjomu. Z zamku Boiscoran do Valpinson prowadzą dwie drogi: jedna przez Brechy, druga naokoło stawów. Czy pan Boiscoran obrał jedną z nich? Nie. Szedł prosto przez bagna, narażając się na ugrzęźnięcie w błocie lub zamoczenie się po szyję. Z powrotem puścił się laskiem Rochepommier, mimo iż groziło mu niebezpieczeństwo, że się zabłąka i będzie błądził do rana. O cóż mu tedy chodziło? O to, żeby nie był widziany, to rzecz oczywista. Jakoż, kogo spotkał po drodze? Kobieciarza Ribota, który sam się ukrywał idąc na schadzkę. Złodzieja leśnego Gaudry'ego, któremu o to tylko chodzi, żeby się nie spotkać z żandarmami.

Wreszcie panią Courtois, która się przypadkiem zapóźniła. Wszystko było jak najlepiej obmyślane, ale Opatrzność czuwała.

— Aha! Opatrzność, zapewne! — mruknął doktor Seignebos. — Opatrzność, aha!

Ale pan Galpin-Daveline nie zważał na to zupełnie; mówił coraz żywiej:

— Czy można na korzyść pana de Boiscorana przytoczyć choćby jakąś niezgodność czasu? Broń Boże! O jakim czasie widziano go w tych stronach? O zmroku. Było wtedy wpół do dziewiątej, jak świadczy Ribot, kiedy pan Boiscoran przebrnął wodę wylewającą z wezbranych stawów, a więc w Valpin-son mógł być o wpół do dziesiątej. Wtedy zbrodnia nie była jeszcze popełniona.

O której godzinie spotkano go znów wracającego do domu? Powiedzieli nam to Gaudry i pani Courtois: po jedenastej. Wtedy pan Claudieuse był już ranny, a Valpinson stało w płomieniach. Czy mamy jakiegokolwiek dane co do stanu umysłu, w jakim znajdował się pan de Boiscoran? Mamy. Idąc tutaj, zachował zimną krew. Zdziwił się bardzo, spotkawszy Ribota, a jednak tłumaczył mu się ze swojej obecności w tym miejscu i dlaczego wziął ze sobą strzelbę.

Twierdził, że się ma z kimś widzieć w Brechy i że chciał po drodze ubić kilka ptaków wodnych. Czy można temu wierzyć? Czy jest w tym choć prawdopodobieństwo? A teraz przyjrzyjmy się jego zachowaniu w czasie powrotu. Szedł bardzo prędko, jak zeznał Gaudry, zdawał się być mocno rozgniewany garściami zrywał liście z gałęzi. Czy się odezwał do spotkanej Courtois? Nie. Zawołany, nie śmiał uciekać i odmówił jej przysługi, którą spełnił z nadzwyczajnym pośpiechem. A potem? Miał przed sobą może z kwadrans drogi wspólnej z tą kobietą, czy szedł z nią? Bynajmniej. Opuścił ją czym prędzej i poszedł naprzód śpiesząc do domu, gdyż był przekonany, że pan de Claudieuse nie żyje i drżał na myśl, że posłyszycie bicie dzwonów na gwałt i krzyki: gore! gore! ratujcie!

Rzadko się zdarza, żeby sprawiedliwość poczyniała tak poufale, a ci, co ją reprezentują, o tyle się zwykle wyżej stawiają nad innych śmiertelników, że nigdy nie tłumaczą im się ze swoich wrażeń ani nie żądają od innych rady. Gdy tylko sędzia śledczy przystąpi do dochodzenia, ma wszelką swobodę działania w celu odkrycia zbrodniarza.

Ale w tej tu sprawie pan Galpin-Daveline dał się uwieść gwałtownej szybkości, z jaką następowały po sobie wypadki. Między pierwszym pytaniem, które zadał Cocoleumu, a chwilą obecną, nie miał czasu zastanowić się nawet. A ponieważ całe jego postępowanie było publiczne, poczuwał się więc poniekąd do obowiązku wytłumaczenia się z niego.

— Jednym słowem usłyszeliśmy tutaj formalny akt oskarżenia! — zawołał doktor Seignebos, zdjawszy i zapamiętale wycierając okulary.

— I na czymże się to ów akt oskarżenia opiera? — mówił dalej z taką gwałtownością, że nikt nie zdołałby mu przerwać. — Na odpowiedziach umysłowego kaleki, o którym ja, lekarz, twierdę, że zupełnie nie wie, co gada. Bo inteligencja w głowie człowieka nie zapala się i nie gaśnie jak gaz w latarni. Człowiek albo jest idiotą, albo nim nie jest, tak zawsze bywało i tak zawsze będzie. Ale, powiadasz pan, inne zeznania są przekonujące. Powiedz pan raczej, że się panu wydają takimi. Dlaczego? Dlatego, że pan jesteś pod wpływem zeznań tego Cocoleugo. Gdyby nie to, czyżby pana zajmowało to, co robił, albo nie robił pan Boiscoran? Spacerował sobie cały wieczór. Alboż mu nie wolno? Przechodził przez bagna? Któż mu tego mógł zabronić? Szedł przez las. Czyż to rzecz zakazana? Spotkano go. Cóż w tym nienaturalnego? Ale gdzież tam! Jakiś idiota go oskarżył, a więc wszystko, co zrobił, stało się podejrzanym. Mówił! To znaczy, że ma zimną krew zatwardziałego zbrodniarza. Milczał! To oznacza zgryzotę winowajcy drżącego ze strachu. Zamiast wymienić pana de Boiscorana, Cocoleu mógł wymienić mnie, doktora Seignebosa. I wtedy moje postęпки wydałyby się zbrodnicze i bądźcie panowie pewni, że wykryto by w nich tysiące dowodów mojej

winy. Zresztą znaleziono by nawet do tego obszerne pole. Czyż ja nie idę dalej w moich opiniach politycznych aniżeli pan de Boiscoran!

Ale tutaj przerwał mu hrabia de Claudieuse.

— Co do mnie — rzekł — uznaję całą doniosłość poszlak, które przytoczył pan sędzia śledczy. Ale wyżej nad wszelkie poszlaki stawiam fakt pozytywny: charakter oskarżonego człowieka. Pan de Boiscoran jest człowiekiem szlachetnym, człowiekiem zacnego serca, niezdolnym do nikczemnej, ohydnej zbrodni.

Wszyscy potaknęli tym słowom.

— A ja — odezwał się pan Seneschal — zapytam się jeszcze: na co ta zbrodnia? Gdyby pan de Boiscoran nie miał nic do stracenia, to co innego! Ale czyż jest na ziemi człowiek szczęśliwszy od niego? Jest młody, przystojny, zdrowy, szanowany i poszukiwany przez wszystkich. Zresztą zachodzi jeszcze jeden fakt, który dotąd jest tajemnicą rodziny, ale który mogę panom powiedzieć i który sam mógłby usunąć wszelkie podejrzenia. Pan Boiscoran jest do szaleństwa zakochany w pannie Dionizie de Chandore, posiada jej pełną wzajemność i dzień ich ślubu naznaczony został na 20 przyszłego miesiąca.

Tymczasem godziny upływały... — Na dzwonnicy w Brechy wybiło wpół do czwartej. Robił się dzień, bladło : światło lamp. Spędziwszy ranne mgły, słońce ozłacało szyby wesołymi promieniami.

Ale nie widział tego żaden z ludzi, których tak ważne zajęcie zgromadziło przy łożu pana de Claudieuse'a.

Pan Galpin-Daveline niemy i nieruchomy słuchał wszystkich tych zarzutów. Zdołał on na tyle zapanować nad sobą, że trudno było poznać, jakie robiły na nim wrażenie. Wreszcie skinąwszy poważnie głową, rzekł:

— Panowie! Bardziej niż którykolwiek z was chciałbym wierzyć w niewinność pana de Boiscorana. Pan Daubigeon może to poświadczyć. Moje serce pierwsze przemówiło w jego obronie, ale ja jestem przedstawicielem prawa; ponad moimi uczuciami stoi mój obowiązek. Czyż ode mnie zależy zniweczyć to oskarżenie Cocaleugo, mimo całej jego niedorzeczności i nieprawdopodobieństwa? Czyż mogę cofnąć te trzy niespodziane zeznania, które oskarżeniu jego nadały charakter zatrważającego prawdopodobieństwa?

Pan de Claudieuse był w rozpacz.

— Co jeszcze w tym jest okropnego — odezwał się — to to, że pan de Boiscoran ma mnie za swego nieprzyjaciela. Gotów pomyśleć, że te niegodne podejrzenia wyszły ode mnie lub od mojej żony. Ach! Czemuż nie mogę wstać! Moi panowie, niechże przynajmniej pan de Boiscoran wie, iż ja oświadczyłem[^] że gotów jestem ręczyć za niego tak, jak za samego siebie! Ach! Ten przeklęty Cocaleu! Moja droga Genowefo, po co ty go zachęciłaś, żeby mówił! Gdyby nie to, byłby uparcie milczał.

Pani de Claudieuse zdawała się być w tej chwili złamana strasznymi przejściami tej okropnej nocy.

Na wyrzut, który zrobił jej mąż, zerwała się, blada, z nabręklą twarzą, z oczami czerwonymi i przenikliwym głosem zawołała:

— Jak to! Chciano zamordować Trywulcego, nasze dzieci o mało nie zginęły w płomieniach, a ja miałam pominąć sposób odkrycia podłego mordercy, nikczemnego podpalacza! Niech się dzieje, co chce, nie żałuję niczego!

— Ależ, moja kochana Genowefo, pan de Boiscoran nie jest, nie może być winowajcą. Jakżeby człowiek, którego spotyka to nieporównane szczęście, że jest kochany przez pannę Dionizę de Chandore, który liczy dni oddzielające go od ślubu, mógł się dopuścić tak ohydnej zbrodni?

— Więc niech dowiedzie swojej niewinności — odparła twardo hrabina.

Doktor z niesłychaną impertynencją mlasnął ustami.

— Otóż mamy logikę kobiecą! — mruknął.

— Nie ulega wątpliwości — odezwał się pan Seneschal — że niebawem okaże się niewinność pana de Boiscorana. Mimo to podejrzania nie ustaną Zupełnie. Taka już jest mentalność naszej okolicy, że domysły te rzuca cię na całe jego życie. Za dwadzieścia lat jeszcze, gdy będzie mowa o panu de Boiscoranie, nie omieszka ktoś powiedzieć: „Ach, to ten, co podpalił Valpinson!”.

Na to odpowiedział nie pan Galpin-Daveline, ale prokurator.

— Ja — rzekł ze smutkiem — nie podzielałbym sposobu zapatrywania się Pana mera, ale mniejsza o to. Po tym, co zaszło, pan sędzia śledczy nie może się cofnąć, zabrania mu tego jego obowiązek, a jeszcze bardziej interes oskarżonego. Cóż powiedzieliby wszyscy ci wieśniacy, którzy usłyszeli zeznania i Cocoleugo, i świadków, gdyby odstępiono od śledztwa? Powiedzieliby, że pan de Boiscoran zawinił, ale go nie pociągnięto do odpowiedzialności dlatego, że szlachcic i bogaty. Świadczę się honorem, że wierzę, iż jest zupełnie niewinny. Ale właśnie dlatego, że mam takie przekonanie, twierdzę, iż należy mu dać możliwość dowiedzenia tego. Nie zabraknie mu zapewne sposobów. Spotkawszy Ribota powiedział mu, że idzie do Brechy, gdzie się ma z kimś widzieć.

— A jeżeli też tam nie poszedł? — przerwał pan Seneschal. — Jeżeli się z nikim nie widział? Jeżeli to był tylko pretekst, którym chciał się uwolnić od niegrzecznej ciekawości Ribota?

— No, to powie sędziemu, jak było i koniec. O to mnie głowa nie boli. A zresztą, jest jeszcze jeden dowód materialny, który lepiej niż cokolwiek bądź świadczy na korzyść pana de Boiscorana. Czy przypuszczając nawet rzecz niepodobną, gdyby chciał być zabić pana de Claudieuse'a, nie byłby nabił strzelby kulą a nie śrutem?

— I nie byłby mnie chybił o dziesięć kroków — dodał hrabia.

Przerwały mu dwa silne i szybkie stuknięcia do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołał pan Seneschal.

Drzwi się otwały, a w nich ukazało się trzech wieśniaków z minami przerażonymi, ale pełnymi zadowolenia.

— Znaleźliśmy coś osobliwego — odezwał się jeden z nich.

— Cóż to takiego? — zapytał pan Galpin-Daveline.

— Coś takiego niby pudełko, ale Pitard utrzymuje, że to rurka z ładunku do strzelby.

Pan de Claudieuse dźwignął się na poduszkach.

— Pokażcie — rzekł żywo. — Ja w tych dniach dałem kilkanaście strzałów naokoło domu dla odstraszenia ptaków, które mi psuły owoce, zobaczę, czy to nie z mojego naboju.

Wieśniak podał mu rurkę.

Była to rzeczywiście rurka z nader cienkiej ołowianej blaszki, taka, jakiej używają do niektórych systemów strzelb amerykańskich.

Rzecz szczególna, że była poczerniona od zapalonego prochu, ale nie była rozdarta, ani nawet nie skrzywiona przez wystrzał.

Tak dalece była nie naruszona, że można było na dnie wyczytać wypisane wypukłymi literami nazwisko fabrykanta: „Klebb”.

— Ten nabój nie wyszedł z mojej strzelby — rzekł hrabia.

Ale przy tym pobił tak okropnie, że żona przysunęła się do niego, zapytując go wzrokiem, w którym można było wyczytać nieopisany niepokój.

— Co ci jest? — rzekła.

On nie odpowiedział.

A milczenie to miało taką wymowę, że hrabina, ledwie trzymając się na nogach, szepnęła:

— Więc Cocaleu powiedział prawdę.

Ani jeden szczegół tej sceny nie uszedł uwagi pana Galpin-Daveline'a. Na twarzach wszystkich otaczających go osób mógł wyczytać wyraz przerażenia.

Jednak nie odezwał się z żadną uwagą.

Wziął z rąk pana de Claudieuse'a blaszaną rurkę, która mogła się stać nadzwyczajnej doniosłości dowodem i więcej niż przez minutę obracał ją na wszystkie strony, przyglądając się jej starannie.

Po czym, zwracając się do wieśniaków, którzy stali w drzwiach z odkrytymi na znak uszanowania głowami, zapytał:

— Gdzieście znaleźli ten szczątek naboju?

— Tuż przy starej wieży pozostałej ze starego zamku, która służy za skład narzędzi i cała jest pokryta bluszczem.

Pan Seneschal przewyciężył tymczasem osłupienie, które go ogarnęło, gdy ujrzał blednącego i milczącego pana de Claudieuse'a.

— Stamtąd z pewnością morderca nie strzelał. Z tego miejsca nie widać nawet wejścia do domu.

— Może to być — odrzekł sędzia — ale rurka naboju nie zawsze pada tam, skąd się strzela. Upada ona tam, gdzie się otworzy strzelbę do nabicia na nowo.

W słowach tych było tyle słuszności, że nawet doktor Seignebos nie śmiał zaprotestować.

— A teraz, moi przyjaciele — odezwał się znów pan Galpin-Daveline — który z was znalazł tę rurkę?

— Byliśmy razem, kiedyśmy to spostrzegli i podnieśli.

— Dobrze. A więc powiedzcie mi wszyscy trzej swoje nazwiska i miejsce zamieszkania, abym was mógł w razie potrzeby zawezwać.

Po dopełnieniu tej formalności odchodzili właśnie kłaniając się nisko, kiedy wtem zagrział tętent galopującego konia.

Za chwilę wszedł do pokoju ów człowiek, który jeździł do Sauveterre po lekarstwa. Nie posiadał się z gniewu.

— A to łajdak ten aptekarz! — zawołał. — Myślałem, że mi już nigdy nie otworzy!

Doktor Seignebos pochwycił zaraz rozmaite przedmioty, które mu przywieziono.

I kłaniając się sędziemu z pełnym ironii uszanowaniem, rzekł:

— Nie wątpię, łaskawy panie, jak ważną rzeczą jest ucięcie głowy mordercy, ale sądzę, że równie ważne jest ocalenie życia zamordowanemu. Przerwałem opatrzenie ran pana de Claudieuse'a może na dłużej niż pozwala nawet rozsądek. Proszę więc teraz pozostawić mnie w spokoju, abym mógł spełnić to, co do mnie należy.

Nic już dotąd nie zatrzymywało na miejscu sędziego śledczego, prokuratora ani pana Seneschala.

Oddalili się zatem, pożegnawszy się z hrabiną de Claudieuse, uściskawszy rękę hrabiego, obiecawszy mu donosić jak najszybciej o wszystkim.

Pożar zniszczywszy, co było do zniszczenia, przygasał.

Kilka godzin wystarczyło na zniweczenie owocu długoletnich starań i zabiegów.

Z tej zachwycającej posiadłości, której tak wszyscy zazdrościli hrabiemu, pozostały tylko przepalone i kruszące się mury, kupy czarnych popiołów i stosy gruzów, z których ciągle jeszcze snuły się dymy.

Dzięki kapitanowi Parenteau wszystko, co można było wyrwać z płomieni, poznoszono na jedno bezpieczne miejsce, niedaleko ruin starego zamku.

Leżały tam wyratowane meble i inne przedmioty, stały wozy i narzędzia rolnicze, walały się uprząże, próżne naczynia, worki z obrokiem i zbożem. Tam też stało przywiązane bydło,

które z największym trudem zdołano uratować ze stajen, były tam konie, woły, kilka baranów i kilkanaście krów, które ryczały żałośnie.

Mało co ludzi się rozeszło.

Z większą niż kiedykolwiek usilnością strażacy przy pomocy wieśniaków zalewali ciągle wodą resztki głównego budynku. Nie obawiali się już ognia, ale mieli słabą nadzieję, że zachowają od zupełnego zwęglenia zwłoki Boltona i Guillebaulta, tych dwóch nieszczęśliwych, którzy padli ofiarą swojej odwagi.

— Jakaż to straszna plaga ten ogień! — szepnął pan Seneschal. Nie odpowiedzieli mu. Oni także, nawet po tylu gwałtownych wzruszeniach, czuli, jak im się serce ściska na widok straszego obrazu, który się przedstawił ich oczom.

Bo pożar niczym jeszcze nie jest w chwili, kiedy gore, dopóki trwa gorączka niebezpieczeństwa i nadzieja zbawienia, dopóki płomienie oświecają widnokrąg czerwonymi odbłaskami. Nazajutrz dopiero, kiedy już wszystko skończone, zgaszone, można zmierzyć całą okropność klęski.

Na widok zbliżającego się mera Sauveterre straż ogniowa powitała go okrzykami. On zwrócił się ku nim i po raz pierwszy od chwili wszczęcia alarmu sędzia śledczy i prokurator znaleźli się sami.

Stali bardzo blisko siebie i przez chwilę zachowywali milczenie, a każdy z nich usiłował w oczach drugiego wyczytać jego myśli.

— No i cóż pan na to? — odezwał się pan Daubigeon.

Galpin-Daveline zadrżał.

— Jakież jest pańskie zdanie?

— Czy ja wiem! W głowie mi się mąci. Zdaje mi się, iż jestem igraszką jakiegoś piekielnego snu!

— Więc pan przypuszcza, że pan Boiscoran rzeczywiście popełnił tę zbrodnię?

— Ja nic nie przypuszczam. Rozum mi mówi, że on jest niewinny, że nie może nim nie być, a jednak widzę powstające przeciw niemu okropne poszlaki.

Prokurator był niezmiernie przygnębiony.

— Niestety — rzekł — po coś się pan uparł wbrew zdaniu wszystkich badać tego nieszczęsnego idiotę!

Ale sędzia śledczy się oburzył.

— Czy pan mi zarzuca — zawołał — że usłuchałem głosu sumienia?

— Ja panu nic nie zarzucam.

— Została popełniona okropna zbrodnia, mój obowiązek nakazywał mi próbować wszystkiego, co jest w ludzkiej mocy, żeby odkryć jej sprawcę.

— Tak! A tymczasem człowiek, którego oskarżono, jest pańskim przyjacielem i jeszcze wczoraj jego przyjaźń była dla pana bardzo cenna.

— Panie!

— Dziwi to pana, że tak dobrze jestem poinformowany? Widzisz pan, nic się nie ukryje przed ciekawością małomiejskiej gawiedzi. Wiem, że najgorętszym pańskim życzeniem było wejść w rodzinę pana de Boiscorana i że liczyłeś na jego poparcie w otrzymaniu ręki jednej z jego krewnych.

— Nie przeczę...

— Na nieszczęście uwiodła pana nadzieja głośniejszej sprawy, zapomniałeś pan o wszelkiej przezorności i oto zamiary pańskie zniweczone. Czy pan Boiscoran okaże się niewinny czy przeciwnie, jego rodzina nigdy panu nie przebaczy roli, jaką pan odegrał w jego sprawie. Jeżeli jest winny, będzie panu miała do wyrzucenia, żeś go wydał sądom przysięgłych, jeżeli niewinny, będzie miała do pana jeszcze większy żal, żeś go śmiało podejrzywał.

Pan Galpin-Daveline spuścił głowę, może dla ukrycia swego wzruszenia.

— A co pan by zrobił na moim miejscu? — zapytał się.

— Cofnąłbym się — odrzekł pan Daubigeon — chociaż już nawet trochę za późno.

— Tym krokiem skompromitowałbym całą swoją karierę.

— Zawsze to lepiej, aniżeli brać się do sprawy, do której nie przystąpisz pan ani z tym spokojem, ani z tą zimną bezstronnością, które są pierwszymi i niezbędnymi cnotami każdego urzędnika śledczego.

Sędzia odparł na to rozdrażnionym tonem:

— Pan, jak widzę, masz mnie za człowieka zdolnego zejść z drogi obowiązku dla względów przyjaźni lub osobistego interesu!

— Tego nie mówię.

— Czy nie widziałeś mnie pan podczas badania? Czyż zadrzałem, kiedy nazwisko pana de Boiscorana padło z ust tego idioty? Gdyby chodziło o kogo innego, może bym się był zatrzymał. Ale pan de Boiscoran jest moim przyjacielem, ale ja liczę na niego i dlatego właśnie nie cofnąłem się i nie myślę się cofać.

Prokurator wzruszył ramionami.

— Wybornie — rzekł. — Dlatego, że pan de Boiscoran jest pańskim przyjacielem, więc z obawy, aby cię nie posądzono o słabość, będziesz względem niego nieubłagany, nawet niesprawiedliwy. Dlatego, że liczyłeś na niego, będziesz chciał koniecznie znaleźć w nim winę. I panu się zdaje, że jesteś bezstronny!

Pan Galpin-Daveline wyprostował się wracając do swojej zwykłej sztywności.

— Jestem pewny siebie — rzekł.

— Miej się pan na baczności!

— Moje postanowienie jest niezłomne.

Czas już był wielki. Pan Seneschal wracał w towarzystwie kapitana Parenteau.

— No i cóż? — zapytał. — Coście panowie postanowili?

— Jedziemy do Boiscoran — odrzekł sędzia.

— Jak to! Teraz, zaraz?

— Tak jest. Chcę zastać pana Boiscorana jeszcze w łóżku. Tak dalece mi na tym zależy, że nawet obejdę się bez mego pisarza.

Kapitan Parenteau uklonił się.

— Pański pisarz jest tutaj — rzekł — nawet pytał się o pana przed chwilą.

Po czym zaczął wołać na całe gardło:

— Mechinet! Mechinet!

Mały, szpakowaty już człowieczek, okrągłutki a jowialny, przybiegł natychmiast i zaczął z pośpiechem opowiadać, jak jeden z sąsiadów powiadomił go o tym, co się stało i o odjeździe pana sędziego, i jak on, posłuszny jedynie własnej gorliwości, ruszył natychmiast w drogę, sam jeden, piechotą.

— A jak pan chce dostać się do Boiscoran? — zapytał mer pana Galpin-Daveline'a.

— Nie wiem jeszcze. Mechinet poszuka mi jakiej podwody.

Szybki jak błyskawica pisarz już się zabierał do odejścia, powstrzymał go pan Seneschal.

— Daj pan pokój — rzekł — ja panom dam mojego konia i powóz. Pierwszy lepszy wieśniak powiezie was. Kapitan Parenteau i ja wrócimy do Sauveterre kabrioletem jednego dzierżawcy z Brechy. Gdyż musimy wracać czym prędzej. Odebrałem niepokojące wiadomości. Obawiam się w mieście wzburzenia. Wieśniaczki przyszedłszy na targ, opowiedziały tam z ogromnymi dodatkami i bez tego już straszne nieszczęścia tej nocy. Zapewniały, że kilkunastu ludzi zostało zabitych i rannych, że podpalacz, pan de Boiscoran, został aresztowany.

Tłum udał się do wdowy po nieszczęśliwym Guillebeaulcie i zrobił manifestację przed domem panien de Lavarande, w którym mieszka narzeczona pana Boiscorana, panna Dioniza de Chandore.

W normalnych okolicznościach pan Seneschal za nic w świecie nie byłby powierzył obcym ręką swojego poczciwego konia, zwanego Caraby, najlepszego może w całej okolicy.

Ale w tej chwili był wytrącony z równowagi, widać to było wyraźnie mimo usiłowań, jakie czynił, aby zachować tę spokojną godność, która przystoi człowiekowi reprezentującemu władzę.

Dał znak i w jednej chwili jego powóz był gotów. Tylko kiedy zażądał kogoś do powożenia, nikt się nie zgłosił.

Wieśniacy, którzy całą noc spędzili przy ogniu, radzi byli jak najprędzej wrócić do domu, gdzie trzeba było zająć się gospodarstwem.

— No, to ja powiozę pana sędziego — odezwał się młody Ribot, ów przystojny młodzieniec, który spotkał był pana Boiscorana przy stawach. I chwyciwszy bat i lejce usiadł na koźle, podczas kiedy do powozu siadali prokurator, sędzia śledczy i pisarz Mechinet.

— A pamiętaj, oszczędzaj mi konia! — zawołał pan Seneschal.

— Niech się pan mer nie boi — odrzekł Ribot, ściągnąwszy silnie lejce — gdybym bił za mocno, pan Mechinet mnie powstrzyma.

Ten Mechinet, pisarz sędziego śledczego, był niemal potęgą w Sauveterre i najprzebieglejsi nawet mieli dla niego respekt.

Jego urzędowe czynności były nader skromne i niepopłatne, ale posiadał on sztukę łączenia z nimi w taki sposób, że trybunał nie miał nic przeciwko temu, mnóstwa innych zajęć, które niezmiernie podnosiły jego znaczenie, a dochody pomnażały sześciokrotnie.

Jako znakomity litograf wykonywał on wszystkie bilety wizytowe, jako biegły rachmistrz sprawdzał rachunki u wielu kupców. Udzielał też porad prawnych spierającym się wieśniakom i bardzo zręcznie redagował rozmaite dokumenty prywatne. Od dawna był kapelmistrzem straży ogniowej i dyrektorem towarzystwa muzycznego. Jako korespondent towarzystwa autorów dramatycznych, dla których odbierał tantiemy od sztuk przedstawianych w Sauveterre, miał wolny wstęp do teatru, nie tylko do sali dla widzów ale i za kulisy, wąskim i brudnym korytarzem, przeznaczonym jedynie dla artystów. Nareszcie, stosownie do żądania, dawał lekcje kaligrafii i języka francuskiego dziewczętom i uczył grać na flecie albo na trąbce młodych amatorów.

Tyle rozmaitych talentów przez długi czas jednały mu nieprzyjaźń innych Miejscowych urzędników, ale powszechnie uznana wyższość rozbroiła w końcu wszystkich nieprzyjaciół. I podobnie jak całe miasto i oni zwykle mawiali, gdy ich niespodzianie zaskoczył jaki wypadek:

— Chodźmy się poradzić Mechineta.

On pod pozorami wiecznie dobrego humoru krył pożerającą go ambicję zostania jedną z pierwszych figur w Sauveterre.

Był to zresztą kuty dyplomata, ten Mechinet. Całe miasto napełniał swoją ruchliwą osobą, wtrącał się do wszystkiego i do wszystkich, nie zrobiwszy sobie ani jednego jawnego nieprzyjaciela. Co prawda bano się go niezmiernie i miano respekt przed jego strasznym językiem, nie dlatego, żeby komuś zrobił coś złego, zanadto był mądry na to, ale dlatego, że mógłby złego narobić, jak sądzono.

Znał on na wylot wszystkie drobne tajemnice sauveterskie, wiedział

wszystkich intrygach, o wszystkich podłościach i szacherkach.

To zaś zawdzięczał temu, że jako kawaler mieszkał u swoich sióstr, panien Mechinot, które były pierwszymi krawcowymi w mieście, a prócz tego sławnymi dewotkami, należącymi do wszystkich religijnych kongregacji. Dzięki nim wiedział on wszystko, co się dzieje wśród samej śmietanki towarzystwa

dowiadywał się zawsze ostatnich plotek, których echo dochodziło go bądź to w drukarni, bądź w trybunale.

Zwykł był mawiać żartując:

— Jakżeż ja miałbym czegoś nie widzieć, ja, który mogę zasięgać wiadomości w kościele i w dzienniku, w trybunale i w teatrze.

Taki człowiek nie byłby sobą, gdyby nie wiedział wszystkiego, co tylko można było wiedzieć o przeszłości pana de Boiscorana.

Toteż jadąc powozem po wybornej drodze w prześliczny poranek czerwcowy, przebiegał myślą to, co nazywał stanem służby podejrzanego.

Pan de Boiscoran, imieniem Jakub, nie mieszkał stale w swojej posiadłości i rzadko w niej bawił dłużej niż miesiąc. Miejszem jego zamieszkania był Paryż, gdzie jego rodzina posiadała ładny pałac na ulicy Uniwersyteckiej. Miał on bowiem jeszcze rodziców.

Ojciec jego, margrabia de Boiscoran, właściciel znacznego majątku w ziemi, deputowany za Ludwika Filipa, reprezentant z r. 1848, wycofał się z życia publicznego od czasu drugiego cesarstwa i odtąd całą swoją energię i kapitały obrócił na zbiory rozmaitych artystycznych drobiazgów, w szczególności porcelan i fajansów, o których nawet napisał monografię.

Matka jego, z domu Chalusse, miała w swoim czasie reputację jednej z najpiękniejszych i najdowcipniejszych kobiet na dworze króla-obywatela. Nawet nie obeszło się bez plotek i złe języki utrzymywały, że między r. 1845 a 1856 była heroiną dosyć głośnej awantury, której bohaterem był pewien bałamut, który później został najpoważniejszym prawnikiem.

Z wiekiem margrabina de Boiscoran oddała się polityce, tak jak inne kobiety oddają się dewocji. I wtedy, kiedy mąż jej chełpił się tym, że od dziesięciu lat nie miał dziennika w ręku, ona ze swojego salonu zrobiła małe ognisko parlamentarne, które miało swoje wpływy.

Jakub de Boiscoran pomimo że miał jeszcze i ojca i matkę, posiadał jednak swój własny i to dosyć znaczny majątek: dwadzieścia, czy trzydzieści tysięcy franków rocznego dochodu. Ten majątek, który się składał z zamku Boiscoran, z należących doń folwarków, łąk i lasów, zapisał mu był jeden z jego stryjów, najstarszy brat ojca, który zmarł jako bezdietny wdowiec w 1868 roku. Jakub de Boiscoran miał wtedy dwadzieścia sześć, albo dwadzieścia siedem lat.

Był to brunet wysoki, silny, dobrze zbudowany; nie można go było nazwać pięknym, ale za to w twarzy malowała się szczerłość, wyczytać z niej można było rozum i tym też zjednywał sobie ludzi.

W Sauveterre jego charakter i usposobienie mniej znano niż jego osobę, Ci, co z nim mieli do czynienia, uważali go za człowieka zacnego, wspaniałomyślnego, za wielkiego zwolennika zabawy, za dowcipnego i wesołego tą szczerą wesołością, tak już dzisiaj rzadką.

Kiedy Prusacy wkroczyli na ziemię francuską, został mianowany kapitanem i dał się poznać tym, że nie umiał, tak jak inni dowódcy, unikać niebezpieczeństwa.

Dzielnie poprowadził w ogień swoich żołnierzy i tak się odznaczył, że generał Chanzy w nagrodę za otrzymaną ranę przypiął mu kawałek czerwonej wstążeczki.

— I taki człowiek popełniłby taką podłą zbrodnię! — rzekł pan Daubigeon do sędziego śledczego.

— Nie, to niepodobna, on w kilku słowach usunie tę straszną niepewność, która nas dręczy.

— I to niebawem — odezwał się Ribot — bo już dojeżdżamy.

W Saintonge, choć to okolica zamożna, mało jest jednak wielkich majątków, toteż nazwę zamku nadają tam nawet najędźniejszemu budynkowi, gdy tylko ma on spiczasty dach i na jego szczycie chorągiewkę.

Ale Boiscoran był rzeczywiście pięknym i prawdziwym zamkiem. Był to budynek z końca siedemnastego wieku, nie odznaczający się wielkim gustem, ale za to obronny jak forteca. Położenie jego było prześliczne. Pośród lasu i łąk, u stóp kwiatowego ogrodu, sączyła się po kamykach maleńka rzeczulka, która zapewne wiecznemu swojemu szmerowi zawdzięcza swoją nazwę Pibole, co znaczy srokę w miejscowym dialekcie.

Była siódma; kiedy powóz wiozący „sprawiedliwość” wtoczył się na dziedziniec zamku Boiscoran, dziedziniec szeroki, zasadzony topolami i otoczony budynkami gospodarskimi.

Zamek był już w ruchu.

Przed drzwiami swojego mieszkania kucharka szorowała rondle, w których Przed chwilą gotowała śniadanie, krzątały się dziewczęta, chłopak czyścił rasowego konia.

Przed wejściem stał kamerdyner pana de Boiscorana, pan Antoni i paląc cygaro doglądał wszystkiego. Był to człowiek pięćdziesięcioletni, ale jeszcze bardzo krzepki, dostał on się Jakubowi razem z majątkiem w spadku po wuju. Był żonaty, ale żona mu zmarła, za to jego córka służyła u pani margrabiny de Boiscoran.

Urodził się pośród tej rodziny, nigdy jej nie opuszczał, toteż uważał się niejako za jej członka i nie widział żadnej różnicy między swoimi własnymi interesami a interesami swoich panów. Uważano go rzeczywiście bardziej za przyjaciela aniżeli za sługę, toteż zdawało mu się, że wie doskonale o wszystkim, co tylko dotyczyło pana de Boiscorana.

Widząc, że z powozu wysiada sędzia śledczy i prokurator, rzucił cygaro, zbliżył się do nich i kłaniając się z uśmiechem zawołał:

— Ach, panowie, cóż to za przyjemna niespodzianka! Ależ to mój pan będzie kontent!

Z obcymi Antoni nie byłby sobie pozwolił na taką poufalość, bo był formalistą, ale widział już nieraz w zamku pana Daubigeona, a z drugiej strony wiedział, jakie projekty łączyły pana Galpin-Daveline'a z jego panem.

Toteż zdziwiła go ogromnie sztywność i jakieś zmieszanie tych panów oraz ton, jakim się go zapytał sędzia śledczy:

— Czy pan de Boiscoran już wstał?

— Jeszcze nie — odrzekł — a nawet mi zapowiedział, żeby go nie budzić. Dostyc późno wrócił, więc chciał rano dłużej pospać.

Sędzia śledczy i prokurator mimo woli odwrócili głowy, bali się spojrzeć na siebie.

— Ach, pan de Boiscoran późno wrócił do domu — powtórzył pan Galpin-Daveline.

— Koło północy, może nawet trochę po północy.

— A wyszedł?

— Koło ósmej.

— Jak był ubrany?

— Jak zwykle. Miał jasne popielate spodnie ze strzyżonego aksamitu, aksamitną brązową kurtkę i duży słomiany kapelusz.

— Czy miał ze sobą strzelbę?

— Miał, proszę pana.

— Czy wiesz, gdzie pan chodził?

Jedynie uszanowanie, jakim przejęty był Antoni dla gości swego pana, mogło go skłonić do odpowiadania na to badanie, które uważał za zupełnie niestosowne. Ale zdawało mu się, że to ostatnie pytanie przechodzi już wszelkie granice. Urażony tym, odpowiedział niechętnie:

— Nie mam zwyczaju pytać się pana, gdzie idzie wychodząc, ani skąd przychodzi.

Pan Daubigeon zrozumiał, jakie szlachetne uczucie powoduje starym sługą. Toteż odezwał się pojednawczym tonem:

— Nie myśl, mój przyjacielu, żebyśmy się dla próżnej ciekawości pytali o to wszystko. Odpowiadaj, proszę. Twoja szczerłość może oddać twemu panu daleko większą przysługę, aniżeli myślisz.

Antoni z ogromnym zdziwieniem spoglądał to na sędziego śledczego, to na prokuratora, to na Mechineta i Ribota, który zsiadłszy z kozła, zdjął z konia munsztuk i przywiązywał go do drzewa.

— Przysięgam panom, że nie wiem, gdzie pan de Boiscoran spędził wieczór.

— Nawet się tego nie możesz domyślić?

— Nie.

— Może był w Brechy u kogoś z przyjaciół?

— Kiedy nie ma znajomych w Brechy.

— Cóż robił wróciwszy?

Pocziwy sługa widocznie się zaczął niepokoić.

— Aha, przypominam sobie! — odrzekł. — Pan wróciwszy, poszedł wprost do swego pokoju i tam zabawił ze cztery albo z pięć minut. Później jednak zszedł znowu na dół, zjadł kawałek pasztetu i wypił kieliszek wina. Potem zapalił papierosa, a mnie kazał iść spać, mówiąc, że się jeszcze chce trochę przejść i że się sam rozbierze.

— I ty poszedłeś spać?

— Naturalnie.

— Więc tym sposobem nie możesz wiedzieć, co twój pan robił?

— Owszem, słyszałem, jak otwierał drzwi od ogrodu.

— Czy nic w nim nie spostrzegłeś nadzwyczajnego?

— Nic... był taki jak zwykle, trochę tylko może weselszy, śpiewał sobie.

— Czy nie mógłbyś mi pokazać strzelby, którą miał ze sobą?

— Nie mogę, pan ją musiał zabrać do swojego pokoju.

Pan Daubigeon chciał coś rzec, ale mu przeszkodził sędzia śledczy.

— Jak dawno pan de Boiscoran widział się z panem de Claudieusem?

Antoni drgnął, jak gdyby tknięty jakimś przecuciem.

— Bardzo dawno — odrzekł — tak mi się przynajmniej zdaje.

— Musisz zapewne wiedzieć o tym, że ci panowie bardzo źle są ze sobą?

— Och!

— Mieli ze sobą nieraz gwałtowne sprzeczki.

— Małe nieporozumienia co najwyżej. Jakżeby się mogli nienawidzić, nie bywając nawet u siebie? Zresztą ze dwadzieścia razy słyszałem, jak pan mówił, że hrabiego de Claudieuse'a uważa za najlepszego i najzacniejszego człowieka i że go bardzo szanuje.

Pan Galpin-Daveline zamilkł na chwilę, myśląc nad tym, czy nie zapomniał zapytać się jeszcze o coś. Nareszcie rzekł:

— Jak daleko stąd do Valpinson?

— Sześć kilometrów — odpowiedział Antoni.

— Gdyby cię posłano do pana Claudieuse'a, to którądy byś do niego szedł?

— Gościńcem przez Brechy.

— Nie szedłbyś przez bagna?

— Nie proszę pana.

— A dlaczego?

— Bo Seille wylała i w rowach pełno wody.

— A czy idąc lasem nie byłoby bliżej?

— Droga trochę krótsza, ale nią trzeba iść jeszcze dłużej, nie ma tam ubitej ścieżki, wszystko zarosło krzakami.

Prokurator z widoczną boleścią słuchał tego wszystkiego. Odpowiedzi Antoniego brały coraz gorszy obrót.

— A teraz, powiedz mi, mój kochany — ciągnął dalej sędzia śledczy — czy z dziedzińca Valpinson widać byłoby ogień, gdyby się tak na przykład paliło w Boiscoran?

— Zdaje mi się, że nie, zasłonięci jesteśmy lasem i wzgórkami.

— Czy tu słyhać dzwony z Brechy?

— Jeśli mamy wiatr od północy, to słyhać.

— A jakież był wiatr wczoraj wieczór i dziś w nocy?

— Zachodni, jak zwykle podczas burzy.

— To wy tym sposobem nic nie wiecie, nie słyszeliście o... strasznym wypadku.

— O wypadku? Nie rozumiem pana.

Cała ta rozmowa odbywała się na dziedzińcu i właśnie kiedy sędzia śledczy domawiał ostatnie słowa, ukazało się dwóch żandarmów na koniach, którym pan Galpin-Daveline, z nim jeszcze wyruszył z Valpinson, kazał przyjechać do Boiscoran.

Stary Antoni spostrzegłszy ich krzyknął:

— Boże wielki! Co to wszystko znaczy? Lecę obudzić pana!

Sędzia go zatrzymał.

— Ani się rusz z miejsca — rzekł surowo — ani słówka!

I pokazując żandarmom, którzy zsiadli z koni, Ribota, dodał:

— Pilnujcie mi tego chłopaka, żeby z nikim nie rozmawiał.

Po czym zwracając się do Antoniego, rzekł:

— A teraz prowadź nas do pokoju pana de Boiscorana.

Pomimo że zamek de Boiscoran wyglądał z zewnątrz na jakąś siedzibę feudalną, właściwie był tylko mieszkaniem kawalerskim, nawet trochę zaniedbanym.

Z kilkudziesięciu czy stu komnat, z których zamek ten się składał, zaledwie osiem czy dziesięć było umeblowanych i to bardzo skromnie. Salon, pokój jadalny, kilka pokoi gościnnych, oto wszystko[^]czego potrzebował pan de Boiscoran w czasie swego pobytu w zamku.

Sam zaś zajmował maleńki apartamencik na pierwszym piętrze, z którego drzwi wychodziły do sieni prowadzącej na główne schody.

Przed tymi drzwiami stanęli sędzia śledczy, prokurator i pisarz Mechinet prowadzeni przez Antoniego.

— Zapukaj — rzekł staremu słudze rozkazującym tonem pan Galpin-Daveline.

Antoni usłuchał, zaraz też odezwano się z pokoju.

— Kto tam? — zawołał głos silny i młody.

— To ja, proszę pana — odpowiedział wierny sługa — chciałbym...

— Idź do diabła! — odpowiedział głos.

— Ale, kiedy proszę pana...

— Dajże mi się wyspać, dopiero nad ranem zasnąłem.

Sędzia zniecierpliwiony odsunął na bok służącego i próbował otworzyć drzwi; pokój był od wewnątrz zamknięty.

Ale prędko namyślił się, co ma zrobić.

— To ja, panie de Boiscoran — rzekł — otwórz pan.

— O, to mój kochany Daveline — zawołał Jakub wesoło.

— Muszę z panem pomówić.

— Ależ jestem na twoje usługi, prześwietny urzędzie! Chwilkę tylko, żebyśmy spodniami mógł okryć moje apollińskie kształty, a zaraz się ukażę.

I rzeczywiście niemal w tej chwili drzwi się otwały, a w nich stanął pan de Boiscoran z rozmierzwionymi włosami, z zaspanymi oczyma, ale kwitnący zdrowiem i młodością, z uśmiechem na ustach i z ręką wyciągniętą do uścisku.

— Ależ to doprawdy — rzekł — pyszna ci myśl przyszła do głowy, by przyjechać do mnie na śniadanie.

A kłaniając się panu Daubigeonowi dodał:

— Nie mówiąc już o tym, jak ci jestem wdzięczny, żeś namówił i przywiózł ze sobą naszego kochanego prokuratora. Toż to zupełnie, jak gdybyście zjechali na śledztwo!

Ale dalsze wyrazy zamarły mu na ustach, kiedy spostrzegł wyraz twarzy Pana Daubigeona i ujrzał, że pan Galpin-Daveline odsuwa się od niego, zamiast mu podać rękę.

— Ach — zawołał — cóż to znowu, mój drogi?

Sędzia śledczy jeszcze nigdy nie był tak sztywny.

— Musimy zapomnieć o tym, że nas łączyły jakiekolwiek stosunki — odrzekł. — Nie przyjaciel, ale sędzia w tej chwili stoi przed panem.

Pan de Boiscoran zdawał się być tym trochę zmieszany, ale ani cień niepokoju nie przemknął po jego otwartej i szlachetnej twarzy.

— Niech mnie diabli wezmą — zaczął — jeśli coś z tego wszystkiego rozumiem.

— Wejdźmy — rzekł sędzia.

Weszli, a kiedy przestępowali próg, Mechinet szepnął do ucha pana Daubigeona:

— Ten człowiek z pewnością jest niewinny. Winowajca nie byłby nas nigdy tak przyjął.

— Milcz pan! — odrzekł surowo prokurator, chociaż sam przychylił się do zdania pisarza. I smutny a poważny, usiadł pod oknem.

Pan Galpin-Daveline stał na środku pokoju i jednym rzutem oka starał się objąć i zapamiętać nawet najdrobniejsze szczegóły.

Nieład okropny w pokoju wskazywał, z jakim pośpiechem pan de Boiscoran musiał się wczoraj kłaść spać. Suknie, buty, koszula, kamizelka, surdut i kapelusz słomiany, wszystko to leżało porozrzucane po ziemi i po stołach. Na sobie miał jasne popielate spodnie, to samo, które poznali i opisywali kolejno Cocaleu, Ribot, Gaudry i pani Courtois.

— A teraz — zaczął pan de Boiscoran tym tonem niezadowolenia człowieka, który sam siebie zapytuje, czy przypadkiem nie drwią sobie z niego — racz mi pan wytłumaczyć, czemu mam zawdzięczać tak wczesną wizytę, skoro już nie jesteś moim przyjacielem?

Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy pana Galpin-Daveline'a. I jak gdyby pytanie zwrócone było zupełnie do kogoś innego, rzekł zimno:

— Pokaż mi pan ręce.

Pan de Boiscoran poczerwieniał, oczy mu zapłonęły dziwnym blaskiem.

— Jeśli to żart — zawołał — to zdaje mi się, że już za długo!

Widocznie tracił cierpliwość. Toteż pan Daubigeon uznał za stosowne odezwać się wreszcie.

— Niestety, łaskawy panie — rzekł — to zupełnie na serio. Zrób pan to, czego od pana żąda pan sędzia śledczy.

Pan de Boiscoran wodził naokoło wzrokiem coraz bardziej zdziwionym.

We drzwiach stał Antoni, stary sługa; na jego twarzy malowała się rozpacz. Koło kominika Mechinet przysunął stół i usiadł rozłożywszy papier, pióro i kałamarz rogowy.

Wtedy pan de Boiscoran wzruszywszy ramionami na znak, że nic z tego wszystkiego nie rozumie, pokazał ręce.

Białe były i czyste. Paznokcie były starannie oczyszczone.

— Kiedyś się pan mył ostatni raz? — zapytał go pan Galpin-Daveline, starannie wprzód obejrzawszy ręce.

Pan de Boiscoran na pytanie wesoło się roześmiał.

— Ależ o małym się nie złapał. Już miałem się rozgniewać. Boście mi też strachu napędzili.

— I miałeś się pan czego bać — rzekł pan Galpin-Daveline — bo straszne oskarżenie ciąży na panu. I od pańskiej odpowiedzi na pytanie, które zadaje, a które pan uważa za śmieszne, zależy pański honor i wolność.

Tym razem nie można się było pomylić. Pana de Boiscorana ogarnął ten przestach, którym śledztwo sądowe przejmuje najzacniejszych i najpewniejszych siebie ludzi.

Zbladł i zmieszonym głosem zawołał:

— Jak to? Jestem oskarżony! I to pan, panie Galpin~Daveline, przychodzisz mnie badać?

— Jestem urzędnikiem, mój panie!

— Aleś pan był również moim przyjacielem. Gdyby ktoś był przede mną ośmielił się oskarżyć pana o zbrodnię, o jakiś podły czyn, byłbym pana bronił z całych sił, bez namysłu, bez żadnej wstecznej myśli. Byłbym pana bronił dopóty, dopóki by mi nie dowiedziono czarno na białym pańskiej zbrodni. A i wtedy jeszcze, gdyby mnie przekonano, że pan jesteś winowajcą, byłbym pana żałował. Tymczasem pan... Nie wiem, o co jestem oskarżony, naturalnie fałszywie, a pan zaraz uwierzyłeś w to nieprawdopodobne oskarżenie i zgodziłeś się na to, żeby być moim sędzią. A więc dobrze! Myłem sobie ręce wczoraj wieczór, kiedym wrócił do domu.

Nie bez racji pan Galpin-Daveline chwalił się zimną krwią i władzą, jaką miał nad sobą. Nawet się nie zmarszczył na te ostre wyrzuty i tym samym tonem zapytał się:

— Cóż się stało z wodą, w której się pan myłeś?

— Musi stać jeszcze w moim gabinecie.

Sędzia pobiegł do gabinetu.

Na marmurowym stoliku stała porcelanowa miednica napełniona wodą. Woda ta była czarna i brudna. Na spodzie łatwo można było dostrzec osad węglowy. Na powierzchni wody, pomieszane z pianą mydlaną, pływały kawałeczki spalonego papieru, wprawdzie bardzo maleńkie, ale zawsze takie, że je było można rozpoznać.

Sędzia z nadzwyczajną ostrożnością przyniósł i postawił miednicę na stole, na którym pisał Mechinet, a pokazując ją panu de Boiscoranowi zapytał:

— Czy w tej wodzie myłeś sobie pan ręce powróciwszy do domu?

— W tej — odpowiedział pan de Boiscoran niedbale.

— Więc pan miałeś do czynienia z węglem, z materiałami palnymi?

— A przecież pan widzisz.

Prokurator i Mechinot, którzy siedzieli naprzeciwko siebie, spojrzeli po sobie.

Doznali tego samego wrażenia.

Jeśli pan de Boiscoran był winny, to był człowiekiem nadzwyczajnej śmiałości i energii, i postępował według planu naprzód obmyślanego, gdyż jego odpowiedzi, będąc kompromiujące, same go potępiały.

Sam sędzia śledczy zdawał się być tym nadzwyczajnie zdziwiony. Ale tylko na chwilę. Zwracając się do swego pisarza, rzekł:

— Pisz pan!

I podyktował mu protokół z całej tej sceny z najmniejszymi szczegółami, często się nawet poprawiając, żeby dobrać trafne wyrażenia i wygładzić styl.

— Wróćmy do rzeczy — odezwał się do pana Boiscorana, kiedy skończył. — Pan nie był w domu wczoraj wieczór?

— Tak, panie.

— Wyszedłeś o ósmej godzinie, wróciłeś dopiero około północy.

— Po północy.

— Miałeś pan ze sobą strzelbę?

— Tak.

— Gdzież ona jest?

Pan de Boiscoran niedbale wskazał na strzelbę stojącą w rogu kominka i rzekł:

— Oł, tam!

Pan Galpin-Daveline pochwycił żywo za broń.

Była to broń wykwińska, dubeltówka misternej roboty. Na kolbie wyryte było nazwisko fabrykanta: „Klebb”.

— Kiedyś pan ostatni raz strzelał? — zapytał.

— Przed czterema czy pięcioma dniami.

— Z jakiego powodu?

— Strzelałem do królików, które mi niszczą lasy.

Pan Galpin-Daveline z nadzwyczajną uwagą badał i odvodził zamki tej broni, której mechanizm zbliżony był do systemu remingtona. Niebawem przekonał się, że broń była nabita. W każdej lufie był nabój w ołowianym kartuszu. Potem postawił broń na swoim miejscu, a wyjąwszy z kieszeni metalową rurkę znaną przez Pitarda, pokazał ją panu de Boiscoranowi pytając go:

— Czy pan to poznaje?

— Doskonale! — odrzekł pan de Boiscoran. — To kartusz z mojego naboju, który zapewne wyrzuciłem po strzale.

— Myślisz pan, że sam jeden w okolicy masz broń tego systemu?

— Nie tylko myślę, ale jestem tego pewny.

— To tym sposobem ładunek Klebba, ot, ten na przykład, gdziekolwiek byłby znaleziony, dowodziłby bytności pana tamże?

— Niekoniecznie. Widziałem parę razy, jak dzieci zbierały ładunki, które ja wyrzuciłem i bawiły się nimi.

Sekretarz Mechinet wodząc piórem po papierze robił rozmaite miny, bardzo wyraziste.

Zanadto był obeznany z procedurą kryminalną, żeby się miał nie poznać na taktyce pana Galpin-Daveline'a, taktyce bardzo niebezpiecznej i podstępnej, która polega na obejściu oskarżonego, zanim się nań uderzy z przodu.

— Bierze go w matnię — szepnął do ucha panu Daubigeonowi.

Sędzia usiadł na krześle.

— A teraz — rzekł — racz mi pan powiedzieć, coś pan robił wczoraj od godziny ósmej wieczorem aż do północy. Nie śpiesz się pan, namyśl się, zastanów nad tym; pańska odpowiedź będzie miała wpływ stanowczy...

Pan de Boiscoran dotąd był spokojny, ale tym zatrwającym spokojem, który zdradza straszną burzę wewnętrzną, gwałtownie hamowaną. Ostrzeżenie sędziego, a bardziej jeszcze ton, którym do niego przemawiał, oburzyły go jako podła hipokryzja i nie mogąc się dłużej powstrzymać, z błyszczącym wzrokiem zawołał:

— Koniec końców, czego pan chcesz ode mnie, o co jestem oskarżony?

Pan Galpin-Daveline ani drgnął.

— Dowiesz się pan o tym w stosownej chwili — odrzekł. — Odpowiadaj pan i wierz mi, że mówię to w pańskim interesie, odpowiadaj szczerze. Coś pan robił wczoraj wieczór?

— Ech! Czy ja wiem! Spacerowałem sobie.

— Ależ to nie jest odpowiedź.

— A jednak to prawda. Wyszedłem bez celu i tak sobie błądziłem.

— Ze strzelbą na ramieniu.

— Zawsze biorę ze sobą strzelbę, mój służący może to poświadczyć.

— Nie przechodziłeś pan przez bagna Seilli?

— Nie.

Sędzia śledczy pokiwał głową.

— Nie mówisz pan prawdy — rzekł.

— Panie...

— Pańskie buty, które tam oto leżą, zaprzeczają pańskim słowom. Skądże się wzięło na nich błoto?

— Łąki naokoło Boiscoran są bardzo mokre.

— Nie wypieraj się pan. Widziano pana.

— A jednak.

— Spotkał pana młody Ribot wtedy, kiedyś pan przechodził koło stawów.

Pan de Boiscoran nic na to nie odpowiedział.

— Gdzieś pan szedł? — nalegał sędzia śledczy.

Pierwszy raz prawdziwy niepokój odmalował się na twarzy pana de Boiscorana, niepokój człowieka, który nagle ujrzał pod nogami przepaść, której się nie spodziewał.

Zawahał się na chwilę, ale przekonawszy się, że wypierać się byłoby daremnie, odrzekł:

— Szedłem do Brechy.

— Do kogo?

— Do handlarza drzewa, któremu sprzedałem porębę w 1870 r. Nie zastawszy go w domu, wróciłem gościńcem.

Pan Galpin-Daveline nie pozwolił mu dokończyć.

— Nieprawda — odrzekł ostrym tonem.

— Och!

— Pan nie byłeś w Brechy.

— Pozwolisz pan...

— A najlepszy na to dowód, żeś pan koło jedenastej godziny spiesznym krokiem szedł przez las Rochepommier.

— Ja!

— Pan, i nie zaprzeczaj temu, bo pańskie spodnie są jeszcze całe najeżone kolcami ostów, przez które się przedzierałeś.

— Przecież są osty i gdzie indziej, nie tylko w Rochepommier.

— Prawda, ale pana tam widziano.

— Kto mnie widział?

— Gaudry, przemysłnik leśny, a nawet tak pana dobrze widział, że mógł nam powiedzieć, w jakim pan byłeś humorze. Pomieszany pan byłeś i rozgniewany bardzo, głośno mówiłeś, kłąłeś i obrywał liście z gałęzi.

Mówiąc to sędzia śledczy wstał i wziął z krzesła żakiet pana de Boiscorana, zrewidował kieszenie i znalazł w nich garstkę zwiędłych liści.

— I oto masz pan dowód, że Gaudry powiedział prawdę.

— Przecież liście są wszędzie — szepnął pan de Boiscoran.

— Tak, ale jedna kobieta, niejaka Courtois, widziała, jak pan wychodził z lasu Rochepommier. Pomogłeś jej pan włożyć na osła worek, którego sama nie mogła podźwignąć. Czy się pan wyprzesz tego? Nie. I masz pan rację, bo patrz pan, tutaj na rękawie i na jednej pole surduta widzę biały proszek, który niezawodnie jest mąką. — Pan de Boiscoran pochylił głowę.

— Przyznaj się pan zatem, żeś wczoraj wieczór między dziewiątą a jedenastą godziną był w Valpinson.

— Nie panie, tak nie było.

— A jednak to w Valpinson niedaleko ruin dawnego zamku znaleziono ładunek Klebba, który panu pokazałem.

— Ech — przerwał pan de Boiscoran — przecież panu już powiedziałem, że najmniej dwadzieścia razy widział, jak dzieci zbierały i bawiły się tymi metalowymi kartuszkami. Gdybym był w Valpinson — dodał — dlaczegoż bym się tego miał wypierać?

Pan Galpin-Daveline powstał i tonem uroczystym rzekł:

— Ja panu powiem dlaczego. Wczoraj wieczór między dziewiątą a jedenastą godziną podłożono ogień pod Valpinson, z którego zostały tylko zgliszcza.

— Och!

— Wczoraj wieczór dwa razy strzelano do hrabiego de Claudieuse'a.

— Wielki Boże!

— A sąd myśli i ma wiele powodów mniemać, że podpalaczem i mordercą jesteś pan, Jakubie de Boiscoran.

Blady jak gdyby wszystka krew z twarzy zbiegła mu do serca, Jakub powiódł dokoła błędnym wzrokiem.

Spotkał same tylko twarze zasepione i smutne.

Antoni, stary sługa, nie mogąc ustać na nogach, opierał się o drzwi. Sekretarz Mechinet siedział z piórem zatkniętym za ucho i otwartymi z osłupienia ustami.

Pan Daubigeon pochylił głowę.

— To okropność — szepnął — okropność!

I osunął się na krzesło, tłumiąc łkanie, które mu rozrywało pierś.

Tylko na panu Galpin-Daveline nie było znać wzruszenia. Prawo, którego on się czuł przedstawicielem, nie doznaje wzruszeń. Nawet po jego wąskich ustach prześliznął się uśmiech, zimny uśmiech człowieka ambitnego, zadowolonego z dobrze odegranej roli.

Wszak miał na to dowody, że Jakub de Boiscoran był występny i że mając do wyboru między przyjaźnią i sposobnością odznaczenia się, zrezygnował z drugiego.

Po chwili milczenia, która się wydawała wiekiem, powstał i z założonymi rękami stanął przed obwinionym.

— Cóż, przyznajesz się pan? — zapytał go.

Jak gdyby poruszony niewidzialną sprężyną pan de Boiscoran wyprostował się.

— Jak to? — rzekł. — Do czegoż ja się mam przyznać?

— Że jesteś sprawcą zbrodni w Valpinson.

Nieszczęśliwy młody człowiek konwulsyjnie przycisnął czoło rękami.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał. — Ja sprawcą zbrodni tak strasznej i podłej! Choćbym się przyznał do tego, zaręczam, żebyście mi nie chcieli wierzyć, pan sam byś mi nie wierzył!

Prędzej byłby wzruszył marmurowy kominek aniżeli pana Galpin-Daveline'a.

— Nie o mnie tu idzie — odrzekł chłodno. — Na cóż mamy tu mówić o stosunkach, o których musimy zapomnieć. Tutaj nie przyjaciel, nawet nie człowiek do pana przemawia, ale sędzia. Widziano pana.

— Kim jest ten nędznik, który mnie widział?

— Cocoleu.

Pan de Boiscoran osłupiał z zadziwienia.

— Cocoleu — odparł — ten idiota epileptyk, którego hrabina de Claudieuse przyjęła do siebie z miłosierdzia!

— Tak jest, on.

— I dosyć było gadaniny nieszczęśliwego chłopaka, dotkniętego idiotyzmem, żeby mnie posądzić? Mnie, o podpalenie, o morderstwo!

Sędzia śledczy był coraz bardziej oficjalny.

— Wiedz pan o tym, że ten biedny Cocoleu, przynajmniej przez godzinę był zupełnie przytomny. Wyroki Opatrzności są niezbadane.

— Ależ, panie!

— Cóż tedy powiedział ten Cocolu? Że pana widział podpalającego własnymi rękami, a potem że schował się pan za sągi i strzelił stamtąd dwa razy do hrabiego de Claudieuse'a.

— I to panu wydawało się zupełnie prawdziwe!

— Nie. Byłem oburzony tak jak wszyscy. Nie chciałem temu wierzyć. Aż oto w chwili później znajduję na miejscu zbrodni rurkę nabożową, która może należeć tylko do pana. Dodam do tego, że przyszedłem tutaj niespodzianie, znajduję wodę, w której pan mył rękę powróciwszy do domu, zaczernioną sadzą i resztkami spalonego papieru.

— Tak — szepnął pan de Boiscoran — to fatalne...

— Na tym jeszcze nie koniec — odparł sędzia, coraz bardziej podnosząc głos. — Ja zapytuję pana, czy pan zeznajesz, żeś był poza domem wczoraj od ósmej do północy, zapytuję pana, coś pan robił przez te cztery godziny, a pan mi na to nie chcesz odpowiedzieć. Nalegam, a pan odpowiadasz fałszywie. I otóż, żeby pana przekonać, zmuszony jestem przedstawić panu świadectwo Ribota, Gaudry'ego i pani Courtois, którzy poznali pana tam, gdzie pan usiłujesz dowieść, żeś nie był. Już ta ostatnia okoliczność zupełnie pana potępia. Cóż pan takiego robił w ostatni wieczór, skoro nam pan tego nie chcesz powiedzieć! Powiadasz pan, że jesteś niewinny. Pomóżże mi zatem przekonać się o tej niewinności. Mówże pan. Coś robił od ósmej wieczorem aż do północy?

Pan de Boiscoran nie miał czasu odpowiedzieć.

Od chwili już z dziedzińca dochodziły jakieś przytłumione krzyki i zgiełk rozjuszonego tłumu.

Do pokoju wszedł przerażony żandarm.

— Panowie — rzekł zwracając się do sędziego śledczego i do prokuratora — na dziedzińcu zeszło się ze stu wieśniaków, mężczyzn i kobiet, którzy chcą wyrządzić coś złego panu de Boiscoranowi, chcą, żeby im go wydać w ręce, aby go zawlekli do rzeki. Kilku mężczyzn uzbroiło się w widły, ale najbardziej rozwścieczone są kobiety. Ja i mój kolega nie możemy im dać rady.

I rzeczywiście, jak gdyby na potwierdzenie jego słów, krzyk dawał się słyszeć coraz głośniej i bliżej, tak że doskonale można było rozróżnić słowa:

— Do rzeki z Boiscoranem! Do wody z podpalaczem!

Prokurator powstał.

— Idź i powiedz tym ludziom — rzekł — że sąd bada oskarżonego, że mu w tym przeszkadzają i że jeżeli się nie uciszą, to będą mieli do czynienia ze mną.

Żandarm spełnił rozkaz.

Pan de Boiscoran zbladł jak ściana.

— I wszyscy ci ludzie wierzą w to, że ja jestem winowajcą — szepnął.

— Tak jest — odpowiedział pan Galpin-Daveline — i nie dziwiłbyś się pan ich oburzeniu, gdybyś pan wiedział o strasznym rezultacie wypadków dzisiejszej nocy.

— Cóż jeszcze takiego?

— Dwóch strażaków z Sauveterre, z których jeden był ojcem pięciorga drobnych dzieci, zginęło w ogniu. Dwóch ludzi, jeden dzierżawca z Brechy a drugi żandarm, niosąc im pomoc, tak się popiekli w płomieniach, że jest obawa o ich życie.

Pan de Boiscoran milczał.

— I to pana oskarżają o tyle nieszczęść. Widzisz pan zatem, jak ważną rzeczą jest, żebyś się usprawiedliwił.

— Ach! Gdybym mógł!

— Jeśli pan jesteś niewinny, to możesz. Niech mi pan powie, coś pan robił w ten wieczór?

— Powiedziałem panu wszystko, co tylko mogłem powiedzieć.

Sędzia śledczy zamyślił się na chwilę, po czym rzekł:

— Strzeż się pan, panie de Boiscoran, zmuszony będę aresztować pana.

— Rób pan, co mu się podoba.

— I oddać pana do więzienia w Sauveterre.

— Niech i tak będzie.

— Więc się pan przyznajesz nareszcie?

— Przyznaję, że jestem ofiarą dziwnego zbiegu okoliczności. Przyznaję, że pan masz rację i że trzeba wierzyć w Opatrzność, żeby sobie wytłumaczyć pewne fatalności. Lecz na wszystko, co może być święte na świecie, przysięgam, że jestem niewinny.

— Dowiedz pan tego.

— Powiedziałem już, że zrobiłbym to, gdybym mógł.

— Zechciej więc pan ubierać się i przygotować do drogi pod strażą żandarmów.

Nie odpowiedziawszy ani słowa pan de Boiscoran przeszedł do swego gabinetu a za nim służący niosąc mu ubranie.

Zajęty dyktowaniem sekretarzowi ostatniej części protokołu, pan Galpin-Daveline zdawał się zapominać o swoim obwinionym.

Stary Antoni skorzystał z chwili.

— Panie — szepnął do ucha swojemu panu, pomagając mu ubierać się.

— Co takiego?

— Pst!... Ciszej! Okno od gabinetu jest otwarte. Nie ma więcej jak dziesięć łokci od ziemi, a ziemia miękka... Niedaleko jest okienko od piwnicy, a w głębi skrytka^ którą pan znasz. Do morza nie dalej jak pięć mil, będę czekał w nocy z dobrym koniem przy wejściu do parku.

Gorzki uśmiech przebiegł po ustach pana de Boiscorana.

— I ty także — rzekł — ty, mój stary przyjacielu, masz mnie za zbrodniarza!

— Zaklinam pana — odparł Antoni — ręczę za wszystko, dziesięć łokci tylko. Na pamięć pańskiej matki!

Ale zamiast odpowiedzieć mu, Jakub de Boiscoran odwrócił się i skinął na sędziego.

A gdy pan Galpin-Daveline zbliżył się, rzekł:

— Przypatrz się pan temu oknu; mam pieniądze, dobre konie i tylko pięć mil do morza. Zbrodniarz uciekłby panu... ja jestem niewinny i zostaję.

Pod jednym przynajmniej względem pan de Boiscoran miał zupełną rację, nic dlań nie było łatwiejszego jak umknąć.

Lecz co potem?

Miał on niezaprzeczenie wiele szans na uwolnienie się od poszukiwań. Lecz tysiąc razy prawdopodobniej sze było, że zostanie odkryty, bądź to w samej kryjówce, bądź dognany w drodze. Oczywiście, usiłowanie ucieczki poczytano by za najzupełniej sze przyznanie się.

W tych warunkach oprzeć się pokusie ucieczki i umieć dać to poznać, że się jej oparło i że się dobrowolnie niejako oddaje w ręce sprawiedliwości, dowodziło nie tyle niewinności co rzadkiego sprytu.

Oto, co jednym rzutem oka spostrzegł pan Galpin-Daveline, a przynajmniej zdawało mu się, że spostrzegł. Po sobie sądzi się innych.

I z tym przejmującym chłodem człowieka, który chce dowieść, że się nie da wyprowadzić w pole, rzekł:

— Dosyć tego, panie. Ta okoliczność, jak i wszystkie inne, będzie zamieszczona w protokole. — Zupełnie inne były myśli prokuratora i pisarza Mechineta.

Sędzia śledczy zanadto był uprzedzony, żeby się mógł czegokolwiek dopatrzeć, ale oni za to bardzo dobrze uważali, jak dziwnych i różnych wzruszeń doznawał obwiniony.

Najprzód był zdumiony do tego stopnia, iż uważał to wszystko za niesmaczny żart, później jego zachowanie zdradzało gwałtowny gniew, następnie obawę, na koniec zupełne przygnębienie. Lecz w miarę, jak się gromadziły poszlaki, coraz to bardziej potępiające, im bardziej zacieśniało się oskarżenie, on zamiast coraz bardziej upadać na duchu, zdawał się przeciwnie odzyskiwać pewność siebie.

— To jednak rzecz szczególna — mruknął Mechineta.

Pan Daubigeon nie rzekł ani słowa. Lecz gdy pan de Boiscoran wyszedł ze swego gabinetu ubrany i gotów, zwrócił się do niego:

— Niech pan postara się zrozumieć. Zdawałeś się pan zdumiony i oburzony, że śmiano pana posądzić. Nie miałeś pan racji. Sprawiedliwość, jako instytucja ludzka, może sądzić tylko z pozorów. Zastanów się pan, a uznasz, że wszystkie pozory są przeciw tobie.

— Niestety, widzę to aż nadto dobrze.

— Gdybyś pan był przysięgłym, nie wahałbyś się pan potępić obwinionego, który by się znajdował w tym samym, co pan, położeniu.

— Przepraszam pana, bynajmniej!

Prokurator aż podskoczył na krześle.

— Nie jesteś pan szczery — rzekł.

Pan de Boiscoran smutnie pokręcił głową.

— Wprawdzie bez nadziei przekonania pana — odparł — ale z całą szczerością mówię panu to, co słyszysz. Nie, nie potępiłbym człowieka, o którym pan mówisz, gdyby on twierdził, że jest niewinny i gdybym nie widział jasno pobudek, które by go do tego mogły skłonić. Bo trzeba chyba być szalonym, żeby popełnić zbrodnię jedynie dlatego, żeby ją popełnić. Otóż ja pytam się pana, ja, do którego los się uśmiechnął, ja, który jestem bliski małżeństwa tak gorąco upragnionego, dlaczego, w jakim celu, w jakim zamiarze miałbym podpalać Valpinson i usiłować zabić hrabiego de Olaudieuse'a?

Ze źle tajoną niecierpliwością pan Galpin-Daveline patrzył na wmieszanie się pana Daubigeona.

Korzystając więc z okazji przerwał mu:

— Pobudką do tego czynu była pana nienawiść. Nienawidzisz pan śmiertelnie hrabiego i hrabinę. Nie zaprzeczaj pan, wszyscy o tym wiedzą, pan mi to sam mówiłeś!

Jakub de Boiscoran zbladł jeszcze bardziej i tonem najwyższej pogardy zawołał:

— Gdyby nawet tak było, nie wiem, jakim prawem mógłbyś pan nadużywać zwierzeń przyjacielskich, pan, który mówiłeś wchodząc tutaj, że przyjaźń między nami się skończyła. Lecz tak nie jest. Nigdy panu nic podobnego nie powiedziałem, a ponieważ moje uczucia się nie zmieniły, mogę powtórzyć moje słowa. Powiedziałem panu, że pan de Claudieuse jest nieznośnym sąsiadem, upartym co do swoich praw i zazdrosnym o swoją zwierzynę aż do śmieszności. Dodałem, że gdy on moje przekonania polityczne nazywał zgubnymi, ja uważałem jego przekonania za niedorzeczne i niebezpieczne. Co do hrabiny, powiedziałem panu po prostu żartem, że osoba tak doskonała nie byłaby w moim guście i że byłbym bardzo niešťliwy mając za żonę jakiś rodzaj madonny, która spędza życie nie racząc prawie dotknąć ziemi końcem swojej szaty.

— Więc to jedynie dlatego pewnego dnia wymierzyłeś pan ze strzelby do hrabiego de Claudieuse'a? Mało brakowało, a zbrodnia byłaby spełniona już wtedy.

Gwałtowny gest zdradził gniew pana de Boiscorana, lecz zapanował nad sobą.

— Moje zagniewanie nie było tak wielkie, jak się zdawało. Mam dla charakteru pana de Claudieuse'a najgłębszy szacunek. Jest to jedna więcej boleść "dodana do wszystkich innych, gdy pomyślę, że on mógł mnie oskarżyć.

— Ależ on nie oskarżał pana!—przerwał pan Daubigeon. — Przeciwnie, on był pierwszym i najgorliwszym pańskim obrońcą!

I nie zważając na znaki, które mu dawał pan Galpin-Daveline, dodał:

— Na nieszczęście, to wszystko nie ujmuje bynajmniej doniosłości faktom, które pana oskarżają. Jeżeli się pan będziesz upierał przy swoim milczeniu, czeka cię sąd przysięgłych i galery. Jeżeli pan jesteś niewinny, dlaczego nie próbujesz usprawiedliwić się? Na co pan czekasz, czego się spodziewasz?

— Niczego.

Mechinet właśnie kończył spisywać protokół.

— Trzeba jechać — rzekł pan Galpin-Daveline.

— Czy wolno mi będzie — zapytał się pan de Boiscoran — napisać kilka słów do moich rodziców? Starzy to już ludzie, ten wypadek może ich przyprawić o śmierć.

— Nie mogę panu na to pozwolić — odrzekł sędzia.

I zwracając się do starego Antoniego:

— Ja ten pokój opieczętuję, a ty go tymczasem będziesz pilnować; wiesz, do jakiej cię to zobowiązuje nadzwyczajnej czujności i jak byś został ukarany, gdyby sąd nie znalazł któregoś z przedmiotów opisanych w protokole. A teraz, jak się tu dostać do Sauveterre?

Po głębokim namyśle ułożono, że pan de Boiscoran z żandarmem pojedzie we własnym powozie. Pan Daubigeon, sędzia i sekretarz mieli sięść do powozu mera, którym powoził Ribot, rozgniewany niezmiernie tym, że go miano na oku.

— Chodźmy — odezwał się sędzia, kiedy dopełniono już ostatnich formalności.

Jakub de Boiscoran schodził powoli. Wiedział, że na dziedzińcu jest pełno rozwścieczonych wieśniaków, obawiał się krzyków i pogróżek.

Mylił się. Żandarm, którego wysłał pan Daubigeon, tak dobrze spełnił rozkaz, że się nie rozległ ani jeden krzyk.

Ale kiedy już wsiadł do powozu i koń ruszył z miejsca klusem, obrzucono go strasznymi przekleństwami i gradem kamieni, z których jeden skaleczył żandarma w czoło.

Pan de Boiscoran zsunął się w głąb powozu i popadł w rodzaj odrętwienia, z którego się otrząsnął dopiero wtedy, kiedy powóz zatrzymał się na dziedzińcu więzienia w Sauveterre.

W drzwiach więzienia stał dozorca pan Blangin, uśmiechając się na samą myśl, że będzie miał tak znakomitego więźnia.

— Zaprowadzę pana do najpiękniejszego z moich pokoi — rzekł do nieszczęśliwego — ale wprzód muszę wpisać pana w rejestr więźniów.

I wzięwszy zabrudzony rejestr, wpisał nazwisko Jakuba de Boiscorana poniżej nazwiska Frumencego Cheminota, złodzieja, którego wczoraj aresztowano w chwili, gdy wywazał zamek.

Stało się: Jakub de Boiscoran został osadzony w więzieniu.

TLR

CZEŚĆ DRUGA

SPRAWA JAKUBA DE BOISCORANA

Pałac de Boiscoran na ulicy Uniwersyteckiej ma bardzo skromny wygląd.

Wąski jest dziedziniec, który go poprzedza i trzeba odwagi, żeby nazwać ogrodem kilka metrów wilgotnej ziemi, która się ciągnie poza pałacem.

Ale nie trzeba ufać pozorom.

Samo mieszkanie jest arcydziełem komfortu, do którego cierpliwe i staranne ręce nagromadziły wszelkie wygody życia i ten poważny zbytek, którego i smak i tajemnica giną powoli.

Podłoga w przedsionku, będąca pyszną mozaiką, przywieziona została z Wenecji w 1798 roku przez jednego z Boiscoranów, który przystał do Bonapartego. Poręcz od schodów jest arcydziełem ślusarskiej roboty, a rzeźby w pokoju jadalnym' nie mają sobie równych w całym Paryżu. Salon, w którym margrabina lubi otaczać się dyplomatami, dorównuje reszcie wspaniałością.

Nie ma tam" ani jednego mebla, który by nie miał artystycznej wartości. Świecznik jest istnym cackiem. Każdy z ośmiu obrazów, zawieszonych na ścianach, jest znakomitym dziełem któregoś ze sławnych malarzy.

Niczym to jednak w porównaniu z gabinetem osobliwości margrabiego de Boiscorana.

Gabinet ten, zajmując połowę drugiego piętra, położony naprzeciw pracowni i oświetlony z góry, byłby rozkoszą każdego artysty.

W dużych oszklonych szafach, porozstawianych naokoło ścian, mieszczą się zbiory margrabiego, skarby wszystkich epok, wyroby z kości słoniowej, wyroby emaliowane, brązy, rzadkie manuskrypty, nie zrównane wyroby porcelanowe, szczególnie fajanse, jego ukochane fajanse, uciecha i utrapienie jego starości.

Margrabia odpowiadał tym ramom.

Mając wtedy lat sześćdziesiąt jeden trzymał się prosto jak trzcina i był artystokratycznie chudy. Miał diabelnie duży nos, który ciągle zapychał tabaką, szerokie usta, ale w nich zdrowe jeszcze zupełnie zęby i małe błyszczące oczy, w których malował się spryt amatora, zmuszonego walczyć ciągle z przebiegłością handlarzy osobliwościami.

Sposób myślenia zdradzał stronnika dynastii lipcowej równie jak jego powierzchowność. Jego ubiór, wysoki krawat, faworyty i czub, który się wznosił nad czołem, wskazywał wielbiciela i przyjaciela króla obywatela.

Mimo to nie zajmował się polityką, a nawet, prawdę powiedziawszy, nie zajmował się niczym.

Pani de Boiscoran pod jedynym warunkiem uszanowania niewinnej namiętności swego męża rządziła despotycznie w całym mieszkaniu, zarządzając zarazem i majątkiem; była nauczycielką swego jedynaka Jakuba i o wszystkim decydowała sama.

Nadaremnie było się o coś pytać margrabiego, jego odpowiedź była wiecznie taka sama:

— Spytaj się mojej żony.

Właśnie siedział po obiedzie w swoim gabinecie z lupą w rękę, zajęty układaniem według wartości i pochodzenia swoich półmisków i talerzyków, kiedy nagle drzwi się otwały. Do pokoju weszła margrabina, trzymając w ręku jakiś niebieski papier.

Młodsza o jakieś sześć lat od męża, pani de Boiscoran była właśnie taką towarzyszką życia, jakiej potrzeba było temu umysłowi leniwemu i lubiącemu spokój.

Z chodu, z ruchów, z głosu można było zaraz poznać kobietę, która stoi u stera rządów domowych, rozkazuje i wymaga, żeby jej rozkazy spełniano natychmiast.

Słyszac niegdys z piękności, zachowała jeszcze tyle jej śladów, iż można jej było wybaczyć wiele słabostek. Ona utrzymywała, że nie ma żadnej, powtarzając, że ponieważ niepodobna uniknąć niszczącego wpływu czasu, to najrozumniej jest pogodzić się z nim.

Jednakże kokieteria nie traci nigdy swoich praw.

Jeżeli pani de Boiscoran nie odmładzała się, to za to z przyjemnością robiła się starsza. Tych kilka lat, które kobiety w jej wieku zwykle sobie ujmują, ona sobie dodawała. Przesadna była w zaczesywaniu gęstych siwych włosów nad białym i świeżym jeszcze czołem.

Taka była wzburzona i rozstrojona, gdy weszła do pokoju męża, że ten Poczul się poruszony, on, który od wielu lat postanowił sobie niczym się nie wzruszać.

Odkładając więc na bok talerz, który właśnie oglądał, zapytał niespokojnie:

—Co to jest? Co się stało?

—Strasne nieszczęście.

—Jakub umarł! — zawołał stary archeolog.

Margrabina pokręciła głową.

— Nie, jeszcze coś może straszniejszego...

Starzec, który powstał na widok swojej żony, osunął się na powrót na fotel.

— Powiedz, co to takiego — szepnął — mów... mam odwagę...

Ona podała mu ów niebieski papier, który trzymała w ręku i rzekła powoli:

— Patrz, to depesza, którą w tej chwili odebrałam od służącego Jakuba, od naszego staro Antoniego.

Margrabia drżącą ręką rozwinął papier i przeczytał:

Okropne nieszczęście, pan Jakub oskarżony o podpalenie zamku Valpinson i o zamordowanie hrabiego de Claudieuse'a, straszne zarzuty przeciw niemu. Przy śledztwie zaledwie się bronił. Aresztowano go i odprowadzono do więzienia. Jestem zrozpaczony, co robić?

Margrabina obawiała się, żeby ta depesza, której zwięzłość zdradzała obawy Antoniego, niby piorun nie uderzyła w margrabiego.

Tymczasem okazało się, że obawa jej była daremna. Margrabia najspokojniej w świecie położył depeszę na powrót na stole i ruszywszy ramionami rzekł:

— Ech, głupstwo!

Pani de Boiscoran nie mogła wyjść z podziwu.

— Ależ nie zrozumiałeś chyba, mój drogi — zaczęła.

Nie dał jej dokończyć.

— Owszem, zrozumiałem — rzekł — nasz syn obwiniony jest o zbrodnię, której nie popełnił, której nie mógł popełnić. Czyż podobna, żebyś ty o nim wątpiła? Jakaż matką w takim razie jesteś! Co do mnie, to zaręczam ci, że jestem zupełnie spokojny. Jakub podpalaczem, Jakub mordercą! To nonsens!

— Ach, nie czytałeś chyba depeszy! — zawołała margrabina.

— Owszem.

— Nie zauważyłeś tego, że są przeciw niemu pozory.

— Gdyby ich nie było, nie aresztowaliby go! Jest to rzecz niemiła, przykra nawet...

— Ależ on się nie bronił, mój drogi...

— Cóż u licha! Gdyby mnie jutro oskarżono, że ukradłem sklep, czy myślisz, że ja bym się bronił?

— To ty tego nie widzisz, że Antoni wierzy w to, że nasz syn jest winny?

— Ech, Antoni to stary głupiec — odrzekł margrabia.

Wyjął tabakierkę, zażył tabaki i rzekł:

— Zresztą rozważmy. Przecież powiedziałaś mi, że Jakub jest rozkochany w Dionizie de Chandore?

— Szalenie, mój drogi, jak student.

— A ona?

— Uwielbia Jakuba.

— Brawo! Mówiłaś mi także, że dzień ich ślubu stanowczo jest oznaczony?

— Od trzech dni.

— Jakub pisał ci podobno coś o tym?

— Miły bardzo liścik...

— W którym ci donosi o swoim przyjeździe?

— Tak jest, chciał sam porobić przedślubne sprawunki.

Margrabia z lekceważącym gestem stuknął w tabakierkę i rzekł:

— I ty chcesz, żeby taki chłopiec jak nasz syn, Jakub Boiscoran, kochając

i będąc kochanym, wtedy kiedy ma się żenić, kiedy ma głowę zaprzątniętą podarunkami ślubnymi, popełnił zbrodnię? O tym nie ma nawet co mówić, a najlepszy na to dowód, że ja, jeśli tylko pozwolisz, zabiorę się na powrót do swojej roboty.

Jeżeli zwątpienie jest zaraźliwe, to i wiara również się udziela.

Powoli margrabina de Boiscoran uspokoiła się na widok spokoju swego męża. Rumieniec powrócił na jej twarz, a uśmiech na usta.

I pewniejszym już nieco tonem rzekła:

— Może ja doprawdy zanadto się zaniepokoiłam.

Margrabia skinieniem potwierdził.

— Rzeczywiście zanadto, moja droga. A nawet radzę ci nie chwalić się tym. Jakże są nie ma podejrzewać tego biednego Jakuba, kiedy własna matka go posądza.

Pani de Boiscoran po raz wtóry odczytała depeszę Antoniego.

— A jednak — szepnęła odpowiadając na zarzuty — któżby się na moim miejscu nie przeraził! Szczególniej to nazwisko de Claudieuse'a...

— No i cóż znowu takiego! Przecież to nazwisko bardzo zacnego i dobrego szlachcica, najlepszego w świecie człowieka pomimo szorstkiego obejścia.

— Jakub go nienawidzi, mój drogi.

— Jakub, moja kochana, tyle dba o niego, co pies o piątą nogę!

— Oni już mieli niejedno zajście ze sobą.

— Nic naturalniej szego! Claudieuse jest zagorzałym legitymistą i dlatego zawsze z ostatnią pogardą odzywa się o nas wszystkich, cośmy służyli Orleanom.

— Jakub procesował się z nim nawet.

— I dobrze zrobił, tylko szkoda, że nie doprowadził tego procesu do końca. Claudieuse ma pretensje do rzeczki, która nas rozgranicza, do Piboli. Chciałby Przez cały rok wedle swego widzimisie zatrzymywać wodę bez względu na to, że zatapia łąki w Boiscoran, które są niżej od jego łąk. Już nieboszczyk, mój brat, który był aniołem cierpliwości i łagodności, miał na pieńku z tym despotą.

Ale margrabina nie zdawała się być przekonana.

— Jest w tym jeszcze coś innego — rzekła.

— Cóż takiego?

— Ach! Właśnie, że nie wiem...

— Czy Jakub dał ci to kiedyś do zrozumienia?

— Nie. Ale powiem ci, co się stało. Zeszłego roku zdarzyło mi się spotkać u księżnej Chandroce hrabinę de Claudieuse z córkami. Śliczna to młoda kobieta, a ponieważ w tydzień potem dawaliśmy u siebie bal, przyszła mi myśl, żeby zaprosić hrabinę. Odmówiła i to tonem tak lodowato grzecznym, że nawet nie śmiałam nalegać.

— Bo zapewne nie lubi tańczyć — mruknął margrabia.

— Tego samego wieczoru mówiłam o tym z Jakubem. Bardzo się tym oburzył i powiedział z uniesieniem, które ledwie przez szacunek dla mnie umiał pohamować, że bardzo źle zrobiłam i że ma do tego ważne przyczyny, żeby z tymi ludźmi nie mieć nic wspólnego.

Pan de Boiscoran był tak pewny i spokojny, że już tylko jednym uchem, z roztargnieniem wodząc okiem po swoich cennych fajansach, słuchał tego, co mu mówiła żona.

— No, dobrze — przerwał jej. — Jakub nienawidzi Claudieuse'ów. I czegoż to dowodzi? Nie morduje się, chwala Bogu, wszystkich ludzi, których się nienawidzi.

Pani de Boiscoran poprzestała na tym; zapytała się tylko:

— Ale co mamy robić?

Tak rzadko pytała się o cokolwiek swego męża, że ten aż osłupiał ze zdziwienia.

— Najważniejszą rzeczą jest — rzekł — żeby Jakuba uwolnić z więzienia... trzeba by się z kimś widzieć, poradzić się...

Przerwało mu gwałtowne pukanie do drzwi.

— Proszę! — zawołał.

Wszedł służący, niosąc wielką kopertę z napisem: Telegram prywatny.

— Otóż — zawołał margrabia — byłem tego pewny! To nas nareszcie uspokoi!

Służący odszedł, margrabia rozerwał kopertę, ale kiedy tylko jego wzrok padł na depeczę, uśmiech mu zamarł na ustach, zbladł i zawołał tylko:

— Boże mój!

Pani de Boiscoran pochwyciła ów fatalny papier i przeczytała jednym rzutem oka:

Przyjeżdżajcie natychmiast, Jakub w ścisłym więzieniu. Oskarżony o straszną zbrodnię. Całe miasto uznaje go za winnego i powiada, że się sam do tego przyznał. Podłe oszczerstwo. Sędzią jest jego dawny przyjaciel Galpin-Daveline, który miał się żenić z kuzynką Lavarande. Tyle tylko wiem, że Jakub niewinny. Nikczemna intryga. Dziadek Chandore i ja będziemy robić wszystko, co tylko można. Wasza pomoc jest konieczna. Przyjeżdżajcie, przyjeżdżajcie!

Dioniza de Chandore

— Ach! Mój syn zgubiony! — zawołała pani de Boiscoran zalewając się łzami.

Ale margrabiemu ten niespodziany cios dodał nowej siły.

— A ja — zawołał — bardziej niż kiedykolwiek utrzymuję wraz z Dionizą, która jest zacną dziewczyną, że Jakub jest niewinny! Ale widzę teraz, że jest w niebezpieczeństwie. Niebezpieczna to bowiem rzecz taki proces kryminalny. Do jakich zeznań można zmusić człowieka, trzymając go w ścisłym więzieniu!

— Trzeba działać! — przerwała mu pani de Boiscoran na wpół obłąkana z rozpaczy.

— I to nie tracąc nawet jednej sekundy... Mamy przyjaciół, niektórzy z nich mogliby nam być użyteczni.

— Mogę napisać do pana Margerila.

Z bladego margrabia stał się siny.

— I to ty — zawołał — ty, śmiesz wymawiać przede mną to nazwisko!

— On ma ogromne wpływy, a mój syn jest w niebezpieczeństwie.

Margrabia przerwał jej groźnym ruchem:

— Wolałbym — zawołał tonem najwyższej nienawiści — wolałbym tysiąc razy, żeby mój syn zginął niewinnie na rusztowaniu, aniżeli jego ocalenie zawdzięczać temu człowiekowi!

Pani de Boiscoran zdawała się być bliska zemdenia.

— Mój Boże — wyjąkała — przecież wiesz, że ja tylko byłam nieostrożna.

— Dostyc tego! — burknął margrabia opryskliwie.

I usiłując się pohamować mówił dalej:

— Zanim cokolwiek bądź przedsięwzięmiemy, trzeba wiedzieć, jak rzeczy stoją. Dziś wieczór pojedziesz do Sauveterre...

— Sama?

— Nie. Znajdę ci doradcę, zręcznego prawnika i pewnego adwokata, który by nie był przy tym politykiem, jeżeli jest jeszcze choć jeden taki. On tam będzie twoim przewodnikiem, a mnie będzie o wszystkim donosił, żebym ja znowu tutaj mógł działać stosownie do okoliczności. Dioniza ma słuszość, Jakub musiał być ofiarą jakiejś nikczemnej intrygi, mniejsza o to, my go i tak ocalimy, ale trzeba spokoju, bardzo wiele spokoju.

I mówiąc to zadzwonił tak gwałtownie, że zbiegła się naraz cała przerażona służba.

— Żywo — rzekł rozkazującym tonem pan de Boiscoran — iść mi po mego adwokata, pana Chapelaina, wziąć dorożkę.

Służący, który poszedł spełnić ten rozkaz, tak się dobrze sprawił, że w dwadzieścia minut potem przyjechał pan Chapelain.

— Potrzeba nam całego twego doświadczenia, mój zacny przyjacielu odezwał się margrabia. — Masz, czytaj te depesze.

Na szczęście adwokat umiał ukryć swoje wrażenia, gdyż nabrał przekonania, że Jakub jest winny, wiedząc o tym, z jaką ostrożnością wydawane bywają rozkazy uwięzienia.

— Mam takiego człowieka, jakiego potrzeba pani margrabinie — rzekł nareszcie.

— Ach!

— Młody chłopak, któremu skromność dotąd nie pozwoliła się popisać, chociaż jest jednym z najrzęczniejszych prawników, jakich znam, a przy tym znakomitą mową.

— Nazwisko jego?

— Emanuel Folgat... przyślę go państwu.

Rzeczywiście w dwie godziny później protegowany pana Chapelaina przestąpił próg pałacu de Boiscoran.

Był to człowiek trzydziestodwuletni, silny brunet z dużymi oczyma, z fizjonomią wyrażającą spryt i energię.

Spodobał się margrabiemu, który opowiedziawszy mu wszystko o położeniu Jakuba, chciał go zapoznać z terenem, na którym miał działać, opowiadając mu, jakich sprzymierzeńców i przeciwników znajdzie w Sauveterre, zalecając mu przede wszystkim, aby ufał panu Seneschalowi, staremu przyjacielowi całej rodziny, człowiekowi wpływowemu i najprzebieglejszemu ze wszystkich owych podprefekturalnych dyplomatów, którzy gotowi nawet Machiavella wyprowadzić w pole.

— Co tylko, proszę pana, w ludzkiej mocy jest do zrobienia, to się zrobi — odrzekł adwokat.

I tego samego wieczoru, kwadrans na dziewiątą, margrabina de Boiscoran i Emanuel Folgat siedzieli w wagonie orleańskiej kolei żelaznej.

Była godzina dziewiąta rano, kiedy pociąg, którym jechała pani margrabina de Boiscoran i pan Folgat, zaczął się zbliżać do Sauveterre.

Margrabina upadała ze znużenia i wrażeń tej nocy, którą spędziła nad obliczaniem szans ocalenia swego syna, a była przybita tym bardziej, że pan Folgat postanowił sobie nie łudzić jej przedwczesnymi nadziejami.

Gdyż i on, chociaż tego nie pokazywał po sobie, podzielał wątpliwości pana Chapelaina. Młody adwokat wiedział również, że nie aresztuje się człowieka takiego jak Jakub de Boiscoran bez silnej podstawy, nie mając w ręku dowodów stanowiących niemal pewność.

Wkrótce pociąg zwolnił bieg.

— Boże — rzekła pani de Boiscoran — żeby tylko Dioniza i pan Chandore wysłali po nas powóz!

— A to po co, proszę pani? — zapytał się pan Folgat.

— Żeby mogła doń wsiąść jak najprędzej i ukryć przed wszystkimi moją boleść i łzy.

Młody adwokat potrząsnął przecząco głową.

— Tego pani nie zrobi — rzekł — jeżeli mam jakikolwiek wpływ na pani postępowanie.

Ona patrzyła się na niego ze zdziwieniem.

— Chcę przez to powiedzieć — mówił dalej — że nie może pani pokazać

po sobie, że chciałaby unikać ludzkich spojrzeń. Byłby to ogromny błąd, może nie do naprawienia. Cóż by sobie pomyślano, gdyby panią widziano zrozpaczoną i płaczącą? Pomyślano by sobie oczywiście, że pani jest pewna tego, że pani syn jest winowajcą i ci, którzy jeszcze o tym wątpią, przestaliby wątpić. Trzeba od razu zjednać sobie opinię, bo ona jest wszechwładna, proszę pani, szczególnie w małych miasteczkach, w których każdy żyje pod ciągłą kontrolą sąsiadów. Opinia narzuca się wszystkim i cokolwiek bądź by mówiono albo robiono, ściga ona sędziów przysięgłych aż do sali obrad.

— To prawda — szepnęła pani margrabina — ma pan słuszność.

— Toteż w imię sprawy tak dla pani świętej, przywołaj pani całą swoją energię, ukryj na dnie duszy macierzyńskie obawy, otrzyj łzy i ukaż się spokojna. Niech każdy, widząc panią, powie sobie: „Nie, matka nie tak wygląda, gdy jej syn jest winowajcą”.

Pani de Boiscoran wyprostowała się.

— Ma pan zupełną słuszność — rzekła — dziękuję panu. Tak, powinnam wpłynąć na opinię i o ile przed chwilą życzyłam sobie, żeby dworzec był pusty, teraz pragnę, żeby był przepełniony ludźmi. Pokażę panu, co może kobieta, którą podtrzymuje myśl o dziecku.

Margrabina de Boiscoran była niezwykłą kobietą.

Wyjęła grzebyk z podróźnej torebki i przyczesła się, poprawiła suknię, rysy jej dzięki wysiłkom woli wypogodziły się zupełnie, usta zmusiła do uśmiechu, ale tak, że przymusu tego nie było znać i głosem czystym i dźwięcznym, rzekła:

— Przypatrz mi się pan, czy mogę się teraz pokazać?

Pociąg zatrzymał się na stacji.

Pan Folgat wysiadł z wagonu i podając rękę margrabinie, żeby jej pomóc wsiąść, rzekł:

— Możesz pani być zadowolona, pani odwaga nie będzie daremna, całe Sauveterre musi być tutaj.

Jakoż tak było.

Od wczoraj wieczora rozeszła się była pogłoska, rozsiewana nie wiedzieć Przez kogo, że „matka zabójcy”, jak się wyrażano, przyjedzie pociągiem o dziesiątej i każdy sobie przyrzekł, że się wtedy przypadkiem znajdzie na dworcu.

Nie można było pominąć sposobności do takiego widowiska w miejscowości, w której przez trzy dni rozmawiają o sukni, którą ostatni raz miała pani podprefektowa.

Nikt się nie troszczył ani nie dbał o to, jakie to wrażenie zrobi na pani de Boiscoran, gdy się znajdzie wobec tylu ludzi. Bo ciekawość w Sauveterre ma przynajmniej tę zaletę, że nie jest wcale obłudna. Wszyscy tam są naiwnie i bezwstydnie ciekawi. Po prostu każdy staje przed tobą i patrzy ci w oczy, usiłując odgadnąć powód twojej radości lub smutku.

Trzeba dodać, że wszyscy byli bardzo źle usposobieni do Jakuba de Boiscorana. Gdyby na nim ciążył tylko zarzut podpalenia Valpinson i zamachu na życie pana de Claudieuse'a, to by jeszcze nic nie było. Ale pożar pociągnął za sobą straszne następstwa. Dwóch ludzi zginęło, a dwaj inni byli tak niebezpiecznie poranieni, że się lękano o ich życie.

Poprzedniego dnia widziano smutny pogrzeb przeciągający przez ulicę Narodową. Na wozie przykrytym kirem, przy którym szło dwóch księży, wieziono przepalone, nie mające już ludzkich kształtów szczątki dobosza Boltona i biednego Guillebaulta. W powozie, który szedł za tym konduktem, siedzieli dwaj ranni: żandarm, który zachowywał się spokojnie, i dzierzawca wydający przeraźliwe jęki. Całe miasto widziało wdowę po Guillebaultie; szła do mera niosąc na ręku najmłodsze dziecko i wlokąc za sobą pouczeptanych u sukni czworo innych, z których najstarsze nie miało dwunastu lat.

Ludzie wszystkie te nieszczęścia przypisując Jakubowi de Boiscoranowi obsypywali go przekleństwami, zamierzając może miotać je jeszcze i na jego matkę.

— Patrzcie, to ona! To ona! — zaczęto szeptać w tłumie, kiedy ją ujrzano idącą pod rękę z panem Folgatem.

Ale na tym się gadanie urwało, tak wszystkich zadziwił spokój i pewność siebie, które się przebijały w całej jej postawie.

Toteż opinia podzieliła się zaraz na dwa obozy.

— Czelna baba! — myśleli sobie jedni. Drudzy zaś mówili:

— Musi być pewna, że jej syn jest niewinny.

Ona w każdym razie miała na tyle zimnej krwi, żeby spostrzec, jakie uczyniła wrażenie i jak dobrze zrobiła idąc za radą pana Folgata. To zdwoiło jej siły. A widząc w tłumie kilka znajomych osób, zbliżyła się do nich i z uśmiechem rzekła:

— Zapewne wiecie państwo, co się nam wydarzyło! To niesłychane! Takie teraz czasy, że wolność takiego człowieka jak mój syn pozostaje na łasce pierwszego lepszego śmieszno-go podejrzenia, które przejdzie przez głowę jakiegoś tam sędziego. Doniesiono mi o tym wczoraj wieczór telegrafem, przyjeżdżam więc z tym panem, który należy do naszych przyjaciół i jest jednym z najznakomitszych adwokatów w Paryżu.

Pan Folgat zmarszczył brwi, byłby wolał więcej umiarkowania w słowach margrabiny, a jednak nie mógł jej odmówić poparcia.

— Ci panowie z trybunału — rzekł tonem wyroczni — mogą pożałować jeszcze, że się tak pośpieszyli.

Szczeniem młody chłopak, który za całą liberię miał czapkę z galonikiem, zbliżył się do pani de Boiscoran.

— Powóz pana de Chandore — rzekł — jest na rozkazy pani margrabiny.

— Dobrze, zaraz, mój chłopcze — odpowiedziała.

I kłaniając się poczciwym mieszczanom, stropionym tą jej pewnością siebie, rzekła:

— Wybaczcie państwo, że was tak nagle opuszczam ale pan Chandore na mnie czeka. Zresztą mam nadzieję, że jeszcze dziś po obiedzie będę miała przyjemność złożyć państwu wizytę wraz z moim synem.

Dom Chandore, jak go w Sauveterre nazywają, stoi po drugiej stronie placu Nowego Targu, na samym końcu ulicy de la Rampe.

Jest to gmach zupełnie nowy niezgrabny, ciężki, przystrojony pretensjonalną wieżyczką ze spiczastym dachem.

To pewne, że rodzina Chandore objawiała niegdyś wysokie pretensje szlacheckie, a głęboką pogardę dla każdego, kto się nie wywodził od krucjat, i nienawiść ku wszystkim pojęciom datującym się od czasu Rewolucji.

Lecz jeżeli kiedy była potężna, to już dawno nią być przestała.

Z tej wielkiej rodziny, niegdyś najliczniejszej i jednej z najpierwszych w Saintonge, pozostał tylko starzec, baron de Chandore i dziecko, jego wnuczka, narzeczona Jakuba de Boiscorana. Dioniza była sierotą.

Nie miała jeszcze trzech lat, gdy w przeciągu niespełna pięciu miesięcy straciła ojca, zabitego w pojedynku o jakąś bagatelę, i matkę, z domu Lavarande, która nie miała siły przeżyć człowieka, którego kochała.

Było to niezawodnie wielkim nieszczęściem dla dziecka, ale nie zabrakło mu ani opieki, ani tkliwego przywiązania. Dziadek Dionizy zlał na nią wszystkie swoje uczucia i w niej położył wszystkie swoje nadzieje, a dwie siostry jej matki, panny de Lavarande, będące już w pewnym wieku, postanowiły nieodwołalnie nie wychodzić już wcale za mąż, żeby się mogły tym zupełnie poświęcić swojej siostrzenicy. Poczciwe panniska prosiły nawet pana de Chandorego, aby pozwolił im mieszkać przy sobie. Ale on nie chciał o tym słyszeć, oświadczywszy, że jego wnuczka należy wyłącznie do niego i że on ją chce zachować dla siebie. Dodawał, że aż nadto łaski świadczy pannom de Lavarande, pozwalając im zajmować się Dionizą i przesiadywać przy niej po całych dniach.

Z tego nieporozumienia musiała się zrodzić i zrodziła się też rzeczywiście Między ciotkami a dziadkiem rywalizacja, objawiająca się w sposób najdziwniejszy. Obie strony prześcigały się w tym, kto sobie zjedna pierwsze miejsce w przywiązaniu dziewczęcia, kto uzyska od niego pieczętę lub drożej kupi jego uśmiech. Pięcioletnia Dioniza miała wszystkie zabawki, jakie tylko wynaleziono. Doszedłszy do lat dziesięciu, miała sukien co niemiarą, a z klejnotami nie wiedziała już, co robić.

Pan de Chandore z każdym dniem zmieniał się widocznie. Opryskliwy, surowy, szorstki, przeobraził się w „papę pod pantoflem”. Przygasił metaliczny blask swoich oczu, przykleił

do ust wieczny uśmiech, a głosowi swemu nadał owe pieśczośliwe intonacje, które przybierają mamki. Można go było często spotkać na ulicy, biegnącego po coś dla wnuczki, spieszącego ze sklepu pasztetnika do składu zabawek. Spraszał jej małe przyjaciółki, wyprawiał im obiadki, a nawet tańczył z nimi w razie potrzeby.

Drżał, gdy Dioniza zmarszczyła brew, bladł, gdy zakaszłała. Raz zachorowała, dostała odry. Pan Chandore przez dwanaście dni i nocy nie kładł się, nie odstępując od jej łóżeczka i posprowadzał z Paryża lekarzy, którzy mu się śmiali w oczy.

A jednak panny de Lavarande znalazły jeszcze sposób przewyższenia pana Chandorego w tych szaleństwach.

Jeżeli Dioniza nauczyła się czegokolwiek, to jedynie dlatego, że koniecznie chciała, gdyż one, przy najmniejszej z jej strony oznace zniecierpliwienia, gotowe były odprawić zaraz profesora kaligrafii lub nauczycielkę muzyki.

Mieszkańcy Sauveterre wzruszając ramionami patrzyli na te wybryki.

— Boże, zmiłuj się nad takim wychowaniem — mówiły damy z wyższego świata. — Kto kiedy widział podobną słabość! Śliczną przysługę oddają temu dziecku!

To pewne, że takie psucie dziecka, ślepa uległość i nieustanne adoracje powinny były z Dionizy uczynić najnieznośniejszą w świecie istotę. Tymczasem broń Boże! Są natury tak szczęśliwe, że ich nic nie jest w stanie zepsuć. Będąc już starsza, mawiała nieraz z uśmiechem: Dziadzio Chandore, ciocie Lavarande i ja robimy tu wszystko, co ja chcę. Ale to był tylko żart.

Żyła więc szczęśliwa i bez troski, i kończyła właśnie siedemnaście lat, gdy zdarzył się w jej życiu wielki wypadek.

Pan de Chandore, spotkawszy pewnego dnia Jakuba de Boiscorana, z którego stryjem żył w przyjaźni, zaprosił go do siebie na obiad. Jakub przyjął zaproszenie, przyszedł, panna Dioniza go zobaczyła i... pokochała.

Od tej chwili i po raz pierwszy w życiu zaczęła mieć tajemnicę, której nie znali ani dziadzio Chandore, ani ciocie Lavarande i przez dwa lata tylko jej kwiatki i ptaszki były powiernikami tej miłości, która rosła w głębi jej duszy, słodka jak marzenie, idealizowana nieobecnością, poetyzowana wspomnieniem.

Gdyż Jakub przez dwa lata niczego nie dostrzegł.

Ale też za to w dniu, w którym zobaczył, co się święci, odurzony swoim szczęściem, olśniony przyszłością, która się otwierała przed nim, poczuł, że jego los się rozstrzygnął. To też nie wahał się i niespełna w miesiąc potem jego ojciec, margrabia de Boiscoran, pojechał do Sauveterre prosić o rękę panny Dionizy dla swego syna.

Srogi to był cios dla dziadzi Chandorego.

Wprawdzie myślał on nieraz o wydaniu wnuczki za mąż, mówił nawet o tym czasami, napomykał jej, że się starzeje i że pozbyłby się wielkiego niepokoju, gdyby mógł dla niej wyszukać dobrego męża. Ale mawiał o tym jako o rzeczy bardzo dalekiej, jak mawiał na przykład czasem o swojej śmierci.

Żądanie pana de Boiscorana otworzyło mu oczy na prawdziwy stan jego własnych uczuć. Myśl, że będzie musiał oddać komuś Dionizę, że zobaczy, jak ona stawia przed nim innego człowieka, a potem dzieci, które z nim będzie miała, przejęła go zgrozą. Niewiele brakowało, żeby wyrzucił za drzwi ambasadora. Powściągnął się jednak i odpowiedział, że sam nie może w tej sprawie decydować i że trzeba wprzód zapytać się jego wnuczki. Miał jeszcze nadzieję, że ona odrzuci oświadczyzny.

Biedny dziadzio! Zaledwie zaczął o tym mówić:

— Cóż to za szczęście! — zawołało dziewczę. — Ja się tego już dawno spodziewałam!

Pan de Chandore pochylił głowę, zapewne żeby ukryć palącą łzę.

— Więc pójdziesz za niego, kiedy tak — szepnął.

Pocieszony już nieco radością błyszczącą w oczach wnuczki, począł sobie wyrzucać okropny egoizm i łajać się za to, że nie czuje się uszczęśliwiony, skoro Dioniza jest zadowolona.

Jakub więc uzyskał pozwolenie starania się oficjalnie i na dwa dni przed pożarem w Valpinson po długich naradach, po ścisłym obliczeniu czasu potrzebnego na sprawunki i wykończenie wyprawy oznaczono stanowczo dzień ślubu.

I właśnie wśród upojenia takiej chwili dosięgły pannę Dionizę dwa ciosy, bo dowiedziała się jednocześnie o zarzutach, jakie czyniono Jakubowi i o jego uwięzieniu.

Jakby uderzona piorunem na dziesięć minut straciła zupełnie przytomność. Ale przyszedłszy do siebie, zawołała:

— Jestem szalona! Czym się tu trwożyć! Przecież to jasne, że on jest niewinny!

I wtedy to wysłała depeszę do pana de Boiscorana zrozumiałwszy, że chcąc cokolwiek przedsięwziąć, trzeba się naprzód porozumieć z rodziną Jakuba. Potem poprosiła, aby ją zostawiono samą i spędziła noc na liczeniu minut, które ją oddzielały od chwili przybycia pociągu z Paryża.

O ósmej rano sama zeszła, kazała zaprząć i jechać po panią de Boiscoran na dworzec, zaleciwszy stangretowi, aby z powrotem pędził co koń wyskoczy.

Potem poszła do salonu, gdzie już znajdowały się jej ciotki i dziadek. Wszyscy troje mówili coś do niej, ale jej uwaga była gdzie indziej.

Wkrótce usłyszała powóz pędzący galopem ulicą de la Rampe. Wtedy zerwała się i poskoczyła do sieni, wołając:

— To matka Jakuba!

Człowiek nigdy bezkarnie nie może zadawać gwałtu swoim uczuciom.

Gdy margrabina de Boiscoran zdołała się nareszcie schronić do wysłanego po nią powozu, była bliska zemdenia, złamana niesłychanym wysiłkiem, na jaki zdobyła się, aby ukazać bezlitosnej, ciekawej gawiedzi Sauveterre spokojną postawę i uśmiechniętą twarz.

— Co za okropna komedia! — szepnęła padając na poduszki.

— Przyzna pani przynajmniej, że była potrzebna — odezwał się pan Folgat. — Przychylność przynajmniej stu osób zjednała pani dla syna.

Nic nie odpowiedziała. Łzy ją dławily. Cóż by dała, żeby się mogła znaleźć sama, u siebie, żeby dać zupełną folgę boleści i macierzyńskiej trwodze!

Nareszcie powóz stanął.

Przy pomocy pana Folgata pani de Boiscoran wysiadła, ale zaledwie dotknęła nogą bruku, otwarła się brama domu i panna Dioniza rzuciła się w jej objęcia, tak wzruszona, że zaledwie mogła rzec:

— Matko! Najdroższa matko, co za nieszczęście!

W cieniu korytarza ukazał się pan de Chandore, który pospieszył za wnuczką.

— Wejdzmy — odezwał się — nie stójmy tutaj... Już spoza wszystkich okiennic błyszczą śledzące nas oczy.

I wciągnął je do salonu.

Pan Folgat nie wiedział, co zrobić ze sobą. Nikt nie zauważył jego obecności. Wszedł ze wszystkimi do salonu i stojąc przy drzwiach, wzruszony ogólnym wzruszeniem, przypatrywał się z kolei to pannie Dionizie, to panu Chandoremu, to pannom de Lavarande.

Panna Dioniza miała wtedy dwudziesty rok. Nie można było powiedzieć, że była nadzwyczajnie piękna, ale trudno ją było zapomnieć, raz zobaczywszy. Pełna była nieopisanego wdzięku, a każdy ruch zdradzał jakąś rzadką i niezwykłą zaletę.

Przy niezmiernie bujnych czarnych włosach miała oczy niebieskie, a płeć jaką miewają blondynki na północy, olśniewającej białości. Wszystko w niej mówiło o anielskiej słodczy i łagodności, a jednak pewien fałdzik koło ust i ruch brwi kazały się domyślać niepospolitej energii.

Obok niej dziadek Chandore uderzał wysoką postawą i silną budową. Siedemdziesiąt dwa lata nie pochylily go; zdawał się być zbudowany tak, aby opierać się burzom życia. Cere miał ceglastą, jednostajnie czerwoną, jak u starego wodza Mohikanów, przy której tym ostrzej odcinały się białe włosy, brwi i broda. Twarz jego mimo to wyrażała prawie dziecięcą dobroć. Ale nie trzeba było dwa razy mu się przyglądać, żeby zrozumieć, że nie byłoby bardzo rozsądnie zbyt ufać jego dobrotliwemu uśmiechowi. Po iskrach, które czasami zapalały się w głębi szarych oczu, czuć było, że nieszczęśliwie wyszedłby na tym ten, kto by się dostał w jego ręce, obraziwszy na przykład pannę Dionizę.

Ciotki Lavarande wreszcie, blade i chude jak tyczki, milczące i ultraarystokratycznie chłodne, miały fizjonomie pogodne i ten wyraz wylewnej czulości właściwej starym pannom, których panieństwo nie zgorzkniało zawiedzionymi złudzeniami. Miały na sobie suknie zupełnie jednakie, co od czterdziestu lat weszło im w zwyczaj, suknie koloru niezdecydowanego i skromne jak one same.

W tej chwili płakały, a pan Folgat zadawał sobie pytanie, do jakiego poświęcenia nie byłyby gotowe, byle okupić łzy swojej siostrzenicy.

— Biedna Dioniza — szeptały.

Dioniza usłyszała to i prostując się nagle i przerywając ciężkie milczenie, które za długo już trwało zawołała:

— Ale wstyd nam! Cóż by powiedział Jakub, gdyby nas zobaczył! Czego się tu smucić? Alboż on winien?

Oczy jej błyszczały nadzwyczajnym blaskiem, a głos jej miał wibracje, które wydały oddźwięk aż gdzieś w głębi duszy pana Folgata.

— Ja przynajmniej mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, że nie zwątpiłam o nim ani na chwilę. Tego wieczoru, kiedy w Valpinson wybuchł pożar, Jakub napisał do mnie list na cztery strony, który mi przysłał przez jednego ze swoich dzierżawców i który odebrałam o godzinie dziewiątej. Pokazałam ten list dziadzi, on go przeczytał i zawołał od razu, że ja mam najzupełniejszą słuszość i że nigdy człowiek zamyślający o takiej strasznej zbrodni, nie byłby w stanie nic podobnego napisać!

— Tak powiedziałem i tak sędzę — potwierdził pan Chandore — i każdy rozsądny człowiek będzie mego zdania, tylko...

Ale wnuczka nie pozwoliła mu dokończyć.

— Widocznie więc — przerwała — Jakub jest ofiarą jakiejś podłej intrygi, musimy ją wyświecić. Dostyc tych płaczów, trzeba działać.

A zwracając się do pani de Boiscoran rzekła:

— I właśnie po to, żebyś nam w tym pomogła, przywołałam cię tutaj, droga matko.

— Toteż mnie masz — odpowiedziała margrabina — równie jak ty, drogie dziecko, przekonaną o niewinności mego syna.

Zdaje się, że to niezupełnie zadowalało pana de Chandorego, gdyż przerywając zapytał:

— A margrabia?

— Mój mąż został w Paryżu.

Staruszek skrzywił się znacząco.

— Ach, poznaję go po tym! — zawołał. — Nic nie jest w stanie go poruszyć. Jego jednak nikczemnie oskarżony o zbrodnię, aresztowany, wtrącony do więzienia. Dają mu o tym znać, myślą naturalnie wszyscy, że w tej chwili przyleci. Gdzież tam! Niech się syn sam wykręci z tej sprawy, jeżeli może, on zostanie i będzie pilnował swoich skorup.

— Mojemu mężowi — odparła margrabina — zdaje się, że będzie mógł być bardziej użyteczny Jakubowi zostając w Paryżu. Może i tam trzeba będzie porobić jakieś kroki.

— A cóż to, nie ma tam kolei żelaznej, czy co?

— Zresztą — rzekła pani de Boiscoran — polecił mnie panu...

Tu wskazała ręką na młodego adwokata.

— Emanuelowi Folgatowi, którego doświadczenie, talent i poświęcenie zjedналиśmy sobie.

Pan Folgat kłaniał się w czasie tego prezentowania.

— I mam nadzieję, iż wszystko dobrze pójdzie — odrzekł, tak oddziałała na niego ufność panny Dionizy. — Jestem zdania panny de Chandore. Trzeba działać nie tracąc ani sekundy. Ale zanim obmyślę plan postępowania, muszę wprzód dokładnie poznać fakty.

— Na nieszczęście — odpowiedział pan de Chandore — my wiemy tylko tyle, że Jakub jest osadzony w ścisłym więzieniu.

— No, to się poinformujemy. Zapewne pan zna tutejszych prawników?

— Bardzo mało, wyjąwszy prokuratora.

— A sędziego, który ma prowadzić śledztwo?

Starsza z panien Lavarande podniosła się z krzesła:

— Ten, proszę pana — zawołała — to potwór hipokryzji i niewdzięczności. On udawał przyjaciela Jakuba; rzeczywiście Jakub go tak lubił, że aż nas skłonił, mnie i moją siostrę, żeśmy temu tam jakiemuś sędziemu przyrzekły rękę jednej z naszych krewnych, panny Lavarande... Biedne dziecko! Kiedy się dowiedziała o tym, co się stało, zawołała: „Dzięki ci Boże, żeś mi oszczędził hańby zostania żoną takiego człowieka”.

— I rzeczywiście — dorzuciła druga stara panna — jeśli całe Sauveterre ma Jakuba za winnego, to dlatego, że każdy sobie powiada: przecież przyjaciel jest jego sędzią.

Pan Folgat pokręcił głową.

— Mnie potrzeba dokładniejszych objaśnień — rzekł — pan de Boiscoran mówił mi o tutejszym merze, o panu Seneschalu.

Pan Chandore pochwycił kapelusz.

— Rzeczywiście! — zawołał. — Ten należy do naszych przyjaciół i jeśli kto, to on musi być dobrze poinformowany. Trzeba nam go poszukać. Chodź pan...

Pan Seneschal był rzeczywiście przyjacielem rodzin Chandore, Lavarande, a tym samym i Boiscoranów.

Gdy ktoś jest notariuszem, niepodobna, żeby się nie przywiązał do ludzi, których jest powiernikiem i doradcą przez dwadzieścia lat.

Pan Seneschal, chociaż już sprzedał był swój notariat, posiadał nadal zupełne zaufanie swoich dawnych klientów. Nie podejmowali nigdy decyzji bez jego porady. Udawali się do jego następcy, ale wprzód radzili się jego.

Zresztą obie strony oddawały sobie wzajemne usługi.

Toteż ten zacny i poczciwy człowiek okropnie był strapiony, kiedy w dzień pożaru w Valpinson powrócił do Sauveterre. Tak był blady i znękany, że żona jego aż się przelękła.

— Chryste Panie! — zawołała — Augustcie, co ci się stało?

Panu Seneschalowi było na imię August.

— Stała się rzecz okropna! — odparł tak tragicznym tonem, że pani Seneschal zadrżała. Co prawda, pani Seneschal była bardzo skłonna do drżenia.

Była to kobieta mająca lat czterdzieści osiem do pięćdziesięciu, mocna bruneta, niska, dobrej tuszy, a piersi jej na ciężkie próby wystawiały gorsety, których jej dostarczały szwaczki, panny Mechinnet, siostry pisarza.

Za młodu posiadała ona ową piękność, którą Francuzi zowią demoniczną. Podstarzawszy się, zachowała rumiane oblicze, las czarnych włosów i prześliczne zęby.

Nie była jednak szczęśliwa. Całe życie zeszło jej na pragnieniu posiadania dziecka i nie doczekała się go.

— To musi się wydawać niepojęte dla osób, które nas znają, mnie i pana Seneschala — mawiała często. — Bo to on był jednym z najpiękniejszych mężczyzn w Sauveterre, a ja zawsze byłam zdrowa jak ryba.

I zaraz, bez względu na stopień poufałości z osobą, z którą rozmawiała, zapuszczała się w najdelikatniejsze szczegóły dotyczące tej materii, opowiadając o rozczarowaniach swoich i męża, o pobożnych pielgrzymkach, które odbyła, lekarzach, których się radziła, wreszcie o tym, ile miesięcy przemieszkała nad morzem, żyjąc prawie wyłącznie rybami, których nie lubi.

Nic nie pomogło i gdy z latami znikły nadzieje, biedaczka zrezygnowała, a gorycz jej żalu zmieniła się z czasem w pewien rodzaj sentymentalnej melancholii, którą podsycala romansami i poezjami.

Miała zawsze w pogotowiu łzę dla wszelakich nieszczęść i słowo pociechy dla wszelkich cierpień. To wszystko jednak nie przeszkadzało jej być panią domu

gospodynią całą gębą.

Łkając, słuchała opowiadania męża o wypadkach tej nocy. A gdy skończył rzekła:

— Biedna Dioniza! Ona gotowa z tego umrzeć. Na twoim miejscu, poszłabym natychmiast do pana Chandorego i opowiedziałabym mu delikatnie tę fatalną nowinę.

— A niechże mnie Bóg broni! — zawołał pan Seneschal. — I ty, tak samo, ani się waż tam chodzić!

Bo trzeba wiedzieć, że zacny mer nie był wcale bohaterem stoicyzmu i najchętniej byłby siadł na kolej żelazną i uciekł o sto mil, żeby nie być świadkiem boleści dziadka Chandorego, ciotek Lavarande, a zwłaszcza rozpaczy Dionizy, do której był szczególnie przywiązany.

Przy tym sam nie wiedział, co myśleć, i był zbity z tropu oburzeniem opinii publicznej; zaczął się wreszcie, sam siebie zapytywać, czy też Jakub naprawdę nie popełnił czasem tych zbrodni, o które go oskarżano.

Na szczęście tego dnia czekało go wiele zajęć. Miał zarządzić sprowadzenie szczątków dobosza Boltona i biednego Guillebaulta, wydać rozporządzenia co do przeniesienia z jak największą ostrożnością rannych przy ogniu żandarma i wieśniaka.

Przede wszystkim poszedł poszukać domu dla państwa Claudieuse'ów i nie tak łatwo go znalazł.

Nareszcie znaczną część popołudnia zajęła mu gorąca rozprawa z doktorem * Seignebosem.

Doktor w imieniu, jak twierdził, znieważonej nauki, w imieniu sprawiedliwości i ludzkości żądał natychmiastowego uwięzienia Cocaleugo, tego nędznika, którego bezwiedne świadectwo stało się podstawą oskarżenia. Domagał się, bijąc pięścią w stół, ażeby ten epileptyczny idiota został oddany do szpitala w drodze administracyjnej, a następnie pod rozpoznanie ludzi biegłych w sztuce.

Mer długo opierał się temu żądaniu, które mu się wydawało dziwaczne, ale pan Seignebos nalegał tak silnie i głośno, że w końcu wysłał dwóch żandarmów do Brechy z rozkazem dostawienia Cocaleugo.

Atoli żandarmi wrócili w kilka godzin z pustymi rękami. Idiota zniknął. Nikt w całej okolicy nie wiedział, co się z nim stało.

— I pana to nie dziwi — zawołał doktor Seignebos, którego oczy błyszczały spod złotych okularów — ja widzę w tym niezaprzeczony dowód spisku na zgubę pana de Boiscorana!

— Ależ do kroćset! Bądź pan spokojny — odrzekł rozdrażniony pan Seneschal. — Cocaleu nie zginął, znajdzie się!

Doktor odszedł nie nalegając dłużej, lecz zanim wrócił do domu, wstąpił do klubu i tam w obecności przeszło dwudziestu osób oświadczył, iż ma dowód, że Jakub de Boiscoran jest ofiarą swoich postępowych przekonań, że stronnictwo monarchiczne nie może mu darować, iż opuścił jego szeregi i że jezuici maczali w tym palce.

Interwencja ta jeszcze bardziej zaszkodziła Jakubowi, co się niebawem okazało.

Tego samego wieczora pan Galpin-Daveline przechodząc przez plac Nowego Targu został haniebnie wygwizdany. Naturalnie rozszokowany sędzia śledczy udał się do mera, jego czyniąc odpowiedzialnym za zniewagę wyrządzoną sprawiedliwości w jego osobie i domagał się użycia jak najenergiczniejszych środków represyjnych.

Pan Seneschal obiecał przedsięwziąć stosowne kroki i pobiegł do pana Daubigeona, prokuratora, aby się z nim porozumieć. Tam się dowiedział, co się stało w Boiscoran i zarazem o okropnym rezultacie śledztwa.

Powrócił więc do siebie smutny, zmartwiony położeniem Jakuba i zaniepokojony barwą polityczną, jaką ta sprawa zaczynała przybierać.

Wśród tak ciężkich myśli spędził noc jak najgorzej i wstał w takim okropnym humorze, że nawet żona bała się do niego odezwać.

Bo też nie na tym był koniec. Punkt o drugiej godzinie miał być pogrzeb Boltana i Guilbaulta i on przyrzekł kapitanowi Paranteau, że na nim będzie, opasany swoją szarfą, na czele części rady miejskiej.

I chciał właśnie kazać sobie przygotować galowy mundur, kiedy służący oznajmił mu wizytę pana de Chandorego i jakiegoś drugiego pana.

— Tego tylko jeszcze brakowało! — zawołał.

Ale po chwili namysłu rzekł:

— Trochę wcześniej, czy później, ta scena i tak się musi odbyć. Proś!

Pan Seneschal niepotrzebnie tak się niepokoił i uzbrajał w siły moralne przeciw rozdzierającemu wybuchowi boleści.

Oslupiał widząc, jak spokojnie i swobodnie pan Chandore przedstawia swego towarzysza:

— Pozwól sobie, mój drogi, przedstawić pana Emanuela Folgata, jednego z renomowanych adwokatów paryskich, który był tak dobry towarzyszyć margrabinie de Boiscoran, przybyłej dziś z rana do Sauveterre.

— Jestem tutaj obcy, panie merze — odezwał się pan Folgat — nie znam tutejszych zwyczajów, obyczajów, interesów, przesądów, jednym słowem tutejszych stosunków i z łatwością mógłbym popełnić wielkie głupstwo, gdybym nie miał doradcy doświadczonego, rozumnego i pewnego. Pan de Boiscoran i pan de Chandore zrobili mi nadzieję, że pan zechce być tym doradcą.

— Z całego serca, proszę pana — odpowiedział z ukłonem pan Seneschal, widocznie ujęty tym objawem szacunku ze strony paryskiego adwokata.

Przysunął gościom krzesła. Sam także usiadł wsparłszy rękę na poręczu skórzanego fotela, gładził ręką świeżo ogolony podbródek.

— To bardzo poważna sprawa, moi panowie — odezwał się nareszcie.

— Jak każda sprawa kryminalna — odezwał się pan Folgat.

— Cóż u licha, panowie — zawołał pan Chandore — czyż wątpicie o niewinności Jakuba?

Pan Seneschal nie odpowiedział: nie. Milczał. Szukał tych oględnych wyrażen, o których wczoraj mówiła jego żona.

— Skąd można wiedzieć — zaczął wreszcie — jakie myśli mogą powstać w młodzieńczej głowie wzburzonej pewnymi wspomnieniami obrazy! Gniew jest złym doradcą.

Dziadek Chandore nie mógł dłużej tego słuchać.

— Co mi pan mówisz o gniewie — przerwał. — Ja tu widzę tylko jedną z najpodlejszych zbrodni, wcześniej obmyślaną i wykonaną z zimną krwią.

Mer pokiwał głową.

— Pan nie wiesz wszystkiego, co się stało — rzekł.

— Toteż — rzekł pan Folgat — przyszliśmy do pana w nadziei, że nas objaśnisz.

— A więc dobrze — odrzekł pan Seneschal i opowiedział im wypadki, których był świadkiem w Valpinson i te, które zaszły w Boiscoran, a które mu opisał prokurator, wreszcie tak zakończył:

— Wiecie panowie w końcu, co mi powiedział Daubigeon, w którego świadectwo przecież wierzycie? Sam mi to powiedział: Daveline nie mógł nie kazać zaarrestować pana de Boiscorana. Czy jest winny? O tym nie wiem, co sądzić. Pozory są fatalne. On zaklina się na wszystkie świętości, że jest niewinny, ale nie chce powiedzieć, co robił w ostatni wieczór.

Pan Chandore, ów człowiek tak silny, był bliski zemdlenia.

— Boże mój, co na to powie Dioniza! — szepnął. A potem zwracając się do pana Folgata rzekł:

— A jednak Jakub musiał mieć jakieś projekty na ten wieczór.

— Tak pan sądzisz?

— Jestem tego pewny. Czyż inaczej nie byłby przyszedł do nas, tak jak przychodził co wieczór od miesiąca? Zresztą sam to powiada w liście, który przysłał Dionizie przez jednego ze swoich dzierżawców, gdzie pisze do niej: „Całą duszą przeklinam sprawę, która mi nie pozwala spędzić z panią dzisiejszego wieczoru, ale nie mogę jej odłożyć do jutra. Do widzenia zatem”.

— Widzisz więc pan! — zawołał pan Seneschal.

Ale młodego adwokata nie przekonywało to zupełnie.

— Widocznie — rzekł — pan de Boiscoran nie chce za nic w świecie, żeby wiadano, gdzie był.

— Skłamał, proszę pana — zawołał pan Seneschal — naprzód zaczął zaprzeczać temu, że szedł drogą, na której go spotkali świadkowie.

— Naturalnie, skoro mu chodzi o to, żeby ukryć miejsce, w którym był.

— Nawet wtedy, kiedy mu powiedziano, że jest aresztowany, nie chciał nic powiedzieć.

— Bo ma nadzieję, że się potrafi wywikłać z tej sprawy nie mówiąc tego, gdzie był.

— Gdyby to była prawda, byłaby to zawsze rzecz dziwna.

— Trafiało się wiele rzeczy jeszcze dziwniejszych.

— Pozwolić się oskarżyć o zabójstwo i podpalenie, kiedy się jest niewinnym!

— Być niewinnym i pozwolić się skazać to jeszcze gorzej. A jednak bywały tego przykłady.

Młody adwokat mówił tym tonem stanowczym i zwięzłym, który jest niejako cechą ludzi jego zawodu, z taką przy tym pewnością, że się panu Chandoremu zdawało, jak gdyby się odradzał na nowo.

Pan Seneschal zmieszał się.

— Cóż pan tedy myślisz? — zapytał.

— Że pan de Boiscoran musi być niewinny — odpowiedział młody adwokat.

I nie pozwalając sobie przerwać:

— To jest — mówił dalej — zdanie człowieka, któremu żadne względy nie krępują sądu. Przyjeżdżam bez żadnych naprzód powziętych myśli. Nie znam ani pana de Claudieuse'a, ani pana de Boiscorana. Została popełniona zbrodnia, opowiadają mi, jakie jej towarzyszyły okoliczności, a ja w tej chwili dochodzę do wniosku, że te same fakty, wskutek których aresztowano oskarżonego, mnie by go kazały wypuścić na wolność.

— Och!

— Wytłumaczę to panu. Jeżeli pan de Boiscoran jest winny, to sposobem, w jaki przyjął pana Galpin-Daveline'a okazał nadzwyczajną władzę nad sobą i nieporównany talent aktorski. A więc, jeżeli jest winny, jest bardzo zręczny.

— Jednakże...

— Pozwól pan. Jeżeli jest winny, okazał podczas indagacji zupełny brak zimnej krwi i, nazwijmy rzecz po imieniu, dał dowód wielkiej głupoty. Jeżeli więc jest winny, jest bardzo niezręczny.

— Ależ...

— Przepraszam, zaraz skończę. Czyż ten sam człowiek może być jednocześnie tak zręczny i zarazem tak niezręczny? Osądźcie panowie. Co więcej, gdyby pan de Boiscoran był winny, to należałoby go posłać do Charanton, a nie na galery, gdyż nie będąc wariatem, byłby wylał wodę, w której mył sobie ręce poczernione od węgla i zakopał gdzie bądź tę strzelbę Klebba, którą sędzia śledczy tak zwycięsko potrząsa.

— Jakub uratowany! — zawołał pan de Chandore.

Pan Seneschal nie był tak skory do uniesień.

— Jest to wyborne rozumowanie — rzekł — na nieszczęście sędziom, którzy mają pełne ręce dowodów, trzeba Czegoś innego, aniżeli dedukcji, choćby nie wiem jak logicznej.

— Wyszukamy im jeszcze coś lepszego.

— Cóż pan zamierza począć?

— Nie wiem jeszcze. Wypowiedziałem panom moje pierwsze wrażenie, teraz muszę bliżej zbadać całą sprawę, muszę wybadać ludzi, poczynając od starego Antoniego.

Pan de Chandore powstał.

— Możemy za godzinę być w Boiscoran. Czy mam posłać po powóz?

— Im prędzej, tym lepiej — odrzekł młody adwokat.

Posłany służący pana Seneschala wrócił po kwadransie oświadczając, że powóz już zjechał.

Kiedy pan de Chandore i pan Folgat siadali do niego, mer odezwał się jeszcze do młodego adwokata:

— Przede wszystkim bądź pan ostrożny i uważny. Sprawa ta już i tak zanadto zaczyna gorączkować opinię publiczną. Miesza się w to polityka. Obawiam się manifestacji podczas pogrzebu strażaków, a doniesiono mi, że doktor Seignebos zamierza powiedzieć mowę na cmentarzu. Zresztą, szczęść Boże!

Stangret zaciał konia, a podczas gdy powóz toczył się wzdłuż przedmieścia des Dames, pan Chandore powiedział:

— Nie mogę pojąć tego, że Antoni nie zjawił się u mnie zaraz po aresztowaniu swego pana. Co mu się mogło stać?

Koń pana Seneschala może był jednym z najlepszych w całej okolicy, ale koń pana de Chandorego był jeszcze lepszy.

W niespełna pięćdziesiąt minut podróży przebyli te trzynaście kilometrów, które oddzielają Boiscoran od Sauveterre.

Gdy stanęli na miejscu, podworec zamku Boiscoran był milczący i pusty. Drzwi i okna były zamknięte. Na schodach siedział młody wieśniak silnej budowy, który na widok przybyłych wstał i podniósł rękę do wełnianej czapki.

— Gdzie jest Antoni? — zapytał go pan de Chandore.

— Na górze, proszę pana barona.

Pan de Chandore chciał otworzyć drzwi, ale te stawiały mu opór.

— Pan Antoni jest zabarykadowany od wewnątrz — odezwał się wieśniak.

— Szczególny koncept — rzekł pan de Chandore, stukając do drzwi laską.

Musiał pukać długo i coraz mocniej, zanim z wnętrza odezwał się głos

Antoniego:

— Kto tam?

— Ja, do licha! Baron de Chandore.

Rygle odsunęły się z trzaskiem i ukazał się stary kamerdyner. Był blady i znękany. Z nieporządku, w jakim się znajdowały jego włosy, broda i ubranie łatwo było odgadnąć, że się nie kładł. To było dziwne u człowieka, który zawsze uważał za punkt honoru zachowywać nienaganną powierzchowność gentlemana angielskiego.

Pana de Chandorego tak to uderzyło, że przede wszystkim zapytał się;

— Co tobie, mój Antoni?

Zamiast odpowiedzi wierny sługa poprosił barona i jego towarzysza do domu, a zamknąwszy drzwi, stanął przed nimi z założonymi rękami i dziwnym głosem rzekł:

— Co mi jest? Mnie jest to... że się boję!

Baron i adwokat spojrzeli po sobie.

— Biedak, zwariował! — pomyśleli sobie.

Antoni domyślił się tego, gdyż zawołał:

— Nie, nie! Nie jestem wariatem, chociaż tu doprawdy dzieją się takie rzeczy, że człowiek mimowolnie pyta się sam siebie, czy jest jeszcze przy zdrowych zmysłach? Ja się boję, ale mam do tego powody!

— Miałżebyś wątpić o swoim panu? — zapytał go pan Folgat.

Pocziwy sługa rzucił na pytającego tak groźne spojrzenie, że pan de

Chandore pospieszył z interwencją.

— Widzisz, mój Antoni, ten pan jest naszym przyjacielem adwokatem, który przyjechał z Paryża z panią de Boiscoran, żeby stawać w obronie Jakuba. Nie tylko więc nie powinieś się go obawiać, ale musisz powiedzieć wszystko, co wiesz, wszystko i bez żadnych zastrzeżeń.

Twarz zacnego sługi rozjaśniła się.

— A — zawołał — to pan jesteś adwokatem, chwała Bogu! Powiem panu wszystko, co mam na sercu. Nie, panie, ja nie myślę, żeby mój pan był winny, to jest niepodobieństwo. Ale myślę, a nawet jestem pewny, że to jest rzecz ukartowana, żeby na jego karb złożyć wszystkie te okropności, które zaszły w Valpinson.

— Rzec ukartowana! — zawołał pan Folgat. — Przez kogo, w jakim celu?

— Właśnie, że tego nie wiem. Aleja się nie myślę i panowie bylibyście tego samego zdania, gdybyście byli obecni podczas indagacji. To było coś okropnego, proszę panów, coś niesłychanego tak dalece, że była chwila, gdy zwątpiłem o moim panu i radziłem mu, żeby uciekał. Nie, to niesłychane. Wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. Każda jego odpowiedź była jakby przyznaniem się do winy. Stała się zbrodnia w Valpinson, jego widziano idącego tam i wracającego bocznymi drogami. Podłożono ogień, woda, w której on mył sobie ręce zaczerniona była węglami. Padły dwa strzały niedaleko miejsca, gdzie pan de Claudieuse został raniony, znaleziono rurkę z jego naboju. I właśnie to przekonało mnie, że to rzecz ukartowana. Czyż podobna, żeby wszystkie okoliczności tak się właśnie złożyły, gdyby nie były naprzód przewidziane, obliczone i ułożone? Pocziwy pan Daubigeon miał łzy w oczach, a nawet ten wścibski Mechinet był zmieszany. Tylko ten nieszczęsny Galpin-Daveline zdawał się być zadowolony. Niby to przyjaciel pana! Człowiek, który co chwila przyjeżdżał tutaj, jadł nasz chleb, wysypiał się w naszych łóżkach i strzelał do naszej zwierzyny. Wtenczas to pełzał prawie przed panem, żeby pozyskać rękę siostrzenicy panien Lavarande. Wtedy to inaczej nie mówił, tylko: mój drogi Jakubie, mój kochany Boiscoranie, a przymilał się, a zaklinał, a płaścił się bez końca. Teraz sobie za to powetował! Trzeba było widzieć wczoraj rano, z jaką on to miną mówił do pana: teraz nie jesteśmy już przyjaciółmi! Nie jesteśmy już przyjaciółmi! Gdyby była w niebie sprawiedliwość, to ty miałbyś w brzuchu te dwa naboje, które wpakowano w pana de Claudieuse'a i nie strawiłbyś ich, łotrze!

Pan de Chandore niecierpliwił się i gdy Antoni zatrzymał się na chwilę, żeby odetchnąć, zapytał go:

— A dlaczegoś nie przyszedł do mnie natychmiast opowiedzieć wszystko?

Stary sługa wzruszył ramionami.

— Alboż mogłem? — odrzekł. — Skończywszy indagację Galpin wszystko opieczętował jak po nieboszczyku. Na głównych drzwiach położył aż trzy pieczęcie. Potem mi powiedział, że mnie mianuje dozorcą, że będę za to płatny, ale że mnie czekają galery, jeżeli ktokolwiek dotknie pieczęci choćby końcem palca. Po czym, oddawszy pana w ręce żandar mów, odjechał sobie zostawiając mnie tutaj samego. Mimo to byłbym się udał do pana barona, gdyby mi nie była przyszła myśl, na którą zadrzałem.

Dziadek Chandore tupnął nogą.

— Do rzeczy — rzekł — do rzeczy!

— Otóż tak. Podczas indagacji wiele mówiono o strzelbie Klebba, którą pan miał ze sobą w dzień pożaru. Galpin próbował tej broni, a później się zapytał, kiedy pan strzelał z niej ostatni raz. Pan odpowiedział, że przed pięcioma dniami. Słyszycie panowie, co ja mówię: przed pięcioma dniami. Po czym Galpin postawił strzelbę na swoim miejscu, nie przypatrując się lufom.

— No i cóż? — rzekł pan Folgat.

— Co proszę pana? Ja, Antoni, przedwczoraj, wyraźnie mówię: przedwczoraj, myłem i czyściłem panu strzelbę.

— Aj, do licha! — zawołał pan Chandore. — Czemużeś tego, mój Antoni, wcześniej nie powiedział? Jeżeli lufy są czyste, to najoczywistszy dowód, że Jakub jest niewinny!

Stary sługa pokiwał głową.

— To prawda — rzekł — tylko... czy są czyste?

— Och!

— Pan może się mylić co do dnia, w którym po raz ostatni strzelał, a wtedy lufy będą zanieczyszczone i zamiast go ocalić, moje zeznanie stanowczo by go zgubiło. Trzeba się wpierv przekonać, a dopiero mówić.

— Tak jest — rzekł pan Folgat — dobrześ zrobił, mój przyjacielu, żeś milczał i zaklinam cię na wszystko, żebyś nikomu na świecie nie mówił o tej okoliczności, która dla obrony może być silnym argumentem.

— Och, potrafię milczeć, proszę pana, niech tylko pan sobie wyobrazi, co mi krwi napuły te przekłete pieczęcie, które nie pozwoliły mi przekonać się, w jakim stanie jest strzelba. Och, gdybym tak śmiał je złamać!

— Antoni!

— Przychodziło mi to na myśl, alem dał pokój. Tylkom sobie pomyślał, że coś podobnego może przyjść do głowy i innym. Te łotry, ci, co to zrobili naprawdę, na wszystko się odważą, czyż nie? Więc ja umieściłem karbowego na straży w ogrodzie, jego syna postawiłem na czatach w dziedzińcu, a sam pilnowałem pieczęci z bronią w rękę.

Niech mówią, co chcą, ale adwokaci są więcej wari niż głosi opinia. Adwokat tak posądzany o sceptycyzm, jest najczęściej łatwoweri i naiwny. Szczerze się przejmuję i wtedy, kiedy wszyscy myślą, że gra komedię, on to robi w dobrej wierze. W trzech czwartych zawsze wygrana bywa w jego umyśle najgorsza sprawa, której broni i którą wobec sądów przegręwa.

Pan Folgat od czasu swego przybycia do Sauveterre nabierał coraz silniejszego przekonania o niewinności Jakuba de Boiscorana; opowiadanie Antoniego jeszcze go bardziej utwierdziło w tym mniemaniu. Nie przypuszczał, żeby to miał być jakiś spisek. Pewny był niemal, że to sprawka jakiegoś łotra, który skorzystał z okoliczności jemu tylko znanych, żeby odpowiedzialność za zbrodnię przez siebie popełnioną zwalić na pana de Boiscorana.

Ale potrzebował jeszcze innych wyjaśnień, które trudno było wydostać od Antoniego, będącego w stanie gorączkowego rozdrażnienia.

Bo badać człowieka, nawet usposobionego do mówienia nie jest rzeczą łatwą. I jeśli ktoś nie zabiera się do tego z zimną krwią, nie robi tego starannie i systematycznie, to bardzo łatwo może pominąć jakiś fakt, jakąś bardzo ważną okoliczność.

Toteż pan Folgat odezwał się po chwili:

— Mój pocziwy Antoni, pochwalam zupełnie twoje postępowanie w całej tej sprawie. Jeszcze mam dużo z tobą do pomówienia. Tylko widzisz, ponieważ od czasu, gdy wczoraj wyjechałem z Paryża, nic jeszcze dotąd nie jadłem, a słyszę, że bije dwunasta...

Pan de Chandore uderzył się w czoło:

— Stary niedołęga ze mnie! — zawołał. — Jak ja mogłem niczym pana nie poczęstować! Ale mi pan wybaczysz, nieprawdaż, taki jestem wzburzony! Gospodyni ma jaja, półgąski i szynkę...

— To, co może być prędzej, będzie najlepsze — odrzekł młody adwokat.

— Za kwadrans śniadanie będzie gotowe! — zawołał pocziwy sługa.

I wybiegł z pokoju, a pan Chandore przez ten czas wprowadził pana Folgata do salonu.

— Ta okoliczność ze strzelbą — rzekł — to zbawienie, nieprawdaż?

— Może — odpowiedział adwokat.

I zamilkli obaj, dziadek myśląc o rozpaczy wnuczki i przeklinając dzień, w którym otwierając Jakubowi wstęp do swego domu, otworzył go zarazem tyłu strasznym bólem, adwokat porządkując w głowie fakty, o których się dowiedział i przygotowując pytania, które miał jeszcze zadać.

Tak byli pograżeni w swoich myślach, że się aż wzdrygnęli, kiedy do pokoju wszedł Antoni i rzekł:

— Proszę panów do stołu.

Stół był nakryty w pokoju jadalnym, baron i adwokat usiedli przy nim, a pocziwy sługa stanął z boku za nimi, z serwetą na rękę, gdy wtem pan Chandore odezwał się:

— Podaj trzecie nakrycie, Antoni, i zjedz razem z nami śniadanie.

— Och, panie — zaczął pocziwy kamerdyner — panie baronie...

— No, siadaj — powtórzył pan Chandore — czas byś tylko mitrężył, gdybyś dopiero po nas jadł, a taki jak ty sługa należy do rodziny.

Antoni usiadł zmieszany, ale aż się zarumieniwszy z radości, że go taki honor spotkał, bo pan baron de Chandore nie grzeszył zbytkiem poufałości.

— Teraz — rzekł pan Folgat, gdy już sprzątnięto szynkę i jaja — powróćmy do naszej rozmowy. Powiedz mi, jakie tu były zwyczaje pana de Boiscorana.

— Tutaj, proszę pana, nie miał prawie żadnych. Przyjeżdżaliśmy tu tak rzadko i na tak krótko!

— To nic, ale jakie życie tu prowadził?

— Wstawał późno, dużo się przechadzał, czasami polował, rysował, czytał, bo mój pan to wielki amator czytania, on tak lubi książki jak pan margrabia, jego ojciec, swoją porcelanę.

— Któż u niego bywał?

— Najczęściej pan Galpin-Daveline, doktor Seignebos, proboszcz z Brechy, pan Seneschal i pan Daubigeon.

— Gdzie spędzał wieczory?

— U pana barona de Chandorego, który sam to może poświadczyć.

— Nie miał żadnych innych kontaktów w okolicy?

— Nie.

— A czy nie miał przypadkiem jakiej... przyjaciółki?

Antoni zawstydział się niezmiernie.

— Och, proszę pana — rzekł — czy pan nie wie, że mój pan jest narzeczoną panny Dionizy!

Baron de Chandore nie był wczorajszym człowiekiem, jak to lubił powtarzać. Mimo że ta rzecz mocno go obchodziła, wstał i rzekł:

— Muszę trochę wyjść na świeże powietrze.

I wyszedł, rozumiejąc, że obecność jego jako dziadka Dionizy, mogła powstrzymać prawdę na ustach Antoniego.

— Cóż to za rozumny człowiek — pomyślał sobie pan Folgat.

Po czym rzekł:

— Mój Antoni, ponieważ jesteśmy sami, mówmy tedy otwarcie. Czy pan de Boiscoran miał tutaj jaką kochankę?

— Nie, panie.

— Czy nigdy jej nie miał?

— Nigdy. Powiedzą panu może ludzie, że lubił niejaką Fougrouse, tęgą rudą dziewczynę, córkę młynarza, która mieszka niedaleko stąd i że ona przychodziła do zamku częściej niż trzeba było, pod tym lub owym pozorem. Ale to było dzieciństwo. Zresztą to już pięć lat temu, a Fougrouse od trzech lat wyszła za mąż za solarza z okolic Marennes.

— Czy jesteś tego pewny?

— Tak jak tego, że żyję. I pan byłbyś tego pewny, gdybyś pan znał tak jak ja miasteczko i tutejsze złe języki. Żadne wybiegi ani ostrożności na nic się nie przydadzą; niech kto trzy razy pomówi z kobietą, a już o tym wszyscy będą wiedzieli. W Paryżu to co innego.

Pan Folgat nadstawił ucha.

— Więc było coś takiego w Paryżu? — zapytał się.

Ale Antoni wahał się odpowiedzieć.

— Bo widzi pan — jękał się — tajemnice mojego pana nie są moimi tajemnicami, a przysięga, którą mu złożyłem...

— Od twojej szczerości zależy może ocalenie twojego pana — przerwał adwokat — bądź pewny, że ci tego nie weźmie za złe, jeśli powiesz.

Kilka jeszcze chwil poczciwy sługa nie mógł się zdecydować, nareszcie rzekł:

— No, to mój pan, jak to mówią, zaszalał.

— Kiedy?

— Tego nie wiem, zaczęło się to jeszcze przedtem, nim ja nastałem. Tyle tylko wiem, że pan dlatego, żeby przyjmować... kupił w Passy, w końcu ulicy de la Vignes piękny dom otoczony ogrodem i kazał go z przepychem urządzić.

— Ach!

— Jest to tajemnica, o której naturalnie nie wiedzą rodzice pana. A jeśli ja wiem o tym, to tylko dlatego, że pan będąc raz w tym domu, spadł ze schodów, wywichnął nogę i sprowadził mnie, żebym go pielęgnował. Dom ten kupił zapewne pod swoim nazwiskiem, ale pod obcym nazwiskiem w nim mieszkał. Podawał się za Anglika Burnetta, miał Angielkę służącą.

— A... ta pani...

— Cóż, nie tylko jej nie znam, ale nawet nie mam pojęcia, kim ona była. Jaka ona była ostrożna! Tak prawdę mówiąc, jakem tam był, zebrała mnie ciekawość wybadać tę służącą Angielkę. Ale ona mi powiedziała, że wie tyle, co i ja, że wie wprawdzie, że tu przychodzi jakaś pani, ale że nie mogła nigdy zobaczyć nawet końca jej nosa. Pan się zawsze tak zrzęcznie urządzał, że służąca była na mieście, kiedy ta pani przychodziła i wychodziła. Kiedy była w domu, to pan i ta pani sami sobie usługiwali. A jak się chcieli przejść po ogrodzie, wysyła-

li służącą za jakimiś sprawunkami to do Wersalu, to do Fontainebleau, co ją naturalnie doprowadzało do wściekłości.

Pan Folgat machinalnie kręcił w palcach kosmyk swej brody.

Zdawało mu się przez chwilę, że dostrzeżę kobietę, tę niezbędną kobietę, której wpływ odkryć można w głębi każdego czynu mężczyzny, tymczasem postać ta zaczęła mu niknąć. Na próżno szukał jakiegokolwiek możliwego, jeżeli już nieprawdopodobnego związku między tajemniczą kobietą z ulicy de la Vignes a wypadkami, których teatrem było Valpinson; nie znalazł, niestety, żadnego!

Zawiedziony odezwał się:

— No, ale jak ci się zdaje, mój Antoni? Dzisiaj ten romans twego pana zapewne już nie istnieje?

— Zdaje się, proszę pana, skoro się pan Jakub żeni z panną Dionizą.

Nie był to taki przekonujący dowód, jak się staremu słudze mogło zdawać, jednakże młody adwokat nic na to nie odpowiedział.

— I jak ci się też zdaje — rzekł — kiedy się to mogło skończyć?

— W czasie wojny, proszę pana. Zapewne się wtedy ze sobą rozstali, bo pan wyjechał z Paryża. Dowodził kompanią wojska, nawet był ranny w głowę, za co dostał krzyż.

— Czy ma jeszcze ten dom na ulicy des Vignes?

— Zdaje mi się.

— A skądże ci się tak zdaje?

— Bo po wypadkach byliśmy z panem osiem dni w Paryżu; wtedy jednego wieczora rzekł do mnie: „Wojna i komuna bardzo dużo mnie kosztują. Domek mój połknął ze dwadzieścia kartaczy, mieszkali w nim kolejno wolni strzelcy, komuniści i żołnierze. Mury w nim jak rzeszoto, nie zostało ani jednego całego sprzętu. Mój budowniczy powiada mi, że reperacja kosztować mnie będzie ze cztery tysiące franków”.

— Co? Reperacja! A więc wtenczas jeszcze widać ten dom był mu potrzebny?

— Wtenczas nie było jeszcze mowy o małżeństwie mojego pana.

— Dobrze, ale ta okoliczność dowodziłaby, że w tym czasie widywał się znów z ową tajemniczą damą i że wojna nie zerwała ich stosunków...

— To bardzo możliwe.

— Ale tobie nie mówił nigdy nic o tej kobiecie.

— Ani słówka.

Zamilkł. W sieni zaczął kaszleć pan Chandore z wyraźną intencją, żeby usłyszano, iż wraca.

— Dalibóg, panie baronie — odezwał się pan Folgat, dając mu przez to poznać, że obecność jego w niczym mu nie przeszkadza — chciałem już iść pana szukać.

— Dziękuję panu — odrzekł baron — owszem powietrze zupełnie mnie orzeźwiło.

Usiadł, a wtedy adwokat zwracając się do Antoniego, rzekł:

— Wróćmy do pana de Boiscorana. Powiedz mi, w jakim usposobieniu był pan w ów dzień, kiedy się spaliło Valpinson?

— W takim jak zwykle, proszę pana.

— Co robił, zanim wyszedł?

— Zjadł obiad, jak zwykle z doskonałym apetytem, potem poszedł do siebie na górę i siedział tam z godzinę. Gdy zszedł, miał w ręce list, który oddał Michałowi, synowi jednego z dzierżawców, żeby go zaniósł do Sauveterre, do panny Chandore.

— A tak. W tym liście pisał do panny Dionizy, że nie może być w Sauveterre z powodu nader ważnej sprawy.

— Tak?

— Czy nie domyślasz się, co to mógł być za interes?

— Nie, proszę pana, przysięgam na wszystko.

— A jednak pan de Boiscoran bez ważnej przyczyny nie pozbawił się przyjemności spędzenia wieczoru przy narzeczonej.

— Zapewne.

— Nie bez pewnego też celu, zamiast iść gościńcem, puścił się przez wezbrane bagna, a wrócił przez las.

Stary Antoni znów stracił panowanie nad sobą.

— Ach, panie — zawołał — pan zupełnie tak mówisz, jak ten Gal-pin-Daveline!

— Na nieszczęście to samo musi powiedzieć każdy rozsądny człowiek.

— Wiem, proszę pana, wiem aż nadto dobrze! Sam pan Jakub czuł to tak dalece, że chciał znaleźć na to jakiś pretekst. Ale on nigdy w życiu nie kłamie, nie umie kłamać i choć to taki rozumny człowiek, wymyślił coś takiego, co nie miało sensu. Powiedział, że chodził do Brechy do tamtejszego handlarza drzewem.

— No, a dlaczegoż by nie? — odezwał się pan de Chandore.

Antoni pokiwał głową.

— Dlatego, że ten handlarz to czysty złodziej i że go pan jeszcze przed trzema laty wobec świadków wyrzucił od siebie za drzwi. My drzewo sprzedajemy do Sauveterre.

Pan Folgat wyjął z kieszeni książeczkę, w której notował sobie niektóre wskazówki dane przez Antoniego i tym sposobem rzucał już niejako pierwszy szkic i główne momenty swojej obrony.

Zanotowawszy, co mu było potrzebne, odezwał się znowu:

— A teraz przejdźmy do tego Cocaleugo.

— A! Łotr! — zawołał Antoni.

— Znasz go?

— A jakże bym go nie znał, ja, który całe życie spędziłem tutaj, w Boiscoran, w służbie nieboszczyka stryja mojego pana!

— No i któż to jest naprawdę ten Cocaleu?

— Idiota, proszę pana, czyli, jak to nazywają takich, niewiniątko, który w dodatku ma taniec świętego Wita i wielką chorobę.

— A więc jest powszechnie znany jako pozbawiony zdrowych zmysłów?

— Tak jest, proszę pana. Chociaż słyszałem ludzi utrzymujących, że on nie jest taki głupi, jak się zdaje, i że bardziej udaje głupiego.

Tutaj odezwał się pan de Chandore:

— Pod tym względem będzie mógł pana bardzo szczegółowo objaśnić pan doktor Seignebos, gdyż on trzymał tego Cocaleugo coś dwa lata u siebie.

— Ja też właśnie chciałem się widzieć z doktorem — odrzekł Folgat — ale przede wszystkim trzeba by odszukać tego idiotę.

— Słyszałeś pan, że właśnie pan Seneschal wysłał za nim żandarmów.

Antoni skrzywił się na to.

— Ech, żandarmi — rzekł — chyba wtedy złapią Cocaleugo, gdy on im się sam zechce dać złapać.

— A to dlaczego?

— Dlatego, proszę panów, że nikt tak jak to „niewiniątko” nie zna wszystkich kątów i zakątków w całej okolicy, wszystkich dziur, gęstwin i kryjówek, i że on przyzwyczajony jest żyć jak dziki człowiek owocami, korzonkami i ptaszkami; o tej porze roku może najmniej przez trzy miesiące nie zbliżać się do ludzkiego mieszkania.

— To źle! — rzekł z niezadowoleniem pan Folgat.

— Znam tylko jednego człowieka — mówił dalej stary sługa — który mógłby wytropić Cocaleugo. Jest to syn naszego karbowego, Michał.

— Zawołaj go tutaj — rzekł pan de Chandore.

Michał stawiał się niebawem, a gdy mu powiedziano, o co chodzi, rzekł:

— Ha! Są tam na to sposoby, choć to nie przyjdzie łatwo. Cocaleu, choć nie ma rozumu ludzkiego, ma spryt dzikiego zwierza. No, ale spróbujemy.

Panowie Chandore i Folgat nie mieli już co robić dłużej w Boiscoran.

Biła piąta na katedrze w Sauveterre, gdy przybyli na ulicę de la Rampe.

Panna Dioniza czekała na nich w salonie. Gdy weszli, powstała blada, z oczyma suchymi i błyszczącymi.

— Jak to! Jesteś sama! — zawołał pan de Chandore. — Samą cię zostawiono?

— Nie gniewaj się, dziadziu. Uprosiłam panią de Boiscoran, która pada ze znużenia, żeby z godzinę wypoczęła przed obiadem.

— A ciotki Lavarande?

— Wyszły, proszę dziadzi. W tej chwili muszą być u pana Galpin-Daveline'a.

Pan Folgat aż podskoczył.

— Och! — zawołał.

— Ależ to nie ma sensu! — oburzył się pan baron.

Dziewczę jednym słowem zamknęło mu usta:

— To ja tego chciałam, dziadziu!

Rzeczywiście to, co zrobiły panny de Lavarande, nie miało sensu. W takim stanie rzeczy, jaki się przedstawiał wówczas, pójdzie do pana Galpin-Daveline'a mogło mu dostarczyć nowej broni do potępienia Jakuba.

Ale któż temu był winien, jeśli nie pan de Chandore z panem Folgatem? Czyż nie postąpili sobie najnierozsądniej, nie uprzedziwszy o swoim wyjeździe do Boiscoran i kazawszy tylko powiedzieć przez służącego pana Seneschala, że wrócą na obiad i żeby się o nic nie niepokoiono.

Nie niepokoić się! Co znaczyły takie słowa dla margrabiny de Boiscoran i dla panny Dionizy, dla matki i dla narzeczonej Jakuba!

Wprawdzie w pierwszej chwili starały się uspokajać nawzajem, lecz w miarę jak upływały godziny, trwoga brała nad nimi górę, a boleść wzmagala się z wolna.

Wyobrażały sobie Jakuba niewinnego, a jednak traktowanego jak ostatni zbrodniarz, samotnego, jęczącego w głębi więzienia, oddanego na łup najstraszniejszej rozpacz. Czyż nie mogło mu się zdawać, że nim wzgardzono, że się go wyrzeczono?

— Ta myśl jest nie do zniesienia! — zawołała wreszcie panna Dioniza. — Trzeba się do niego dostać, choćby nie wiedzieć za jaką cenę!

— Ale jak? — zapytała się pani de Boiscoran.

— Nie wiem, ale przecież musi być jaki sposób. Są rzeczy, na które sama nie odważyłabym się nigdy, ale z tobą, kochana matko, mogę wszystkiego próbować. Chodźmy do więzienia.

Pani de Boiscoran żywo zarzuciła na ramiona swój płaszcz podróżny.

— Jestem gotowa — rzekła — chodźmy!

Słyszały one wprawdzie, że Jakub osadzony jest w „ściśłym” więzieniu, ale żadna z nich nie miała wyobrażenia, co to znaczy.

Dla nich wyrażenie to znaczyło po prostu: pozbawienie wolności, celę więzienną z lichymi sprzętami, kraty w oknach, rygle u drzwi, dozorcę brząkającego pękami kluczy wśród ponurych korytarzy i sztyldwacha na dziedzińcu.

— To niemożliwe przecież — mówiła pani de Boiscoran — żeby mi nie pozwolono widzieć się z synem.

— Naturalnie, że niemożliwe — potakiwała jej panna Dioniza — a poza tym ja tam znam dozorcę Blanguina, którego żona niegdyś służyła u nas.

Z zupełną więc ufnością młode dziewczę wzięła rączką podniosła ciężki młot wiszący u bramy więzienia.

Blanguin sam otworzył, a na widok tych nieszczęśliwych kobiet ogromne zdziwienie odmalowało się na jego szerokiej twarzy.

— Przychodzimy zobaczyć się z panem de Boiscoranem — odezwała się rezolutnie panna Dioniza.

— A mają panie pozwolenie? — zapytał się dozorca.

— Pozwolenie! A od kogo?

— Od pana Galpin-Daveline'a.

— Nie mamy żadnego pozwolenia.

— W takim razie, choć z przykrością, muszę oświadczyć paniom, że nie będą się mogły widzieć z panem de Boiscoranem. On jest zamknięty w ściśłym więzieniu, a ja otrzymałem najsurowsze rozkazy.

— Jak to! Nie miałbyś pan pozwolić zrozpaczonej matce uściskać syna!

— Ależ to nie ja, proszę pani! Któż ja jestem? Nic, rygiel, który sąd zasuwą lub odsuwają, gdy zechce.

Wtedy biedne dziewczę zrozumiało dopiero, że może się zawieść w swoich nadziejach.

— Ależ mnie, kochany panie Blanguin — zaczęła nalegać ze łzami w oczach — miałbyś także odmówić? Czyż mnie pan nie znasz? Czy żona nigdy panu o mnie nie mówiła?

Dozorca widocznie był wzruszony.

— Wiem, proszę pani — odrzekł — co oboje z żoną winniśmy dobroci pani, ale... ja mam rozkaz, a pani nie chciałaby zapewne, żebym stracił posadę, która stanowi całe moje utrzymanie.

— Jeżeli pan stracisz posadę, panie Blanguin, ja, Dioniza de Chandore, zapewniam pana, że dostaniesz inną, która ci przyniesie dwa razy tyle.

— Pani...

— Miałebyś pan nie ufać memu słowu?

— Niech mnie Bóg broni! Ale tu nie tylko o moją posadę idzie, gdybym zrobił to, czego pani ode mnie żąda, byłbym surowo ukarany.

Z tonu mowy dozorczy, pani de Boiscoran poznała, że panna Chandore nic nie wskóra.

— Nie nalegaj, moje dziecko — rzekła. — Chodźmy.

— Jak to! Nie dowiedziawszy się nawet, co się dzieje za tymi okropnymi murami, nie wiedząc nawet, czy Jakub żyje, czy umarł!

Znać było, że dozorca staczał walkę w głębi duszy. Nagle, tonem zwięzłym i oglądając się naokoło rzekł:

— Nie wolno mi mówić, ale mniejsza o to, nie pozwolę paniom stąd odejść, nie powie-
dziawszy wprzód, że pan de Boiscoran jest zupełnie zdrow.

— Ach!

— Wczoraj, kiedy go przyprowadzono, był jakby osłupiały, rzucił się na łóżko bez pamięci i leżał tak nieruchomo przeszło dwie godziny. Zdaje mi się, że płakał.

Łkanie, którego nie mogła powstrzymać panna Dioniza, wzruszyło pana Blanguina.

— Niech się pani uspokoi — rzekł żywo — ten stan trwał niedługo. Wkrótce pan de Boiscoran podniósł się mówiąc: „Ależ to nie ma sensu tak rozpaczać!”

— Czyś pan to słyszał? — zapytała go pani de Boiscoran.

— Nie osobiście. To Frumencjusz Cheminot słyszał.

— Frumencjusz Cheminot?

— Tak, jeden z naszych więźniów. Jest to prosty włóczęga, niezły zresztą chłopak, który ma polecenie stać na straży przy okienku celi więziennej pana de Boiscorana i nie tracić go nigdy z oczu. Panu Galpin-Daveline'owi przyszła na myśl taka ostrożność, bo to czasami uwięzieni w pierwszych chwilach, kiedy ich ogarnia rozpacz i niechęć do życia... o nieszczęście tak łatwo! Otóż ten Frumencjusz przeszkodziłby w takim razie.

Pani de Boiscoran drżała ze zgrozy. Ta ostrożność dawała jej najlepsze wyobrażenie o położeniu jej syna.

— Zresztą — mówił dalej Blanguin — teraz nie ma się już czego obawiać. Pan de Boiscoran znowu się stał spokojny, a nawet, śmiem powiedzieć, wesoły. Kiedy wstał dziś rano, przepawszy całą noc doskonale, zawołał mnie, żądając ode mnie papieru, atramentu i piór.

Tego zwykle żądają więźniowie drugiego dnia. Miałem rozkaz dać mu to wszystko, więc przyniosłem. A kiedyś mu potem zaniósł śniadanie, oddał mi list zaadresowany do panny de Chandore.

— Jak to? — zawołała panna Dioniza. — Pan masz list do mnie i nie oddajesz mi go!

— Bo, proszę pani, ja go już nie mam, oddałem go, jak mi to każe powinność, panu Galpin-Daveline'owi gdy przyszedł ze swoim pisarzem Mechinetem w celu przesłuchania pana de Boiscorana.

— I cóż on na to?

— Odpieczętował list, przeczytał go, włożył do kieszeni i powiedział: Dobrze!

Łzy, ale tym razem, łzy gniewu trysnęły z oczu panny Dionizy.

— Okropność — zawołała — ten człowiek śmiał czytać list, który Jakub pisał do mnie. To niktzemność!

I nie podziękowawszy nawet panu Blanguinowi pociągnęła za sobą panią de Boiscoran i do samego domu nie przemówiła ani słowa.

— Ach! Biedne dziecko! Nie udało ci się! — zawołały ciotki Lavarande, widząc wchodzącą siostrzenicę.

A gdy im Dioniza opowiedziała wszystko, zawołały:

— No, to my pójdziemy do tego urzędniczka, który wczoraj jeszcze płaszczył się, żeby schwycić posag naszej siostrzenicy. My jemu powiemy do słuchu. A jeżeli nie otrzymamy uwolnienia Jakuba, to przynajmniej zakłócimy mu ten tryumf i upokorzymy jego dumę.

Jakże panna Chandore nie miałaby przystać na pomysł ciotek Lavarande, pomysł dający bezpośrednio zadośćuczynienie jej gniewowi i pochlebający jej tajemnym nadziejom!

— O tak, macie słuszość, kochane ciotki — zawołała. — Spieszcie się, nie traćcie ani chwili.

Niezdolne opierać się tak tkliwym zaklęciom, panny Lavarande poszły w tej chwili, nie słuchając nieśmiałych protestów margrabiny de Boiscoran.

Ale poczciwe panny omyliły się co do usposobienia pana Galpin-Daveline'a. Ekspretenent do ręki ich siostrzenicy nie stąpił wcale po różach. Z początku rzucił on się był w tę sprawę gorączkowo, widząc w niej cudowną sposobność, na którą już od tak dawna czatował, a która miała mu otworzyć bramę dla jego ambicji. Potem, gdy już raz zaczął, gdy się wziął do indagacji, uniósł go prąd szybszy od rozwagi. I z pewnym rodzajem chorobliwego zadowolenia widział poszlaki mnożące się do tego stopnia, że go zmusiły niejako do wydania rozkazu aresztowania swego niegdyś przyjaciela. Wtedy został olśniony najwspanialszymi nadziejami. Czyż śledztwo to nie było dowodem wysokich zdolności i niepospolitej zręczności, skoro w przeciągu kilku godzin doprowadziło sąd od zbrodni prawie niemożliwej do wyjaśnienia, aż do winowajcy, którego by nikt nie śmiał podejrzewać!

Ale w kilka godzin później pan Galpin-Daveline już nie tym samym okiem zapatrywał się na wypadki. Ochłonawszy pod wpływem rozważań, zaczął wątpić o swej zręczności i zapatrywać sam siebie, czy się nie zanadto pośpieszył.

Jeżeli Jakub rzeczywiście był winowajcą, to wszystko składało się jak najlepiej. Po wyroku potępiającym obwinionego, otwierał się rzeczywiście awans dla sędziego.

— Tak... Ale jeżeli Jakub był niewinny!

Myśl ta po raz pierwszy zjawiwszy się w głowie pana Galpin-Daveline'a przejęła go dreszczem aż do szpiku kości. Niewinność Jakuba była wyrokiem potępienia dla niego, dla Galpin-Daveline'a, była śmiertelnym ciosem dla jego przyszłości, dla jego nadziei, dla jego kariery! Niewinność Jakuba była dla niego wyrokiem niełaski. Usunięto by go z Sauveterre, gdzie po takiej katastrofie pobyt jego stałby się niemożliwy. Wysłano by go do jakiego nieznanego zakątka bez nadziei awansu.

— Nadaremnie bym się bronił tym, że tylko spełniłem swój obowiązek. Odpowiedziano by mi, gdyby mi zresztą raczono odpowiedzieć, że są pewne niezręczności, pewne skandaliczne błędy, których urzędnik nie powinien się dopuszczać i że dla reputacji sądu, w interesie godności urzędu, lepiej jest w pewnych okolicznościach puścić bezkarnie winowajcę, aniżeli uwięzić niewinnego.

Z takim niepokojem, najstraszniejszym, jaki może rozdzierać serce człowieka ambitnego, pan Galpin-Daveline rzucił się na łożo, które mu się zdawało cierniami najeżone.

O szóstej z rana już nie spał. O jedenastej posłał po swego pisarza, i udali się razem do więzienia na dalsze przesłuchanie.

Wtedy to oddano mu ów list, który Jakub pisał do panny Dionizy.

List ten był krótki i taki, jaki może napisać człowiek zanadto rozumny, aby nie miał wiedzieć o tym, iż więzień nie powinien liczyć na nietykalność swojej korespondencji. Nie był nawet zapieczętowany, której to okoliczności nie dostrzegł był Blanguin.

Dionizo! Najdroższa moja! — pisał Jakub — myśl o strasznej boleści, którą Ci musiałem sprawić, jest dla mnie najokropniejszym i jedynym prawie cierpieniem. Mamże się zniżyć aż do przysięgi, że jestem niewinny? Nie, wszak prawda? Jestem ofiarą tak fatalnego zbiegu okoliczności, że musiały sąd wprowadzić w błąd. Ale nie trwóż się, bądź spokojna. Potrafię w danej chwili ten okropny błąd zniweczyć. Do widzenia!

Jakub

— Dobrze! — powiedział pan Galpin-Daveline po przeczytaniu tego listu.

Mimo to zadał mu on cios nie lada.

— Jaka pewność siebie! — pomyślał.

Jednakże idąc po schodach wiodących do więzienia, opamiętał się nieco. Jakub widocznie nie wyobrażał sobie, że jego list dojdzie prosto do celu swego przeznaczenia, można więc było przypuścić, że go pisał więcej dla sądu, niż dla panny Dionizy. Brak pieczętki dodawał pewnej wagi temu przypuszczeniu.

— Zresztą zobaczymy — powiedział sobie pan Galpin-Daveline w chwili, gdy mu Blanguin otwierał celę.

Ale znalazł Jakuba tak spokojnego, dumnego, a nawet drwiącego, jak gdyby był wolny i siedział we własnym zamku Boiscoran. Niepodobna było nic z niego wydobyć. Zarzucany pytaniami albo milczał uporczywie, albo odpowiadał, że potrzebuje zastanowić się i namyślić.

Toteż sędzia śledczy powrócił do domu bardziej zaniepokojony, aniżeli z niego wyszedł. Zachowanie się Jakuba niepokoiło go. Ach, gdyby się był mógł wycofać!

Ale nie mógł już tego zrobić, kości zostały rzucone, a on bądź co bądź musiał tą drogą iść aż do samego końca. Odtąd też dla jego ocalenia, dla jego przyszłości trzeba było, żeby Jakub de Boiscoran okazał się winny, został postawiony przed sąd przysięgłych i skazany. Konieczne to było potrzebne. Stało się to kwestią życia lub śmierci.

O tym właśnie myślał, kiedy mu oznajmiono, że panny de Lavarande chcą się z nim widzieć.

Zerwał się z krzesła i w jednej sekundzie podrażniony jego umysł objął wszelkie możliwe przypuszczenia: czego mogły od niego chcieć te dwie stare panny.

— Prosić — rzekł nareszcie.

Weszły sztywne, wyniosłe, nie chcąc nawet usiąść na fotelu, który im sędzia przysunął.

— Nie śmiałem nawet spodziewać się zaszczytu, jaki mnie spotyka — zaczął.

Starsza z ciotek Lavarande, panna Adela, przerwała mu.

— Spodziewam się — rzekła — po tym, co zaszło.

I od razu, z energią dewotki piorunującej na bezbożnika zaczęła mu wyrzucać to, co nazywała nikczemną zdradą. Jak to! On! Żeby występował przeciw Jakubowi, przeciw swojemu przyjacielowi! Człowiekowi, który podjął się uzyskać dla niego zaszczyt związku, o którym nawet nie powinien był marzyć! Przez to samo, że miał nadzieję zawarcia tego małżeństwa, był już niejako członkiem rodziny. Skądżeż więc był rodem, żeby o tym zapomnieć, iż w rodzinie, choćby się śmiertelnie nienawidzono, winno się nieść sobie nawzajem radę i pomoc, gdy chodzi o obronę tej świętej ojcowizny, która się zowie honorem!

Oszłomiony jak przechodzień, któremu z piątego piętra rzucono na głowę grad kamieni, pan Galpin-Daveline miał jednak na tyle zimnej krwi, żeby się nad tym zastanowić, czy by nie można z tego nadzwyczajnego wydarzenia wyciągnąć jakiejś korzyści. Czy nie dałoby się wycofać z tej sprawy?

Toteż gdy tylko panna Adela skończyła mówić, starał się usprawiedliwić, malując w obłudny sposób boleść, którą był przejęty, zaklinając się, że nie był panem wypadków, że Jakub teraz jest mu droższy niż kiedykolwiek.

— Jeżeli panu jest taki drogi — przerwała mu panna Adelajda — to każ go pan puścić na wolność.

— Alboż ja to mogę zrobić, proszę pani?

— No, to pozwólże pan przynajmniej jego rodzinie i przyjaciołom odwiedzić go.

— Prawo mi tego zabrania. Jeśli jest niewinny, niech się uniewinni. Jeśli jest winny, niech się przyzna. W pierwszym razie zostanie wypuszczony na wolność. W drugim — wolno mu się będzie widzieć, z kim będzie chciał.

— To może także przez przyjaźń pozwoliłeś sobie pan przeczytać list Jakuba do narzeczonej?

— Czyniąc to, proszę pani, spełniłem jeden z przykrych obowiązków mego zawodu.

— I to zawód zabrania panu oddać ten list, któryś pan przeczytał?

— Tak, ale mogę go paniom pokazać.

Wyjął go z pugilaresu i młodsza z ciotek, panna Elżbieta, przepisała go ołówkiem. Po czym wyszły, nie ukłoniwszy mu się nawet.

Pan Galpin-Daveline wściekał się ze złości.

— Stare czarownice — zawołał — ten wasz krok dowodzi, że nie tak bardzo wierzycie w niewinność Jakuba. Dlaczego jego rodzinie chodzi o to, żeby się z nim widzieć? Dlatego zapewne, żeby mu dostarczyć środka uwolnienia się przez samobójstwo od kary za zbrodnię. Ale do tego nie dojdzie, potrafię temu przeszkodzić!

Na co się zda narzekać na coś, co się już stało i czego już nie można cofnąć.

Chociaż panu Folgatowi nie na rękę był krok, który zrobiły ciotki Lavarande, a o którym dowiedział się od panny Dionizy, nie pokazał jednak swego nieukontentowania.

Pan Chandore za to źle ukrywał swoje niezadowolenie. I pomimo uszanowania, jakie miał dla woli panny Dionizy, rzekł:

— Zapewne, moje dziecię, nie mówię, żebyś nie miała racji. Znasz jednak swoje ciotki i wiesz, że nie grzeszą zbytkiem łagodności. Gotowe jeszcze doprowadzić Galpin-Daveline'a do ostateczności.

— Mniejsza o to! — przerwała dumnie młoda dziewczyna. — Oględni powinni być tylko winowajcy, a Jakub jest niewinny.

— Pani ma zupełną rację — odrzekł pan Folgat, nad którym panna Dioniza zaczynała zyskiwać wpływ, podobnie jak nad całą swoją rodziną. — Cokolwiek bądź zrobiłyby albo powiedziały panny Lavarande, nie pogorszą położenia. Pan Galpin-Daveline nie stanie się przez to ani więcej ani mniej zawziętym nieprzyjacielem.

— Ależ pan Galpin-Daveline był naszym przyjacielem!

— Wiem o tym i to mnie właśnie najbardziej martwi. Jakież będzie jego położenie, jeśli pan de Boiscoran zostanie uniewinniony?

— Nareszcie! Dowiemy się, co zrobiły ciotki Lavarande — zawołał pan de Chandore.

Rzeczywiście weszły do pokoju, dumne ze swojej wyprawy i tryumfalnie potrząsając w rękę kopią listu Jakuba.

Tę kopię wzięła panna Dioniza, a podczas gdy się odsunęła na bok, żeby ją przeczytać, panna Adela opowiadała wizytę u pana Galpin-Daveline'a.

— Był jakby piorunem rażony — mówiła stara panna — zmieszany, nie wiedział, co począć.

— Tak! Ślicznieście się spisały — mruzczał dziadek Chandore — macie się czym chwalić.

— Dobrze ciotki zrobiły — rzekła panna Dioniza. — Słuchajcie, co mi Jakub pisze. Toż to jasne jak słońce.

Pan Folgat przeczytawszy kopię, wzruszył ramionami.

— Ja bez tego listu miałem w tym względzie ustalone zdanie. W głębi całej tej sprawy jest tajemnica, której nikt z nas nie odgadł. Tylko pan de Boiscoran jest zanadto lekkomyślny, że sobie tak igra z procesem kryminalnym. Co było można wczoraj zrobić z łatwością, to jutro może będzie daleko trudniej, a za tydzień zupełnie niepodobna.

— Jakub, proszę pana — zawołała panna Dioniza — jest człowiekiem zanadto prawym, aby nie można było zupełnie ufać temu, co on powiada.

Pani de Boiscoran swoim wejściem przeszkodziła młodemu adwokatowi w odpowiedzi pannie Dionizie.

Po dwóch godzinach wypoczynku wróciła biednej kobiecie część zwykłej energii i przytomności umysłu i przyszła prosić, żeby wysłano telegram do jej męża.

— Możemy to zrobić — szepnął dziadek Chandore — chociaż prawdę powiedziawszy, na nic się to nie zda. Właśnie też Boiscorana bardzo obchodzi jego syn, mój Boże!

Niemniej jednak depeszę ułożono i posłano na telegraf, w tej właśnie chwili, kiedy służący prosił do stołu.

Obiad był mniej smutny, aniżeli można było przypuszczać. Każdemu zapewne ścisnęło się serce na myśl, że Jakubowi w tej chwili dozorca podaje może zwykłą strawę więzienną. I panna Dioniza nie mogła ukryć łzy, widząc pana Folgata w miejscu, na którym zwykle siedywał jej narzeczony.

Ale nikt, oprócz młodego adwokata, nie myślał o tym, żeby Jakubowi groziło rzeczywiście niebezpieczeństwo.

Pan Seneschal tylko, który zjawił się w chwili, kiedy podawano czarną kawę, dzielił widocznie obawy pana Folgata.

Pocziwy mer przyszedł dowiedzieć się, jak się mają jego przyjaciele i powiedzieć im, co zaszło w ciągu dnia.

Pogrzeb strażaków odbył się spokojnie pośród głębokiego wzruszenia. Doktor Seignebos nie miał przemowy na cmentarzu. Pan Seneschal z bólem serca przekonał się, że większa część sauveterrian wierzyła w przestępstwo pana de Boiscorana.

Turkot zajeżdżającego przed bramę powozu przerwał mu dalsze opowiadanie.

—Co tam takiego? — rzekła podnosząc się panna Dioniza.

W sieni dały się słyszeć jakieś kroki i głosy, zdawało się, jakby tam ktoś toczył walkę i prawie w tejże samej chwili otworzyły się drzwi do pokoju jadalnego i ukazał się w nich Michał, syn dzierżawcy z Boiscoran, wołając: - Mam go nareszcie, przyprowadziłem go.

I wciągnął za sobą Cocaleugo, który mu się rycząc wydierał i toczył dokoła dzikim wzrokiem jak zwierz schwytyany niespodziewanie.

— Ależ to ty, mój chłopcze — zawołał pan Seneschal — zręczniejszy jesteś od żandarmów!

Ze sposobu, w jaki Michał mrugnął okiem, poznać można było, że niekoniecznie wierzył w zręczność żandarmów.

— Ja już wtedy, kiedy przyrzekłem panu baronowi, że znajdę Cocaleugo, miałem swój projekcik. Przypadkiem odkryłem jego kryjówkę, bo można przejść sto razy koło niej, nie domyśliwszy się nawet jej istnienia. Kiedy mi więc pan baron powiedział, że on zniknął, pomyślałem sobie: z pewnością schował się do swojej nory, chodźmy się przekonać! Pobiegłem pod skały, znalazłem Cocaleugo. Nie chciał łotr wyjść i broniąc się ugryzł mnie w rękę jak jakiś wściekły pies.

Mówiąc to Michał wysunął lewą rękę owiniętą w zakrwawione szmaty.

— Najgorszą historię miałem z przyprowadzeniem tego idioty. Musiałem mu związać ręce i zanieść go do mojego ojca. Tam dopiero wrzuciliśmy go na wózek i przywieźli tutaj. Przypatrzcie się państwo, jaki to śliczny chłopiec!

Rzeczywiście Cocaleu był w tej chwili straszny, z bladą twarzą, z czerwonymi wypiekami, z zapienionymi ustami i błędnym spojrzeniem.

— Dlaczego nie chciałeś tu przyjść? — zapytał go pan Seneschal.

Idiota nie słyszał nawet, co do niego mówiono.

— Dlaczego ugryzłeś w rękę Michała? — zapytał go mer.

Cocaleu nic na to nie odpowiedział.

— Czy ty wiesz, że pan de Boiscoran siedzi w więzieniu wskutek tego, coś ty powiedział?

I na to nie było odpowiedzi.

— Nie warto go się pytać — rzekł Michał. — Choćbyś go pan bił do jutra, nic by nie pomogło.

— Mnie... mnie się chce jeść! — wybełkotał Cocaleu.

Pan Folgat pogardliwie wzruszył ramionami.

— I pomyśleć sobie — szepnął — że na zeznaniu podobnej istoty oparto główny zarzut!

Dziadek Chandore był widocznie zakłopotany.

— Z tym wszystkim — zapytał się — cóż my zrobimy z tym biednym idiotą?

— Ja go w tej chwili odeślę do szpitala — odrzekł pan Seneschal — i dam znać o tym, żeśmy go znaleźli, doktorowi Seignebosowi i prokuratorowi.

Doktor Seignebos miał niezaprzeczenie swoje śmieszności i wszystkie dziwaczne przygody, które mu przypisywali jego nieprzyjaciele, nie były czczym wymysłem.

W każdym jednak razie miał tę wielką, a tak rzadką zaletę, że dla swojej „sztuki”, jak zwykł mawiać, miał szacunek graniczący z fanatyzmem.

Stąd ten upór, z jakim stawiał czoło panu Galpin-Daveline'owi, stąd jego uszczypliwość i lekceważenie, z jakim prosił, żeby „panowie prawnicy” swoje spory ciągnęli nie w tym po-koju, w którym jęczał jego chory.

— Bo te szatańskie syny — mówił — gotowi by zabić człowieka, żeby tylko wydobyć z niego sposób do ucięcia głowy drugiemu.

Z pomocą pani de Claudieuse zaczął wyjmować ziarnka śrutu, które wpiły się w ciało hrabiego.

O dziewiątej godzinie skończył operację.

— Nie sądzę, żebym wszystkie wyjął — rzekł skromnie — ale jeśli zostało jeszcze kilka ziarenek, to tylko dlatego, że ich nie widzę i muszę czekać, aż pewne symptomy wskażą mi, gdzie one są.

Zresztą, tak jak przewidział, stan pana de Claudieuse'a znacznie się pogorszył. Po nadzwyczajnym wzburzeniu w pierwszych chwilach nastąpiło takie obezwładnienie, że zdawał się zupełnie nie wiedzieć, co się naokoło niego dzieje.

Po skończonym zabiegu doktora nic już nie zatrzymywało w Valpinson.

Ziarnka śrutu, które wyjął z ran hrabiego de Claudieuse'a starannie schował do skrzyneczki z narzędziami chirurgicznymi, po czym wywoławszy panią de Claudieuse za próg chaty, rzekł:

— Zanim stąd pójdę, muszę się pani zapytać, co pani sądzi o wypadkach dzisiejszej nocy?

Biedna kobieta była blada, zdawało się, że tylko cudownym wysiłkiem energii trzyma się na nogach, życie w niej zdradzały tylko oczy, świecące jakimś dziwnym blaskiem.

— Ach! Czyja wiem, proszę pana — odpowiedziała słabym głosem — ja nie mogę po tylu strasznych przejściach nawet zebrać myśli!

— A jednakże wypytywałaś pani Cocoleugo?

— Kogóż bym nie wypytywała, byle odkryć prawdę!

— A nazwisko, które pani wymienił, nie zdziwiło pani?

— Musiałeś to pan przecież zauważyć.

— Zauważyłem i dlatego też właśnie koniecznie chcę się dowiedzieć, jakie jest pani zdanie co do stanu umysłowego Cocaleugo?

— Biedak jest idiotą, wszak pan wie o tym dobrze.

— Wiem i dlatego też zdziwiony byłem, żeś pani koniecznie nalegała na to, żeby go zmusić do mówienia. Myśli więc pani, że on, pomimo swojej zwykłej głupoty, miewa czasami przebłycki rozum?

— Chwilę przedtem uratował moje dzieci z płomieni.

— To dowodzi jego przywiązania do pani.

— Rzeczywiście przywiązał się do mnie tak, jak przywiązuje się biedne zwierzę do człowieka, który je przygarnie i pielęgnuje.

— Niech i tak będzie. Jednakże ten jego czyn zdradza coś więcej niżeli instynkt czysto zwierzęcy.

— Być może. Zdarzyło mi się nieraz dostrzec w Cocaleum jakiś odcień rozumu.

Doktor zdjął złote okulary i wycierał je zawzięcie.

— Wielka szkoda — mruknął — że ten jego chwilowy rozum nie oświecił go wtedy, kiedy widział, jak pan de Boiscoran podkładał ogień i zabierał się zabić hrabiego de Claudieuse'a.

Pani de Claudieuse, jakby bliska zemdlenia, wsparła się o drzwi.

— Właśnie też — szepnęła — wzruszeniu, jakiego doznał na widok płomieni i na odgłos strzału, przypisuję to obudzenie się w nim rozumu.

— Być może — rzekł doktor — bardzo być może!

I kładąc na powrót złote okulary, dodał:

— O tym zadecydują ludzie fachowi, którzy będą badać tego idiotę.

— Jak to będą go badać?

— I to dokładnie, zaręczam pani. A teraz mam honor powiedzieć pani: do widzenia. Bo ja tu przyjdę znowu wieczorem, jeżeli w ciągu dnia nie będziecie państwo mogli przenieść się do Sauveterre, co by było rzeczą bardzo pożądaną, zarówno dla mnie, jak i dla pani męża i córki, którym tu bardzo niewygodnie w tej chacie.

I powiedziawszy to doktor uchylił z lekka kapelusza o szerokich skrzydłach, wrócił do Sauveterre i poszedł wprost do pana Seneschala żądając aresztowania Cocaleugo.

Niestety, żandarmi zawiedli, a pan Seignebos widząc, że sprawa Jakuba zaczyna przybierać bardzo zły obrót począł się strasznie niecierpliwić, kiedy wtem w sobotę późnym wieczorem wszedł do niego pan Seneschal, wołając:

— Znaleziono nareszcie Cocaleugo!

Doktor w tej chwili porwał za kapelusz i laskę, pytając się:

— Gdzież on jest? -

— W szpitalu, sam go tam umieściłem w zupełnie oddzielnym pokoju.

— Idę tam.

— Jak to! O tej godzinie!

— Przecież jestem jednym ze szpitalnych lekarzy, więc powinno mi być wolno przyjść o której bądź godzinie, zarówno w dzień, jak w nocy?

— Szarytki będą spały.

Doktor przynajmniej z dziesięć razy wzruszył ramionami.

— Prawda — rzekł — i byłoby świętokradztwem przerywać sen tym pocziwym, tym zacnym siostróm miłosierdzia, jak je nazywacie! Ach, panie merze, kiedyż my nareszcie zaczniemy medycynę traktować po świecku i kiedy mi pan w miejsce tych świętych dziewic dasz zdrowe i silne posługaczki!

Pan Seneschał zanadto różnił się w zdaniu na tym punkcie z doktorem, żeby miał wszczynać nową dyskusję. Nic mu na to nie odpowiedział i dobrze zrobił, bo pan Seignebos usiadł na powrót mówiąc:

— Zresztą odłożę to do jutra.

Doktor szedł pędzszym niż zwykle krokiem, kapelusz miał nasunięty na oczy, co było u niego oznaką złego humoru, i ręce po łokcie w kieszeniach.

Zamiast wejść, jak zwykle, naprzód do siostry aptekarki, tym razem poszedł prosto do przełożonej.

Tam skłoniwszy się lekko, rzekł:

— Moja siostró, musiano tu wczoraj przyprowadzić wam jednego chorego, idiotę, imieniem Cocaleu!

— W istocie, panie doktorze.

— Gdzież go umieściliście?

— Sam pan mer umieścił go w małym pokoiku naprzeciw pralni.

— Jakże się chory zachowywał?

— Bardzo dobrze. Siostra, która nad nim czuwa, powiada, że się przez noc całą nie ruszył.

— Dziękuję — rzekł na to pan Seignebos.

I już szedł ku drzwiom, kiedy go zatrzymała przełożona.

— Czy pan doktor chce iść do tego chorego? — zapytała.

— Tak matko, bo co?

— To, że go doktor nie może widzieć.

— Nie mogę?

— Nie, mamy rozkaz od prokuratora nie pozwolić nikomu, oprócz siostry, która go pielęgnuje, zbliżyć się do Cocoleugo. Nikomu, nawet doktorowi, chyba, żeby tego wymagała gwałtowna potrzeba.

Pan Seignebos ironicznie pokiwał głową.

— Aha, macie taki rozkaz — rzekł drwiąco — no, to ja wam powiadam, że ja go nie posłucham. Mnie zabraniać wstępu do chorego, patrzcie się! Niech sobie pan prokurator rządzi i rozkazuje w gmachu sądowym, i owszem. Ale tutaj, w gmachu szpitalnym! Moja pani siostra, idę do Cocoleugo.

— Nie wejdiesz tam doktorze, bo żandarm stoi na straży przed drzwiami.

— Żandarm!

— Który tu przyszedł dziś rano z najsurowszym rozkazem.

Doktor przez chwilę stał osłupiały, a potem nagle, z nadzwyczajną gwałtownością i grzmiącym głosem wrzasnął tak, że aż się szyby zatrzęsły:

— Ależ to nie praktykowane dotąd postępowanie, niesłychane nadużycie władzy! I do stu piorunów muszą mi zdać z tego sprawę! Ja znajdę sprawiedliwość, chociażbym się miał udać do samego Thiersa! — I nie ukłoniwszy się nawet tym razem, wypadł z pokoju, przebiegł podwórze i szybkim krokiem zdążył do mieszkania prokuratora.

Pan Daubigeon wstawał właśnie w tej chwili, zły, bo noc źle spędził, nie zmrużywszy nawet oka, tak miał nabitą głowę tą sprawą.

Gdyż on podzielał niemal opinię pana Galpin-Daveline'a. Chciałby wątpić, ale Nielitościwe doświadczenie mówiło mu, że przeszłość człowieka nie odpowiada za jego przyszłość. A zresztą, jak wielu kryminalnych sędziów miał przekonanie, nie śmiejąc go na głos powtarzać, że wielu wielkich zbrodniarzy działa pod wpływem jakiegoś obłądzenia i że tylko w ten sposób można sobie wytłumaczyć głupotę, niemal naiwność niektórych zbrodni, popełnionych przez ludzi stojących wysoko pod względem umysłowym.

Bądź co bądź od powrotu z Boiscoran prokurator zamknął się w swoim mieszkaniu i właśnie przyrzekł sobie, że przez cały dzień nigdzie nie wyjdzie, kiedy ktoś silnie zadzwonił. I jednocześnie niemal wpadł do niego jak bomba doktor Seignebos.

— Wiem, co pana do mnie sprowadza — zawołał pan Daubigeon. — Przychodzisz pan w sprawie tego rozkazu, który wydałem co do Cocoleugo.

— Tak, panie, bo ten rozkaz mi ubliża.

— Cóż, kiedy go ode mnie żądał pan Galpin-Daveline.

— I pan mu go nie odmówił! Toteż na panu tylko ciąży odpowiedzialność. Pan jesteście prokuratorem to jest głową tutejszych sądów i zwierzchnikiem pana Galpin...

Pan Daubigeon pokręcił głową.

— Jest pan w błędzie — rzekł. — Sędzia śledczy nie zależy ode mnie ani od Trybunału. Jest nawet, powiedziałbym, niezależny od generalnego prokuratora, który może zwrócić uwagę, ale nie może mu wskazywać drogi postępowania. Pan Galpin-Daveline jako sędzia śledczy ma odrębne przywileje i posiada prawie nieograniczoną władzę.

Widocznie pan Daubigeon przekonał pana Seignebosa.

— Więc pan Galpin — rzekł — ma nawet prawo pozbawiać chorego pomocy doktora?

— Jeśli to bierze na swoją odpowiedzialność, to ma. Ale on nie ma tego zamiaru. Chciał nawet wezwać pana urzędowo, chociaż to dzisiaj niedziela, żebyś pan był obecny przy nowym przesłuchaniu Cocoleugo. Dziwię się, żeś pan dotąd nie dostał wezwania, albo że nie był u pana w szpitalu w czasie, gdy pan tam ordynuje.

— W takim razie biegnę z powrotem — zawołał doktor.

I popędził szybkim krokiem, a w samym progu szpitala spotkał się z panem Galpin-Davelinem, który szedł pewnym krokiem a za nim jego nieodstępny sekretarz Mechinet.

— W sam czas przychodzisz, panie doktorze — zaczął sędzia.

Ale chociaż doktor szybko przebył tę drogę, miał jednak dosyć czasu, żeby się uspokoić i zastanowić. Zamiast więc wybuchnąć z wyrzutami, odrzekł tonem drwiąco grzecznym:

— Wiem. To zapewne w sprawie tego biedaka, któremuś pan dał żandarma, aby go pielęgnował. Chodźmy na górę, jestem na pańskie rozkazy.

Pokój, w którym umieszczono Cocoleugo, był obszerny, czysto wybielony, a za całe umeblowanie miał tylko łóżko, stolik i dwa krzesła.

Łóżko musiało być wygodne, ale idiota pozrzucał materace i kołdry i położył się w ubraniu na sienniku.

Na ich widok podniósł się, ale spostrzegłszy żandarma, krzyknął i zdawało się, że chce się skryć pod łóżko. Pan Galpin-Daveline kazał żandarmowi wyjść z pokoju. Wtedy dopiero zbliżywszy się do łóżka rzekł:

— Nie bój się, mój chłopcze, nic złego ci nie zrobimy. Tylko musisz odpowiadać. Czy przypominasz sobie, co zaszło zeszłej nocy w Valpinson?

Cocoleu wybuchnął spazmatycznym śmiechem, właściwym idiotom, ale odpowiedzi nie dał żadnej.

Na próżno sędzia przez godzinę wypytywał się go w rozmaity sposób, to prosząc, to grożąc, to robiąc mu na przemian różne obietnice, przywołując mu na pamięć panią de Clau-deuse. Nie wydobył z niego ani słoweczka.

Zniecierpliwiony, w końcu rzekł:

— Chodźmy, ten głupiec wyraźnie stoi niżej od zwierzęcia pod względem umysłowym.

— A wtedy stał wyżej — zapytał doktor — kiedy panu wymienił nazwisko pana de Bo-iscorana?

Ale sędzia udał, że nie słyszy i kiedy już miał odejść od Cocaleugo, rzekł do doktora:

— Czekam na pański raport, doktorze.

— W ciągu czterdziestu ośmiu godzin będę miał honor złożyć go panu — odrzekł pan Seignebos.

A odchodząc mruknął:

— Ale ten raport może być panu nie na rękę, panie sędzio...

Pan Galpin-Daveline byłby się na dobre rozgniewał, gdyby się był domyślił prawdy.

Pan Seignebos raport miał już gotowy, a jeżeli go nie oddał sędziemu śledczemu zaraz, to dlatego, że obliczył, iż im go później wręczy, tym łatwiej będzie mógł zniweczyć plany przeciwnego obozu.

— Skoro go będę miał u siebie jeszcze dwa dni — myślał sobie idąc ku domowi — to dlaczegoż bym go nie miał pokazać temu młodemu adwokatowi, który przyjechał z Paryża z panią de Boiscoran? O ile mi się zdaje, mogę to zrobić, skoro ten biedaczysko Galpin w zamieszaniu zapomniał zupełnie zażądać ode mnie przysięgi.

Nagle urwał.

Czy według przepisów medycznego kodeksu miał prawo dać do przeczytania adwokatowi oskarżonego dokument mający służyć za podstawę oskarżenia?

Rezultatem tych rozmyślań było to, że doktor Seignebos zaraz po śniadaniu wziął swój raport do kieszeni i poszedł bocznymi ulicami na ulicę de la Rampe do barona de Chandorego.

Ciotki Lavarande i pani de Boiscoran były jeszcze na sumie, gdyż sądziły, że im się wypada pokazać w kościele, a w salonie były tylko panna Dioniza, pan de Chandore i pan Folgat.

Stary szlachcic wielce się zadziwił, ujrawszy wchodzącego doktora. Pan Seignebos był wprawdzie jego lekarzem, ale tak dalece różnili się ze sobą w zdaniach, że wyjąwszy wypadki słabości, nie widywali się nigdy.

— Widzisz mnie tu pan jedynie dlatego — odezwał się doktor jeszcze w drzwiach — iż jestem najmocniej i najsumienniejszym przekonany, że pan de Boiscoran jest niewinny.

Panna Dioniza byłaby go uściskała za tych kilka słów, toteż pospiesznie, z wyrazem wdzięczności przysunęła mu fotel, mówiąc słodkim głosem:

— Siadaj pan, panie doktorze.

— Dziękuję — odrzekł opryskliwie — mocno zobowiązany!

I zwracając się szczególnie do pana Folgata, rzekł:

— Moje przekonanie jest takie, że pan de Boiscoran pada ofiarą odwagi, z jaką głośno przyznawał się do opinii republikańskich. Bo pański przysły wnuczek jest republikaninem, panie baronie.

Dziadek Chandore nawet nie zmarszczył brwi.

Gdyby mu przyszli powiedzieć, że Jakub był członkiem komuny, nie byłoby go to bardziej obeszło. Dioniza go kochała. To dla niego było wystarczające.

— Bo ja — mówił dalej doktor — jestem radykalistą, panie...

— Folgat — dopomógł mu adwokat.

— Tak, panie Folgat, jestem radykalistą i poczytuję sobie za obowiązek bronić człowieka, którego wyznanie wiary politycznej pokrewne jest mojemu. Toteż dlatego przyszedłem pokazać panu mój raport, żebyś pan zeń wyciągnął wnioski, które by mogły służyć do obrony pana de Boiscorana.

— Ach, to ogromna przysługa, łaskawy panie — zawołał młody adwokat.

— Ale porozumiejmy się — rzekł poważnie doktor. — Jeżeli mówię, że gotów jestem zgodzić się na pana wnioski, to pod warunkiem, że nie będą przeciwne prawdzie. Dla ocalenia od rusztowania własnego syna, gdybym go miał, nie splamiłbym ust kłamstwem, które byłoby obrazą mojego zawodu.

Wydobył z kieszeni raport i położył go na stole mówiąc:

— Przyjdę po niego jutro rano. Masz pan więc czas pomyśleć nad nim. Chciałbym tylko wskazać panu rzecz w nim najważniejszą.

Mówił to z pewnym wahaniem i wpatrując się w pannę Dionizę, jak gdyby chciał jej dać do zrozumienia, że pragnąłby, aby się oddaliła. A widząc, że nie myśli odejść, rzekł:

— Prawno-medyczna rozprawa nie zajmowałaby pani.

— Ach, panie — przerwała panna Dioniza — jakże mnie nie ma zajmować, gdy w niej jest mowa o człowieku, którego żoną mam zostać.

— Kiedy, bo to kobiety w ogólności są bardzo wrażliwe — odezwał się doktor nie bardzo grzecznie — bardzo czułe.

— Bądź pan spokojny, doktorze. Dla ocalenia Jakuba zdobędę się na męską energię.

Doktor znał na tyle pannę Dionizę, iż zrozumiał, że nie odejdzie.

— Jak sobie pani chcesz — mruknął.

I zwracając się do pana Folgata rzekł:

— Wiesz pan, że dwa razy strzelano do pana de Claudieuse'a. Pierwszy strzał, który go ranił w bok, rozrzucił trochę, jak to mówią. Drugi, który go trafił w ramię i w szyję, poszedł kulą...

— Wiem o tym — odezwał się adwokat.

— Ta różnica między skutkami strzałów dowodzi, że strzelano z rozmaitej odległości, a mianowicie drugi raz bliżej niż pierwszy.

— Wiem, wiem...

— Pozwól pan... Przypominam te szczegóły dlatego, że mają pewne znaczenie. Przywołany w nocy do pana de Claudieuse'a przystąpiłem natychmiast do wydobywania ziarek śrutu. Podczas gdy się tym zajmowałem, przybył pan Galpin-Daveline. Sądziłem, że będzie chciał zobaczyć ziarenka już wydobyte, ale nie przyszło mu to na myśl, tak mu się w głowie pomieszało. Myślał jedynie o sprawcy zbrodni. Ja też nie przypomniałem mu abecadła jego rzemiosła, to do mnie nie należy. Lekarz powinien być powolny żądaniom sądu, ale nie ma obowiązku uprzedzać takowych.

— Cóż tedy?

— Pan Galpin pojechał do Boiscoran, a ja przystąpiłem do dalszej operacji. Wydobyłem pięćdziesiąt siedem ziarek z ran w boku, a sto dziewięć z ran w ramieniu i szyi. Po czym, czy wiesz pan, co zobaczyłem?

Tu zatrzymał się na chwilę dla tym większego efektu.

— Przekonałem się — rzekł — że śrut z dwóch ran nie był jednakowy.

Pan de Chandore i pan Folgat razem krzyknęli:

— Och!

— Śrut z pierwszego strzału — mówił dalej doktor Seignebos — ten, który znalazłem w boku, jest nadzwyczaj drobny. Przeciwnie, śrut z ramienia jest gruby, o ile mi się zdaje, zajączy. Mam tutaj zresztą przy sobie próbki.

I mówiąc to, rozwinął kawałek papieru, w którym było dziesięć do dwunastu ziarek śrutu, powalanych skrzeplą krwią i widocznie różniących się co do wielkości.

Pan Folgat zamyślił się.

— Czyżby było dwóch morderców — szepnął.

— Ja sędzę raczej — odezwał się pan de Chandore — że morderca, jak wielu myśliwych, miał nabitą jedną lufę drobnym śrutem na ptaki, a drugą grubym na zające lub królika.

— W każdym razie — odrzekł Folgat — to usuwa wszelkie przypuszczenie rozmyślności. Kto ma zamiar zabić człowieka, nie nabija strzelby drobnym śrutem.

Powiedziawszy dosyć, jak mu się zdawało, doktor wstał chcąc odejść, gdy wtem pan de Chandore zapytał go, jak się ma pan de Claudieuse.

— Nieszczególnie — odrzekł doktor — podróż do Sauveterre, mimo wszelkich ostrożności, bardzo go zmęczyła. Od wczoraj jest w Sauveterre w domu, który dla niego najął pan Seneschal, na ulicy Mautrec. Całą noc gorączkował i zdaje mi się, że mnie nie poznał, gdym dziś rano przyszedł do niego.

— A hrabina? — zapytała się panna Dioniza.

— Hrabina de Claudieuse, proszę pani, jest równie chora jak jej mąż i gdyby chciała mnie słuchać, położyłaby się do łóżka. Ale jest to kobieta rzadkiej energii, która zresztą z przywiązania do męża czerpie niepojętą siłę wytrwania.

Mówiąc to był już przy drzwiach.

— Co się tyczy Cocoleugo — dodał — zbadanie jego stanu umysłowego może wykryć całkiem niespodziewane szczegóły. Ale o tym pomówimy później, a teraz mam zaszczyt pożegnać państwa.

— No i cóż... — zapytali się razem panna Dioniza i pan de Chandore, usłyszawszy zamykające się za doktorem drzwi od ulicy.

Ale zapal pana Folgata już ostygł.

— Zanim cokolwiek powiem — rzekł — muszę naprzód rozważyć raport tego zacnego doktora.

Na nieszczęście raport ten zawierał w sobie tylko to, co doktor już powiedział. I na próżno młody adwokat całe popołudnie myślał nad tym, jaką korzyść z niego wyciągnąć. Widział w nim niezawodnie ważne argumenty dla obrony, gdyby pan de Boiscoran był stawiony przed sąd przysięgłych, ale nie widział żadnego środka uwolnienia go z aresztu.

Cały dom zostawał więc pod wpływem srogiego rozczarowania, gdy wtem o godzinie piątej przybył z Boiscoran stary Antoni. Zdawał się być bardzo smutny.

— Zluzowano mnie z warty — rzekł. — Dziś o godzinie drugiej przybył pan Galpin i pozdejmował pieczęcie. Przyjechał ze swoim pisarzem Mechinetem i przywiózł ze sobą pana Jakuba pod strażą dwóch żandarmów ubranych po cywilnemu. Po otwarciu mieszkania ten nieszczęsny Galpin wezwał pana, aby zeznał, że suknie, które miał na sobie w dzień pożaru, są te same, również buty, strzelba Klebba i woda w miednicy. Następnie ową wodę zlano w kubek, który został zapieczętowany i powierzony jednemu z żandarmów. Potem zapakowano w tłumok rzeczy pana, strzelbę, kilkanaście paczek nabojów i wiele innych przedmiotów, które się zdały potrzebne panu sędziemu. Tłumok opieczętowany został podobnie jak kubek, zaniesiono go do powozu i pan Galpin odjechał powiedziawszy mi, że już jestem wolny od wszelkiej odpowiedzialności.

— A jak wyglądał Jakub? — zapytała panna Dioniza.

— Pan, proszę panienki, odpowiadał z miną pełną pogardy.

— Czy mówiłeś z nim? — zapytał pan Folgat.

— Nie, nie mogłem, pan Galpin nie pozwolił.

— A... miałeś czas obejrzeć strzelbę?

— Zaledwie mogłem rzucić okiem do środka luf.

— No, i coś zobaczył?

Czoło wiernego sługi spochmurniało jeszcze bardziej.

— Zobaczyłem — odrzekł głucho — że dobrze zrobiłem, że milczałem. Lufy są czarne od prochu, co dowodzi, że pan strzelał już po oczyszczeniu strzelby przeze mnie.

Dziadek Chandore i pan Folgat spojrzeli po sobie prawie z rozpaczą. Oto jeszcze jedna nadzieja ulotniła się w ich oczach.

— Teraz — odezwał się młody adwokat — powiedz mi, jak pan de Boiscoran nabijał swoją strzelbę?

— No, naturalnie, nabijał ją, proszę pana, gotowymi nabojami. Dostał ich, zdaje mi się, tysiąc, razem ze strzelbą, jedne były z kulami, inne z loftkami, inne znów ze śrutem wszelakich numerów. Teraz, po sezonie polowań, pan strzelał tylko króliki i przelotne ptactwo błotne. I dlatego też zawsze miał nabitą jedną lufę śrutem zajęczym, a drugą bekasim.

Nagle zatrzymał się, przerażony skutkiem, jaki wywarły słowa jego.

— To okropność! — zawołała panna Dioniza. — Wszystko przeciwko nam!

Pan Folgat nie dał jej czasu wytłumaczyć się jaśniej.

— Mój kochany Antoni — zapytał się — czy pan Galpin-Daveline zabrał wszystkie naboje twojego pana?

— Nie, proszę pana.

— Skoro tak, to wracaj czym prędzej do Boiscoran i przywieź tu trzy albo cztery naboje każdego numeru śrutu.

— Bądź pan spokojny, nie zabawię długo — odrzekł poczciwy sługa.

I stosownie do tej obietnicy ruszył natychmiast, a tak się spieszył, że punkt o siódmej, kiedy cała rodzina skończywszy obiad, przeszła do salonu, ukazał się z powrotem i złożył na stole ciężką paczkę z ładunkami.

Pan de Chandore i pan Folgat poczęli je natychmiast otwierać i niebawem znaleźli dwa numery, które zdawały się najzupełniej odpowiadać ziarnkom zostawionym im przez doktora.

— To niepojęta fatalność! — mruknął starzec.

Nawet młody adwokat zdawał się tracić odwagę.

— Koniec końców — rzekł — niepodobna myśleć o wykazaniu niewinności pana de Boiscorana nie widząc się z nim poprzednio!

— A gdyby się to dało zrobić jutro? — zapytała Dioniza.

— W takim razie, proszę pani, on dałby nam klucz do tej zagadki, którą my na próżno usiłujemy rozwikłać, a przynajmniej wskazałby nam kierunek, którego mamy się trzymać. Ale o tym nie ma co myśleć.

— Zobaczymy! — przerwała mu dziewczyna.

I natychmiast pociągnawszy pana de Chandorego do jednego z mniejszych saloników zapytała go:

— Kochany dziadziu, czy ja jestem bogata?

Nigdy ją to nie obchodziło tak dalece, że prawie nie znała wartości pieniędzy.

— Tak jest, moje dziecko, jesteś bogata — odrzekł stary.

— Cóż ja mam?

— Masz po matce i po ojcu dwadzieścia sześć tysięcy liwrow rocznej renty, co przedstawia kapitał przeszło ośmiuset tysięcy franków.

— Czy to dużo?

— To tyle, że jesteś jedną z najbogatszych partii w Saintonge, gdyż oprócz tego majątku masz wielkie widoki na przyszłość.

Panna Dioniza tak była zaprzątnięta jakąś myślą, że nic na to nie odpowiedziała.

— Co w Sauveterre nazywają dostatkiem?

— To zależy od wielu okoliczności, moje dziecko. Gdybyś mi powiedziała...

Ona przerwała mu tupnąwszy nogą:

— Nic nie powiem! Niech mi dziadzio odpowie.

— No, czy ja wiem... Ot, tak w naszym miasteczku, mając dochodu cztery do ośmiu tysięcy franków...

— Dajmy na to sześć...

— Niech będzie sześć. Otóż mając sześć tysięcy franków rocznie, można się utrzymać bardzo przyzwoicie.

— A ile trzeba kapitału, żeby dał sześć tysięcy renty?

— Licząc po pięć od sta, trzeba sto dwadzieścia tysięcy franków.

— To jest trochę więcej niż ósma część mego majątku?

— A tak!

— Mniejsza o to. Wyobrażam sobie, że to musi być wielka suma i że dziadzi trudno byłoby mieć ją w domu do jutra.

— Nie, moja droga, gdyż mam za większą nawet sumę obligacje kolei żelaznej na okaziciela, a papiery na okaziciela, to tak jak moneta bieżąca.

— Ach! Więc gdybym komu dała te obligacje za sto dwadzieścia tysięcy franków to tak samo, jak gdybym mu dała sto dwadzieścia tysięcy banknotami?

— Tak jest.

Panna Dioniza uśmiechnęła się, docierała do celu.

— Kiedy tak — rzekła — to daj mi, dziadziu, sto dwadzieścia tysięcy franków w obligacjach na okaziciela.

Stary Chandore aż podskoczył.

— Żartujesz! — zawołał. — Cóż tobie po tym? Ale ty oczywiście żartujesz.

— Nigdy nie mówiłam bardziej serio — odrzekło dziewczę tonem nie pozostawiającym żadnej wątpliwości. — Zaklinam cię, dziadziu, na twoje przywiązanie do mnie, daj mi te sto dwadzieścia tysięcy franków dziś wieczór, zaraz... Ty się wahasz? O, mój Boże! Czy wiesz, że mogę to życiem przypłacić, jeśli mi odmówisz?

Pan de Chandore już się nie wahał.

— Jeśli chcesz koniecznie — rzekł — zaraz po nie idę.

Ona zaklaskała w ręce.

— Och, dobrze, dobrze! — zawołała. — Spiesz się dziadziu, a ubierz się,- gdyż muszę wyjść i ty musisz iść ze mną.

A wróciwszy do ciotek Lavarande i do pani de Boiscoran, rzekła:

— Darujcie panie, że was opuszczę, ale muszę wyjść.

— O tej godzinie! — odezwała się ciotka Elżbieta.— Gdzież ty chcesz iść?

— Do moich krawcowych, panien Mechainet. Zachciało mi się sukni.

— Chryste Panie — zawołała ciotka Adelajda. — Tej dziewczynie w głowie się przewraca!

— Zareczam ci ciociu, że nie.

— To ja pójdę z tobą.

— Nie, ciociu, pójdę sama. To jest z dziadzią.

I gdy pan de Chandore ukazał się z kieszeniami wyładowanymi obligacjami, z kapeluszem na głowie i laską w ręce, wyprowadziła go czym prędzej, mówiąc:

— Chodź, chodź dziadziu, nie mamy czasu do stracenia.

Mimo całej uległości, jaką zawsze pan Chandore okazywał dla życzeń swojej wnuczki, dla najdrobniejszych zachcianek tego dziecka, w którym starzec ten skupiał resztki swoich uczuć złamanych przez śmierć, resztki swoich nadziei, nie bez pewnego wahania wyjmował on z biurka ten majątek, którego od niego zażądała.

Toteż zaledwie wyszli z domu, odezwał się:

— Teraz, kiedy jesteśmy sami, moje dziecko, może mi nareszcie powiesz, co zamýślasz zrobić z tymi pieniędzmi?

— To moja tajemnica — odrzekła.

— I nie masz na tyle zaufania do twojego dziadka, żeby mu to powiedzieć?

Zatrzymał się. Ona pociągnęła go dalej.

— Dowiesz się o wszystkim — mówiła — zanim upłynie godzina. Ale... nie gniewaj się, dziadziu. Mam pewien projekt, który mnie samej wydaje się szalony. Gdybym ci go powiedziała, chciałbyś mnie może odwieść od niego, a gdyby ci się udało, a potem Jakuba spotka-

ło nieszczęście, ja nie przeżyłabym tego, a jakież byłoby twoje zmartwienie, gdybyś sobie pomyślał: kto wie, gdybym jej był nie odradzał!

— Dionizo, okrutne dziecko!

— Z drugiej strony — mówiła dalej — gdybyś nie zdołał odwieść mnie od mojego projektu, osłabiłbyś z pewnością moją odwagę, a ja jej bardzo dużo potrzebuję, mój dziadziu, żeby się ośmielić na to, co zamyślam.

— Kiedy, bo widzisz, moja najdroższa, daruj mi, że ci to powtarzam, sto dwadzieścia tysięcy franków to bardzo wielka suma i jest dużo ludzi odważnych i zdolnych, którzy pracują i odmawiają sobie wszystkiego przez całe życie, a nie są w stanie jej uzbierać.

— Ach, tym lepiej — zawołała Dioniza — tysiąc razy lepiej. Oby rzeczywiście ta suma była taką pokusą, żeby mi nie zdołano odmówić!

Dziadek Chandore zaczynał rozumieć.

— Ale mimo tego wszystkiego — rzekł — nie mówisz mi, gdzie idziemy.

— Do moich krawcowych.

— Do panien Mechinet?

Pan de Chandore zrozumiał, zdaje się, do reszty.

— Nie zastaniemy ich — rzekł — dziś niedziela, muszą być w kościele.

— Zastaniemy je, dziadziu, bo one zawsze jadają o wpół do ósmej z powodu swego brata pisarza. Ale trzeba nam się spieszyć.

\ Baron spieszył się, ale z ulicy de la Rampe na plac Nowego Targu był dobry kawał drogi.

Gdyż panny Mechinet mieszkały na Nowym Targu i to we własnym domu, który był urzeczywistnieniem ich marzeń i snów całego życia.

Nieruchomość tę nabyły one na rok przed wojną za radą brata i na spółkę z nim za czterdzieści siedem tysięcy franków licząc w to koszty prawne.

Był to świetny interes, gdyż dół i pierwsze piętro wynajęły od razu za dwa tysiące trzydzieści franków rocznie pewnemu bogatemu kupcowi z Sauveterre.

Mechinetowie nie lękali się poświęcić na ten interes dziesięć tysięcy franków w gotowiznie, a resztę zobowiązali się wypłacić w ciągu trzech lat.

Pierwszego roku wszystko szło dobrze. Lecz gdy nadeszła wojna i idące za nią klęski, dochody brata i dwóch sióstr znacznie zmalały. Ograniczeni do pensji Mechineta jako pisarza, zmuszeni byli odmówić sobie wszystkiego i jeszcze dopyżyczyć, ażeby dotrzymać swoich zobowiązań.

Po nastaniu pokoju pieniądze zaczęły im znowu napływać i nikt w całym Sauveterre nie wątpił, że zdołają spłacić dług, gdyż wiedziano, że brat był jednym z najprzemysłniejszych ludzi, a siostry posiadały klientelę z dystyngowanych dam z całej okolicy.

— Są w domu, dziadziu — rzekła panna Dioniza, gdy przybyli na miejsce.

— Tak sądzisz?

— Jestem pewna. Widzę światło w ich oknach.

Pan de Chandore zatrzymał się.

— Cóż ja mam teraz ze sobą zrobić? — zapytał się.

— Dasz mi, dziadziu, naprzód te obligacje, które masz w kieszeni, a potem pochodzisz sobie tutaj trochę przez ten czas, gdy ja będę na górze. Wzięłabym cię ze sobą, ale twoja obecność mogłaby mi popsuć interes. A zresztą, gdyby ten mój krok został źle przyjęty, jako postępek młodej dziewczyny nie pociągnąłby za sobą żadnych następstw.

Baron teraz był już zupełnie pewny swego.

— Nie uda ci się, moje dziecko — rzekł.

— Och, mój Boże! — zawołała ze łzami w oczach — po cóż mi odbierać odwagę.

Baron nic jej na to nie odpowiedział.

Tłumiąc westchnienie, wyjął z pugilaesu obligacje, które panna Dioniza jak mogła pochowała do kieszeni i do woreczka, który trzymała w ręku.

— No, do widzenia, dziaduniu — rzekła dokonawszy tej pracy. I lekko jak ptaszek przebiegła ulicę i weszła do kamiennicy, gdzie mieszkały jej krawcowe.

Pocziwe te dziewczęta siedziały właśnie wraz z bratem przy kolacji, która składała się z kawałka wieprzowiny na zimno i z sałaty przyprawionej octem.

Na tak nagłe zjawienie się panny Chandore wszyscy powstali z miejsc.

— Pani tutaj! — zawołała najstarsza ze szwaczek.

Panna Dioniza zrozumiała wszystko, co było zawarte w tym wykrzykniku: Pani tutaj! Miało to znaczyć: „Jak to! Pani narzeczony jest oskarżony o tak straszną zbrodnię, takie przeciw niemu są poszlaki, siedzi w więzieniu, wszyscy mówią, że będzie stawiony przed sądem przysięgłych, że zapadnie potępiający wyrok, a pani tutaj!”.

Ale panna Dioniza z wymuszonym uśmiechem na ustach odezwała się:

— Tak, to ja. Potrzebuję koniecznie dwóch sukien na przyszły tydzień i przyszłam prosić panie, żebyście mi pokazały próbki.

Panny Mechinet idąc za radą brata, weszły były w układ z jednym handlarzem w Bordeaux, który im przysyłał próbki różnych materiałów i dawał im pewien procent od tego, co sprzedawały.

— W tej chwili będę pani służyć — odrzekła starsza — tylko pozwoli pani, że zapalę lampę, bo już zupełnie ciemno.

A wycierając szkiełko i obcinając knot, zapytała brata:

— Czy ty nie idziesz dziś do Orfeonu?

— Nie, dziś nie pójdę.

— Jakże, kiedy tam czekają na ciebie?

— Nie, dałem znać, że nie przyjdę. Mam napisać dwa bilety wizytowe na kamieniu dla mojego drukarza i bardzo pilne kopie do wykończenia dla sądu.

Tak mówiąc, złożył serwetę i zapalił świecę.

— Dobranoc wam — rzekł do sióstr — bo mnie już dzisiaj nie zobaczycie.

I skłoniwszy się nisko pannie Dionizie, wyszedł ze świecą w ręku.

— Gdzież to pani brat idzie? — zapytała się żywo panna Dioniza.

— Do siebie, proszę pani. On ma swój pokój zaraz naprzeciwko naszego, po drugiej stronie schodów.

Panna de Chandore poczerwieniała jak ogień. Miałażby jej się wymknąć ta sposobność, która dotąd zdawała się jej jedyną nadzieją? Zebrawszy więc całą swoją energię, zawołała:

— A ja mam właśnie zamienić parę słów z pani bratem. Proszę na mnie poczekać, zaraz wrócę.

I wybiegła z pokoju, zostawiwszy siostry osłupiałe i pytające się nawzajem, czy cios, który ją dotknął nie pomieszał jej przypadkiem rozumu.

Pisarz był jeszcze w sieni i szukał właśnie w kieszeni klucza od swojego pokoju.

— Muszę z panem pomówić — odezwała się do niego panna Dioniza — i to natychmiast.

Mechinet tak był zdziwiony, że nie był w stanie nic odpowiedzieć. Zrobił tylko ruch, jak gdyby chciał wrócić do sióstr.

— Nie, pójdziemy do pana — rzekło dziewczę — nikt nie powinien nas słyszeć. Otwieraj pan... no, otwierajże pan, bo może kto nadejść.

Pisarz tak był tym wszystkim zmieszany, iż rzeczywiście przez pół minuty wkładał klucz do zamka.

Nareszcie gdy otworzył drzwi, cofnął się, żeby panna Dioniza weszła pierwsza.

Ale ona rzekła znowu:

— Nie, pan idź naprzód.

Zrobił, co chciała. Ona weszła za nim i zamknęła za sobą drzwi.

Pisarz Mechinnet znany był w Sauveterre z tego, że nigdy nie tracił przytomności umysłu.

Przeciwnie, panna de Chandore była uosobioną nieśmiałością, przy obcych rumieniła się i nie mogła przemówić słowa. A jednak w tej chwili nie ona z nich dwojga była zmieszana.

— Siadaj pan — rzekła — i posłuchaj mnie.

On postawił świecę na stole i usiadł.

— Wszak pan mnie znasz?

— Ma się rozumieć.

— Musiałeś pan również słyszeć, że mam iść za mąż za pana Jakuba de Boiscorana.

Pisarz zerwał się jak wyprostowana sprężyna i uderzając się pięścią w czoło zawołał:

— Ach! Jakież ze mnie głupiec! Rozumiem!

— Tak jest, rozumiesz pan — potwierdziło dziewczę — przyszedłam pomówić z panem o panu de Boiscoranie, o moim narzeczonym, o moim mężu!

Zamilkła i więcej niż przez minutę oboje z Mechinetem stali naprzeciw siebie, milczący, nieruchomi, z oczyma wlepionymi w siebie nawzajem; on chciał domysleć się, czego ona może chcieć od niego, ona, na co z nim się może odważyć.

— Pojmujesz pan zatem — odezwała się nareszcie panna Dioniza — co muszę cierpieć. Od trzech dni pan de Boiscoran jest uwięziony pod zarzutem najpodlejszej zbrodni!

— Och, pojmuje pani! — zawołał pisarz.

I porwany uczuciem, mówił dalej:

— Ale upewniam panią, że ja, który byłem od samego początku przy śledztwie i który posiadam pewne doświadczenie w sprawach kryminalnych, mam przekonanie, że pan de Boiscoran jest niewinny.

— Dziękuję, dziękuję panu! — jąkała panna Dioniza.

— Nie ma mi pani za co dziękować, gdyż czas utwierdził mnie tylko w moim przekonaniu. Czyż zbrodniarz tak by wyglądał jak pan de Boiscoran?! Ot, na przykład teraz, kiedyśmy pojechali zdjąć pieczęcie, trzeba go było widzieć, z jakim spokojem i godnością odpowiadał na zadawane mu pytania. Do tego stopnia, że nie mogłem się powstrzymać, żeby nie powiedzieć panu sędziemu, co myślę. On odpowiedział mi na to, że jestem głupiec. Ale moim zdaniem, to on sam właśnie się myli. Im bardziej przyglądam się panu de Boiscoranowi, tym bardziej robi na mnie wrażenie człowieka, który jednym słowem mógłby się oczyścić.

Panna Dioniza słuchała z takim natężeniem uwagi, że zapomniała prawie, po co przyszła.

— Więc pan de Boiscoran nie wydaje się panu bardzo przygnębiony? — zapytała się.

— Skłamałbym, proszę pani, gdybym powiedział, że nie jest smutny. Ale niespokojny nie jest. Od chwili, gdy ochłonął z pierwszego wrażenia, zimna krew nie opuściła go ani na chwilę i pan Galpin-Daveline na próżno od trzech dni wysiła całą swoją zrećność i przebiegłość.

Nagle zamilkł jak człowiek pijany, który nagle odzyskując przytomność umysłu, spostrzeże, że mu wino zanadto rozwiązało język.

— Boże mój! Cóż ja powiedziałem! — zawołał. — Na miłość boską, nie powtarzaj pani nikomu tego, co mi się tutaj wymknęło przez szacunek i życzliwość, jakie mam dla pani.

Dla panny Dionizy nadeszła stanowcza chwila.

— Gdybyś mnie znał lepiej — rzekła — wiedziałbyś pan, że można liczyć na moją dyskrecję. Nie żałuj pan, żeś mi zaufał i osłodził nieco moją okropną boleść. Nie żałuj pan, gdyż ja...

Głos jej osłabł i z wielkim wysiłkiem dokończyła:

— Gdyż ja przyszedłam pana prosić o coś więcej, daleko więcej!

Mechinet zbladł okropnie.

— Ani słowa dalej, proszę pani — przerwał gwałtownie — sama pani nadzieja jest dla mnie obelgą. Czyż pani nie wiesz, czym ja jestem i że przysięgą zobowiązałem się być niemy jak cele, w których zamykają więźniów? Ja miałbym zdradzić tajemnicę śledztwa kryminalnego!

Panna de Chandore drżała jak listek, ale nie straciła na chwilę przytomności umysłu.

— Więc pan pozwolisz raczej na zgubę nieszczęśliwego? — rzekła.

— Powiedziałem już pani, że wedle mego przekonania pan de Boiscoran jest niewinny.

— A odmawiasz mi pan pomocy w okazaniu jego niewinności! O, mój Boże! Cóż za wyobrażenie mają ludzie o obowiązkach! Czymże mam pana wzruszyć, jak przekonać? Mam panu przypomnieć, jakie męki cierpieć musi ten człowiek, oskarżony o nikczemne morderstwo! Mam panu kreślić obraz okropnego niepokoju jego rodziny i przyjaciół, łez jego matki, boleści mojej, boleści jego narzeczonej! Wiemy, że jest niewinny, a nie możemy wykazać jego niewinności, bo nie mamy przyjaciela, który by się nad nim ulitował!

Nigdy jeszcze w życiu Mechinet nie doświadczał podobnych uczuć, jak w tej chwili. Wzruszony aż do głębi duszy, zapytał się cały drżący:

— I czegoż to pani chcesz ode mnie?

— Drobnostki, kochany panie! Nic więcej, tylko żebyś pan doręczył kilka wierszy, nic więcej jak kilka, panu de Boiscoranowi i żebyś nam przyniósł odpowiedź.

Śmiałość tego żądania zdawała się przerażać pisarza.

— Nigdy! — zawołał.

— Nie dasz się pan ubłagać?

— Hańbą byłoby zrobić coś podobnego!

— A skazać na śmierć niewinnego, jak się to będzie nazywać?

Mechinet był widocznie niezmiernie poruszony; nie wiedział, na co się zdecydować, co odpowiedzieć.

Nareszcie przyszedł mu na myśl nowy powód do odmowy.

— A gdyby się odkryło? — odezwał się. — Straciłbym miejsce, zrujnowałbym siostry, zabiłbym swoją przyszłość.

Panna Dioniza rozgorączkowaną ręką poczęła wybierać z kieszeni i rzucać na stół obligacje, które jej dał dziadek.

— Tu jest sto dwadzieścia tysięcy franków — rzekła.

Pisarz gwałtownie odskoczył w tył.

— Co! Pieniądze! Pani mi dajesz pieniądze! — zawołał.

— Och, nie obrażaj się pan — zawołało dziewczę głosem zdolnym poruszyć kamienie. — Czy ja mogłabym chcieć pana obrazić, pana, od którego żądam więcej niż życia? Są przysługi, za które się nie płaci. Ale gdyby nieprzyjaciele pana de Boiscorana dowiedzieli się, że pan nam pomogłeś, ich wściekłość zwróciłaby się przeciwko panu.

Pisarz machinalnie rozwiązał sobie krawat na szyi. Straszna musiała się w nim toczyć walka. Tchu mu brakowało.

— Sto dwadzieścia tysięcy franków! — szepnął chrapliwie.

— Może to za mało? Zapewne, masz pan słuszość, to za mało! Aleja mam drugie tyle, dwa razy tyle na pańskie rozkazy.

Blady, z błędnymi oczyma, Mechinet przybliżył się do stołu i konwulsyjnym ruchem wziął w rękę tę masę papierów powtarzając:

— Sześć tysięcy franków dochodu! Sześć tysięcy franków dochodu!

— Nie, dwa razy tyle — rzekła panna Dioniza — a zarazem nasza wdzięczność, nasza przyjaźń, wpływy rodzin: Chandore i Boiscoran, co znaczy: majątek, poważanie, zaszczytne stanowisko.

Ale pisarz tymczasem nadzwyczajnym wysiłkiem woli opamiętał się.

— Dosyć tego, proszę pani, dosyć!

I stanowczym, chociaż drżącym głosem, mówił dalej:

— Schowaj pani te pieniądze. Kto robi to, czego pani żądasz, kto zdradza obowiązek, jest ostatnim nikczemnikiem, jeżeli to robi za pieniądze. Kto zrobi coś podobnego ze szczerego przekonania, w interesie prawdy, mogą go wziąć za wariata, ale mimo to nie przestanie być godny szacunku ludzi uczciwych. Schowaj pani tę mamonę, która na chwilę zachwiała sumienie uczciwego człowieka. Ja zrobię wszystko, czego pani żądasz, ale... za darmo.

Jeżeli dziadzio Chandore niecierpliwił się spacerując po placu Nowego Targu, to panom w ich pracowni czas wydawał się jeszcze dłuższy.

— Co to za interes może mieć panna Chandore do naszego brata? — pytały się jedna drugiej.

Po upływie dziesięciu minut ciekawość ich podrażniona tysięcznymi najdziwniejszymi przypuszczeniami stała się dla nich taką męczarnią, że nie mogąc dłużej wytrzymać, postanowiły zapukać do pokoju pisarza.

— Ach! Dajcież mi pokój! — zawołał rozniewany, że mu przeszkadzają.

Ale rozmyśliwszy się, pobiegł otworzyć i rzekł łagodnie:

— Idźcie do siebie, jeżeli chcecie mi oszczędzić wielkiej nieprzyjemności i nie mówcie nikomu o mojej rozmowie z panną de Chandore.

Przywykłe do posłuszeństwa siostry wróciły do swojego pokoju, jednak nie tak szybko, aby nie miały spostrzec obligacji, które panna Dioniza rozrzuciła po stole. A właśnie знаły te obligacje, gdyż miały ich osiem, zanim kupiły dom.

Ciekawość ich zatem pomieszała się z pewnym rodzajem trwogi i gdy wróciły do siebie, młodsza zapytała:

— Widziałaś?

— Te obligacje widziałam.

— Było ich z pięćset albo sześćset.

— Może więcej.

— Jednym słowem gruba suma.

— Ogromna.

— Najświętsza Panno! Co to znaczy? Co to z tego będzie?

— A brat przykazał nam milczenie.

— Błady był jak chusta i okropnie zmieszany.

— A panna de Chandore płakała jak Magdalena.

Tak było rzeczywiście. Dopóki niepewna była rezultatu, dopóty panna Dioniza trzymała się tej myśli, że ocalenie Jakuba zależy od jej odwagi i od jej przytomności. Nabrawszy pewności pomyślnego obrotu rzeczy, nie była w stanie zapanować nad swoim wzruszeniem i złamana wysiłkiem padła na krzesło i zalała się łzami.

Pisarz zamknawszy drzwi, wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem z zimniejszą już krwią niż poprzednio odezwał się:

— Proszę pani.

Ale ona na dźwięk jego głosu zerwała się i pochwytywszy go za ręce, które przez chwilę trzymała w swoich, zawołała:

— Jakże mam panu podziękować! Jak dowieść mojej nieskończonej wdzięczności!

Gdyby nawet przyszła Mechinetowi chęć odmowy, byłaby niezawodnie uleciała w tej chwili, taki urok bił od śmiałego dziewczęcia.

— Nie mówmy o tym — odezwał się z szorstkością człowieka, który pragnie ukryć wewnętrzne wzruszenie.

— Nie będę mówiła — odrzekło dziewczę — ale jednak to muszę panu powiedzieć, że nikt z nas nie zapomni nigdy o długu, który wobec pana dzisiaj zaciągamy. Powiedziałeś pan, że ta ogromna usługa, którą nam pan chcesz oddać, jest połączona z niebezpieczeństwem. Otóż, cokolwiek się stanie, pamiętaj pan zawsze, że od tej chwili masz w nas najserdeczniejszych przyjaciół.

Najście panien Mechinet sprawiło, że pisarz wrócił do równowagi.

— Mam nadzieję — rzekł — że nic złego się nie stanie, jednak muszę pani oświadczyć, że usługa, którą pragnę pani oddać, przedstawia więcej trudności, niż się wydaje.

— Boże mój! — szepnęła panna Dioniza.

— Pan Daveline — mówił pisarz — nie jest może człowiekiem wyższych zdolności, ale zna swoje rzemiosło, jest przebiegły i niezmiernie podejrzliwy. Wczoraj jeszcze mówił mi, iż rodzina Boiscoranów będzie robić wszystko, żeby pana Jakuba wydobyć z rąk sprawiedliwości. Dlatego stał się jeszcze podejrzliwszy i podwoił ostrożność, posuwając ją prawie do śmieszności. Gdyby się nie wstydził, sypiałby pod drzwiami pana Jakuba.

— Ten człowiek mnie nienawidzi, panie Mechinet.

— Nie, pani, bynajmniej, tylko jest ambitny i zdaje mu się, że jego kariera zależy od przeprowadzenia tej sprawy, więc obawia się, aby mu się podejrzany nie ulotnił, albo żeby mu go nie odebrano.

Mocno zakłopotany, Mechinet drapał się w ucho.

— Jak tu zrobić — mówił — żeby doręczyć karteczkę panu de Boiscoranowi. Gdyby wiedział o mnie, nic nie byłoby łatwiejszego. Ale cóż, kiedy on mnie nie zna. Musi być równie podejrzliwy, jak pan Daveline. Lęka się na każdym kroku zasadzki i ma się na baczności. Choćbym mu dał jaki znak, czyż mnie zrozumie? Za to znak ten dostrzec może pan Daveline, który ma bystre oko.

—: A czy pan nigdy nie jesteś sam na sam z panem de Boiscoranem?

— Nigdy, pani, ani na chwilę. Wchodzę do więzienia i wychodzę zeń razem z panem sędzią. Powiesz mi pani może, że wychodząc, ponieważ idę za nim, mógłbym zreć upuścić bilecik. Ale cóż, kiedy przy naszym wyjściu jest zawsze obecny dozorca, który także ma dobre oczy. Zresztą bałbym się w takim razie zbytku ostrożności samego pana de Boiscorana. Widząc podany sobie w ten sposób bilecik, gotów, nie zajrzawszy do niego, oddać go panu Daveline'owi.

Zamilkł, a po chwili zastanowienia odezwał się znowu:

— Najpewniejszą drogą byłoby może porozumienie się z dozorcą Blanguinem albo z pewnym aresztantem, który ma polecenie szpiegować pana de Boiscorana.

— Z Frumencjuszem Cheminotem — przemówiła żywo panna Dioniza.

Najwyższe zdziwienie odmalowało się na twarzy Mechineta.

— Pani zna jego nazwisko! — rzekł.

— Wiem, gdyż Blanguin mówił mi o tym więźniu, a nazwisko jego uderzyło mnie owe-
go dnia, kiedy z panią de Boiscoran poszliśmy do więzienia, chcąc się zobaczyć z Jakubem.

Pisarz machnął ręką niechętnie.

— Teraz — rzekł — rozumiem obawy pana Daveline'a. Dowiedział się o tym kroku pani
i wyobraził sobie, że mu pani chciałaś porwać więźnia.

Mruknął jeszcze pod nosem kilka słów, których panna Dioniza nie zrozumiała, a potem
odezwał się:

— Ale mniejsza zresztą o to, będę działał stosownie do okoliczności. Napisz pani bile-
cik, oto papier i atrament.

— Czy pan de Boiscoran ma książki w więzieniu? — zapytała się.

— Ma, proszę pani. Pan Daveline na jego żądanie sam we własnej osobie poszedł do pa-
na Daubigeona i pożyczył od niego kilka romansów Coopera.

Przerwał mu radosny okrzyk panny Dionizy:

— O! Dziękuję ci, Jakubie, żeś liczył na mnie!

I nie zważając na zdziwienie Mechineta, napisała:

*Jesteśmy pewni Twojej niewinności, Jakubie, a jednak jesteśmy w rozpacz. Twoja Matka
jest tutaj z paryskim adwokatem, niejakim panem Folgatem, szczerze zajmującym się naszą
sprawą. Co mamy robić? Daj nam instrukcje. Możesz odpowiedzieć bez obawy, skoro masz
naszą książkę.*

Dioniza

— Przeczytaj pan — odezwała się, skończywszy, do pisarza.

Ale on, zamiast skorzystać z tego pozwolenia, złożył bilecik, który mu podała i wsunął
go w kopertę, którą zapieczętował.

— Och! Jaki pan jesteś dobry! — szepnęło dziewczę, wzruszone tą delikatnością.

— Nie, pani — odrzekł pisarz — ja tylko po prostu chciałbym jak najuczciwiej zrobić
rzecz... nieuczciwą. Jutro spodziewam się mieć już odpowiedź.

— Przyjdę po nią.

Mechinet zadrżał.

— Niech Bóg broni! — zawołał. — Ludzie są zanadto domyślni, żeby nie mieli zrozu-
mieć tego, że stroje nie mogą pani w tej chwili zajmować, więc bytność pani tutaj wydałaby
się im podejrzana. Zdać się pani w tej mierze na mnie.

Podczas gdy panna Dioniza pisała, Mechineta poskładał obligacje w jedną Paczkę i odda-
jąc je rzekł:

— Zabierz to, pani; gdybym potrzebował pieniędzy dla Blanguina albo dla Frumencjusza Cheminota, dam pani znać. A teraz... odejdz już, pani. Nie potrzebujesz się już widzieć z moimi siostrami. Ja biorę na siebie wytłumaczenie im powodu pani bytności u mnie.

— Co się mogło stać Dionizie, że nie wraca! — mruzczał dziadzio Chandore spacerując po placu Nowego Targu i spoglądając po raz dwudziesty na zegarek.

Przez długi czas obawa sprawienia niezadowolenia wnuczce i zostania przez nią wyłajającym wstrzymywała go na miejscu, gdzie mu kazała czekać, ale nareszcie, na dobre zaniepokojony, powiedział sobie:

— A niech się dzieje, co chce, pójdę.

I przeszedłszy przez drogę oddzielającą plac od domów, zapuścił się w długi korytarz domu sióstr Mechinet. Już postawił nogę na pierwszym stopniu schodów, kiedy ujrzał światło w górze. Jednocześnie prawie usłyszał głos swojej wnuczki i poznał jej kroki.

— Przecież... — pomyślał sobie.

I żwawo, jak student, który usłyszał nadchodzącego profesora i boi się, żeby go nie pochwycił na gorącym uczynku niesforności, powrócił na plac.

Prawie jednocześnie z nim stanęła tam i panna Dioniza, rzuciła mu się na szyję i przykładając swoje świeże usteczka do jego twarzy, rzekła:

— Dziadziu, odnoszę ci obligacje.

Jeśli coś mogło zadziwić pana de Chandorego to niezawodnie to, iż znalazła się na świecie istota tak nieczuła, tak okrutna i barbarzyńska, że zdołała się oprzeć prośbom i łzom panny Dionizy, a cóż dopiero oprzeć się jej łzom i prośbom, popartym stu dwudziestu tysiącami franków.

Mimo to odezwał się smutnie:

— A widzisz, moja duszko, mówiłem, że ci się nie uda.

— I myliłeś się, dziadziu, myliłeś się, powiadam, udało mi się.

— Jakże... kiedy mówisz, że mi odnosisz obligacje?

— Tak, mój dziadziu, ale trafiłam na człowieka zacnego, człowieka z sercem. Biedak! Na jaką próbę wystawiłam jego cnotę! Gdyż on jest w bardzo krytycznym położeniu, wiem o tym dobrze, od czasu gdy wspólnie z siostrami kupił ten dom. Ja ofiarowałam mu dostatek, majątek nawet. Toteż trzeba było widzieć, jak mu błyszczały oczy i drżały ręce, gdy patrzył na te obligacje, gdy ich dotykał. A jednak nie przyjął ich, mój dziadziu, odrzucił ofiarę. Nie chce żadnej nagrody za przysługę, którą nam chce wyświadczyć.

Pan de Chandore przytaknął głową.

— Masz rację, dziecko, ten pisarz jest zacnym człowiekiem i nabył wieczne prawo do naszej wdzięczności.

— Ale trzeba i mnie oddać sprawiedliwość — odezwała się panna Dioniza — że byłam niesłuchanie odważna. Nigdy nie byłabym sądziła, że się potrafię zdobyć na tyle śmiałości.

Splakałam się trochę, to prawda, ale już po wszystkim, kiedy już otrzymałam to, o co mi chodziło.

— Drogie, kochane moje dziecko! — szeptał wzruszony starzec.

— Bo widzisz, dziadziu, ja myślałam tylko o niebezpieczeństwie, w jakim znajduje się Jakub i o tym, żeby się stać godną jego, a on taki odważny! Spodziewam się, że powinien być ze mnie zadowolony.

— Bardzo byłby wybredny, gdyby nie czuł się uszczęśliwiony! — zawołał pan de Chandore.

Rozmowa ta odbywała się pod drzewami na placu Nowego Targu i już wielu ze spacerujących znalazło sposobność przejścia po trzy i cztery razy koło rozmawiających z wyteżonym, ma się rozumieć, uchem, trzymając się chwalebego zwyczaju wielce praktykowanego w Sauveterre.

Mającą się na ostrożności, dzięki przestrogom Mechineta, panna Dioniza, spostrzegła to niebawem.

— Podśłuchują nas — rzekła do dziadka — chodźmy, w drodze dopowiem dziadzi resztę.

I rzeczywiście, idąc opowiedziała mu z najdrobniejszymi szczegółami swoją rozmowę, a stary baron naprawdę nie wiedział, co bardziej podziwiać: czy jej przytomność umysłu, czy bezinteresowność pisarza.

— Jest to jeden powód więcej — zakonkludowało dziewczę — żeby nie powiększać niebezpieczeństwa, na jakie się ten zacny człowiek wystawia. Przyrzekłam mu jak najściślejszą tajemnicę i dotrzymam przyrzeczenia. Gdybyś mnie chciał posłuchać, dziadziu, to nie powiedziałbyś nic ani ciotkom, ani pani de Boiscoran.

— Ech, powiedz po prostu, filutko, że chciałabyś sama, bez niczyjej pomocy ocalić Jakuba.

— Gdybym mogła! Na nieszczęście trzeba przypuścić do tajemnicy pana Folgata, gdyż nie obejdziemy się bez jego rady!

I tak się też stało. Ciotki Lavarande i margrabina de Boiscoran musiały poprzestać na dosyć nieprawdopodobnym wyjaśnieniu powodów wycieczki panny Dionizy.

A w parę godzin później ona, pan Folgat i pan Chandore zeszli się na naradę do gabinetu barona.

Młody adwokat jeszcze bardziej niż pan Chandore dziwił się pomysłowi panny Dionizy i śmiałości jego wykonania. Chciał jej za to powiedzieć jakiś komplement, ale ona przerwała mu żywo:

— W czymże tu moja zasługa? Na jakież naraziłam się niebezpieczeństwo?

— Na wielkie niebezpieczeństwo, zapewniam panią!

— Ech, co znowu! — zawołał pan de Chandore.

— Przekupywać urzędnika to ciężki występki, 179 paragraf kodeksu karnego nie żartuje wcale i na równi stawia przekupującego z przekupionym.

— Niech i tak będzie, zgoda! — zawołała panna Dioniza. — Jeżeli ten biedak Mechineta pójdzie do więzienia i ja pójdę z nim!

I nie zważając na to, jakie niezadowolenie odmalowało się w tej chwili na twarzy dziadka, zwróciła się do pana Folgata:

— Koniec końców, pańskie życzenie ziści się. Będziemy mieli pewną wiadomość od pana de Boiscorana, dostaniemy od niego instrukcje.

— Być może, proszę pani.

— Jak to! Być może? Wszak mówiłeś pan...

— Mówiłem, że byłoby rzeczą daremną, a może nawet nierozsądną, poczynąć cokolwiek, nie wiedząc prawdy. Ale czy się jej dowiemy? Czy sądzi pani, że pan de Boiscoran, który ma tyle powodów niczemu nie ufać, wypowie ją w odpowiedzi, która przejść musi przez tyle rąk, zanim się do nas dostanie?

— Wypowie ją z pewnością, bez ogródek, śmiało i bezpiecznie.

— Och!

— Już ja to wszystko obmyśliłam. Zobaczysz pan.

— W takim razie nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać.

Niestety, rzeczywiście trzeba było czekać i to właśnie do rozpacz doprowadziło pannę Dionizę. W nocy zaledwie się zdrzemnęła. Nazajutrz cały dzień był dla niej jedną nieustającą męczarnią. Ilekroć odezwał się dzwonek, drżała i biegła zobaczyć.

Nareszcie, gdy do piątej godziny nikt się nie zjawił, powiedziała sobie:

— Już dzisiaj z tego nic nie będzie. Mój Boże! Byleby tylko nie schwytali na gorącym uczynku tego poczciwego Mechineta!

I może po to, żeby się otrząsnąć z trwogi, która ją opanowywała, zgodziła się towarzyszyć pani de Boiscoran, która jechała z wizytami.

Gdyby była wiedziała! Nie upłynęło dziesięć minut po jej odejście, gdy jakiś chłopak, jeden z tych, co to po całych dniach wałęsają się po ulicach i placach Sauveterre, zjawił się z listem zaadresowanym do panny Dionizy.

Zaniesiono go do pana de Chandorego, który, czekając na obiad, przechadzał się po ogrodzie z panem Folgatem.

— List do Dionizy! — zawołał baron po odejściu służącego. — To odpowiedź, na którą czekamy!

I odważnie złamał pieczętkę. Ale daremny był jego pośpiech. List wyglądał tak:

31:9,17,19,23,25,28,32,101,102,129,137,504, 515—37:2,3,4,5, 7,8,10, 11,13,14,24,27,52,54,118,119,120,200,201—41: 7,9,17,21,22,44,45,46...

I było tego dwie stronice.

— No, próbuj pan to przeczytać — rzekł pan de Chandore, podając odpowiedź panu Folgatowi.

Młody adwokat próbował odcyfrować list, ale po pięciu minutach daremnych usiłowań rzekł:

— Teraz widzę, że panna de Chandore miała rację mówiąc nam, że będziemy wiedzieli prawdę. Pan de Boiscoran i ona musieli kiedyś ułożyć sobie wspólnie cyfrowany alfabet.

Pan de Chandore podniósł ręce ku niebu.

— Patrzajcież państwo, co za sztuczki umieją te dziewczęta — zawołał. — Toż my teraz jesteśmy na jej łasce, gdyż tylko ona jest nam w stanie wytłumaczyć te hieroglify.

Jeżeli towarzysząc margrabinie de Boiscoran do pani Seneschal panna Dioniza spodziewała się rozproszyć ogarniające ją smutne przeczucia, to bardzo się zawiodła.

Zacna małżonka mera nie umiała zdobyć się na nic innego, tylko rzucała się po kolei w objęcia to pani de Boiscoran, to panny de Chandore i powtarzała im, zanosząc się od płaczu, że je uważa, jedną za najniešťczęśliwszą z matek, drugą za najniešťfortunniejszą z narzeczonych.

— Więc ta kobieta ma Jakuba za zbrodniarza! — myślała sobie rozdraźniona do żywego panna Dioniza.

A nie skończyło się na tym. Wracając ulicą Mantrec, niedaleko domu, w którym tymczasowo stanęli hrabstwo de Claudieuse, usłyszała, jak jakiś chłopiec zawołał:

— Mamo, mamó! Widzi mama, to matka i kochanka mordercy!

Wróciła więc biedaczka jeszcze smutniejsza niż wyjechała, gdy wtem

pokojowa, która widocznie czekała na nią, powiedziała, że dziadek i pan Folgat kazali ją prosić do gabinetu barona.

Nie zdejmując więc nawet kapelusza, pobiegła do nich, a zaledwie weszła, pan de Chandore pokazał jej list Jakuba.

Nie zdołała powstrzymać okrzyku radości, pochwyciła list i przyciskając go do ust, powtarzała:

— Jesteśmy ocaleni! Jesteśmy ocaleni!

Pan de Chandore uśmiechał się, widząc radość wnuczki.

— Ależ, moja panienko — rzekł — okazuje się, żeście mieli jakieś ważne sekrety do komunikowania sobie z panem de Boiscoranem, skoroście sobie wymyślili taki tajemniczy alfabet niby jacyś spiskowcy. Pan Folgat i ja nadaremnie głowy sobie nad tym łamaliśmy.

Wtedy dopiero panna Dioniza przypomniała sobie o obecności paryskiego adwokata i zarumieniwszy się jak piwonia, rzekła:

— W ostatnich czasach, nie pamiętam już z jakiego powodu, Jakub i ja zaczęliśmy rozmawiać o rozmaitych sposobach tajnego korespondowania i on nauczył mnie takiego. Dwaj korespondenci wybierają sobie jakiegokolwiek dzieło

I każdy z nich ma jeden egzemplarz tego samego wydania. Ten, który pisze, i wyszukuje w nim słowa, których potrzebuje i oznacza je cyframi. Ten, który odbiera list z cyframi, odszukuje wyrazy. Toteż w liście Jakuba numery, po których umieszczony jest dwukropek, oznaczają stronicę, a inny numer porządkowy wyrazów wybranych na tej stronicy.

— No, no! — odezwał się pan Chandore. — Nieprędko byłbym się tego domyślił!

— To bardzo proste — odrzekła panna Dioniza — znane, a jednak pewne. Bo jakimże sposobem ktoś obcy może odgadnąć, jaką książkę obrali sobie korespondujący?

— I ty się potrafisz w tym połapać? — zapytał się pan de Chandore.

— Jeszcze jak, dziadziu! Gdy mi Jakub wytłumaczył ten system, zapragnęłam go spróbować, naturalnie. Wybraliśmy sobie książkę, którą ja bardzo lubię „Jezioro Ontario” Coopera, i bawiliśmy się pisząc do siebie mnóstwo listów.

— A pan de Boiscoran ma „Jezioro Ontario” w więzieniu? — zapytał pan Folgat.

— Ma, proszę pana, dowiedziałam się o tym przez pana Mechineta. W więzieniu Jakub przede wszystkim poprosił o kilka romansów Coopera, a pan Galpin-Daveline, taki przebiegły, taki jasnowidzący, taki podejrzliwy, sam wystarał mu się o nie. Jakub, jak pan widzi, liczył na mnie.

— Skoro tak, to idź, moje dziecko i odcyfruj nam tę zagadkę.

Blisko godzina upłynęła, zanim panna Dioniza, zamknięta w swoim pokoju, zdołała pozbierać wszystkie wyrazy oznaczone liczbami przez Jakuba de Boiscorana.

A gdy skończyła i weszła do gabinetu dziadka, na jej twarzy malowała się głęboka rozpacz.

— Okropność! — szepnęła.

Ta sama myśl niby ostry grot przebiegła przez głowę panu de Chandoremu i panu Folgатовi.

Miałżeby się Jakub przyznać do winy!

— Patrzcie panowie, czytajcie! — rzekła podając im swoje tłumaczenie.

Jakub pisał:

Dzięki Ci za Twój list, Moja Najdroższa! Przeczuwałem go tak na pewno, że postarałem się tutaj o „Jezioro Ontario”.

Aż nadto rozumiem Twoją boleść z powodu, że moje uwięzienie przedłuży się, a ja się nie uniewinniam. Milczałem, gdyż spodziewałem się, że dowody mojej niewinności nadejdą z zewnątrz. Widzę, że Uczyć na to było szaleństwem i że będę musiał sam powiedzieć wszystko. I powiem. Ale to, co mam powiedzieć, jest takiej wagi, że będę milczał, dopóki nie pozwolą mi naradzić się z człowiekiem, który by posiadał całe moje zaufanie. Teraz potrzeba mi już wię-

cej niż roztropności... potrzeba mi zręczności. Aż do tej chwili, silny moją niewinnością, byłem spokojny.

Ostatnie przesłuchanie otworzyło mi oczy i ukazało cały ogrom niebezpieczeństwa, na jakie jestem narażony.

Niepokoić się będę niezmiernie, dopóki nie zobaczę się z jakim adwokatem. Matce mojej dziękuję, że przywiozła ze sobą jednego z paryskich. Spodziewam się, że on nie weźmie mi za złe, że na początek udam się do kogo innego, kto zna tutejsze strony i obyczaje.

Wybieram sobie pana Mergisa i proszę, uprzedź go Pani, aby był gotowy w dniu, w którym, po ukończeniu śledztwa, będzie mi wolno z nim się widzieć.

Aż do owej chwili nic robić nie trzeba. Nic, chyba postarać się o to, jeżeli to możliwe, aby moją sprawę odebrano G.D., a oddano ją komu innemu.

Człowiek ten postępuje niegodziwie. On chce koniecznie, żebym okazał się winny; gotów popełnić zbrodnię, aby mnie o nią oskarżyć. Trudno mi zachować zimną krew, ilekroć widzę go wchodzącego do mego więzienia, jęgo, który się nazywał moim przyjacielem.

Moi Drodzy, ciężko pokutuję za winę, której, że tak powiem, nie miałem dotąd świadomości.

A Ty, Moja Jedyna Przyjaciółko, czy przebaczysz mi kiedykolwiek zmartwienia, które Ci sprawiam?

Miałbym jeszcze dużo do powiedzenia, ale aresztant, który mi wręczył bilecik Pani, powiedział mi, żebym się spieszył, a wyszukanie słów zajmuje dużo czasu.

J.

Po przeczytaniu tego listu pan Folgat i pan de Chandore poodwracali ze smutkiem głowy z obawy, aby panna Dioniza nie wyczytała w ich oczach tajemnicy ich myśli.

Ale ona aż nadto dobrze zrozumiała, co to znaczy.

— Miałżebyś, dziadziu, zwątpić o Jakubie? — zapytała.

— Nie — szepnął z cicha pan de Chandore — nie...

— A pan, panie Folgat, miałżebyś się obrazić o to, że Jakub chce się poradzić innego adwokata, nie pana?

— Ja sam pierwszy byłbym mu radził, ażeby się porozumiał z kimś tutejszym.

Panna Dioniza potrzebowała całej swojej energii, żeby powstrzymać łzy.

— Zapewne — rzekła — ten list jest okropny, ale jakże mógłby być inny? Czyż panowie nie rozumiecie tego, że Jakub jest w rozpacz i nie wie, co zrobić?

Lekkie pukanie do drzwi przerwało jej słowa.

— To ja — odezwał się głos pani de Boiscoran.

Chandore, pan Folgat i panna Dioniza popatrzyli po sobie, radząc się nawzajem wzrokiem. Nareszcie odezwał się adwokat:

— Położenie jest zbyt poważne, żebyśmy nie mieli zasięgnąć rady matki Pana de Boiscorana.

I poszedł jej otworzyć.

Od czasu, gdy trwała narada między panną Dionizą, jej dziadkiem i panem Fołgatem, służący przychodził kilka razy powiedzieć im przez drzwi zamknięte na klucz, że waza na stole.

— Dobrze, dobrze! — odpowiadali mu za każdym razem.

Ale ponieważ mimo to nie przychodzili, pani de Boiscoran zrozumiała w końcu, że musiało się stać coś nadzwyczajnego.

I cóż to takiego mogło być, że robiono z tego przed nią tajemnicę? Nie ukrywano by przecież wypadku szczęśliwego — myślała sobie.

Dlatego poszła do gabinetu pana de Chandorego. A gdy jej pan Folgat otworzył, wchodząc, rzekła od razu:

— Chcę wiedzieć wszystko!

— Cokolwiek bądź się stanie — odpowiedziała jej panna Dioniza — racz pani pamiętać, że jedno słowo wypowiedziane w przystępie bólu albo radości może zgubić zanego człowieka, wobec którego zaciągnęliśmy jeden z tych długów, których człowiek nie jest w stanie zapłacić nigdy. Udało mi się nawiązać korespondencję między nami a Jakubem.

— Dionizo!

— Pisałam do niego i odebrałam odpowiedź, przeczytaj ją, matko.

Prawie odchodząc od siebie, margrabina de Boiscoran rzuciła się na pismo, które jej podała panna Dioniza.

Ale w miarę jak czytała, można było widzieć wyraźnie, jak krew ustępowała jej z twarzy, wargi bladły, oczy zachodziły mgłą, brakowało powietrza.

W końcu upuściła papier i padła ciężko na fotel, szepcząc:

— Po co tu daremnie walczyć, kiedy jesteśmy zgubieni! .

Pyszny był gest i nieporównany ton głosu panny Dionizy, kiedy w odpowiedzi na te słowa zawołała:

— Czemu mama po prostu nie powiesz od razu, że Jakub jest podpalaczem i mordercą!

I potrząsając głową ze szlachetną energią, z drżącymi wargami, wodząc dokoła wzrokiem, w którym błyszczał gniew i wzdarda, rzekła:

— Więc sama jedna pozostanę po stronie tego, który miał tylu przyjaciół za czasów pomysłnych! Niech i tak będzie!

Pan Folgat pierwszy się opamiętał.

— Będzie nas dwoje, w każdym razie, proszę pani, gdyż byłby to z mojej strony błąd nie do darowania, gdybym się poddał wpływowi tego listu. Z doświadczenia wiem to, co pani odgadła sercem. Więzienie prewencyjne wywiera wrażenie osłabiające najsilniejsze charaktery. Dni wloką się w nim bez końca, a noce dręczą nieopisaną trwożą. Niewinny, samotnie zamknięty w celi więziennej czuje, że się staje winowajcą, tak jak człowiek najzdrowszy na umyśle czuje, iż mu się rozum miesza, gdy go zamkną w domu wariatów.

Panna de Chandere nie pozwoliła mu dalej mówić:

— Właśnie tak samo czułam — zawołała — tylko nie potrafiłam tego tak wypowiedzieć!

— Ale koniec końców, co tu począć? — odezwała się margrabina słabym głosem.

— Syn pani nam to wskazuje — odrzekł adwokat — musimy czekać na skończenie śledztwa...

— Przepraszam — odezwał się pan de Chandore — mamy się starać o zmianę sędziego.

Pan Folgat pokręcił głową.

— Na nieszczęście — rzekł — jest to marzenie niemożliwe do urzeczywistnienia. Sędziego śledczego nie można tak wyłączyć jak sędziego przysięgłego.

— Jednakże...

— Prawodawca chciał, ażeby stanowisko sędziego śledczego było niewzruszone, żeby nic nie mogło zagradzać mu drogi ani ograniczać jego władzy; 542 artykuł kodeksu postępowania w sprawach karnych jest wyraźny.

— A... co ten artykuł mówi? — zapytała się panna Dioniza.

— Mówi, proszę pani, że żądanie wyłączenia nastąpić może wobec sędziego śledczego tylko na podstawie prawnego podejrzenia, a rozstrzyga o nim tylko sąd kasacyjny, gdyż sędzia śledczy w granicach swojej kompetencji stanowi sam dla siebie osobną jurysdykcję. Nie wiem, czy się wyrażam dość jasno?

— Och, i bardzo — odrzekł pan de Chandore. — Ale ponieważ Jakub wie, że sędzia jest jego śmiertelnym wrogiem...

— Przypuśćmy... Ale cóż na tym zyskamy, jeśli spełnimy jego życzenie? Czy państwo myślicie, że podanie o wyłączenie go przeszkodzi panu Galpin-Daveline'owi prowadzić dalej śledztwo? Bynajmniej. Będzie robił, co zechce, dopóki nie nastąpi decyzja sądu kasacyjnego. Wprawdzie wskutek podania nie będzie mógł sformułować ostatecznych wniosków, ale panu de Boiscoranowi powinno chodzić właśnie o to, żeby je sformułował, gdyż rezultatem tego byłoby dla niego zniesienie ścisłego zamknięcia i możliwość porozumienia się z adwokatem.

— To straszne! — mruknął pan de Chandore.

Wtem panna Dioniza po chwilowym namyśle odezwała się do pana Folgata:

— Zrozumiałam pana i zaraz jutro zakomunikuję panu de Boiscoranowi pańskie argumenty.

— Przede wszystkim — rzekł pan Folgat — wytłumacz mu pani, że wszystkie nasze zabiegi w kierunku przez niego wskazanym obróciłyby się przeciw niemu. Pan Galpin-Daveline jest naszym nieprzyjacielem, ale nie mamy przeciw niemu żadnego uzasadnionego zarzutu. Odpowiedziano by nam zawsze: „Jeżeli pan de Boiscoran jest niewinny, dlaczego nie chce nic mówić?”.

Panu Chandoremu nie przypadło to jakoś do przekonania.

— Jednak — odezwał się — gdybyśmy mieli za sobą wysokie wpływy...

— A czyż je mamy?

— Naturalnie! Boiscoran ma rozumnych przyjaciół, którzy umieli utrzymać się przy władzy pod wszystkimi rządami. Niegdyś zostawał w bardzo bliskich stosunkach z panem de Margerilem.

— A! — przerwał pan Folgat — gdyby pan de Margeril chciał nas poprzeć... Ale to jest człowiek bardzo nieprzystępny.

— Zawsze można wysłać do niego Boiscorana. Skoro został w Paryżu po to, żeby tam przedsięwziąć odpowiednie kroki, to właśnie nadarza mu się sposobność. Napiszę do niego jeszcze dziś wieczór.

Od chwili, gdy zostało wymówione nazwisko Margerila, pani de Boiscoran pobladała jeszcze bardziej. Na ostatnie słowa barona wstała i odezwała się żywo:

— Nie pisz pan, to by się na nic nie zdało, ja tego nie chcę.

Zmieszanie jej było tak widoczne, że wszyscy spojrzeli po sobie.

Niestety biedna kobieta nie mogła powiedzieć, jakie podejrzenia zatrwały życie pana de Boiscorana, ani też jak okrutnie płaciła teraz matka za lekkomyślność żony.

— Gdyby to było konieczne — rzekła stłumionym głosem — gdyby to było ostatnią dla nas ucieczką, to ja sama udałabym się chyba do pana Margerila.

Tylko pan Folgat domyślał się w części powodu bolesnych wspomnień, jakie to nazwisko budziło w duszy pani de Boiscoran.

Chcąc więc przyjść jej z pomocą rzekł:

— W każdym razie moim zdaniem trzeba czekać na koniec śledztwa. Jednak przed posłaniem odpowiedzi panu Jakubowi pragnąłbym, abyśmy zasięgnęli porady adwokata, którego on wskazał.

— Tak będzie najlepiej — powiedział pan de Chandore.

I zadzwoniwszy na służącego, kazał mu iść do pana Mergisa i prosić go, aby się pofatygował po obiedzie.

Wybór, jaki zrobił Jakub de Boiscoran, był nader trafny.

Pan Magloire Mergis, bardziej znany pod nazwiskiem Magloire, uchodził w Sauveterre za najbieglejszego i najwymowniejszego adwokata nie tylko w okolicy, ale na całe Poitiers.

Miał on prócz tego rzecz rzadką i daleko zaszczytniejszą: nieposzlakowaną a zasłużoną reputację prawości i uczciwości.

Znany był z tego, że nigdy by się nie zgodził bronić sprawy dwuznacznej i opowiadano o nim, że bierze za barki i wyrzuca za drzwi klientów, którzy się ośmielą, z pieniędzmi w ręku, proponować mu przeprowadzenie jakiegoś nieczystego interesu.

Toteż nie był wcale bogaty i mając pięćdziesiąt cztery albo pięć lat zachował skromne i oszczędne zwyczaje człowieka dopiero zaczynającego swój zawód.

Ożeniwszy się młodo, pan Magloire utracił żonę po kilku miesiącach pożycia i nigdy nie pocieszył się po tej stracie. Po trzydziestu przeszło latach jego rana była jeszcze nie zablizniona i regularnie widywano go przechodzącego przez miasto z wielkim bukietem w ręku i zdążającego ku cmentarzowi.

Taki był człowiek, który o dziewiątej wieczorem, czyniąc zadość zaproszeniu pana de Chandorego, przybył na ulicę de la Rampe.

Oczekiwali na niego: panna Dioniza, jej dziadek, pani de Boiscoran i pan Folgat.

Powitał ich tak uprzejmie, ale zarazem z takim smutkiem na czole, że pannę Dionizę aż zabolalo serce.

Zdało się jej, że pan de Magloire skłania się ku przypuszczeniu, że Jakub jest winny.

I nie omyliła się, gdyż Magloire niebawem dał to do zrozumienia bardzo delikatnie, ale wyraźnie. Spędziwszy cały niemal dzień w Pałacu Sprawiedliwości, pozbierał on zdania członków trybunału, których opinia była nieprzychylna dla podejrzanego.

— W takich okolicznościach postąpić wedle życzeń Jakuba i wystąpić z prośbą o usunięcie pana Galpin-Daveline'a byłoby błędem nie do darowania...

— Więc śledztwo będzie trwało całe lata — zawołała panna Dioniza — gdyż pan Galpin-Daveline chce koniecznie, aby Jakub przyznał się do zbrodni, której nie popełnił.

Pan Magloire pokręcił głową.

— Mnie się zdaje, proszę pani — odparł — że przeciwnie, śledztwo niebawem się skończy.

— A jeżeli Jakub będzie milczał?

— Milczenie obwinionego, równie jak wszelki jego upór lub kaprysy, nie mogą tamować biegu sprawiedliwości. Jeżeli wezwany, aby się usprawiedliwił, wzbrania się, sprawiedliwość mimo to idzie dalej swoją drogą.

— A jednak, proszę pana, jeżeli obwiniony ma pewne powody?

— Nie ma powodów dość ważnych, aby się ktoś dla nich pozwalał niesłusznie oskarżać. Jednak wypadek ten był przewidziany. Obwinionemu wolno nie odpowiadać na pytania, które go zawstydzają. Ale przyznaj pani, że kiedy obwiniony nie odpowiada, sędzia jest do

pewnego stopnia upoważniony do uznania za uzasadnione zarzutów, z których obwiniony nie chce się tłumaczyć.

Im spokojniejszy był słynny adwokat sauveterski, tym jego słuchaczy wyjąwszy pana Folgata opanowywało większe przerażenie.

— Tak więc — odezwała się słabym głosem pani de Boiscoran — położenie niego syna zdaje się panu groźne?

— Powiedziałbym: niebezpieczne.

— Sadzi pan, podobnie jak pan Folgat, że każdy upływający dzień zwiększa niebezpieczeństwo?

— Jestem tego aż nadto pewny. I jeżeli pan de Boiscoran jest rzeczywiście niewinny...

— Ach, panie! — przerwała mu panna Dioniza. — Jak pan możesz tak mówić, pan, który jesteś przyjacielem Jakuba!

Pan Magloire z wyrazem głębokiego i szczerego współczucia popatrzył na nią przez chwilę, a potem rzekł:

— Właśnie dlatego, że jestem przyjacielem, proszę pani, winienem powiedzieć prawdę. Tak jest, poznałem i uznaję wysokie zalety pana de Boiscorana, kochałem go i dziś go Kocham. Jakub jest człowiekiem i będzie sądzony przez ludzi. Są materialne, dotykalne poszlaki jego winy. Jakież pani masz dowody jego niewinności? Moralne!

— Boże mój! — szepnęła panna Dioniza.

— Jestem więc zdania mego zacnego kolegi.

Tu uklonił się panu Folgatowi.

— Jestem jak najmocniej przekonany, że jeżeli pan de Boiscoran jest niewinny, to obrał sobie fatalny system postępowania. Jeżeli przypadkiem może dowieść swego alibi, niech się spieszy, niech się spieszy. Niech nie dopuszcza, ażeby rzeczy doszły do postawienia go w stan oskarżenia... Gdy bowiem sprawa dojdzie do tego punktu, oskarżony jest już w trzech czwartych skazany.

Nawet wieczysty rumieniec na twarzy pana de Chandorego pobladł.

— A na nieszczęście już powziął postanowienie — odezwała się panna Dioniza — co pan Magloire, który go zna tak dobrze, pozna od razu z jego listu.

Pokazawszy adwokatowi list, trzeba go było przypuścić do tajemnicy i panna Dioniza opowiedziała mu wszystko.

Zdziwiony, zmarszczył brwi.

— To bardzo nierozsądnie :— mruknął — to zuchwałe!

A patrząc na pana Folgata, dodał:

— Nasz zawód ma pewne reguły, spod których... nie wypada się wyłamywać. Przekupić pisarza, korzystać z jego słabości i współczucia. . .

Paryski adwokat zarumienił się nieznacznie.

— Nigdy — odezwał się — nie byłbym doradzał takiego kroku. Ale skoro został zrobiony, nie sądziłem, aby obowiązkiem moim było nie chcieć z niego korzystać, przeciwnie, skorzystam z niego dla dobra mego klienta.

Pan Magloire nic nie odpowiedział, ale przeczytawszy list Jakuba, rzekł:

— Jestem gotów na rozkazy pana de Boiscorana i po ukończeniu śledztwa udam się do niego natychmiast. Jestem tak samo jak panna Dioniza przekonany, że będzie uparcie milczał. Jednak, skoro państwo macie sposób przesłania mu listu, to i ja koniec końców skorzystam z nieroztropnego kroku panny Dionizy. Zaklnijcie go państwo w jego własnym interesie na wszystko, co ma najświętszego, niech przemówi, niech się uniewinni, wytłumaczy.

I ukłoniwszy się, pan Magloire wyszedł nagle, zostawiając ich strapiionych, gdyż widać było, że jego szybki odwrót miał na celu ukrycie bolesnego wrażenia, jakie na nim wywarł list Jakuba.

— Co z tego! — odezwał się pan Chandore. — My napiszemy do niego, ale to będzie po prostu groch o ścianę. On będzie czekał na koniec śledztwa.

— Kto wie! — szepnęła Dioniza.

A po chwili namysłu dodała:

— Zawsze można spróbować.

Nie tłumacząc się jaśniej, pobiegła do swego pokoju i napisała taki lakoniczny bilecik:

Muszę się koniecznie z Panem widzieć. Z naszego ogrodu wychodzi mała furka na ulicę de la Charite, tam czekam na Pana. Choć jest już późno, proszę przyjść.

Dioniza

Po czym zawołała starą służącą, która ją wychowała, i zaleciwszy jej jak największą ostrożność, rzekła:

— Jeszcze dzisiaj, zaraz, oddaj ten list pisarzowi Mechinetowi osobiście. Pospiesz się!

W przeciągu dwudziestu czterech godzin Mechinet tak się zmienił, że własne siostry, go nie poznawały.

Gdy tylko panna Dioniza odeszła, udały się do niego w nadziei, że im powie nareszcie, co znaczyła ta tajemnicza wizyta, ale zaledwie coś o tym wspomniały:

— To was zupełnie nie dotyczy, co wam do tego! — zawołał Mechinet takim tonem, że obie panny zadrżały.

I pozostał sam, wzburzony całym tym wypadkiem i przemyślując nad sposobami dotrzymania swej obietnicy bez skompromitowania się jednak.

Nie było to jednak łatwe. Po długim wahaniu się, zmuszony był uciec się do pomocy Frumencjusza Cheminota.

Aresztant ten, zresztą niezły człowiek, który miał na sumieniu jedynie lekkie przestępstwo włóczęgostwa, lubił Mechineta, który nieraz dawał mu trochę tytoniu albo po kilka groszy na wino.

Z chęcią więc podjął się oddać bilecik panu de Boiscoranowi i przynieść od niego odpowiedź. I wiernie i uczciwie wywiązał się z poruczonego sobie polecenia.

Ale mimo to, że wszystko tak dobrze poszło, Mechineta bynajmniej się nie uspokoił. Oprócz tego, że go trapiły wyrzuty sumienia, że się sprzeniewierzył swoim obowiązkom, drżał na myśl, że zostaje na łasce współnika.

A jednak przez dziwną sprzeczność Mechineta nie żałował tego, co zrobił i gotów był powtórnie zrobić to samo.

W takim znajdował się usposobieniu, kiedy stara służąca panny Chandore przyniosła mu list od swojej pani.

— Cóż tam jeszcze! — zawołał.

A przebiegłszy oczyma te kilka wierszy, rzekł:

— Powiedz panie Chandore, że jestem na jej rozkazy. — A pomyślał sobie, że się musiało stać coś złego.

Jakoż w kwadrans potem wyszedł i z nadzwyczajną ostrożnością, aby uniknąć oczu ciekawych, dostał się na uliczkę de la Charite.

Furtka od ogrodu była uchylona, popchnął ją zatem i wszedł.

Chociaż księżyc nie świecił, noc była bardzo widna; o kilka kroków rozpoznał pannę Dionizę pod drzewami i poszedł ku niej.

— Daruj mi pan — odezwała się — że się odważyłam posłać po niego.

Naraz znikły wszystkie trwogi Mechineta. Myślał już tylko o tym, w jak nadzwyczajnym znajduje się położeniu. Łechtało to niezmiernie jego próżność, że jest powiernikiem tej młodej panienki, najarystokratyczniejszej i najbogatszej na całą okolicę.

— Dobrześ pani uczyniła — rzekł — żeś posłała po mnie, jeżeli mogę jej być w czymkolwiek użyteczny.

Ona pokrótce opowiedziała mu wszystko, a gdy się go zapytała o zdanie, odpowiedział:

— Ja sędzę, podobnie jak pan Folgat, że zmartwienie i osamotnienie zaczynają fatalnie działać na moralny stan pana de Boiscorana.

— Boże! Zaczyna mi się mącić w głowie! — szepnęła dziewczyna.

— Sędzę następnie, podobnie jak pan Magloire — mówił dalej pisarz — że pan de Boiscoran swoim upartym milczeniem pogarsza swoje położenie. Mam nawet dowód na to. Pan Galpin-Daveline, tak niespokojny z początku, teraz zupełnie odzyskał pewność siebie. Prokurator generalny pisał do niego, wieszając mu okazanej energii.

— Cóż więc począć?

— Trzeba by, proszę pani, skłonić pana de Boiscorana, ażeby przemówił. Czuję wprawdzie, że jego postanowienie jest silne, ale gdybyś pani jednak napisała do niego, skoro pani możesz napisać...

— List nie zdałby się na nic.

— Jednakże...

— Na nic, powiadam panu. Ale ja znam inny sposób.

— To użyj go pani jak najprędzej — przerwał jej pisarz — nie zwlekaj ani chwili, nie ma czasu do stracenia...

Choć noc była taka widna, Mechinet nie mógł dostrzec, jak panna Dioniza pobladła.

— Muszę koniecznie — rzekła — dostać się do pana de Boiscorana, widzieć się z nim, pomówić.

Sądziła, że pisarz podskoczy, krzyknie; tymczasem wcale nie, tylko rzekł najspokojniejszym tonem:

— Zapewne, ale jak?

— Blanguin, dozorca i jego żona, o tyle dbają o swoją posadę, o ile ona im daje utrzymanie. Gdybym mu więc w zamian za ułatwienie mi widzenia się z panem de Boiscoranem ofiarowała tyle, żeby mógł sobie kupić jakie gospodarstwo na wsi...

— Dlaczego by nie! — odrzekł pisarz.

A potem ciszej, jakby zbijając zarzuty, które mu nasuwało doświadczenie, dodał:

— Więzienie w Sauveterre nie jest podobne do więzień w wielkich miastach. Więźniów tu niewielu, a nadzoru nie ma prawie żadnego. Po zamknięciu bram Blanguin jest w nim nieograniczonym panem...

— Pójdę do niego jutro! — rzekła panna Dioniza.

Są pochyłości, na których trudno się zatrzymać. Mechinet, raz ustąpiwszy naleganiom panny Dionizy, mimo woli oddał się jej na całą przyszłość.

— Nie, nie chodź pani — odezwał się. — Nie potrafiłabyś pani dowieść Blanguinowi, że się nie naraża na żadne niebezpieczeństwo, ani dostatecznie pobudzić jego chciwości. Ja z nim pomówię.

— Ach, panie! — zawołała panna Dioniza. — Jajdmże sposobem i...

— Ile mogę mu ofiarować? — przerwał jej pisarz.

— Tyle, ile tylko uznasz pan za potrzebne.

— A więc jutro, proszę pani, tutaj o tej samej godzinie przyniosę pani odpowiedź.

I odszedł, zostawiwszy pannę Dionizę tak pełną nadziei, że przez resztę wieczora i przez cały dzień następny ciotki Lavarande i pani de Boiscoran, którym nic nie powiedziała, powtarzały sobie ciągle:

— Co się stało tej dziewczynie?

Ona zaś myślała o tym, że jeżeli odpowiedź będzie pomyślna, to ujrzy Jakuba i mówiła sobie:

— Byle tylko Mechinnet stawił się na czas.

Mechinnet stawił się. Punkt o dziesiątej wieczór, tak jak wczoraj, popchnął furtkę i wchodząc rzekł:

— Udało mi się.

Panna Dioniza poczuła się tak silnie wzruszona, że musiała się oprzeć o drzewo.

— Blanguin zgadza się — mówił dalej pisarz. — Obiecałem mu szesnaście tysięcy franków. Może to za dużo?

— Chyba za mało, panie!

— Chce je mieć w złocie.

— Dobrze.

— Poza tym stawia warunki, które może się pani wydadzą zbyt przykre.

Panna Dioniza przyszła tymczasem do siebie.

— Jakież to warunki?

— Blanguin nie chciałby się skompromitować. Dlatego tak całą rzecz ułożył. Jutro wieczór o szóstej będziesz pani przechodziła koło więzienia. Brama będzie otwarta, a w bramie będzie stać żona Blanguina, którą pani znasz, gdyż służyła u państwa. Jeżeli się pani nie ukloni, to pójdiesz pani dalej, gdyż to będzie znakiem, że zaszła jakaś przeszkoda. Jeżeli się pani ukloni, pójdiesz pani do niej sama, a ona panią zaprowadzi do małego pokoiku należącego do jej mieszkania. Zostaniesz tam pani do późnej godziny, to jest do chwili, w której Blanguin osądzi, że może panią, nie narażając się na niebezpieczeństwo, zaprowadzić do celu pana de Boisacorana. Po zobaczeniu się z nim wrócisz pani do swego pokoiku, gdzie już będzie przygotowane dla pani łóżko i pozostaniesz tam pani przez resztę nocy. Gdyż to właśnie jest najtwardszy z warunków, że możesz pani wyjść z więzienia tylko w dzień.

Rzeczywiście był to warunek straszny.

Jednak po chwili namysłu panna Dioniza rzekła:

— Mniejsza o to! Przyjmuję. Powiedz panu Blanguinowi, że zgadzam się na wszystko.

Fakt, że panna Dionizą przyjęła wszystkie warunki postawione przez dozorcę Blanguina, to nic dziwnego. Ale daleko trudniej było otrzymać na to pozwolenie pana de Chandorego.

Panna Dioniza tak to doskonale rozumiała, że po raz pierwszy w życiu poczuła się zakłopotana wobec dziadka, wahała się, układała frazesy i dobierała słowa.

Ale nadaremnie, choć starała się zmniejszyć, złagodzić ekscentryczność swojej prośby; gdy tylko wytłumaczyła mu, o co chodzi, pan de Chandore zawołał:

— Nigdy Nigdy!

I rzeczywiście, nigdy starzec nie odzywał się z taką jak tym razem stanowczością. Nigdy jeszcze nie odpowiedział na prośbę swej wnuczki: nie, żeby oczy jego nie mówiły: tak!

Był zawsze gotów na jej skinienie. Gdy panna Dioniza zażądała od niego stu dwudziestu tysięcy franków, dał jej, chociaż to gruba suma wszędzie, ogromna w Sauveterre, a niezmierna dla starca, który ją z wolna, oszczędnością uzbierał. Gotów był dać drugie tyle, nawet dwa razy tyle, bez żadnych wyjaśnień.

Ale żeby panna Dioniza miała opuścić jego dom o godzinie szóstej wieczór i nie wrócić aż nazajutrz rano? Żeby miała spędzić noc w więzieniu dlatego, żeby się tam zobaczyć ze swoim narzeczonym, więźniem, obwinionym o podpalenie i morderstwo, przez całą noc na łasce dozorca, człowieka nieużytego, chciwego i rubasznego?

— Nie! Na to nie pozwolę! — zawołał jeszcze raz stary baron.

Panna Dioniza spokojnie przeczekwała burzę. A gdy dziadek zamilkł, rzekła:

— A jednak, jeżeli to jest konieczne, żeby skłonić Jakuba do przerwania milczenia, żeby go namówić do złożenia zeznań przed ukończeniem śledztwa?

— To nie twoja rola, moje dziecko — rzekł pan de Chandore. — To rola jego matki. To, co Blanguin ryzykuje dla ciebie, zrobi także dla niej za tę samą cenę. Że pani de Boiscoran spędzi noc w więzieniu, na to zgoda; widząc się z synem, spełni tylko swój obowiązek.

— Ona z pewnością nie zdoła wpłynąć na zmianę postanowienia Jakuba.

— A ty myślisz, że masz większy wpływ na niego niż jego własna matka?

— To zupełnie co innego, kochany dziadziu.

— Chociażby nawet.

To „chociażby nawet” było równie stanowczo wymówione, jak poprzednie „to niepodobna”; ale pan Chandore wdał się w dyskusję, narażał się w każdym razie na zarzuty przeciwnika.

— Nie nalegaj, moje dziecko — odezwał się po chwili — moje postanowienie jest niezłomne i przysięgam ci...

— Nie przysięgaj, dziadziu — przerwała mu Dioniza.

A postawa jej miała w sobie coś tak pewnego, głos coś tak stanowczego, że stary na chwilę osłupiał.

— Jeżeli jednak nie zechcę? — rzekł.

— Zechcesz, kochany dziadziu, nie postawisz swojej wnuczki, która cię tak kocha, wobec bolesnej konieczności, żeby ci miała być po raz pierwszy w życiu nieposłuszna.

Pana de Chandorego ogarniała rozpacz.

— A gdybym prosił, zamiast rozkazywać, Dionizo? — zawołał. — Gdyby twój stary dziadek na kolanach cię błagał, żebyś zaniechała tego fatalnego Projektu?

— Sprawiłbyś mi, dziadziu, okropną boleść, a bezowocną, gdyż nie wysłuchałabym twoich próśb, tak jak nie usłucham twoich rozkazów.

— Nieubłagana! — zajęczał starzec. — Ona jest nieubłagana!

A potem nagle, zmieniając ton, zawołał:

— A jednak ja tu jestem panem!

— Litości, dziadziu!

— I kiedy z tobą nic poradzić nie mogę, udam się do Mechineta i oznajmię moją wolę Blanguinowi.

Bielsza niż marmur, ale z błyszczącym okiem, panna Dioniza cofnęła się o krok.

— Jeżeli to zrobisz, dziadziu — przerwała mu — jeżeli zniszczysz moją ostatnią nadzieję...

— To co?

— To przysięgam ci na pamięć mojej matki, jutro będę w klasztorze i nie zobaczysz mnie już nigdy, nawet w godzinę śmierci, która nastąpi niedługo.

Pan de Chandore z rozpaczą wznosił ręce ku niebu i chrapliwym głosem zawołał:

— O mój Boże! Takie są nasze dzieci! Taki los czeka nas starych! Całe nasze życie schodzi na czuwaniu nad nimi, na kolanach słuchamy wszystkich ich zachceń, one są celem naszych trosk, naszą najdroższą nadzieją, oddajemy im wszystkie dni naszego życia, oddalibyśmy za nie chętnie ostatnią kroplę krwi, one są dla nas wszystkim i sądzimy, że one nas kochają! Szaleńcy! Pewnego pięknego dnia przyjdzie jakiś młody człowiek, nie troszczący się o nic, uśmiechnięty, z błyszczącym okiem, z kilku miłosnymi wyrazami na ustach i skończyło się wszystko! Dziecko nasze, już nie nasze, nie zna nas wcale. Umieraj w kącie, zgrzybiały starcze!

I ulegając wzruszeniu, podobny do dębu podciętego siekierą, stary zachwiał się i ciężko upadł w krzesło.

— Boże, to okropne! — szepnęła panna Dioniza. — To okropne, co mówisz, dziadziu. Ty wątpisz we mnie!

Uklęka i płakała, a jej łzy padały na ręce starca.

Wtedy on wyprostował się i próbując ostatniego środka, zawołał:

— Nieszczęśliwa! A gdyby Jakub był rzeczywiście winowajcą, gdyby, ujrzawszy cię, wyznał ci swoją zbrodnię?

Panna Dioniza pokręciła głową.

— To niemożliwe! — rzekła. — A jednak, gdyby tak było, to powinnam ponieść tę samą karę, co on, gdyż czuję, że gdyby tylko był zechciał, byłabym jego współniczką.

— Oszalała! — jęknął pan de Chandore padając na powrót na krzesło. — Oszalała!

Ale był pokonany i nazajutrz o godzinie piątej wieczorem, z rozdartym sercem szedł ulicą de la Rampe, prowadząc pod rękę wnuczkę.

Panna Dioniza miała na sobie najprostszą i najciemniejszą ze swoich sukien, a mała torebka, którą miała, zawierała w sobie nie szesnaście ale dwadzieścia tysięcy franków w złocie.

Naturalnie, trzeba było przypuścić do tajemnicy panią de Boiscoran, ciotki Lavarande i pana Folgata, ale ku wielkiemu zdziwieniu pana de Chandorego, nikt nic nie miał przeciw temu.

Aż do ulicy, na której wznosi się więzienie, dziadek i wnuczka nie przemówili do siebie ani słowa. Ale stanąwszy tam, panna Dioniza odezwała się:

— Uważaj, dziadziu, Blanguinowa stoi w bramie.

Zbliżyli się. Blanguinowa się ukloniła.

— No, nadeszła stanowcza chwila—rzekło dziewczę. — Do widzenia jutro, kochany dziadziu, wracaj prędko i bądź spokojny.

I pobiegłszy ku żonie dozorca, znikła z nią wewnątrz więzienia.

Więzienie sauveterskie jest to zamek wznoszący się nad starym miastem wśród najuboższej i niemal pustej dzielnicy. Niegdyś warowny, pozbawiony został głównych umocnień podczas oblężenia Roszeli i dziś istnieją tylko niezgrabnie odrestaurowane jego szczątki,wały ponad zasypanymi rowami, brama z wieżyczką, kaplica zamieniona na magazyn wojskowy, nareszcie dwie potężne baszty połączone ogromnym budynkiem, którego dolne piętro jest sklepienie.

Nic mniej smutnego, jak te ruiny otoczone murem porośłym bluszczem i nikt by się nie domyślił ich przeznaczenia, gdyby nie żołnierz, który dzień i noc niezmiennie stoi u wejścia na warcie.

Olbrzymie wiązy oceniają obszerne dziedzińce, a po platformach i w rozpadlinach murów kwitnie tyle lili i stokrotek, że stu więźniów miałyby się czym nacieszyć.

Ale cóż, kiedy więźniów brakuje temu romantycznemu więzieniu.

— To jest klatka bez ptaków — zwykł czasami mawiać dozorca melancholijnym tonem.

Korzysta on z tego, uprawiając jarzyny wzdłuż wałów, a położenie do słońca jest tak szczęśliwe, że on zawsze najpierwszy miewa zielony groszek.

Skorzystał również z tego, za pozwoleniem administracji naturalnie, urządzając sobie w jednej z baszt ładne mieszkanie, złożone z dwóch pokojów na dole i z jednego na piętrze, do którego prowadziły wąskie schody wykute w grubym murze.

Do tego to pokoiku, z pośpiechem, do którego ją naglił strach, wciągnęła dozorczyńni pannę Dionizę.

Biedne dziewczę nie mogło schwytać oddechu, tak jej serce mocno biło i zaledwie wszedłszy, padła na krzesło.

— Chryste Panie! — zawołała dozorczyńni. — Panience, widzę, niedobrze! Niech panienka troszkę poczeka, ja polecę po ocet!

— Nie potrzeba — odezwała się słabym głosem panna Dioniza — nie odchodź ode mnie, nie odchodź, moja Koletko.

Pani Blanguin była to krępa i silna kobiecina, mogąca mieć czterdzieści pięć lat, śniada, z górną wargą pokrytą mocnym czarnym puchem. Na imię jej było Koleta.

— Biedna panienko! — przemówiła znów. — Musi się to panience wydawać zabawne, że jest tutaj.

— O, i bardzo zabawne! Ale gdzież to twój mąż?

— Na dole, proszę panienki, upatruje sposobnej pory. On tu zaraz zapewne przyjdzie.

Jakoż niebawem dały się słyszeć na schodach ciężkie kroki i ukazał się Blanguin, blady, z oczyma rozbieganymi jak u człowieka, który się naraża na wielkie niebezpieczeństwo.

— Ani psa, ani kota! — rzekł wchodząc. — Ja się tylko bałem tego łotra szyldwachy, ale właśnie gdy pani wchodziła, udało mi się odciągnąć go za mur na kieliszeczek. Zaczynam mieć nadzieję, że nie stracę miejsca.

Panna Dioniza dopatrzyła się w tych słowach myśli o zwłóce.

— Ech! Co tam miejsce — rzekła udając wesołość, której nie czuła — skoro ułożyliśmy się, że ja panu zapewnię daleko lepsze!

I otwarszy torebkę zaczęła kłaść na stole zawarte w niej rulony.

— Złoto! — mruknął Blanguin, któremu błysnęły oczy.

— Tak, złoto. Każdy z tych rulonów zawiera tysiąc franków, a jest ich szesnaście.

Nieprzeparta pokusa ściągnęła rysy dozorczy.

— Czy można zobaczyć? — zapytał.

— I owszem — rzekła panna Dioniza — przelicz pan.

Ale myliła się. Blanguinowi ani przyszło do głowy liczyć! On chciał tylko napaść wzrok tym złotem, posłyszeć jego dźwięk, dotknąć go rękami.

Gorączkowym ruchem zaczął rozdierać rulony i spuszczał dukaty z góry na stół niby kaskadę, a w miarę jak kupa złota rosła, wargi poczęły mu blednąć, a pot wystąpił mu na skronie.

— Nie wyobrażałem sobie nawet, co to może być szesnaście tysięcy franków. Jaka to piękna rzecz złoto! Patrzaj jeno, żono!

Ale dozorczyńni odwróciła głowę.

Była ona równie chciwa na pieniądze jak mąż i może nawet silniej jeszcze wzruszona, ale była kobietą, umiała udawać.

— Ach, łaskawa pani — odezwała się — nigdy mój mąż ani ja nie bylibyśmy żądali od pani pieniędzy za tę przysługę, gdybyśmy tylko myśleli o sobie. Ale my mamy dzieci.

— Obowiązkiem waszym jest myśleć o dzieciach — rzekła panna Dioniza.

— Ja wiem, że szesnaście tysięcy franków to duża suma. Panience może żal dać nam tyle pieniędzy.

— Tak dalece tego mi nie żal, że gotowam nawet jeszcze wam coś dorzucić.

I mówiąc to pokazała cztery rulony pozostałe jeszcze w torebce.

— No, kiedy tak, to niech diabli biorą miejsce! — zawołał Blanguin.

I upojony widokiem i dotknięciem złota, mówił:

— Jesteś pani tutaj u siebie, a więzienie i dozorca są na pani rozkazy. Czego pani żądasz? Proszę tylko powiedzieć. Mam dziewięciu więźniów, nie licząc pana de Boiscorana i Cheminota. Chcesz pani, żebym ich wypuścił na wolność?

— Blanguin! — odezwała się surowo dozorczyńni.

— A co! Może nie w mojej mocy wypuścić ich!

— Zanim się zaczniesz przechwalać, pamiętaj wprzód o usłudze, której pani oczekuje od ciebie.

— To prawda.

— A więc naprzód — rzekła przezorna połowica — schowaj pieniądze, które mogłyby nas zdradzić.

I wyciągnąwszy z szafy wełnianą pończochę, podała ją mężowi, który wsypał w nią szesnaście tysięcy franków, zostawiwszy tylko kilkanaście sztuk, które wsadził do kieszeni, żeby mieć pod ręką materialny dowód swego bogactwa.

Pończocha została złożona na spodzie szuflady pod stosem bielizny.

— Teraz zejdź — zakomenderowała mężem dozorczyńni. — Może jeszcze kto przyjsć, a gdybyś nie otwarł zaraz, gdy zapukają, mogłoby to obudzić podejrzenie.

Blanguin jako dobrze wytresowany małżonek wypełnił rozkaz bez żadnego oporu, a dozorczyńni postanowiła tymczasem zabawiać pannę Dionizę.

Miała ona nadzieję, mówiła, że jej droga panienka uczyni jej ten zaszczyt i przyjmie od niej jaki posiłek. To by ją wzmocniło, a przy tym pomogło spędzić czas, gdyż była dopiero siódma, a Blanguin będzie ją mógł zaprowadzić bezpiecznie do celi pana de Boiscorana nie wcześniej jak o dziesiątej.

— Jestem już po obiedzie, nie chce mi się zupełnie jeść — odrzekła panna Dioniza.

Ale pani Blanguin nie przestała nalegać. Pamiętała, dzięki Bogu, gust najukochańszej panienki i przygotowała dla niej wyborną potrawkę i przepyszny krem.

I mówiąc to, nakrywała stół, bo uparła się, że panna Dioniza musi u niej coś zjeść, choćby miała paść, co zresztą jest tradycyjnym zwyczajem w Saintonge.

Natrętna gościnność tej kobiety miała w sobie przynajmniej to dobre, że nie pozwalała pannie Dionizie zagłębiać się w bolesnych myślach.

Nadeszła noc. Wybiła dziewiąta, potem dziesiąta. Następnie dały się słyszeć kroki żołnierzy, którzy przyszli złuzować szyldwacha.

W kwadrans później zjawił się Blanguin z latarnią i ogromnym pękiem kluczy.

— Kazałem Cheminetowi iść spać — rzekł — służę panience.

Panna Dioniza stała już gotowa.

— Chodźmy — rzekła tylko.

I w ślad za dozorcą przebyła długie korytarze, potem ogromną sklepioną salę w której kroki rozlegały się jak w kościele, potem znów długą galerię.

Nareszcie, pokazując grube drzwi, przez których szpary przeciskały się smugi światła, Blanguin rzekł:

— To tam!

Panna Dioniza chwyciła go za rękę i ledwie zrozumiałym głosem szepnęła:

— Zaczekaj pan chwilkę.

Była bliska zemdlenia. Czuła, że nogi uginają się pod nią, a oczy zachodzą mgłą. Dusza jej zachowała podziwu godną energię, ale ciało nie dopisywało woli.

— Czy pani słabo? — zapytał się dozorca. — Co pani robi?

Ona błagała Boga o odwagę i siłę. A skończywszy modlitwę rzekła:

— Wejźmy!

Z głośnym brzękiem kluczy i zgrzytem zawiasów Blanguin otworzył drzwi do więzienia Jakuba de Boiscorana.

Jakub de Boiscoran już nie dnie, ale godziny liczył od czasu, gdy został osadzony w ścisłym więzieniu.

Aresztowany został w piątek rano, 23 czerwca, a teraz była środa, 28 czerwca. Upłynęło więc sto trzydzieści dwie godziny od chwili, w której został aresztowany, a każda z tych godzin zaciążyła na nim jak cały miesiąc.

Toteż widząc go bladego i wychudłego, z rozczochranymi włosami i brodą, z oczyma pałającymi gorączkowo z trudnością można było poznać w nim tego szczęśliwego i wesołego pana na Boiscorana, do którego się wszystko uśmiechało, tego dumnego i sceptycznego młodzieńca, który odważnie przyjmował wyzwania losu.

Bo też nic tak prędko nie łamie energii, nie osłabia woli, nie kruszy najsilniejszych organizmów, jak „ścisle więzienie”.

Bo nie ma straszniejszej walki nad walkę, która się toczy między oskarżonym, winnym czy niewinnym, a nieubłaganym lub łaskawym sędzią, w której po jednej stronie stoi bezbronny człowiek, a z drugiej człowiek uzbrojony w nieograniczoną władzę.

Jakub po pierwszym wstrząsie niebawem odzyskał energię i przez piątek i sobotę był spokojny, pełen ufności, rozmowny, a nawet prawie wesoły.

Niedziela była dla niego fatalna.

Wieziony do Boiscoran między dwoma żandarmami w celu zdjęcia pieczęci, po drodze obrzucony został przekleństwami i złorzeczeniami przez ludzi, którzy go poznali i powrócił śmiertelnie smutny.

Przez cały poniedziałek męczył go sędzia śledczy, a po sześciogodzinnej indagacji, gdy mu przyniesiono obiad, mówił, że jego zdrowie nie wytrzyma tego dłużej i że wolałby, żeby go od razu zabili.

We wtorek odebrał list od panny Dionizy i odpowiedział na niego. Było to dla niego powodem nadzwyczajnego wzruszenia i przez część nocy Frumencjusz Cheminot widział, jak chodził po celi, wykrzykując coś bez związku, jak wariat.

W środę spodziewał się znów paru słów. Gdy go ta nadzieja zawiodła, wpadł w zimne odrętwienie, z którego pan Galpin-Daveline nie mógł go wyrwać. Przez cały dzień nie wziął nic do ust, prócz filiżanki rosółu i trochę kawy.

A gdy sędzia wyszedł, oparł się łokciami na stole i pozostał tak, nieruchomy jak posąg, z obwisłymi wargami, z osłupiałym wzrokiem, tak głęboko zatopiony w marzeniach, że nie ruszył się nawet, gdy mu przyniesiono światło.

I siedział tak jeszcze, gdy niedługo po dziesiątej, usłyszał zgrzytanie drzwi.

Już na tyle obeznał się był z więzieniem, że znał wszystkie tamtejsze zwyczaje.

Wiedział, o której godzinie przynoszą mu jeść, kiedy Cheminot przyjdzie sprzątać w jego celi i kiedy nareszcie może się spodziewać wizyty sędziego śledczego.

Gdy zapadła noc, mógł być spokojny aż do rana.

Tak późna wizyta zwiastowała oczywiście jakiś nadzwyczajny wypadek, może wolność, tego gościa, którego tak przyzywają wszyscy więźniowie.

Wstał zatem.

— A co tam? — zapytał żywo, gdy zobaczył surową twarz dozorca.

Blanguin ukłonił się. Był to jeden z grzecznych dozorców.

— Przyprawiam tu panu pewną osobę — rzekł.

I usunąwszy się na bok, przepuścił przed sobą, a raczej wepchnął do celi pannę Dionizę, która, zdawało się, nie miała siły postąpić kroku.

— Pewną osobę — powtórzył pan de Boiscoran.

Ale gdy dozorca podniósł latarnie, nieszczęśliwy poznał swoją narzeczoną.

— Pani — zawołał — tutaj!

I rzucił się w tył, drżąc z obawy, czy to nie senne złudzenie, czy nie jest igraszką jednej z tych strasznych halucynacji, które poprzedzają szaleństwo i które gnieźdzą się w chorych mózgach jak orły morskie w ruinach.

— Dioniza! — szeptał — Dioniza!

Biedna Dioniza nie była w stanie wymówić jednego słowa, tak wzruszenie ścisnęło jej gardło i zacięło wargi.

Dozorca odpowiedział za nią.

— Tak jest — rzekł — panna de Chandore.

— O tej godzinie! W moim więzieniu!

— Miała coś ważnego panu do powiedzenia, więc przyszła do mnie.

— Dionizo — jękał Jakub — nieporównana przyjaciółko!

— A ja zgodziłem się na to — mówił dalej Blanguin ojcowskim tonem

żeby ją tu potajemnie wprowadzić. Wielkie to z mojej strony przestępstwo i gdyby się o tym dowiedziano! Ale cóż robić! Człowiek, choć dozorca, ma takie serce, jak i każdy inny! Ja to mówię panu dlatego, że panienka może by zapomniała pana uprzedzić. A gdyby sekret się wydał, ja straciłbym miejsce, a jestem biedny człowiek, mam żonę i dzieci.

— Jesteś pan najlepszym z ludzi! — zawołał pan de Boiscoran nie domyślając się naturalnie, ile kosztuje ta czułość Blanguina. — Gdy zostanę uwolniony, dowiodę panu, żeś nie trafił na niewdzięcznika!

— Sługa pański! — odparł skromnie dozorca.

Ale powoli panna Dioniza przychodziła do siebie.

— Zostaw nas samych, kochany panie — rzekła uprzejmie do Blanguina.

A zaledwie się oddalił, nie dając panu de Boiscoranowi przyjść do słowa, rzekła:

— Jakubie, mój dziadek powiedział mi, że przychodząc tutaj sama, potajemnie, w nocy, narażam się na to, że twoje przywiązanie do mnie osłabnie i szacunek się zmniejszy.

— Ale ty mu nie uwierzyłaś!

— Mój dziadek, Jakubie, ma więcej doświadczenia ode mnie. A jednak nie wahałam się, jestem tutaj i byłabym się narażać na tysiące innych niebezpieczeństw, gdyż tu idzie o twój honor, który jest moim, o twoje życie, które jest moim, o naszą przyszłość, o nasze szczęście, o wszystkie nasze nadzieje na ziemi.

Szalona radość przeobraziła zupełnie twarz więźnia.

— Boże wielki! — zawołał. — Taka chwila jest w stanie okupić całe lata męczarni.

Ale panna Dioniza idąc do więzienia, przysięgła sobie, że się niczym nie da odwieść od głównego celu przybycia.

— Przysięgam na pamięć mojej matki, Jakubie, że nigdy, ani na chwilę nie zważyłam o twojej niewinności.

Nieszczęśliwy z rozpaczą załamał ręce.

— Pani — zawołał — ale inni, ale pan de Chandore?

— Czyż byłabym tutaj, gdyby on miał cię za winnego? Moje ciotki i twoja matka są równie jak ja pewne twojej niewinności.

— A mój ojciec?

— Ojciec twój pozostał w Paryżu na wypadek, gdyby tam wypadło uczynić jakieś kroki w tej sprawie.

Jakub de Boiscoran potrząsnął głową.

— Ja siedzę w więzieniu w Sauveterre — rzekł — oskarżony o okropną zbrodnię, a mój ojciec został sobie w Paryżu. Miałoby być prawdą, że mnie nigdy nie kochał? Byłem zawsze dobrym synem i aż do tej okropnej katastrofy nie mógł się nigdy żalić na mnie. Nie, nie, ojciec mnie nie kocha!

Panna Dioniza nie mogła mu pozwolić rozvodzić się w tej chwili z podobnymi żałami.

— Posłuchaj mnie, Jakubie — przerwała mu — posłuchaj, dlaczego odważyłam się na ten ryzykowny krok. Przyszłam tutaj w imieniu wszystkich naszych przyjaciół, w imieniu pana Folgata, tego adwokata z Paryża, w imieniu pana Magloire'a, w którym takie pokładasz zaufanie. Wszyscy zgadzają się, że trzymasz się fatalnego systemu. Upierając się przy ciągłym milczeniu, sam dobrowolnie biegniesz w przepaść. Uważaj dobrze, co ci mówię: jeżeli z uniewinnieniem będziesz czekał do końca śledztwa, jesteś zgubiony. Gdy dopuścisz, aby sprawa twoja zakwalifikowana została przed sąd przysięgłych, daremne będą wszelkie twoje tłumaczenia. Wtedy będzie za późno. I, chociaż niewinny, pomnożysz sobą tylko długą listę omyłek sądowych.

W milczeniu, z czołem pochylonym ku ziemi, jak gdyby dla ukrycia okrywającej mu twarz bladości Jakub słuchał słów panny de Chandore.

A gdy skończyła i z drzeniem czekała odpowiedzi, szepnął tylko:

— Niestety! To, co mi pani mówisz, ja sobie sam już ze sto razy powiedziałem!

— I milczałeś mimo to?

— Milczałem.

— To chyba nie masz pojęcia o niebezpieczeństwie, jakie ci grozi, nie wiesz, na co się narażasz.

On przerwał jej skinieniem i stłumionym głosem rzekł:

— Wiem, na rusztowanie... lub galery.

Panna Dioniza skamieniała z przerażenia.

Biedaczka! Ona sobie wyobrażała, że dość jej będzie ukazać się, aby złamać upór pana de Boiscorana, że to widzenie się z nim przyniesie jej spokój. Tymczasem widząc jego usposobienie, zawołała:

— Nieszczęśliwy! Skąd to okropne postanowienie, żeby milczeć?

— Tak być musi.

— To niemożliwe! Tyś się nad tym nie zastanowił!

— Nie zastanowił! — powtórzył Jakub.

A potem dodał ciszej:

— A cóż ja robiłem przez te sto trzydzieści śmiertelnych godzin, przez które siedzę sam w tym więzieniu, sam wobec okropnego oskarżenia i jeszcze straszniejszych następstw!

— W tym całe nieszczęście, mój Jakubie, że jesteś ofiarą własnej wyobraźni! Ale któż by nią nie był na twoim miejscu! Pan Folgat mówił mi, że nie ma na świecie człowieka, który by po czterech dniach takiego zamknięcia zdołał zachować zimną krew. Ból i samotność są złymi doradcami. Jakubie, opamiętaj się, posłuchaj głosu najlepszych przyjaciół! Jakubie, twoja Dioniza zaklina cię, przestań milczeć.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

Czekała kilka sekund, a gdy jej nic nie odpowiadał, poczęła znów nalegać z pewnym odzieniem goryczy w głosie:

— Czyż nie jest naszym pierwszym obowiązkiem, kiedy się jest niewinnym, wykazać swoją niewinność?

Więzień z rozpaczą chwycił się za głowę. I nachylając się ku pannie Dionizie tak, że poczuła jego oddech na włosach, rzekł:

— A kiedy nie można, kiedy nie można wykazać swojej niewinności!

Ona cofnęła się blada jak trup, chwiejąc się tak, że musiała się oprzeć o ścianę i utkwisz w Jakubie wzrok, w którym zbiegły się wszystkie trwogi jej duszy, wyjąkała:

— Boże! Co ty mówisz!

On, nieszczęśliwy, śmiał się tym śmiechem, który jest ostatnim wyrazem rozpaczy.

— Mówią — odrzekł — że bywają fatalne okoliczności, które mieszają rozum, niesłychane zbiegi wypadków, które każą wątpić o sobie samym. Wszystko mnie oskarża, wszystko mnie potępia, wszystko świadczy przeciwko mnie. Gdybym był na miejscu Galpin-Daveline'a, a on był na moim, postąpiłbym z pewnością tak jak on!

— Ależ to szaleństwo! — zawołała panna de Chandore.

Jakub de Boiscoran nie słyszał jej.

Wszystkie gorycze ubiegłych dni uderzyły mu do gardła, zapalał się coraz bardziej, twarz mu się zarumieniła.

— Wykazać swoją niewinność! Łatwo powiedzieć. Ale jak? Jestem niewinny, ale żeby siebie uniewinnić, trzeba kogoś oskarżyć! A gdybym się też pomylił? A gdybym, nie myśląc się, nie był jednak w stanie udowodnić mojego oskarżenia? Alboż to morderca i podpalacz nie użył wszelkich możliwych środków, aby ująć kary a zwalić ją na mnie? Ostrzegano mnie o tym. Są nienawiści, które umieją obmyśleć straszną zemstę! Ach, gdyby to człowiek wiedział, gdyby mógł przewidzieć! Jak tu walczyć! Nie jestem ani dzieckiem, ani tchórzem, zawsze szedłem prosto naprzeciw widmom. Zmierzyłem niebezpieczeństwo, jest ono ogromne!

Panna Dioniza drżała.

— Cóż się z nami stanie? — zawołała.

Tym razem pan de Boiscoran usłyszał ją i zawstydził się swojej słabości. Ale zanim zdołał powściągnąć swoje wzruszenie, ona zaczęła mówić:

— I cóż znaczą te próżne narzekania! Ponad najzręczniejszymi obliczeniami i najlepiej skombinowanymi systemami wyżej stoi prawda niepokonana, nieprzeparta! Trzeba powiedzieć prawdę, Jakubie, bez żadnej ubocznej myśli, bez ogródek, bez wybiegów.

— Niepodobna!

— Więc ona jest tak straszna?

— Jest nieprawdopodobna!

Panna Dioniza patrzyła na niego z trwogą. Nie mogła się w nim dopatrzeć ani zwykłego wyrazu twarzy, ani spojrzenia, ani brzmienia głosu.

Zbliżyła się do niego i biorąc go za rękę, rzekła:

— Ale mnie, mnie, swojej przyjaciółce, przecież możesz powiedzieć tę prawdę?

On zadrżał i cofnąwszy się zawołał:

— Tobie mniej, niż komukolwiek!

Ale zrozumiawszy zaraz, jak ta odpowiedź musiała być dla niej przykra, dodał:

— Twój umysł, Dionizo, jest za czysty na tak podłe intrygi. Nie chcę, żeby na twoją ślubną suknię padła plama z tego błota, w które mnie wtrącono!

Czy uwierzyła mu? Nie, ale miała odwagę udać, że wierzy.

— Niech i tak będzie — rzekła — ale tę prawdę wcześniej czy później trzeba będzie powiedzieć.

— Tak, powiem ją panu Magloire'owi.

— Słuchaj, Jakubie! To, co masz powiedzieć, napisz. Oto pióro i atrament, a ja mu wiernie twój list doręcę.

— Są rzeczy, Dionizo, których się nie pisze!

Poczuła się zwyciężona, zrozumiała, że nic nie zdoła ugiąć tej żelaznej woli, a jednak odezwała się jeszcze:

— A gdybym cię o to błagała, Jakubie, w imię naszej przeszłości i naszej przyszłości, w imię tej jedynej i wiecznej miłości, którą mi zaprzysiągłeś?

— Chcesz — przerwał jej Jakub — jeszcze stokroć straszniejszymi uczynić mi godziny spędzane w więzieniu? Chcesz pozbawić mnie reszty sił i odwagi? Nie ufasz mi już zupełnie! Nie możesz mi jeszcze zawierzyć na kilka dni!

Zamilkł. Dało się słyszeć pukanie do drzwi i prawie jednocześnie Blanguin zawołał przez okienko:

— Czas już! Chciałbym być na dole przy zmianie warty. Narażam się nie na żarty, a jestem ojcem rodziny...

— Idź już, Dionizo — odezwał się Jakub żywo. — Drzę na myśl, że mógłby cię ktoś tu zobaczyć.

Panna de Chandore wiedziała, że nic takiego jej nie grozi i że zapłaciła za to, żeby jej nikt nie zobaczył. Jednak nie upierała się.

Nadstawiła czoło Jakubowi, który go dotknął ustami i na pół żywa, trzymając się ścian wróciła do pokoiku dozorczy.

Przygotowano jej tam łóżko, rzuciła się więc na nie w ubraniu i pozostała tak bez ruchu, pogrążona w rozpacz, która jej odebrała nawet zdolność do cierpienia.

Widno już było zupełnie, godzina ósma, kiedy poczuła, że ktoś ją ciągnie za rękę.

— Droga panienko — odezwała się dozorczyńni — teraz byłaby najlepsza pora do wyknęcia się stąd. Może ludzie będą się dziwić, widząc panią samą na ulicy, ale pomyślą sobie, że pani wraca z rannej mszy.

Nie rzekłszy ani słowa, panna Dioniza wstała i poprawiła naprędce nieład w ubiorze. A gdy niespokojny Blanguin przyszedł zobaczyć, czy jest gotowa do odejścia, rzekła, podając mu jeszcze jeden z tysiącfrankowych rulonów pozostałych w jej torebce:

— Ofiaruj to panu, abyś pamiętał o mnie, w razie gdybym go jeszcze potrzebowała.

I opuściwszy woalkę na twarz wyszła.

Baron de Chandore miał w swoim życiu jedną straszną noc, podczas której liczył uderzenia pulsu konającego syna.

Wieczorem lekarze powiedzieli mu:

— Jeżeli przeżyje tę noc, może go uratujemy.

O świcie syn skonał.

Otóż nie wiedzieć, czy ta fatalna noc była okropniejsza dla starego barona od tej, którą panna Dioniza spędziła poza domem.

Wiedział on, że Blanguin i jego żona byli to nieźli ludzie mimo swojej chciwości i wiedział, że Jakub de Boiscoran był honorowym człowiekiem.

A jednak jego kamerdyner słyszał go całą noc chodzącego po pokoju. Od siódmej rano stał już w bramie, niespokojnie wpatrując się w ulicę.

Okolo pół do ósmej przyszedł do niego pan Folgat, ale on zaledwie powiedział mu „dzień dobry” i z pewnością nie słyszał nic z tego wszystkiego, co mu mówił młody adwokat, chcąc go uspokoić.

Aż nareszcie starzec zawołał:

— Idzie!

I nie omylił się. Panna Dioniza ukazała się na rogu ulicy de la Rampe. Szła z gorączkowym pośpiechem, jakby czuła, że ją opuszczają siły i że ich zaledwie starczy na to, żeby dojść do domu.

Z ogromną ulgą i radością dziadek podskoczył na jej spotkanie i począł ją ścisnąć, powtarzając:

— Moja Dionizo! Moje ty najdroższe dziecko! Co ja wycierpiałem! Tak późno wracasz! Ale teraz już wszystko minęło, tylko chodź, chodź, moja droga!

I zaprowadził, a raczej zaniósł ją do salonu i delikatnie położył na kozetce.

Potem ukląkł przy niej, śmiejąc się uszczęśliwiony. Ale gdy ją wziął za rękę, zawołał:

— Co to jest! Ręce ci pałają, ty masz gorączkę. Oczy masz czerwone i nabrzmięte!

— Płakałam, dziadziu! — odrzekła łagodnie.

— Płakałaś! A o co?

— Niestety! Nie dokazałam niczego.

Pan de Chandore zerwał się jakby pchnięty sprężyną.

— Na rany boskie! — zawołał. — Od czasu jak świat światem, nikt nigdy nic podobnego nie słyszał! Jak to! Ty, ty, Dioniza de Chandore, poszłaś do niego do więzienia, prosiłaś go...

— A on pozostał nieugięty, tak jest, dziadziu. Nie zezna nic przed ukończeniem śledztwa.

— Okazuje się, żeśmy się na nim zawiedli! Ten chłopak nie ma ani serca, ani sumienia.

Panna Dioniza z trudnością się podniosła.

— Nie oskarżaj go, dziadziu! — przerwała mu. — On jest taki nieszczęśliwy!

— No, ale koniec końców, cóż on ci powiedział?

— Powiedział mi, że prawda jest tak nieprawdopodobna, że nie uwierzono by jej i że zgubiłby się, gdyby cokolwiek powiedział, dopóki pozostaje w ścisłym więzieniu i pozba-

wiony jest rady obrońcy. Powiada, że jego okropne położenie jest rezultatem szkaradnej zemsty. Powiada, iż sądzi, że wie, kto jest winowajcą i że, ponieważ jest do tego zmuszony dla własnej obrony, oskarży kogoś.

Milczący dotąd świadek tej sceny, pan Folgat, zbliżył się w tej chwili do Dionizy.

— Czy pani jest pewna — zapytał — że pan de Boiscoran w ten sposób się wyraził?

— Och! Najpewniejsza! I choćbym żyła tysiąc lat, nie zapomnę ani wyrazu jego oczu, ani tonu jego głosu.

Pan de Chandore nie mógł tego pojąć.

— Ależ tobie, moje drogie dziecko — odezwał się — Jakub musiał przecież powiedzieć coś wyraźniejszego.

— Nie.

— Toś się go chyba nie pytała, jaka jest ta nieprawdopodobna prawda?

— Och, owszem!

— I cóż?

— Zawołał, że właśnie mnie przede wszystkim nie może jej powiedzieć, że ja jestem ostatnia na świecie, której by ją powiedział.

— Ten człowiek jest wart, żeby go spalić żywcem na wolnym ogniu — mruknął pan de Chandore. A potem głośno zapytał:

— I tobie, moja droga, nie wydaje się to wszystko ogromnie dziwne?

— Mnie się to wydaje okropne.

— Rozumiem. Ale co myślisz o postępowaniu Jakuba?

— Myślę, dziadziu, że jeżeli tak postępuje to dlatego, że nie może postąpić inaczej. Jakub ma za wiele rozumu i odwagi, żeby się miał tak bardzo mylić. On najlepiej zna swoje położenie. A ja bardziej niż ktokolwiek powinnam szanować Jego postanowienia.

Ale baron nie czuł się zobowiązany do szanowania tych postanowień, a że ta pełna rezygnacji odpowiedź wnuczki do reszty wyczerpała jego cierpliwość, zbierał się powiedzieć jej otwarcie, co myśli, gdy wtem ona podniosła się z wysiłkiem i rzekła złamanym głosem:

— Jestem ogromnie zmęczona, dziadziu, pozwól mi odejść do mojego pokoju.

I wyszła z salonu. Pan de Chandore odprowadził ją do drzwi, po czym odwrócił się do pana Folgata:

— Zabiją mi ją! — zawołał z wybuchem gniewu i rozpachy przerażającym u człowieka w tym wieku. — Widziałem w jej oczach przez łzy ten sam wyraz, jaki miała jej matka, kiedy po śmierci swego męża, mojego syna, powiedziała mi: „Ja tego nie przeżyję!”. I nie przeżyła. A ja, starzec, zostałem sam z tym dzieckiem i już dwadzieścia lat wstrzymuję oddech, żeby słyszeć, czy ona ciągle równo i swobodnie oddycha.

— Zanadto się pan martwi... — zaczął pan Folgat.

— Nie, panie! Moje dziecko, zdaje mi się, zostało ugodzone w samo serce! Czy nie widziałeś pan, że była blada jak wosk, czy nie słyszałeś, jaki jej głos był zimny i bez życia? Boże wielki! Za jakież grzechy tak mnie karzesz w moich dzieciach? Zlituj się i powołaj mnie do siebie wprzód aniżeli tę, która stanowi radość mego życia! I nie móc poradzić, nie móc odwrócić nieszczęścia! Och, ten Jakub de Boiscoran! A gdyby on naprawdę dopuścił się tej zbrodni? Gdyby człowiek, którego Dioniza kocha, był mordercą? Kupiłbym sobie urząd kata, żeby zginał z mojej ręki!

Pan Folgat, wzruszony głęboko boleścią starca, gestem powstrzymał potok jego żalów.

— Nie potępiaj pan pana de Boiscorana w chwili, gdy wszystko go potępia — rzekł. — Z nas wszystkich on jest najboleśniej dotknięty, gdyż jest niewinny.

— Tak pan sądzisz jeszcze i teraz?

— Teraz bardziej niż przedtem. Chociaż niewiele mówił, dosyć jednak powiedział panie Dionizie, abym się mógł przekonać, że moje przypuszczenia były trafne i że dotknąłem prawdziwej rany.

— Kiedy?

— W ów dzień, kiedyśmy razem jeździli do Boiscoran.

Pan de Chandore zdawał się szukać czegoś w pamięci.

— Nie, nie przypominam sobie — rzekł.

— A jednak, musisz pan pamiętać, że wyszedłeś na jakiś czas z pokoju, żeby zostawić większą swobodę staremu Antoniemu, którego wtedy wypytywałem.

— A, prawda, prawda! — przerwał mu pan de Chandore. — A więc przypuszczasz pan...

— Sądzę, że mój punkt wyjścia był trafny, tak, panie baronie. Nie będę się wysilał, żeby dojść do samego kłębka. Pan de Boiscoran sam powiedział, że prawda jest nieprawdopodobna, nadaremnie bym się więc bawił w próżne domysły- Tylko ponieważ teraz mamy ręce związane i musimy czekać końca śledztwa, skorzystam z tego i będę się wypytywał tutajszych ludzi, którzy mi może więcej powiedzą niż Antoni. Są tutaj między pana znajomymi osoby, które powinny dużo wiedzieć, na przykład pan Seneschal, doktor Seignebos.

Na tego ostatniego pan Folgat nie musiał długo czekać, gdyż w chwili, gdy wymówił jego nazwisko, on sam wykrzykiwał je właśnie służącemu na korytarzu:

— To ja, Seignebos! Doktor Seignebos!

I jednocześnie prawie jak huragan wpadł do salonu.

Od czterech dni już doktor Seignebos nie był na ulicy de la Rampe.

Nie przyszedł bowiem po swój raport i po ziarnka śrutu, które był powierzył patiu Folgati; posłał po niego służącego, wymawiając się nawałem nader ważnych zajęć.

Jakoż rzeczywiście te cztery dni spędził prawie całe w szpitalu w towarzystwie kolegi, lekarza departamentowego, wydelegowanego z ramienia sądu do zbadania „wspólnie z doktorem Seignebosem umysłowego stanu Cocoleugo”.

— I właśnie ta komisja sprowadza mnie tutaj — zawołał zaraz prawie od drzwi — ta komisja, która, jeśli się do niej nie weźmiemy należycie, może pozbawić pana de Boiscorana najlepszego i najpewniejszego środka ocalenia.

Po tym, co im przyniosła z więzienia panna Dioniza, zarówno pan Chandore, jak i pan Folgat nie przywiązywali wielkiej wagi do stanu, w jakim się znajduje Cocoleu.

Jednak słowa: „środek ocalenia” zwróciły ich uwagę. W procesie kryminalnym najdrobniejsza okoliczność nie jest obojętna.

— Jest więc coś nowego, doktorze? — zapytał adwokat.

Doktor naprzód pozamykał starannie drzwi, a potem położywszy na stole laskę i kapełusz, rzekł:

— Nie, nie ma właśnie nic nowego. Jak wprzód, tak i teraz widoczne są usiłowania, żeby zgubić pana de Boiscorana. Zdaje się, że nie cofnięto by się przed niczym.

— Ale kto by się nie cofnął? O kim pan mówisz? — zapytał pan de Chandore.

Doktor pogardliwie wzruszył ramionami.

— Jak to? Pan naprawdę jeszcze o tym nie wie? — odrzekł. — Przecież fakty mówią aż nadto wyraźnie. Zresztą, powiem panom szczerze. W naszym departamencie, tak jak w wielu innych, znajdują się, z przykrością to mówię, lekarze nie stojący na wysokości swego powołania, a nawet, mówiąc otwarcie, będący kompletnymi osłami!

Mimo całej grozy położenia, pan Folgat z trudnością zdołał powstrzymać uśmiech. Doktor tymczasem ciągnął dalej:

— Ale między nimi wszystkimi jest jeden osioł nad osłami, który wszystkich innych przewyższa długością uszu. Otóż tego właśnie sąd wyznaczył i dał mi za towarzysza!

Widząc, że trzeba powstrzymać werwę doktora, pan de Chandore odezwał się:

— Krótko mówiąc?

— Krótko mówiąc, mój uczony kolega jest zdania, że jego misja polega na potwierdzeniu we wszystkim zdania sędziego. „Cocoleu jest idiotą” twierdzi pan Galpin-Daveline. „Jest, a nawet musi nim być!” — powtarza mój zacny kolega. „Podczas gdy popełniona została zbrodnia, przemówił tylko wskutek wyższego natchnienia!” — oświadcza pan sędzia. „Naturalnie! Wskutek natchnienia z góry!” — potwierdza mój uczony kolega. I koniec końców konkluzja tego znakomitego lekarza jest taka: Cocoleu jest idiotą, któremu Opatrzność na chwilę udzieliła iskry rozumu. Wprawdzie nie w tych słowach to napisał, ale sens tego jest ostatecznie taki.

Zdjął złote okulary i zawzięcie je wycierał.

— Ale jaka jest pańska opinia, doktorze? — zapytał pan Folgat.

Z uroczystym gestem pan Seignebos nasadził na powrót okulary i odrzekł poważnie:

— Moja opinia, którą szeroko rozwinąłem w swoim sprawozdaniu, jest taka, że Cocaleu nie jest idiotą.

Pan de Chandore aż podskoczył, tak mu się to twierdzenie zdało potworne. Znał on Cocaleugo osobiście. Widywał go włóczącego się po ulicach Sauveterre przez owe półtora roku, przez które ten nędzarz pozostawał pod opieką doktora Seignebosa.

— Co! Cocaleu nie miałby być idiotą? — zawołał.

— Nie — oświadczył stanowczo pan Seignebos — ażeby się o tym przekonać, dosyć jest przypatrzeć mu się uważnie. On nie ma żadnych fizycznych cech idioty. Ja widzę w nim chłopca z żelaznym zdrowiem, zręcznego w rękach, jak małpa wspinającego się po drzewach za gniazdami ptasimi i skaczącego przez rowy szerokie na dziesięć stóp. Nie twierdzę naturalnie bynajmniej, że jest to człowiek z normalnymi władzami umysłowymi, ale jestem przekonany, że należy go zaliczyć do kategorii owych niedołęgów umysłowych, u których jednak pewne władze mogą być rozwinięte nawet przy zupełnym braku innych.

Pan Folgat słuchał doktora z wielkim zainteresowaniem, ale pan de Chandore przeciwnie.

— Proszę pana — odezwał się — między idiotą a niedołągą...

— Jest cała przepaść! — krzyknął prawie pan Seignebos.

A następnie zaczął szybko wyjaśniać:

— Niedołąga posiada odrobinę inteligencji. Mówi, potrafi opisać swoje wrażenia, wytłumaczyć potrzeby. Łączy myśli, porównuje wrażenia, pamięta, nabywa doświadczenia. Jest zdolny do podstępu i udawania. Nienawidzi, kocha, albo się boi. Jest podatny na cudze podszepty. Łatwo jest osiągnąć na niego wpływ. Charakteryzuje go niestałość zamiarów, a jednak czasami upór nie do przełamania. Może przywiązać się do jakiejś myśli z nadzwyczajną zapamiętałością. Zresztą, właśnie z powodu tej połowicznej przytomności niedołągni są częstokroć niebezpieczni i trzeba ich zamykać, gdyż inaczej nie można okiełznać ich szkodliwych instynktów.

— Wybornie! — zawołał pan Folgat, który w wywodach doktora znajdował może podstawy do swojej obrony. — Doskonale!

Doktor się uklonił.

— Taki jest Cocaleu — rzekł. — Z tego nie wynika bynajmniej, żebym go uważał za odpowiedzialnego za swoje czyny, ale wynika, że mogę w nim widzieć fałszywego świadka, wyuczonego po to, aby zgubić uczciwego człowieka.

Wywód ten widocznie nie podobał się panu de Chandoremu.

— Poprzednio nie mówiłeś tak, doktorze — rzekł.

— Mówiłem nawet wprost przeciwnie — odparł doktor nie bez godności.

— Nie poznałem jak należy Cocaleugo i zostałem przez niego wyprowadzony w pole, wyznaję to otwarcie. Ale z tego właśnie faktu czerpię dowód chytryści i zaciętej przewrotności tych półdiotów i ich zdolności działania z pewnym celem. Po roku doświadczeń odesłałem Cocaleugo oświadczając z przekonaniem, że on jest nie do uleczenia. Tymczasem to on nie chciał być uleczoney. Wieśniacy, którzy są nader sprytnymi i podejrzliwymi obserwatorami, nie dali się mu oszukać. Prawie wszyscy twierdzą, że Cocaleu jest bardziej złośliwy niż głupi. I tak jest rzeczywiście. Przekonał się, że potęgując swoją głupotę zyska to, że będzie mógł żyć bez pracy i spotęgował ją. Przyjęty przez państwa de Claudieuse'ów umiał pokazać tyle inteligencji, żeby się uczynić znośniejszym, zyskać lepsze traktowanie a mimo to nie być używanym do żadnej pracy.

— Jednym słowem — odezwał się ciągle niedowierzający pan de Chandore

— Cocaleu byłby znakomitym aktorem?

— Na tyle, że przynajmniej mnie oszukał, tak jest, proszę pana — odrzekł doktor i zwrócił się do pana Folgata:

— Wszystko to powiedziałem memu uczonemu koledze, zanim go zaprowadziłem do szpitala. Znaleźliśmy Cocaleugo jeszcze uparciej milczącego niż zwykle. Wszystkie nasze usiłowania, żeby z niego wydobyć choćby jedno słowo, spełzły na niczym, chociaż dla mnie było rzeczą widoczną, że nas rozumiał. Ja chciałem się uciec do pewnych środków do zde-maskowania oszustów, dozwolonych wedle mnie, mój kolega sprzeciwił się temu, a zachęcał go do tego, nie wiem jakim prawem, pan sędzia śledczy. Wtedy żądałem, aby zawezwano Panią de Claudieuse i poproszono ją, żeby zechciała popytać się Cocaleugo, ponieważ posiada talent wydobywania z niego odpowiedzi. Pan Daveline nie pozwolił na to. Na tym tedy rzeczy stanęły.

Zdarza się często, że dwaj lekarze, wezwani do orzeczenia prawno-lekarskiego, różnią się diametralnie w swoich opiniach.

Sądy miałyby zbyt trudne zadanie, gdyby ich chciały pogodzić. Mianują więc w takim razie trzeciego, którego opinia jest decydująca.

Tak też musiało się stać w wypadku z Cocaleum.

— Oczywiście — twierdził doktor Seignebos — sąd, który mi przysłał jednego osła, przyśle mi i drugiego. Oni naturalnie porozumieją się ze sobą, a ja zostanę przekonany, że się nie znam na rzeczy i jestem zarozumiały.

Doktor powiedział, że przychodzi do pana de Chandorego prosić o poparcie. Żądał, aby rodziny Boiscoran i Chandore użyły wszystkich swoich stosunków i wpływów do uzyskania komisji złożonej z lekarzy obcych miejscowym stosunkom, paryskich jeśli można, których zadaniem byłoby zbadać Cocaleugo i orzec o jego stanie umysłowym.

— Ludziom światłym — mówił — podejmuję się dowieść, że głupota tego chłopaka jest w części udana i że jego uparte milczenie jest systemem przyjętym dla uniknięcia kompromitujących odpowiedzi.

Ale ani pan de Chandore, ani pan Folgat nie odpowiedzieli od razu. Namysłali się.

— Zważcie panowie — nalegał doktor, dotknięty ich milczeniem — że jeśli moja opinia przeważy, jak się mam prawo spodziewać, to sprawa natychmiast weźmie inny obrót.

I rzeczywiście, podstawy oskarżenia mogły być przez to poniekąd zachwiane i nad tym tak się zastanawiał pan Folgat.

— Myślę nad tym — odezwał się — czy wykazanie oszustwa Cocoleugo nie będzie dla pana de Boiscorana raczej szkodliwe niż użyteczne.

Doktor Seignebos aż skoczył.

— A to dlaczego?

— Nic prostszego — odrzekł adwokat. — Ułomność umysłowa Cocoleugo stanowi może największy kłopot dla oskarżenia, a najsilniejszy argument dla obrony. Cóż może odpowiedzieć pan Galpin-Daveline, gdy mu pan de Boiscoran zarzuci, że oskarżenie jest oparte głównie na gadaniu nieszczęśliwego chłopaka, pozbawionego zupełnie rozumu, a zatem nieodpowiedzialnego? Niech przeciwnie rzecz stanie na tym, że Cocoleu rzeczywiście wie, co mówi, a zaraz wszystko się zmieni i prokurator na mocy orzeczenia komisji będzie miał prawo powiedzieć panu de Boiscoranowi: „Daremnie pan przeczysz, widziano pana, oto jest świadek!”.

Rozumowanie to musiało wyrzeć silne wrażenia na doktorze, gdyż przez jakie dziesięć sekund milczał, wycierając złote okulary. Miałoby zaszkodzić rzeczywiście Jakubowi de Boiscoranowi sądząc, że mu oddaje przysługę?

Ale nie należał on do ludzi, którzy długo wątpią o sobie.

— Nie myślę spierać się z wami, moi panowie — rzekł suchym tonem.

— Zadam wam tylko jedno pytanie: wierzycie, czy nie wierzycie w niewinność Jakuba de Boiscorana?

— Wierzimy najzupełniej — odpowiedzieli pan de Chandore i pan Folgat.

— W takim razie, zdaje mi się, nie ryzykujemy nic, starając się o zdemaskowanie tego nicponia.

Ale młody adwokat innego był zdania.

— Dowieść, że Cocoleu ma świadomość tego, co mówi — odezwał się — byłoby rzeczą fatalną, gdyby się jednocześnie nie dowiodło, że skłamał i że mu ktoś poddał to oskarżenie. A czy można tego dowieść? Czyż jest sposób wykazania, że on dlatego tak uparcie nie chce odpowiadać na żadne pytania, iż się boi następstw swojego fałszywego zeznania?

Doktor nie chciał słuchać dłużej.

— Co mi tam te wszystkie adwokackie wykręty! — zawołał niezbyt grzecznie. — Ja znam tylko jedną rzecz, to jest prawdę.

— Nie zawsze dobrze jest wypowiadać ją głośno — mruknął adwokat.

— Owszem, panie — odparł doktor — zawsze i wszędzie, niech się dzieje, co chce. Ja jestem przyjacielem pana de Boiscorana, ale jeszcze większym przyjacielem prawdy. Jeżeli

Cocoleu jest nikczemnym oszustem, o czym jestem przekonany, to naszym obowiązkiem jest zdemaskować go.

Doktor nie mówił, a nawet sam przed sobą nie przyznawał się do tego, że ma w tym własny interes. Cocoleu zdrwił sobie z niego i dał powód do nadania mu rozmaitych przydomków, które go bardzo bolały, choć tego po sobie nie pokazywał. Zdemaskowanie Cocoleugo byłoby dla niego odwetem za doznane przykrości.

— Dlatego też — kończył — postanowienie moje jest niezłomne i róbcie sobie panowie, co chcecie; ja od dziś dnia zaczynam się starać wszelkimi siłami o mianowanie komisji.

— Może byłoby rozsądniej — rzucił pan Folgat — zastanowić się nieco, poradzić się pana Magloire'a. Zostaw nam pan przynajmniej dwadzieścia cztery godziny do namysłu.

Doktor Seignebos zmarszczył krzaczaste brwi.

— Ani godziny! — zawołał. — Idę natychmiast do prokuratora.

I pochwyciwszy kapelusz i laskę ukłonił się i wyszedł niesłychanie niezadowolony, nie raczywszy nawet odpowiedzieć panu de Chandoremu pytającemu się go o pana de Claudieuse'a, którego stan, wedle pogłosek obiegających po mieście, zamiast się polepszać, pogarszał się z każdym dniem.

— Niech diabli porwą tego starego oryginała! — zawołał pan de Chandore, zanim jeszcze doktor przeszedł korytarz.

Potem, zwracając się do pana Folgata, rzekł:

— Chociaż muszę przyznać, że pan cokolwiek za zimno przyjąłeś te ważne wiadomości, które nam przyniósł.

— Właśnie dlatego, że są tak straszliwie ważne — odparł adwokat — chciałem, żeby mi zostawił nieco czasu do namysłu. Cocoleu udający niedołęgę lub sztucznie powiększający swoją głupotę to potwierdzenie tego, co pan de Boiscoran mówił wczoraj panie Dionizie. To dowód podstępny, okropnej zemsty długo obmyślanej i przygotowanej. To jest wyraźnie węzeł całej sprawy.

Pan de Chandore poczerwieniał z oburzenia.

— Jak to! — zawołał. — Takie jest pańskie przekonanie, a pan wahałeś się poprzec za biegi doktora, który jest ostatecznie dzielnym człowiekiem!

Młody adwokat pokręcił głową.

— Jeżeli chciałem uzyskać od niego dwadzieścia cztery godziny zwłoki, to dlatego, iż zdaje mi się rzeczą konieczną porozumieć się z panem de Boiscoranem. A czyż mogłem to powiedzieć panu Seignebosowi? Czyż miałem prawo zdradzić przed nim tajemnicę panny Dionizy?

— To prawda — mruknął pan de Chandore — to prawda.

Ale do napisania do Jakuba potrzebna była koniecznie pomoc panny Dionizy, a ona ukazała się dopiero po obiedzie, jeszcze bardzo błada, ale widocznie z nową energią.

Pan Folgat podyktował jej wszystko, o co trzeba było zapytać się więźnia, a ona czym prędzej to przetłumaczyła, a około czwartej list już został zaniesiony do Mechineta.

Nazajutrz wieczorem nadeszła odpowiedź.

Doktor Seignebos ma, zdaje się, słuszość. Moi Drodzy Przyjaciele — pisał Jakub. — Mam aż nadto powodów, by być przekonany, że głupota Cocoleugo jest w części udana i że zeznań, które złożył, ktoś go nauczył. Jednak proszę Was, nie róbcie żadnych kroków w celu uzyskania nowej komisji lekarskiej. Najmniejsza nieostrożność może mnie zgubić. Na miłość Boską, czekajcie na koniec śledztwa, który już niebawem nastąpi, jak mi oznajmił Daveline.

Odpowiedź ta odczytana została w kółku rodzinnym, a jej pełna rezygnacji treść wyrwała pani de Boiscoran okrzyk rozpacz.

— Jak możemy go posłuchać — zawołała — kiedy widoczne jest, że on, nieszczęśliwy, gubi się tym uporem!

Panna Dioniza wstała.

— Jako najlepiej orientujący się w sprawie — odezwała się — Jakub ma prawo rozkazywać, a naszym obowiązkiem jest posłuchać. Odwołuję się do zdania pana Folgata.

Młody adwokat skinął głową potwierdzająco.

— Zrobiło się wszystko, co tylko można było zrobić — rzekł — teraz nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać.

CZĘŚĆ TRZECIA

SĄD PRZYSIĘGŁYCH

Od czasu pożaru w Valpinson Sauveterre nie nudził się. Miał niewyczerpany temat do rozmowy obfitujący w spory i domysły. Była nim sprawa Jakuba de Boiscorana.

— Cóż tam słyhać z tą sprawą? — pytali się ludzie nawzajem, spotykając się na ulicy.

Toteż kiedy pan Galpin-Daveline szedł z trybunału do więzienia, dwadzieścia obywateli przyczajonych za firankami usiłowało odczytać z jego twarzy tajemnicę śledztwa.

Spostrzegały na niej jedynie piętno coraz dotkliwszej troski i bladość bardziej widoczną z każdym dniem.

Ta sprawa stała się dla niego jakby jedną z tych żywych ran, których ciągłego rozdrażnienia nic nie jest w stanie złagodzić.

— Straciłem zupełnie sen — rzekł raz do prokuratora.

Zacny pan Daubigeon, który robił, co mógł, żeby powściągnąć jego gorliwość, nie bardzo go żałował.

— Ha! Czyż to wina! — odrzekł. — Ale zachciało się panu kariery, a troski idą w ślad za rosnącą fortuną.

— Wypełniłem tylko swój obowiązek — zawołał sędzia śledczy — i gdyby mi przyszło zacząć na nowo, postąpiłbym tak samo.

Jednak każdy dzień w coraz jaskrawszym świetle ukazywał mu jego fałszywe położenie.

Opinia publiczna, jakkolwiek nieprzyjazna panu de Boiscoranowi i jemu także nie była wcale przychylna. Wierzono powszechnie, że Jakub jest winowajcą, ale z drugiej strony dziwiono się, że Daveline przyjął na siebie okrutne zadanie śledczego wobec swego przyjaciela. Popychanie go ku sądom przysięgłych, to jest ku galerom lub rusztowaniu, miało w sobie coś ze zdrady i wywoływało oburzenie.

Już z samego sposobu, w jaki ludzie odpowiadali na jego powitanie, albo nawet unikali go, mógł zdać sobie sprawę z uczuć, jakich był przedmiotem.

Wskutek tego podwajał się jego gniew na Jakuba, a wraz z nim i jego niepokój.

Otrzymał wprawdzie powinszowanie od prokuratora generalnego, ale czyż można być pewnym rezultatu, dopóki się winowajca nie przyzna?

— A koniec końców, mój kochany — mówił mu pan Daubigeon — ty nie masz ani jednego naocznego świadka, a wiesz, co o tym mówi Loisel...

— Mam Cocoleugo — przerwał mu pan Daveline, którego do rozpaczki doprowadzały wieczne cytacje prokuratora.

— Więc lekarze zawyrokowali, że on nie jest idiotą?

— Nie. Tylko Seignebos jest ciągle tego zdania.

— To zapewne Cocoleu zgadza się przynajmniej powtórzyć swoje zeznanie?

— Nie.

— No, to tak, jak gdybyś nie miał nikogo...

Niestety, pan Daveline wiedział o tym aż nadto dobrze. Stąd jego ciągły niepokój.

Im dłużej indagował oskarżonego, tym bardziej dostrzegał w jego postawie coś groźnego i zagadkowego, co nie wróżyło nic dobrego.

— Czyżby miał alibi? — myślał sobie. — Może chce zachować na ostatnią chwilę jeden z tych nieprzewidzianych środków, które obalają całe rusztowanie oskarżenia i okrywają śmiesznością śledczego?

Gdy go nachodziły takie myśli, pot kroplami występował mu na skronie. Nie koniec na tym. Jakkolwiek od czasu tej sprawy żył w wielkim odosobnieniu, jednak nie jedno echo dochodziło go z ulicy de la Rampe.

Zaiste ani mu w głowie nie powstało, żeby się ktoś mógł porozumiewać z obwinionym, a co więcej, żeby to porozumienie związane i ułatwiane było przez jego własnego pisarza. Byłby wzruszył ramionami, gdyby ktoś mu powiedział, że panna Dioniza spędziła noc w więzieniu i widziała się z Jakubem.

Jednak wiedział, że obok panny Dionizy zgrupowali się ludzie z rozumem i poświęceniem, tacy jak pan de Chandore, pan Seneschal, doktor Seignebos, pan Magloire, a wreszcie ów adwokat, którego margrabina de Boiscoran przywiozła z Paryża, pan Folgat.

— Bóg raczy wiedzieć, do czego oni się posuną — myślał — aby wydobyć winowajcę ze szponów sprawiedliwości.

Toteż można powiedzieć, że nigdy dochodzenie nie było prowadzone z tak drobiazgową strannością.

Każdy z punktów oskarżenia był dla pana Davelina przedmiotem dokładnych badań. Przesłuchał czwartą część całej ludności Brechy. Byłby przesłuchiwał caluteńką okolicę, gdyby był śmiały.

Daremne wysiłki! Po kilku tygodniach zapamiętałych poszukiwań tajemnica pozostała jak dawniej nieodgadniona. Obwiniony nie odparł ani jednego z ciężących na nim zarzutów, ale sędzia nie znalazł też ani jednego nowego dowodu, który by mógł dodać do tych, które zebrał od razu pierwszego dnia.

Trzeba jednak było z tym skończyć.

Po długiej konferencji z prokuratorem i prezesem trybunału sędzia śledczy powziął ostateczne postanowienie.

Przyszedłszy do więzienia, kazał się zaprowadzić do celki Jakuba i osłaniając swoje wzruszenie większą niż zwykle sztywnością, rzekł:

— Moje przykre zadanie zbliża się do końca; dochodzenie, które mi powierzono zostanie niebawem zamknięte. Jutro wszystkie akta pańskiej sprawy będą przesłane prokuratorowi, który je prześle sądowi do dalszego postępowania.

Jakub zachował kamienną twarz.

— Dobrze — odpowiedział tylko.

— Czy pan ma coś do dodania? — zapytał sędzia.

— Nic, chyba to, że jestem niewinny.

Pan Daveline z trudnością zdołał powściągnąć uczucie zniecierpliwienia.

— A więc dowiedz pan tego — rzekł. — Odeprzyj zarzuty, które na tobie ciążyą, które świadczą przeciw tobie, które sprawiają, że w oczach sądu, w oczach wszystkich zresztą jesteś winowajcą.

Jakub uparcie milczał.

— Więc pańskie postanowienie jest niezłomne — odezwał się znów sędzia — nie powie pan nic?

— Jestem niewinny!

Daremnie byłoby nalegać, pan Galpin zrozumiał to dobrze.

— Od tej chwili — rzekł — nie jesteś pan już w ścisłym więzieniu. Będziesz pan mógł przyjmować odwiedziny swojej rodziny w rozmównicy więziennej. obrońca, którego sobie pan wybierzesz, będzie miał wolny wstęp do pańskiej celi, abyś się mógł z nim naradzić...

— Nareszcie!... — zawołał Jakub z wybuchem radości. — Czy wolno mi napisać do pana de Chandore?

— Wolno — odrzekł sędzia — i jeżeli pan chcesz napisać zaraz, mój pisarz zanieśnie pański list jeszcze dziś wieczór.

Jakub skorzystał ze sposobności. Uwiął się szybko, gdyż list, który napisał i oddał Mechinetowi, zawierał tylko te słowa:

Czekam na pana Magloire'a jutro rano, o godzinie dziewiątej.

J.

Od czasu gdy zrozumieli, że jeden fałszywy krok mógłby pociągnąć za sobą najgubniejsze następstwa, przyjaciele Jakuba wstrzymali się od wszystkiego.

Starania doktora Seignebose'a odniosły skutek i trybunał w celu zbadania stanu umysłowego Cocaleugo wyznaczył jednego z lekarzy paryskich, sławnego specjalistę do chorób umysłowych.

Tryumf zacnego doktora nie trwał jednak długo, gdyż niebawem przyszedł do pana de Chandorego blady z gniewu, by opowiedzieć swoje rozczarowanie.

— W Paryżu są takie same osły, jak i gdzie indziej — zawołał głosem, od którego zdrżały szyby w salonie. — Ludzi niezależnych tak samo niepodobna znaleźć w Paryżu, jak na prowincji. Spodziewałem się zobaczyć człowieka uczonego, niezależnego w sądach, a przysłano mi jakiegoś bufona, który byłby w rozpacz, gdyby się na niego skrzywili ci panowie z trybunału... Okropny zawód!

I jak zwykle mordując swoje złote okulary, mówił dalej:

— Będąc zawiadomiony o przybyciu kolegi ze stolicy, poszedłem we własnej osobie, by oczekiwać go na kolei żelaznej. Pociąg przybywa, a ja natychmiast poznaję go w tłumie. Wprawdzie wyglądał mi trochę fircykowato, miał różne ordery przy dziurce od guzika, faworyty jak krzaki w moim ogrodzie, a zamiast pocziwych okularów impertynenckie pince-nez... Ale któż jest bez ale. Zbliżam się, powiadam, kto jestem, podajemy sobie ręce, ja mu proponuję śniadanie, on przyjmuje i niebawem siedzimy przy stole, a ja systematycznie wykładam mu całą sprawę. Po śniadaniu oświadcza, że chce zobaczyć Cocoleugo. Idziemy do szpitala, a on od razu, zaledwie rzuciwszy okiem na niego powiada: „Ach! To jest najkompletniejszy typ idioty, jakiego widziałem w życiu!”. Proszę go, żeby obejrzał dobrze Cocoleugo, a on mi powiada, żebym mu dał spokój. Oburzony, pytam się go wtedy, jak zdoła wytłumaczyć tak kategoryczne zeznanie tego idioty, złożone w noc popełnionej zbrodni? On mi odpowiada, nucać coś pod nosem, że nie myśli wcale tego tłumaczyć. Ja chcę z nim rozpocząć dyskusję, a on żegna się ze mną i idzie sobie do trybunału... I wiecie panowie, gdzie jadł obiad? W hotelu, z lekarzem departamentowym. I tam od razu zredagowali zgodnie raport, wedle którego Cocoleu jest najkompletniej szym idiotą, o jakim można zamarzyć.

Chodził wielkimi krokami po salonie i nie zważając na nic mówił dalej:

— Ale niech jegomość pan Galpin nie cieszy się za wcześnie! Jeszcze nie koniec! Powiedziałem, że Cocoleu jest nikczemnym oszustem, fałszywym świadkiem i dowiodę tego. Boiscoran może na mnie liczyć...

Urwał, a potem stanąwszy naprzeciw pana Folgata rzekł:

— A jeżeli mówię, że Boiscoran może liczyć na mnie, to mam do tego swoje powody. Powzięłem ciekawe podejrzenie, bardzo ciekawe, panie adwokacie.

Pan Folgat, panna Dioniza i margrabina de Boiscoran nalegali na niego, aby to wyjaśnił, ale on oświadczył, że chwila jeszcze nie nadeszła i że zresztą nie jest jeszcze pewny...

I pożegnał ich, klnąc się, że mu się bardzo spieszy, gdyż zaniedbał swoich pacjentów, a pani de Claudieuse czeka na niego, bo jej mąż ma się coraz gorzej.

— Co za podejrzenie może mieć ten stary oryginał? — pytał się pan de Chandore jeszcze w godzinę po odejściu doktora.

Pan Folgat mógł był odpowiedzieć, że prawdopodobnie on powzięł te same podejrzenia, tylko trochę dokładniejsze i oparte na pewnych wskazówkach.

Ale na co by się to zdało, kiedy nie można było robić żadnych dochodzeń i kiedy jedno słówko nieostrożnie wymówione mogło zwrócić uwagę strony przeciwnej. Po co było zama-

cać złudnymi nadziejami ponury smutek tych długich dni, które jeden po drugim upływały na oczekiwaniu, kiedy pan Daveline zakończy śledztwo.

W tym czasie wiadomości od Jakuba były coraz rzadsze. Ponieważ przesłuchania odbywały się teraz nieregularnie, Mechinet czasem przez cztery i pięć dni nie przynosił listu.

— To straszniejsze niż konanie — powtarzała pani Boiscoran.

Wtem, pewnego popołudnia, gdy panna Dioniza była sama w salonie, wydało jej się, że poznaje głos pisarza w sieni. Wybiegła tam i zobaczyła go.

— Śledztwo skończone! — zawołała rozumiejąc doskonale, że nic innego nie byłoby w stanie skłonić Mechineta, żeby się pokazał w dzień na ulicy de la Rampe.

— Rzeczywiście, proszę pani — odpowiedział poczciwy pisarz. — Właśnie z polecenia pana Daveline'a przynoszę ten bilecik od pana de Boiscorana.

Ona pochwyciła go, przeczytała jednym rzutem oka i zapominając o wszystkim z radości pobiegła do dziadka i do pana Folgata, wołając jednocześnie na służącego, aby szedł przędzej do pana Magloire'a.

Pierwszy adwokat sauveterski stawiał się niebawem na wezwanie i przeczytawszy bilecik, który mu podano, rzekł zakłopotanym tonem: '

— Przyrzekłem pomoc panu de Boiscoranowi i nie cofam jej... Jutro będę u niego, jak tylko więzienie zostanie otwarte i przyjdę zdać państwu sprawę z naszej rozmowy.

Nie można było nic więcej z niego wydobyć; widać było oczywiście, że nie wierzy w niewinność swego klienta.

Gdy wyszedł, pan de Chandore zawołał:

— Wariat ten Jakub, że powierza swoją obronę człowiekowi, który tak o nim zwątpił.

— Pan Magloire jest uczciwym człowiekiem, kochany dziadziu — rzekła Panna Dioniza — gdyby sądził, że skompromituje Jakuba, byłby się cofnął.

Pod tym względem miała słuszność; pan Magloire był człowiekiem uczciwym i na tyle delikatnym, że okropna dlań była myśl o tym, że spotka jako oskarżonego — i to słusznie, jak mniemał — człowieka, którego niegdyś darzył przywiązaniem i nadal szczerze lubił.

Nie spał z tego powodu całą noc i każdy mógł wyczytać troskę na jego twarzy, gdy najutrz z rana szedł przez miasto udając się do więzienia.

Blanguin czatował już na niego.

— No, chodź pan przędzej — zawołał — oskarżony szaleje z niecierpliwości. ..

Powoli, z głuchym biciem serca, znakomity adwokat wszedł po ciemnych schodkach i przeszedł długą galerię. Blanguin otworzył mu drzwi... I znalazł się w celi Jakuba.

— Nareszcie! — zawołał nieszczęśliwy młodzieniec. — Nareszcie widzę przyjacielską twarz i ściskam uczciwą rękę. Ach! Co ja wycierpiałem! Dziwię się, że nie postradałem rozumu. Ale jesteś nareszcie, jesteś przy mnie, jestem więc ocalony!.

Adwokat milczał, tak był przerażony na widok spustoszeń, jakie cierpienia sprawiły na szlachetnej i inteligentnej twarzy Jakuba.

— Nieszczęśliwy! — szepnął tylko.

Jakub nie zrozumiał znaczenia tego wyrazu. Cofnął się i bledszy niż chusta zawołał:

— Ty mnie masz za winnego!

— To pewne, że cię wszystko potępia, mój drogi — odrzekł adwokat.

Wyraz niewypowiedzianej rozpaczyny wykrzywił twarz Jakuba.

— Rzeczywiście — przerwał mu — straszne muszą być ciężące na mnie poszlaki, skoro zdołały przekonać moich najlepszych przyjaciół. Dlaczegoż milczałem pierwszego dnia? Honor!... Okropne oszustwo!... A jednak padając ofiarą niepojętej zemsty, milczałbym jeszcze i teraz, gdyby szło tylko o życie... Ale tu idzie o moje dobre imię, o dobre imię mojej rodziny, o życie Dionizy. A więc powiem ci prawdę, Magloire: ja mogę się uniewinnić jednym słowem...

I chwytając kurczowo za rękę pana Magloire'a rzekł stłumionym głosem:

— Jednym słowem wytłumaczę ci wszystko: byłem kochankiem hrabiny de Claudieuse.

Gdyby Jakub był nieco mniej wzruszony, zrozumiałby, jak dobrze zrobił wybierając sobie za obrońcę i powiernika znakomitego sauveterskiego adwokata.

Ktoś obcy, na przykład pan Folgat, byłby go spokojnie wysłuchał, w oświadczeniu jego widziałby tylko fakt i byłby mu dał poznać tylko własne, osobiste wrażenie.

Tymczasem w osobie tutejszej miał odbicie wrażeń całej okolicy. I pan Magloire usłyszawszy od niego, jakoby hrabina de Claudieuse była jego kochanką, pokręcił głową z niedowierzaniem i zawołał:

— To niepodobna!

Jakuba to bynajmniej nie zdziwiło.

— Jest to nieprawdopodobne, wiem o tym — rzekł — a jednak to prawda.

— Dowody — przerwał mu pan Magloire.

— Nie mam dowodów.

Smutny ale życzliwy wyraz twarzy adwokata zmienił się. Widać było zdziwienie i oburzenie we wzroku, który uparcie utkwiał w więźniu.

— Są rzeczy — odezwał się — których nie należy wygłaszać, gdy się nie jest w stanie ich dowieść... zastanów się...

— Moja sytuacja wymaga, abym powiedział wszystko.

— To po co było czekać tyle czasu?

— Spodziewałem się, że mnie uwolnią od tej ostateczności...

— Kto?

— Pani de Claudieuse.

Pan Magloire coraz mocniej marszczył brwi.

— Nie mogę być podejrzany o stronnictwo. Hrabia de Claudieuse jest może jedynym nieprzyjacielem, jakiego mam tutaj i to nieprzyjacielem zawziętym, nieubłaganym. Żeby mnie nie dopuścić do Izby i odebrać mi głosy, uciekał się nawet do środków niegodnych prawego człowieka. Nie lubię go. Ale sprawiedliwość każe mi oświadczyć głośno, że hrabinę de Claudieuse uważam za najwyższy, najczystszy i najszlachetniejszy objaw kobiety, żony, matki...

Gorzki uśmiech wykrzywił wargi Jakuba.

— A jednak ja byłem jej kochankiem — rzekł.

— Kiedy? W jaki sposób? Pani de Claudieuse mieszkała w Valpinson, ty mieszkałeś w Paryżu.

— Tak, ale pani de Claudieuse zawsze przyjeżdżała na cały wrzesień do Paryża, a ja bywałem często w Boiscoran.

— To niepodobna, żeby z takiej intrygi nigdy nic nie wyszło na jaw!

— Bośmy umieli mieć się na baczności.

— I nikt, nigdy, niczego się nie domyślał?

— Nikt...

Ale Jakuba rozdrażniło wreszcie zachowanie się pana de Magloire'a. Zapomniał, że sam z góry przewidywał wszystkie te uwłaczające podejrzenia.

— Po co te wszystkie pytania! — zawołał. — Nie wierzysz mi? Dobrze! Pozwól mi przynajmniej, żebym cię spróbował przekonać. Czy raczysz mnie posłuchać?

Magloire wziął krzeselko, usiadł na nim jak na koniu i założywszy ręce na poręczy, rzekł:

— Słucham cię.

Błada przed chwilą twarz Jakuba nagle poczerwieniała. Gniew zamigotał w jego oczach.

— Jak on mnie traktuje, on! — pomyślał.

Nigdy wyniosłość pana Galpina nie dała mu się tak boleśnie odczuć, jak ta zimna, pogardliwa uprzejmość pana Magloire'a.

Już przychodziła mu myśl, żeby mu kazać wyjść... Ale cóż by to dało? Przede wszystkim trzeba było się ratować, wydobyć z przepaści...

— Okrutny jesteś, Magloire — rzekł tonem, w którym czuć było hamowany gniew — i bez miłosierdzia dajesz mi uczuć okropność mego położenia... Och, nie tłumacz się! Posłuchaj raczej.

Zrobił kilka kroków i przetarł ręką czoło, jak gdyby chciał pozbierać wspomnienia. Potem spokojniejszym już nieco tonem zaczął:

— Było to w pierwszych dniach sierpnia 1866 roku, kiedy w Boiscoran, gdzie przyjechałem na kilka tygodni do stryja, ujrzałem po raz pierwszy hrabinę de Claudieuse.

Hrabia de Claudieuse i mój stryj byli właśnie ze sobą skłóceni z powodu owej nieszczęśliwej rzeczki, która płynie przez nasze posiadłości, a ich wspólny przyjaciel, pan de Besson, ułożył sobie, że ich pogodzi i nakłonił ich, żeby przyszli do niego na obiad.

Stryj wziął mnie ze sobą. Hrabina towarzyszyła swemu mężowi.

Ja miałem wtedy dwadzieścia lat, ona dwadzieścia sześć.

Ujrzawszy ją, osłupiałem z podziwu. Zdawało mi się, że nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety tak doskonale pięknej i pełnej wdzięku, że nigdy nie widziałem twarzy tak cudnej, tak zachwycających oczu i słodkiego uśmiechu.

Ona zdawała się nie zwracać na mnie uwagi, ja nie mówiłem z nią nawet, a jednak czułem w sobie jakby przecucie, że ta kobieta odegra w moim życiu fatalną rolę...

Wrażenie to było u mnie tak silne, że w drodze powrotnej nie mogłem wytrzymać, żeby nie powiedzieć coś o tym stryjowi. On śmiał się ze mnie, powiedział mi, że plotę od rzeczy i że jeżeli jakaś kobieta zmać pokój mego życia, to na pewno nie hrabina de Claudieuse.

Na pozór miał zupełną słuszość. Niepodobna prawie było wyobrazić sobie wypadku, który by mnie mógł zbliżyć do hrabiny. Pojedynkowe usiłowania pana de Bessona okazały się daremne; pani de Claudieuse mieszkała w Valpinson, ja na trzeci dzień odjeżdżałem do Paryża...

Odjechałem jednak zajęty tą myślą, a wspomnienie obiadu u pana de Bessona drżało jeszcze żywe w mojej pamięci, kiedy w miesiąc może potem, na wieczorze u pana de Chalusse'a, brata mojej matki, zdało mi się, że poznaję panią de Claudieuse.

To była ona. Ukłoniłem jej się. A widząc po sposobie, w jaki mi oddała mój ukłon, że mnie sobie przypomina, zbliżyłem się do niej niepewnie, a ona pozwoliła mi usiąść przy sobie...

Powiedziała mi, że przyjechała do Paryża na miesiąc, jak zwykle każdego roku, do swego ojca, margrabiego Tassar de Bruca. Na ów wieczór przyszła zmuszona prawie i nie bawiła się wcale, gdyż nienawidziła zabaw. Nie tańczyła, a ja nie odstępowałem jej, dopóki nie odjechała...

Rozstawszy się z nią, byłem już do szaleństwa w niej zakochany, a jednak nie starałem się o to, żeby ją znowu zobaczyć... Przypadek znowu nas połączył.

Pewnego dnia, mając interes do Melun, przybyłem na dworzec kolei, kiedy już pociąg miał odchodzić i zaledwie zdołałem wskoczyć do najbliższego wagonu.

W tym wagonie była pani de Claudieuse!

Powiedziała mi, że jedzie do Fontainebleau, do jednej ze swoich przyjaciółek, z którą co tydzień spędza wtorki i soboty. Zwykle jeździła pociągiem odchodzącym o dziewiątej... Był

to wtorek, a przez trzy następne dni dziwne walki odbywały się we mnie. Kochałem do szaleństwa hrabinę, a jednak lękałem się jej...

Ale moja zła gwiazda odniosła zwycięstwo i w następną sobotę o dziewiątej byłem na dworcu.

Pani de Claudieuse, jak mi to wyznała później, spodziewała się mnie. Zobaczywszy mnie, dała mi znak i gdy otworzono drzwi, usiadłem w tym samym przedziale, co ona.

Już od chwili pan Magloire kręcił się na krześle z wszelkimi oznakami najwyższej niecierpliwości.

Nareszcie nie mógł dłużej wytrzymać i zawołał:

— To zbyt nieprawdopodobne!

Jakub de Boiscoran nie odpowiedział od razu. Był bardzo poruszony czując, że wychodzi na jaw jego tajemnica tyle czasu ukryta na samym dnie jego serca, tajemnica wygasłej miłości.

Bo koniec końców kochał i był kochany. A bywają doznania, które nie powtarzają się nigdy i których nic zatrzeć nie zdoła...

Dlatego Jakub odparł łagodnie:

— Mój drogi, ja nie żądam, abys mi wierzył, proszę tylko, abys mnie wysłuchał.

I przemagając wzruszenie, mówił dalej:

— Ta podróż do Fontainebleau zdecydowała o naszym przeznaczeniu. Wiele ich jeszcze nastąpiło potem.

Pani de Claudieuse spędzała dzień u swej przyjaciółki, a ja zabijałem długie godziny błądząc po lesie. Wieczorem spotykaliśmy się na dworcu. Wsiadaliśmy do przedziału, który ja zamawiałem cały od Lyonu, wracaliśmy razem do Paryża i odwoziłem ją powozem na ulicę Ferme des Mathurins, gdzie mieszkał margrabia de Tassar de Bruc, jej ojciec...

Nareszcie jednego wieczora wyjechała od swej przyjaciółki z Fontainebleau o zwykłej godzinie, ale wróciła do ojca dopiero nazajutrz.

— Jakubie! — przerwał pan Magloire, oburzony, jak gdyby usłyszał bluźnierstwo — Jakubie!

Pan de Boiscoran nie zatrzymał się.

— O, ja wiem — rzekł — czuję, jakie ci się musi wydawać moje postępowanie. Myślisz sobie, że nie ma wymówki dla mężczyzny, który zdradza zaufanie kobiety, która mu się oddała! Poczekaj, zanim mnie osądzisz.

I pewniejszym głosem mówił dalej:

— Wtedy miałem się za najszcześliwszego z ludzi, a moje serce rosło z dumy na myśl, że ta piękna kobieta była moja, choć jej reputacja była wyższa nad wszelkie potwarze.

Okręciłem sobie wokół szyi jeden z tych fatalnych powrozów, które tylko śmierć może przeciąć i szalony, wieszowałem sobie tego.

Może ona zresztą kochała mnie wtedy prawdziwie? Wzburzona do głębi jedyną namiętnością, jakiej doznała w życiu, otwarła mi najciemniejsze tajniki swojej duszy. Opowiedziała mi tajemnice swego małżeństwa, które swego czasu wprawiło w osłupienie całą okolicę.

Podawszy się do dymisji margrabia de Bruc niebawem sprzykrzył sobie bezczynność, a gniewała go skromność jego majątku. Rzucił się więc w hazardowe spekulacje; stracił wszystko, co miał, a nawet nadwerężył swój honor.

Zrozpaczony myślał o samobójstwie, gdy niespodzianie zjawił się u niego jeden z jego dawnych kolegów, hrabia de Claudieuse.

W chwili przyjacielskich zwierzeń pan de Bruc wyznał mu wszystko, a on przysiągł mu, że go wyrwie z tej hańby. Było to z jego strony wspaniałomyślne

bardzo kosztowne, a mało znajdzie się takich przyjaciół z młodości, którzy by zdolni byli do podobnie rujnujących poświęceń.

Na nieszczęście hrabia de Claudieuse nie umiał się utrzymać w roli bezinteresownego dobroczyńcy.

Ujrawszy pannę Genowefę de Tassar de Bruc, olśniony jej pięknnością, a zdjęty jedną z tych namiętności, które nie znają przeszkód, zapominając o tym, że ona miała zaledwie dwadzieścia lat, a on dobiegał pięćdziesiątki, dał do zrozumienia przyjacielowi, że zawsze gotów jest wyświadczyć mu obiecaną przysługę, ale... że w zamian żąda ręki panny Genowefy.

Tego samego wieczora zrujnowany szlachcic wszedł do pokoju córki i ze łzami w oczach przedstawił jej całą okropność położenia. Ona nie wahała się.

— Przede wszystkim — rzekła do ojca — ocalmy honor, którego twoja śmierć nie okupi. Pan de Claudieuse jest wariatem i okrutnikiem, kiedy zapomina, że ma o trzydzieści lat więcej ode mnie. Od tej chwili pogardzam nim i nienawidzę go. Powiedz mu, ojcze, że gotowa jestem zostać jego żoną.

A gdy ojciec zawołał, że hrabia nigdy nie przyjmie takiej zgody odrzekła:

— Bądź spokojny, ojcze, będę umiała przyzwoicie to ułożyć i twój przyjaciel nie będzie żałował, że mnie pojął za żonę. Ale ja znam swoją wartość i pamiętaj, ojcze, choć on ci wyświadcza wielką przysługę, że mu nic nie jesteś winien.

Jakoż w parę tygodni panna Genowefa dała poznać hrabiemu, że mogłaby go kochać, a w miesiąc później została jego żoną.

Hrabia ze swojej strony zrobił nawet więcej niż obiecał i działając z nadzwyczajną delikatnością sprawił, że nikt nie domyślił się nawet, że pan de Tasser de Bruc był zrujnowany. Dał mu dwieście tysięcy franków na załatwienie interesów, zeznał, że wziął za żonę w posagu pięćdziesiąt tysięcy talarów, których naturalnie nigdy nie widział i zobowiązał się płacić teściowi do śmierci dziesięć tysięcy franków rocznie. Przeszło połowa jego majątku poszła na to...

Pan Magloire nie myślał w tej chwili protestować.

Zesztywniały na krześle, z rozszerzonymi ze zdumienia oczami powtarzał tylko:

— To niepojęte, niesłychane.

Jakub za to ożywał się.

— To mi opowiedziała pani de Claudieuse w pierwszych chwilach upojenia. I opowiedziała mi to zimno, spokojnie, jak rzecz zupełnie naturalną.

— Zapewniam cię — mówiła — że pan de Claudieuse nie miał nigdy powodu żałować targu, który o mnie dobił. Mój ojciec zawdzięcza mu życie, ale ja dałam mu tyle lat szczęścia, które już nie było dla niego. Jeżeli nie posiadał miłości, to miał jej cudowną komedię i pozory rozkoszniej sze niż sama rzeczywistość.

A gdy nie mogłem ukryć mego zdziwienia, dodała z uśmiechem:

— Tylko że ja przystąpiłam do tego targu z pewnym zastrzeżeniem w myśli. Zastrzegłam sobie, że nie wyrzekam się szczęścia, które mi się należy, jeżeli uda mi się je znaleźć. Tym szczęściem jesteś ty, Jakubie. I nie sądz, że mam jakiegokolwiek wyrzuty sumienia. Dopóki mój mąż będzie się miał za szczęśliwego, warunki kontraktu będą z mojej strony dopełnione.

Tak mówiła w owym czasie, a człowiek bardziej doświadczony ode mnie byłby się tego przestraszył... Ale ja byłem dzieckiem, kochałem ją duszą i ciałem, podziwiałem jej rozum i zachwycałem się jej odwagą.

List od pana de Claudieuse'a wyrwał nas ze słodkich marzeń.

Nieostrożna po pierwszy i po raz ostatni w życiu hrabina de Claudieuse pozostała w Paryżu trzy tygodnie dłużej niż miała zabawić, a mąż niespokojny Pisał, że chyba przyjedzie po nią.

— Muszę wracać do Valpinson — rzekła — gdyż nie ma nic takiego na świecie, czego bym nie poświęciła dla utrzymania mojej reputacji. Własne i twoje życie, życie mojej córki poświęciłabym dla reputacji uczciwej kobiety.

Było to 12 października.

- Nie zdołałabym dłużej niż miesiąc wytrzymać bez ciebie. Od dziś za miesiąc, to jest 12 listopada, o godzinie trzeciej bądź w lesie Rochepommier, w miejscu zwanym Skrzyżowanie Skrzatów. Będę tam...

I odjechała zostawiwszy mnie odurzonego miłością. Myśl, że jestem kochany przez taką kobietę napełniała mnie dumą. Chciałem pracować, odznaczyć się, zdobyć sobie wyższość w czymkolwiek.

— Chcę, aby mnie podziwiała — mówiłem sobie zawstydzony, że w moim wieku byłem tylko synem bogatego ojca i niczym więcej...

Już z dziesięć razy pan Magloire podnosił się na stołku, a jego wargi poruszały się, jak gdyby chciał się odezwać. Ale przyrzekł sobie, że nie będzie przerywał, więc jak mógł, dotrzymywał słowa.

— Dzień wyznaczony przez panią de Claudieuse nadszedł wreszcie — opowiadał dalej Jakub. — Pojechałem do Boiscoran i nieco po trzeciej stawilem się na wskazanym miejscu. Powodem tego spóźnienia, które mnie wprawiało w rozpacz był fakt, że bardzo mało znałem las Rochepommier i że miejsce, które hrabina obrała, leży w największej gęstwinie.

Pogoda jak na tę porę roku była bardzo chłodna. Poprzedniego dnia spadło dużo śniegu. Wszystkie ścieżki były białe, a przykry wiatr otrząsał szron, którym pokryte były drzewa.

Z daleka spostrzegłem panią de Claudieuse chodzącą niecierpliwie po suchym kawałku ziemi, zakrytym od wiatru ogromnymi złomami skał.

Miała na sobie suknię jedwabną, granatową, bardzo długą, płaszcz sukienny podbity futrem i aksamitny toczek koloru sukni.

W trzech skokach byłem przy niej.

Ale ona nie wyjęła ręki z zarekawka, żeby mi ją podać i nie pozwoliwszy mi się wytłumaczyć z mego spóźnienia, zapytała suchym tonem:

— Kiedy przyjechałeś do Boiscoran?

— Wczoraj wieczór.

— Jakież z ciebie dziecko! — zawołała tupnąwszy nogą. — Wczoraj wieczór! A pod jakim pretekstem?

— Nie potrzebuję szukać pretekstów, żeby odwiedzić stryja.

— I on zupełnie się nie zdziwił, że spadłeś tak do niego, w tej porze, w taki czas?...

— No... tak, trochę — odpowiedziałem jak student, nie śmiejąc przed nią ukrywać prawdy.

To zwiększyło jej niezadowolenie.

— Jak przyszedłeś tutaj?... Znałeś to miejsce?

— Nie, kazałem je sobie pokazać.

— Komu?

— Jednemu ze służących mego stryja, ale wskazówki, które mi dał, były tak niejasne, że zbłądziłem.

Ona patrzyła na mnie z taką ironią, że się zatrzymałem.

— I to wszystko zdaje ci się niczym! — przerwała mi. — Myślisz, że w Boiscoran będą to uważać za rzecz naturalną, żeś wpadł jak bomba i natychmiast dalejże wywiadywać się o jakieś tam miejsce w lesie? Kto wie, czy za którymś z tych drzew nie ma śledzących nas oczu!

Mówiąc to rozglądała się naokoło z wyrazem wielkiego niepokoju. Nie mogłem wytrzymać, żeby jej nie powiedzieć:

— Czego się boisz? Alboż mnie tu nie ma?...

Zdaje mi się, że jeszcze widzę wzrok, jakim mnie zmierzyła.

— Ja się nie boję niczego — rzekła — rozumiesz, niczego na świecie, oprócz tego, żeby nie być, nie powiem skompromitowana, ale choćby tylko podejrzana. Podoba mi się robić to, co robię, chcę mieć kochanka. Ale nie chcę, żeby o tym wiedzano. Gdyby wiedzano, dopiero robiłabym źle. Wybierając między reputacją a życiem, z pewnością nie wybrałabym życia. Do tego stopnia, że gdyby mnie ktoś miał zobaczyć z tobą, to wolałabym, żeby to był mój mąż, niż ktoś obcy. Nie mam żadnego uczucia dla pana de Claudieuse'a i nigdy mu nie daruję, że się ze mną ożenił, ale on ocalił honor mojego ojca; ja powinnam strzec jego honoru. Zresztą on jest moim mężem, ojcem mojej córki, noszę jego nazwisko i chcę, aby go szanowano. Umarłabym ze wstydu, z bóleści i wściekłości, gdybym musiała ukazywać się publicznie z człowiekiem, którego widok wywoływałby źle ukryte uśmiechy. Kobiety są nikczemnie głupie, że nie rozumieją tego, iż na nich odbija się pogardą niesprawiedliwa śmieszność, od której nie umiały ustrzec mężczyzny, którego zdradzają. Nie, ja nie kocham pana de Claudieuse'a, Jakubie, a ciebie ubóstwiam... Ale pamiętaj, że nie wahałabym się ani chwili między tobą a nim i że, aby mu oszczędzić choćby cienia podejrzenia, choćby mi serce miało pęknąć, z uśmiechem na ustach poświęciłabym twoje życie i twój honor...

Chciałem coś odpowiedzieć.

— Daj spokój — rzekła. — Każda chwila, którą tu spędzamy jest nowym nierozsądkiem. Jakim pretekstem usprawiedliwisz twój przyjazd do Boiscoran?

— Nie wiem — odrzekłem.

— Musisz pożyczyć pieniędzy od stryja; dość znaczną sumę na opłacenie długów. Pogniewa się może, ale wytłumaczy sobie twoją nagłą ochotę odwiedzenia go w listopadzie. Do widzenia!

Zmieszany, zawstydzony, zawołałem:

— Jak to!... Nie zobaczę cię już, choćby z daleka?

— Tym razem — odrzekła — byłoby to już wielkie szaleństwo. Czekaj jednak... Zostań w Boiscoran do niedzieli... twój stryj nie opuszcza nigdy sumy; jedź więc z nim. Ale miej się na baczności, panuj nad sobą, pilnuj swoich oczu. Jedna nieroztropność, jedna słabość, a pogardziłabym tobą... A teraz musimy się rozstać. W Paryżu dostaniesz ode mnie list.

Na tych słowach Jakub zatrzymał się, śledząc na twarzy pana Magloire'a odbicia swoich wrażeń i myśli...

Ale widząc sławnego adwokata nieporuszoną, westchnął i mówił dalej:

— Jeżeli wchodzę w takie szczegóły, Magloire, to dlatego, iż trzeba, żebyś wiedział, jaką kobietą jest pani de Claudieuse, aby zrozumieć jej postępowanie. Nie podchodziła mnie, jak widzisz, podstępnie; własnymi rękoma oświecała mi przepaść, w którą miałem wpaść. Niestety!... Zamiast mnie przerazić, złowrogie strony jej charakteru podniecały moją namiętność. Podziwiałem jej imponującą postawę, jej odwagę i rozum, ów zupełny brak moralności, tak dziwnie odbijający od tego strachu przed opinią publiczną.

Musiała być zadowolona ze mnie na sumie w Brechy, gdyż potrafiłem się opanować. Gdy ją ujrzałem, ukloniłem jej się i przeszedłem tak blisko koło niej, że moja ręka musnęła jej suknię.

Poza tym usłuchałem jej jak najskrupulatniej.

Poprosiłem stryja o sześć tysięcy franków, które mi dał z uśmiechem, był to bowiem najzaczniejszy człowiek w świecie, ale zarazem powiedział mi:

— Domyśliłem się zaraz, że nie po to jedynie przyjechałeś do Boiscoran, żeby przespacerować się po lesie Rochepommier.

Ta drobna okoliczność podniosła jeszcze moje uwielbienie dla pani de Claudieuse. Jak ona umiała odgadnąć zdziwienie mego stryja, kiedy ja nie pomyślałem o tym!

— Ona posiada geniusz roztropności! — powiedziałem sobie.

Rzeczywiście, posiadała go, równie jak geniusz rachunkowy, czego niebawem otrzymałem dowód.

Przybywszy do Paryża, zastałem już list od niej, który był tylko długą parafrazą poleceń danych mi w lesie Rochepommier. Po tym liście nastąpiło wiele innych, które zalecała mi chować przez miłość dla niej, a które wszystkie miały na rogach kolejny numer.

Przy pierwszym spotkaniu z nią zapytałem:

— Na co te numery?

— Mój kochany panie Jakubie — rzekła — kobieta zawsze powinna wiedzieć, ile listów napisała do kochanka... Dotąd musiałeś ich odebrać dziewięć...

To się działo w maju 1867 roku, w Rochefort, gdzie przyjechała, aby widzieć spuszczenie fregaty na wodę, a ja przybyłem na jej rozkaz i gdzie zdołaliśmy ukraść parę chwil dla siebie...

Jak głupiec śmiałem się z tego liczenia listów i nie pomyślałem o tym więcej. Co innego mnie wtedy zajmowało.

Ona zwróciła moją uwagę, że mimo smutku naszej rozłąki, czas upływa i że wrzesień, miesiąc jej wolności, niebawem nadejdzie.

Mamy się ograniczać, tak jak zeszłego roku, do owych przejażdżek do Fontainebleau, tak niebezpiecznych mimo wszelkich ostrożności z naszej strony? Dlaczego się nie postarać raczej o jakiś ustronny dom w cichej dzielnicy?

Każde jej życzenie było dla mnie rozkazem. Szczodroblliwość mego stryja była niewyczerpana. Kupiłem dom...

W opowiadaniu Jakuba zjawiała się nareszcie jedna okoliczność, która mogła się stać początkiem dowodu.

Toteż pan Magloire zadrżał i przerwał mu żywo:

— Ach! Kupiłeś dom?

— Tak jest, ładny dom, z wielkim ogrodem, przy ulicy des Viguel, na Passy...

— I ten dom jest jeszcze twoją własnością?

— A tak.

— Więc posiadasz oczywiście tytuł jego własności?

Jakub rzucił się rozpaczliwie:

— Tutaj znów — rzekł — los jest przeciwko mnie. Z tym domem zachodzi znów cała historia...

Twarz adwokata znów się zachmurzyła.

— Aha, znowu historia! — mruknął.

— Zaledwie doszedłem był pełnoletności — mówił dalej Jakub — gdy mi przyszło kupować ten dom. Obawiałem się trudności, lękałem się, żeby się mój ojciec przypadkiem nie dowiedział, wreszcie chciałem dorównać w roztropności pani de Claudieuse. Prosiłem więc jednego z moich przyjaciół, gentlemana angielskiego, sir Francis Burnetta, aby ten dom kupił na swoje imię. On chętnie zgodził się, a gdy akt kupna został spisany i wciągnięty do hipoteki, oddał mi go jednocześnie z rewersem stwierdzającym moje prawa...

— A więc skoro tak...

— Och, poczekaj. Nie zabrałem tych papierów do mieszkania, które zajmowałem u ojca. Złożyłem je w szufladzie jednego z mebli w moim domu na Passy. Kiedy wybuchła wojna, nie pomyślałem o tym, żeby je zabrać. Opuściłem Paryż przed okrażeniem go, jak wiesz, gdyż dowodziłem kompanią żołnierzy. Podczas dwóch oblężeń mój dom był zajęty z kolei przez gwardzistów narodowych, przez żołnierzy komuny i przez wojsko regularne. Gdy wróciłem, zastałem wprawdzie cztery ściany podziurawione granatami, ale wszystkie meble zniknęły, a z nimi i mój tytuł własności...

— A sir Francis Burnett?

— Opuścił Francję w chwili najazdu i nie wiem, co się z nim stało. Z dwóch jego przyjaciół, do których pisałem, jeden odpowiedział mi, że musi być w Australii, drugi, iż mu się zdaje, że on musiał umrzeć.

— I nie zrobiłeś żadnego kroku, żeby sobie zapewnić posiadanie nieruchomości, która prawnie należy do ciebie?

— Dotąd żadnego.

— Rozumiem z tego, że w Paryżu jest dom bez właściciela, zapomniany przez wszystkich, nawet przez poborców...

— Przepraszam, podatki były zawsze jak najakuratniej płacone i w całej dzielnicy ja uważany jestem za właściciela. Tylko co do osoby zachodzi błąd. Ja bez ceremonii przyswoiłem sobie tożsamość mego przyjaciela. Dla sąsiadów, dla okolicznych kupców, dla robotników i przedsiębiorców, których używałem, dla tapicera i ogrodnika ja jestem sir Francisem Burnettem. Idź, spytaj się na ulicy des Vignes o Jakuba de Boisacorana, każdy ci odpo-

wie: Nie znam. Zapytaj się o sir Burnetta, a powiedzą ci: A i owszem, znam doskonale! — i skreślą ci mój portret.

Pan Magloire nie bardzo widać przekonany, kręcił głową.

— A więc powiadasz — rzekł — że pani de Claudieuse bywała w tym domu na Passy?

— Była w nim przeszło pięćdziesiąt razy w ciągu trzech lat.

— Skoro tak, to ją tam znają?

— Nie.

— Ależ...

— Paryż to nie w Sauveterre, mój Magloire i ludzie tam nie zajmują się wyłącznie tym, co robi ich sąsiad. Ulica des Vignes jest bardzo pusta, a hrabina przychodząc i odchodząc zachowywała wszelkie środki ostrożności.

— Zgoda, to na zewnątrz domu. Ale wewnątrz? Musiałeś przecież mieć jakąś służbę!

— Miałem służącą Angielkę...

— No, więc ona musi znać panią de Claudieuse.

— Nigdy jej nawet nie widziała.

— Och!...

— Kiedy hrabina miała przyjść, albo kiedy wychodziła, czy też kiedy chcieliśmy się przejść po ogrodzie, wysyłałem tę dziewczynę pod jakimś pretekstem. Raz wysłałem ją aż do Orleanu, żeby się jej pozbyć na dwadzieścia cztery godziny. Wtedy usługiwaliśmy sobie sami...

Pan Magloire czuł się jak na mękach.

— Mylisz się chyba — rzekł. — Służący są zwykle bardzo ciekawi, a ukrywanie czegoś przed nimi drażni ich. Ona musiała znaleźć sposób zobaczenia kobiety, która u ciebie bywała. Można się jej przecież zapytać. Czy ona ciągle jest u ciebie?

— Nie! Odeszła ode mnie podczas wojny.

— I gdzież się udała?

— Zapewne do Anglii.

— Więc trzeba się zrzec nadziei odszukania jej?

— Tak sędzę.

— A więc trudno. Ale twój kamerdyner? Stary Antoni posiadał całe twoje zaufanie; nie powiedziałeś mu nigdy nic?

— Nigdy. Raz tylko kazałem mu przyjść na ulicę des Vignes, a to wtedy, gdy pośliznąwszy się na schodach zwichnąłem nogę.

— A zatem nie jesteś w stanie dowieść, że pani de Claudieuse bywała w domu na Passy. Nie masz ani dowodu ani świadka jej tam obecności?

— Miałem niegdyś dowody. Ona przynosiła ze sobą rozmaite drobne sprzęty na swój użytek, ale to wszystko znikło podczas wojny...

— Ach tak — rzekł Magloire — zawsze ta wojna, ona odpowiada za wszystko.

Nigdy przesłuchanie pana Galpina nie było tak dotkliwe dla Jakuba jak ten szereg doręcznych pytań, zdradzających zupełny brak wiary.

— Czyż nie powiedziałem ci — mówił — że pani de Claudieuse posiadała geniusz ostrożności? Łatwo jest ukryć się, kiedy można rzucać pieniędzmi. Czy to możliwe, żebyś mi pocztywał za zbrodnię to, że nie posiadam dowodów?... Czyż nie jest obowiązkiem człowieka honoru robić wszystko, co może, aby uchronić od podejrzeń kobietę, która mu się powierzyła? Dopełniłem mego obowiązku i cokolwiek się stanie, nie żałuję tego. Czy mogłem przewidzieć, że ja, Jakub de Boiscoran, wystąpię kiedykolwiek z oskarżeniem przeciw pani de Claudieuse i że będę zmuszony szukać przeciw niej dowodów i świadków!

Adwokat odwrócił głowę i zamiast odpowiedzi rzekł tylko zmienionym głosem:

— Mów, mów dalej, Jakubie...

I Jakub, przezwyciężając zniechęcenie, które go opanowywało, mówił dalej:

— Drugiego września 1867 r. pani de Claudieuse po raz pierwszy przyszła do tego domu na Passy, kupionego i urządzanego dla niej i przez całe pięć tygodni, przez które tego roku bawiła w Paryżu, przychodziła doń prawie codziennie na kilka godzin.

U swoich krewnych cieszyła się zupełną swobodą, prawie bez żadnej kontroli. Zostawiała więc córeczkę pod opieką swojej matki, margrabiny de Tassar de Bruc, a sama szła, gdzie chciała.

Gdy zapragnęła większej swobody, jechała do swojej przyjaciółki do Fontainebleau i za każdym razem zyskiwała dwadzieścia cztery albo czterdzieści osiem godzin na tej podróży.

Ja z mojej strony, żeby mi nie przeszkadzały obowiązki rodzinne, wyjechałem pozornie do Irlandii, a sprowadziłem się na ulicę des Vignes...

Te pięć tygodni przeszły jak sen, a jednak muszę wyznać, że rozłąka nie była tak bolesna, jak przypuszczałem. Nie dlatego, żeby czar przysł. Ale takie ukrywanie się było dla mnie upokarzające, zaczęło mnie nużyć to ciągle zachowywanie ostrożności i pragnąłem szczerze rzucić z siebie tożsamość mego przyjaciela Burnetta, a przybrać znów swoją.

Przysięgliśmy sobie zresztą, pani de Claudieuse i ja, że każdego miesiąca spędzimy ze sobą kilka godzin i ona obmyślała rozmaite sposoby widywania się bez niebezpieczeństwa.

Nieszczęście rodzinne właśnie w tym czasie przyszło nam na pomoc. Starszy brat mego ojca, ów pobłażliwy stryj, który mi dał pieniądze na ten dom na Passy, zmarł, zapisawszy mi cały majątek.

Zostawszy właścicielem zamku de Boiscoran, miałem już najzupełniej sze powody mieszkania tam i mogłem sobie przyjeżdżać, ilekroć chciałem, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Widoczne było, że Jakub chciał prędko skończyć opowiadanie i dojść do owej nocy, w której wybuchł pożar w Valpinson, żeby się dowiedzieć nareszcie od sławnego adwokata z Sauveterre, czego się ma obawiać, a czego może się spodziewać.

Po chwili milczenia, przeszedłszy się parę razy po swojej celi, mówił dalej z goryczą:

— Ale na co się przydadzą te szczegóły, mój kochany Magloire. Czy ty mi uwierzysz, chociaż ci po kolei wyliczę wszystkie moje schadzki z hrabiną de Claudieuse i choć ci powtórzę każde jej słówko!

Wkrótce tak dobrze wszystko urządziliśmy, żeśmy się widywali dosyć często bez żadnego niebezpieczeństwa. Rozchodząc się mówiliśmy sobie, albo ona mi pisała: „Tego dnia, o tej godzinie, w tym miejscu”, a chociaż ten dzień był bardzo oddalony, godzina bardzo niedogodna, a miejsce bardzo odległe, zawsze się spotykaliśmy.

Z czasem poznałem miejscowość jak najstarszy przemytnik. Hrabina ze swojej strony zawszenajwyżej w ciągu trzech miesięcy wynajdywała jakiś ważny powód, który zmuszał ją do udania się do la Rochelle albo Angouleme, a ja tam do niej jeździłem.

I nic jej nie powstrzymywało. Nawet stan brzemienności, w którym się znajdowała, bo to w owym roku 1867 przyszła na świat jej druga córka, nie przerywał tych podróży.

Prawda, że ja pędziłem wówczas życie na publicznych drogach i że bardzo często, kiedy się tego najmniej spodziewano, znikąłem na kilka tygodni.

Otóż masz wytłumaczenie tego upodobania do włóczęgostwa, z którego wyśmiewał się mój ojciec, a za które nawet ty sam robiłeś mi niegdyś wymówki...

— Prawda! — rzekł adwokat. — Przypominam sobie...

Jakub nie zwracał na to uwagi.

— Skłamałbym — mówił dalej — że mi się nie podobało takie życie. Nie. Tajemniczość i niebezpieczeństwo dodawało uroku naszej miłości. Przeszkody drażniły moją namiętność. Widziałem coś wzniosłego w czynach dwóch osób poświęcających cały zasób inteligencji tylko na to, żeby ukryć niebezpieczną intrygę.

Im bardziej przekonywałem się o czci, której przedmiotem w całej okolicy była hrabina de Claudieuse, tym wyższe miałem wyobrażenie o jej zręczności i przewrotności, i tym też dumniejszy z niej byłem.

Ogarniała mnie przewrotna radość, kiedy w niedzielę w Brechy widziałem ją, jak przechodziła spokojna, z wypogodzonym czołem, umiejac natchnąć wszystkich wiarą w swoją niczym nieskalaną reputację... Gratulowałem sobie, że tylko ja jeden znam prawdziwą hrabinę de Claudieuse, tę, która tak wesoło wynagradzała sobie to wszystko w naszym domku na ulicy des Vignes.

Ale takie upojenie nie mogło trwać długo...

W krótkim czasie przekonałem się, że miałem nad sobą samowładnego i nadzwyczaj wymagającego pana. Przestałem niejako do siebie należeć. Stałem się jej własnością, miałem żyć, oddychać, myśleć i działać tylko dla niej. Napisała do mnie: „Przyjdź”, trzeba było biec natychmiast. Powiedziała mi „Odejdź”, nie pozostawało mi nic, jak tylko posłuchać jej.

Z początku przyjmowałem z radością tę despotyczną miłość, ale powoli zaczęło mnie męczyć to zupełne wyrzeczenie się własnej woli. Nie podobało mi się to, że nie mogłem sobą rozrządzać, nie mogłem na dwadzieścia cztery godziny naprzód zrobić żadnego projektu. Zaczął mi ciążyć łańcuch, który sobie sam uwiązałem u szyi.

Zacząłem myśleć o ucieczce.

Jeden z moich przyjaciół wyruszał w podróż naokoło świata, w podróż, która miała trwać półtora roku albo dłużej. Miałem wielką ochotę pojechać z nim. Cóż mnie zatrzymywało? To, że złudzenie jeszcze nie znikło. Wiązały mnie do niej tysiączne nici przyzwyczajęń i współnictwa, owe nici, które na pozór zdają się delikatniejsze od pajęczyny, a które trudniej stargać niż linę okrętową.

Myśl ta jednakże sprawiła to, że po raz pierwszy wymówiłem przed nią słowo: rozstanie, pytając jej, co by zrobiła, gdybym ją opuścił. Dziwnie spojrzała na mnie i rzekła po chwili:

— Czy ty to mówisz serio? Czy to wstęp?

Nie śmiałem mówić dalej i usiłując się uśmiechnąć, rzekłem:

— Nie, to tylko żart.

— W takim razie nie mówmy o tym, a gdybyś kiedy pomyślał o tym naprawdę, to zobaczyłbyś, co bym zrobiła.

Nie nalegałem dłużej, ale jej spojrzenie utkwilo mi w pamięci i wtedy dopiero pojąłem, że mnie z nią łączą węzły silniejsze niż przypuszczałem. Odtąd też myślałem jedynie o tym, jakby z nią zerwać.

— No to trzeba było zerwać! — zawołał adwokat.

Jakub pokiwał głową.

— Łatwo to powiedzieć! — odrzekł. — Próbowałem, ale nie mogłem. Dziesięć razy przychodziłem do pani de Claudieuse z mocnym postanowieniem powiedzenia jej: „Widzimy się ostatni raz”, ale w stanowczej chwili, zawsze mi brakło odwagi. Zresztą dlaczegóż nie miałbym się do tego przyznać? Bałem się jej, myśląc o wszystkim, do czego była zdolna.

Wtedy właśnie moja matka zaczęła raz mówić ze mną o małżeństwie, o którym od dawna dla mnie marzyła. To właśnie mogło posłużyć za pretekst, którego w żaden sposób nie mogłem znaleźć. Poprosiłem matkę o czas do namysłu. I jak tylko zobaczyłem się z panią de Claudieuse, zbierając całą moją odwagę powiedziałem jej:

— Wiesz co, matka chce mnie koniecznie ożenić.

Zbladła jak ściana i patrząc mi bystro w oczy, tak jakby chciała wyczytać z nich prawdę, zapytała:

— A ty czego chcesz?

— Ja — odpowiedziałem, siląc się na uśmiech — w tej chwili przynajmniej nic nie chcę. Ale wcześniej czy później będę musiał na to przystać. Człowiek potrzebuje mieć swój dom, uczucia, z którymi nie potrzebowałby się ukrywać przed światem.

— A ja — przerwała mi — czym więc jestem dla ciebie?

— Ty — zawołałem — ty, Genowefo? Kocham cię całą duszą, ale rozdziela nas straszna przepaść, ty masz męża!

Nie spuszczała ze mnie wzroku.

— Czyli po prostu — odpowiedziała — kochałeś mnie tylko dlatego, żeby sobie skrócić czas i uprzyjemnić... Byłam dla ciebie rozrywką młodości, poezją dwudziestoletniego chłopca, romanssem, który pragnie mieć każdy mężczyzna... Ale teraz zaczynasz się robić poważnym człowiekiem, potrzebujesz trwalszych uczuć, opuszczasz mnie zatem. Dobrze... Ale cóż się ze mną stanie, jak ty się ożenisz?

Okropnie cierpiałem w tej chwili.

— Ty masz męża — jęknąłem — dzieci...

Przerwała mi:

— Tak — rzekła — ja powróciłabym do Valpinson, do miejsca przepelnionego wspomnieniami, gdzie każdy zakątek przypomina mi jedną z naszych schadzki, do męża, którego zdradziłam, obok córek z których jedna jest twoja... To niepodobna, Jakubie.,.

Jakoś tego dnia byłem w szczególnie odważnym usposobieniu.

— A jednak — rzekłem — bardzo być może, że się ożenię. Cóż byś zrobiła w takim razie?

— Och, nic wielkiego — odpowiedziała mi. — Wszystkie twoje listy oddałabym hrabiemu de Claudieuse...

Od blisko trzydziestu lat, będąc obrońcą przy sądzie kryminalnym, pan Magloire nasłuchiwał się dziwnych zwierzeń. Nigdy jednak jego myśli nie były tak wzburzone, jak w tej chwili.

— Ależ to oszaleć można — szepnął.

Jakub ciągnął dalej:

— Nie zrobiłabyś tego — rzekłem jej.

— Przysięgam ci na wszystko, co mam najdroższego i najświętszego — odpowiedziała mi — zrobiłabym to!

Pamiętam tę scenę tak dobrze, jakby rozegrała się wczoraj. Stoi mi jeszcze przed oczami hrabina blada jak widmo, słyszę jeszcze jej drżący głos i prawie dosłownie powtórzę ci, co mówiła:

— Moje postanowienie cię dziwi, Jakubie. Rozumiem, dlaczego. Kobiety, które zapominają o swoich obowiązkach nie przyzwyczyły swoich kochanków do tego, że się z nimi trzeba liczyć. Zdradzone milczą. Opuszczone poddają się. Ukrywają łzy, bo płakać znaczyłoby tyle, co przyznać się do winy. Kto by ich zresztą żałował, gdyby zdradziły się z rozpaczą! Czyż opuszczenie nie jest karą naprzód przewidzianą? Toteż wśród mężczyzn jest wielu tak cynicznych, że mówią głośno, iż kobieta zamężna jest wygodną kochanką, której zazdrości nie trzeba się obawiać i którą można porzucić, tak jak się ją wzięło w chwili kaprysu! Ach, gdybyśmy miały więcej odwagi, to by się każdy dobrze wprzód zastanowił, zanim by sobie przywłaszczył cudzą żonę! Aleja zrobię to, czego inne nie śmiały! Jak to, ty jutro zupełnie swobodny mógłbyś się uganiać za nowymi miłośkami i rozpocząłbyś na nowo dawne życie, a ja zostałabym sama z piętnem wstydu na czole, pożerana wyrzutami sumienia i żalem! W twojej przeszłości ja byłabym tylko uroczym snem, ty w mojej byłbyś strasznym wspomnieniem!... Nie, nie!... Takie węzły, jakie nas łączą, ściśnione latami wspólnictwa, nie zrywają się tak łatwo! Należysz do mnie i będę bronić przeciw wszystkim mojej własności, wszelkimi sposobami, jakich tylko będę mogła użyć! Powiedziałam ci, że o reputację idzie mi bardziej niż o życie! Żenisz się... w przeddzień twego ślubu mój mąż będzie wiedział o wszystkim; nie przeżyję utraty mego honoru, ale przynajmniej zostanę pomszczona. Jeśli unikniesz zemsty hrabiego de Claudieuse[^], twoje imię wmieszane zostanie w tak tragiczną historię, że twoje życie straci na zawsze wartość...

Z nacisku, jaki kładła na swoje słowa, z pewności, z jaką wymierzała swoje ciosy, łatwo mogłem poznać dawno obmyślony plan, którego nic nie mogło powstrzymać.

Byłem okropnie zgnębiony.

A kiedy ponuro milczałem, zapytała mnie zimno:

— No i cóż? — \

Przede wszystkim trzeba było zyskać na czasie.

— To — odpowiedziałem — że nie umiem sobie wytłumaczyć twój gniew. To małżeństwo, o którym ci wspominałem, istnieje dotąd tylko w imaginacji mojej matki.

— Naprawdę? — zapytała.

— Zaręczam ci.

Przyglądała mi się z niedowierzaniem.

— No, wierzę ci — rzekła nareszcie z westchnieniem. — Ale jesteś ostrzeżony. A teraz odpędźmy od siebie te czarne myśli.

Ona je może mogła odpędzić, ja nie.

Pozegnałem ją wściekając się z gniewu.

A więc ona mną rozporządziła. Na całe życie uwiązała mi u szyi łańcuch, który z każdym dniem boleśniej mnie kaleczył. A za najmniejsze usiłowanie, żeby go zerwać, musiałem się obawiać obrzydliwego skandalu, albo jednej z tych smutnych awantur, które zgubiły tylu ludzi.

Nie byłem znowu tak bardzo winny, jak się jej zdawało, a zemsta bardziej niż mnie, dosięgnęłaby jej męża i dzieci. Jeżeli panu de Claudieuse'owi miała może wiele do zarzucenia, to jej córki były niewinne...

Na próżno szukałem wyjścia z tego strasznego położenia. Przysięgam ci, Magloire, były chwile, w których na nic nie zważając chciałem wymyślić jakieś niby małżeństwo, żeby zmusić hrabinę do działania i żeby już raz ściągnąć na siebie te gromy, które mi ciągle wisiały nad głową. Nie lękam się niebezpieczeństwa, ale wiedzieć o tym, że ono istnieje i oczekiwać nań z założonymi rękami, jest dla mnie niepodobieństwem. Wolę iść na jego spotkanie.

Myśl, że pani de Claudieuse posługiwała się własnym mężem, żeby mnie dłużej dla siebie zachować, oburzała mnie. Śmieszne i niepojęte zarazem zdawało mi się, że swego męża zrobiła żandarmem swego kochanka.

Tymczasem moja matka nalegała na mnie o decyzję w sprawie małżeństwa, o którym mi mówiła, a ja odpowiedziałem jej, że ostatecznie nie chcę się jeszcze żenić, przyjąć na siebie odpowiedzialności ojca rodziny. Tak było w istocie; ale gdyby nawet tak nie było, musiałbym odpowiedzieć tak samo.

W takim stanie byłem, kiedy wybuchła wojna.

Przyjechałem do Boiscoran. Organizowano tam właśnie zaciąg z miejscowych, którzy mnie wybrali swoim dowódcą i na ich czele połączyłem się z Armią Loary. Wojna ucieszyła mnie jako sposobność, by zapomnieć o moich kłopotach. I jeśli okazałem trochę odwagi, to wcale nie moja zasługa.

Gdy tak upływały tygodnie i miesiące, i nie słyszałem nic o hrabinie de Claudieuse, poczęła we mnie rosnać nadzieja, że zapomniała o mnie, że czas i nieobecność dokonały swego dzieła i że nareszcie zrezygnowała.

Po podpisaniu pokoju wróciłem do Boiscoran, a hrabina, podobnie jak poprzednio, nie dawała znaku życia.

Zacząłem się uspakajać i czuć się niejako panem siebie, gdy pewnego razu pan de Chandore spotkawszy mnie, zaprosił mnie do siebie na obiad i poszedłem. Ujrzałem pannę Dionizę.

Znałem ją już dawno, a wspomnienie jej może przyczyniło się w części do oderwania mnie od pani de Claudieuse. Jednak zawsze miałem tyle rozumu, że jej unikałem, obawiając się ściągnąć na nią straszną zemstę.

Ale zbliżony do niej przez jej dziadka, nie miałem już siły oddalić się od niej. I tego samego dnia, kiedy zdało mi się, że wyczytałem w jej ślicznych oczach, że ona mnie kocha, powziąłem niezłomne postanowienie i powiedziałem sobie, że się odważę na wszystko.

Ale jak ci opiszę mój niepokój! Gdybyś wiedział, z jaką trwogą co wieczór, wróciwszy do Boiscoran, pytałem:

— Czy nie przyszedł jakiś list?

List nie przychodził. A jednak pani de Claudieuse musiała wiedzieć o moim małżeństwie. Mój ojciec oświadczył się panu de Chandore o rękę panny Dionizy, zostałem przyjęty, pozostawało tylko wyznaczyć dzień ślubu...

Ten spokój przerażał mnie!

Jakub zmęczony zatrzymał się, przyciskając piersi rękami, jak gdyby chciał powstrzymać szalone bicie serca.

Pan Magloire pozostał niewzruszony; jego twarz wyglądała jak maska z ołowiu.

Wreszcie Jakub zaczął znów mówić z wysiłkiem:

— Ta cisza zwiastowała mi burzę. Być kochanym przez Dionizę, to był szczyt szczęścia. Czekałem jakiegoś wybuchu, katastrofy, czegoś strasznego. W końcu doszedłem do wniosku, iż powinienem wyznać wszystko panu de Chandore. Znasz go, Magloire. Ten starzec jest uosobieniem honoru. Mogłem mu powierzyć swoją tajemnicę, tak jak niegdyś, w chwilach szału, rzucałem bezkarnie nocnym wichrom imię Genowefy.

Niestety! Dlaczegoż się tak wahałem, tak namyślałem, tyle czasu zwłóczyłem...

Jedno słowo wyrzeczone wtedy byłoby mnie ocaliło i nie byłbym tutaj, oskarżony o okropną zbrodnię.

Ale fatum ciążyło nade mną.

Cały tydzień odkładając z dnia na dzień to wyznanie, pewnego wieczora, gdy Dioniza napomknęła coś o przeczuciach, powiedziałem sobie z niezłomnym postanowieniem: zrobię to jutro.

I rzeczywiście nazajutrz wyruszyłem z Boiscoran wcześniej niż zwykle, piechotą, gdyż miałem wydać niektóre polecenia kilkunastu robotnikom pracującym w moich winnicach. Dla skrócenia sobie drogi poszedłem polami.

Wydawszy polecenia, dochodziłem właśnie do gościńca, kiedy spotkałem starego proboszcza z Brechy, który jest moim przyjacielem. Odprowadziłem go przez las Rochepommier i rozstałem się z nim na skrzyżowaniu gościńca z boczną drogą. Potem przyspieszyłem kroku i prawie już przebyłem las, gdy wtem nagle o dwanaście kroków spostrzegłem idącą w przeciwnym kierunku hrabinę de Claudieuse...

Mimo silnego wzruszenia szedłem dalej, postanowiwszy ukłonić się jej tylko nie odzywając się ani słowa.

Tak też zrobiłem i już ją mijałem, gdy zawołała na mnie:

— Jakubie!

Zatrzymałem się, a raczej stanąłem jak wryty pod wpływem tego głosu, który tyle czasu miał nade mną nieograniczoną władzę.

Ona zbliżyła się do mnie. Była jeszcze bardziej wzruszona niż ja; wzrok miała prawie błędny, wargi jej drżały.

— A więc — rzekła to nie jest już złudzenie; teraz naprawdę żenisz się z panną de Chandore.

Nie była to chwila do jakichkolwiek wybiegów.

— Tak jest — odrzekłem.

— A więc to prawda — odezwała się znowu — wszystko się skończyło! Nadaremnie przypominałabym ci owe przysięgi wiecznej miłości, które mi składałeś kiedyś, o, tam pod tymi dębami, wobec tego cudownego widnokregu... To są te same drzewa i ten sam krajobraz i ja jestem tą samą kobietą, tylko twoje serce się zmieniło... — '

Nic nie odpowiedziałem.

— Więc ty ją kochasz! — poczęła nalegać.

Milczałem uparcie.

— Rozumiem cię — rzekła — rozumiem aż nadto. A ona, Dioniza? Ona cię kocha do tego stopnia, że nie umie tego ukryć. Zaczepia swoje przyjaciółki, aby je powiadomić o swoim bliskim zameściu i żeby im powiedzieć, jaka jest szczęśliwa! Tak, bardzo szczęśliwa!... Ta miłość, która dla mnie była hańbą, dla niej jest zaszczytem... Ja musiałam się z nią kryć jak ze zbrodnią, ona chlubi się nią jak cnotą. Zwyczajnie towarzyskie są głupie i niesprawiedliwe, ale szalony, kto się spod nich chce wyłamać...

Łzy, pierwsze, które u niej widziałem, zabłysły na jej długich rzesach.

— Nie jestem już niczym dla ciebie — mówiła znowu — niczym! Przeliczyłam się!... Czy pamiętasz, że nazajutrz po śmierci twego stryja, kiedyś został bogaty, proponowałeś mi ucieczkę? Odmówiłam ci. Chodziło mi o reputację, pragnęłam, aby mnie otaczał szacunek. Sądziłam, że można życie rozdzielić na dwie połowy i jedną poświęcić rozkoszy, a drugą hipokryzji obowiązku. Szalona!... A jednak już od dawna odgadłam, że ci się sprzykrzyłam. Znałam cię tak dobrze! Twoje serce było dla mnie jak otwarta książka, w której czytałam najtajniejsze myśli. Wtedy mogłam cię jeszcze zatrzymać przy sobie. Trzeba było stać się pokorną, uprzedzającą, uległą... Zamiast tego chciałam cię utrzymać siłą przewagi...

Głos jej się załamał, potem znów odezwała się nagle:

— A ty, czy przynajmniej jesteś szczęśliwy?

— Nie mogę być zupełnie szczęśliwy wiedząc, że pani jesteś nieszczęśliwa — odrzekłem. — Ale nie ma bóleści, której by czas nie ukoił. Pani zapomni...

— Nigdy! — zawołała. Zniżywszy głos mówiła dalej:

— Czyż mogę zapomnieć, kiedy bezustannie twój wzrok spotykam w oczach mojej młodszej córki! Pan de Claudieuse kocha ją bardziej niż starszą... Czy pojmujesz, co cierpię, gdy on ją trzyma na kolanach, gdy ją pieści i całuje... Czy rozumiesz, jaki gwałt muszę sobie zadawać, żeby mu jej nie Wydrzeć i nie krzyknąć: czyż ty nie widzisz, że ona nie twoja!... Boże! Zbrodnia wielka, ale jakaż kara!

Widać było z daleka ludzi idących drogą.

— Opamiętaj się, pani — rzekłem.

Ona zapanowała nad wzruszeniem. Ludzie przeszli, ukłoniwszy się grzecznie. Ona zapytała po chwili:

— Kiedyż ślub?

Zadrżałem. Ona sama naprowadzała mnie na drogę ku ostatecznej rozmowie.

— Jeszcze dzień nie oznaczony — rzekłem. — Przecież musiałem się wprzód widzieć z panią. Pani zagroziłaś mi kiedyś...

— I bałeś się...

— Nie. Zdawało mi się, że panią znam na tyle, iż mogę być pewny, że mnie nie zechcesz karać jak za zbrodnię za to, że cię kochałem. Tyle wypadków zaszło od owego dnia, w którym mi pani rzuciłaś owe pogrożki.

— Rzeczywiście, dużo wypadków — przerwała mi. — Mój biedny ojciec jest nieprawny. Jeszcze raz zaawanturował się nierozważnie i mąż mój powtórnie musiał poświęcić znaczna sumę na jego ocalenie. Ach, pan de Claudieuse to człowiek szlachetny i wielka szkoda, że tylko wobec mnie okazał brak wspaniałomyślności. Każde z tych dobrodziejstw, którymi mnie obsypuje, którymi mnie przygniata, jest dla mnie nową obelgą, ale przyjmując je straciłam prawo zadania mu ciosu straszniejszego niż cios śmiertelny. Jakubie, możesz zaślubić Dionizę, nie potrzebujesz się niczego obawiać z mojej strony...

W upojeniu radości, chwyciłem jej rękę i przyciskając ją do ust, zawołałem:

— Jesteś najlepszą z przyjaciółek!

Ale ona, jakby ją dotknięcie moich ust sparzyło, cofnęła rękę.

— Bez tego wszystkiego — rzekła blednąc. I z trudnością hamując wzruszenie, dodała:

— Jednak musimy się jeszcze raz zobaczyć. Masz moje listy, prawda?

— Mam wszystkie.

— Więc musisz mi je odnieść. Ale gdzie i jak? W tej chwili trudno mi jest oddalać się z domu; młodsza córka... nasza córka, Jakubie, jest chora. Jednak trzeba to raz skończyć... Słuchaj masz czas w czwartek? Masz... A więc w czwartek wieczór, około dziewiątej bądź w Valpinson. Znajdziesz mnie przy wejściu do lasu, niedaleko tych starych wież dawnego zamku, które mój mąż kazał odrestaurować.

— Nie będzie to zbyt nieostrożne? — zapytałem.

— Czyż kiedykolwiek zdawałam coś na los szczęścia — odrzekła mi na to — i dziś miałabym zapomnieć o ostrożności! Możesz mi zaufać. No, trzeba nam się rozstać, Jakubie... Do czwartku więc, przyjdź punktualnie.

Sądziłem, że jestem wolny i przebaczałem pani de Claudieuse wszystkie niepokoje, które mnie trapiły od roku. Co mówię! Sam siebie zaczynałem oskarżać o niesprawiedliwość i okrucieństwo. Podziwiałem w niej to, że się chce poświęcić dla mojego szczęścia.

Teraz już nie musiałem się zwierzać panu de Chandore; mogłem wrócić do Boiscoran.

Ale moja radość trwała niedługo.

Gdy się lepiej zastanowiłem, zaczęła mnie dziwić ta schadzka, którą mi naznaczyła pani de Claudieuse.

— Czyżby to była pułapka? — myślałem sobie, w miarę jak się zbliżał oznaczony dzień.

Przez cały czwartek nie mogłem się opędzić smutnym przecuciom. Gdybym był wynalazł sposób powiadomienia hrabiny, byłbym z pewnością nie poszedł na tę schadzke. Ale nie mogłem go znaleźć. A znałem ją dobrze i wiedziałem, że nie dotrzymać jej słowa, byłoby tyle, co wszystko popsuć.

Zjadłem obiad o zwykłej godzinie, a wstawszy od stołu poszedłem do swego gabinetu, gdzie napisałem do Dionizy, aby nie czekała na mnie wieczór, gdyż mam do załatwienia pewien interes najwyższej wagi.

Oddałem list ten synowi mego gumienego, Michałowi, zalecając mu, aby go odniósł nie tracąc ani chwili.

Potem zebrałem wszystkie listy pani de Claudieuse w jedną paczkę i włożyłem je do kieszeni. Wziąłem strzelbę i wyszedłem.

Mogła być ósma godzina. Było jeszcze widno...

Nie wchodząc w to, czy pan Magloire wierzył opowiadaniu oskarżonego, czy nie, widać było, że go zajmuje do najwyższego stopnia.

— W każdym innym razie — mówił tymczasem Jakub — byłbym szedł do Valpinson jedną z dróg zwyczajnych. Trawiony jednak wewnętrzną trwogą, myślałem tylko o tym, jak by się ukryć i puściłem się przez bagna. Były one w części zalane, wiedziałem o tym, ale liczyłem na swoją zręczność i doskonałą znajomość miejscowości. Myślałem, że idąc tamtędy nie będę widziany przez nikogo i nikogo nie spotkam. Omyliłem się. Przyszedłszy pod Seille, spotkałem się oko w oko z młodym Ribotem.

Zdawał się być tak zdziwiony, widząc mnie w tym miejscu, że uznałem za stosowne wytłumaczyć mu powód mojej tam bytności, a w zmieszaniu, które mnie opanowało, sam prawie nie wiedząc, co mówię, powiedziałem mu, że mam interes do Brechy i że idę przez bagna, żeby ustrzelić trochę wodnego ptactwa.

— Jeżeli tak — odrzekł mi na to ze śmiechem — to każdy z nas poluje na inną zwierzyne.

Posyłając Ribota do wszystkich diabłów, puściłem się w dalszą drogę, która stawała się coraz trudniejsza.

Musiało być dawno po dziesiątej, kiedy przyszedłem w okolice Valpinson. Noc była bardzo widna. Podwoiłem więc ostrożność.

Miejsce wybrane przez hrabinę oddalone było o przeszło dwieście metrów od mieszkania i folwarku, zasłonięte gumnem i niedalekie od lasu.

Ja podchodziłem lasem.

Zakryty drzewami, rozejrzałem się i niebawem spostrzegłem panią de Claudieuse stojącą niedaleko jednej ze starych wież. Ubrana była w szlafroczek z jasnego muślinu, który było widać z daleka.

Nie widząc nic podejrzanego poszedłem ku niej, a ona ujrawszy mnie zawołała:

— Już blisko godzinę czekam na ciebie!

Wytłumaczyłem jej, jakie przeszkody spotkałem po drodze, a potem zapytałem:

— A gdzie pani mąż?

— Cierpi na reumatyzm; leży w łóżku — odrzekła.

— Nie zdziwi go pani nieobecność?

— Nie. Wie, że muszę czuwać przy młodszej córce... Wyszłam bocznymi drzwiami przez pralnię.

I nie dając mi dojść do słowa zapytała:

— Ale gdzie są moje listy?

— Oto są — rzekłem podając jej paczkę.

Pochwyliła je gorączkowo, mówiąc półgłosem:

— Było ich osiemdziesiąt cztery.

I nie zważając, jaką mi obelgę tym czyni, poczęła je liczyć.

— Są wszystkie — rzekła skończywszy.

I wydobywszy jakiś pakiet zza sukni, dodała:

— A to są twoje.

Ale mi ich nie dała.

— Spalimy je — rzekła.

Zadrżałem ze zdziwienia.

— Co pani mówisz! — zawołałem. — Tutaj, o tej godzinie? Płomień może ściągnąć uwagę.

— Czyją? Czego się boisz? Zresztą wejdziemy do lasu. No, dawaj zapalki.

Obszukałem po wszystkich kieszeniach, ale nadaremnie.

— Nie mam zapalek — odrzekłem.

— Jak to, ty, taki palacz, co nawet przy mnie nie mogłeś się obejść bez cygara...

— Zapomniałem pudełeczka wczoraj u pana de Chandore.

Ona tupnęła gniewnie nogą.

— Kiedy tak, to muszę pójść po zapalki.

Z tego wynikłaby wielka zwłoka i nowa nieostrożność. Zrozumiawszy, że trzeba robić, co ona chce, rzekłem:

— Nie trzeba, poczekaj pani...

Myśliwi znają sposób zastąpienia zapalek. Użyłem go. Wyjąwszy ze strzelby jeden nabój wyjąłem z niego śrut, który zastąpiłem kawałkiem papieru. Następnie, oparłszy lufę o ziemię dla stłumienia wystrzału, zapaliłem proch...

Mieliśmy tedy ogień, który przytknąłem do listów...

I w parę minut potem zostały tylko poczerniałe szczątki, które zmiałem w rękach i rzuciłem na wiatr.

Pani de Claudieuse, nieruchoma jak posąg, patrzyła na mnie, gdym to robił.

— Oto — szepnęła — co zostało z pięciu lat naszego życia, naszej miłości i twoich przysięg! Popioły!...

Ja odpowiedziałem na to jedynie niewyraźnym gestem. Spieszno mi było odejść. Ona zrozumiała to i zawołała gwałtownie:

— Więc aż wstręt budzę w tobie!

— Nie — odpowiedziałem — ale tutaj narażamy się na wielkie niebezpieczeństwo.

Ona odparła głucho:

— Ech! Co mi to szkodzi!... Ciebie czeka szczęście i nowe życie pełne upajających obietnic; jest więc naturalne, że się boisz... Moje życie skończyło się, nie mam już na co czekać, ja się nie boję.

Czułem, że jej gniew się wzmacnia.

— Czy żałujesz swojej wspaniałomyślności, Genowefo? — zapytałem łagodnie.

— Może — odrzekła tonem, na który zadrzałem. — Byłam słaba i nikczemna. Jak ty musiałeś się śmiać ze mnie!... Jakaż to podła rzecz, kobieta opuszczona, która zgadza się ze swoim losem i płacze!

Potem rzekła nagle:

— Przyznaj się, żeś mnie nigdy nie kochał!

— Wiesz przecież, że tak nie jest!

— A jednak mnie porzucasz... dla innej... dla tej Dionizy...

— Ty masz przecież męża, nie mogłaś być moja.

— A więc gdybym była... wolna... gdybym była... wdową.

— Byłabyś została moją żoną, wiesz o tym...

Ona szalonym ruchem wzniosła ręce ku niebu i głosem, który, jak mi się zdało, musiało być słycać aż w zamku, zawołała:

— Jego żoną!... Gdybym była wdową, byłabym została jego żoną! O Boże!... Szczęście, że ta okropna myśl nie przyszła mi wcześniej!

Na te słowa adwokat zerwał się i stając przed Jakubem i obejmując go jednym z tych spojrzeń, które usiłują sięgnąć aż do głębi sumienia, zapytał się:

— I cóż dalej?

Jakub potrzebował całej siły woli, żeby zachować choć pozory zimnej krwi.

— Potem — rzekł — starałem się uspokoić panią de Claudieuse, usposobić ją przyjaźniej do mnie. Nie wiedziałem, co się dzieje we mnie. Nienawidziłem jej śmiertelną nienawiścią, a jednak nie mogłem jej nie żałować. Jestem mężczyzną, a nie masz mężczyzny, który by się nie czuł wzruszony, widząc się przedmiotem takiego żalu i takiej strasznej rozpacz... Alboż ja wiem, com jej mówił! Chodziło tam o szczęście moje i Dionizy... Ja nie jestem wcale bohaterem romansu... Upadlałem się, uniżałem, błagałem, kłamałem. Przysięgałem, że to głównie moja rodzina pragnie tego małżeństwa. Zdawało mi się, że pieśczośliwymi słowami osłodzę jej gorycz opuszczenia.

Ona słuchała mnie zimna jak bryła lodu, a gdym przestał, rzekła z dziwnym uśmiechem:

— Po co mi mówisz to wszystko! Ach, ta twoja Dioniza!... Gdybym była taką kobietą jak inne, milczałabym dzisiaj, a zanim by minął rok, ujrzałabym cię znów u moich nóg.

Czy zmieniła zdanie po naszym ostatnim spotkaniu na gościńcu? Czy to był poryw namiętności w chwili, gdy się rwały nasze ostatnie węzy?... Chciałem jeszcze coś mówić, ale ona przerwała mi gwałtownie:

— Dosyć tego! Oszczędź mi przynajmniej tej obrazy, żebyś się miał nade mną litować. Zobaczę... nie obiecuję ci nic... Bądź zdrów!

I uciekła ku zamkowi, a ja pozostałem nieruchomy, osłupiały, myśląc sobie, że ona może pobiegnęła wyznać wszystko panu de Claudieuse'owi.

Wtedy to machinalnie wyrzuciłem ze strzelby spalony ładunek, a założyłem nowy...

A ponieważ dokoła było cicho, odszedłem spiesznie.

— Która była wtedy godzina? — zapytał pan Magloire.

— Nie mogę powiedzieć dokładnie. Są cierpienia, wśród których człowiek traci zupełnie poczucie czasu. Z powrotem poszedłem przez las Rochepommier. ..

— I nic nie widziałeś?

— Nic.

— Nic nie słyszałeś?

— Nic.

— A jednak, sądząc z twoich słów nie mogłeś być daleko od Valpinson, kiedy wybuchł pożar...

— To prawda i w szczerym polu byłbym pewnie spostrzegł płomienie. Ale szedłem lasem i drzewa zasłaniały mi widnokrąg...

— I te same drzewa nie pozwoliły ci także słyszeć dwóch wystrzałów danych do pana de Claudieuse'a?

— Mogły się do tego przyczynić. Ale i tego nie było potrzeba. Szedłem pod wiatr, który już wtedy wzmógł się gwałtownie, a w takich warunkach o pięćdziesiąt metrów nie słychać wystrzału ze strzelby myśliwskiej...

Pan Magloire z trudnością hamował wybuch niecierpliwości. I nie zważając na to, że on, adwokat, okazuje się twardszy od samego sędziego śledczego, odezwał się:

— Więc ty sądzisz, że twoje opowiadanie wyjaśnia wszystko?

— Sądzę, że moje opowiadanie, które jest wyrazem najszczerzej prawdy, tłumaczy wszelkie zarzuty czynione mi przez pana Galpin-Daveline'a... Tłumaczy, dlaczego zależało mi na tym, aby ukryć moją bytność w Valpinson; dlaczego spotkano mnie w drodze w obie strony i to w czasie odpowiadającym chwili pożaru i dlaczego wreszcie od pierwszej chwili postanowiłem wszystkiemu przeczyć... Tłumaczy dalej, jakim sposobem łuska z jednego z moich naboju znalazła się niedaleko ruin i dlaczego woda, w której myłem się wróciwszy do domu, była czarna.

Zdawało się, że nic nie jest w stanie zachwiać przekonania sauveterskiego adwokata.

— A nazajutrz — zapytał się — kiedy przyjechano aresztować cię, jakie było twoje pierwsze wrażenie?

— Przyszło mi na myśl Valpinson...

— A kiedy ci powiedziano, jaka zbrodnia została popełniona?

— Pomyślałem sobie, że pani de Claudieuse chciała zostać wdową.

Wszystka krew uderzyła panu Magloire'owi do twarzy...

— Człowieku — zawołał — ty śmiesz oskarżać panią de Claudieuse o taką zbrodnię!

Gniew wrócił Jakubowi siły.

— A kogóż mam oskarżać! — zawołał. — Popełniono zbrodnię i to tak, że mogło ją popełnić jedno z nas. Ja jestem niewinny, więc ona musi być winna.

— Dlaczego nie powiedziałeś tego wszystkiego zaraz pierwszego dnia?

Jakub wzruszył ramionami.

— Ileż razy — odrzekł tonem gorzkiej ironii — będę ci powtarzał i tłumaczył moje powody?... Pierwszego dnia milczałem dlatego, że nie znałem okoliczności towarzyszących zbrodni; dlatego, że czułem wstręt do oskarżenia kobiety, która była moją kochanką i którą namiętność uczyniła zbrodniarką; dlatego wreszcie, że choć czułem się skompromitowany,

nie myślałem, żeby mi groziło jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Później milczałem dlatego, że spodziewałem się, iż sąd wykryje prawdę, albo że pani de Claudieuse nie zdoła znieść myśli, iż jestem niewinnie oskarżony. Później nareszcie, kiedy poznałem niebezpieczeństwo, zląkłem się prawdy...

Adwokat zdawał się być oburzony.

— Kłamiesz, Jakubie — zawołał — i ja ci powiem, dlaczego milczałeś... Dlatego, że trudno było wymyślić romans, który by odpowiadał wszystkim okolicznościom towarzyszącym oskarżeniu. Ale ty umiesz sobie radzić... szukałeś i znalazłeś. Nic nie brakuje twemu opowiadaniu, nic, prócz prawdopodobieństwa. Gdybyś mi powiedział, że pani de Claudieuse narażała na kompromitację swoją nieposzlakowaną opinię będąc przez pięć lat twoją kochanką, może jeszcze uwierzyłbym ci. Ale żeby miała własną ręką podpalić swój dom i uzbroić się w strzelbę, żeby strzelać do swego męża, tego nigdy we mnie nie> wmówisz!

— A jednak to jest prawda.

— Nie, gdyż zeznanie pana de Claudieuse'a jest bardzo dokładne; on widział swego mordercę, to mężczyzna strzelał do niego...

— A kto ci powiedział, że pan de Claudieuse nie wie o wszystkim i że nie chce ocalić żony a mnie zgubić? To byłaby zemsta i nic więcej...

Zarzut ten zastanowił na chwilę adwokata, ale odtrącając go niebawem zawołał:

— Ach, milcz, albo dowiedz...

— Wszystkie listy są spalone.

— Kiedy ktoś był przez pięć lat kochankiem jednej kobiety, zawsze znajdzie jakieś dowody.

— Widzisz właśnie, że nie.

— Nie upieraj się daremnie! — zawołał znów pan Magloire. I dodał głosem zmienionym od wzruszenia i politowania:

— Nieszczęśliwy! Czyż nie pojmujesz tego, że chcąc uniknąć kary za zbrodnię, popełniasz zbrodnię tysiąc razy większą?

Jakub załamał ręce.

— Ach, przyjdzie oszaleć! — zawołał.

— A chociaż bym ci ja, twój przyjaciel, uwierzył — mówił dalej pan Magloire — to na co ci się to przyda? Czy inni ci uwierzą? Słuchaj, powiem ci, co myślę: chociaż byłbym najzupełniej pewny prawdziwości twego opowiadania, nigdy nie wziąłbym go za podstawę do obrony. Bronić cię w ten sposób, to byłoby zgubić cię...

— A jednak obrona musi się na tym oprzeć, gdyż to jest prawda...

— W takim razie — rzekł pan Magloire — poszukaj sobie innego obrońcy...

I szedł ku drzwiom, chcąc odejść.

— Boże wielki! — zawołał Jakub z rozpaczą. — On mnie opuszcza!

— Nie — odrzekł adwokat — ale nie mogę rozmawiać z tobą na serio, gdy jesteś w stanie takiej egzaltacji. Zastanów się... przyjdę jutro...

I wyszedł, a Jakub de Boiscoran opadł bezwładnie na jedno z więziennych krzeseł.

— Stało się! — zawołał. — Jestem zgubiony!

Przez ten czas na ulicy de la Rampe panował okropny niepokój.

Już o ósmej rano ciotki Lavarande, margrabina de Boiscoran, pan de Chandore i pan Folgat oczekiwali w salonie na rezultat odwiedzin pana Magloire'a. Panna Dioniza zeszła później, a dziadek spostrzegł, że była w strojnniejszej toalecie niż zwykle.

Była bowiem głęboko przekonana, że jedno słowo Jakuba powiedziane adwokatowi zwali całe oskarżenie i że pan Magloire w tryumfie przyprowadzi go pod rękę.

Inni nie podzielali tych nadziei.

Ciotki Lavarande, zółciejsze od własnych koronek, siedziały nieruchome w kącie, pani de Boiscoran połykała łzy, a pan Folgat udawał, że jest zatopiony w oglądaniu jakiegoś zbiorku rycin.

Nie umiejący tak panować nad sobą dziadek Chandore chodził po salonie wielkimi krokami i co dziesięć minut powtarzał:

— Dziwna rzecz, jak czas się dłuży, kiedy człowiek na coś czeka.

O dziesiątej godzinie jeszcze niczego się nie dowiedziano. Przyszedł tylko zacny pan Seneschal, aby zapytać o nowiny.

Wybiła jedenasta. Margrabina de Boiscoran podniosła się z krzesła

— Dłużej ani chwili nie zdołam znieść tej niepewności — rzekła — idę do więzienia.

— Pójdę z tobą, kochana mamó — odezwała się panna Dioniza.

Ale podobny krok był nierozsądkiem; pan de Chandore sprzeciwił mu się popierany przez pana Seneschala i pana Folgata.

— Można by przynajmniej kogoś posłać — zaproponowały nieśmiało ciotki Lavarande.

— To dobra myśl — rzekł pan Chandore.

Zadzwoił i wkrótce ukazał się stary Antoni, który poprzedniego dnia, dowiedziawszy się o ukończeniu śledztwa, przybył do Sauveterre.

Gdy mu wytłumaczono, o co chodzi, rzekł:

— Najdalej za pół godziny będę z powrotem.

Dozorca Blanguin, dowiedziawszy się od Antoniego, o co chodzi, odpowiedział jak najuprzejmiej:

— Pan Magloire był tutaj już o godzinie dziewiątej. Zaprowadziłem go natychmiast do pokoju pana de Boiscorana i od tej chwili rozmawiają obaj i rozmawiają...

— Jesteś pan tego pewny?

— Naturalnie! Przecież muszę wiedzieć, co się dzieje w moim więzieniu! Chciałem nawet trochę podsłuchać, ale z korytarza nic nie słyhać. Okienko zamknęli, a drzwi są grube...

— To dziwne! — mruknął stary sługa.

— To zły znak, mówię panu — rzekł dozorca z miną znaczącą. — Wiem z doświadczenia, że oskarżeni, którzy mają tyle do opowiadania swojemu obrońcy, dostają zwykle najcięższe wyroki...

Antoni naturalnie nie powtórzył państwu złowrogiej uwagi Blanguina, ale już to, że nie powiedział, jak długo trwa rozmowa, wystarczyło do obudzenia niepokoju.

Powoli rumieniec zaczął znikać z twarzy panny Dionizy i głosem, którego czysty dźwięk mąciły łzy, rzekła, iż lepiej byłaby zrobiła, gdyby się była ubrała w żałobę i że takie zebranie całej rodziny wygląda zupełnie na ceremonię pogrzebową...

Niespodziane przybycie doktora Seignebosa przerwało jej dalszą mowę.

— Cóż to za głupie miasto ten Sauveterre! — zawołał. — Miasto plotek i komentarzy, miasto ciekawskich i papli. Przez drogę tutaj przynajmniej ze dwudziestu ciekawych zatrzymało mnie, żeby się mnie zapytać, jak stoją sprawy Jakuba de Boiscorana. Bo całe miasto jest w ruchu... Miasto wie, że pan Magloire jest w więzieniu i każdy chce wiedzieć pierwszy, co Jakub i on ze sobą mówili...

Położył na stole swój kapelusz i patrząc dokoła niespokojnie zapytał:

— A tutaj nic jeszcze nie wiadomo?

— Nic — odpowiedzieli jednocześnie pan Seneschal i pan Folgat.

— I ta zwłoka nas przeraża — odezwała się panna Dioniza.

— Dlaczego? — zapytał doktor, zdejmując i gwałtownie wycierając złote okulary.

— Czy kochana pani myślałaś — rzekł — że sprawa pana Jakuba skończy się w pięć minut? Powiem pani szczerze, co myślę... W głębi tych wypadków zaszłych w Valpinson tkwi jakaś brudna intryga, którą trudno będzie rozwikłać. My z pewnością wyratujemy Jakuba z tej historii, ale obawiam się, że nie obejdzie się bez trudności.

— Pan Magloire Mergis! — oznajmił stary Antoni.

Znakomity adwokat sauveterski wszedł.

Był tak zmęczony, a jego twarz miała na sobie tak głębokie ślady wzruszenia, że wszyscy od razu wpadli na tę samą okropną myśl, którą wypowiedziała panna Dioniza:

— Jakub zgubiony!

Pan Magloire nie odpowiedział: nie. Rzekł tylko:

— Moim zdaniem jego położenie jest niebezpieczne.

— Jakub! Mój syn! — szepnęła pani de Boiscoran.

— Powiedziałem niebezpieczne — ciągnął adwokat — ale powinienem był powiedzieć: niepojęte i takie, że przechodzi wszelkie wyobrażenie...

— Mów pan — rzekła pani de Boiscoran.

Zakłopotanie adwokata było wielkie i prawie z rozpaczą patrzył to na ciotki Lavarande, to na pannę Dionizę.

Lecz nikt na to nie zważał. Widząc to, rzekł:

— Chciałbym pomówić z samymi panami.

Ciotki Lavarande powstały i wyprowadziły ze sobą panią de Boiscoran i narzeczoną Jakuba, prawie omdlewającą.

— Dziękuję ci, panie Magloire — rzekł dziadek Chandore zbolalym głosem — dziękuję ci, że mi dajesz czas do przygotowania mego dziecka do tego strasznego ciosu... bo ja zrozumiałem pana doskonale, Jakub jest winowajcą...

— Za pozwoleniem — przerwał adwokat — ja nic takiego nie powiedziałem. Pan de Boiscoran z większą niż kiedykolwiek stanowczością twierdzi, że jest niewinny; tylko na usprawiedliwienie swoje przytacza fakt tak nieprawdopodobny, tak trudny do uwierzenia...

— Ale koniec końców cóż on mówi? — zapytał pan Seneschal.

— Powiada, że hrabina de Claudieuse była... jego kochanką.

Doktor Seignebos podskoczył i poprawiając okulary zawołał z tryumfującym gestem:

— Byłem tego peWny! Domyśliłem się tego.

Pan Folgat rozumiał dobrze, że w tej sytuacji nie może mieć głosu rozstrzygającego.

Przybył świeżo z Paryża i mimo wszystkiego, co słyszał dotąd, nazwisko hrabiny de Claudieuse nic mu nie wyjaśniało. Ale z wrażenia, jakie zrobiło na innych, mógł wnosić o doniosłości oświadczenia Jakuba.

Pan de Chandore i pan Seneschal zdawali się być równie oburzeni, jak pan Magloire.

— To nie do wiary! — zawołał jeden.

— To niemożliwe! — zawtórował drugi.

Pan Magloire pokiwał głową.

— Ja też właśnie to samo powiedziałem Jakubowi.

Ale doktor nie należał do tych ludzi, którzy się peszą tym, że nie są tego zdania, co wszyscy.

— Panowie chyba nie słyszeli albo nie zrozumieli, co ja mówię! — zawołał.

— Najlepszym dowodem, że ten fakt nie jest nieprawdopodobny ani niemożliwy jest to, że ja go się domyślałem. Na cóż by chłopiec taki jak Jakub, szczęśliwy jak mało kto, bogaty, przystojny, rozkochany i kochany przez cudną panienkę miał się bawić w podpalacza i mordercę! Powiecie panowie, że nie miał sympatii dla pana de Claudieuse... Ależ do diabła, gdyby wszyscy, co nie cierpią doktora Seignebosa, zaczęli strzelać do mnie, miałbym ciało bardziej podziurawione niż gąbka! Z wszystkich was tutaj jeden tylko pan Folgat nie ma bielma na oczach.

Młody adwokat, ze skromnością chciał protestować.

— Ależ panie...

Ale doktor nie dał mu dokończyć.

— Tak jest, mój panie, pan widziałeś rzeczy jasno i zaraz szukałeś przyczyny, myśli, pobudki, kobiety nareszcie, w całej tej zagadce. Wypytywałeś Antoniego, pana de Chandore, pana Seneschala, mnie, czy Jakub nie miał w okolicy jakiejś miłostki. Wszyscy odpowiedzieli panu nie, nie domyślając się prawdy. Ja jeden tylko, nie odpowiedziawszy kategorycznie, dałem panu do zrozumienia, że podzielam pana pogląd.

— Istotnie! — potwierdzili pan de Chandore i pan Folgat.

Doktor tryumfował.

— Nauczyłem się nie ufać pozorom, a od pierwszej chwili powziąłem dziwne podejrzenia. Obserwując zachowanie się pani de Claudieuse owej fatalnej nocy, uznałem, że jest jakieś zakłopotane, dwuznaczne, podejrzan. Dziwiła mnie grzeczność, z jaką poddawała się wszystkim fantazjom pana Galpina i łatwość, z jaką zgodziła się na indagowanie Cocaleugo. Bo koniec końców ona jedna tylko wydobyła zeznanie z tego rzekomego idioty. Ja mam dobre oczy, moi panowie, choć pod okularami. Otóż na wszystko, co mam najświętszego, na moją wiarę republikańską gotów jestem przysiąc, że kiedy Cocaleu wymówił nazwisko pana de Boiscorana, ona zupełnie nie była zdziwiona...

— Ja byłem obecny badaniu Cocaleugo — odezwał się pan Seneschal

— i wprost przeciwnie, widziałem osłupienie hrabiny...

Doktor wzruszył ramionami.

— No, naturalnie — rzekł — zawołała: Ach! Ale cóż łatwiejszego! To nie stanowi dowodu. Tak jest, twarz pani de Claudieuse okazywała osłupienie, ale jej oczy zdradzały zawzięty gniew, nienawiść i mściwą radość!... Nie koniec na tym! Niech mi pan mer powie z łaski swojej, gdzie była pani de Claudieuse, kiedy jej męża zbudziły płomienie? Gdzie była przy nim? Nie. Czuwała przy młodszej córce, która miała odrę! Hm! Co panowie myślicie o tej odrze, która wymagała takiego pilnowania w nocy? Będąc tedy przy córce, po drugiej stronie domu i to właśnie po stronie przeciwnej tej, z której wybuchł pożar...

— Muszę zwrócić pańską uwagę na to — odezwał się mer — iż pan de Claudieuse sam zeznał, że pobiegłszy do ognia, znalazł drzwi od domu zamknięte z wewnątrz tak, jak je sam własną ręką zamknął przed kilku godzinami!

— Alboż to jedne tylko drzwi w całym zamku Valpinson? — zapytał ironicznie doktor.

— Muszę powiedzieć — dodał pan Magloire — że wedle słów Jakuba, pani de Claudieuse idąc do niego owej nocy wyszła drzwiami od pralni...

— A co! Nie mówiłem! — zawołał doktor. — A dzieci! Czy panu merowi wydaje się to naturalne, żeby pani de Claudieuse, ta wedle niego nieporównana matka, mogła zapomnieć o swoich dzieciach pośród płomieni?

— Jak to! Ta nieszczęśliwa kobieta wybiega na odgłos dwóch wystrzałów, widzi dom w płomieniach, potyka się o bezwładne ciało swego męża, a pan jej zarzucasz, że straciła przytomność!

— To panu tak się wydaje, ale mnie zupełnie inaczej. Sądzę raczej, że hrabina spóźniwszy się została zatrzymana w powrocie przez pożar... Zdaje mi się także, że Cocoleu znalazł się tam bardzo w porę i nader szczęśliwym trafem. Opatrzność oświeciła jego pusty mózg szczytną myślą uratowania dzieci z narażeniem własnego życia.

Pan Seneschal tym razem nic nie odpowiedział.

— Poparte tymi wszystkimi okolicznościami moje podejrzenia — mówił dalej doktor — stały się tak silne, iż postanowiłem je sprawdzić. Jakoż zaraz nazajutrz pytałem panią de Claudieuse i to nawet podstępnie, mogę to przyznać. Jej odpowiedzi i całe zachowanie nie osłabiły bynajmniej moich wrażeń. Kiedym się jej zapytał, ostro patrząc jej w oczy, co sądzi o stanie umysłowym Cocoleugo, o mało nie zemdląła i głosem ledwie zrozumiałym wyznała mi, że dopatrzyła w nim pewnych przeblysków rozumu. Kiedym chciał wiedzieć, czy Cocoleu był do niej przywiązany, odrzekła z drzeniem, nad którym nie mogła zapanować, iż było to przywiązanie zwierzęcia, wdzięcznego za staranie, jakim się je otacza. Cóż panowie o tym sądzicie? Co do mnie, pomyślałem sobie, że Cocoleu jest węzłem intrygi, że on zna prawdę i że ocaliłbym Jakuba, gdybym zdołał dowieść, że głupowatość Cocoleugo jest w części udana i że jego milczenie jest wybiegiem ze strachu! I byłbym tego dowiódł niezawodnie, gdyby mi dodano innych pomocników, nie tego osła departamentowego i tego paryskiego trefniasia...

Tu zatrzymał się z dziesięć sekund.

— Teraz — rzekł — powróćmy do punktu wyjścia i wyciągnijmy ostateczne wnioski. Dlaczego pana zdaniem jest niemożliwe i nieprawdopodobne, aby pani de Claudieuse zdradziła swoje obowiązki? Dlatego, że ma ustaloną reputację co do skromności i cnoty. Ależ zdaje mi się, że reputacja Jakuba de Boiscorana jako człowieka honoru była niemniej ustalona. Według pana jest niedorzecznością posądzać panią de Claudieuse o to, że miała kochanka. A czyż byłoby naturalne przypuścić, że Jakub przez jedną noc został zbrodniarzem, wyrzutkiem społeczeństwa?

— To zupełnie co innego! — rzekł pan Seneschal.

— Zapewne! — zawołał doktor. — I tym razem, panie merze, masz pan rację. Zbrodnia w Valpinson, gdyby była popełniona przez pana de Boiscorana, byłaby jednym z tych bezmyślnych czynów, ha które oburza się zdrowy rozsądek. Popełniona zaś przez hrabinę, jest tylko fatalnym rozwiązaniem sytuacji stworzonej przez pana de Claudieuse'a w dniu, w którym poślubił kobietę młodszą od siebie o trzydzieści lat.

Doktor powiedział tyle i w tak nowym świetle przedstawił całe położenie, że dał do myślenia swoim słuchaczom.

— Byłbyś mnie pan nawrócił, doktorze — odezwał się pan Folgat — gdybym nie był już wprzód nawrócony.

— To prawda — rzekł pan de Chandore — że po wysłuchaniu doktora ten fakt nie wydaje się wcale nieprawdopodobny.

Tylko pan Magloire był niezachwiany.

— Ja zaś — odezwał się — przypuszczam raczej chwilę obłędu, aniżeli całe lata potwornej hipokryzji. Jakub mógł popełnić zbrodnię, a mimo tego być tylko szaleńcem. Gdyby zaś pani de Claudieuse była tutaj zbrodniarką, trzeba by zwątpić w ludzkość i w nic już nie wierzyć na świecie. Ja widziałem ją, moi panowie, przy mężu i dzieciach. Niepodobna ująć takiej czułości w spojrzeniu, z jaką ona na nich patrzała...

— Z nim nikt nie poradzi! — przerwał mu doktor Seignebos.

I klepiąc po ramieniu swego przyjaciela, bo pan Magloire był od wielu lat jego przyjacielem, mówił:

— To do ciebie podobne, że sądząc drugich wedle siebie, nie chcesz wierzyć w istnienie złego. Nie przecz temu daremnie, bo my właśnie za to kochamy cię i podziwiamy. Ale prawdę mówiąc, ty zupełnie nie jesteś stworzony, żeby dochodzić wątki takich podłych intryg. W dwudziestym ósmym roku życia zaślubiłeś młodą dziewczynę, którą ubóstwiałeś; spotkało cię nieszczęście, żeś ją utracił i odtąd, wierny jej pamięci, żyłeś tak z dala od namiętności, że już nie wiesz nawet, czy one istnieją. Szczęśliwy człowieku, którego serce ma dwadzieścia lat i który, choć ci włosy pobielały, wierzysz jeszcze w uśmiechy i spojrzenia kobiet!

Dużo było w tym prawdy, ale są pewne prawdy, których niemiło słuchać.

— Moja naiwność nie ma nic do rzeczy — odrzekł Magloire. — Ja twierdzę, że niepodobna, aby mężczyzna, który przez pięć lat był kochankiem jakiejś kobiety, nie mógł okazać na to żadnego dowodu...

— Otóż właśnie mylisz się, kochany — odparł doktor, poprawiając okulary, z komiczną werwą.

— Zresztą to widoczne — dodał pan Folgat — że pani de Claudieuse nigdy nie byłaby się posunęła do tak strasznej zbrodni, gdyby nie była pewna, że po spaleniu listów żaden dowód przeciw niej nie istnieje...

— Tak, tak, tak! — zawołał doktor Seignebos.

Pan Magloire nie ukrywał zniecierpliwienia.

— Na nieszczęście, moi panowie — rzekł suchym tonem — uwolnienie lub potępienie Jakuba nie zależy od was. Ja nie przyszedłem tutaj ani po to, żeby was przekonywać, ani żeby sam zostać przekonany. Przybyłem tu, żeby z przyjaciółmi pana de Boisacorana porozumieć się co do dalszego postępowania i żeby ułożyć podstawy obrony.

Magloire był oczywiście panem sytuacji.

Usiadł plecami do kominka, a gdy pozostali usiedli naprzeciw niego, rzekł:

— Dajmy na to, że twierdzenia pana de Boiscorana są prawdziwe i że jest niewinny. Był kochankiem pani de Claudieuse, ale nie ma na to dowodów. Wobec takiego przypuszczenia co tu począć? Czy mam mu radzić, aby zavezwał sędziego i opowiedział mu to wszystko?

Zrazu nikt na to nie odpowiedział.

Dopiero po dość długim milczeniu doktor bąknął:

— To byłoby trochę ryzykownie.

— I bardzo ryzykownie — potwierdził adwokat sauveterski. — Sądząc z własnych wrażeń, możemy sobie wystawić, jakie by to zrobiło wrażenie na panu Galpin-Daveline. Przede wszystkim zażądałby dowodów, zeznania świadka, jakiegokolwiek poszlaki. A gdyby mu na to Jakub powiedział, że oprócz własnego słowa nic mu dać nie może, powiedziałby mu wprost, że kłamie...

— Zdecydowałby się może na uzupełnienie śledztwa — odezwał się pan Seneschal. — Zavezwałby prawdopodobnie panią de Claudieuse...

Pan Magloire potakiwał głową.

— Zavezwałby ją z pewnością — rzekł. — Ale cóż dalej? Czy ona by się przyznała? Szaleństwem byłoby spodziewać się czegoś podobnego. Jeżeli jest winna, jest to kobieta za nadto energiczna, żeby miała pozwolić wydrzeć sobie prawdę. Zaprzeczyłaby więc wszystkiemu, z dumą i w taki sposób, żeby nie pozostał cień wątpliwości.

— Prawdopodobnie tak by się stało — mruknął doktor — ten biedny Galpin nie jest tęgi na takie rzeczy...

— Na cóż więc przydałby się ten krok? — mówił dalej pan Magloire.

— Sprawa pana de Boiscorana stałaby się tysiąc razy gorsza, gdyż do okropności zbrodni przybyłaby jeszcze nikczemność najpodlejszej potwarzy...

Pan Folgat uważniej niż wszyscy inni słuchał słów pana Magloire'a.

— Nie mając dowodów — odezwał się — moim zdaniem pan de Boiscoran nie powinien żądać uzupełnienia śledztwa.

Adwokat sauveterski skłonił się.

— Jestem rad — rzekł — iż zdanie to wyszło z ust mego zacnego kolegi. A zatem nie ma już co myśleć o uwolnieniu Jakuba od stanięcia przed sądem. Musi się stawić przed przysięgłymi.

Pan de Chandore rozpaczliwym ruchem wznosił ręce ku niebu.

— Ależ Dioniza umrze z boleści i wstydu! — zawołał.

Pan Magloire tymczasem mówił dalej:

— Jesteśmy tedy przed sądem przysięgłych, przed urzędnikami z wyboru, nieprzekupnymi, ale fatalnie podatnymi na wpływ opinii publicznej, która od dawna potępiła pana de Boiscorana. Rozprawa otwarta, przewodniczący zapytuje oskarżonego... Czyż on mu powie, to, co powiedział mnie, że będąc kochankiem pani de Claudieuse poszedł do Valpinson oddać jej listy, które pisała do niego i że te listy wszystkie zostały spalone? Dajmy na to, że mu to powie. Natychmiast podniesie się okropny wrzask, przekleństwa i okrzyki wzdargy. Ale mniejsza o to! Mocą swojej władzy przewodniczący zawiesza posiedzenie i posyła po panią de Claudieuse... Ponieważ przypuszczamy, że jest winna. Przekonani więc jesteśmy o jej piekielnej energii, nieprawdaż? Przewidziała, o co chodzi i przepowiedziała sobie rolę. Zawezwana, przychodzi blada, w żałobie, a szmer pełnej uszanowania sympatii witają od wejścia. Widzicie jej postawę, nieprawdaż? Przewodniczący tłumaczy jej, o co chodzi, a ona nie rozumie, nie może zrozumieć takiej okropnej potwarzy... Ale kiedy nareszcie zrozumiała! Czy widzicie ten dumny wzrok, którym przygniata Jakuba, czy słyszycie, z jaką wyniosłością odpowiada: Ponieważ mu się nie udało zamordować męża, ten człowiek usiłuje zbezczęścić żonę... Panowie, powierzam wam honor matki i małżonki... Nie myślę odpowiadać na bezczelne kłamstwa tego nikczemnego potwarcy...

— Ależ to pachnie galerami! — zawołał pan de Chandore. — To pachnie rusztowaniem!

— W każdym razie najsurowszą karą — odrzekł adwokat sauveterski. — Ale sprawa szłaby dalej swoją drogą. Prokurator odczytałby piorunujący akt oskarżenia, nareszcie przychodzi kolej na obrońcę. Panowie gniewaliście się na mój upór... Ja nie daję wiary, wyznaję to otwarcie, oświadczeniom pana de Boiscorana. Ale mój młody kolega wierzy w nie. A więc niech odpowie szczerze: czy śmiałyby przyjąć w obronie system oskarżonego i czy próbowałby dowieść, że pani de Claudieuse była kochanką Jakuba?

Pan Folgat zmarszczył brwi.

— Nie wiem — szepnął.

— Otóż ja wiem, żebyś się pan nie odważył — zawołał pan Magloire — i miałbyś słuszość, gdyż tym sposobem straciłbyś tylko sam reputację bez nadziei uratowania Jakuba. Tak jest, bez żadnej nadziei. Bo przypuśćmy wreszcie najmniej spodziewany rezultat, przypuśćmy, iż pan zdołasz dowieść, że Jakub był kochankiem hrabiny. To i cóż z tego? Zaaresztują panią de Claudieuse. Czyż dlatego wypuszczą na wolność pana de Boiscorana? Bynajmniej! Zatrzymają go w więzieniu i powiedzą mu: Prawda, ta kobieta chciała zamordować swego męża, ale ona była twoją kochanką, więc ty jesteś jej współnikiem! Otóż, taka jest sytuacja, moi panowie!

Pan Magloire przedstawił sprawę w całej jej przerażającej prostocie.

Dziadek Chandore zerwał się na nogi i chrapliwym głosem zawołał:

— A więc wszystko stracone! Winny czy niewinny, Jakub musi być skazany! Jego honor i życie zależą w tej chwili od kaprysu losu, od łada przypadku, od pogody, jaka będzie w dzień rozprawy albo od chwilowego usposobienia jednego z przysięgłych! I gdyby to jeszcze chodziło o samego Jakuba!... Ale tu idzie o życie mego dziecka, panowie! Cios, który ugodzi w Jakuba, ugodzi w nią!

Pan Folgat nie zdołał ukryć łzy, nawet pan Seneschal i doktor Seignebos uczyli dreszcz, tak przykro było patrzeć na ból tego starca, zagrożonego w najdroższym, jedynym jego przywiązaniu...

Pochwycił za rękę adwokata sauveterskiego i sciskając je rozpaczliwie, zawołał:

— Ale ty go ocalisz, prawda, Magloire? Winnego czy niewinnego, bo jego Dioniza kocha. Ocaliłeś przecież tylu innych! Wiadoma to rzecz, że sędziowie nie są w stanie opierać się powadze twojego słowa... Ty znajdziesz wyrazy dość silne, aby ocalić nieszczęśliwego, który był twoim przyjacielem...

Sławny adwokat wyglądał gorzej, niż gdyby sam był winowajcą.

— Cóż to znowu, Magloire! — zawołał doktor Seignebos. — Czy już nie jesteś tym człowiekiem, którego zadziwiająca wymowa jest chlubą naszej okolicy! Do góry głowa, do kroćset! Nigdy nie miałeś sobie powierzonych zacniejszych spraw!

Ale on pokręcił głową.

— Nie mam w to wiary — szepnął — a ja nie umiem bronić, gdy mi sumienie nie dostarcza argumentów...

I z coraz większym zmieszaniem dodał:

— Seignebos dobrze powiedział przed chwilą; ja nie jestem do takiej sprawy stworzony. Całe moje doświadczenie na nic by się tu nie zdało. Lepiej powierzyć tę sprawę mojemu młodszemu koledze.

Po raz pierwszy w życiu pan Folgat spotykał się z jednym z tych procesów, które dają człowiekowi pole do popisu, otwierają mu podwoje przyszłości. Po raz pierwszy spotykał się ze sprawą, w której wszystko było wyzwaniem dla jego umiejętności: wielkość zbrodni, stanowisko ofiary, charakter oskarżonego, trudność obrony, niepewność rezultatu. Chętnie oddałby swoje pięcioletnie honoraria, żeby mu ją powierzono... Ale on przede wszystkim był uczciwym człowiekiem.

— Czyżbyś pan zamyślał opuścić pana de Boiscorana, panie Magloire? — zapytał.

— Pan pomógłby mu lepiej niż ja — odrzekł sławny adwokat.

Może i pan Folgat był o tym w duszy przekonany. Mimo tego rzekł:

— Nie zastanowiłeś się pan nad wrażeniem, jakie by ten krok wywarł...

— Och!...

— Co pomyślałaby publiczność dowiedziawszy się nagle, że pan się cofasz? Sprawa Boiscorana musi być diabelnie zła, skoro Magloire nie chce jej bronić... A to byłby jeszcze jeden zarzut, dodany do tych, które już ciążyą nad tym nieszczęśliwym.

Doktor nie zostawił swemu przyjacielowi czasu na odpowiedź.

— Magloire nie może się cofać — rzekł — ale wolno mu wziąć sobie towarzysza. On pozostanie adwokatem i doradcą Jakuba, ale pan Folgat może mu być pomocny swoją wiedzą, młodością i energią, może nawet przemawiać w sądach...

Przelotny rumieniec zabarwił policzki młodego adwokata.

— Gotów jestem służyć panu Magloire'owi — rzekł.

Sławny adwokat sauveterski zamyślił się, a po chwili zwrócił się do młodego kolegi:

— Czy masz pan jakiś pomysł? Jakiś plan?... Co by pan zrobił?...

Ku zdziwieniu wszystkich ich oczom objawił się jakby nowy Folgat.

Zdawało się, że podrośł, twarz mu się rozjaśniła, oczy błyszczały i pełnym

głosem, jednym z tych głosów, których metaliczne brzmienie drga w piersiach słuchaczy rzekł:

— Przede wszystkim zobaczyłbym się z panem de Boiscoranem. On sam podyktowałby mi dopiero ostateczne postanowienie. Ale plan mam już naszkicowany. Ja wierzę w niewinność oskarżonego. Człowiek kochany przez pannę Dionizę nie może być zbrodniarzem. Cóż tedy powinienem zrobić? Dowieść prawdy opowiadania pana de Boiscorana. Czy to możliwe? Mam nadzieję... Pan de Boiscoran twierdzi, że nie ma ani świadków ani dowodów jego stosunków z panią de Claudieuse. Ja jestem przekonany, że się myli. Powiada, że ona była nadzwyczaj zręczna i ostrożna. To nic nie znaczy.

Nieufność budzi nieufność i człowiek najbardziej otaczający się ostrożnościami, bywa najbardziej śledzony. Kto zanadto chce się ukryć, odkrywa się właśnie.

Od jutra rozpocząłbym przeciwśledztwo. Pieniądzy nam nie brak; margrabia de Boiscoran ma wielkie wpływy, możemy liczyć na ważne usługi. Rozesłałbym na zwiady doświadczonych ludzi. Znam ulicę des Vignes; jest bardzo pusta, ale są na niej ludzie z oczyma, jak wszędzie... Dlaczego niektóre z tych oczu nie miały spostrzec tajemniczej kobiety odwiedzającej pana de Boiscorana? Otóż agenci o to wypytywaliby się od domu do domu... A nawet nie potrzebowałbym w tym celu wymieniać żadnego nazwiska. Zadaniem ich byłoby wyszukanie nie pani de Claudieuse, ale pewnej nieznanym, tak a tak ubranej. A gdyby napotkali na kogoś, kto ją widział i mógłby ją poznać, ten ktoś byłby naszym pierwszym świadkiem.

Tymczasem dowiadywałbym się o przyjaciela pana de Boiscorana, o owego Anglika i wszedłbym w porozumienie z policją londyńską. Jeżeli ten Anglik umarł, dowiedziałbym się o tym, choć to byłoby dla nas nieszczęściem... Jeżeli zaś żyje, choćby był na drugim końcu świata, zapytałbym się go za pomocą telegrafu i w niespełna tydzień miałbym od niego odpowiedź.

Również wysłałbym zręcznych agentów śladami owej służącej Angielki, która utrzymywała porządek w domu na ulicy des Vignes. Pan de Boiscoran utrzymuje, że ona nigdy nie widziała pani de Claudieuse. To nieprawda. Niepodobna, żeby służąca nie poczuła ochoty i nie znalazła sposobu przypatrzenia się kobiecie przychodzącej do jej pana... Gdybym ją znalazł, ona by z pewnością niejedno powiedziała.

I nie koniec na tym. Do tego domu przychodzili ludzie obcy. Ja badałbym ich wszystkich. Badałbym ogrodnika i jego pomocników, nosiwodę, tapicei-a, chłopców od rozmaitych kupców... Któż nam może zaręczyć, czy jeden z nich nie wie właśnie tej prawdy, której my szukamy w tej chwili?

Nareszcie, kiedy kobieta tyle dni spędzi w jakimś domu, niepodobna, żeby w nim nie zostawiła jakiegoś śladu swego pobytu. Zarzucicie mi panowie, że już przeszła tamtędy wojna, potem komuna. To nic nie znaczy! Ja będę się pytał szczątków, rozkopię ruiny, będę badał każde drzewo w ogrodzie, będę szukał na pozostałych szybach imienia napisanego diamentem, zmuszę ocalałe zwierciadła, żeby mi ukazały obraz tej, której postać tylekroć odbijały w swych szybach!

— Otóż tak, to rozumiem! — zawołał zachwycony doktor Seignebos.

Pan de Chandore, pan Seneschal, a nawet pan Magloire drżeli...

Czuli, że walka rozpocznie się na dobre.

Ale tymczasem, nie zważając na wrażenie, jakie sprawiał na swoich słuchaczach, pan Folgat mówił dalej:

— Tutaj, w Sauveterre, zadanie byłoby daleko trudniejsze, ale w razie gdyby rzeczy dobrze poszły, rezultaty byłyby też bardziej stanowcze. Tutaj przyprowadziłbym ze sobą jednego z tych policjantów z delikatnym węchem, którzy ze swego zajęcia umieli zrobić sztukę, którego próżność zainteresowałbym w tej sprawie. Temu trzeba by już powiedzieć wszystko, a nawet wyjawić imiona. Ale to nic by nie szkodziło. Chęć dopięcia celu, hojność nagrody, wreszcie zawodowa dyskrecja, zaręczałyby nam za jego milczenie. Przybyłby tutaj potajemnie, w przebraniu, jakie by mu się zdawało najstosowniejsze do jego celu i rozpocząłby na rzecz obrony śledztwo, jakie pan Galpin-Daveline prowadził na rzecz oskarżenia. Czy by coś odkrył? Mamy prawo spodziewać się tego. Ja znam policjantów, którzy po daleko bliższych wskazówkach doszli prawd daleko nieprawdopodobniejszych.

Dziadek Chandore, zacny pan Seneschal, doktor Seignebos a nawet pan Magloire chłonili słowa młodego adwokata.

— A czyż to już wszystko, moi panowie? — mówił on dalej. — Jeszcze nie. Wsparty swoim doświadczeniem doktor Seignebos przeczuł od pierwszego dnia najgłówniej szą osobę w tej tajemniczej intrydze...

— Cocaleugo!

— Tak, doktorze, Cocaleugo. Sprawca, powiernik lub świadek, Cocaleu w każdym razie jest widocznie w posiadaniu klucza do zagadki. Trzeba go z niego za wszelką cenę wydobyć. Urzędowy raport lekarski dał mu patent na idiotę. Mimo tego my protestujemy. Utrzymujemy, że głupota tego nędznika jest naumyślnie spotęgowana. Twierdzimy, że jego uparte milczenie jest oszustwem. Jak to! On miałby mieć na tyle rozumu, żeby świadczyć przeciw nam, a nie miałby go na to, żeby wyjaśnić a przynajmniej powtórzyć swoje zeznanie? Tego przypuścić niepodobna. My twierdzimy, że on teraz milczy dla tego samego, dla czego mówił w ową noc pożaru, to jest z rozkazu. Gdyby jego milczenie było mniej na rękę przesłuchującemu, znalazłby on sposób zmuszenia go do mówienia. My więc żądamy, żeby ten sposób się znalazł. Żądamy, żeby zawezwano osobę, która już raz umiała rozwiązać jego język i

aby jej polecono powtórzyć doświadczenie. Żądamy nowego badania lekarskiego, bo o stanie umysłowym człowieka zainteresowanego w tym, żeby udawać głupotę, nie można orzekać na poczekaniu. A do tego my życzymy sobie, my, fałszywie oskarżeni przez Cocaleugo, aby nam przedstawiono gwarancję znajomości rzeczy i niezależności!

Doktor Seignebos aż skakał z radości i zapału; znajdował bowiem w słowach młodego adwokata własne myśli, tylko obleczone w formę ścisłą i energiczną.

— Tak jest! — wołał. — Oto jest droga, którą nam postępować należy! Niech mi tylko pozwolą, a w dwa tygodnie zdemaskuję tego Cocaleugo!

Mniej skłonny do hałaśliwych wywnętrzeń sławny adwokat sauweterski uścisnął tylko rękę pana Folgata.

— Widzi pan — rzekł — że panu wypada powierzyć sprawę pana Jakuba de Boiscorana.

Młody adwokat nie protestował.

— Zrobię wszystko, co tylko człowiek może zrobić — rzekł. — Gdy się czegoś podejmę, poświęcam się temu duszą i ciałem. Ale zastrzegam sobie, aby opinia publiczna była dokładnie zawiadomiona, że Magloire się nie cofa i że ja jestem tylko jego pomocnikiem...

— Zgoda — odrzekł stary adwokat.

— A więc, kiedy pójdziemy do pana de Boiscorana?

— Jutro rano.

— Bez naradzenia się z nim nie możemy nic rozpoczynać...

— Tak, ale nie dopuszczają pana do niego bez upoważnienia pana Galpin-Davelina, a wątpię, abyśmy mogli je uzyskać dzisiaj...

— Szkoda wielka...

— Nie, gdyż na dzisiaj mamy dosyć roboty. Musimy przejrzeć wszystkie akta tej sprawy oddane do mego rozporządzenia przez sędziego śledczego.

Pozostali zabierali się do odejścia. Pan de Chandore zatrzymał ich.

— Dotąd, moi panowie — rzekł — myśleliśmy tylko o Jakubie. A Dioniza?

Wszyscy patrzyli na niego zdziwieni. On zaś mówił dalej:

— Cóż ja jej powiem, gdy mnie zapyta o rezultat rozmowy Jakuba z panem Magloirem i dlaczego on nie chciał mówić w jej obecności?

Doktor Seignebos już oświadczył wyraźnie, że nie jest zwolennikiem żadnych wykrętów.

— Powie jej pan prawdę — odezwał się.

— Co? Ja miałbym jej powiedzieć, że Jakub był kochankiem pani de Claudieuse?

— Czyż się nie dowie o tym wcześniej czy później? Panna Dioniza jest osobą pełną energii...

— Zapewne, ale panna Dioniza jest również niewinna i kocha pana de Boiscorana — przerwał mu żywo pan Folgat. — Po co zamącać czystość jej myśli i spokój duszy! Czyż ona i bez tego nie jest dosyć nieszczęśliwa? Pan de Boiscoran nie jest już teraz w ścisłym więzieniu, zobaczy się z narzeczoną, jeżeli więc uzna to za stosowne, będzie jej mógł sam to powiedzieć. On jeden ma do tego prawo. Ja jednak będę mu to odradzał. O ile znam charakter panny Dionizy, przekonany jestem, że nie zdołałaby zamilczeć, gdyby się przypadkiem zetknęła z panią de Claudieuse.

— Pan de Chandore powinien milczeć — zdecydował pan Magloire. Już dosyć biedy z tym, że trzeba wszystko powiedzieć pani de Boiscoran. Gdyż nie zapominajcie, panowie, że najmniejsza niedyskrecja może zniweczyć już i tak bardzo niepewny plan pana Folgata.

Wszyscy wyszli, a pan Chandore z ciężkim sercem udał się do salonu pierwszego piętra.

Zastał tam panią de Boiscoran leżącą w fotelu, bladą i omdlałą, a pannę Dionizę chodzącą po salonie gorączkowym krokiem, z twarzą rozplamioną, z błyszczącymi oczyma.

— I cóż?... Nie ma żadnej nadziei, prawda? — zapytała go urywanym głosem.

— Owszem, więcej niż kiedykolwiek — odrzekł zmuszając się do uśmiechu.

— A więc dlaczego pan Magloire kazał nam wyjść?

Stary baron miał jednak już czas wymyślić kłamstwo.

— Dlatego, że miał nam do powiedzenia przykrą wiadomość — rzekł.

— Niepodobna otrzymać uznania braku istoty czynu. Jakub musi stawać przed sądem.., Pani de Boiscoran zerwała się.

— Jakub przed sądem przysięgłych! — zawołała. — Mój syn!

I padła znów na fotel.

Na twarzy panny Dionizy ani jeden muskuł nie zadrżał...

— Spodziewałam się czegoś gorszego! — rzekła jakimś dziwnym tonem.

— Sądu przysięgłych można uniknąć...

I wyszła, zatrzasnąwszy drzwi z takim hałasem, że ciotki Lavarande rzuciły się w ślad za nią.

Odtąd pan de Chandore nie uważał już za potrzebne powściągać się dłużej.

Stanął przed panią de Boiscoran i dając folgę tyle czasu stłumionemu straszному gniewowi, zawołał:

— Ach! Ten pani syn!... Ten pani Jakub! Bodajby był sto razy skonał, ten nędznik, co mi dziecko zabija... Bo on mi ją zabija, widzisz to pani przecież...

I bez żadnej nad nią litości, zaczął jej opowiadać historię Jakuba i pani de Claudieuse...

Znękana, zanosząc się od płaczu, pani de Boiscoran nie miała nawet siły prosić go o zmiłowanie nad sobą...

A kiedy nareszcie skończył, szepnęła z wyrazem okropnego przerażenia:

— Cudzołożnik! O mój Boże! Jakaż to kara!

Pan Folgat i pan Magloire wyszedłszy z salonu pana de Chanodre udali się do Pałacu Sprawiedliwości.

A idąc ulicą de la Rampe adwokat paryski mówił do sauveterskiego:

— Ten pan Galpin-Daveline musi być niezmiernie pewny swego, skoro z taką łatwością udzielił panu akt sprawy pana de Boiscorana.

— Założyłbym się, że nie — odparł pan Magloire — bo ja znam tego człowieka od tylu lat. Gdyby był pewny siebie, byłby nieubłagany. Jeżeli jest uprzejmy, to dlatego, że się boi. Ustępstwo to jest skrytą furtką, którą sobie zostawia na wszelki wypadek.

Znakomity adwokat sauveterski miał słuszość.

Mimo całego przekonania o winie Jakuba pan Galpin-Daveline był wciąż niespokojny o motywy jego obrony.

Dwadzieścia przesłuchań nie wydobyły z oskarżonego nic oprócz oświadczenia, że jest niewinny.

Przyciśnięty w końcu przez sędziego, odpowiadał:

— Wytłumaczę się, gdy pomówię z moim obrońcą.

Bywa to najczęściej jedyna odpowiedź głupiego łotra, któremu chodzi tylko o zyskanie na czasie.

Ale pan Galpin-Daveline miał za wysokie wyobrażenie o inteligencji swego przyjaciela, żeby nie miał być przekonany, że jego uparte milczenie ukrywało w sobie coś ważnego...

Ale co? Pan Galpin dałby dużo, żeby się o tym dowiedzieć. I właśnie dlatego zgodził się na udzielenie akt.

Nim się jednak zdecydował, poszedł przedstawić swoje obawy prokuratorowi.

Zacny pan Daubigeon, którego zastał przyglądającego się swoim starym foliałom ze złocnymi brzegami, przyjął go bardzo źle.

— Czy panu chodzi jeszcze o moje podpisy? Dam ich panu, ile zechcesz; ale jeżeli o co innego, to sługa uniżony.

...Gdy się głupstwo zrobi, Za późno już, dalibóg, pytać się o radę!

Chociaż takie przyjęcie nie było wcale zachęcające, pan Galpin-Daveline odezwał się jednak tonem pełnym goryczy:

— Do tegoż już przyszło, że głupstwem ma być spełnienie swego obowiązku? Czy to moja wina, że sprawca zbrodni był moim przyjacielem i że miałem kiedyś zaślubić jego krewną? Nie znam nikogo w całym trybunale, kto by wątpił, że pan de Boiscoran jest winien, nikogo, co by śmiało ganić moje postępowanie, a jednak prześcigają się w okazywaniu mi twojej oziębłości.

— Ha! Taki to świat! — odrzekł pan Daubigeon z ironicznym grymasem. Ludzie chwają cnotę, a pozwalają jej marnieć bezowocnie.

— Tak jest, rzeczywiście! — zawołał z kolei pan Galpin. — Świat ma pretensje do ludzi, którzy robią to, co nie każdy miałby odwagę zrobić. Prokurator, mój naturalny sprzymierzeniec, opuszcza mnie i szydzi ze mnie. Pan prezes, mój bezpośredni zwierzchnik, dziś z rana odezwał się do mnie tonem nieznośnej ironii: „Dalibóg, nie znam urzędnika, który by tak jak pan potrafił poświęcić swoje stosunki i przyjaźń dla miłości prawdy i sprawiedliwości; pan jest podobny do owych wielkich mężów starożytności, zajdziesz daleko!”...

Prokurator nie mógł dłużej wytrzymać.

— Skończmy raz z tym — zawołał — nie możemy się porozumieć, widzę... Czy Jakub de Boiscoran jest winien, czy nie, ja tego nie wiem. Ale to wiem, że to był jeden z najprzystojniejszych ludzi na świecie, gościnny, rozmowny, uczony człowiek: posiadał najpiękniejsze, jakie znam, wydanie Horacego i Juwenala. Kochałem go, Kocham go jeszcze i nie mogę myśleć o tym, że on jest w więzieniu... To wiem, że w Sauveterre miałem nader miłe stosunki, które teraz zostały stargane. I to pan się skarżysz? Czy to ja poświęciłem to wszystko dla ambicji? Czyż to ja postanowiłem połączyć moje nazwisko z głośnym procesem?! Czyż ja nie chciałem się cofnąć, kiedy mi to radzono? Pan de Boiscoran będzie prawdopodobnie skazany. Powinien pan zatem być u szczytu szczęścia. Tymczasem pan się skarży. Trudno! Najcudowniejsze projekty wprowadzone pomyślnie w życie zawsze potem budzą pewien żal!

Panu Galpinowi nie pozostawało oczywiście nic innego, jak odejść. Odszedł więc wściekając się, ale zarazem postanawiając skorzystać z tych niemiłych prawd, którymi go pan Daubigeon spoliczkował, ale które trzeba było uznać za wyraz opinii powszechnej.

Tego było aż nadto do pokonania jego ostatnich wątpliwości. I natychmiast zgodził się na udostępnienie akt sprawy, polecając jak największą grzeczność swojemu pisarzowi.

Mechinet zdziwił się niesłychanie, gdy mu pan Galpin kazał udzielić akt całej sprawy stronie przeciwnej.

— Oho, ptaszku! Masz ty stracha! — pomyślał sobie.

A gdy mu jeszcze pan Daveline tłumaczył, że to właśnie przynosi zaszczyt sprawiedliwości, gdy się nie krępuje zbyt wiele przepisami, jeśli nie widzi koniecznej potrzeby, odrzekł poważnie:

— Bądź pan spokojny, już ja z pewnością nie uchybię uprzejmości.

Ale zaledwie sędzia się od niego odwrócił, Mechinet zaczął się śmiać.

— Oszczędziłby sobie z pewnością tych poleceń — pomyślał sobie — gdyby się domyślał prawdy. Ha! Jakże by się wściekał, gdyby się dowiedział, że ja zdradziłem tajemnicę

śledztwa, że ułatwiałem korespondencję między panem de Boiscoranem i jego przyjaciółmi, że Cheminota wciągnąłem także na współnika, że przekupiłem Blanguina, żeby panna de Chandore mogła się zobaczyć z narzeczonym!

Zrobił to wszystko, to jest cztery razy tyle, ile trzeba było, żeby nie tylko został wypędzony z trybunału, ale nawet przesiedział się kilka miesięcy pod opieką pana Blanguina.

Ale choć czuł strach, nie miał wcale wyrzutów sumienia.

Panna Dioniza oczarowała go zupełnie i nie mniej surowo jak ona zapatrywał się na postępowanie pana Galpin-Davelina.

Ten wprawdzie nie zrobił nic przeciwnego prawu, ale pogwałcił ducha prawa. Przy smutnej odwadze zostania[^] sędzią swego przyjaciela, nie umiał zostać bezstronny. Obawiając się, aby go nie posądzono o słabość, przesadził w surowości. A nade wszystko całe śledztwo prowadził wyłącznie w kierunku swoich przekonań, jak gdyby zbrodnia była dowiedziona i nie zwracając uwagi na interes obwinionego, który twierdził stale, że jest niewinny.

Otóż Mechinet wierzył najzupełniej w tę niewinność i był wewnętrznie przekonany, że jak tylko Jakub zobaczy się ze swoim obrońcą, będzie to chwila jego uniewinnienia.

Można sobie wystawić, z jaką punktualnością udał się do trybunału oczekując na pana Magloire'a.

Ale południe nadeszło, a słynnego sauveterskiego adwokata nie było widać. Był jeszcze na konferencji u pana de Chandore.

— Co by to takiego mogło być?! — myślał sobie poczciwy pisarz.

A gdy wreszcie punkt o godzinie trzeciej przybyli pan Magloire i pan Folgat, z samej ich postawy Mechinet zrozumiał, że się omylił i że Jakub nie oczyścił się od razu.

Pana Magloire'a nie śmiał się o to zapytać.

— Oto są akta — rzekł tylko, kładąc na stole ogromny plik. Ale odprowadzając pana Folgata na bok, zapytał:

— Co się to stało?

Postępowanie pisarza było zaiste takie, że nie można było mieć przed nim tajemnic; za- nadto był skompromitowany sam, żeby nie można było być pewnym jego milczenia.

A jednak pan Folgat nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za wyjawienie mu nazwiska pani de Claudieuse i odrzekł wymijająco:

— To, kochany panie, że pan de Boiscoran uniewinnia się zupełnie, tylko brakuje dowodów i nam właśnie chodzi o zebranie tych dowodów.

I poszedł usiąść przy panu Magloire, który już zaczął wertować akta.

Przy pomocy tych akt łatwo było iść krok w krok za dziełem pana Galpin-Davelina, zdać sobie sprawę z jego postępowania i zrozumieć jego strategię...

Adwokaci przede wszystkim szukali akt Cocaleugo.

I nie znaleźli ich.

Nie było ani śladu zeznania idioty w noc pożaru, usiłowań czynionych później w celu wymożenia na nim nowego zeznania, opinii lekarskiej.

Pan Galpin-Daveline usunął zupełnie ze sprawy Cocaleugo. I miał po temu prawo.

— Zręczny filut! — zawołał zawiedziony pan Magloire.

Rzeczywiście była to wielka zręczność. Pan Galpin pozbawiał w ten sposób

obronę jednego z najpewniejszych środków, niezawodnego efektu, przedmiotu namiętnych rozpraw, słowem jednej z tych sposobności, które zwykły wywierać tak silny wpływ na umysły sędziów przysięgłych.

— Pozostaje wprowadzić nam samym prawo powołania go na świadka — dodał pan Magloire.

I prawda, służyło im to prawo. Ale jakaż różnica wrażenia i rezultatu! Oś całej sprawy zupełnie przez to została zmieniona.

Punktem wyjścia dla pana Galpina było zeznanie pana de Claudieuse'a, oznaczające dokładnie godzinę popełnienia zbrodni.

Od niego przechodził bezpośrednio do zeznania młodego Ribota, który spotkał pana de Boiscoran idącego do Valpinson przez bagna przed popełnieniem zbrodni, i do zeznania Gaudrego, który go widział wracającego w Valpinson przez las, po spełnieniu zbrodni.

Oprócz tego jeszcze trzech inni świadkowie złożyli zeznania co do drogi, którą szedł pan de Boiscoran.

I na mocy jedynie tych zeznań, zestawiając i porównując czas, sędzia śledczy dowodził niemal oczywiście, że podejrzany chodził do Valpinson, nie gdzie indziej i że znajdował się tam w chwili popełnienia zbrodni.

Cóż tam robił?

Na to pytanie oskarżenie odpowiadało poszlakami zebranymi pierwszego dnia: wodą, w której Jakub mył sobie ręce, blaszką z ładunku znaną na miejscu zbrodni, jednaką wielkością ziarek śrutu wydobytych z rany pana de Claudieuse'a ze śrutem znalezionym w nabojach do strzelby Klebba, zabranych w-Boiscoran...

I żadnych dywagacji, żadnych dygresji, żadnych przypuszczeń. Wszystko to było zestawione po prostu, dokładnie a okropnie zarazem i na pozór zdawało się tak niezbite jak twierdzenie matematyczne.

— Winny, czy niewinny, Jakub jest zgubiony, jeżeli pan nie zdołasz odszukać jakiegoś dowodu przeciw pani de Claudieuse — odezwał się pan Magloire. — A nawet w takim razie, gdyby sąd uznał panią de Claudieuse za winną, to nigdy nie zechce uwierzyć, że Jakub nie był jej współnikiem...

Mimo tego znaczną część nocy spędzili na uważnym przeglądaniu całego śledztwa i na studiowaniu głównych punktów oskarżenia.

A nazajutrz z rana o dziewiątej, po kilku zaledwie godzinach snu, udali się razem do więzienia.

Pan Blanguin siedział sobie w cieniu, przed bramą i palił właśnie w najlepsze swoją fajeczkę, kiedy pan Magloire i pan Folgat przyszli do więzienia zaopatrzeni w przepustkę pana Galpin-Davelina.

Gdy się zbliżyli, powstał. Sądząc, że panna Dioniza przypuściła ich do tajemnicy, bardzo się ich bał. Toteż nadzwyczaj grzecznie zdjął wełnianą czapkę z głowy i wyjmując fajkę z ust, rzekł z przymilnym uśmiechem:

— Ach! Panowie przychodzą do pana de Boiscorana. Zaraz panom służę, tylko pobiegę do siebie po klucz.

Pan Magloire go zatrzymał.

— Powiedz nam pan naprzód, jak się ma pan de Boiscoran.

— No, jak każdy oskarżony, kiedy widzi, że jego sprawa bierze zły obrót.

Obrońcy spojrzeli po sobie smutnie.

Widoczne było, iż Blanguin jest przekonany, że Jakub jest winien, a to była zła wróżba.

Ludzie pilnujący więźniów mają zwykle doskonały węch i adwokaci często się ich radzą, mniej więcej tak jak autor radzi się czasem służby teatralnej tego teatru, w którym mają grać jego sztukę.

— Czy mówił coś panu? — zapytał pan Folgat.

— Mnie osobiście, prawie nic — odrzekł dozorca. — Ale człowiek ma przecież doświadczenie! Mam zwyczaj, gdy adwokat odejdzie od zatrzymanego, przynieść mu zawsze coś do jedzenia, żeby za pomocą żołądka wzmocnić go na sercu... I wczoraj też, zaledwie pan Magloire wyszedł, pobiegłem na górę skacząc po kilka schodów na raz...

— I zastałeś pana de Boiscorana chorego?

— Zastałem go, moi panowie, w stanie budzącym litość. Leżał na brzuchu wyciągnięty na łóżku, z głową schowaną w poduszkę, nieruchomy jak drzewo...

Dużo czasu upłynęło, zanim zobaczyłem, jak chwycił się obu rękami za głowę, ot tak, i mówił: „A!... Skończyło się wszystko! Jestem opuszczony, odepchnięty, potępiony!”. Mówił to takim głosem, że o mało kamienie w ścianach więzienia nie płakały, a ja, wzruszony, zaproponowałem mu, żeby napisał list, który każe zanieść do pana Chandore. Ale on wpadł na to w straszny gniew i zawołał: „Nie! Nigdy, nigdy! Odejdź, mnie już nic nie pozostaje, tylko umrzeć!”.

Pan Folgat nie odzywał się, ale bladość, która mu okryła twarz, świadczyła, jak był wzruszony.

— Pojmujecie panowie — mówił Blanguin — że to mnie wcale nie uspokoiło. Izdebka, którą zajmuje pan de Boiscoran, nie jest bardzo szczęśliwa. Od czasu, jak jestem w Sauveterre, wydarzyło mi się w niej jedno samobójstwo i jeden zamiar samobójstwa. Wyszedłszy

więc, przywołałem niejakiego Frumen- cjusza Cheminota, biedaka, który tu pokutuje i pomaga mi w służbie i umówiłem się z nim, że po kolei będziemy odbywali straż, żeby nawet na chwilę nie tracić z oczu obwinionego. Ale ta ostrożność była niepotrzebna. Wieczorem, kiedy panu de Boiscoranowi zaniesiono obiad, był już zupełnie spokojny i nawet powiedział mi, że będzie próbował jeść, gdyż chce nabrać sił. Biedaczysko, jeżeli tyle tylko ma sił, co mu dał ten wczorajszy obiad, to niedaleko zajędzie. Zaledwie wziął ze cztery razy do ust, tak zasnął, że Cheminot i ja myśleliśmy, że nam w rękach zostanie, a nawet przychodziło mi do głowy, że to może byłoby i szczęściem dla niego. Nareszcie jakoś około dziewiątej zrobiło mu się lepiej i całą noc siedział oparty na łokciach w oknie...

Pan Magloire nie mógł dłużej wytrzymać.

— Chodźmy na górę — rzekł do młodego kolegi.

Poszli. Ale gdy się dostali na korytarz, spostrzegli Cheminota, który z daleka dawał im znaki, żeby szli ostrożnie.

— Co się stało? — zapytali z cicha.

— Zdaje mi się, że śpi — odrzekł aresztant. — Biedak! Może mu się śni, że jest wolny w swoim pięknym zamku.

Pan Folgat na palcach zbliżył się do okienka.

Ale Jakub nie spał. Posłyszał kroki i głosy i zerwał się na nogi. Blanguin otworzył zatem drzwi, a pan Magloire odezwał się zaraz z progu:

— Przyrowadzam ci posiłki. Oto pan Folgat, mój kolega z Paryża, który przyjechał z twoją matką.

Pan de Boiscoran uklonił się zimno, nie rzekłszy ani słowa.

— Widzę, że masz żal do mnie — przemówił znów adwokat sauveterski. — Rzeczywiście, byłem wczoraj za prędko, zanadto prędko...

Jakub potrząsnął głową i odrzekł lodowatym tonem:

— Miałem żal do ciebie, ale zastanowiwszy się, jestem ci wdzięczny za szczerość... Przynajmniej wiem teraz, co mnie czeka. Gdybym stanął przed sądem przysięgłych, choć niewinny, byłbym skazany jako morderca i podpalacz. Postaram się więc o to, żeby nie stać przed sądem przysięgłych...

— Nieszczęśliwy! Jeszcze nadzieja nie jest zupełnie stracona!

— Owszem. Skoro ty, co jesteś moim przyjacielem, nie uwierzyłeś mi, któż mi uwierzy?

— Ja! — zawołał pan Folgat. — Ja, który nie znając pana wierzyłem w twoją niewinność, a który potwierdzam to teraz, gdy pana zobaczyłem!

Szybszy niż myśl, pan de Boiscoran pochwycił rękę młodego adwokata i ścisnął ją konwulsyjnie.

— Dziękuję panu za to jedno słowo, któreś wyrzekł! — zawołał. — Bądź błogosławiony za tę wiarę, którą masz we mnie!

Pierwszy raz od czasu swego uwięzienia nieszczęśliwy poczuł nadzieję i radość. Niestety, trwało to ledwie chwilę! Wzrok jego przygasł prawie natychmiast, czoło spochmurniało jeszcze bardziej i cichym stłumionym głosem rzekł:

— Na nieszczęście teraz już nikt nic nie może dla mnie zrobić. Pan Magloire musiał panu opowiedzieć moją opłakaną historię i moje tłumaczenie: nie posiadam dowodów... a przynajmniej, chcąc ich dostarczyć, musiałbym zejść do takich szczegółów, że sąd nie dopuściłby ich wcale, a gdyby nawet dopuścił, to ja sam na zawsze spodliłbym się we własnych oczach... Są pewne zwierzenia, z których nie wolno korzystać; tajemnice, których się nigdy nie wydaje, zasłony, których się nigdy, nawet za cenę życia nie podnosi... Lepiej być skazanym niewinnie, aniżeli zostać uwolnionym kosztem upodlenia i niczemności...

Cóż to było za postanowienie, które mu nasuwało takie słowa?

Obrońcy zadrżeli na myśl o tym.

— Pan nie ma prawa tak rezygnować — rzekł pan Folgat.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie sam jesteś zainteresowany w tej sprawie. Masz pan krewnych, przyjaciół...

Uśmiech gorzkiej ironii wykrzywił usta Jakuba.

— Czy ja mam jakieś obowiązki wobec nich? — przerwał. — Dla nich, którzy z wyparciem się mnie nie mieli nawet odwagi poczekać, aż zapadnie wyrok! Dla nich, którzy potępiłi mnie wprzód jeszcze, aniżeli sąd przysięgłych! Dopiero od całkiem obcego człowieka, dopiero od pana, panie Folgat, otrzymałem pierwszy dowód współczucia.

— To nieprawda! — zawołał pan Magloire. — I ty wiesz o tym dobrze!

Jakub zdawał się go nie słyszeć.

— Przyjaciele! — zawołał. — Tak, miałem ich w dniach pomyślności... Pan Galpin-Daveline i pan Daubigeon byli moimi przyjaciółmi. Jeden został moim sędzią, najsroższym z sędziów, a drugi, który jest prokuratorem, nawet nie próbował przyjść mi z pomocą. Pan Magloire był także moim przyjacielem i sto razy mi to powtarzał, że mogę liczyć na niego, jak on liczy na mnie i dlatego też jego spomiędzy wszystkich wybrałem, ażeby mnie wspomagał radą i doświadczeniem. A kiedy usiłowałem wykazać mu moją niewinność, powiedział mi, że kłamię...

Adwokat sauveterski znów chciał protestować, ale na próżno.

— Krewni! — mówił dalej Jakub głosem, w którym drżał gniew i oburzenie. — Mam ich, to prawda, mam ojca i matkę. I gdzież oni są, podczas gdy ich syn szamoce się w sieci najpodlejszej i najzdradliwszej intrygi? Ojciec siedzi sobie w Paryżu, najspokojniej oddając się zwykłym zajęciom i przyjemnościom. Matka przyjechała do Sauveterre i bawi w nim dotąd, ale nadaremnie jej doniesiono, że teraz może się już ze mną widzieć... Czekałem na nią wczoraj, ale nieszczęśliwy oskarżony o zbrodnię przestał być jej synem! Nadaremnie jej oczekiwałem, licząc sekundy uderzeniami mego serca! Nie przyszła... Nikt nie przyszedł. Odtąd jestem sam na świecie, a więc widzisz pan, że mam prawo rozporządzać sobą...

Pan Folgat nie myślał się wcale z nim spierać. Na co! Alboż rozpacz rozumuje? Odezwał się tylko po prostu:

— Zapominasz pan o panie de Chandore.

Fala krwi zarumieniła policzki Jakuba i drżącym głosem wyszeptał:

— Dioniza!

— Tak, Dioniza — powtórzył młody adwokat. — Zapominasz pan o jej poświęceniu, o jej odwadze, o wszystkim, co zrobiła dla pana. Czyż powiesz pan, że cię opuściła, że się ciebie wyparła, ona, która zapominając dla ciebie swojej trwożliwości i dziewiczym wstydzie przyszła zamknąć się na noc w twoim więzieniu! Ona swoje dobre imię stawiała na kartę, gdyż mogła zostać odkryta i zdradzona, wiedziała o tym. A jednak nie wahała się!

— Jesteś pan okrutny! — przerwał mu Jakub. I ściskając rękę adwokata tak, że jej ledwie nie zgruchotał, począł mówić:

— Czyż nie pojmujesz pan tego, że to właśnie jej wspomnienie mnie zabija i że moje nieszczęście jest tym okropniejsze, że wiem, jakie szczęście tracę! Czyż nie widzisz pan, że ja kocham Dionizę, jak nigdy kobieta nie była kochana! Ach, gdyby to o mnie tylko chodziło! Ja przynajmniej mam winę do odpokutowania. Ale ona! Mój Boże, dlaczego się znalazłem na jej drodze!

Zamyślił się na chwilę, a potem dodał:

— A jednak i ona, tak jak moja matka, nie przyszła wczoraj!... Dlaczego? Dlatego zapewne, że wszystko jej powiedziano. Powiedziano jej, skąd się wziąłem w Valpinson w ową noc zbrodni.

— Mylisz się, Jakubie — odezwał się pan Magloire — panna de Chandore nie wie o niczym...

— Naprawdę?

— Pan Magloire nic przy niej nie mówił — dodał pan Folgat — a pana de Chandore zobowiązaliśmy, aby zachował wszystko w tajemnicy. Ja twierdziłem, że pan sam tylko masz prawo objawić prawdę panie Dionizie.

— A więc jakże ona sobie tłumaczy to, że ja się nie uniewinniłem?

— Ona sobie nic nie tłumaczy.

— Boże wielki! Miałaby uwierzyć, że ja popełniłem zbrodnię?

— Choćbyś jej pan sam to powiedział, nie uwierzyłaby panu.

— A jednak nie przyszła wczoraj...

— Bo nie mogła. Przed nią zamilczało się prawdę, ale trzeba ją było powiedzieć pańskiej matce. Pani de Boiscoran była tą wiadomością jakby piorunem, rażona. Przeszło przez godzinę leżała bez przytomności na rękach panny Dionizy. Gdy przyszła do siebie, pierwsze jej słowo było o panu, ale za późno już było, żeby się dostać do więzienia...

Używając imienia panny Dionizy pan Folgat znalazł najpewniejszy, a może jedyny środek złamania postanowienia Jakuba.

— Jakże ja się panu i kiedy za to wszystko wywdzięczę! — szepnął nieszczęśliwy.

— Jeśli mi pan dasz słowo — odrzekł młody adwokat — że porzucisz złowrogi zamiar, który powziąłeś. Gdybyś pan był winny, powiedziałbym panu: zgoda! I pierwszy podałbym ci broń. Samobójstwo byłoby ekspiacją. Będąc niewinny, nie masz pan prawa odbierać sobie życia, gdyż samobójstwo byłoby przyznaniem się do winy.

— Cóż więc robić?

— Bronić się, walczyć!

— Bez nadziei?

— Chociażby nawet bez nadziei. Czyż wobec nieprzyjaciela przyszła kiedy panu myśl odebrania sobie życia? Nie. A jednak wiedziałeś, że Prusacy byli liczniejsi i że prawdopodobnie będą zwycięzcami! Otóż teraz jesteś pan także wobec nieprzyjaciela, a choćbyś miał pewność, że zostaniesz zwyciężony, to jest skazany, jeszcze bym panu powiedział: Trzeba walczyć! Chociażbyś pan był skazany i w przededniu wejścia na rusztowanie, jeszcze bym panu powiedział: Trzeba żyć aż do tej chwili, gdyż przez ten czas może zająć wypadek, który odkryje prawdziwego zbrodniarza! A gdyby nawet nie zaszedł taki wypadek i tak bym panu powtarzał: Trzeba czekać na kata, ażeby z wysokości rusztowania zaprotestować przeciw omyłce sprawiedliwości, której pan padasz ofiarą i po raz ostatni oświadczyć, że jesteś niewinny!

Z wolna, słuchając pana Folgata, Jakub się wyprostował.

— Na honor przysięgam panu — rzekł — iż będę miał odwagę wytrwać do końca...

— Dobrze, bardzo dobrze! — zawołał pan Magloire.

— Ale cóż my pocniemy? — zapytał Jakub.

— Przede wszystkim — odrzekł pan Folgat — zamierzam rozpocząć na pańską korzyść tak niedokładnie przez pana Davelina przeprowadzone śledztwo. Dziś jeszcze wieczór pańska matka i ja odjeżdżamy do Paryża. Przyszedłem więc prosić pana o potrzebne mi wskazówki i o ułatwienie mi zbadania pańskiego domu na ulicy des Vignes i odszukania pańskiego przyjaciela, od którego pożyczyleś sobie nazwisko, oraz służącej, która u pana służyła...

Przerwało mu zgrzytnięcie zawiasów. Okiennica od okienka we drzwiach otworzyła się, a przez kratę ukazała się rumiana twarz Blanguina.

— Pani de Boiscoran jest w rozmównicy — rzekł — i prosi pana, abyś zszedł do niej, jak pan skończysz z tymi panami.

Jakub pobladł.

— Moja matka! — szepnął.

I zawołał zaraz na dozorcę:

— Nie odchodź pan, my zaraz skończymy.

Doznawał zbyt silnego wzruszenia, aby je mógł pohamować.

— Dzisiaj musimy na tym poprzestać, moi panowie — rzekł — teraz już nie mam na nic głowy.

Ale pan Folgat, jak to powiedział, postanowił tego wieczora jechać do Paryża. Rzekł zatem:

— Cała nasza nadzieja na pomyślny skutek polega na szybkości działania. Daruj pan zatem, aleja muszę nalegać na to, żebym mógł jeszcze dziś otrzymać od pana jakie takie objaśnienia, których koniecznie potrzebuję.

Jakub smutnie pokiwał głową.

— Zabierasz się pan do rzeczy niemożliwej do przeprowadzenia — rzekł.

— Bądź co bądź, zrób, czego żąda mój kolega — odezwał się pan Magloire.

Nie opierając się dłużej, a kto wie, może powodowany tajemną nadzieją, do której sam przed sobą się nie przyznawał, Jakub wtajemniczył młodego adwokata w najdrobniejsze szczegóły swoich stosunków z panią de Claudieuse.

Powiedział mu, o której godzinie przychodziła na ulicę des Vignes, którą, jak bywała zwykle ubrana.

Klucze od domu były w Boiscoran, w szufladzie, którą Jakub wskazał. Antoni łatwo mógł je znaleźć.

Powiedział następnie, w jaki sposób można się dowiedzieć, co się stało z owym Anglikiem. Sir Francis Burnett miał brata w Londynie. Jakub nie znał dokładnie jego adresu, ale wiedział, że prowadzi znaczne interesy z Indiami i że był niegdyś głównym kasjerem słynnego domu bankierskiego „Gilmour et Benson”.

Co się tyczy służącej Angielki, która była u niego przez trzy lata, Jakub wziął ją na chybił trafił, po prostu za rekomendacją biura pośrednictwa na przedmieściu św. Honoriusza i nigdy nie troszczył się o nią, tyle że płacił jej regularnie pensję i od czasu do czasu dawał jej prócz tego gratyfikację. Tyle tylko mógł powiedzieć, a i to tylko przypadkiem wiedział, że dziewczyna zwała się Lucy Wood, że była rodem z Folkestone, gdzie jej rodzice mieli oberżę i że zanim przybyła do Francji, mieszkała w Liverpoolu, gdzie była pokojową w hotelu „Adolffi”.

Pan Folgat starannie spisał wszystkie te wiadomości.

— Będzie tego dosyć na rozpoczęcie kampanii — zawołał — teraz pana poproszę tylko jeszcze o adresy kupców, którzy panu dostarczali towary.

— Znajdziesz pan ich spis w małym pugilaresiku, który leży w tej samej szufladzie co klucze. Tam są także wszelkie papiery dotyczące się domu. Zresztą może dobrze by było, żebyś pan wziął ze sobą Antoniego, który jest do mnie bardzo przywiązany.

— Naturalnie, że go wezmę, skoro pan na to pozwala — rzekł młody adwokat. I chowając notatki dodał:

— Moja podróż nie potrwa dłużej niż trzy do czterech dni, a po moim powrocie stosownie do okoliczności obmyśliliśmy plan obrony. A tymczasem odwagi, kochany kliencie!

Po czym zawołał na Blanguina, żeby im otworzył drzwi i uściskawszy rękę Jakuba, pan Folgat i pan Magloire wyszli.

— I co, pójdziemy teraz na dół? — zapytał dozorca.

Ale Jakub nie odpowiedział.

Pragnął z głębi serca odwiedzin matki, a teraz, kiedy ją miał zobaczyć, zdjęła go nieokreślona trwoga. Ostatni raz widział się z nią w Paryżu, w salonie pięknego pałacu Boiscoranów. Odjeżdżał wtedy z sercem pełnym nadziei i radości, a matka powiedziała mu przy rozstaniu: „Tak więc zobaczymy się w przeddzień twojego ślubu”.

A tymczasem miał ją teraz zobaczyć w rozmównicy więzienia, w którym siedział oskarżony o najokropniejszą zbrodnię! I ona może nie wierzy w jego niewinność!

— Proszę pana, pani margrabina czeka — odezwał się po chwili dozorca.

Jakub zadrżał.

— Dobrze, chodźmy! — odpowiedział, a idąc po schodach, myślał tylko o tym, jak ułożyć twarz i uzbroić się w odwagę i zimną krew.

— Nie trzeba — myślał sobie — żeby matka poznała całą okropność położenia.

Gdy zeszli ze schodów, Blanguin wskazując jedne drzwi, rzekł:

— Oto rozmównica. Gdy pani margrabina będzie chciała odejść, zawołasz pan na mnie.

Jakub zatrzymał się na progu.

Rozmównica więzienia w Sauveterre to ogromna sala, oświetlona dwoma wąskimi oknami, opatrzona podwójnymi silnymi kratami. Sprzętów w niej żadnych oprócz ordynarnej ławki, wprawionej w mur wilgotny i brudny.

Na tej ławce, w pełnym świetle, siedziała jakby omdlała i pozbawiona czucia margrabina de Boiscoran.

Spostrzegłszy ją Jakub, zaledwie zdobył się na tyle siły, żeby nie krzyknąć z bólu i przerażenia.

Byłaż to jego matka, ta kobieta stara i wychudła, z ołowianą cerą, z zaczerwienionymi oczami i drżącymi rękami?

— O mój Boże! — szepnął.

Ona usłyszała go, gdyż podniosła głowę i poznawszy go, chciała się podnieść; ale siły ją zawiodły i upadła ciężko na ławkę, wołając:

— Jakubie, synu mój!

Ona także przeraziła się ujrawszy, co zrobiły z Jakuba dwa miesiące cierpień i bezsenności.

Ale on klęczał już u jej stóp na zabłoconej podłodze i zaledwie zrozumiałym głosem wyjąkał:

— Czy przebaczysz mi, matko, te okropne cierpienia, które ci sprawiam?

Ona popatrzyła na niego przez chwilę z bólem, a potem chwytając go za głowę i ściskając ją z namiętną gwałtownością, zawołała:

— Czy ci przebaczę! Niestety, cóż ja ci mam do przebaczenia! Nawet gdybyś popełnił zbrodnię, kochałabym cię, a ty jesteś niewinny!

Jakub odetchnął swobodniej. Po tonie głosu matki zrozumiał, że nie wątpiła o nim.

— A ojciec? — zapytał.

Blade lica margrabiny okraślił przelotny rumieniec.

— Zobaczę się z nim jutro — odrzekła — gdyż jadę dziś wieczór z panem Folgatem.

— Jak to! Taka słaba i jedziesz!

— Trzeba koniecznie.

— Czyż ojciec nie mógłby porzucić swoich zbiorów na jakiś tydzień! Dlaczego nie ma go tutaj? Czy on sądzi, że ja jestem zbrodniarzem?

— Owszem, dlatego tylko został w Paryżu, iż jest przekonany o twojej niewinności. Nie sądzi, żebyś mógł być w niebezpieczeństwie. Powiada, że sprawiedliwość nie może się omylić.

— Zapewne! — rzekł Jakub z wymuszonym uśmiechem.

A potem zmieniając ton, zapytał:

— A Dioniza, dlaczego z tobą nie przyszła?

— Bo ja na to nie pozwoliłam. Ona nie wie o niczym. Ułożyliśmy się, że nie wspomniemy przy niej nazwiska pani de Claudieuse, a ja chciałam pomówić z tobą o tej okropnej kobiecie. Jakubie, dziecko moje, gdzież cię to zawiodła występna namiętność!

On nic nie odpowiedział.

— Czy ją kochałeś?

— Zdawało mi się, że ją Kocham...

— A ona?

— Ach! Ona! Bóg tylko może znać tajemnice tej mętnej duszy.

— Więc po niej niczego spodziewać się nie można: ani litości, ani wyrzutów sumienia?

— Niczego. Porzuciłem ją i ona się zemściła. Uprzedziła mnie o tym...

Pani de Boiscoran westchnęła.

— Tak sobie też myślałam. Zeszłej niedzieli, kiedy jeszcze o niczym nie wiedziałam, znalazłam się obok niej w kościele i mimo woli podziwiałam jej spokój, czystość jej spojrzenia, szlachetność i prostotę jej postawy. Wczoraj, dowiedziawszy się prawdy, zadrżałam. Zrozumiałam, jak straszna musi być kobieta, która umie przybrać takie pozory w chwili, gdy jej kochanek jest w więzieniu oskarżony o zbrodnię, którą ona popełniła.

— Nic w świecie, mamó, nie zdoła jej zmieszać!

— Jednak ona musi drzeć na myśl, że ty wszystko nam powiedziałaś. Czegóż to trzeba, żeby ją zdemaskować!

Ale czas uchodził i Blanguin niebawem się ukazał, oświadczając pani de Boiscoran, że już czas odejść.

Jakoż odeszła, ucałowałszy syna po raz ostatni.

I tego samego wieczora, tak jak było ułożone z panem Folgatem i ze starym Antonim, odjechała do Paryża.

Wszyscy w Sauveterre, zarówno pan de Chandore, a nawet sam Jakub, oczerniali margrabiego de Boiscorana.

Prawda, że upierał się przy swoim pobycie w Paryżu, ale z pewnością nie czynił tego przez obojętność, gdyż umierał z niepokoju.

Nie przyjmował u siebie zupełnie nikogo, nawet najstarszych przyjaciół swoich, nawet tych, co handlowali rozmaitymi rzadkościami; nie wychodził, czekał jedynie na listy z Sauveterre. A codziennie z rana odbierał stamtąd trzy albo cztery: od margrabiny albo od pana Folgata, od pana Seneschala lub od pana Magloire'a, od pana de Chandore, od Dionizy, a nawet od doktora Seignebosa.

Tak więc, choć z daleka, wiedział o najdrobniejszych przejściach i szczegółach sprawy Jakuba.

Na stole leżały ułożone wszystkie listy z Sauveterre; on czytał je wciąż, porównywał między sobą, komentował każdy niemal frazes, usiłując nadaremnie wykryć prawdę w tej masie szczegółów i objaśnień.

W tej chwili bowiem daleki był od owej pewności, jaką zrazu okazał. Każdy dzień budził w nim nowe wątpliwości, każda przesyłka wprawiała go w nową niepewność.

Pewnego ranka siedział w swoim gabinecie, a było to bardzo wcześnie. Czekał właśnie niespokojnie na wiadomość o rozmowie Jakuba z adwokatem.

I dwa razy już dzwonił, zapytując się, czy nie przyniesiono listu, gdy wtem nagle wszedł jego kamerdyner i rzekł z przerażoną miną:

— Proszę pana margrabiego, pani margrabina przyjechała, a z nią Antoni, służący pana Jakuba...

Jeszcze nie skończył, gdy już weszła margrabina, jeszcze mizerniejsza niż była wczoraj w rozmównicy więziennej, bo zmęczona nocną podróżą.

Margrabia zerwał się na jej widok. I jak tylko kamerdyner wyszedł, drżącym głosem, tym głosem, który pragnie, a jednak obawia się stanowczej odpowiedzi, zapytał:

— Czy stało się coś nadzwyczajnego?

— Tak jest.

— Szczęśliwego czy nieszczęśliwego?

— Smutnego!

— Boże wielki!... Czyż Jakub się przyznał?

— Jakże miałby się przyznać, kiedy jest niewinny!

— A więc wytłumaczył się.

— Dla mnie, dla pana Folgata, dla doktora Seignebosa, dla nas wszystkich, którzy go znamy i którzy go kochamy, wytłumaczył się dostatecznie. Ale niedostatecznie dla publiczności, dla nieprzyjaciół, dla sądów. Wyjaśnił wszystko, ale nie ma dowodów.

Pochmurna twarz margrabiego spochmurniała jeszcze bardziej.

— Innymi słowy trzeba mu wierzyć na słowo.

— Czyż mu nie wierzysz?

— Tu nie o mnie chodzi, ale o sędziów!

— Toteż dla sędziów wyszuka się dowody. Pan Folgat, który przybył jednym pociągiem ze mną i który tu będzie jeszcze dzisiaj, spodziewa się je znaleźć...

— Dowodów czego?

Może być, że pani de Boiscoran obawiała się takiego przyjęcia. Musiała się na nie przygotować, a jednak była nim zmieszana.

— Jakub — zaczęła — był kochankiem hrabiny de Claudieuse.

— Ach! Ach! — przerwał jej margrabia.

I tonem obrażającej ironii dodał:

— Jakaś historia cudzołóstwa.

Margrabina nie odpowiedziała.

— Pani de Claudieuse — mówiła dalej — dowiedziawszy się, że Jakub się żeni, a ją porzuca, postanowiła się zemścić!

— I żeby się zemścić, chciała zamordować męża?

— Chciała być wolna.

Margrabia de Boiscoran, zakławszy straszliwie, przerwał żonie.

— I to jest wszystko, co Jakub znalazł na swoje usprawiedliwienie! — zawołał. — Więc dlatego tak uparcie milczał, żeby w końcu wystrzelić z tą historią!

— Nie pozwolisz mi mówić, moj kochany... Nasz syn jest ofiarą niesłychanego zbiegu okoliczności.

— Tak! Zapewne! Niesłychany zbieg okoliczności, to wieczna śpiewka tych tysięcy zbrodniarzy, których sądy corocznie skazują. Czy myślisz, że oni się przyznają? Nigdy w życiu! Zapytaj się ich. Wszyscy ci będą dowodzić, że są ofiarami przypadku, jakiejś tajemniczej intrygi, wreszcie omyłki sądowej. Jak gdyby w naszej epoce mogły istnieć omyłki sądowe!

— Zobaczysz się z panem Folgatem; on ci opowie swoje nadzieje.

— A jeśli one zawiodą?

Pani de Boiscoran spuściła głowę.

— Cóż wtedy? — nalegał margrabia.

— I tak nie będzie jeszcze wszystko stracone; ale wtedy spotka nas ta wielka boleść, że naszego syna ujrzymy przed sądem przysięgłych.

Wysoka postać margrabiego wyprostowała się nagle, twarz jego poczerwieniała, nozdrza mu się rozděły, straszny gniew błyszczał w jego oczach.

— Jakub przed sądem przysięgłych! — krzyknął okropnym głosem. — I ty mi to mówisz z zimną krwią jako rzecz całkiem naturalną, jako rzecz możliwą! A co się stanie, jeżeli on będzie skazany i jeden z Boiscoranów pójdzie na galery! Nie twierdzą, żeby Boiscoran nie mógł popełnić zbrodni, namiętność miewa niesłychane pokusy... Tylko że Boiscoran opamiętawszy się, sam by sobie wymierzył sprawiedliwość, krew zmywa wszystko... Tymczasem Jakub woli kata, czeka, bierze się na wybiegi, chce się bronić... Byleby tylko ocalał głowę, będzie zadowolony. Będzie się uważał za szczęśliwego, jeżeli się okupi kilku latami ciężkich robót... I ten nikkzemnik miałby być Boiscoranem, moja krew miałaby płynąć w jego żyłach! Nigdy w życiu! Moja pani, Jakub nie jest moim synem!

Choć taka przygnębiona, margrabina wyprostowała się pod tą okropną obelgą.

— Mój panie! — zawołała.

Ale pan de Boiscoran nie był w stanie słuchać, co ona mówi.

— Ja wiem, co mówię — rzekł. — Pamiętam wszystko, jeśli pani zapomniałaś o wszystkim. Spójrzmy w twoją przeszłość... Przypomnij sobie datę urodzenia Jakuba i powiedz mi, w którym to roku pan de Margeril nie chciał mi stanąć do pojedynku!

Oburzenie wróciło siły margrabinie.

— I ty dzisiaj mówisz mi te rzeczy! — zawołała. — Po trzydziestu latach i w jakich jeszcze okolicznościach? Boże wielki!

— Tak jest, po trzydziestu latach! I właśnie gdyby nie te okoliczności, które pani wspominasz, nie byłbym pani nigdy nic powiedział. W czasie, o którym mówię, miałem dwie role do wyboru: mogłem zostać albo śmieszny, albo okropny. Wolałem milczeć i nie wyjaśniać moich domysłów. Moje szczęście przepadło na zawsze, chciałem zachować przynajmniej spokój. Żyliśmy w dobrych stosunkach, ale między nami niby mur żelazny wznosiło się zawsze podejrzenie. Podejrzewając milczałem... Ale dziś, kiedy fakty świadczą o słuszności moich podejrzeń, powtarzam: Jakub nie jest moim synem!

W iluż to ludziach, na pozór spokojnych i szczęśliwych, spoczywają na dnie, niby subtelną trucizną na dnie pucharu takie podejrzenia, które przy najmniejszym wstrząsie wydobywają się na wierzch.

Nie posiadając się z bólu, wstydu i gniewu, margrabina de Boiscoran załamała rękę.

— Co za upokorzenie! — zawołała. — Pańskie postępowanie jest okropne. To niegodne ciebie, dodawać taką straszną boleść do cierpień, które znoszę!

— A czyż to ja stworzyłem takie położenie!

— A więc prawda, tak jest. Była chwila, w której byłem nierozsądny. Byłem wtedy młoda, nie znałam życia, świat mi zawrócił głowę, a ty, mój mąż, uioj przewodnik, oddany swoim ambitnym zachciankom, zdawałeś się mnie zupełnie opuszczać... Nie mogłam przewidzieć następstw niewinnej w gruncie kokieterii...

— Ale teraz pani widzisz te następstwa. Po trzydziestu latach wypieram się dziecka, które nosi moje nazwisko i powiadam, że jeżeli ono jest niewinne, to pokutuje za winę swojej matki. Syn pani uwiódł cudzą żonę i słuszne jest, aby zginął przez cudzołóstwo...

— Ależ pan wiesz dobrze, że ja nie zdradziłam moich obowiązków!

— Ja nic nie wiem...

— Przyznałeś to pan przecie, skoro nie chciałeś dopuścić wyjaśnień, które by mnie były usprawiedliwiły...

— To prawda, cofnąłem się przed wyjaśnieniami, które przy twojej dumie musiałyby doprowadzić do zerwania, to jest do okropnego skandalu...

Margrabina mogła była odpowiedzieć mężowi, że nie pozwalając się jej usprawiedliwić, tym samym zrzekł się prawa czynienia jej zarzutów... Ale na co by się to przydało!

— To tylko wiem — mówił dalej margrabia — że jest na świecie człowiek, którego chciałem zabić. Gadanina dwóch głupców wydała mi jego nazwisko. Poszedłem do niego, mówiąc, że żądam od niego satysfakcji i że liczę na jego honor, że prawdziwy powód naszego pojedynku nawet dla świadków pozostanie tajemnicą. Odmówił mi, twierdząc, że pani została spotwarzona, i że nie będzie się bił ze mną, chyba, że go znieważę publicznie.

— A więc!

— Cóż było robić po tym wszystkim? Szpiegować was? Byłoby to poniżyć siebie i to bezowocnie, gdyż mieliście się na ostrożności. Mogłem pociągnąć panią przed kratki sądowe, wydawać panią na sarkazmy mego adwokata, a sam wystawić się na szyderstwa twoje-

go... Miałem prawo okryć nas oboje wstydem, zbezcześcić moje nazwisko, rozgłosić twoją hańbę, rozdrukować ją po dziennikach. .. Ach, tysiąc razy wolałem być oszukany...

Pani de Boiscoran zdawała się być tym przybita.

— To jest wyjaśnienie twego postępowania przez tyle lat — szepnęła.

— Tak jest. Dlatego to wycofałem się ze spraw publicznych, ja, którego nazwałaś pani ambitnym. Dlatego usunąłem się od świata, gdzie zdawało mi się, że na każdym kroku widzę szydercze uśmiechy... Dlatego, oddawszy pani nadzór nad wychowaniem twego syna i rządu naszego domu, stałem się zaciekle zbieraczem starych rupieci, samolubnym dziwakiem, za jakiego mnie mają!... A pani dziś dopiero odkryłaś, żeś mi zepsuła całe życie?

Więcej współczucia niż gniewu było w spojrzeniu, którym pani de Boiscoran obrzuciła swego męża.

— Mówiłeś mi o swoich niesłusznym podejrzaniach, ale sądziłam, że czas i moje postępowanie zatarły je dawno.

— Zaufanie raz utracone nie wraca nigdy...

— Nigdy nie przyszła mi do głowy ta straszna myśl, że wątpiłeś, że mogłeś wątpić o swoim ojcostwie!

Margrabia potrząsnął głową.

— A jednak tak było — rzekł. — Cierpiałem okropnie. Kochałem Jakuba. Tak jest, mimo tego wszystkiego, mimo mojej woli, kochałem go! Bo czyż nie posiadał wszystkich przymiotów, które stanowią zaszczyt rodziny? Czyż nie był dumny i wspaniałomyślny, przystępny wszelkim szlachetnym uczuciom, kochający i zawsze dbały o to, aby mi się przypodobać. Ciągłe wieszono mi takiego syna. Chwalono jego inteligencję, jego pracowitość. Niestety! Właśnie wtedy, kiedy mi mówiono, że jestem szczęśliwym ojcem, ja byłem najniezszczęśliwszym z ludzi. Ileż to razy zdarzyło mi się wskutek nieprzepartego pociągu przyciągnąć go do serca! Ale w tej chwili straszne podejrzenie budziło się we mnie. A jeśli on nie jest moim synem! Odpychałem go od siebie, a w jego rysach upatrywałem podobieństwo do tamtego...

Gniew wyczerpywał się w nim. Zaczął mięknać. I rzuciwszy się w fotel, zakrywszy twarz rękami, szeptał:

— A jeśli on jednak jest moim synem? Jeżeli jest niewinny! Ta niepewność jest okropna!... A ja uparłem się, żeby się stąd nie ruszyć. Nic nie zrobiłem dla niego! A z początku zaraz mogłem wszystko. Tak łatwo byłoby mi przyszło sprawić, aby śledztwo poruczone było komu innemu, nie temu Gal-pin-Davelinowi.

Pan de Boiscoran słusznie powiedział: duma margrabiny była wielka. A jednak, zraniona najokrutniej, jak tylko kobieta może być zraniona, stłumiła w sobie całe oburzenie i myśląc tylko o synu pozostała pokorna.

I wydobywszy list, który jej Jakub przysłał tego wieczora, kiedy miała wyjeżdżać, podała go mężowi, mówiąc:

— Czy zechcesz pan przeczytać, co nasz syn pisze do ciebie?

Drżącą ręką wziął margrabia ten list i rozdarłszy kopertę zaczął czytać:

Miałżebyś mnie opuścić, Ojczy, w chwili, gdy wszyscy mnie opuszczają? Twoja przychylność nigdy nie była mi potrzebniejsza. Zagroza mi wielkie niebezpieczeństwo. Wszystko obraca się przeciwko mnie. Niepodobna sobie wyobrazić tak fatalnego zbiegu okoliczności. Może niepodobna mi będzie dowieść mojej niewinności. Ale czyż podobna, żebyś Ty przypuszczał, że Twój syn winien jest zbrodni bezrozumnej i nikczemnej?! Prawda, że nie? Moje postanowienie jest niezłomne, będę walczył do ostatka... Do ostatniego tchnienia będę bronił nie mego życia, ale mego honoru... Gdybyś Ty wiedział!... Ale są rzeczy, których się nie pisze i które tylko swojemu Ojcu można powiedzieć... Zaklinam Cię, przybywaj niech Cię zobaczę, niech uścisknę Twoją rękę... Nie odmawiaj tej ostatniej pociechy Twemu nieszczęśliwemu synowi...

Margrabia zerwał się z krzesła.

— Oh!... tak, bardzo nieszczęśliwemu! — zawołał.

I kłaniając się swojej żonie, rzekł:

— Przerwałem pani; teraz proszę dopowiedzieć mi resztę...

Miłość matki przytłumiła żal kobiety.

Bez cienia wahania, jak gdyby nic nie zaszło, pani de Boiscoran powtórzyła mężowi to, co Jakub opowiadał panu Magloire'owi.

Margrabia wyglądał jakby ogłuszony.

— To niesłychane! — powtarzał.

A gdy skończyła, rzekł:

— Dlatego Jakub tak był zawsze rozdrażniony, kiedyś mu pani mówiła, że chcesz zaprosić panią de Claudieuse, a nawet powiedział, że gdyby ją zobaczył wchodzącą jednymi drzwiami, on wyszedłby drugimi... Nie mogliśmy zrozumieć tej jego odrazy...

— Niestety! Nie była to odraza. Jakub robił to wskutek przebiegłej ostrożności pani de Claudieuse.

Przez minutę może najsprzeczniesze postanowienia można było wyczytać na twarzy margrabiego. Wahał się, nareszcie rzekł:

— Wszystko, co jest w mojej mocy, uczynię dla naprawienia mojej dotychczasowej bezczynności. Pojadę do Sauveterre. Jakub musi być ocalony. Pan de Margeril jest wszechmocny; idź do niego, pozwalam ci, żądam tego od ciebie...

Dwie gorące łzy, pierwsze podczas całej tej sceny, potoczyły się z oczu margrabiny.

— Czyż pan nie pojmujesz — rzekła — że to, czego żądasz, jest dla mnie teraz niepodobieństwem? Tak, wszystko na świecie z wyjątkiem tego! Ale Jakub i ja jesteśmy niewinni; Bóg ulituje się nad nami, pan Folgat nas uratuje.

Pan Folgat już zabrał się do dzieła. Przekonanie o niewinności Jakuba, chęć zbadania tajemnicy, gorączka walki niepewność rezultatu, wszystko się składało na zapal i aktywność

młodego adwokata. A ponad tym wszystkim jeszcze unosiło się, tajemnicze uczucie dla panny de Chandore.

Trzeba bowiem wiedzieć, że i on, podobnie jak wszyscy, uległ jej urokowi. Nie była to miłość, gdyż miłość łączy się z nadzieją, a on wiedział dobrze, że panna Dioniza niepodzielnie i na zawsze należała do Jakuba; było to uczucie potężne a słodkie, które sprawiało, że pragnął poświęcić się dla niej, pragnął być czymś w jej życiu i szczęściu.

Dla niej, poświęcając własne interesy i zapominając o innych klientach pozostał w Sauveterre. Dla niej przede wszystkim chciał ocalić Jakuba.

Zaledwie przybył na stację, oddał margrabinę pod opiekę starego Antoniego, a sam wskoczył do dorożki i kazał się wieźć do domu.

W mgnieniu oka przebrał się i wsiadłszy na powrót do powozu pojechał odszukać człowieka, który by mógł wyjaśnić tę tajemniczą intrygę.

Był to niejaki Goudar, który miał przy prefekturze jakieś zajęcie, bardzo niejasno określone, ale bardzo dobrze wynagradzane. Był to jeden z tych agentów do wszystkiego, których policja zachowuje do działań wymagających delikatności, do drażliwych wypadków, w których trzeba posiadać zarazem i węch i takt, nieustraszoną śmiałość i zimną krew.

Goudar, który był ojcem rodziny, mieszkał na końcu świata, bo przy drodze wersalskiej, tuż pod fortyfikacjami.

Zajmował ze swoją rodziną mały domek, który był jego własnością. Od gościńca był ogródek, a z drugiej strony wielki ogród, w którym Goudar uprawiał rośliny, hodował przepyszne owoce i wszelkiego rodzaju zwierzęta.

Gdy pan Folgat wysiadł z powozu przed tym pięknym mieszkaniem, młoda, dwudziesto-sześcioletnia kobieta, błyszcząca pięknnością, młodością i świeżością, bawiła się w ogródku z dziewczynką, mogącą mieć trzy albo cztery lata, śliczną, różową blondyneczką.

— Czy zastałem pana Goudara, proszę pani? — zapytał kłaniając się pan .Folgat.

Młoda kobieta zarumieniała się i skromnie, ale bez zakłopotania odrzekła:

— Mąż jest w ogrodzie; spotkasz go pan idąc tą aleją, która okrąża dom.

Udawszy się za tą wskazówką, młody adwokat znalazł niebawem tego, kogo szukał.

W słomianym kapeluszu na głowie, w pantoflach i bez tużurka, opasany w niebieski fartuch ogrodniczy, Goudar stał na drabinie i składał w włosiane worki pyszne winogrona.

Usłyszawszy piasek skrzypiący pod nogami obejrzał się i zawołał:

— Co widzę! Pan Folgat u mnie! Witam pana mecenas!

Młody adwokat zdziwił się, że Goudar go od razu poznał. Upłynęły przeszło trzy lata od czasu, jak się widzieli i to najwyżej godzinę za dwoma razami.

Goudar był średniego wzrostu, ani otyły, ani chudy, ani brunet, ani blondyn, ani młody ani stary. Urzędnik od paszportów byłby niezawodnie nakreślił taki jego rysopis: czoło zwyczajne, nos zwyczajny, usta zwyczajne, oczy koloru niezdecydowanego, znaków szczegól-

nych brak. Wszystko było w nim zwyczajne, mierne, niezdecydowane. Mógł wszędzie przejść niepostrzeżony, a gdy przeszedł, każdy o nim zapominał.

— Zastajesz mnie pan przy winobranii — rzekł do pana Folgata. — Miłe to zajecie; ale jestem na pańskie usługi, zaraz schodzę.

Jakoż niebawem skończył swoją robotę i pokazawszy panu Folgatowi swój ogród, zaprowadził go do altany, w której stał stół i ogrodowe stołki.

— Teraz siadajmy — rzekł — i niech mi mecenas raczy powiedzieć, jaki interes sprowadza go do mnie, gdyż nie przybyłeś tu pan z pewnością jedynie w celu podziwiania mego ogrodu...

Goudar w życiu słyszał więcej zwierzeń aniżeli dziesięciu spowiedników, dziesięciu adwokatów i dziesięciu doktorów razem. Można mu było wszystko powiedzieć.

Bez cienia też wahania, jednym tchem pan Folgat opowiedział mu historię Jakuba i hrabiny de Claudieuse.

On słuchał w milczeniu, nieruchomy; żaden mięsień na jego twarzy nie drgnął. A gdy adwokat skończył, zapytał tylko:

— Cóż tedy?

— Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, jakie to zrobiło na panu wrażenie. Czy uważasz pan tłumaczenie się pana de Boiscorana za prawdopodobne?

— Dlaczego nie? Widziałem, dalibóg, dużo gorsze rzeczy!

— A więc sądzisz pan, że mimo tylu ciężących na nim zarzutów, trzeba wierzyć w jego niewinność?

— Przepraszam, ja nic nie sądzę. Cóż u licha, trzeba przecie zbadać sprawę, zanim się o niej wypowie!

Potem uśmiechnął się i spoglądając na młodego adwokata, rzekł:

— Ale bez tych wstępów. Czego pan żądasz ode mnie?

— Pańskiej pomocy w wykryciu prawdy!

Goudar spodziewał się naturalnie podobnej propozycji. Po chwili więc namysłu, wpatrując się ostro w pana Folgata, odezwał się:

— Jeżeli pana dobrze rozumiem, chciałbyś pan przeprowadzić śledztwo na korzyść oskarżonego.

— Tak jest.

— I bez wiedzy sądu!

— Naturalnie.

— W takim razie nie mogę panu służyć.

Młody adwokat zanadto rozumiał się na interesach, żeby nie miał przewidzieć pewnego oporu i przygotował sobie środki do przewyciężenia go.

— To przecież nie ostatnie twoje słowo, panie Goudar — rzekł.

— Przepraszam pana. Ja nie zależę od siebie, mam urzędowanie i codzienne zajęcia...

— Możesz pan zażądać i nie odmówią panu z pewnością miesięcznego urlopu...

— To prawda. Ale nie ulega też wątpliwości, że żądanie urlopu zwróci uwagę prefektury. Prawdopodobnie będą mnie śledzić. A gdyby odkryto, że prowadzę śledztwo na rachunek osób prywatnych, zmyto by mi potężnie głowę i podziękowano by mi za moje usługi.

— Och!...

— Nie ma tu żadnego och! Zrobiono by z pewnością to, co mówię i postąpiono by słusznie. Bo koniec końców, dokąd byśmy zaszli i co by się stało z bezpieczeństwem i wolnością osobistą, gdyby pierwszy lepszy miał prawo brać sobie agentów prefektury i używać ich wedle swojej fantazji. A cóż by się ze mną stało, gdybym stracił moją posadę!

— Rodzina pana de Boiscorana jest bogata i wspaniale odwdzięczyłaby się człowiekowi, który by go ocalił...

— A gdybym go nie ocalił! A gdybym zamiast dowieść jego niewinności, zebrał jedynie nowe dowody jego winy?

Zarzut był tak silny, że pan Folgat nie myślał go nawet zbijać.

— Mógłbym złożyć panu pewien zadatek — rzekł — który zostałby pańską własnością, bez względu na rezultat...

— Jaki zadatek? Może jakie sto luidorów? Zapewne, to nie do odrzucenia, ale cóż bym z nimi zrobił, gdybym osiadł na bruku? Ja mam żonę i dziecko, a cały mój majątek stanowi ten domek, który nawet nie jest zupełnie zapłacony. Żona moja, która jest sierotą, za cały posąg miała tylko umiejętność cerowania koronek i kaszmirów. Moja posada nie jest to wprawdzie żadne Peru, ale...

Adwokat powstrzymał go przyjacielskim gestem.

— Gdybym panu ofiarował dziesięć tysięcy franków?

— To roczna pensja...

— A gdybym ofiarował piętnaście tysięcy?

Goudar nie odpowiedział, ale oczy mu się zaświeciły.

— Sprawa pana de Boiscorana jest bardzo interesująca — mówił dalej pan Folgat — jedna z tych, co się nieczęsto trafiają. Człowiek, który by zdołał wykazać nicość oskarżenia, podniósłby niezmiernie swoją reputację...

— Czy zrobiłby sobie także przyjaciół w trybunale?

— Przyznam się, że nie sędzę.

Urzędnik policyjny potrząsnął głową.

— A ja się znów przyznam — rzekł — że nie pracuję ani dla sławy, ani dla sztuki, tylko dlatego, że nie mam pieniędzy na rozpoczęcie czego innego. Żonę przyprawia to- o rozpacz: biedaczka umiera prawie ze strachu, ilekroć nie ma mnie w domu i drży zawsze z obawy, żeby mnie lada dzień nie przyniesiono do domu z nożem między łopatkami...

Pan Folgat tymczasem położył na stole mocno wypchany pugilares.

— Z tą sumą — rzekł — można coś przedsięwziąć...

— To prawda... Jest tu do sprzedania kawałek ziemi przytykający do mojego ogrodu, jakby naumyślnie dla mnie... Handel kwiatami opłaca się w Paryżu i bardzo by się podobał mojej żonie... Można też niezłe zarabiać i na owocach...

Adwokat zrozumiał, że już może być pewny pomyślnego skutku negocjacji.

— Dodaj do tego, kochany panie Goudar — rzekł — że w razie pomyślnego obrotu sprawy te piętnaście tysięcy franków byłyby tylko zaliczką. Może by ją podwojono. Pan de Boiscoran jest najwspaniałomyślniejszym z ludzi i prawdziwą radość sprawiłoby mu wynagrodzenie po królewsku człowieka, który by go ocalił.

Mówiąc to otworzył pugilares, wyjął z niego piętnaście banknotów po tysiąc franków, które rozłożył na stole.

— Komu innemu — mówił dalej — obawiałbym się złożyć naprzód tak znaczna sumę. Ale znam pańską uczciwość i jeżeli w zamian za te banknoty otrzymam pańskie słowo, będę spokojny... Cóż, zgoda?

Wzruszenie Goudara musiało być wielkie, gdyż choć tak umiał panować nad sobą, pobladł z lekka. Wahając się przekładał drżącą ręką banknoty, a potem nagle rzekł:

— Zaczekaj pan parę minut.

I pobiegł ku domowi.

— Idzie się poradzić żony? — pomyślał pan Folgat.

Tak było rzeczywiście, gdyż za chwilę ukazali się oboje na końcu alei, rozprawiając coś żywo. Rozmowa ta trwała niedługo. Wróciwszy do altany Goudar rzekł:

— A więc zgoda, jestem na pańskie usługi.

Adwokat z radością podał mu rękę.

— Dziękuję panu — zawołał — gdyż przy pańskiej pomocy jestem prawie pewny skutku... Na nieszczęście czas nagli. Kiedy zabierzemy się do dzieła?

— Natychmiast. Pozwol mi pan tylko zmienić ubiór, a gotów jestem służyć panu. Będiesz mi pan musiał dać klucze od domu na ulicy des Vignes...

— Mam je w kieszeni...

— Kiedy tak, to udamy się tam bezwłocznie.

Jakoż niespełna w kwadrans wrócił ubrany w długi czarny surdut, w rękawiczkach, przedstawiając wyborny typ tych zacnych kupców, którzy zrobiwszy majątek, wycofali się z handlu i których można spotkać w okolicach Paryża, włączających po słońcu nudę swojego próżniactwa i tęsknotę za sklepem.

— Jedźmy! — rzekł do adwokata.

I pożegnawszy panią Goudar, która ich odprowadziła rozpromienionym uśmiechem, wsiedli do powozu.

Dziwna to ulica, ta ulica des Vignes, która nigdzie nie prowadzi, jest mało znana i tak mało uczęszczana, że trawa rośnie na niej w najlepsze. Bardzo długa, ma kształt półkola, którego cięciwę stanowi ulica Boulainvilliers. Górzysta, kręta, błotnista, prawie nie brakowana, podobna jest raczej do wiejskiej uliczki, aniżeli do ulicy paryskiej. Sklepów na niej nie ma wcale, a domów jest zaledwie kilka; ale na prawo i na lewo ciągną się bez końca mury ogrodów, ponad którymi wznoszą się wielkie drzewa.

— Wybornie obrane miejsce na tajemnicze schadzki — mruknął Goudar. — Nawet za- nadto dobrze obrane, gdyż tu nie znajdziemy prawdopodobnie żadnych śladów.

Powóz zatrzymał się przed bramą wybitą w starym murze, na którym mnogie reparacje zdradzały zniszczenia. Domu nie było widać od ulicy, ale wszedłszy pan Folgat i Goudar ujrzeli go pośród ogromnego ogrodu. Był prosty a wykwintny; miał z dwóch stron balkony, dach kryty dachówką i świeżo pomalowane okiennice.

— Mój Boże! — zawołał urzędnik prefektury. — Jakaż to wyborna posiadłość dla ogrodnika!

Pan Folgat zrozumiał go i rzekł natychmiast:

— Jestem pewien, że jeżeli ocalimy pana de Boiscorana, nie będzie on nadal trzymał tego mieszkania.

— Chodźmy do środka! — zawołał agent tonem zdradzającym szczerą ochotę dopięcia celu.

Na nieszczęście Jakub de Boiscoran powiedział prawdę. Meble, obicia, dywany, wszystko tam było nowe i nadaremnie przeszukali cztery pokoje dolne i cztery na piętrze, sutereny, w których była kuchnia, nareszcie i strychy.

— Nie znajdziemy w tym domu żadnej wskazówki — odezwał się Goudar. Dla spokoju sumienia przyjdę tu kiedyś na pół dnia, ale dziś mamy pilniejsze rzeczy do zrobienia. Trzeba pogadać z ludźmi z tej okolicy...

Na ulicy des Vignes mieszkańcy są nieliczni.

Naczelnik instytucji i restaurator, ślusarz i wypożyczający powozy, pięciu albo sześciu właścicieli i nieunikniony winiarz, tworzą całą tutejszą ludność.

— Prędko odbędziemy nasz przegląd — odezwał się urzędnik policji, kazawszy dorożkarzowi odjechać i czekać na końcu ulicy.

Ani naczelnik instytucji, ani jej urzędnicy nic nie wiedzieli. Restaurator słyszał, że dom pod numerem 23 należy do jakiegoś Anglika, ale go nigdy nie widział i nie wiedział nawet, jak się nazywa.

Ślusarz wiedział, że ten Anglik nazywa się Franciszek Burnett. Dostarczał mu rozmaitej roboty, za którą mu bardzo dobrze płacił, miał więc sposobność widzenia go; ale to było już tak dawno, że twierdził, iż by go nawet nie poznał.

— Nie wiecie nam się — rzekł pan Folgat po tej wizycie.

Lepszą pamięć posiadał wypożyczający powozy. Znał on, jak powiadał, bardzo dobrze owego Anglika, gdyż woził go dwa albo trzy razy, a opisując go, opisał najdokładniej Jakuba. Przypominał sobie również, że jednego wieczoru, kiedy czas był okropny, pan Burnett sam we własnej osobie przyszedł do niego po powóz. Potrzebował go dla jakiejś damy, która weń wsiadła sama i kazała się zawieźć na plac Magdaleny. Ale noc była ciemna, pani ta miała gęsty woal u kapelusza, nie mógł więc widzieć jej twarzy i tylko tyle mógł powiedzieć, że mu się wydawała wyższego wzrostu niż średni...

— Jest to zawsze coś — rzekł Goudar wychodząc. — Ale lepsze wiadomości powinien mieć winiarz. Gdybym był sam, zjadłbym u niego śniadanie.

— Ja bardzo chętnie dotrzymam panu towarzystwa — oświadczył pan Folgat.

I tak też zrobili, co, jak się okazało, było bardzo rozsądne.

Winiarz sam niewiele wiedział, ale jego kelner, który mieszkał już kilka lat w tej dzielnicy, znał z widzenia pana Burnetta, ale daleko lepiej znał jego służącą Angielkę, Lucy Wood.

I podając, opowiadał mnóstwo szczegółów.

Lucy była to tęga dziewczka, rudowłosa, a zbudowana jak kirasjer przebrany za kobietę. Rozmawiał z nią często i długo, gdyż zachodziła tam na piwo, które bardzo lubiła.

Powiała, że jest bardzo zadowolona z miejsca, gdyż dobrze jej płacono, a nie miała prawie nic do roboty, bo przez trzy kwartały niemal każdego roku była w domu sama jedna.

Od niej kelner dowiedział się, że pan Burnett mieszka gdzie indziej i że na ulicę des Vignes przychodzi jedynie dlatego, żeby tam przyjmować jakąś damę.

Dama ta bardzo intrygowała Lucy. Powiała, że nigdy nie mogła jej zobaczyć, tak umiała mieć się na ostrożności, ale zapewniała, że ją koniec końców musi kiedyś obejrzeć...

— I bądź pan pewny, że ją obejrzała wcześniej czy później — szepnął Goudar do ucha panu Folgatowi.

Dowiedzieli się jeszcze, że Lucy żyła w bardzo ścisłej przyjaźni ze służącą pewnego starego kapitalisty, kawalera, mieszkającego pod nr 27.

— Trzeba iść do niej — rzekł Goudar.

Pan tej sługi właśnie wyszedł i ona była w mieszkaniu sama.

Przestraszona zrazu tą wizytą i pytaniami dwóch nieznanym ludzi, niebawem uspokoiła się wskutek komplementów Goudara, a że miała język obrotny, potwierdziła zupełnie i uzupełniła jeszcze to, co mówił kelner.

Lucy powiedziała jej, że pan Burnett nie był Anglikiem i nie nazywał się Burnett i że ukrywał się tylko pod tym nazwiskiem na ulicy des Vignes, aby tam przyjmować swoją dobrą znajomą, kobietę z wyższego świata, bardzo Piękną.

Nareszcie podczas wojny, kiedy opuszczała Paryż, Lucy mówiła jej, że udaje się do Anglii, do swej rodziny,...

Wychodząc z domu starego kapitalisty, Goudar rzekł do młodego adwokata:

— Nie dowiedzieliśmy się wielkich rzeczy i przysięgli nie poprzestaliby na tym. Ale jest to dostateczne do potwierdzenia, przynajmniej w części, opowiadania pana Jakuba de Boiscorana. Wiemy teraz z pewnością, że przyjmował jakąś kobietę, której bardzo chodziło o to, żeby się nie dać poznać. Czy to była, jak on twierdzi, pani de Claudieuse? Tego dowiedzielibyśmy się od Lucy, która z pewnością musiała ją widzieć. A więc trzeba ją odszukać. Teraz zaś siadajmy do powozu i jedźmy do prefektury. Pan poczeka na mnie w kawiarni w gmachu Trybunału. Nie zabawię dłużej jak kwadrans.

Bawił dobre półtorej godziny i pan Folgat zaczynał się już niepokoić, aż nareszcie zjawił się z miną bardzo zadowoloną.

— Kelner, szklanek wina! — zawołał.

I siadając naprzeciw adwokata, rzekł:

— Długo bawiłem, ale nie straciłem czasu na próżno. Naprzód otrzymałem urlop na miesiąc. Następnie zdybałem człowieka, o którym właśnie marzyłem, żeby go wysłać na odszukanie pana Burnetta i Lucy. Jest to dzielny chłopak, niejaki Barousse, sprytny jak rzadko, a mówi po angielsku, jakby się urodził w Londynie. Żąda oprócz kosztów podróży dwadzieścia pięć franków dziennie i tysiąc pięćset gratyfikacji, w razie gdy mu się wyprawa powiedzie. Mam się z nim zejść o szóstej, żeby mu dać stanowczą odpowiedź. Jeżeli się pan zatem zgadzasz na warunki, jeszcze dziś wieczór będzie w drodze do Anglii.

Za całą odpowiedź pan Folgat wy dobył banknot na tysiąc franków, mówiąc:

— Oto na pierwsze koszta.

— Kiedy tak — rzekł Goudar — to pożegnam pana mecenasa. Pójdę powłóczyć się po ulicy Fermedes-Mathurins, koło domu pana de Tassar de Bruc, ojca pani de Claudieuse. Może mi się uda coś podchwycić. Jutro poświęcę cały dzień na przeglądanie z lupą w rękę domu na ulicy des Vignes i na wypytanie kupców, których listę mi pan dałeś. Pojutrze prawdopodobnie skończę tutaj wszystko. A więc za cztery albo pięć dni ujrzysz pan w Sauveterre pewną figurę, która będzie mną.

A wstając, dodał:

— Boja muszę ocalić pana de Boiscorana, muszę koniecznie... Zanadto mi się podoba jego dom... A teraz do widzenia w Sauveterre.

Biła właśnie czwarta godzina.

Tuż za Goudarem wyszedł z kawiarni pan Folgat i udał się na ulicę Uniwersytecką. Spieszno mu było zobaczyć się z państwem de Boiscoran.

— Pani margrabina spoczywa — odpowiedział mu lokaj, do którego się udał — ale pan margrabia jest w swoim gabinecie. — Jakoż znalazł go tam rzeczywiście jeszcze do głębi wzruszonego okropną ranną sceną.

Na nieszczęście nie powiedział on swojej żonie nic, czego by nie myślał; ale był w rozpacz, że jej to powiedział w takich okolicznościach. A jednak czuł wielką ulgę, gdyż czuł się w części uwolniony od strasznych podejrzeń, które tyle czasu utrzymywał w tajemnicy.

Gdy ujrział wchodzącego adwokata, zapytał go zmienionym głosem:

— No i cóż?

Pan Folgat szczegółowo powtórzył opowiadanie margrabiny, ale oprócz tego powiedział o tym, o czym ona powiedzieć nie mogła, bo tego nie wiedziała, to jest o rozpaczliwych zamiarach Jakuba.

Usłyszawszy to, margrabia zawołał:

— Nieszczęśliwy! A ja go oskarżałem! Chciał sobie życie odebrać....

— Iz trudnością obaj z panem Magloirem zdołaliśmy go odwieść od tego postanowienia — dodał pan Folgat.

Wielka łza stoczyła się po twarzy pana de Boiscorana.

— Byłem okrutnie niesprawiedliwy — szepnął. — Biedne, nieszczęśliwe dziecko! — A potem dodał głośno:

— Ale ja się z nim zobaczę; postanowiłem towarzyszyć pani de Boiscoran do Sauveterre. Kiedy pan jedzie?

— Nic mnie już nie zatrzymuje w Paryżu; wszystko, co miałem tutaj zrobić, zrobiłem i mógłbym jechać jeszcze dziś wieczór. Ale jestem naprawdę bardzo znużony. Myślę więc jechać jutro, pociągiem odchodzącym o godzinie dziesiątej pięćdziesiąt.

— Kiedy tak, to pojedziemy razem, zgoda? A więc do widzenia jutro o dziesiątej na dworcu kolei orleańskiej. Staniemy w Sauveterre o północy.

Kiedy margrabina, w dniu swego odjazdu z Sauveterre szła odwiedzić syna, panna Dioniza chciała z nią pójść.

Gdy margrabina nie przystała na to, nie nalegała wcale. Poszła do salonu i usiadłszy w miejscu, w którym siadywała niegdyś, w owych szczęśliwych czasach, kiedy Jakub spędzał przy niej całe wieczory, siedziała tak całymi godzinami, nieruchoma, ze zmarszczonymi brwiami, jak gdyby ścigała wzrokiem w przestrzeni jakieś sceny niewidzialne dla innych.

Niepokoilo to niesłychanie dziadka Chandore i ciotki Lavarande. Znali oni bowiem Dionizę może lepiej, aniżeli ona znała samą siebie. Z jednego drgnięcia jej twarzy, z jednego ruchu, z intonacji głosu umieli odgadywać jej myśli.

Pan de Chandore po kilka razy pytał ją:

— O czym tak myślisz, moje dziecko?

— O niczym, kochany dziadziu.

— Jesteś jeszcze smutniejsza niż zwykle, dlaczegoż to?

— Mój Boże! Czy ja wiem? Czyż człowiek wie, dlaczego mu czasem słonecznie w sercu, a czasem znów pochmurnie?

Ale nazajutrz zażądała, aby ją odprowadzono do jej krawcowych, a że zastała tam Mechineta, więc naradzała się z nim o czymś dobre pół godziny. Potem, gdy wieczorem przyszedł doktor Seignebos, czatowała na chwilę, gdy będzie odchodził i długi czas rozmawiała z nim po cichu przy drzwiach.

Nareszcie nazajutrz poprosiła, aby jej pozwolono odwiedzić Jakuba.

Nie było powodu odmawiać jej tej smutnej przyjemności. Postanowiono, że starsza z ciotek Lavarande, panna Adelajda będzie jej towarzyszyć.

I o godzinie drugiej zapukały do bramy więzienia i zażądały od dozorczy widzenia z Jakubem.

— Biegnę natychmiast — odrzekł Blanguin. — Tymczasem raczcie panie wejść do mnie, gdyż rozmównica jest tak wilgotna, że im krócej panie w niej będziecie, tym lepiej.

Tak też zrobiła panna Dioniza, a raczej zrobiła więcej, gdyż zostawiwszy ciotkę Lavarande w izbie, sama pociągnęła panią Blanguin do górnej izdebki, mówiąc, że ma jej coś powiedzieć.

Gdy zeszły, Blanguin już wrócił oświadczając, że pan de Boiscoran czeka.

— Chodźmy — rzekła Dioniza pociągając za sobą ciotkę.

Ale nie zrobiły jeszcze i dziesięciu kroków w ciasnym korytarzu prowadzącym do rozmównicy, gdy się zatrzymała...

Przejęta na wskroś wilgocią, która spadała ze sklepień niby lodowaty całun pod nadmiarem strasznych wzruszeń zachwiała się i musiała się oprzeć o ścianę, na której wykwitiała saletra.

— Boże! Ona zasłabła! — krzyknęła panna Adelajda.

Panna Dioniza gestem nakazała jej milczenie.

— To nic — rzekła — cicho, ciociu.

I zebrawszy całą energię wsparła rączkę na ramieniu ciotki i dodała:

— Kochana ciociu, musisz nam oddać ogromną przysługę. Mam coś nadzwyczaj ważnego powiedzieć Jakubowi i byłoby bardzo źle, gdyby to ktoś usłyszał. Ja wiem, że w więzieniach podsłuchują nieraz rozmowy więźniów. Zostań więc, proszę cię, na korytarzu i ostrzeż nas, gdyby ktoś nadchodził. ..

— Zmiłuj się, moje dziecko, czyż to będzie przyzwoicie...

Dioniza przerwała jej znowu:

— A czy było przyzwoicie, kiedym tu spędziła całą noc? — rzekła. — Niestety! W naszym położeniu przyzwoity jest każdy krok, który jest pożyteczny.

Gdy ciotka Lavarande nie odpowiadała, pewna jej zgody poszła do rozmównicy.

— Dionizo! — krzyknął Jakub, gdy się ukazała na progu — Dionizo!

Stał wśród tej wielkiej, ponurej sali, bledszy od tynku na ścianach, ale spokojny na pozór i niemal uśmiechnięty.

Gwałt, który sobie zadawał, był okropny, ale czyż mógł pokazać swojej narzeczonej całą grozę swojej rozpaczki! Czyż nie powinien był zrobić wszystkiego, co było w jego mocy, aby ją uspokoić!

Zbliżył się do niej i chwytając ją za ręce mówił:

— Jakaś ty dobra, zanadto dobra, żeś przyszła! Spodziewałem się ciebie. Od rana dziś nadstawiałem ucha i drżałem za każdym skrzypnięciem bramy więzienia. Ale czy darujesz mi, iż aby mnie widzieć, musiałaś przyjść w miejsce tak brzydkie i brudne i nie mające w sobie nawet poezji okropności?

Ona wpatrywała się w niego tak uparcie, że w końcu słowa zamarły mu na ustach.

— Dlaczego udajesz przede mną, Jakubie? — zapytała smutno.

— Ja udaję przed tobą?

— Tak. Dlaczego udajesz ten spokój, tak daleki od twojej duszy i tę wesołość, która boli? Czyż tak mało mi ufasz? Czy sądzisz, że jestem dzieckiem, przed którym trzeba ukrywać prawdę, albo tak słabą istotą, że nie zdołam udźwignąć połowy naszych cierpień? Przestań się uśmiechać, Jakubie, bo ty nie masz już żadnej nadziei!

— Mylisz się, Dionizo, przysięgam ci!

— Nie, Jakubie. Ukrywają coś przede mną, spostrzegłam to i nie pytam się ciebie, co to takiego... To, co wiem, jest dla mnie wystarczające: jesteś zakwalifikowany przed sąd przysięgłych...

— Przepraszam cię, kwalifikacja jeszcze nie orzeczona...

— Ale będzie orzeczona!

Tak myślał i na tę myśl drżał i sam Jakub, a jednak trzymając się roli rzekł:

— A chociażby! To sąd przysięgłych mnie uniewinni...

— Czy jesteś tego zupełnie pewny?

— Mam za sobą dziewięćdziesiąt dziewięć szans na sto.

— A więc jest jedna przeciw tobie! — zawołało dziewczę.

I pochwyciwszy Jakuba za ręce i ściskając je z siłą, o jaką nikt by jej nie posądził, rzekła:

— Ty nie masz prawa narażać się nawet na tę jedną szansę!

Jakub zadrżał. Czy to możliwe? Czyją dobrze zrozumiał? Miałażby Dioniza przyjść po to, żeby mu doradzać ten czyn ostatniej rozpacz, którego kazali mu się zrzec jego obrońcy?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał zmienionym głosem.

— Chcę powiedzieć, że trzeba uciekać.

— Uciekać!

— Nic łatwiejszego. Zastanowiłam się nad tym, naradziłam, przewidziałam wszystko. Dozorcy są nasi. Porozumiałam się z żoną Blanguina. Wieczorem, gdy noc zapadnie, otworzą ci bramę. Osiodłany koń będzie czekał za miastem, a dalej będą oczekiwać inne, na zmianę. Siądziesz na konia i w cztery godziny będziesz w Roszeli. Tam jedna z tych łodzi pilotów, które mogą się puścić nawet na otwarte morze, weźmie cię na pokład i przewiezie do Anglii.

Jakub pokręcił głową.

— Nie, to niepodobna — szepnął. — Ja jestem niewinny. Nie mogę porzucić wszystkiego, co mi drogie, ciebie, Dionizo, ciebie...

Silny rumieniec pokrył lica młodej dziewczyny.

— Źle się wyraziłam, Jakubie — wyjąkała — nie pojedziesz sam.

On gwałtownym ruchem podniósł ręce ku niebu.

— Boże wielki! — zawołał. — Winienesz mi być tę zapłatę!

Tymczasem panna Dioniza, silniejszym już głosem, mówiła:

— Czyż miałeś mnie za tak nikczemną, że mogłabym opuścić przyjaciela, którego wszystko zdradza?... Nie, nie! Dziadek i ciotki Lavarande pojedą ze mną i połączymy się w Anglii. Zmienisz nazwisko, popłyniemy do Ameryki i w dalekich ziemiach z dala od miast i ludzi znajdziemy jakąś nieznaną okolicę, w której osiadziemy. Nie będzie to Francja, to prawda... Ale ojczyzna, Jakubie, to kraj, w którym człowiek jest wolny, gdzie jest kochany i gdzie żyje szczęśliwie!

Wzruszony aż do głębi swojej istoty, Jakub zrzucił maskę spokojnej obojętności.

Czyż był na świecie człowiek, który by pozyskał większy dowód poświęcenia i miłości? I to w chwili, gdy Jakub widział wszystko walące się dokoła siebie, gdy zbliżał się do najstraszniejszych otchłani rozpacz, spotykało go szczęście tak wielkie i tak niespodziewane, że jego dusza ugięła się pod nim.

Przez chwilę stał nieruchomy, osłupiały.

Potem nagle gwałtownym ruchem pociągnął ku sobie swoją narzeczoną, przytulił ją do piersi i okrywając pocałunkami jej włosy, szeptał:

— Bądź błogosławiona, moja najukochańsza! Bądź błogosławiona za twoją wierność w nieszczęściu. Nie będę się skarżył, bo cokolwiek się stanie, miałem już chwile niewypowiedzianego szczęścia!

Ona sądziła, że on się zgadza.

— Ustalmy więc dzień — rzekła.

— Jaki dzień?

— Twojej ucieczki.

To słowo przywołało Jakuba do rzeczywistości. Jego rozpromieniona twarz zachmurzyła się nagle i odezwał się chrapliwym głosem:

— Zbyt piękny sen marzyliśmy... Sen taki ziścić się nie może...

Biedne dziewczę spostrzegło, że się za wcześnie cieszyło.

— Co ty mówisz! — szepnęła.

— Nie mogę, nie powinienem, nie chcę uciekać!

— Odmawiasz mi, Jakubie?

Nic nie odpowiedział.

— Odmawiasz mi, kiedy ja ci przysięgam, że się połączę z tobą i będę dzielić z tobą wygnanie! Czy nie ufasz mojemu słowu? Czy się lękasz, że dziadek i ciotki zatrzymają mnie tutaj wbrew mojej woli?

Jakub czuł, że pod wpływem błagalnych tonów tego głosu jego energia mięknie i jego wola zaczyna się chwiać.

— Zaklinam cię, Dionizo — zawołał — nie nalegaj, nie odbieraj mi odwagi!

Musiła bardzo cierpieć. Oczy jej pałały dziwnym blaskiem. Suche wargi drżały.

— Więc ryzykujesz stanąć przed sądem przysięgłych? — zapytała się.

— Tak jest.

— A jeżeli zostaniesz skazany?

— Mogę zostać skazany, wiem o tym.

— To szaleństwo! — zawołała. — Jakubie, czy ty mnie nie kochasz? Dla mnie, jeżeli nie dla siebie, zaklinam cię, uciekajmy! To jedyny sposób uniknięcia hańby, to wolność, to zbawienie! Błagam cię! Czy mam ci paść do nóg?

I rzeczywiście osunęła się do nóg Jakuba.

— Uciekaj! — powtarzała. — Uciekaj!

Tak jak wszyscy ludzie prawdziwie energiczni, Jakub dzięki samemu nadmiarowi wzruszenia odzyskał zimną krew. Podniósł Dionizę i zaniósł ją na ławę w rozmównicy. Ukląkł przy niej, wziął ją za ręce i mówił:

— Dionizo, zaklinam cię, uspokój się i posłuchaj mnie... Jestem niewinny, a uciec, byłoby to samo, co przyznać się do winy...

— Ech! Co to szkodzi!

— Czy myślisz, że moja sprawa zostałaby wstrzymana? Byłbym sądzony zaocznie i bez rozprawy uznany za winnego, zostałbym skazany, zhańbiony, zbezczeszczonej nieodwołalnie...

— Co to szkodzi! — powtórzyła jeszcze Dioniza.

Wtedy on zrozumiał, że trzeba przemówić do niej w inny sposób, aby się opamiętała.

Powstał więc i pewnym głosem rzekł:

— Pozwól więc powiedzieć sobie, czego nie wiesz. Uciec byłoby łatwo, zgadzam się na to. Przypuszczam, że z łatwością dostaniemy się do Anglii, a nawet, że bez przeszkody siądziemy na okręt. Ale cóż dalej? Linia telegrafu podmorskiego jest szybsza od najszybszych statków i wysiadając na ląd amerykański z pewnością napotkam tam agentów mających polecenie aresztować mnie. Przypuśćmy jednak, że się wydobędę z tego pierwszego niebezpieczeństwa. Czy sądzisz, że gdziekolwiek na świecie jest miejsce schronienia dla Podpalaczy i morderców? Nie, nie ma go nigdzie! Na najostatniejszych kresach cywilizacji jeszcze napotkałbym policję i żołnierzy, którzy wydaliby mnie sądom francuskim. Sam może zdołałbym zmylić wszystkie poszukiwania. Nigdy nie dokazałbym tego mając przy sobie ciebie, dziadka i ciotki Lavarande.

Uderzona tymi zarzutami, o których nie miała nawet pojęcia, panna Dioniza milczała.

— Jednak — mówił dalej Jakub — zakładam, że uniknęlibyśmy tych wszystkich niebezpieczeństw. Jakież byłoby nasze życie? Czy ty wyobrażasz sobie, co to jest uciekać i ciągle się ukrywać, nie śmieć spojrzeć w oczy nikomu obcemu i drżeć w każdej chwili z obawy, aby nas nie odkryto! Przy mnie, Dionizo, twoje życie byłoby życiem żony jednego z owych rozbójników, których ścigają wszystkie policje całego świata. A wiedz o tym, że życie takie jest tak okropne, że widziano najzatatwardzialszych zbrodniarzy oddających się w ręce sprawiedliwości, byleby się to raz wreszcie skończyło, kładących głowę pod miecz za jedną noc spokojniejszego snu!

Niby perły z naszyjnika, co się rozerwał, wielkie łzy toczyły się po policzkach panny Dionizy.

— Może i masz słuszość, Jakubie — szepnęła. — Ale jeżeli zostaniesz skazany?

— To przynajmniej spełnię swój obowiązek. Będę walczył z losem i bronił mego honoru. I jakkolwiek będzie wyrok, nie zgniecie mnie i dopóki to serce nie przestanie bić, nie przestanę walczyć. Gdybym zaś umarł, zanim wykażę moją niewinność, to moim przyjaciółm, moim krewnym, tobie, Dionizo, przekażę sprawę mojej rehabilitacji!

Ona godna była zrozumieć i dzielić takie uczucia.

— Nie miałam słuszności — rzekła podając rękę Jakubowi — przebac mi...

Wstała i w chwilę potem zabierała się do odejścia, kiedy Jakub ją zatrzymał.

— Ja uciekać nie chcę — rzekł — ale czy ludzie, którzy gotowi byliby ułatwić mi ucieczkę, nie zgodziliby się na to, żeby mi dać możliwość spędzenia jednego wieczoru, kilku godzin poza więzieniem?

— Myślę, że to da się zrobić i jeżeli chcesz, to upewnię się o tym.

— Dobrze. To byłby może dla mnie środek ratunku...

Rozstali się, zachęcając się nawzajem do wytrwania i odwagi i przyrzekłszy sobie, że się niedługo zobaczą.

Panna Dioniza połączyła się z biedną ciotką Lavarande, znudzoną długim oczekiwaniem i z pośpiechem wróciły na ulicę de la Rampe.

— Boże mój! Jakaś ty blada! — zawołał pan de Chandore ujrzawszy swoją wnuczkę. — Jakie ty masz czerwone oczy! Co się stało?

Ona opowiedziała mu wszystko, a stary szlachcic uczuł dreszcz aż w samym szpiku kości przekonawszy się, że od samego Jakuba wyłącznie zależało porwanie mu jego wnuczki. A jednak on tego nie zrobił!

— Ach! To uczciwy człowiek — zawołał.

A dotknąwszy ustami czoła panny Dionizy, szepnął:

— To go ty, widzę, kochasz bardziej niż kiedykolwiek?

— Niestety — odrzekła — alboż on nie jest nieszczęśliwszy niż kiedykolwiek!

— Zna pani najświeższą nowinę?

— Nie!

— Panna de Chandore była u pana de Boiscorana.

— Czy podobna!

— Niezawodnie! Dwadzieścia osób widziało ją idącą ulicą Zamkową pod rękę ze starszą panną Lavarande. Wszedłszy do więzienia dziesięć po dziesiątej, wyszły dopiero kwadrans na czwartą!

— To istna wariatka ta dziewczyna.

— No, a ciotka? Cóż pani powiesz o ciotce?

— Że jeszcze większa wariatka niż siostrzenica.

— A pan de Chandore?

— Musiało mu się w głowie przewrócić, kiedy pozwala na takie awantury. Zresztą, pani wiesz, że tak dziadek, jak ciotki zawsze robili to, co chciała panna Dioniza...

— Śliczna edukacja!

— To są jej owoce! Po takim skandalu niepodobna przecież przypuszczać, żeby panienska znalazła męża!

Tak przyjęto w Sauveterre wiadomość o odwiedzinach panny Dionizy u Jakuba, wiadomość, która w mgnieniu oka obiegnęła całe miasto.

Panie „z towarzystwa” nie mogły się nadziwić. Bo w Sauveterre płeć piękna jest niesłychanie cnotliwa i dlatego przypisuje sobie prawo tym surowszego sądzenia innych, a mianowicie jest nadzwyczaj wymagająca pod względem tego, co wypada, a co nie wypada. Ryzykować opinię jest tam zbrodnią nie do przebaczenia. Trzeba zaś wiedzieć, że opinia coraz silniej opowiadała się przeciw Jakubowi. Był powalony na ziemię, więc spierano się o zaszczyt, kto go pierwszy uderzy.

— Czy on się z tego wywinie?

Zagadka ta codziennie rozbierana w „klubie literackim” dawała pole do popisów wymowy, wywoływała żarliwe spory, z których jeden o mało nie zakończył się pojedyńkiem.

Ale nikt już nie pytał się:

— Czy on jest niewinny?

Wymowa doktora Seignebose, wpływ pana Seneschala, zręczne usiłowania Mechineta okazały się daremne.

— Będziemy mieli zajmującą rozprawę! — mówiło wielu ludzi, którzy już martwili się o to, kto będzie przydował w sądzie przysięgłych, aby go zawczasu prosić o wstęp na posiedzenie.

Toteż z każdym dniem bardziej zajmowano się tym procesem i wszystkimi, którzy wprost lub pośrednio byli do niego wmieszani.

Chciano wiedzieć, co robią, co mówią i co myślą państwo de Claudieuse, Cocaleu, pan Galpin-Daveline, pan Magloire, panna de Chandore, pani de Boiscoran, doktor Seignebos.

Z nieobecności margrabiego de Boiscorana czerpano nowy dowód winy Jakuba.

Dziwiono się długiemu pobytowi pana Folgata, który się w ogóle nie podobał dlatego, że się trzymał od wszystkich z daleka, co przypisywano jego dumie. I mówiono sobie:

— Musi nie mieć zajęcia w Paryżu, kiedy tak miesiącami wysiaduje w Sauveterre...

Codziennie miejscowa gazeta dawała osobną rubrykę odnoszącą się do „sprawy Boiscorana”.

Sprawozdawca pisał tam:

Zdrowie hrabiego C. zamiast poprawiać się, pogarsza się widocznie. Kiedy przyjechał do Sauveterre wstawał jeszcze z łóżka, teraz już go nie opuszcza. Rana, która z początku zdawała się najmniej grozić niebezpieczeństwem, to jest rana w ramieniu, nagle stała się groźna pod wpływem podzwrotnikowych upałów, jakie mieliśmy w tych dniach. Przez chwilę

obawiano się nawet gangreny i sądzono, że trzeba będzie przedsięwziąć amputację. Wczoraj doktor S. zdawał się być niespokojny.

A ponieważ nieszczęścia chodzą parami, więc i młodsza córka hrabiego jest mocno cierpiąca. Podczas pożaru chorowała właśnie na odrę; przestraszenie, zaziębienie, nagła zmiana miejsca spowodowała recydywę, która może być niebezpieczna.

Wśród tylu okropnych przeżyć, pani hrabina C. daje zadziwiające dowody poświęcenia, odwagi, rezygnacji. Toteż gdy się jej zdarzy na chwilę opuścić swoich ukochanych chorych, aby pójść do kościoła pomodlić się za nich, to po drodze odbiera oznaki pełnej szacunku sympatii i najszczerzego podziwu.

— Co za łotr ten Boiscoran! — wołali mieszczanie po przeczytaniu takiego artykułu.

Nazajutrz czytali znowu:

Posyłałiśmy do szpitala i przełożona raczyła nam udzielić wiadomości o C., owym biednym idiocie, który odegrał taką rolę w krwawym dramacie w Valpinson. Stan umysłowy C. nie zmienił się wcale od chwili, gdy został poddany badaniu biegłych w sztuce. Iskierka inteligencji, zapalona w jego mózgu okropnością zbrodni, zdaje się, na zawsze już teraz zagasła. Zaledwie poznaje ludzi, którzy go pielęgnują. Nie zostaje jednak pod zamknięciem. Spokojny i łagodny jak biedne zwierzę, które zgubiło pana, błądzi on smutnie po dziedzińcach i ogrodach szpitalnych.

Niektórzy sądzili, że C. będzie powoływany na świadka; otóż informacje zaczerpnięte z najlepszych źródeł upoważniają nas do mniemania, że C. nie będzie stawał przed sądem przysięgłych.

— Jednakże nie ulega wątpliwości, że zeznanie Cocaleugo było czystym zrzędzeniem Opatrzności — mówili kiwając głowami niektórzy.

Nazajutrz znów redaktor zajmował się panem Galpin-Davelinem.

Pan G. D., sędzia śledczy, jest w tej chwili mocno cierpiący, co da się łatwo wytłumaczyć, przepracowaniem przy śledztwie w sprawie pana Boiscorana. Zapewniają nas, że oczekuje tylko ostatecznej decyzji co do postawienia podejrzanego w stan oskarżenia, aby się udać do jednego z miejsc kąpielowych w Pirenejach.

Potem przyszła kolej na Jakuba.

Pan J. de B. znosi lepiej, niżby się można było spodziewać swoje uwięzienie. Zdrowie jego, wedle otrzymanych przez nas wiadomości, ma być wyborne, a jego stan moralny bynajmniej nie ucierpiał. Czyta dużo, a część nocy poświęca na przygotowywanie swojej obrony i redagowanie instrukcji dla swoich adwokatów.

Następnie pojawiały się drobniejsze wiadomości.

Nigdy „*Independant de Sameterre*” nie miał tylu pilnych czytelników.

A ponieważ wszyscy licytowali się, kto wie więcej, więc wielu próżniaków stało się szpiegami przyjaciół Jakuba i pędzili żywot na śledzeniu tego, co się działo u pana de Chandore. Najśmielsi zatrzymywali służących i wypytywali ich.

Dlatego to owego wieczoru, kiedy panna Dioniza chodziła do więzienia, znalazło się dosyć ludzi włóczących się po ulicy de la Rampe.

Około wpół do jedenastej widzieli oni, jak powóz pana de Chandore wytaczano z wozowni i jak potem powóz ten zajechał przed bramę.

O godzinie jedenastej pan de Chandore i doktor Seignebos wsiedli doń i stangret zaciął konia, który ruszył klusem.

— Gdzie oni mogą jechać? — pytali się ciekawi.

I poszli za powozem.

Pan de Chandore i doktor pojechali na dworzec kolei. Zawiadomieni depeszą udali się naprzeciw margrabiny i margrabiego de Boiscoran oraz pana Folgata.

Przyjechali za wcześnie.

O kwadrans na pierwszą pociąg, który powinien był przyjść o jedenastej pięćdziesiąt pięć, nie był jeszcze sygnalizowany. Dokoła panowało milczenie i pustka. Przez szyby widać było naczelnika stacji drzemiącego w wielkim skórzanym fotelu. Urzędnicy i posługacze spali wyciągnięci na ławkach w sali podróżnych.

Ale w Sauveterre już wszyscy przyzwyczajeni są do tego systemu i pan de Chandore z doktorem, nie dziwiąc się ani nie niecierpliwiąc, zaczęli się przechadzać po dziedzińcu.

Nie byliby się również zdziwili, gdyż znali swoje miasto, gdyby im powiedziano, że w tej chwili ktoś ich śledzi. Tak też było w istocie. Dwóch ciekawych siadło do omnibusu, jeżdżącego na każdy pociąg. I stojąc na boku mówili do siebie:

— Hm!... Na kogo oni tak czekają?

Nareszcie dzwonek zadzwonił i cała stacja zbudziła się nagle. Niebawem dał się słyszeć z dala niby głuchy huk grzmotu i prawie jednocześnie gdzieś na końcu drogi zaświeciła wśród nocy niby kula ognista czerwona latarnia lokomotywy. Pan de Chandore i doktor poszli do sali.

Pociąg stanął. Otworzyły się drzwi i ukazała się margrabina de Boiscoran wsparta na rękę pana Folgata. Za nimi szedł margrabia z torbą podróżną w rękę.

— Wszystko jasne! — powiedzieli sobie owi szpiedzy na ochotnika, którzy stali z okiem przyklejonym do szyby.

A ponieważ pociąg nie przywiózł nikogo więcej, konduktor wezwał ich, aby zaraz siadali, a im też spieszyło się oznajmić o przybyciu ojca oskarżonego.

Późno już było; miasto od dawna spało, ale oni nie tracili nadziei, że znajdą jeszcze kilka osób w „klubie literackim”.

Gdyby nie ten pośpiech, byliby mogli zostać świadkami pierwszego spotkania pana de Chandore z margrabią de Boiscoranem.

Instynktownym ruchem podeszli ku sobie i rozpaczliwie ścisnęli się za ręce. Mieli,łzy w oczach. Czyż nie dość było tego niemego uścisku, żeby ojciec Jakuba pojął, co musiał cierpieć dziadek Dionizy?

I stali nieruchomi jeden naprzeciw drugiego, aż doktor Seignebos, ruchliwy jak zawsze, przystąpił do nich.

— Rzeczy są już w powozie — rzekł — czy państwo jedziecie?

Wyszli.

Noc była jasna i na widnokręgu ponad czarną masą zaspanego miasta odcinały się na bladoniebieskim tle nieba dwie wieże starego zamku przerobionego na więzienie.

— Tam jest Jakub! — szepnął pan de Boiscoran.

— Wydobędziemy go stamtąd, do kroćset! — przerwał doktor pomagając margrabiemu wsiąść do powozu.

Ale daremnie przez drogę doktor usiłował podnieść odwagę swoich towarzyszy. Jego nadzieje nie znajdowały zupełnie echa w tych zrozpaczonych duszach.

Są chwile, w których mówienie jest męczarnią.

Margrabia de Boiscoran potrzebował całej siły woli, żeby zapanować nad sobą. Myśl, że się znajduje w Sauveterre do głębi nim wstrząsała. Bądź co bądź odległość osłabia uczucia. Jeden uścisk dłoni pana de Chandore bardziej go wzruszył aniżeli wszystkie listy, które odebrał od miesiąca. A zobaczywszy z daleka więzienie Jakuba, zrozumiał doskonale męczarnie syna nie mogącego wykazać swojej niewinności.

Co do pani de Boiscoran, to od wczoraj była tak osłabiona, jak gdyby wszystkie sprężyny jej duszy pękły naraz.

Pan de Chandore zadrżał, widząc ich tak przygnębionych. Jeżeli oni rozpaczali, czegoż on mógł się spodziewać, on, który wiedział, że los Dionizy jest nierozłącznie związany z losem Jakuba!

Tymczasem powóz zatrzymał się na ulicy de la Rampe.

Brama domu otwarła się natychmiast i pani de Boiscoran znalazła się w objęciach Dionizy, która ją zaprowadziła do fotela w salonie.

Pozostali poszli za nimi. Było już po drugiej, ale teraz każda minuta miała swoją wartość.

A więc doktor Seignebos odezwał się poprawiając okulary:

— Moim zdaniem, powinniśmy sobie powiedzieć nawzajem, co kto z nas wie. Ja jestem ciągle w tym samym punkcie. Ale państwo znacie moje przekonania. Cocaleu jest szalbierz i ja tego dowiodę. Udaję teraz, że się nim już nie zajmuję; w istocie zaś śledzę go, pilniej niż kiedykolwiek.

Przerwała mu panna Dioniza.

— Nim cokolwiek zostanie postanowione — rzekła — jest jeden fakt, który powinniście państwo znać. Posłuchajcie mnie...

I blada, bo wyjawienie tajemnicy własnego serca wiele ją kosztowało, ale z okiem błyszczącym energią opowiadała to, co już była wyznała dziadkowi, to jest z jakimi propozycjami była u Jakuba i jak on je odrzucił.

— Dobrze, młoda dziewico! — zawołał zachwycony doktor Seignebos. — Bardzo dobrze! Mimo całego nieszczęścia, jakie przygniata Jakuba, można mu jeszcze zazdrościć.

Panna Dioniza kończyła, zwróciwszy na pana Magloire'a tryumfujący wzrok:

— A teraz czy jest jeszcze ktoś, kto sądzi, że Jakub jest podłym mordercą?

Sławny sauveterski adwokat nie należał do tych ludzi, którzy własne zdanie przenoszą nad prawdę.

— Przyznaję — rzekł — iż gdybym dopiero jutro miał po raz pierwszy widzieć się z Jakubem, mówiłbym z nim inaczej.

— A ja — zawołał margrabia — oświadczam, że ręczę za mego syna tak, jak za siebie samego i powiem mu to jutro.

A nachylając się ku swej żonie szepnął tak, że tylko ona mogła dosłyszeć:

— Mam nadzieję, że mi przebaczysz te podejrzenia, które mnie samego teraz przejmują zgrozą.

Ale siły hrabiny były do dna wyczerpane, tak że omdlewała i musiała się oddalić, a z nią poszła panna Dioniza i ciotki Lavarande.

Doktor Seignebos oparł się o kominek i wycierając złote okulary rzekł:

— Teraz, panie Folgat, możemy mówić swobodnie. Cóż nowego nam przywozisz?

Wybiła jedenasta, kiedy do celki Jakuba wszedł ogromnie zmieszany dozorca Blanguin.

— Pański ojciec czeka na dole!

Więzień jednym skokiem zerwał się z krzesła.

Pan de Chandore wczoraj wieczór uprzedził go karteczką o przybyciu margrabiego de Boisacorana; odtąd też czas schodził mu na przygotowywaniu się do tego pierwszego widzenia się z ojcem.

Jakie ono będzie? Tego nie mógł przewidzieć.

Toteż postanowił trzymać się trochę z daleka. Idąc więc za Blanguinem po schodach i długich korytarzach starał się przywołać na twarz chłód i ułożyć sobie jakiś frazes wyrażający li tylko szacunek.

Ale zanim był w stanie wymówić jedno słowo już był w objęciach swego ojca, który przyciskając go do piersi, jąkał z trudnością:

— Jakubie, mój biedny synu, nieszczęśliwe dziecko!

W całym życiu, choć ono było długie i pełne rozmaitych doświadczeń, nic tak silnie nie poruszyło margrabiego de Boiscorana.

Przyciągnął Jakuba do okna, a sam cofnąwszy się parę kroków, żeby mu się lepiej przypatrzeć, dziwił się sam sobie, że tak długo mógł wątpić.

Zdawało mu się, że sam siebie widzi w wieku Jakuba. Poznawał swoją postawę i swoją twarz, swoje rysy, szczery i nieco wyniosły wyraz twarzy, spojrzenie śmiałe i jasne.

Potem przechodząc do szczegółów, zmartwił się niezmiernie wychudnięciem i bladością Jakuba; przeraził się dojrzwawszy na jego skroniach, wśród pukli czarnych włosów kilka białych kosmyków.

— Nieszczęśliwy! — zawołał. — Jak ty musiałeś cierpieć!

— Myślałem, że oszaleję — odpowiedział po prostu Jakub.

I drżącym głosem mówił dalej:

— Ale jak się to stało, że ty, ojcze, nie dałeś mi znaku życia? Dlaczego się tak ościągales?

Margrabia de Boiscoran spodziewał się tego pytania. Ale czyż mógł na nie odpowiedzieć? Czyż mógł wyjawić Jakubowi tajemny powód, dla którego się ościagał?

Odwracając więc nieco głowę, rzekł:

— Zostając w Paryżu, spodziewałem się, że ci będę mógł usłużyć korzystnie.

Ale zakłopotany był tak, że Jakub nie mógł tego nie dostrzec.

— Miałżebyś wątpić o swoim synu? — zapytał go.

— Nigdy! — zawołał margrabia. — Nigdy nie wątpiłem ani na chwilę. Zapytaj się matki, a ona ci powie, że dumna pewność twojej niewinności sprawiła, że z nią nie pojechał. Gdy się dowiedział, o co cię oskarżają, odpowiedziałem: to nie ma sensu.

Jakub pokiwał głową.

— Rzeczywiście, oskarżenie nie miało sensu, a jednak widzisz, ojcze, gdzie mnie zaprowadziło.

Dwie duże, gorące łzy, długo powstrzymywane stoczyły się z oczu margrabiego.

— Ty masz żal do mnie — szepnął — synu mój!

Nie ma człowieka, którego serce nie zmięknęło na widok płaczącego ojca.

Wszystkie postanowienia Jakuba rozchwiały się. I ściskając ojcowskie ręce, rzekł:

— Nie, nie mam do ciebie żalu, mój ojcze, bynajmniej. A jednak nie mam słów na wypowiedzenie tego, jak twoja nieobecność mnie bolała. Zdawało mi się, żeś mnie opuścił, żeś się mnie wyparł.

Po raz pierwszy od czasu swego uwięzienia, nieszczęśliwy znalazł serce, przed którym mógł wylać wszystkie gorycze, które go przepelniały. Przed matką i przed panną Dionizą honor nakazywał mu ukrywać rozpacz. Niedowierzenie pana Magloire'a powstrzymało wszelką chęć do zwierzeń; pan Folgat, jakkolwiek od razu zyskał jego sympatię, był jednak dla niego człowiekiem nieznanym.

Tymczasem teraz, przed tym przyjacielem, najdroższym i najlepszym ze wszystkich, jakich tylko człowiek może mieć na świecie, przed swoim ojcem, czegoż się potrzebował obawiać lub wstydzić? Mówił tedy:

— Czy znajdzie się na świecie drugi przykład tak niesłychanego nieszczęścia? Być niewinnym i nie móc tego dowieść! Znać winowajcę i nie śmieć go wymienić! Nie zrozumiałem w pierwszej chwili całej okropności położenia. Przestraszyłem się wprawdzie na chwilę, poznawszy doniosłość zarzutów, które mi czyniono, ale uspokoiłem się niebawem perswadując sobie, że sprawiedliwość potrafi wykryć prawdę. Sprawiedliwość! Przedstawicielem jej był mój przyjaciel Galpin-Daveline. A jemu chodziło o to, by dowiódł, że jego obwiniony jest rzeczywiście winowajcą. I jakże tego nie miał dowieść! Przeczytaj, ojcze, akta sprawy, a zobaczysz, jakiego piekielnego zbiegu okoliczności jestem ofiarą. Nie ma ani jednej okoliczności, która by mnie nie oskarżała. Nigdy nie objawiła się tak dobitnie owa potęga tajemnicza, ślepa i bezmyślna, która sobie igra z nami, a którą nazywamy fatalnością!

Zaniepokojony gwałtownością swego syna pan de Boiscoran milczał.

A Jakub mówił dalej:

— Honor, a potem ostrożność zatrzymały na moich ustach nazwisko pani de Claudieuse. Kiedy je wymówiłem nareszcie, pan Magloire, mój przyjaciel, powiedział mi, że kłamię. Wtedy zdało mi się, że wszystko przepadło. Wtedy nie widziałem już innego wyjścia nad sąd przysięgłych, to jest galery albo rusztowanie. Chciałem sobie odebrać życie. Postanowiłem pozbyć się ciężaru zbyt ciężkiego na moje siły. Przyjaciele dali mi poznać, że nie należę do siebie i że dopóki pozostanie mi promyk zdrowego rozumu i iskierka energii, nie mam prawa rozporządzać moim życiem...

— Tak, synu! — zawołał pan de Boiscoran. — Tak jest, nie masz prawa!

— Wczoraj — mówił dalej Jakub — Dioniza przyszła mnie odwiedzić. Czy wiesz, ojcze, co mi proponowała? Żebym uciekał, nie sam, ale z nią. Pokusa była straszna. Gdybym był wolny i miał przy sobie Dionizę, co by mnie obchodziła opinia świata! A ona nalegała, ta nieporównana przyjaciółka i patrz ojcze, tam oto, na tym miejscu, na którym teraz siedzisz, padła mi do nóg! A jednak zostałem. Wątpię w ocalenie, a jednak zostaję!

Pochylił się i zakrył twarz rękami, zapewne żeby ukryć łzy. Potem nagle w jednym z tych napadów wściekłości, których tylekroć doświadczył od czasu swego uwięzienia zawołał:

— Ale cóż ja zrobiłem? Co ja takiego zrobiłem, żeby zasłużyć na taką karę?

Czoło margrabiego de Boiscorana zachmurzyło się nagle.

— Sięgnąłeś po cudzą żonę, mój synu — rzekł.

Jakub wzruszył ramionami.

— Kochałem panią de Claudieuse — odparł — ona kochała mnie...

— Cudzołóstwo jest zbrodnią, Jakubie...

— Zbrodnią! To samo mówił mi Magloire. Ale ty, ojcze, czy ty naprawdę jesteś tego zdania? W każdym razie jest to zbrodnia, która nie ma w sobie nic ponurego, do której wszystko zachęca i ośmiela, którą ludzie lubią się chlubić i z której wszyscy żartują... Kodeks, co prawda, nadaje mężowi prawo życia i śmierci... Ale na drodze prawnej karze winnych sześciu miesiącami więzienia, które odsiadują w domu zdrowia...

— Jakubie — przerwał mu pan de Boiscoran — hrabina, jak sam powiedziałeś, utrzymuje, że jedna z jej córek, młodsza, jest twoją córką...

— Być może.

Margrabia de Boiscoran zadrżał.

— Być może! — zawołał. — I ty to mówisz tak obojętnie. Szalony! Więc ty nigdy nie pomyślałeś o tym, jaka by to była boleść dla hrabiego de Claudieuse'a, gdyby się dowiedział prawdy! A choćby tylko miał podejrzenie! Więc ty nie rozumiesz tego, że to podejrzenie wystarczyłoby, żeby mu zatruć życie, żeby zgubić to dziewczę, które prawdopodobnie jest twoją córką? Więc nie pomyślałeś sobie nigdy, że są tak straszne niepewności, iż człowiek z ich powodu cierpi bardziej, aniżeli ty cierpiełaś z powodu omyłki, której jesteś ofiarą...

Zatrzymał się. Jeszcze dwadzieścia słów, a może byłby zdradził swoją tajemnicę...

Powściągnawszy się więc ostatkiem sił rzekł:

— Aleja tu nie przyszedłem spierać się z tobą; przyszedłem powiedzieć ci, że cokolwiek się stanie, twój ojciec cię nie opuści i jeżeli już przeznaczono ci ponieść tę hańbę, że będziesz musiał stawać przed sądem przysięgłych, ja będę siedział przy tobie.

Mimo całego nieładu, w jakim znajdował się umysł Jakuba, uderzyło go jednak zmieszanie ojca, natężenie jego głosu i gwałtowność, z jaką mówił. Przez mgnienie oka, miał nawet jakby jakieś niepewne przeczucie strasznej prawdy. Ale zanim je jeszcze sformułował, domysł ten pierzchnął wobec obietnicy, którą mu uczynił margrabia, że dla niego jest gotów narazić się na okropne upokorzenie pokazywania się po sądach.

Toteż uniesiony wdzięcznością, Jakub zawołał:

— Ojcze, powinienem cię błagać o przebaczenie, ja, który zwątpiłem o twoim sercu!

Pan de Boiscoran opamiętał się tymczasem.

— Tak, kocham cię, synu — rzekł poważnie — a jednak nie przypisuj mi więcej heroizmu, niż mi się należy rzeczywiście. Mam jeszcze nadzieję, że nie będziemy zmuszeni stawać przed sądem przysięgłych.

— Czyżby zaszło coś nowego?

— Poszukiwania pana Folgata dostarczyły wskazówek, na których można oprzeć słuszne nadzieje...

— Wskazówki! — mruknął.

— Zaczekaj! Są one wprawdzie słabe, ani słowa, i takie, że nierozsądkiem byłoby przedstawiać je przed sądem przysięgłych. Ale lada dzień mogą one stać się decydujące. A nawet mają tyle wagi, że wpłynęły na zmianę przekonania Pana Magloire'a.

— Boże mój! Miałżebym być ocalony!

— Zostawiam panu Folgatowi to zadowolenie, żeby ci sam opowiedział rezultaty swoich zabiegów. I nie będziesz długo czekał, gdyż wczoraj wieczór, a raczej dziś rano, gdyśmy się rozchodzili, pan Magloire i on umówili się, że się zejdą przed drugą w więzieniu.

Jakoż w kilka chwil potem dały się słyszeć szybkie kroki na korytarzu i ukazał się Frumencjusz Cheminot.

Cheminot pod pewnym względem był uczciwym chłopcem i nie ukradłby nigdy ani jednej monety. Ale jarzyny, drób, owoce...

Takim to sposobem był już dwa razy aresztowany i skazany na kilka dni więzienia; za każdym razem kłął się na ciało i duszę, że go już więcej nie chwycą i że weźmie się do roboty. A jednak schwytano go znowu...

Biedak ten opowiedział swoje nieszczęścia Jakubowi. A Jakub, który mu zawdzięczał, że zostając jeszcze w ścisłym więzieniu, mógł porozumiewać się z panną Dionizją, bardzo go polubił.

Toteż widząc go zbliżającego się z wielkim uszanowaniem, z czapką w ręce, zapytał się:

— A co tam, Cheminot?

— Proszę pana — odrzekł włóczęga — pan Blanguin kazał panu dać znać, że pańscy adwokaci idą do pańskiego pokoju.

Margrabia de Boiscoran po raz ostatni uściskał syna.

— Nie daj im czekać na siebie — rzekł — idź, a nie trać odwagi!

Margrabia de Boiscoran powiedział prawdę.

Mocno zachwiany opowiadaniem panny Dionizy, pan Magloire do reszty został zwyciężony objaśnieniami pana Folgata i udając się do więzienia, gotów był ręczyć za niewinność Jakuba.

— Ale wątpię, żeby mi przebaczył moje niedowierzanie — mówił do pana Folgata, podczas gdy czekali na więźnia w jego celce.

Jakub wszedł na te słowa, jeszcze wzruszony uściskiem ojca.

Pan Magloire postąpił ku niemu.

— Nie umiałem nigdy ukrywać tego, co myślę, Jakubie — rzekł. — Sądząc, że jesteś winny i będąc przekonany, że fałszywie oskarżasz panią de Claudieuse, powiedziałem ci to otwarcie, a nawet szorstko. Wyprowadzony z błędu i przekonany, że twoje opowiadanie było prawdziwe również po prostu przychodzę ci powiedzieć: Jakubie, zbłądziłem, wierząc raczej reputacji kobiety, niż słowu przyjaciela. Czy podasz mi rękę?

Z porywem radości więzień pochwycił tę zaciętą, wyciągniętą ku sobie rękę.

— Skoro ty wierzysz w moją niewinność — zawołał — mogą i inni w nią uwierzyć. Godzina mego wybawienia jest bliska!

Po zasmuconych twarzach swoich adwokatów poznał, że się za wcześniej cieszy. Rysy jego twarzy ściągnęły ąję, ale pewnym głosem rzekł:

— No, widzę, że walka będzie długa i że rezultat jej jeszcze niepewny... Mniejsza o to! Bądźcie pewni, że nie osłabnę...

Pan Folgat tymczasem rozłożył już na stole wszystkie papiery, kopie, których mu dostarczył Mechinot i notatki z swojej krótkiej podróży.

— Przede wszystkim, mój szanowny kliencie — rzekł — muszę panu powiedzieć, jakie poczyniłem kroki.

A gdy opowiedział z najdrobniejszymi szczegółami swoją wyprawę w towarzystwie Goudara, dodał:

— Streśćmy teraz całe położenie. Od dziś dnia jesteśmy w stanie dowieść trzech rzeczy: że dom na ulicy des Vignes należy do pana i że sir Francis Burnett, którego tam znają, jest panem. Że pan w tym domu przyjmował jakąś kobietę, która, sądząc z przedsięwziętych przez nią nadzwyczajnych ostrożności, miała prawdopodobnie ważne powody, żeby nie zostać poznaną. Że odwiedziny tej kobiety powtarzały się corocznie w pewnym tylko czasie, który akuratnie zgadza się z podróżami pani de Claudieuse do Paryża.

Znakomity adwokat sauveterski potakiwał głową.

— Tak jest — rzekł — wszystko to kwalifikuje się do procesu.

— My sami — mówił dalej jego młody kolega — mamy jeszcze inną pewność, to jest że służąca fałszywego pana Franciszka Burnetta, Lucy Wood, szpiegowała ową tajemniczą damę i że ją widziała, a zatem że poznałaby ją z pewnością.

— Oczywiście. To wypływa z zeznań jej przyjaciółki.

— A zatem, że jeżeli odszukamy Lucy Wood, pani de Claudieuse będzie zdemaskowana.

— Jeżeli ją odszukamy! — odezwał się pan Magloire. — Niestety! Tutaj wchodzimy już w krainę przypuszczeń.

— Przypuszczeń, zgoda — przerwał pan Folgat — ale opartych na faktach i których prawdopodobieństwo potwierdzają przykłady. Dlaczegoż nie mielibyśmy odszukać tej Lucy, kiedy znamy miejsce jej urodzenia i pobytu jej rodziny, a ona nie ma żadnego powodu do ukrywania się?

I ożywiając się w miarę, jak wyliczał okoliczności sprzyjające, mówił:

— Goudar już nieraz dokazywał daleko trudniejszych rzeczy. A bądźcie panowie pewni, że on sprawy nie zaśni. Ja pokazałem mu w perspektywie nadzieję, dla której on będzie dokonywał cudów, to jest nadzieję, że w nagrodę za ocalenie pana de Boiscorana otrzyma jego

dom na ulicy des Vignes. Jest to zbyt wspaniała stawka, żeby jej nie miał wygrać, on, który wygrał tyle partii. Kto wie, co on tam już wykrył od czasu, jak się rozstał ze mną. Kto zgadnie, co on wykryje tutaj? Czyż mało zrobił w ciągu jednego dnia?

— Niesłuchanie wiele! — zawołał Jakub zachwycony otrzymanymi rezultatami.

Starszy od Jakuba i pana Folgata adwokat sauveterski nie tak łatwo się zapalał.

— Zapewne, jest to niesłuchanie wiele — powtórzył — i gdybyśmy mieli na tyle czasu, powiedziałbym jak pan: Nasza wygrana! Ale nam brak czasu na poszukiwania Goudara, sejsja za pasem, a otrzymać odroczenie byłoby, zdaje mi się, trudno...

— A zresztą ja nie chcę odroczenia — rzekł Jakub.

— Jednak...

— Za żadną cenę, mój Magloire, nigdy! Co! Ja miałbym znów przez trzy miesiące pozostać tutaj? Nie potrafiłbym tego znieść... Moje siły są wyczerpane... Dostyc tej strasznej niepewności. Trzeba to raz skończyć.

Pan Folgat powstrzymał go skinieniem.

— Nie unoś się pan daremnie — rzekł — otrzymanie odroczenia jest niepodobieństwem. Jakież podalibyśmy powód naszego żądania? Niedokładność aktu oskarżenia? Kiedy on w takim stanie rzeczy, jak dziś, jest doskonały. Trzeba by nam wprowadzić do sprawy nowy element, to jest wymienić nazwisko pani de Claudieuse.

Ogromne zadziwienie odmalowało się na twarzy Jakuba.

— A czyż pan nie wymieni go i bez tego? — zapytał.

— To będzie zależec od okoliczności.

— Nie. rozumiem pana...

— To proste. Jeżeli przed rozprawą Goudar zbierze dostateczne dowody do oskarżenia jej, w takim razie wymienię ją i wtedy sprawa musi być koniecznie odroczone i dochodzenie rozpocznie się na nowo. Pan prawdopodobnie będzie występował tylko jako świadek. Jeżeli przeciwnie, przed terminem sprawy nie zbierzemy przeciw niej innych dowodów oprócz tych, które posiadamy, nie wymienię jej, gdyż to byłoby tyle, na co się i pan Magloire zgadza, co przegrać nieodwołalnie pańską sprawę.

— Tak jest, takie jest moje zdanie — potwierdził stary adwokat.

Oslupienie Jakuba nie miało granic.

— Jednakże jeżeli będę musiał stawać przed sądem przysięgłych, dla mojej obrony trzeba będzie mówić o moich stosunkach z panią de Claudieuse...

— Nie.

— Kiedy one tłumaczą wszystko...

— Jeżeli się przypuści, że one istniały...

— Więc pan zamierzasz mnie bronić i spodziewasz się ocalić, nie mówiąc prawdy?

Pan Folgat potrząsnął głową.

— Przed sądami przysięgłych — rzekł — prawda jest najmniejszą rzeczą...

— Och!

— Czyż przysięgli uwierzyliby w okoliczności, w które nie chciał uwierzyć pański przyjaciel, pan Magloire? Nie! Nie mówmy więc o tym, a myślmymy o wyszukaniu prawdopodobnego tłumaczenia wobec czynionych panu zarzutów. Czy pan myślisz, że my pierwsi postąpimy w ten sposób? Bynajmniej.

Mało jest spraw, w których prokurator mówi od razu wszystko, co wie, a jeszcze mniej takich, w których by obrońca przytoczył wszystko, co może przytoczyć na obronę. Czymże będzie akt oskarżenia pana? Streszczeniem fabuły wymyślonej przez sędziego śledczego, ażeby dowieść, że pan jesteś zbrodniarzem. Naprzeciw temu trzeba stworzyć inną fabułę, która by dowiodła, żeś pan niewinny!

— Prawda jednakże...

— Ustępuje prawdopodobieństwu, mój kochany kliencie. Zapytaj się pan pana Magloire'a. Oskarżeniu chodzi jedynie o prawdopodobieństwo; o prawdopodobieństwo też właściwie powinna się troszczyć obrona. Słaba i ograniczona w środkach sprawiedliwość ludzka nie jest w stanie sięgnąć do sedna rzeczy, wykryć pobudek i zgłębić sumień. Rozstrzyga więc na zasadzie prawdopodobieństwa, opiera wyrok na pozorach i nie ma prawie sprawy, która by dla niej nie miała stron tajemniczych i niezbadanych. Nie skończyłbym, gdybym zaczął wyliczać zagadki sądowe... Prawda! Czy pan wyobraża sobie, że pan Galpin-Daveline szukał prawdy? Jeżeli tak, to dlaczego nie powołał przed sąd Cocoleugo? Gdzież tam! Jak tylko do zbrodni wynalazł prawdopodobnego zbrodniarza, już kontent. Prawda! A któż z nas ją zna? Pańska sprawa, panie de Boiscoran, jest jedną z tych, której tajemnicy nie zna ani prokurator, ani obrońca, ani oskarżony.

Po tych słowach nastąpiło tak głębokie milczenie, że można było słyszeć regularne kroki żołnierza chodzącego na warcie pod oknami więzienia.

Pan Folgat powiedział wszystko, co sądził, że może powiedzieć. Mówiąc więcej mógł się narazić na zbyt wielką odpowiedzialność. Tutaj chodziło o honor i życie Jakuba. On więc powinien zdecydować co do systemu obrony.

Aby swoje stanowisko jeszcze lepiej zaznaczyć, rzekł:

— Rada, którą panu daję, jest moim zdaniem najlepsza; rada, jaką dałbym własnemu, rodzonemu bratu. Niestety, nie mogę jednak powiedzieć, żeby miała być nieomylna. Do pana zatem należy wybór. Jakkolwiek pan postanowisz, ja jestem zawsze gotów na pańskie, usługi...

Jakub nie odpowiedział.

Z łokciami na stole, z czołem opartym na rękach, pozostał nieruchomy jak posąg, pogrążony w myślach.

Co miał wybrać?

Pójść za pierwszym odruchem, rozedrzeć wszystkie zasłony, głośno wypowiedzieć prawdę... Była to rzecz ryzykowna, ale w razie gdyby się powiodło, cóż to za tryumf?

Przyjąć system adwokatów, manewrować, oszukiwać, kłamać... Był to sposób bezpieczniejszy, ale wygrać w ten sposób, czyż to mogło się nazwać zwycięstwem?

Nie wiedział, co począć. Czuł doskonale, że od jego postanowienia w tej chwili zależy jego los.

Nagle podniósł głowę.

— Jakie jest twoje zdanie, Magloire? — zapytał.

Adwokat zmarszczył brwi i opryskliwym tonem odrzekł:

— Wszystko to, co mój młody kolega powiedział ci, ja miałem zaszczyt przedstawić twojej matce. Pan Folgat moim zdaniem w jednym tylko zblądził, to jest okazał się zbyt delikatny. Lekarz nie powinien troszczyć się o to, co myśli chory o lekarstwach, które on mu przepisuje. Może być, że nasze rady nie są zbawieniem, ale to pewne, że jeżeli ich nie posłuchasz, jesteś zgubiony.

Jakub wahał się jeszcze kilka minut.

Rady, o których mówił pan Magloire, ogromnie nie licowały z jego śmiałym, rycerskim charakterem.

— Zostać w ten sposób uniewinnionym — mruknął — czyż to jest rzeczywiście być uniewinnionym? Czy przez to stanę się faktycznie w oczach wszystkich niewinny? Czy całe moje życie nie zostanie potem pod pręgierzem podejrzeń? Nie wyjdę ze sprawy z podniesionym czołem, ale wymknę się raczej bocznymi drzwiami...

— Zawsze to lepiej, niż głównymi drzwiami iść prosto na galery! — rzekł szorstko pan Magloire.

Na słowo „galery” Jakub podskoczył jakby za dotknięciem elektryczności.

Wstał i obszedłszy kilka razy celę stanął naprzeciw swoich obrońców.

— Zdaję się zupełnie na panów — rzekł — powiedzcie, co mam robić.

Jakub miał przynajmniej wady, które czasami stawały się cnotami; powziąwszy raz jakieś postanowienie, już nie powracał potem nigdy do innych, które mógł być przedtem powziąć.

Odtąd spokojny, zimny, usiadł ze smutnym uśmiechem.

— Obmyślmy tedy plan bitwy — rzekł.

Plan ten już od miesiąca był prawie wyłącznym przedmiotem myśli pana Folgata. Z całą inteligencją, z całą zręcznością, z całą znajomością rzeczy, jaką posiadał, wziął on się do zbadania tej sprawy, która stała się niemal jego własną, tak namiętnie się nią zajął. Znał całą taktykę oskarżenia równie dobrze, jak pan Galpin-Daveline, a lepiej niż on znał jej strony mocne i słabe.

— A więc — odezwał się, — musimy się tak zachować, jak gdyby pani de Claudieuse nie istniała na świecie. Nie znamy jej zupełnie; nie ma naturalnie mowy o schadzce w Valpinson ani o spalonych listach.

— Dobrze!

— Trzeba naprzód obmyślić sposób wytłumaczenia powodu wyjścia w ów wieczór, kiedy popełniono zbrodnię. Gdybyśmy mogli wymyślić jakiś praw dopodobny, ręczyłbym prawie za pomyślny skutek; gdyż nie łudźmy się, tutaj jest główny węzeł całej sprawy i około tego głównie kręcić się będzie rozprawa...

Jakub nie zdawał się być o tym przekonany.

— Czyż to możliwe? — rzekł.

— To niestety jest pewne. A jeżeli mówię: niestety, to dlatego, że tutaj mamy przeciwko sobie straszną poszlakę, najważniejszą bez wątpienia ze wszystkich, jakie przeciw nam podniesiono, na którą pan Galpin-Daveline nie kładł nacisku, zanadto jest na to mądry, ale która w rękach prokuratora może być straszną bronią.

— Przyznam się — zaczął Jakub — że nie mogę się domyślić, co by...

— Zapomniałeś więc o owym liście, który w ów fatalny dzień pisałeś do panny Dionizy? — zapytał go pan Magloire.

Jakub spoglądał z kolei na obu swoich obrońców.

— Jak to — rzekł — ten list...

— Gnębi nas okropnie, mój kochany kliencie — przerwał mu pan Folgat. — Czy sobie go pan nie przypominasz? Pisziesz pan w nim do swej narzeczonej, że będziesz pozbawiony szczęścia spędzenia u niej tego wieczoru z powodu pewnego interesu najwyższej wagi i niecierpiącego zwłoki. Więc tedy z góry i po dojrzałym namyśle zamierzałeś użyć na coś tego wieczoru. Na cóż to takiego? Na zamordowanie pana de Claudieuse'a, twierdzi oskarżenie. Cóż my na to odpowiemy?

— Ależ, przepraszam panów, przecież z pewnością panna Dioniza nikomu tego listu nie pokazywała...

— Nie, ale prokurator wie o nim. Pan de Chandore i pan Seneschal sądząc, że pana tym sposobem uniewinnią, kilkakrotnie jego treść powtarzali. A pan Galpin-Daveline zna ją tak dobrze, że pana zapytywał kilka razy o ten list i że pan powiedziałeś mu wszystko, czego sobie tylko mógł życzyć.

Młody adwokat zaczął przeglądać papiery, które rozłożył na stole.

Niebawem znalazł, czego szukał.

— Słuchaj pan, oto co wyczytuję w protokole z trzeciego przesłuchania pana:

— *Pan miałeś niebawem zaślubić pannę de Chandore?*

— *Tak jest.*

— *Od dosyć dawnego już czasu spędzałeś pan przy niej wszystkie wieczory?*

— *Tak jest, wszystkie.*

— *Wyjąwszy wieczór w którym popełniona została zbrodnia.*

— *Na nieszczęście tak jest.*

— *W takim razie pańska narzeczona musiała tym być zdziwiona.*

— *Nie, gdyż napisałem do niej...*

— Rozumiesz, Jakubie? — zawołał pan Magloire. — I uważaj, że Daveline nie nalega na ten punkt dalej. Boi się, żebyś się nie spostrzegł. Otrzymał od ciebie zeznanie i to mu na teraz wystarcza.

Tymczasem pan Folgat znalazł drugi wyciąg.

— Nareszcie — rzekł — oto ustęp z przedostatniego przesłuchania.

— *Kiedy pan miałeś jakieś zlecenie do Sawneterre, komu je zwykle powierzałeś?*

— *Synowi mego karbowego, Michałowi.*

— *A więc to on, w ów wieczór nosił list do panny Chandore, w którym pisałeś jej pan, żeby nie liczyła na ciebie?*

— *Tak jest.*

— *Pisałeś pan, że cię zatrzymuje jakiś ważny interes.*

— *To zwykły pretekst.*

— *Ale z pańskiej strony nie był to pretekst. Gdziez pan miałeś pójść i gdzie byłeś?*

— *Dopóki nie zobaczę się z moim obrońcą, będę milczał.*

— *Strzeż się pan! System przeczenia i milczenia jest niebezpieczny!*

— *Wiem o tym i biorę na siebie odpowiedzialność.*

Jakub czuł się zawstydzony.

Tak bywa zawsze z oskarżonym, kiedy mu przedstawiają protokół jego zeznań. Nie znajdzie się ani jeden, co by nie zawołał:

— Jak to! Ja to powiedziałem! Ja?

Tymczasem rzeczywiście on to powiedział i nie może temu zaprzeczyć, gdyż to jest napisane i podpisane przez niego.

A więc jakże on to mógł powiedzieć?

Oto tak! Człowiek, choćby najsilniejszy, nie jest w stanie przez kilka miesięcy utrzymać swoich władz umysłowych i swojej energii na jednym poziomie. Ma on chwile upadku du-

cha i chwile nadziei, chwile oburzenia i chwile zwątpienia... A zimny sędzia śledczy korzysta ze wszystkiego.

I podobnie jak nikły płatek śniegu staje się okropną lawiną, nic nie znaczące słówko wymówione przypadkiem, porzucone, potem podjęte, rozwinięte, rozmaicie tłumaczone i komentowane może się stać strasznym zarzutem.

Trzeba przejść przez to, trzeba być oskarżonym lub sędzią, żeby zrozumieć, jak nierówna jest ta gra; żeby zrozumieć, iż przepisy prawa wtedy tylko są słuszne, kiedy obwiniony jest winny i że koniec końców niewinność zasługuje przynajmniej na tyle opieki, co zbrodnia.

Jakub przekonał się teraz o tym.

Pytania te tak zręcznie i w takich odstępach czasu były mu zadawane, że o nich zupełnie zapomniał; a jednak zestawiając swoje odpowiedzi musiał przyznać, iż bardzo stanowczo zeznał, że zamierzał poświęcić ów wieczór ważnemu interesowi.

— To okropność! — zawołał.

I przejęty straszną rzeczywistością uwag pana Folgata, dodał:

— Jak tu wyjść z tego?

Może być, że obrońcy, mianowicie pan Magloire, nie byli wcale niezadowoleni z tego przerażenia, które im zapewniło współpracę Jakuba.

— Powiedziałem to już panu — odrzekł mu pan Folgat że trzeba wyszukać jakieś dobre tłumaczenie.

— Czego ja właśnie nie potrafię, oświadczam wyraźnie.

Młody adwokat zdawał się zbierać wspomnienia, a po chwili rzekł:

— Pan byłeś uwięziony, a ja byłem wolny. Od miesiąca, to jest od czasu, jak obmyślam system pańskiej obrony, zajmowałem się głównie tym punktem, który stanowi jej podstawę...

— Ach!...

— Gdzie miało się odbyć pańskie wesele?

— U mnie, w Boiscoran.

— Gdzie się miał odbyć ślub?

— W kościele w Brechy.

— Czy mówiłeś pan o tym z proboszczem?

— I nie raz. A nawet raz mówiąc o tym, rzekł do mnie żartem: „Przecież pana raz schwyć u mego konfesjonału!”.

Pana Folgata przeszedł dreszcz radości, co "Jakub dostrzegł.

— A więc — rzekł — proboszcz z Brechy był pańskim przyjacielem?

— Nawet dosyć bliskim. Czasami przychodził do mnie bez ceremonii na obiad, a ja nigdy nie przeszedłem koło jego mieszkania, żebym nie wstąpił uścisnąć mu ręki...

Zadowolenie adwokata stało się widoczne.

— Koniec końców — zawołał — moje tłumaczenie nie jest nieprawdopodobne. Słuchaj pan i bądź przekonany, że jestem najzupełniej pewny moich informacji. Od godziny dziewiątej do jedenastej w ów wieczór, kiedy popełniono zbrodnię, na probostwie w Brechy nie było nikogo. Proboszcz był na obiedzie w zamku Bresson, a służąca wyszła naprzeciw niego z latarnią...

— Rozumiem! — mruknął pan Magloire.

— Dlaczego pan, mój szanowny kliencie — mówił dalej pan Folgat — nie miał być wówczas u proboszcza w Brechy? Naprzód chciałeś się z nim porozumieć co do rozmaitych szczegółów ślubu, a następnie, ponieważ jest pańskim przyjacielem, człowiekiem doświadczonym, kapłanem, więc w chwili, gdyś się miał żenić, chciałeś zasięgnąć jego rady, a wreszcie dopełnić tego obowiązku, o którym on panu wspominał, a do którego spełnienia nie miałeś pan wielkiej ochoty.

— Dobrze, bardzo dobrze! — potakiwał adwokat sauveterski.

— Tak więc dla odwiedzenia proboszcza w Brechy pozbawiłeś się przyjemności spędzenia wieczoru obok swojej narzeczonej. Zobaczmy, o ile to odpowiada zarzutom oskarżenia. Naprzód zapytają się pana, dlaczego szedłeś przez bagna. Dlaczego?...Dlatego, że to droga daleko krótsza, a pan obawiałeś się, żebyś nie zastał księdza już w łóżku. Nic naturalniejszego, gdyż wiadomo powszechnie, że ten zacny kapłan zwykle chodzi spać o dziewiątej. Ale nadaremny był pański pośpiech, gdyż kiedyś pan zapukał do drzwi probostwa, nikt panu nie otworzył.

Pan Magloire skinieniem powstrzymał swego młodego kolegę.

— Aż dotąd — rzekł — wszystko dobrze. — Ale dalej już jest gorzej. Nigdy, wracając z Brechy do Boiscoran, nikomu nie przyjdzie na myśl iść przez las Rochepommier. Gdybyś pan znał miejscowość...

— Znam ją, łaskawy panie, gdyż ją dokładnie zbadałem. A za dowód niech panu posłuży to, że przewidziałem pański zarzut i znalazłem nań odpowiedź. Podczas gdy pan de Boiscoran pukał do drzwi probostwa, mała dziewczynka ze wsi, której nie zna, przechodząc powiedziała mu, że spotkała proboszcza na drodze, niedaleko od miejsca zwanego Starą Kuźnią. Odosobnione położenie probostwa, stojącego u wejścia do miasta, wypadek ten czyni nader prawdopodobnym. Co się tyczy proboszcza, oto co się dowiedziałem przypadkiem: właśnie o tym czasie, kiedy pan de Boiscoran mógł być w Brechy, pewien ksiądz przechodził blisko wspomnianego miejsca; był to wikary z sąsiedniej gminy, który był także na obiedzie u pana de Bressona, a po którego przysłano do umierającej kobiety. Dziewczyna owa więc nie skłamała, tylko się omyliła.

— Znakomicie! — odezwał się pan Magloire.

— Cóż tedy zrobił tak ostrzeżony pan de Boiscoran? Poszedł czym prędzej ową drogą w nadziei, że spotka proboszcza i zaszedł aż do lasu Rochepommier. Przekonawszy się nareszcie, że dziewczyna zwiódła go umyślnie czy nieumyślnie, postanowił wrócić już do Boiscoran przez las. Ale był w najgorszym humorze, że w ten sposób stracił na niczym wieczór, który mógł być spędzić przy narzeczonej i dlatego to tak gniewał się i klął, jak to zeznał świadek Goudry...

Sławny adwokat sauveterski pokiwał głową.

— Dowcipnie to obmyślane — rzekł — i przyznaję z całą pokorą ducha, że ja bym nic podobnego nie był wymyślił. Ale... bo jest tu pewne „ale”, kochany kolego, pańskie opowiadanie grzeszy zbytkiem prostoty. Prokurator panu odpowie: „Jeżeli tak było rzeczywiście, dlaczego pan de Boiscoran nie powiedział tego od razu i na co mu było, żeby to powiedzieć, radzić się dopiero swoich obrońców?”...

Po ściągniętych rysach pana Folgata widać było wysiłek myśli.

— Wiem o tym bardzo dobrze — rzekł — że tu jest słabe miejsce pancerza... To wielki błąd, bo jest jasne, że gdyby w dzień swego aresztowania pan de Boiscoran był się w ten sposób tłumaczył, byłby został uwolniony... Ale jakże tu wynaleźć coś lepszego! Zresztą jest to dopiero pierwszy zarys mojej myśli, którą po raz pierwszy teraz sformułowałem... Przy pańskiej pomocy, panie Magloire, przy pomocy Mechineta, któremu zawdzięczam najcenniejsze wiadomości, przy pomocy wreszcie wszystkich naszych przyjaciół, nie tracę nadziei, że do całej tej historii zdołam dodać jeszcze jakiś tajemniczy szczegół, który posłuży za usprawiedliwienie milczenia pana de Boiscorana. Myślałem już wmieszać w to politykę, chciałem powiedzieć, że ze względu na przypisywane mu poglądy pan de Boiscoran pragnął ukryć swoje stosunki z proboszczem z Brechy...

— Och! To by zrobiło fatalne wrażenie! — przerwał pan Magloire. — My tutaj w Sauveterre nie jesteśmy religijni, ale jesteśmy nabożni, niesłychanie nabożni...

— Toteż porzuciłem tę myśl.

Milczący i nieruchomy dotąd Jakub zerwał się nagle.

— Czyż to nie okropne — zawołał rozgniewany — pomyśleć sobie, że my tutaj zmuszeni jesteśmy wymyślać jakieś kłamstwa! A ja jestem niewinny!... Cóż gorszego mogłoby być, gdybym był naprawdę mordercą!

Jakub miał wielką słuszość: ta konieczność zamilczenia prawdy była okropna. Jednak jego obrońcy pozostawili bez odpowiedzi ten okrzyk, zatopieni w rozmyślaniu nad systemem obrony.

— Przystąpmy do innych punktów oskarżenia — rzekł pan Magloire.

— Gdyby to, co obmyśliłem, zostało przyjęte — odrzekł pan Folgat — reszta poszłaby sama z siebie. Ale czy będzie przyjęte? Pan Boiscoran w dniu, w którym go aresztowano chcąc wymyślić jakiś powód swego wyjścia wczoraj powiedział, że był w Brechy u kupca, któremu sprzedaje drzewo. To było bardzo nieroztropne! W tym niebezpieczeństwo! O cóż to zresztą chodzi? O tę wodę, w której pan de Boiscoran wróciwszy umył sobie ręce i w której znaleziono resztki zwęglonego papieru? Tutaj tylko troszkę

potrzebujemy naciągnąć prawdę, aby się wytłumaczyć. Wystarczy powiedzieć to, co pan de Boiscoran rzeczywiście zrobił, tylko wyprowadzić to z innego powodu. Pan de Boiscoran pali mocno tytoń, wszak prawda?... Na drogę do Brechy zaopatrzył się w pewien zapas papierosów, ale nie wziął ze sobą zapalek. I to nie jest wcale okoliczność przytoczona na wiatr. Możemy dostarczyć na to dowodów, zaważać świadków. Nie wzięliśmy zapalek dlatego, że przedwczoraj zapomnieliśmy u pana de Chandore pudełka, które zwykle nosimy przy sobie, znają je wszyscy, zostało ono na kominku saloniku panny Dionizy, gdzie leży dotąd. Nie mieliśmy tedy zapalek, a byliśmy już daleko od Boiscoran, gdyśmy się spostrzegli. Trzeba więc było albo obejść się bez palenia, albo się wrócić. Ale nie! Mieliśmy strzelbę znaleźliśmy sposób, którego myśliwi używają w takich razach. Wyjęliśmy śrut z jednego z ładunków i podpaliwszy proch zapaliliśmy kawałek papieru... Tego nie można zrobić nie posmoliwszy sobie rąk. Gdy to powtórzyliśmy kilkakrotnie, mieliśmy ręce bardzo brudne i poczernione, a za długimi paznokciami mnóstwo skrawków papieru...

— Brawo — zawołał adwokat sauveterski.

Jego młody kolega zapalał się coraz bardziej. I ciągle mówiąc przez „my”, co jest w zwyczaju u adwokatów, ciągnął dalej:

— Ta woda zresztą, ta woda, którą nam zarzucacie, jest najpyszniejszym moralnym świadectwem naszej niewinności. Gdybyśmy byli podpalaczami, bylibyśmy ją wylali z pośpiechem, z jakim morderca wyciera plamy z krwi, które go zdradzają...

— Wybornie! — przyklaskiwał pan Magloire.

— A inne pańskie zarzuty — mówił dalej pan Folgat, jak gdyby był na rozprawie i zwracał się do prokuratora — inne pańskie zarzuty, wszystkie są tej samej wartości... Dlaczego powołujesz się pan na list panny Dionizy?... Dlatego, że wedle pana, dowodzi on powziętego naprzód przez nas zamiaru. Ach, przepraszam! Czyż my to jesteśmy tak głupi i pozbawieni najprostszego rozsądku? Nie taką zaprawdę mamy reputację. Jak to? Zamierzając popełnić zbrodnię, nie pomyśleliśmy, że możemy być odkryci i nie obmyśleliśmy sobie jakiegoś alibi? Jak to? Wychodząc z zamiarem zabicia człowieka bylibyśmy nabili strzelbę zajęczym i ptasim śrutem? Zaiste, zanadto łatwą czynicie nam obronę, gdyż wasze oskarżenia nie mogą wytrzymać krytyki...

Teraz znów Jakub potakiwał słowom młodego adwokata.

— I ja to bez ustanku powtarzałem Davelinowi — rzekł — i na to jedno nie umiał mi nigdy nic odpowiedzieć. Na ten punkt trzeba położyć główny nacisk.

Pan Folgat zajrzał do swoich notatek.

— Teraz — odezwał się po chwili — przystępuję do najważniejszej okoliczności, z której, gdyby wypadła dla nas pomyślnie, zrobiłbym silny punkt obrony. Pański służący, stary Antoni, powiedział mi, że na dwa dni przed dokonaniem owej zbrodni wyczyścił pańską strzelbę.

— Boże wielki! — zawołał Jakub.

— Dobrze. Widzę, że pan pojmuje całą doniosłość tego faktu. Po tym wyczyszczeniu aż do chwili, gdyś jednym nabojem zapalił listy pani de Claudieuse, czy strzelałeś pan do czegoś? Jeżeliś strzelał, to nie ma o czym mówić. Jeżeli nie, to oczywiście jedna z luf strzelby jest zupełnie czysta, a wtedy to nasze zbawienie...

Przez minutę może Jakub stał zamyślony, nic nie odpowiadając.

— Zdaje mi się — rzekł nareszcie — mogę prawie z pewnością zaręczyć, że w ten dzień, kiedy zbrodnia była dokonana, strzelałem do królika.

Pan Magloire zzymnął się prawie rozpaczliwie.

— Fatalnie! — rzekł.

— Poczekaj — odezwał się Jakub. Tego w każdym razie jestem pewny, że tego królika zabiłem jednym strzałem. Zabrudziłem więc tylko jedną lufę. Jeżeli tedy w Valpinson użyłem tej samej lufy do zapalenia listów, jestem ocalony. A to jest bardzo prawdopodobne. Kto jest przyzwyczajony do dubeltówki, machinalnie zawsze chwyta naprzód za cyngiel od prawej lufy.

Pan Magloire zmarszczył brwi.

— To nic nie znaczy — rzekł — gdyż na tak niepewnej podstawie nie możemy występować z dowodem, który w razie, gdybyśmy się omylili, obróciłby się przeciw nam- Ale podczas rozprawy, gdy ci pokażą twoją strzelbę, obejrzyj ją tak, żebyś mi mógł powiedzieć, jak się rzecz ma z tą sprawą.

Tak więc zakreślone zostały główne kontury planu obrony. Pozostawało tylko udoskonalić szczegóły, czym właśnie zajęci byli obaj adwokaci, gdy wtem Blanguin zawołał na nich przez okienko, że już czas zamykać więzienie.

— Jeszcze pięć minut, mój kochany Blanguin — odparł Jakub.

I pociągnąwszy za sobą swoich obrońców jak można było najdalej od okienka, rzekł:

— Przyszła mi pewna myśl, moi panowie... Niepodobna, żeby od czasu mego uwięzienia pani de Claudieuse nie była urażona. Mimo całej pewności, że nie zostawiła po sobie żadnych śladów, które by ją mogły oskarżyć, musi drzeć na myśl, że ja mogę się bronić mówiąc całą prawdę... Zaprzeczyłaby wszystkiemu, wiem o tym; jest zbyt pewna swego uroku, aby się mogła obawiać, mojego oskarżenia i utraty reputacji. Mimo tego niemożliwe, żeby ją nie przerażała myśl o skandalu. Kto wie, czy dla uniknięcia go nie dałaby nam jakiego sposobu ocalenia. Dlaczego jeden z panów nie miałby spróbować zrobić jakiś krok do niej?

Pan Folgat należał do ludzi decydujących się prędko.

— Ja spróbuję, tylko napisz mi pan parę słów, które by mi posłużyły za punkt wyjścia.

Za całą odpowiedź Jakub wziął pióro i napisał:

Powiedziałem wszystko mojemu obrońcy, panu Folgatowi. Ocal mnie, a przysięgam Ci wieczną tajemnicę. Czyż pozwolisz mi zginąć, Genowefo, Ty, która tak dobrze wiesz, że jestem niewinny?

— Czy to wystarczy? — zapytał podając bilecik młodemu adwokatowi.

— Najzupełniej. Przyrzekam panu, że w przeciągu dwóch dni zobaczę się z panią de Claudieuse.

Tymczasem Blanguin niecierpliwił się, obrońcy musieli się oddalić. Wyszedszy z więzienia przechodzili właśnie przez plac Nowego Targu, gdy wtem o kilka kroków od siebie ujrzeli jakiegoś wędrownego muzykanta, za którym biegło kilku chłopaków... Rzępoląc na skrzypcach śpiewał jakąś ludową piosenkę najczyściejszym miejscowym akcentem.

Pan Folgat machinalnie zaczął szukać w kieszeni drobnej monety, gdy wtem śpiewak zbliżył się ku niemu i nadstawiając kapelusz, jakby dla odebrania jałmużny, odezwał się:

— Pan mecenas nie poznaje mnie?

Adwokat aż podskoczył.

— Pan, tutaj! — zawołał.

— Tak jest! Jestem w Sauveterre od rana. Czatowałem na pana, gdyż muszę z panem pomówić. Wieczorem o dziewiątej otwórz mi pan tylną furtkę do ogrodu pana de Chandore...

I podniósłszy skrzypce, poszedł dalej kończąc zaczęta piosenkę.

Jeszcze bardziej niż pan Folgat zdziwiony był tym niespodziewanym spotkaniem pan Magloire.

I gdy grajek się oddalił, zapytał.

— Pan znasz tego człowieka?

— To jest właśnie ten agent, o którym panu mówiłem i którego usługi zapewniłem sobie.

— Goudar!

— Tak, Goudar.

— I pan go nie poznałeś?

Młody adwokat uśmiechał się.

— Nie, dopóki nie przemówił, nie poznałem go. Goudar, jakiego znam, jest dosyć wysoki, chudy, ogolony i nosi włosy krótko obcięte. Ten uliczny grajek jest mały, grubawy, brodaty, a gładkie długie włosy spadają mu do połowy pleców. Jak tu odgadnąć mojego znajomego w tym włóczędze?

Pan Magloire uśmiechnął się także.

— Czymże są zawodowi aktorzy w porównaniu z tymi ludźmi! — rzekł. — Ten na przykład powiada, że przybył tu dopiero dziś rano, a już zdaje się znać całą okolicę tak jak sam Cheminot. Już wie o małej furtce do ogrodu pana de Chandore.

— Ja sobie to już wytłumaczyłem. Opowiadając wszystko z największymi szczegółami Goudarowi, musiałem mu naturalnie mówić o tej furtce, z okazji Mechineta.

Tak rozmawiaj[^] doszli do końca ulicy Narodowej. Tutaj zatrzymali się.

— Jeszcze słówko — odezwał się pan Magloire. — Pójdzie pan do pani de Claudieuse?

— Przyrzekłem.

— Co jej pan powiesz?

— Nie wiem. To będzie zależeć od tego, jak mnie przyjmie.

— O ile ją znam, to zapewniam pana, że na sam widok listu Jakuba odprawi pana z niczym.

— Kto wie! W każdym razie nie będę miał sobie do wyrzucenia, żem zaniechał kroku, który wedle mego przekonania uważam za potrzebny...

— Cokolwiek się stanie, bądź pan ostrożny, nie unoś się... Pamiętaj pan, że gdyby się to choć cokolwiek rozgłosiło, musielibyśmy zmienić system obrony, jedyny, który daje jakąkolwiek szansę.

— Bądź pan spokojny!

Podawszy sobie ręce rozstali się. Pan Magloire udał się do swego mieszkania, pan Folgat na ulicę de la Rampe.

Spieszył się, obawiając się, aby na niego nie czekano. Jakoż czekano na niego z obiadem, ale gdy wszedł do salonu, nie myślał już wcale o usprawiedliwieniu się, tak go uderzyło przygnębienie i ponury smutek przyjaciół i rodziny więźnia.

— Czyżbyście państwo dostali jakąś niepomyślną wiadomość? — zapytał niepewnym głosem.

— Najniepomyślniejszą, jakiej tylko mogliśmy się obawiać — odrzekł margrabia de Boiscoran. — Przewidywaliśmy ją wprawdzie wszyscy, a jednak, widzisz pan, że spadła na nas jak piorun...

Młody adwokat uderzył się w czoło.

— Pan Jakub został zakwalifikowany przed sąd przysięgłych! — zawołał.

Margrabia, jak gdyby mu brakowało głosu, skinął tylko głową.

— To jest jeszcze wielka tajemnica — dodała panna Dioniza — a my wiemy to tylko dzięki niedyskrecji naszego poczciwego Mechineta.

Przerwał jej służący, który wszedł dać znać, że waza na stole.

Wszyscy udali się do jadalni, ale pod wrażeniem tej wiadomości obiad był smutny. Tylko panna Dioniza, która gorącznie zawdzięczała swoją zadziwiającą energię, pomagała panu Folgatowi w podtrzymywaniu rozmowy. Od niej dowiedział się, że hrabia de Claudieuse ma się jak najgorzej i że byłby w ciągu dnia przyjął ostatnie namaszczenie, gdyby się nie sprzeciwił doktor Seignebos oświadczając, że najmniejsze wzruszenie może zabić jego pacjenta.

— Jeżeli umrze — odezwał się pan Chandore — będzie to dla nas ostatni cios. Opinia publiczna, już i tak nieprzychylna Jakubowi, stanie się nieubłagana.

Tymczasem obiad się skończył. Pan Folgat zbliżył się do panny Dionizy.

— Mam do pani prośbę — rzekł — o powierzenie mi klucza od małej furtki od ogrodu...

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Muszę się potajemnie rozmówić z agentem policyjnym, który mi przyrzekł pomoc.

— On jest tutaj?

— Od dzisiejszego rana...

Otrzymawszy klucz od panny Dionizy pan Folgat udał się zaraz w głąb ogrodu. Punkt o dziewiątej Goudar ukazał się w furtce ze skrzypcami pod pachą.

— Cały dzień stracony! — rzekł, nie myśląc nawet o powitaniu. — Caluteńki dzień, gdyż nie mogłem nic począć, nie zobaczywszy się z panem...

Zdawał się być tak rozgniewany, że pan Folgat zaczął go uspakajać.

— Przede wszystkim — rzekł — muszę panu powinszować tego przebrania.

Ale Goudar okazał się nieczuły na ten komplement.

— Czymże byłby policjant — zawołał — gdyby się nie umiał przebierać! Śliczna mi zasługa! Nie mogłem przecież pojawić się w Sauveterre w zwyczajnej postaci! Policjant, brrr! Wszyscy uciekaliby ode mnie jak od zapowietrzonego i każdy by mi kłamał. Więc wlałem w to obrzydłe przebranie, dla którego nawet przez pół roku brałem lekcje gry na skrzypcach... Taki muzyk włóczęga robi wszystko, co zechce, nie zwracając na siebie uwagi; błąka się po ulicach i drogach, wchodzi w podwórza, wślizguje się do domów, zachodzi do kawiarni i szynków; pod pozorem proszenia o jałmużnę może zbliżać się do ludzi, rozmawiać z nimi, chodzić za nimi. A co się tyczy akcentu, którym mówię i śpiewam, to kto po sześciu miesiącach nie nauczy się innego akcentu, nie będzie nigdy policjantem. A ja jestem skazany na to przeklęte rzemiosło, które do rozpacz doprowadza moją żonę...

— Jeżeli rzeczywiście twoje chęci, panie Goudar, są takie, jak mi mówiłeś — przerwał mu pan Folgat — to może niedługo będziesz mógł porzucić ten zawód, który tak przeklinasz. Jeżeli pan zdołasz wyratować pana de Boiscorana...

— To mi da ten dom na ulicy des Vignes?

— Z przyjemnością...

Goudar wznosił ręce ku niebu... — .

— Dom na ulicy des Vignes! — powtórzył. — To byłby raj! Bo ogród ogromny, a ziemia wyborna. A jakie położenie, panie mecenasie! Ja tam upatrzyłem już taki mur, przy którym miewałbym brzoskwinie piękniejsze niż w Fontainebleau...

— Czy nie znalazł pan tam jakiejś nowej wskazówki?

Przywołany do rzeczywistości Goudar zasepił się.

— Żadnej — odrzekł — nadaremnie wypytywałem się wszystkich kupców i rzemieślników. Nie dowiedziałem się nic więcej nad to, cośmy się dowiedzieli zaraz pierwszego dnia.

— Miejmy nadzieję, że tu się panu lepiej powiedzie.

— Ja też mam nadzieję, tylko na początek potrzebuję pańskiej pomocy. Muszę się zobaczyć z doktorem Seignebosem i pisarzem Mechinetem. Poproś ich pan, żeby się stawili na schadzce, którą im listownie wyznaczę...

— Uprzedzę ich o tym.

— Następnie, jeśli będę chciał zachować swoje incognito, potrzeba mi karty pobytu od mera, na nazwisko Goudara, wędrownego muzykanta.

— Zostanę przy swoim nazwisku. Ale tej karty potrzebuję jeszcze dziś wieczór. Gdziekolwiek przyjdę na noc, zażądam ode mnie papierów...

— Zaczekaj pan tutaj na mnie kwadrans — rzekł pan Folgat—ja pobiegnę do mera.

Jakoż za kwadrans Goudar miał w kieszeni kartę pobytu i poszedł na nocleg do oberży „Pod Czerwonym Baranem” mającej najgorszą reputację w całym mieście.

Wobec trudnych lub przykrych zobowiązań odsłaniają się charaktery. Jedni zwłóczą, o ile mogą, wymijają, odkładają z dnia na dzień, podobni do owych dewotek, co to najcięższy grzech odkładają na sam koniec spowiedzi; drudzy przeciwnie, radzi by jak najprędzej pozbyć się niepokoju i kończą wszystko, jak mogą najspieszniej.

Pan Folgat należał do tych ostatnich.

Obudziwszy się o świcie nazajutrz po przybyciu Goudara, powiedział sobie:

— Dziś z rana zobaczę się z panią de Claudieuse.

I rzeczywiście, o godzinie ósmej, ubrany staranniej niż zwykle wyszedł, zapowiadawszy służącemu, aby nie czekano na niego ze śniadaniem, w razie gdyby nie wrócił na czas.

Naprzód poszedł do trybunału, spodziewając się, że zastanie tam pisarza.

I nie zawiodła go nadzieja. Sala posiedzeń sądu była jeszcze pusta, ale Mechinet siedział już przy swoim biurku, kopiując z pracowitym pośpiechem, do którego przynaglała go ciągła myśl o czekających go splatach za nabytą nieruchomość.

Ujrawszy wchodzącego pana Folgata wstał i zapytał go:

— Wiesz pan o zapadłej uchwale?

— Wiem dzięki pańskiej grzeczności i przyznam się panu, że mnie wcale nie zdziwiła. Co o tym myślą w trybunale?

— Wszyscy są przekonani, że pan de Boiscoran zostanie skazany.

— Zobaczmy! — rzekł młody adwokat. I zniżając głos dodał:

— Ale ja przychodzę i w innym jeszcze interesie. Agent, na którego oczekiwałem, przybył i chciałby z panem pomówić. Napisze do pana, wyznaczając spotkanie, bądź więc pan łaskaw uczynić zadość jego żądaniu...

— Z przyjemnością — odrzekł pisarz. — I daj Boże, żeby mu się powiodło, choćby dlatego, żeby przytrzcę trochę dumę mojego zwierzchnika...

— Ach! Pan Galpin-Daveline tryumfuje!

— Najbezwstydniej, proszę pana. Już widzi swojego niegdyś przyjaciela na galerach! Dostał od pana prokuratora generalnego nowy list z powinszowaniem i pokazywał go wczoraj każdemu, kto go tylko chciał czytać...

Od jakiegoś już czasu słyhać było kroki na korytarzach.

— A teraz jeszcze jedno — rzekł pan Folgat. — Goudar chce zachować najściślejsze incognito, nie mów pan o nim żywej duszy. A nade wszystko nie dziw się pan przebraniu, w jakim się panu ukaże...

Skrzypnięcie otwierających się drzwi przerwało mu dalsze słowa.

Wszedł jeden z sędziów, który po uprzejmym przywitaniu zaczął wypytywać pisarza o pewną sprawę, która tego dnia miała wejść na wokandę.

— Do widzenia, panie Mechinet — rzekł młody adwokat.

I puściwszy się w dalszą drogę niebawem zadzwonił do drzwi doktora Seignebosa.

— Pan doktor wyszedł — rzekł służący — ale wróci niedługo i kazał mi prosić pana, abyś raczył poczekać w jego gabinecie...

Był to dowód niesłychanego zaufania ze strony doktora, że pozwolił panu Folgatowi pozostać samemu w tej świątyni swoich rozmyślań.

Był to ogromny pokój, cały zarzucony różnorodnymi i nie mającymi ze sobą związku przedmiotami, które na pierwszy rzut oka zdradzały myśli, przekonania, upodobania i dążenia lekarza.

Na stole stojącym na środku pokoju stosy szpargałów zdradzały najświeższe studia doktora. Byli tam wszyscy autorzy, którzy zajmowali się chorobami umysłowymi, a szczególnie idiotyzmem, począwszy od Apostolidesa aż do Tardieu'go:

Pan Folgat kończył właśnie ich przegląd, kiedy wszedł doktor, zawsze jak burza, ale znacznie weselszy niż zwykle.

— Dalibóg, wiedziałem, że pana tu zastanę — zawołał zaraz z progu. — Przychodzisz pan powiedzieć mi, żebym się stawił na schadzkę z Goudarem...

Młody adwokat podskoczył.

— Kto to panu powiedział? — zawołał osłupiały.

— Goudar we własnej osobie! Ten chłopak bardzo mi się podoba. Mnie z pewnością nikt nie posądzi o czułość dla wszystkiego, co z daleka lub z bliska ma związek z prefekturą, mnie, którego całe życie tropią policjanci. Ale pański agent gotów mnie pogodzić z policją...

— Kiedyś się pan z nim widział?

— Dziś rano o siódmej. Tak go irytowało, że daremnie traci czas w tej jaskini „Pod Czerwonym Baranem”, iż przyszedł mu pomysł udać, że jest słaby i posłać po mnie. Poszedłem i znalazłem człowieka w rodzaju wiejskiego minstrela, który mi się wydał zdrów jak ryba. Ale gdyśmy zostali sami, powiedział mi, o co chodzi. Panie Folgat, ten Goudar, to mistrz nie lada, ja to panu mówię! Porozumieliśmy się doskonale...

— Czy powiedział panu, co zamyśla zrobić?

— Mniej więcej... Ale mnie nie upoważnił do powtarzania tego komukolwiek. Cierpliwości! Pozwól mu pan działać, czekaj, a zobaczysz, że stary Seignebos ma jeszcze nosa.

— Poczekam — rzekł adwokat — a teraz pozwoli pan, że przystąpię do innej sprawy. Pan Jakub de Boiscoran zobowiązał mnie, abym się zobaczył z panią de Claudieuse.

— Tam do licha!

— I otrzymał od niej sposób wydobycia go z niebezpieczeństwa.

— Gruszki na wierzbie, panie kochany...

Pan Folgat z trudnością hamował ogarniające go zniecierpliwienie.

— Przyjąłem to zlecenie — rzekł suchym tonem — i postaram się je wypełnić...

— Pojmuję to, kochany mecenasie, tylko że się do pani de Claudieuse nie dostaniesz. Hrabia ma się bardzo źle, ona nie odstępuje od niego ani na krok i nie przyjmuje nawet swoich najbliższych znajomych...

— A jednak muszę się do niej dostać. Bądź co bądź muszę jej doręczyć list, który mi powierzył mój klient. I będę z panem szczery. Właśnie dlatego, że przewidywałem trudności, przychodzę do pana, żebyś mi podał sposób ich przewyciężenia lub obejścia.

— Ja!

— Czyż nie jesteś lekarzem pana de Claudieuse'a?

— Do diabła! — zaklął doktor Seignebos. — Wy, adwokaci na wszystko znajdziecie sposób...

A potem ciszej, odpowiadając raczej na własne wątpliwości mruczał:

— To prawda, że leczę pana de Claudieuse'a, którego choroba, nawiasem mówiąc, zawodzi wszystkie moje domysły, ale właśnie dlatego nic nie mogę zrobić. Nasz zawód ma przepisy, których nie można przekraczać, bez skompromitowania zawodu lekarza.

— Ależ tu idzie o życie i honor Jakuba, pańskiego przyjaciela...

— I współwyznawcy politycznego, to wszystko prawda. Ale ja nie mogę panu pomagać do nadużycia zaufania pani de Claudieuse.

— Ach; panie, czyż ta kobieta nie dopuściła się zbrodni, za którą pan de Boiscoran, niewinny, będzie sądzony przez sąd przysięgłych...

— Wiem o tym, a jednak...

Zamilkł, zamyślił się, aż nareszcie pochwyciwszy swój kapelusz z szerokimi skrzydłami i nasadzając go gwałtownie na głowę zawołał:

— Zresztą niech się dzieje, co chce! Są sprawy tak święte, że przed nimi wszystko musi ustąpić! Chodź pan!

Po pożarze w Valpinson państwo de Claudieuse zamieszkali tymczasowo na ulicy Mauretrec.

Dom, który dla nich wynajął pan Seneschal, był ponad sto lat siedzibą rodziny de Juliac i uchodził za jeden z najstarszych i najwspanialszych w Sauveterre.

Doktor Seignebos z panem Folgatem doszli tam w niespełna dziesięć minut.

Z ulicy widać tam tylko mur, współczesny zamkowi, jak utrzymują archeolodzy, pokryty bluszczami i mchem. W murze tym osadzone są ciężkie, podwójne drzwi. Na dzień jedną ich połowę zdejmuje się i zakłada inną, ażurową, która za każdym otwarciem porusza dzwonek.

Następnie przechodzi się przez wielki ogród, w którym w cieniu starych topoli wznosi się kilkanaście posągów pozieleniałych od mchu...

Dom jest tylko dwupiętrowy.

Szeroka sień przecina dolne piętro, a w głębi ukazują się kamienne schody z żelazną, pięknego wyrobu poręczą.

Gdy się znaleźli w tej sieni, pan Seignebos otworzył jedne drzwi na prawo.

— Wejdz pan tutaj — rzekł do pana Folgata — i czekaj. Ja idę do hrabiego, który leży na pierwszym piętrze i przyślę panu hrabinę.

Młody adwokat zastosował się do tego i wszedł do obszernego salonu z trzema oszkłonymi drzwiami wychodzącymi na ogród.

Salon ten musiał być kiedyś przepyszny. Piękne boazerie, malowane na biało, ze złotymi arabeskami okrywały ściany. Na suficie jakaś alegoryczna kompozycja przedstawiała pyzate amorki unoszące się wśród gwiaździstego nieba.

Ale czas przesunął swoje brudne palce po wszystkich tych wspaniałościach ubiegłego stulecia, zatarł w znacznej części malowidła, poczercił złoto na arabeskach, powyszczerbiał amorki.

Umeblowanie nie łagodziło melancholii tych ruin.

W oknach nie było firanek. Na kominku stał zegar i połamane kandelabry. Tu i ówdzie stały w nieładzie najrozmaitsze sprzęty wyrwane z pożaru w Valpinson: stołki, kanapy, fotele i okrągły stół uszkodzony i szczerniały od płomieni.

Ale pana Folgata nie obchodziły te szczegóły.

Myślał tylko o kroku, na który się odważył, a którego całą niezwykłość dopiero teraz zaczął pojmować. Potrzebował całej siły woli, żeby zapanować nad ogarniającym go zmieszaniem.

Nareszcie usłyszał w przedpokoju lekkie i szybkie kroki i prawie natychmiast ukazała się pani de Claudieuse.

Była zupełnie taka, jak mu ją opisał Jakub: spokojna, poważna, pogodna, jak gdyby jej dusza unosiła się gdzieś wysoko ponad ludzkimi namiętnościami.

Straszne wypadki następujące po sobie od miesiąca nie tylko w niczym nie nadwyreżyły jej wykwintnej piękności, ale otoczyły jej czoło niby aureolą męczennicy. I tylko podsiniałe oczy i nieład przepysznych włosów zdradzały znużenie i ślady nocy bezsennie spędzonych przy łożu chorego męża.

Gdy pan Folgat uklonił się jej, zapytała:

— Pan jesteś obrońcą pana de Boiscorana?

— Tak, pani.

— Doktor powiedział mi, że pan życzy sobie ze mną pomówić.

— Tak, pani.

Skinieniem królowej wskazała mu krzesło i sama siadając także rzekła:

— Słucham pana...

Nie bez pewnego niemiłego drżenia serca pan Folgat zaczął:

— Muszę pani przede wszystkim przedstawić sytuację mojego klienta.

— To zbyteczne, ja ją znam...

— A więc wiadomo pani zapewne, że został zakwalifikowany przed sąd przysięgłych i że może być skazany!

Ona z wyrazem smutku potrząsnęła głową i rzekła z wolna:

— Ja wiem, proszę pana, że hrabia de Claudieuse padł ofiarą najpodlejszego zamachu, że jego życie jest w niebezpieczeństwie i że jeżeli nie stanie się cud, niedługo ja nie będę miała męża, a moje dzieci nie będą miały ojca...

— Ale pan de Boiscoran jest niewinny, proszę pani!

Głębokie zadziwienie odmalowało się na twarzy pani de Claudieuse i wpatrując się w pana Folgata zapytała:

— A więc któż jest mordercą?

Młody adwokat z trudnością powstrzymał na ustach straszne słowo: Pani!, które mu podsuwało oburzone sumienie.

Ale jemu chodziło o to, aby dopiąć celu, zamiast więc odpowiedzieć wprost, rzekł:

— Widzi pani, dla oskarżonego, dla nieszczęśliwego adwokat jest spowiednikiem, przed którym nic nie ukrywa. Dodać muszę, że adwokat równie jak ksiądz dotrzymuje sekretu i umie zapomnieć powierzoną sobie tajemnicę.

— Nie rozumiem pana...

— Mój klient, proszę pani, miał bardzo prosty sposób uwolnienia się, to jest: powiedzieć całą prawdę... Ale on wolał narazić własny honor, aniżeli kompromitować inną osobę...

Hrabina poruszyła się niecierpliwie.

— Mam mało czasu — przerwała. — Proszę się wyrażać jaśniej.

Ale pan Folgat dalej już nie mógł się posunąć.

— Mam od pana de Boiscorana polecenie, by oddać pani ten list — rzekł.

— Mnie? — zawołała. — A to z jakiego tytułu?

Młody adwokat milcząc wyjął list Jakuba i podając go hrabinie rzekł tylko:

— Oto jest...

Ona wzięła go w rękę, która wcale nie drżała i otworzyła go powoli. Ale gdy go przeczytała, zerwała się z krzesła i zarumieniona, z oczami pełnymi błyskawic, zawołała:

— Czy pan wiesz, co ten list w sobie zawiera?

— Wiem, pani.

— Wiesz pan, że pan de Boiscoran śmie nazywać mnie po imieniu, Genowefą, tak jak mnie nazywają mąż i ojciec!

Nadeszła decydująca chwila. Pan Folgat odzyskał już całą zimną krew.

— Pan de Boiscoran utrzymuje, że panią nazywał tak niegdyś... na ulicy des Vignes... wtedy, gdy pani nazywałaś go Jakubem...

Hrabina zdawała się nie pojmować tego wszystkiego.

— Ależ to okropność — rzekła — to, co mi pan mówisz! Jak to! Pan de Boiscoran śmiał panu powiedzieć, że ja, hrabina de Claudieuse, byłam jego... kochanką!

— Tak, pani, powiedział mi to i twierdzi, że na kilka chwil przed pożarem był przy pani i jeżeli miał ręce poczernione, to przy paleniu listów pani i swoich, któreście do siebie pisywali...

Ona wyprostowała się na te słowa i zawołała donośnym głosem:

— I pan mogłeś temu uwierzyć, pan!... Ach, pierwsza zbrodnia pana de Boiscorana w porównaniu z tą jest niczym! Nie dosyć mu, że spalił nam dom, że nas zniszczył, jeszcze chce nas zbezcześcić. Nie dosyć mu tego, że odebrał życie mężowi, chce jeszcze żonie odebrać honor!

Mówiła tak głośno, że w sieni musiało być słyhać.

— Zmiłuj się pani, ciszej! — odezwał się pan Folgat.

Ona zmierzyła go wzrokiem pełnym pogardy i podnosząc jeszcze głos mówiła:

— Och, rozumiem, że pan obawiasz się, aby cię nie usłyszano! Ale ja czego mam się obawiać? Ja chciałabym, żeby nas cały świat usłyszał i osądził. Ciszej, powiadasz pan. Dlaczego ciszej? Czy pan sądzi, że gdyby pan de Claudieuse nie był umierający, ten list nie byłby już w jego rękach? A on umiałby sobie wymierzyć sprawiedliwość za tą niktzemność. Ale ja, kobieta!... Nigdy nie poczułam tak okropnie, że wszyscy uważają mego męża za zgubionego i że zostanę sama na świecie, bez opieki, bez przyjaciół...

— Ależ pani, pan de Boiscoran przysięga pani najzupełniejszą tajemnicę...

— Tajemnicę czego? Waszych niktzemnych obelg, podłej intrygi, do której to zapewne jest przygrywką...

Pan Folgat pobladł od tej zniewagi.

— Strzeż się, pani — rzekł stłumionym głosem — mamy niepodważalne dowody...

Pełnym dumy skinieniem powstrzymała go pani de Claudieuse i wspaniała boleścią, pogardą i gniewem, zawołała:

— A więc wystąpcie z tymi dowodami! Mówcie, róbcie, co chcecie! Zobaczymy, czy niktzemna potwarz zbrodniarza zdoła osiągnąć nieskalanego imienia uczciwej kobiety. Zobaczymy, czy z tego błota, w którym się tarzacie, choć jedna kropla zdoła mnie zbrukać!

I rzuciwszy pod nogi adwokatowi list Jakuba skierowała się ku drzwiom.

— Pani — rzekł jeszcze pan Folgat — proszę pani...

Ona nie raczyła się nawet obejrzeć i zniknęła, zostawiwszy go tak osłupiałego, że stracił niemal zdolność myślenia...

Na szczęście nadszedł doktor Seignebos.

— Dalibóg — odezwał się — nigdy nie przypuszczałem, że pani de Claudieuse tak dobrze przyjmie moją zdradę. Rozstawszy się z panem przyszła jak gdyby nigdy nic i zapytała się, jak znalazłem dzisiaj jej męża i co trzeba robić. Ja odpowiedziałem jej...

Ale reszta zdania ugrzęzła mu w gardle; spostrzegł nareszcie, w jakim stanie znajduje się pan Folgat.

— Co panu jest? — zapytał.

Młody adwokat patrzył na niego z miną człowieka, który dostał zawrotu głowy.

— To mi jest — odrzekł — że pytam sam siebie, czyja czuwam, czy śnię! To mi jest, że jeżeli ta kobieta jest winowajczynią, to śmiałość jej przechodzi wszelkie wyobrażenie...

— Jak to, jeżeli! Czy pan zaczynasz wątpić o jej zbrodni?

— Czy ja wiem? — odrzekł adwokat. — Czyż pan nie widzisz, że zupełnie straciłem głowę, że nie wiem już, co myśleć, czemu wierzyć!

— Och!

— Ale tak jest. A jednak, doktorze, ja nie jestem naiwny. Od pięciu lat, jak jestem adwokatem przy sądach kryminalnych i jak grzebię w najniższych warstwach klas społecznych, naodkrywałem mnóstwo dziwnych rzeczy, spotykałem straszne typy i nasłuchiłem się okropnych zwierzeń...

Teraz znów doktor z kolei osłupiał tak dalece, że zapomniał o mordowaniu swoich złotych okularów.

— I cóż panu powiedziała pani Claudieuse? — zapytał.

— Choćbym to panu powtórzył — odrzekł pan Folgat — niewiele byś z tego pojął. Trzeba było być tutaj, widzieć ją i słyszeć. Cóż to za kobieta! Ani jeden mięsień nie drgnął na jej twarzy, oczy pozostały spokojne i jasne, żadne wzruszenie nie zmieniło dźwięku jej głosu. Jakaż ona miała wyzywającą minę! Ale proszę cię, doktorze, wyjdźmy stąd...

Jakoż wyszli i byli już w alei ogrodowej, gdy ujrzeli zbliżającą się ku nim starszą córeczkę pani de Claudieuse wracającą ze służącą ze spaceru.

Pan Seignebos zatrzymał młodego adwokata i nachyliwszy się ku niemu rzekł:

— Czekaj pan! Prawda jest w ustach dzieci, słusznie?

— Czego się pan spodziewasz? — szepnął pan Folgat.

— Wyjaśnić jeden wątpliwy punkt. Milcz i nie przeszkadzaj mi.

Dziewczynka już dochodziła do nich.

Było to śliczne, dziewięcioletnie dziecko, blondynka z pięknymi, niebieskimi oczyma, duża na swój wiek, posiadająca umysł rozwinięty jak u młodej panienki, a nie miała panieńskiej trwożliwości.

— Dzień dobry, Marciu — rzekł doktor swoim najśłodszym głosem, który był bardzo słodki, kiedy chciał.

— Dzień dobry panom — odrzekła z wdzięcznym ukłonem.

Nachyliwszy się ku niej pan Seignebos pocałował ją w różowy policzek i patrząc na nią dodał:

— Ale ty Marciu, jesteś jakaś smutna...

— Bo papa i siostrzyczka są bardzo słabi — odrzekła z ciężkim westchnieniem.

— Tęsknisz zapewne za Valpinson...

— O, tak...

— A jednak i tu jest ładnie; masz duży ogród do zabawy...

Ona pokręciła główką i zniżając głos rzekła:

— Prawda, że tu ładnie, ale... ja się tu boję.

— A to czego, duszko?

Ona wskazała na posągi i odrzekła z drzeniem:

— Wieczorem zdaje mi się zawsze, że one się ruszają, zdaje mi się, że widzę jakieś osoby kryjące się za drzewami, jak ten człowiek, co chciał zabić papę.

— Trzeba odpędzać takie brzydkie myśli — przerwał pan Folgat.

Ale pan Seignebos nie dał mu dalej mówić.

— Jak to, Marto, jesteś bojaźliwa? — zawołał. — Ja myślałem, że jesteś odważna. Twój ojciec mówił mi, że w nocy, podczas pożaru w Valpinson, zupełnie nie byłaś wystraszona...

— Papa powiedział prawdę...

— A jednak musiało ci być straszno, gdy cię obudziły płomienie.

— Och! Mnie nie płomienie obudziły, doktorze.

— Jednakże, gdy ogień wybuchnął...

— Ja już wtedy nie spałam, gdyż obudziło mnie trzaśnięcie drzwi, które mama wchodząc silnie zamknęła.

Jedna i ta sama straszna myśl drzeniem przejęła doktora i adwokata.

— Mylisz się chyba, Marcju — rzekł doktor — mama nie była w pokoju w chwili, gdy wybuchł pożar...

— Przepraszam pana...

— Ale mylisz się...

Dziewczynka się wyprostowała i z tą poważną minką, którą przybierają dzieci, kiedy ktoś wątpi w to, co one mówią, odparła:

— Owszem, jestem pewna tego, co mówię i przypominam sobie wszystko doskonale. Położono mnie spać o zwykłej godzinie, a że byłam bardzo znużona zabawą, zasnęłam natychmiast. Kiedy mama wyszła, spałam w najlepsze, ale wracając obudziła mnie. Potem poszła do łóżeczka mojej siostrzyczki, nachyliła się nad nią i długo wpatrywała się w nią z takim smutkiem, że mnie się zbierało na płacz... Potem usiadła niedaleko okna i mojego łóżeczka; nie śmiałam się odezwać, ale widziałam, jak duże łzy spadały jej po twarzy, gdy wtem na polu zagrzmiął wystrzał...

Pan Folgat i pan Seignebos spoglądali na siebie z wyrazem najwyższego niepokoju.

— A więc ty, moje dziecko — odezwał się znowu lekarz — jesteś zupełnie pewna, że mama była w waszym pokoju, kiedy po raz pierwszy strzelono?

— Naturalnie, doktorze. Kiedy padł strzał, mama zerwała się i stanęła z nachyloną głową, jak gdyby nadśluchiwała. Prawie natychmiast padł drugi strzał, a mama podniósłszy ręce w górę, krzyknęła: „Boże mój!” i natychmiast wybiegła.

Trudno o fałszywszy uśmiech nad ten, na który silił się doktor Seignebos.

— To ci się chyba śniło, Marciu — rzekł.

Na to odpowiedziała mu milcząca dotąd sługa:

— Panience się wcale nie śniło, proszę pana. Ja także usłyszałam wystrzały i otwarte drzwi od mego pokoju, żeby się dowiedzieć, co to takiego, widziałam, jak pani przebiegła przez sień i rzuciła się na schody...

— Och! Ja się wcale o to nie sprzeczam — przerwał jej doktor tonem, o ile mógł, najo-
bojętniejszym — cóż mnie tam na tym zależy!

Ale dziewczynka chciała już dokończyć swe opowiadanie.

— Gdy mama wyszła — ciągnęła dalej — byłam niespokojna, podniosłam się na łóżku i zaczęłam słuchać. Niebawem usłyszałam jakieś dziwne odgłosy i jakby dalekie krzyki... Strach mnie zdjął; wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam otworzyć drzwi. Ale o mało mnie nie przewrócił tuman dymu i iskier. Nie straciłam jednak przytomności. Obudziłam siostrzyczkę, wzięłam ją na ręce i chciałam się dostać na schody, gdy wtem Cocaleu wpadł jak szalony, porwał nas obie i wyniósł...

— Marto! — zawołał ktoś z domu — Marto!

Dziewczynka urwała opowieść.

— Mama mnie woła — rzekła.

I ukłoniwszy się pięknie, dodała:

— Do widzenia panom.

Już Marcia była daleko, a Seignebos i Folgat stali jeszcze spoglądając jeden na drugiego z wyrazem osłupienia.

— Nie mamy tu nic więcej do roboty — odezwał się wreszcie adwokat...

— Rzeczywiście, chodźmy do domu, pewnie tam na mnie czekają... Zjesz pan ze mną śniadanie...

I poszli z pochylonymi głowami i do tego stopnia zatopieni w myślach, że zapomnieli odwzajemnić ukłony, co zauważyło wiele osób.

Przyszedłszy do domu, doktor polecił służącemu nakryć na dwie osoby i podać butelkę wina. A zaprowadziwszy adwokata do swojego gabinetu zapytał:

— No, co pan myśli o tej całej historii?

Pan Folgat odparł smutno:

— Nie mogę nic zrozumieć...

— Czyż można przypuścić, że pani de Claudieuse nauczyła córkę, co ma mówić, gdyby ją ktoś zagadnął?...

— Nie.

— A pokojową?

— Tym mniej, taka kobieta jak ona nie zwierza się nikomu; walczy, triumfuje lub upada, ale sama.

— A więc służąca i dziecko powiedziały nam prawdę?

— Jestem o tym przekonany.

— I ja tak samo.

— A więc hrabina nie miała udziału w zabójstwie swego męża?

— Naturalnie!

Pan Folgat nie zauważył tylko zwycięskiego uśmiechu na twarzy doktora. Zdjął on swoje złote okulary i wycierał je zawzięcie.

— Gdyby hrabina była niewinna — rzekł — to Jakub byłby winny! Więc Jakub chyba oszukał nas wszystkich, prawda?

Pan Folgat pokręcił głową.

— Zmiłuj się doktorze — rzekł — nie naciskaj mnie tak, pozwól mi się opamiętać, zebrać myśli. Przerażają mnie domysły, które mi się nasuwają. Nie, pan de Boiscoran nam nie skłamał i pani de Claudieuse była jego kochanką. Nie, on nas nie oszukał i z pewnością w dzień pożaru miał schadzkę z hrabiną. Czyż Marta nie mówiła nam, że jej matka wychodziła? Gdzież by chodziła, jeżeli nie na schadzkę? Tylko...

Zawahał się.

— Mów pan śmiało — rzekł doktor — mnie się nie potrzebujesz obawiać...

— A więc może być, że gdy pani de Claudieuse odeszła, zostawiwszy pana de Boiscorana, jakiś przypadek wmieszał się w tę sprawę. Pan de Boiscoran opowiadał nam, że listy, które zapalił, zapłonęły nagle tak gwałtownie, że aż się przestraszył... Któż nam zaręczy, że iskra uniesiona wiatrem nie zapaliła słomy? W chwili, gdy się oddalał, pan de Boiscoran spostrzegł ten początek pożaru: biegnie więc, chcąc go ugasić; jego usiłowania okazują się daremne; płomień wzmaga się, szerzy i oświeca cały front zamku. W tej chwili wychodzi pan de Claudieuse. Panu de Boiscoran zdaje się, że został schwytany na gorącym uczynku, że jego miłostki zostały odkryte, jego małżeństwo zerwane, jego życie zwichnięte, przyszłość złamana, szczęście zniweczone... Traci głowę, zmierza się do hrabiego, daje ognia i ucieka. Tym tłumaczy się fakt, że strzały nie były celne, równie jak niewytłumaczony dotąd zamach dokonany ze strzelby nabitej śrutem...

— Nieszczęsny! — przerwał doktor.

— A co? Cóż ja takiego powiedziałem?

— Strzeż się pan powtórzyć to kiedykolwiek! Takie straszne prawdopodobieństwo jest w pańskim przypuszczeniu, że gdyby się rozgłosiło, nikt by panu potem nie uwierzył, gdy będziesz mówił prawdę...

— Prawdę? Więc pan sądzisz, że ja się mylę?

— Naturalnie!

I poprawiając okulary doktor mówił:

— Jednej rzeczy nie mogłem przypuścić, to jest by pani de Claudieuse własną ręką miała strzelić do męża. I miałem słuszność. Ona nie popełniła zbrodni osobiście. Popełniono ją z jej rozkazu...

— Och!...

— Alboż to ona byłaby pierwsza? Oto moje przypuszczenie: zanim udała się na schadzkę z Jakubem, pani de Claudieuse ułożyła i rozporządziła wszystko... Morderca był na swoim stanowisku. Gdyby zdołała była nawrócić Jakuba ku sobie, jej wspólnik byłby odłożył strzelbę i poszedł sobie spokojnie spać. Nie mogąc skłonić Jakuba, aby się wyrzekł małżeństwa z panną de Chandore, postanowiwszy zostać wolną, aby mu w tym przeszkodzić, dała znak. Pożar został wzniecony strzelano do hrabiego...

Młody adwokat nie zdawał się być przekonany.

— W takim razie — rzekł — cała rzecz byłaby z góry obmyślona; jakże więc wytłumaczyć to, że strzelba była nabita śrutem?

— Tym, że wspólnik nie miał dość rozumu...

Chociaż już czuł, dokąd doktor zmierza, pan Folgat zerwał się jednak żywo.

— Zawsze ten Cocaleu! — rzekł.

Doktor Seignebos uderzył się palcem w czoło.

— Kiedy raz tu usadowi się jakaś myśl — rzekł — niełatwo ją tamtąd usunąć. Tak jest, pani de Claudieuse ma wspólnika, a tym wspólnikiem jest Cocaleu. A chociaż rozum mu nie dopisał, widzisz pan jednak, jak daleko ten nędzny idiota posuwa poświęcenie i jak umie dochować tajemnicy...

— Jeśli pan mówisz prawdę, doktorze, to nigdy nie dostaniemy klucza do tej sprawy, gdyż Cocaleu nie powie nic...

— Nie ręcz pan za nic. Zaproponowano mi pewien środek... — Przerwał mu służący, który wpadł nagle.

— Proszę pana — rzekł — jest tu na dole żandarm, który przyprowadził panu jakiegoś człowieka potrzebującego natychmiastowego oddania do szpitala.

— Niech tu przyjdą — odrzekł doktor.

I podczas gdy służący pobiegł spełnić rozkaz, rzekł:

— Oto mój środek, panie Folgat. Uwaga...

Na schodach dały się słyszeć ciężkie kroki i prawie natychmiast ukazał się żandarm, który w jednej ręce trzymał skrzypce, a drugą podpierał jakiegoś nędzarza, który nie mógł iść o własnych siłach.

Pan Folgat o mało nie krzyknął:

— Goudar!

Był to w samej rzeczy Goudar, ale w jakimże stanie! Suknie miał podarte i powalane błotem, twarz bladą, oko błędne, brodę i usta okryte białawą pianą.

— Było tak, doktorze — rzekł żandarm. — Ten człowiek grał na skrzypcach na dziedzińcu w koszarach i kilku nas patrzyło na niego z okien, gdy wtem na naszych oczach padł na ziemię, zaczął się tarzać i rzucać, wyjąc i tocząc pianę jakby wściekły wilk. Podnieśliśmy go więc, opatrzyli, a teraz przyprowadzam go do pana, bo nie wiemy...

— Zostaw nas z nim samych — odezwał się doktor.

Żandarm wyszedł.

— Co za rzemiosło! — zawołał Goudar z wyrazem niewypowiedzianego wstrętu. — Popatrzcie tylko na mnie, panowie! Co za wstyd, gdyby mnie tak moja żona zobaczyła...

Chustką wycierał sobie twarz i wyjął z ust mały kawałek mydła.

— Najważniejsze — odezwał się doktor — że pan tak zręcznie odegrałeś rolę epileptyka, iż żandarmów zupełnie wyprowadziłeś w pole...

— Piękna mi zręczność, dalibóg! A nade wszystko wielce zaszczytna!

— Wyborna w każdym razie, gdyż dzięki niej będziesz pan niebawem w szpitalu. Umieścimy pana na jednym oddziale z Cocoleum, a ja będę pana odwiedzał codziennie z rana. Pańska rzecz działać.

— Bądź pan spokojny — odparł Goudar—mam już obmyślony pewien plan.

Potem zwracając się do pana Folgata, dodał:

— Tak tedy zostaję więźniem; ale obmyśliłem wszystko. Agent, którego wysłałem do Anglii będzie panu nadsyłał swoje raporty. Prócz tego chciałem pana prosić o jedną przysługę: napisałem do żony, żeby listy do mnie wysyłała pod pańskim adresem; bądź pan łaskaw doręczać mi je przez doktora. A teraz gotów jestem zostać towarzyszem Cocoleugo, ze stałym postanowieniem zarobienia sobie na dom przy ulicy des Vignes.

Pan Seignebos podpisał dla niego bilet przyjęcia do szpitala. Zawołał na żandarma i pochwaliwszy go za okazaną ludzkość poprosił, aby odprowadził tego „nędzarza” do szpitala...

A zostawszy sam z panem Folgatem, rzekł:

— A teraz, kochany mecenasie, musimy się porozumieć. Czy mamy mówić komukolwiek o tym, co nam opowiedziała Marta i o projektach Goudara? Mnie się zdaje, że nie, gdyż Galpin-Daveline czuwa, a dość by było najmniejszego podejrzenia z jego strony, żeby wszystko poszło na marne. A więc opowiedz pan tylko Jakubowi swoje widzenie się z panią de Claudieuse, a reszcie ani słówka!

Jak wszyscy niemal ludzie bardzo przebiegli, doktor Seignebos miał tę słabość, że u innych podejrzewał podobną domyślność, jaką sam posiadał.

Pan Galpin-Daveline czuwał niezawodnie, ale nie tak znów bardzo zawzięcie, jak by to można sądzić o człowieku tak ambitnym.

Pierwszy został zawiadomiony o postawieniu pana de Boiscorana w stan oskarżenia; poczuł się naraz uwolniony od obaw, które go dręczyły. Odetchnął swobodnie...

Wyrzutów sumienia nie miał. Nie żałował niczego. Myślał sobie tylko, że zaczawszy ryzykowną grę, w której stawką była jego przyszłość, wygrał ją szczęśliwie.

Wprawdzie nie zrzucił jeszcze zupełnie wszelkiej odpowiedzialności, ale skończyła się jego rola jako urzędnika śledczego. W najgorszym razie unikał już tego wstydu i nagany, które by go były spotkały, gdyby pan de Boiscoran został był uwolniony z braku dowodów winy.

Zdawał sobie sprawę, że w Sauveterre nigdy już nie będzie dobrze widziany; że wszelkie stosunki stałyby się tam dla niego uciążliwe, że nikt nigdy nie podałyby mu chętnie ręki... Ale on sobie drwił z tego... Co mu tam Sauveterre, nędzna prefektura z pięćotysięczną ludnością!

Spodziewał się, że niedługo tu zostanie i że świetny awans stanie się jego nagrodą za odwagę i położy koniec głupiej gadaninie.

A przy takiej reputacji, przy jego zręczności i silnej woli nie braknie mu sposobności odznaczenia się, okazania swojej wartości, stania się użytecznym, niezbędnym... Widział się już pnącego po niebezpiecznej drabinie wysokich dostojęństw. Widział się w Bordeaux, w Lyonie, w Paryżu...

Tego wieczora zatem zasypiał na purpurze pierwszego sukcesu!

A nazajutrz dość było spojrzeć na niego, gdy przechodził ulicą, sztywniejszy i dumniejszy niż zwykle, z zaciśniętymi wargami, z zimnym i twardym spojrzeniem, żeby się domyślić, iż musiało zajść coś nowego.

— Źle muszą stać sprawy pana de Boiscorana — mówili sobie sauveterscy obywatele — kiedy pan Galpin tak zadziera głowę!

On tymczasem szedł do prokuratora.

Za pretekst do tej wizyty posłużyła mu potrzeba kilku podpisów prokuratora, po które w każdym innym razie byłby posłał swego pisarza. Rzeczywiście zaś miał on na sercu surowe przygany pana Daubigeona i spodziewał się teraz powetować je sobie na nim.

Zastał starego szperacza jak zawsze nad ulubionymi foliałami, w jeszcze gorszym niż zwykle humorze.

Ale nie zważał na to. Dał mu do podpisania akta, które przyniósł, po czym, wkładając je do teczki odezwał się poufnym tonem:

— A co, panie prokuratorze, wiesz pan o decyzji w sprawie Boiscorana? Któż z nas dwóch miał słusność?

Pan Daubigeon wzruszył ramionami.

— Ale naturalnie! — mruknął. — Cóż, ja tam jestem już stary, niedołęga, dziwak, nie ma co mówić! Nie sprzecam się też, tylko myślę sobie swoje.

— Żartuje pan... Ale co by się stało, gdybym pana posłuchał?...

— A cóż mnie to obchodzi!

— Pan de Boiscoran byłby tak samo zakwalifikowany przed sąd przysięgłych...

— Może być...

— Ktokolwiek inny byłby tak samo jak ja zebrał dowody wykazujące nieodwołalnie jego winę...

— To jeszcze pytanie...

— A ja byłbym sobie zwichnął karierę, okazawszy się jednym z owych bojaźliwych urzędników, których byle co zatrzymuje w drodze...

— Nie jest to znów reputacja tak dalece gorsza od innych — przerwał mu prokurator.

Przyrzekł sobie był, że będzie lakonicznie odpowiadał panu sędziemu, ale uniesiony gniewem zapomniał o tym.

— Kto inny na pańskim miejscu — rzekł z goryczą — nie zajmowałby się wyłącznie tym, żeby koniecznie dowieść, że pan de Boiscoran jest winny.

— To prawda, że ja tego dowiodłem.

— Kto inny byłby szukał klucza do tej zagadki...

— Ależ zdaje mi się, że go znalazłem.

Pan Daubigeon uklonił się z ironiczną miną...

— Winszuję panu — rzekł. — Wielkie to szczęście taka przenikliwość, tylko kto wie, czy się pan przypadkiem nie mylisz. Pan jesteś znakomitym sędzią śledczym, ale ja jestem starszy w tym rzemiośle. Otóż im bardziej zastanawiam się nad tą sprawą, tym mniej ją rozumiem. Kiedy pan tak wszystko wiesz, wytłumacz mi powód zbrodni, bo przecież nikt nie naraża się na rusztowanie lub galery bez jakiegoś ważnego, dotykającego interesu... A gdzież tu jest jakiś interes Jakuba? Odpowiedz mi pan, że nienawidził pana de Claudieuse'a. Czyż to jest odpowiedź? Zajrzyj pan trochę w swoje sumienie...

Pan Daveline zaczynał już prawie żałować, że przyszedł. Myślał, że zastanie pana Daubigeona wielce skonfundowanego, a tymczasem bynajmniej...

— Sąd stawiając pana de Boiscorana w stan oskarżenia nie miał pańskich skrupułów — rzekł sucho.

— Zapewne, ale mogą je mieć sędziowie przysięgli. Bywają czasami między nimi ludzie rozumni...

— Przysięgli skazą pana de Boiscorana bez wahania.

— Ja bym tam za to nie dał głowy...

— Dałbyś pan, gdybyś wiedział, kto będzie stawał przeciw niemu.

— Och!...

— Sam pan du Lopt de la Gransiere!

— Tam do licha!

— Miałżebyś mu pan zaprzeczać talentu?

Sędzia śledczy widocznie zaczynał się irytować; uszy mu poczerwieniały, za to pan Daubigeon zdawał się odzyskiwać dobry humor.

— Niech mnie Bóg broni — odrzekł — żebym miał zaprzeczać wymowy panu du Lopt de la Gransiere. Jest to człowiek znakomity w swoim zawodzie, którego pociski rzadko chybiają celu. Tylko, jak panu wiadomo, akty oskarżenia, tak jak książki, mają swoje losy. Jakub będzie dobrze broniony...

— Nie lękam się Magloire'a.

— Ale ten drugi, Folgat...

— Młody człowiek bez powagi... Takiego pana Lachaud to bym się lękał...

— Czy znasz pan ich system obrony?

To była właśnie słaba strona pana Galpin-Davelina, ale nie pokazując tego po sobie, odrzekł:

— Nie... ale co mnie to obchodzi! Przyjaciele pana Boiscorana myśleli zrazu skorzystać z Cocoleugo, ale potem tego zaniechali. Jestem tego pewny. Komisarz policji, któremu poleciłem, by miał na to oko, zapewnił mnie, że doktor Seignebos zupełnie przestał się zajmować tym biednym idiotą.

Pan Daubigeon uśmiechnął się ironicznie i bardziej dla podroczenia się z panem Davelinem niż żeby miał tak myśleć istotnie, rzekł:

— Strzeż się pan i nie ufaj pozorom; masz pan do czynienia z ludźmi zręcznymi. Ja panu zawsze mówiłem, że Cocoleu jest może węzłem całej tej sprawy. Właśnie dlatego, że de la Gransiere będzie wnosił oskarżenie, powinieneś pan się lękać.

Gdyby mu się nie udało, mściłby się na panu i nie darowałby panu tego całe życie. A może mu się nie udać.

Z tonu jakim, przemawiał prokurator, pan Daveline zrozumiał, że nic nie zyska na dalszej dyskusji.

— Niech się dzieje, co chce! — rzekł. — Mnie wystarcza głos mojego sumienia.

I obawiając się odpowiedzi, z pośpiechem dopełniwszy form grzeczności, wyszedł, a idąc po schodach mrucał:

— Szkoda czasu na dyskusje z tym człowiekiem.

Ale daremnie się złościł; pewność siebie, jaką czuł przed chwilą, przepadła. Pan Daubigeon pokazał mu niebezpieczeństwo, którego on nie przeczuwał; I jakie jeszcze niebezpieczeństwo! Urazę jednego z najbardziej wpływowych ludzi w sądownictwie, jednego z owych ludzi żółciowych i zimnych, którzy nigdy nie przebaczą.

Pan Daveline dopuszczał wprawdzie możliwość porażki, to jest uwolnienie obwinionego z braku dowodów. Ale nie zastanowił się nad następstwami tej porażki.

Kogo by ona dotknęła? Przede wszystkim prokuraturę, gdyż we Francji prokuratura robi z oskarżenia sprawę osobistą i czuje się obrażona i upokorzona, jeżeli podejrzany wyjdzie obronną ręką.

Cóż by się więc stało w takim razie?

To, że pan du Loipt de la Gransiere winę za to przypisałby sędziemu śledczemu.

Ja z pańskiej pracy, powiedziałby mu, czerpałem podstawy do aktu oskarżenia. Jeżeli nie uzyskałem potępiającego wyroku, to dlatego, że pańska praca była niedokładna. Jesteś pan nieudolnym sędzią śledczym.

Takie słowa byłyby stanowczą niełaską: po nich w miejsce wymarzonego awansu nastąpiłoby wygnanie na całe życie do Algierii lub Korsyki...

Dreszcz przeszedł pana Davelina. Ujrzał się pogrzebanym pod ruinami swoich zamków na lodzie. I mimowolnie zaczął przechodzić jeszcze raz wszystkie szczegóły dochodzenia analizując wszystkie dowody, które zebrał, jak żołnierz, który w przeddzień bitwy sprawdza swoją broń.

Zaiste, nie mógł znaleźć żadnego zarzutu, prócz tego, który uczynił prokurator.

Co za interes mógł mieć Jakub w popełnieniu tej zbrodni?

— Tu widocznie jest słabe miejsce pancerza — myślał sobie — i rozsądnie będzie z mojej strony, że ostrzegę o tym pana de la Gransiere. obrońcy Jakuba gotowi są na tej okoliczności głównie oprzeć obronę,

A obrońców tych, chociaż z takim lekceważeniem mówił o nich do pana Daubigeona, lękał się jednak.

Wiedział on, jaki ogromny wpływ wywierał pan Magloire dzięki swej nieskazitelnosci i prawości, wiedział, że dosyć, by się podjął jakiej sprawy, aby ją miano za dobrą. Mówiono o nim:

— Może się omylić, ale zawsze wierzy w to, czego broni.

Wprawdzie pan Magloire nie miał owej dramatycznej wymowy, która do głębi wzrusza tłumy, ale ją miał pan Folgat.

Pan Galpin zasięgał o nim wiadomości i jeden z jego przyjaciół w Paryżu napisał mu:

Strzeż się Folgata. Posiada on w wysokim stopniu sztukę zachwiania sumień przysięgłych, wzruszenia ich, wyciśnięcia im lez i wymożenia na nich wyroku uniewinnającego.

Szczególniej obawiać się go trzeba podczas samej rozprawy, gdyż zawsze ma jakąś niespodziankę w odwodzie.

— Otóż tacy to są owi przeciwnicy—myślał sobie pan Daveline. — Jaką oni mi gotują niespodziankę? Czy oni też naprawdę zaniechali Cocoleugo?

Nie miał żadnej przyczyny nie ufać swemu komisarzowi policji, a jednak był tak niespokojny, że wrócił się z drogi i poszedł do szpitala.

Przełożona zakonnica przyjęła go naturalnie z wszelkimi oznakami głębokiego uszanowania, a jak tylko zapytał się o Cocoleugo, rzekła:

— Czy chcesz go pan zobaczyć?

— Przyznam się, że rad bym bardzo.

— Proszę pana ze sobą.

Zaprowadziła go do ogrodu i zwracając się do ogrodnika, zapytała:

— Gdzie jest idiota?

— Jest proszę pani tam, w głębi alei, w tym miejscu, co to pani wie, które sobie upodobał i z którego nie można go wywabić — odparł ogrodnik.

Jakoż wkrótce dostrzegli go.

Zdjęto z niego łachmany, które miał na sobie, gdy go tu przyprowadzono, a dano mu ubranie szpitalne składające się z długiej szarej kapoty i bawełnianej czapki. Nie miał on inteligentniejszej fizjonomii, ale nie był przynajmniej tak odrażający. Siedząc na ziemi bawił się kamyczkami.

— A co, chłopcze! — zawołał pan Daveline. — Jak się tu miewasz?

On spojrzał głupowato, popatrzał nieruchomo na przełożoną, ale nic nie odpowiedział.

— Chciałbyś wrócić do Valpinson? — odezwał się znów pan sędzia.

On zadrzał, ale nie rzekł ani słówka.

— Słuchaj no — nalegał pan Daveline — odpowiadaj, a dam ci za to trochę pieniędzy.

Gdzież tam! Cocoleu wrócił do zabawy kamyczkami.

— On taki zawsze — rzekła przełożona. — Od czasu, jak jest tutaj, nikt z niego nie mógł wydobyć ani słowa. Obietnice, groźby, wszystko na nic się nie przydało. Pewnego dnia, na próbę, nie dałam mu śniadania i powiedziałam, że nie dostanie nic, dopóki nie powie: jeść mi się chce! Ale po dwudziestu czterech godzinach musiałam mu dać jeść, gdyż byłby umarł z głodu, a nie pisał ani słowa...

— Cóż na to pan Seignebos?

— Doktor ani słyszeć już nie chce o nim — odrzekła przełożona. A podnosząc oczy do nieba dodała:

— Co dowodzi, że bez wyraźnego cudu Opatrzności, ten nieszczęśliwy nigdy nie zdołałby wydać zbrodni, której był świadkiem.

A następnie, wracając do rzeczy ziemskich, rzekła:

— Ale czy nas panowie nie uwolnicie od tego biednego idioty, który jest wielkim ciężarem dla naszego szpitala? Skoro miał z czego żyć w swojej rodzinnej wsi, to dlaczego by go tam nie odesłać? My tutaj mamy tylu starców i chorych, a miejsca tak mało...

— Trzeba czekać, dopóki się nie skończy proces pana de Boiscorana — odrzekł sędzia.

— Pan mer tak samo mi powiedział — rzekła przełożona — cóż robić! Tyle przynajmniej, że nam go pozwolono usunąć z osobnego pokoju, w którym zrazu siedział. Kazałam go umieścić na oddziale wariatów...

Ale wtem urwała. Odźwierny szpitala, Vaudevin, zbliżył się do niej z ukłonem.

— A co tam? — zapytała.

— Żandarm przyprowadził jakiegoś człowieka. Ma być natychmiast przyjęty...

Przełożona przeczytała bilet podpisany przez doktora Seignebosa.

— Epileptyk — rzekła — i trochę idiota, tego nam tylko brakowało! A do tego jeszcze obcy. Doprawdy, ten doktor Seignebos, jest zbyt łatwy w przyjmowaniu chorych. Dlaczego zamiescowych nie odsyłać do właściwych gmin?

I krokiem wcale żwawym na swój wiek poszła ku rozmównicy, a za nią odźwierny i pan Daveline.

Tam bowiem wprowadzono nowego chorego, który posadzony na ławce przedstawiał obraz najzupełniejszego zezwierżenia.

— Niech go zaprowadzą do oddziału obłąkanych — rzekła przełożona popatrzwszy nań przez chwilę. — Cocoleu będzie miał towarzysza. A niech zawiadomią siostrę aptekarkę. Albo nie, pójdę sama. Pan sędzia raczy darować...

I wyszła, zostawiwszy pana Daveline nieco spokojniejszego.

— Z tej strony nie ma niebezpieczeństwa — myślał sobie odchodząc. Jeżeli pan Folgat liczy na jakąś niespodziankę, to nie Cocoleu da mu do niej sposobność.

W tym samym czasie, w którym sędzia śledczy wychodził ze szpitala, pan Folgat, mocno zamyślony, ze spuszczoną głową szedł przez ulicę, a śledzący go obywatele porównawszy jego pochmurną minę ze zwycięską postawą pana Davelina wywnioskowali stanowczo, że Jakub de Boiscoran przepadł bez ratunku.

W tej chwili i pan Folgat myślał prawie tak samo.

Był on właśnie w jednej z tych chwil ponurego upadku ducha, od których nie umieją się uchronić ludzie najenergiczniejsi, gdy się silnie zajmą osiągnięciem jakiegoś niepewnego a gorąco upragnionego celu.

Opowiadanie Marci i służącej zupełnie ścięło go z nóg.

W chwili gdy sądził, że pochwycił wszystkie nici sprawy, naraz przedza motała mu się bardziej, niż kiedykolwiek. A tak było od samego początku. Na każdym kroku zagadka wi-
kłała się jakąś nie wytłumaczalną okolicznością. Za każdym nowym posunięciem z jego
strony ciemności, zamiast się rozpraszać, gęstniały.

I to nie dlatego bynajmniej, żeby wąpił w niewinność Jakuba. Podejrzenie, które mu się
przez myśl przesunęło, minęło jak błyskawica. Dopuszczał wraz z doktorem Seignebosem
prawdopodobieństwo jakiegoś współnika, zapewne Cocoleugo, który faktycznie dokonał
zbrodni.

Ale jakąż tu korzyść z tego przypuszczenia wyciągnąć dla obrony? Żadnej.

Wśród takich myśli młody adwokat przybył do więzienia. Wtedy poczuł potrzebę ukry-
cia swojego niepokoju i podczas gdy Blanguin szedł przed nim brząkając kluczami, on starał
się swojej twarzy nadać wyraz ufności.

— A, nareszcie pan jesteś! — zawołał Jakub.

Znać było po nim, że okropnie musiał cierpieć od wczoraj. Od gorączki oczekiwania
twarz mu nabrzmiała i oczy nabiegły krwią. Wstrząsało nim jakieś nerwowe drżenie.

Mimo tego czekał, dopóki dozorca nie zamknął drzwi i wtedy dopiero ochryplym gło-
sem zapytał:

— I cóż powiedziała?

Pan Folgat jak najdokładniej zdał mu sprawę ze swojego posłannictwa, powtórzywszy
prawie dosłownie wszystko, co mówiła pani de Claudieuse.

— Poznają ją po tym! — zawołał więzień.—Zdaje mi się, że ją słyszę! Co za kobieta!
Co za zuchwalstwo!

— Widzisz pan — odezwał się młody adwokat — że na próżno byśmy chcieli wyjść z
zakresu naszej obrony. Wszelki krok byłby tutaj daremny.

— Nie — przerwał Jakub — ja na tym nie poprzestaną!

A po kilku chwilach zastanowienia, jeżeli w ogóle w tej chwili był zdolny zastanawiać
się nad czymkolwiek, rzekł:

— Przepraszam pana, kochany mecenasie, zem pana naraził na takie obelgi. Powinienem
był je przewidzieć, a raczej, prawdę powiedziawszy, przewidywałem je... Wiedziałem, że nie
w ten sposób powinienem był rozpocząć walkę! Ale zląkłem się i cofnąłem. Szalony! Jak
gdybym nie wiedział, że w końcu zawsze trzeba będzie dojść do ostatecznych środków! Otóż
dziś doszedłem już do tego i wiem, co mam zrobić.

— Co pan przez to rozumie?

— To, że pójdę sam do pani de Claudieuse, zobaczę się z nią i rozmówię...

— Och!...

— Przede mną może się nie wyprze! Przede mną, pod moim wzrokiem będzie musiała
przyznać się do zbrodni, którą mnie zarzucają.

Pan Folgat przyrzekł doktorowi Seignebosowi, że nie będzie nic mówił o tym, co usłyszeli od Marci i sługi, ale nie wyrzekł się zupełnie korzystania z tego.

— A gdyby pani de Claudieuse też była niewinna? — rzekł.

— To któż byłby winny?

— Gdyby miała jakiegoś współnika...

— W takim razie musi mi go wymienić. Ja tego chcę, tak być musi... Nie chcę zostać skazany, jestem niewinny, nie chcę iść na galery.

Daremne byłoby mu perswadować. Toteż młody adwokat rzekł tylko po prostu:

— Bądź pan ostrożny! Nasza obrona już i tak jest trudna, nie uczyn jej zupełnie niemożliwą.

— Będę ostrożny.

— Skandal zgubiłby nas bez ratunku.

— Nie lękaj się pan.

Pan Folgat zamilkł. Odgadywał on doskonale, jakim sposobem Jakub wydostał się z więzienia, a o szczegóły się go nie wypytywał, gdyż stanowisko obrońcy nakazywało mu nie wiedzieć o pewnych rzeczach, a przynajmniej udawać, że o nich nie wie.

— A teraz, szanowny mecenasie, jedna usługa jeżeliś łaskaw...

— Proszę pana...

— Chciałbym o ile możności jak najdokładniej poznać rozkład mieszkania państwa de Claudieuse.

Zamiast odpowiedzi pan Folgat wziął ćwiartkę papieru i nakreślił na niej plan znanej sobie części domu przy ulicy Mautrec, ogrodu, sieni i salonu.

— A gdzie jest pokój hrabiego? — zapytał Jakub.

— Na piętrze.

— Czy pan jesteś pewny, że on nie może wstać?

— Tak mi mówił doktor Seignebos.

— Kiedy tak, to wszystko dobrze! — zawołał więzień. — A teraz pozostaje mi tylko jeszcze prosić kochanego pana, abyś powiedział panie de Chandore, że chcę się z nią widzieć dzisiaj, jak najprędzej. Niech przyjdzie tylko z jedną z ciotek Lavarande. A zaklinam, śpiesz się pan!

Pan Folgat tak się pośpieszył, że w dwadzieścia minut potem był już na ulicy de la Rampe.

Panna Dioniza była w swoim pokoju. Kazał ją więc poprosić, a gdy jej powiedział, że Jakub na nią czeka, powiedziała tylko:

— Zaraz idę.

A przywoławszy jedną z ciotek, Elżbietę, rzekła:

— Zbieraj się, ciociu, prędko! Szal, kapelusz i wyjdziemy...

Więzień z taką pewnością liczył na pośpiech swojej narzeczonej, że kiedy ona przybiegła zdyszana, on już czekał na nią w rozmównicy.

Pochwycił jej rękę i przyciskając do ust, szeptał:

— O moja droga! Jakże zdołam kiedykolwiek odwdziżyć ci tę wierność w nieszczęściu! Moje całe życie, jeżeli je stąd zdołam wynieść, nie wystarczy na to!

Ale w tej chwili, otrząsając się z roztkliwienia, które go ogarnęło, zwrócił się do ciotki Elżbiety:

— Daruj mi pani — rzekł — że się ośmielę poprosić panią o oddanie nam tej samej przysługi, którąś nam pani już raz wyświadczyła. Jest rzeczą niezmiernie ważną, ażeby tego, co mam powierzyć Dionizie, nikt nie słyszał, a obawiam się, że mnie tu szpiegują...

Przyzwyczajona do biernego posłuszeństwa ciotka Elżbieta wyszła, nie odezwawszy się ani słówkiem i stanęła na czatach w korytarzu.

Panna Dioniza była tym bardzo zdziwiona, ale Jakub nie pozwolił jej nawet dojść do słowa.

— Powiedziałaś mi raz na tym samym miejscu — rzekł — iż w razie, gdybym chciał uciekać, Blanguin dostarczy mi do tego środków...

Biedne dziewczę cofnęło się i głosem, w którym czuć było niesłychane osłupienie, wyjąkało:

— Więc chcesz uciec?

— Nigdy, za żadną cenę! Ale musisz pamiętać, że oparłszy się twoim prośbom, powiedziałem ci, iż może będę kiedyś potrzebował wydostać się na kilka godzin z więzienia...

— Przypominam sobie...

— Prosiłem cię, abyś przygotowała do tego dozorcę.

— Zrobiłam to. Za pieniądze będziemy go mieli zawsze na usługi.

Zdawało się, że Jakub odetchnął swobodniej.

— Otóż dzisiaj nadeszła ta chwila. Jutrzejszy wieczór muszę spędzić poza więzieniem. Chciałbym wyjść około dziesiątej, wrócę przed północą.

Panna Dioniza przerwała mu:

— Zaczekaj, zawołam Blanguinową.

Małżeństwo dozorców więzienia w Sauveterre podobne było do wielu innych małżeństw.

Grubianin, wymagający, despota mąż udawał zucha, gadał głośno i stanowczo, przewracając oczyma i opierając się na prawie mocniejszego, pewny, że jest panem w domu.

Pokorna, uległa, posłuszna na pozór żona, schylała głowę, zdawała się słuchać każdego rozkazu, a w rzeczywistości, prawem wyższości umysłowej rządziła domem.

Gdy mąż coś obiecał, trzeba było jeszcze postarać się o zezwolenie żony. Gdy żona coś przyrzekła, sama brała na siebie skłonienie do tego męża.

Dobrze więc zrobiła panna Dioniza udając się naprzód do żony.

Zawołana przybiegła do rozmównicy, z ustami pełnymi obłudnych oświadczeń, zaklinając się, że jest cała na usługi panienki, przypominając czasy, kiedy służyła u pana de Chandore, jedyne dobre czasy w jej życiu, za którymi zawsze wzdychała.

— Ja wiem, że mi dobrze życzysz — przerwała jej panna Dioniza. — Ale posłuchaj mnie.

I poczęła jej żywo tłumaczyć, czego chce od niej, podczas gdy Jakub usunąwszy się na bok śledził reakcję dozorczyńni.

Ona powoli podniosła głowę, a gdy panna Dioniza skończyła, rzekła:

— Rozumiem doskonale i gdyby to ode mnie zależało, to powiedziałabym: dobrze i basta! Ale cóż, kiedy to Blanguin jest panem w więzieniu. On tam nie jest taki zły, tylko że bardzo pilnuje obowiązku...

— Czyż wam już nie zapłaciłam!

— Och! Ja wiem, że panienka nie żałuje nigdy biednym ludziom!

— Obiecałaś mi, że pomówisz o tym z mężem...

— Toteż mówiłam, tylko że...

— Dam tyle, co poprzednim razem.

— W złocie?

— Zgoda, w złocie.

Błyskawica chciwości zaświeciła w oczach dozorczyńni, a jednak hamując się rzekła:

— Kiedy tak, to może mój mąż się zgodzi. Ja mu tam nagadam i przyślę go tutaj.

Wybiegła z pośpiechem, a zaledwie drzwi się za nią zamknęły, Jakub zbliżył się.

— Ile ty już dałaś Blanguinowi? — zapytał.

— Siedemnaście tysięcy franków...

— Ci ludzie wyzyskują nas niegodnie...

— Co tam pieniądze! Bodajbyśmy oboje byli zrujnowani, abyś tylko ty był wolny!

Ale dozorczyńni nie potrzebowała dużo czasu na decyzję swego męża. Ciężki krok Blanguina niebawem rozległ się po korytarzu, a zaraz też i on sam się pojawił, z czapką w ręce, z pokorną miną, z okiem niespokojnie biegającym.

— Żona powiedziała mi wszystko — odezwał się — i ja jestem gotów. Tylko musimy się porozumieć. Państwo niemałej rzeczy ode mnie żądacie...

Jakub przerwał mu skinieniem.

— Tylko nie przesadzajmy — rzekł. — Ja nie chcę uciekać, chcę tylko wyjść na parę godzin. Wrócę, dam panu na to słowo honoru.

— Ależ właśnie to mnie niepokoi! Gdyby chodziło tylko o ucieczkę, to otwarłbym panu więzienie i dalej, w nogi! Takie rzeczy co dzień prawie się trafiają. Tymczasem wyjść, chodzić po mieście, wrócić... Niech diabli wezmą! A jak pana kto spotka? A jak się o pana ktoś przyjdzie zapytać, podczas gdy pana nie będzie? A jak kto zobaczy pana wracającego? Cóż ja powiem? Że mnie oddała za niedbalstwo, mniejsza o to, jestem zapłacony i kpię z tego. Ale żebym miał zostać oskarżony o współnictwo i sam osadzony w więzieniu, dziękuję za to!

Była to widocznie tylko przedmowa.

— Po co te słowa? Niech pan mówi jaśniej — przerwała mu panna Dioniza.

— Oto tak. Bramą pan w żaden sposób wyjść nie może. Po capstrzyku żołnierze wchodzi do więzienia i aż do pobudki, to jest do piątej rano nie mogę ani otworzyć, ani zamknąć bez sierżanta dowodzącego wartą...

— Koniec końców — przerwał mu Jakub — skoro się pan zgadzasz, to musi być jakiś sposób na to.

— Jest jeden — odrzekł dozorca.

I nie umiając ukryć, że od dawna to obmyślał, dodał:

— Chcąc to zrobić, trzeba, żeby pan wyszedł z więzienia tak, jak gdyby uciekał na dobre. Mur łączący dwie wieże w pewnym miejscu, które wymierzyłem, nie ma więcej jak łokieć grubości, a z drugiej strony, tam gdzie dawniej były wały, nie stawiają nigdy warty. Ja panu dostarczę łopaty i oskarda, a pan zrobi dziurę w murze.

Jakub wzruszył ramionami.

— A nazajutrz, jak wrócę — rzekł — czym pan wytłumaczysz ten świeżo wybity otwór?

Blanguin uśmiechnął się.

— Naturalnie, że nie powiem, że go szczury wygryzły. Obmyśliłem wszystko. Równocześnie z panem wyjdzie inny więzień, który nie wróci...

— Co za więzień?

— A juści, że Frumencjusz Cheminot, nie kto inny. On się wcale nie będzie gniewał, że się wydestanie na wolność, a nawet dzielnie dopomoże do wybicia otworu. Niech się pan z

nim porozumie, naturalnie nie mówiąc mu, że ja wiem cokolwiek o tym. W ten sposób, jakkolwiek to wypadnie, ja nie będę skompromitowany.

Plan był rzeczywiście dobry. Tylko Blanguin niesłusznie się nim chełpił. Był to pomysł jego żony.

— Dobrze, zgoda! — rzekł Jakub. — Wystaraj się pan o oskard i łopatę, pokaż mi miejsce, a już Cheminota biorę na siebie. Jutro, w ciągu dnia otrzymasz pan pieniądze.

I miał już iść za dozorcą, który zabierał się do odejścia, gdy wtem panna Dioniza zatrzymała go. A podnosząc na swego narzeczonego piękne oczy pełne niepokoju i wzruszenia, rzekła:

— Widzisz Jakubie, że nie wahałam się na wszystko odważyć, żeby uzyskać dla ciebie te kilka godzin wolności, których żądałeś... Czy mogę się teraz zapytać, co z nimi chcesz zrobić?

A gdy milczał, zaczęła nalegać:

— Gdzie ty chcesz pójść?

Krew uderzyła mu do głowy i drżącym głosem rzekł:

— Zaklinam cię, Dionizo, nie żądaj ode mnie odpowiedzi... Pozwól mi zachować tę tajemnicę, jedyną, jaką w moim życiu będę miał przed tobą...

Dwie łzy drżące na rzesach dziewczyny stoczyły się po jej policzkach.

— Rozumiem cię — rzekła — rozumiem aż nadto! Chociaż nie znam zupełnie życia, spostrzegłszy jednak, że coś przede mną ukrywają, miałam zaraz przecucie. Teraz nie mogę już wątpić. Ty jutro wieczór pójdziesz do jakiejś kobiety...

— Dionizo! — błagał Jakub składając ręce. — Dionizo, na miłość boską!

Ona jakby go nie słyszała, mówiła lekko kiwając głową:

— Do kobiety, którą kochałeś zapewne i którą jeszcze kochasz, u stóp której szeptałeś może te same wyrazy, któreś szeptał u moich! Jak ty mogłeś sobie o niej przypomnieć wśród naszych udręczeń! Więc ona ciebie nie kocha! Dlaczego ona tu nie przyszła, wiedząc, że jesteś w więzieniu fałszywie oskarżony o ohydny zbrodnię...

Jakub nie mógł znieść tego dłużej.

— Wielki Boże — zawołał — wolę raczej sto razy wszystko ci powiedzieć, aniżeli zostawić w twoim sercu takie podejrzenie! Słuchaj i przebacz mi...

Ale ona go zatrzymała i cała drżąca, kładąc mu rękę na ustach, rzekła:

— Nie, nie chcę nic wiedzieć! Ufam ci! Pamiętaj tylko, że dla mnie jesteś wszystkim: nadzieją, przyszłością, życiem! Gdybyś mnie oszukał, czuję, że kochałabym cię mimo tego, ale wiem także, że niedługo bym cierpiała...

Oszalały z bólu i miłości Jakub zawołał:

— Dionizo, moja najdroższa Dionizo, pozwól, niech ci powiem, kim jest ta kobieta i dlaczego muszę się z nią widzieć...

— Nie — przerwała mu — nie! Rób, co ci nakazuje sumienie, ja ufam ci zupełnie.

I zamiast nadstawić mu czoło do pocałowania jak zwykle, uciekła, pociągnawszy za sobą ciotkę Elżbietę, tak że on, chociaż czym prędzej wybiegł z rozmównicy, ujrzał już tylko cień znikający w głębi korytarza.

Dotąd Jakub nie mógł jeszcze zdobyć się na to, żeby nienawidzić panią de Claudieuse tą ślepą i dziką nienawiścią, która tylko marzy o zemście...

Nieraz zapewne przeklinał ją w samotności więzienia, ale wśród najsilniejszych przystępów gniewu w głębi jego duszy rodziło się pewne uczucie politowania dla tej kobiety, którą niegdyś tak kochał. Gdyż nie mógł się tego wyprzeć przed samym sobą, że ją ubóstwiał do szaleństwa. Jej winien był pierwsze upojenia młodzieńcze, pierwsze rozkoszne wrażenia, które trudno zapomnieć. Nawet w tej celi więziennej dreszcz nim niekiedy wstrząsał, gdy sobie przypominał niektóre jej pozy, jej oczy pełne rozkosznego ognia; zdawało mu się, że słyszy cudowny dźwięk jej głosu, że wciąga w siebie woń perfum, których używała...

Gdyby mu wydarła tylko honor, przyszłość, stanowisko, gotów byłby jej wszystko przebaczyć. Ale wydzierać mu serce narzeczonej, porwać mu tę miłość gorącą i czystą jak płomień! To przechodziło wszelką miarę!

— I miałbym ją jeszcze oszczędzać! — zawołał z wściekłością. — Miałbym się wahać, czy ją zgubić! Nie mam do tego prawa, tu idzie o życie Dionizy!

I mocniej niż kiedykolwiek zdecydowany był na jutrzejszą wyprawę czując, że mu nie braknie odwagi.

Z widoczną intencją dozorca przysłał Cheminota, aby odprowadził Jakuba do celki.

Jakub kazał mu wejść za sobą i po prostu, bez ceremonii, powiedział mu, o co idzie.

Przekonany był, że na myśl o ucieczce włóczęga podskoczy z radości. Tymczasem wcale nie. Uśmiechnięta zwykle twarz Frumencjusza Cheminota zasepiła się i drapiąc się w ucho, rzekł zmieszany:

— Kiedy bo... proszę pana... ja tam nie mam ochoty uciekać...

Jakub aż podskoczył na stołku ze zdziwienia. Gdyby Cheminot odmówił mu pomocy, on nie mógłby wyjść wcale, a przynajmniej nie tak prędko...

— Czy ty na serio mówisz, Cheminot? — zapytał.

— Na serio, proszę pana. Widzi pan, tu mi nie jest źle, mam porządne łóżko, jadam dwa razy na dzień, nic nie robię, a czasem dostanę parę groszy na wino i na tytoń...

— Ależ wolność, mój kochany!

— Cóż tam, wolność mi nie ucieknie, oddadzą mi ją sami. Przecież ja nie popełniłem żadnej zbrodni. Przeleźć przez mur do sadu, to znowu nie taka straszna rzecz, żeby za to wieszali. Radziłem się pana Magloire'a i powiedział mi, jak stoi moja sprawa. Będę stawał

przed policją poprawczą i skazą mnie na trzy miesiące a najwyżej na pół roku. Czy to warto tym sobie głowę nabijać? A jak ucieknę, to wyślą za mną zaraz żandarmów i złapią mnie; a wtedy dopiero będzie źle. Pominąwszy to, że uciec i skompromitować więzienie, to rzecz poważna.

Co tu powiedzieć na tak rozsądne postanowienie, na takie słuszne rozumowanie! Jakub zaczynał się niepokoić.

— Dlaczego by cię żandarmi mieli pochwycić, mój kochany? — rzekł.

— Dlatego, że są żandarmami, proszę pana. A potem to jeszcze nie wszystko; gdyby to była wiosna, powiedziałbym: zgoda! Ale teraz jesień, nadejdą słoty, roboty nie będzie...

Choć próżniak niepoprawny, Cheminot zawsze troszczył się o robotę.

— Winobranie więc odbędzie się bez ciebie! — odezwał się Jakub.

Włóczęga z żalem pokręcił głową.

— To prawda, że przy winobranii to się człowiek zawsze doskonale zabawi!

— A widzisz...

— Ale cóż z tego; cała historia trwa parę tygodni. Potem nadchodzi zima. A zima... niech ją tam... to dopiero moja nieprzyjaciółka! Już ja nieraz byłem w takiej turbacji: mróz trzaskający, śnieg wali, a tu człowiek nie ma gdzie głowy schować! Brrr! Tutaj palą w piecach, a administracja daje ciepłe obuwie na zimę.

— Tak, ale tu nie ma wieczornic... wiesz, tych wieczornic, co to się na nich popija ciepłe wino i prawi się komplementy dziewczętom, łuszcząc groch albo kukurydzę...

— Och! Wiem ci, wiem! Naśmiałem się i ubawiłem nieraz. Ale swoją drogą mróz! A potem gdzie tu iść bez grosza!

Do tego właśnie punktu chciał go Jakub doprowadzić.

— Ja mam pieniądze — rzekł.

— Wiem o tym.

— Czy ty myślisz, że ja bym cię puścił z próżnymi kieszeniami? Ja bym ci dał, ile chcesz!

— Naprawdę? — zawołał włóczęga.

I wpatrując się w Jakuba wzrokiem, w którym malowało się zdziwienie, nadzieja i radość, dodał:

— Kiedy bo, proszę pana, mnie by trzeba dużo! Zima jest długa... Mnie by trzeba... o, tak, mnie by trzeba z jakie pięćdziesiąt pistolów!

Pięćdziesiąt pistolów to znaczy pięćset franków.

— Ja ci dam sto pistolów — rzekł Jakub.

Oczy Cheminota zabłysły. Musiały mu się przywidzieć owe ponętne szynki w Rochefort, w których pędził tak wesoło życie.

Ale nie mogąc uwierzyć w takie szczęście, odezwał się bojaźliwie:

— Pan sobie może żartuje ze mnie?

— Chcesz tych pieniędzy zaraz? — odrzekł Jakub. — Zaczekaj...

Wydobył z szuflady stolika banknot tysiäcfrankowy. Ale na widok tego banknotu włóczęga cofnął rękę, którą już był wyciągnął.

— O nie, tak nie chcę! Ja wiem, co wart ten papier, bo miewałem dawniej takie same. Ale teraz, cóż bym z tym zrobił? Znaczyłby dla mnie tyle, co liść z drzewa, gdyż w pierwszym lepszym miejscu, gdzie bym chciał ten banknot zmienić, chwycono by mnie za kołnier...

— To drobiazg. Do jutra postaram się o złoto, o drobne pieniądze albo o mniejsze banknoty, jak chcesz...

Teraz Cheminot zaklaskał wesoło w ręce.

— Niech będzie trochę tego, a trochę tego! — zawołał. — Jestem na pańskie usługi. Niech żyje wolność! Gdzie to trzeba przebić mur?

— Jutro ci pokażę. A teraz cicho, ani słówka!

Jakoż nazajutrz Blanguin pokazał Jakubowi, gdzie mur jest najcieńszy.

Było to w czymś w rodzaju komórki, do której nikt nigdy nie chodził i w której złożone były stare sprzęty, kilofy i oskardy.

— Ażeby panu nikt nie przeszkodził, zaprosiłem dziś do siebie na obiad dwóch kolegów i zaproszę jeszcze podoficera żandarmów. Będziemy się śmiać i nikt nie pomyśli o więźniach. Moja żona będzie miała oko na wszystko i gdyby zaszło jakieś niebezpieczeństwo, przyjdzie pana ostrzec, a pan czym prędzej czmychniesz do siebie.

Gdy już wszystko zostało ułożone, skoro się zmierzchno, Jakub i Cheminot, zaopatrzeni w świecę, wśliznęli się do komórki i zabrali się do roboty.

Cięzka to była jednak robota, to przebicie starego muru i Jakub sam nigdy by jej nie dał rady. Mur był nawet cieńszy, niż powiedział Blanguin, ale nadspodziewanie twardy.

Na szczęście włóczęga miał silne pięści. I mimo ostrożności, jaką zachowywał, aby go nie było słychać, w niespełna godzinę wybił taką dziurę, że przez nią mógł się prześliznąć człowiek.

Wysunął przez nią głowę i po chwili rzekł:

— Wszystko dobrze! Noc jest ciemna, a miejsce puste. Dalibóg, ja się wynoszę!

Jakub wysunął się za nim i instynktownie pobiegli ku miejscu, gdzie drzewa tworzyły jeszcze większą ciemność.

Jakub dając Cheminotowi paczkę pięciofrankowych banknotów rzekł:

— Masz tutaj na dodatek do tych stu pistołów, które ci dałem poprzednio. Dziękuję ci, tęgi chłopak z ciebie i jeżeli się wywikłam z tej sprawy, nie zapomnę o tobie. A teraz rozstańmy się. Uciekaj, nie zapomnij o ostrożności... i szczęść Boże!

Powiedziawszy to oddalił się szybkim krokiem. Ale Cheminot nie poszedł w inną stronę, jak się ułożyli.

— Doprawdy — pomyślał sobie włóczęga — to ciekawa historia. Gdzie on też pójdzie?

Ciekawość odniosła zwycięstwo nad ostrożnością, poszedł za Jakubem.

Jakub udał się na ulicę Mautrec.

Ale wiedział, jaka straszna klątwa ciążyła nad nim. Idąc najkrótszą drogą, przechodząc przez uczęszczane ulice, byłby się naraził na to, że mógł być poznany i zatrzymany. Postanowił zatem obejść z daleka i zapuścił się w labirynt ciemnych uliczek na starym mieście. Szedł krokiem gorączkowym, odwracając się od rzadkich przechodniów, nasunawszy kapelusz na oczy, a dla większego bezpieczeństwa trzymając chustkę przy twarzy.

Było blisko wpół do dziesiątej, kiedy przyszedł do domu, w którym mieszkali państwo de Claudieuse.

Brama była zamknięta.

Mimo tego Jakub, który miał już ułożony plan, zadzwonił.

Służąca, która go nie знаła, wyszła mu otworzyć.

— Czy pani hrabina de Claudieuse jest w domu? — zapytał.

— Pani nie przyjmuje nikogo — odrzekła dziewczyna. — Pani jest przy panu, który się ma bardzo źle.

— Jednak ja muszę się z nią widzieć...

— To niemożliwe.

— Idź, powiedz pani, że tu jest ktoś przysłany przez sędziego śledczego i chce z nią zamienić parę słów w sprawie pana Boiscorana.

— Dlaczego pan od razu tego nie powiedziałeś... Proszę pana...

I w pośpiechu zapomniawszy zamknąć bramę pobiegła, wskazując Jakubowi drogę przez ogród.

Gdy weszli do sieni, rzekła otwierając drzwi do salonu:

— Proszę pana, niech pan z łaski swojej zaczeka chwilkę, a ja pójde powiedzieć pani.

I zapaliwszy świece w jednym z kandelabrow na kominku odeszła.

Dotąd wszystko szło Jakubowi po myśli, a nawet lepiej, aniżeli się spodziewał. Trzeba było tylko jeszcze pomyśleć o tym, jak przeszkodzić hrabinie, aby się nie cofnęła i nie uciekła, gdy go zobaczy.

Na szczęście drzwi od salonu otwierały się do wewnątrz.

Stanął więc za jednym ze skrzydeł, które pozostało otwarte i czekał.

Od dwudziestu godzin, przez które gotował się do tego spotkania, ułożył sobie, co jej powie. Ale właśnie w ostatniej chwili wszystkie jego myśli rozproszyły się nagle. Serce biło tak mocno, że mu się zdawało, iż odgłos jego uderzeń rozległ się po całym tym zaniedbanym salonie. Mimo tego był przekonany, że zdoła zachować zimną krew i rzeczywiście posiadał w tej chwili ową szczególnego rodzaju przytomność, która czynom wariatów nadaje często-
kroć pozory logiki.

Zaczynało go dziwić, że tak długo czeka, kiedy nareszcie lekkie kroki i szelest sukni oznajmiły mu przybycie pani de Claudieuse.

Weszła, ubrana w powłóczysty szlafroczek ciemnego koloru i postąpiła kilka kroków ku środkowi salonu, zdziwiona, że nie widzi nikogo.

Stało się, jak przewidział Jakub.

Odepchnął nagle zakrywające go skrzydło drzwi i stając przed nią, zawołał:

— Jestem!

Odwróciła się.

— Jakub! — krzyknęła.

I przerażona, jakby ujrzała ducha, rozejrzała się szukając wyjścia.

Jedne z oszklonych drzwi salonu były uchylone; chciała się rzucić ku nim.

Jakub zbliżył się do niej.

— Nie próbuj mi się wymknąć — rzekł — przysięgam ci, że będę cię ścigać do pokoju twego męża, do jego łóżka...

Ona popatrzyła na niego, jak gdyby nic nie rozumiała.

— Ty! Tutaj! — szepnęła.

— Tak, ja! — odparł Jakub. — To cię dziwi, nieprawdaż? Myślałaś sobie: on siedzi w więzieniu, strzegą go rygle i dozorczy, mogę spać spokojnie. Dowodów nie ma i on nic nie powie. Ja popełniłam zbrodnię, a on będzie skazany. Ja, zbrodniarka, ocaleję. On, niewinny, zginie! Myślałaś, że już wszystko skończone? Otóż nie! Jestem tutaj!

Wyraz okropnego przerażenia wykrzywił piękne rysy hrabiny.

— To okropne! — rzekła.

— Rzeczywiście, okropne!

— Morderca! Podpalacz!

On wybuchnął śmiechem złym i groźnym.

— I to ty tak mnie nazywasz?

Pani de Claudieuse wielkim wysiłkiem woli zebrała całą swoją energię.

— Tak jest! — zawołała. — Przede mną nie możesz zaprzecić się zbrodni. Ja znam motywy, o których sędziowie nie wiedzą. Sądząc, że ja idę wykonać swoje pogroźki, przeląkłeś się. Gdy odbiegłam od ciebie, pomyślałeś sobie: Stało się! Ona wszystko powie mężowi! I wtedy podłożyłeś ogień, żeby wywabić mego męża z domu, podpalaczu! I strzeliłeś do niego, morderco!

On śmiał się ciągle.

— Ślicznie wszystko ułożyłaś! — przerwał jej. — Ale komu to gadasz takie rzeczy? Nasze listy były spalone i tak samo jak ty wypierasz się, że byłaś moją kochanką, tak samo ja mogłem się wyprzeć, że byłem twoim kochankiem! A potem czyż mnie byłby w czymkolwiek dotknął ten skandal? Wiesz doskonale, że nie. Wiesz, że to co, hańbi kobietę, dla mężczyzny jest rodzajem zalety. Takie już są nasze obyczaje. A co do tego, żebym się miał lękać pana de Claudieuse'a, to mnie znają wszyscy i wiedzą, że nie boję się nikogo. W owych czasach, kiedy naszą miłość ukrywaliśmy w głębi ulicy de Vignes, mogłem się obawiać twego męża, żeby nas nie złapał z kodeksem w jednej, z rewolwerem w drugiej ręce, zbrojny w dzikie i głupie prawo, które męża czyni sędzią własnej sprawy i wykonawcą wydanego przez siebie wyroku. Poza tym, poza schwytaniem na gorącym uczynku, co mnie obchodził hrabia de Claudieuse! Co mnie obchodziły twoje groźby albo jego nienawiść!

Mówił to wszystko zimno, głosem twardym i ostrym jak miecz i z ową pewnością, która przenika, która wbija się w umysł.

Hrabina zachwiała się.

— Czyż to podobna! — jękała — czy to możliwe!

Potem nagle podnosząc głowę zawołała:

— Ale ja jestem szalona! Gdybyś ty był niewinny, któż by popełnił zbrodnię!...

On zerwał się z wściekłością, pochwycił ją za rękę, ścisnął gwałtownie i nachyliwszy się nad nią tak, że jego gorący oddech poczuła niby płomień na twarzy, zawołał:

— Ty! Przeklęta istoto, ty!

I odepchnąwszy ją z taką siłą, że padła na fotel, mówił dalej:

— Ty, która chciałaś zostać wdową, aby mi nie pozwolić zerwać łańcucha, który mnie przykuwał do ciebie. Wszak podczas naszej ostatniej schadzki do tego stopnia posunąłem słabość sądząc, że bardzo cierpisz, iż powiedziałem ci, że dlatego tylko żenię się z panną Dionizą, że ty nie jesteś wolna! Czyż nie zawołałaś wtenczas: „O mój Boże! Co za szczęście, że ta okropna myśl nie przyszła mi wcześniej do głowy!”. O jakąż to myśl chodziło ci, Genowefo? Odpowiadaj i wyznaj, że ci przyszła jeszcze dość wcześnie, skoro ją wykonałaś...

I z wściekłą ironią powtarzając słowa wypowiedziane przez panią de Claudieuse, dodał:

— Któż byłby winowajcą, jeżeli ty byłabyś niewinna!

Ona zerwała się z fotela i patrząc na Jakuba przenikliwie zapytała:

— Czyż podobna, żebyś ty nie popełnił tej strasznej zbrodni?

On wzruszył ramionami.

— A więc to prawda, że ty myślisz, iż ja ją popełniłam!

— Może tylko kazałaś ją popełnić...

Ona rozpaczliwym ruchem wzniosła ku niebu załamane ręce i rozziewającymi ustami zawołała:

— O mój Boże! On w to wierzy! Wierzy naprawdę!

Po tym nastąpiło milczenie; złowrogi, straszny, podobny do milczenia, które następuje po uderzeniu piorunu.

Stojąc jedno naprzeciw drugiego, Jakub i hrabina wpatrywali się w siebie, czując, że bije stanowcza godzina ich przeznaczeń...

Obojgu zabłysło jasne, widoczne przekonanie, że oboje są niewinni... Nie potrzeba było tłumaczeń. Zwiódłszy ich pozory, a teraz poznali to, byli tego pewni.

A odkrycie to tak ich przeraziło, że nie przyszło im nawet na myśl zastanowić się nad tym, kto mógł być winowajcą.

— Co tu robić? — zapytała nareszcie hrabina.

— Wyznać prawdę — odrzekł Jakub.

— Jaką prawdę?

— Że byłem twoim kochankiem. Że przyszedłem do Valpinson dlatego, żeś ty mi na-
znaczyła schadzki. Że dlatego znaleziono łuskę z mojego naboju, iż wystrzeliłem dla wznie-
cenia ognia. Że dlatego miałem pocernione ręce, bo rozcierałem nimi zwęglone szczątki
naszych listów, żeby je rozrzucić na wiatr...

— Nigdy! — zawołała hrabina.

Krew uderzyła do twarzy Jakubowi i stanowczym tonem rzekł:

— A jednak tak będzie. Ja tak chcę, tak być musi!

Pani de Claudieuse załamywała ręce.

— Nigdy! — powtarzała. — Nigdy!

I z rozpaczliwym pośpiechem tłumaczyła:

— Czyż nie rozumiesz tego, że prawdy nie można powiedzieć. Nie uwierzono by w na-
szą niewinność, a domyślano by się współnictwa.

— Mniejsza o to! Ja nie chcę ginąć!

— Powiedz raczej, że nie chcesz ginąć sam.

— Choćby i tak.

— Wyznanie wszystkiego nie ocaliłoby nas, a mnie zgubiłoby z pewnością! Czyż tego się domagasz? Gdy będą dwie ofiary zamiast jednej, czyż twój los wyda ci się mniej okrutny?

On zatrzymał ją groźnym gestem.

— Zawsze jednaka! — zawołał. — Ja tonę, ja ginę, a ona zastanawia się, oblicza, targuje się. Ona mówiła, że mnie kocha...

— Jakubie! — przerwała mu pani de Claudieuse.

I przystąpiwszy do niego, rzekła:

— Ja obliczam! Ja się zastanawiam! A więc dobrze, słuchaj. To prawda, że sto razy wyżej ceniłam moją reputację uczciwej kobiety niż życie, ale wyżej ponad życie i reputację stawiałam ciebie! Ty toniesz, mówisz. A więc uciekajmy! Jedno twoje słowo, a porzucę wszystko: honor, kraj, rodzinę, męża, dzieci! Powiedz, a pójdę za tobą nie oglądając się, bez żalu, bez zgryzoty.

Drżała na całym ciele, oczy jej pałały ogniem. Wskutek żywych poruszeń bluza naprędcie zawiązana rozwiązała się, a na jej łono i na ramiona olśniewającej, marmurowej białości spadły włosy złotą kaskadą...

I głosem, w którym drgała tłumiona namiętność, dźwięcznym jak metal, łagodnym i miękkim jak pieśczoła mówiła:

— Któż nas zatrzyma? Skoro potrafiłeś wyjść z więzienia, najtrudniejsze już za tobą. Myślałam, żeby wziąć z sobą naszą córkę, twoją córkę, Jakubie, ale ona jest chora, a poza tym dziecko zdradziłoby nas. Nas samych nikt nie pochwyci. Pieniędzy nam nie braknie, prawda? Pojedziemy w te dalekie strony, o których piszą podróżnicy... Tam będziemy żyć nieznani, zapomniani, a nasze życie będzie jednym długim zachwytem. Nie powiesz wtedy, że ja się targuję; wtedy będę twoja, wyłącznie twoja, ciałem i duszą; twoją żoną, kochanką, twoją niewolnicą!

Przechyliła głowę w tył i przymknąwszy powieki z namiętym drzeniem w głosie mówiła dalej:

— No, powiedz... dobrze? Jakubie!

On odepchnął ją szorstko. Wydało mu się świętokradztwem, że ona śmiała, tak samo jak Dioniza, proponować mu ucieczkę.

— Raczej galery! — zawołał.

Ona pobladła, grymas wściekłości wykrzywił jej usta i cofnąwszy się rzekła:

— Czegóż więc chcesz?

— Żebyś mi pomogła do ocalenia.

— Chociażbym zgubić miała samą siebie?

Nic nie odpowiedział.

Wtedy ona, taka pokorna przed chwilą, wyprostowała się i z szyderczą nienawiścią rzekła:

— Innymi słowy, przyszedłeś żądać ode mnie, żebym poświęciła siebie, a zarazem wszystkich moich dla ciebie? Tak? A jeszcze bardziej dla panny Chandore! I to ci się wydaje naturalne! Ja jestem przeszłością, przesytem, wstrętem. Ona przyszłością, pragnieniem, marzeniem. I ty uważasz to za naturalne, żeby stara kochanka, miłość i swój honor rzuciła pod nogi młodej narzeczonej. Nie obchodzi cię to, że ja się upodłę, byle ona została uczczona; że ja płaczę, byle ona się uśmiechała! Otóż nie! To szaleństwo, przychodzić do mnie z prośbą, abym cię ocaliła i rzuciła w objęcia innej! To szaleństwo, kiedy dla wydarcia cię Dionizie jestem gotowa zgubić siebie, byłeś ty był dla niej stracony na zawsze.

— Nikczemna! — krzyknął Jakub.

Ona patrzyła na niego z uśmiechem, a w jej oczach migotało zuchwałe wyzwanie.

— Czy mnie nie znasz? — rzekła. — Idź, powiedz, zadenuncjuj. Pan Folgat musiał ci powiedzieć, jak umiem się bronić i zaprzecć wszystkiego.

Oszalały z gniewu, doprowadzony do ostateczności Jakub de Boiscoran szedł z podniesioną ręką ku hrabinie, kiedy wtem jakiś głos zawołał:

— Nie waż się tknąć tej kobiety!

Jakub i hrabina odwrócili się i oboje krzyknęli przeraźliwie.

W drzwiach stał hrabia de Claudieuse z podniesionym, gotowym do strzału rewolwem...

Bledszy był od widma, a szlafrok z białej flaneli, który zarzucił na ramiona, wyglądał jak całun na jego wychudłym ciele. Pierwszy krzyk pani de Claudieuse doszedł aż do łóżka, na którym on umierał. Straszne przecucie ścisnęło mu serce. Wstał. I wlokąc się, czepiając się poręczy, zszedł...

— Słyszałem wszystko! — rzekł, piorunując nieubłaganym wzrokiem winowajców.

Hrabina z głuchym jękiem osunęła się na fotel. Ale Jakub wyprostował się:

— Odkryłeś pan prawdę — rzekł — a więc pomścij swoją zniewagę!

Hrabia wzruszył ramionami.

— Sąd przysięgłych pomści się za mnie! — rzekł.

— Boże wielki! Chce pan pozwolić, aby mnie skazano za zbrodnię, której nie popełniłem! To byłoby podle, niegodziwie!

Pan de Claudieuse był tak słaby, że musiał się oprzeć o drzwi.

— To byłoby podle? — rzekł. — Ale w takim razie jak pan nazwie czyn tego nędznika, który nikczemnie kradnie cudzą żonę, a okradzionemu mężowi narzuca swoje bękarty? To prawda, pan nie jesteś podpalaczem ani mordercą. Ale czymże jest pożar mego domu w porównaniu z zabiciem mojej wiary we wszystko! Czym są rany ciała w porównaniu z tą raną duszy, której nic nie zdoła zabić! Tak! Sąd przysięgłych dla ciebie, mój panie!

Jakub przerażony czuł, że spada na dno niezgłębionej przepaści...

— Śmierć! Raczej śmierć! — zawołał.

I rozdzierając suknie na piersiach, krzyczał:

— No, strzelaj pan! Strzelaj! Czy się boisz krwi! Strzelaj! Słyszysz, ja byłem kochankiem twojej żony, twoja młodsza córka jest moją córką!

Ale hrabia właśnie opuścił broń.

— Sąd przysięgłych pewniejszy — rzekł — pan wydarłeś mi honor, ja go wydrę tobie. A jeśli tego trzeba będzie, żebyś został skazany, to powiem i przysięgnę, że cię poznałem. Pójdiesz na galery, panie de Boiscoran.

Chciał postąpić naprzód, ale siły go opuściły, padł na ziemię, na twarz, z rozkrzyżowanymi rękoma.

Zdjęty zgrozą, przerażony, oszalały Jakub uciekł.

Pan Folgat właśnie wstał.

Stojąc przed lustrem w swoim pokoju kończył się właśnie golić, gdy wtem drzwi otworzyły się gwałtownie.

Błady, przerażony, wszedł stary Antoni.

— Ach, panie, okropna rzecz!

— Co takiego?

— Uciekł, uszedł, zniknął!

— Kto?

— Pan Jakub.

Brzytwa o mało nie wypadła z ręki młodemu adwokatowi, a jednak rzekł:

— To nieprawda!

— Niestety, proszę pana — odparł stary sługa — całe miasto o tym gada. Przytaczają rozmaite szczegóły. Mnie samemu opowiadał jeden, że spotkał wczoraj wieczór około jedenastej pana Jakuba pędzącego jak wariat przez ulicę Narodową...

— Bzdura!

— Nie mówiłem tego jeszcze nikomu, tylko pannie Dionizie i ona to kazała mi panu powiedzieć. Może by pan poszedł wywiedzieć się jakoś...

Rada była zbyteczna.

Otarłszy sobie naprędce twarz, pan Folgat już się ubierał. W jednej chwili był gotów i zbiegłszy na dół po kilka schodów na raz, przechodził przez korytarz, gdy wtem usłyszał, że ktoś na niego woła.

Odwrócił się. Panna Dioniza dała mu znak, żeby wszedł do małego saloniku.

Tylko oni dwoje z całego domu wiedzieli, jak rozpaczliwego kroku miał się chwycić Jakub poprzedniego dnia.

Jedno nie rzekło o tym do drugiego ani słowa, ale oboje nawzajem zauważali swój niepokój. — ,

Pan Folgat prawie nic nie mówił przez cały wieczór, a panna Dioniza zaraz po obiedzie poszła na górę do siebie.

— I cóż pan na to? — zapytała.

— To fałszywa pogłoska — odrzekł młody adwokat.

— Kto wie!

— Ucieczka byłaby przyznaniem się do winy. Tylko winowajcy uciekają, a pan de Boiscoran jest niewinny, Uspokój się pani zatem...

Któż by się nie użalił nad biednym dziewczęciem! Była bielsza od własnego kołnierzyka i tak drżała, że zęby jej dzwoniły. Łzy padały jej z oczu, a za każdym wyrazem zanosila się łkaniem.

— Pan wie, gdzie Jakub chodził wczoraj? — rzekła.

— Wiem, pani...

Ona na wpół odwróciła głowę i zaledwie zrozumiałym głosem rzekła:

— On chciał się zobaczyć z pewną... osobą, której wpływ na niego jest może wszechmocny. Może ona go podburzyła, obalamuciła. Dlaczego nie miałyby go nakłonić, aby uniknął hańby stawania przed sądem przysięgłych?

— Nie, zaręczam pani, że nie!

— Ta osoba była złym duchem Jakuba. Ona go zapewne kocha. Musiała rozpaczać wiedząc, że on ma zostać moim mężem. Może, aby go skłonić do ucieczki, sama z nim uciekła...

— Niech się pani nie obawia. Pani de Claudieuse, nie jest zdolna do takiego poświęcenia...

Panna Chandore nagle odskoczyła w tył i wznosząc na młodego adwokata osłupiałe oczy wyjąkała:

— Pani de Claudieuse!

Pan Folgat zrozumiał, jaką popełnił nieostrożność. Był przekonany, że Jakub powiedział wszystko panie Dionizie, a sposób, w jaki do niego mówiła, utwierdził go jeszcze w tym przekonaniu.

— Ach! To pani de Claudieuse — mówiła dalej Dioniza — ta kobieta, szanowana przez wszystkich jak święta! A ja kiedyś w kościele podziwiałam ją, że się tak gorąco modli; żalowałam jej z całego serca. Teraz zaczynam rozumieć, co przede mną ukrywano...

Zrozpaczony tym błędem nie do naprawienia pan Folgat odezwał się :

— Nigdy, nigdy w życiu nie daruję sobie tego, że wymówił to nazwisko przy pani...

Ona uśmiechnęła się smutnie.

— Kto wie, czyś mi pan tym nie wyświadczył wielkiej przysługi — rzekła — ale zmiłuj się pan, idź dowiedzieć się, jak się rzecz ma naprawdę.

Pan Folgat nie uszedł i pięćdziesięciu kroków, a już przekonał się, że musiało się stać coś nadzwyczajnego. Całe miasto było w ruchu. W bramach domów ludzie stali grupami i rozmawiali o czymś bardzo żywo.

Przyspieszając kroku właśnie skręcił na rogu ulicy Narodowej, gdy wtem zatrzymało go kilku obywateli, których poznał w czasie swego pobytu w Sauveterre.

— Tak tedy, proszę pana mecenasa — odezwał się grzecznie jeden z tych przyjemnych ludzi — pańska obrona na nic się nie zda!

— Nie rozumiem — odrzekł pan Folgat lodowatym tonem.

— A no... skoro pański klient uciekł...

— Czy pan jesteś tego pewny?

— Spodziewam się, bo to żona jednego z wyrobników, który u mnie jest na robocie, odkryła ucieczkę. Szła sobie koło wałów, chcąc narząć trawy dla swojej kozy, kiedy przechodząc koło muru więziennego, spostrzegła ogromną dziurę wybitą... Natychmiast dała znać, warta przybiegła i zawiadomiono o tym prokuratora.

Dla pana Folgata nie stanowiło to jeszcze dowodu.

— No i co z tego? — zapytał.

— Ani śladu... powiadam panu... Przecież ja to wiem od mojego przyjaciela, który to słyszał od urzędnika z podprefektury. Blanguin, dozorca, jest jak się zdaje, mocno skompromitowany...

— Do widzenia szanownemu panu — przerwał mu młody adwokat.

I porzuciwszy zacnego obywatela, niezmiernie tym grubiaństwem obrażonego, jak strzała przebiegł przez plac Nowego Targu.

Zaczynał ogarniać go niepokój. Nie dlatego, żeby wierzył w ucieczkę Jakuba, ale obawiał się, czy się nie stało jakie nieszczęście.

Ze sto osób, które z trudnością powstrzymywał szyldwach, tłoczyło się przed więzieniem, z wyciągniętymi szyjami, z otwartymi ustami.

Przecisnąwszy się przez ten tłum pan Folgat wszedł.

Na dziedzińcu, przed mieszkaniem dozorca rozprawiali: prokurator, komisarz policji, kapitan żandarmerii pan Seneschal, a wreszcie pan Galpin-Daveline.

Sędzia śledczy był jeszcze bledszy niż zwykle i we wściekłym humorze.

Zawiadomiony równie niespodzianie jak pan Folgat, równie szybko zebrał się i przybiegł.

A przez całą drogę widoczne oznaki dowiodły mu, że jeżeli opinia publiczna była oburzona na oskarżonego, to sędzia śledczy był widziany wcale nie lepiej od niego.

Idąc, odbierał zewsząd ironiczne ukłony, drwiące uśmiechy, albo też wyrazy współczucia, że mu ptaszek uciekł...

Daveline pierwszy ujrzał młodego adwokata i odezwał się natychmiast:

— A co? Przyszedłeś pan dowiedzieć się, jak się to stało?

Ale pan Folgat nie był z tych, którzy by się podejść dali dwa razy jednego dnia. Oslaniając więc wewnętrzny niepokój ceremonialnym ukłonem, odrzekł:

— Doszły mnie pewne wieści, które mnie jednak wcale nie zatrwożyły. Pan de Boiscoran ma dosyć ufności w słuszność swojej sprawy i w sprawiedliwość sądów francuskich, żeby miał myśleć o ucieczce. Ja przychodzę po prostu do niego na konferencję.

— I dalibóg, masz pan słuszność — przerwał mu pan Daubigeon. — Pan de Boiscoran najspokojniej siedzi w swojej celi, nie troszcząc się wcale o rozpuszczone baśnie. To Frumencjusz Cheminot uciekł. Frumencjusz lekkonogi. To aresztant, któremu pozostawiono za wiele swobody w więzieniu, a nawet zrobiono z niego rodzaj pomocnika dozorca, a który skorzystał z tego, zrobił dziurę w murze i czmychnął.

kilka kroków od wszystkich stał pozornie skonfundowany dozorca Blanguin.

— Zaprowadź pana obrońcę do pana Boiscorana — odezwał się do niego sucho pan Galpin-Daveline, który drżał z obawy, aby pan Daubigeon nie zechciał zrobić publicznej edycji epigramów, którymi go obsypał prywatnie.

Dozorca wykonał rozkaz, skłoniwszy się aż do samej ziemi; ale gdy został sam z panem Folgatem w korytarzu więziennym, wydał policzki, a potem uderzywszy się po nich pięścią, zawołał;

— Tak wróble chwyta się na plewy!

zaśmiał się serdecznie.

Młody adwokat udawał, że nic nie rozumie.

Nie mógł przecież pokazać po sobie, że wie, co się stało w nocy, ani też narazić się na podejrzenie o współnictwo, które faktycznie nie istniało.

— A jednak — mówił Blanguin — jeszcze nie wszystko skończone. Żandarmi są w ruchu; gotowi mi pochwycić Cheminota, a to taki głupi chłopak, że najgłupszy sędzia śledczy wszystko by z niego od razu wydobył. A wtedy, któż by się miał z pyszna?

Pan Folgat nic nie odpowiadał, ale Blanguin zdawał się na to nie zważać.

— Mnie już o nic nie chodzi, tylko o to, żeby jak najprędzej oddać klucze. Już mam po same uszy tego dozorcostwa. Zresztą teraz by już trudno było wytrzymać. Ta ucieczka narobiła ogromnego hałasu w trybunale i administracja ma mi dodać pomocnika, starego sierżan-

ta miejskiego, który jak pies nic nie rozumie tylko rozkaz... Ach! Skończyły się już piękne dni dla pana de Boiscorana. Przepadły potajemne wizyty, wycieczki z więzienia... Kazano go ani na chwilę nie spuszczać z oka.

Blanguin gadał to wszystko, zatrzymawszy się przy schodach.

— Chodźmy na górę! — odezwał się szorstko pan Folgat.

Zastał Jakuba leżącego na łóżku w ubraniu; wystarczyło raz spojrzeć na niego, żeby odgadnąć, że stało się jakieś wielkie nieszczęście.

— Jeszcze jedna nadzieja stracona, prawda? — zapytał.

Więzień z trudnością dźwignął się i usiadł na posłaniu. I tonem najwyższego przygnębienia odezwał się:

— Jestem zgubiony, tym razem bez ratunku...

— Och!

— Posłuchaj pan tylko...

Młody adwokat z drzeniem słuchał opowiadania o wczorajszych wypadkach.

A gdy Jakub skończył, szepnął:

— Rzeczywiście! Jeżeli pan de Claudieuse wykona swoją pogroźkę, to może pociągnąć za sobą...

— To musi pociągnąć za sobą wyrok skazujący. Otóż ja panu mówię: on wykona tę pogroźkę.

I kiwając rozpaczliwie głową, mówił:

— A co najgorsze, to to, że ja sam nie mogę mu mieć tego za złe. Zazdrość u mężów najczęściej jest tylko kwestią miłości własnej. Oszukani, cierpią na upokorzenie próżności, ale ich serce nie jest zranione. Tymczasem pan de Claudieuse! On kochał swoją żonę, ubóstwiał ją, ona była jego szczęściem, jego życiem. Zabierając mu ją, zabrałem mu wszystko! Widząc go odchodzącego od zmysłów z bóleści, zrozumiałem dopiero cudzołóstwo. Jego świat runął w jednej chwili. Jego żona miała kochankę, jego najukochańsza córka nie jest jego córką... Ja cierpię okropnie, ale to, czego on doznaje, to męka, na którą nie ma nazwy! I pan chciałbyś, żeby mając broń w ręce, nie użył jej! To jest broń zdradziecka i nieszlachetna, to prawda, ale czyż ja postępowałem uczciwie i szlachetnie? Będzie to zemsta brudna, nikczemna, ale jakaż była obraza? Ja sam na jego miejscu postąpiłbym tak samo.

Pan Folgat był w rozpacz.

— Ale cóż było potem? — zapytał. — Gdy pan wyszedłeś z domu.

Jakub machinalnie przetarł parę razy ręką czoło, jak gdyby chciał zebrać myśli.

— Potem — rzekł — potem uciekłem przerażony jak człowiek, który popełnił zbrodnię. Drzwi od ogrodu były otwarte, rzuciłem się w nie... W jakim bieglem kierunku, przez jakie ulice, nie byłbym w stanie powiedzieć. Tylko jedna myśl tkwiła mi w głowie ciągle, uparcie;

myśl, żeby jak najprędzej oddalić się od tego przekłętego domu. Straciłem przytomność i tylko pędziłem przed siebie i pędziłem...

Kiedym oprzytomniał, byłem w szczerym polu o milę od Sauveterre, na drodze do Boiscoran. Zwierzęcy instykt, wytrwalszy od rozumu, wiódł mnie znanymi drogami i popychał ku domowi. W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, jak się tam znalazłem. Byłem podobny do pijaka budzącego się z zamroczonym mózgiem i usiłującego przypomnieć sobie, co się działo, podczas gdy był pijany. Niestety! Zbyt dobrze przypominałem sobie okropną rzeczywistość. Powinienem był wrócić do więzienia, wrócić koniecznie, a takie ogarnęło mnie znużenie, że przez chwilę obawiałem się, czy potrafię wrócić...

Wróciłem jednak. Blanguin czekał na mnie pożerany trwogą, gdyż była już blisko druga. Pomógł mi wejść na górę, rzuciłem się jak stałem na łóżko i zasnąłem natychmiast ciężkim snem pełnym okropnych przywidzeń. Widziałem się to przykutego na galerach, to wstępującego w towarzystwie księdza po stopniach rusztowania. I jeszcze teraz pytam się sam siebie, czy ja czuwam, czy to może dalej ten koszmary sen.

Pan Folgat odwrócił się, by ukryć wzruszenie.

— Nieszczęśliwy — szepnął.

— O tak! W istocie, nieszczęśliwy! — powtórzył Jakub. Dlaczego nie poszedłem za pierwszą myślą, która mi przyszła w nocy, gdym się znalazł na gościńcu! Byłbym poszedł do Boiscoran, wszedł do mego pokoju i strzelił sobie w łeb. Teraz już bym nie cierpiał.

— A pańscy rodzice? — odezwał się pan Folgat.

— Moi rodzice! Czyż pan myślisz, że oni przeżyją mój wyrok?

— A panna de Chandore?

Jakub zadrżał.

— Dla niej tym bardziej powinienem raz to wszystko zakończyć. Biedna Dioniza! Z pewnością, bardzo by cierpiała. Ale ona jest taka młoda! Pamięć o tym zacierałaby się w jej duszy, mój obraz stawałby się coraz mniej wyraźny i po miesiącach, po latach... pocieszyłaby się...

— Nie, pan nie myślisz tego, co mówisz! — przerwał mu pan Folgat. — Pan wiesz dobrze, że ona by nie zapomniała!

Jakub zwiesił głowę i odrzekł zgaszonym głosem:

— To prawda. Jestem przekonany, że zabić siebie to tyle, co zabić Dionizę. Ale pomyśl pan, czym będzie jej życie, gdy ja zostanę skazany? Czy wyobraża pan sobie, co ona będzie czuła, powtarzając sobie o każdej porze dnia: „Ten, którego kocham, jest na galerach, pomiędzy najnikczemniejszymi zbrodniarzami, na zawsze zhańbiony, zbezczeszczoney!”... Wołę tysiąc razy śmierć!

— Jakubie... panie de Boiscoran! Czy pan zapomniałeś, że mam pańskie słowo?

— Nie zapomniałem, dowodem tego moja tutaj obecność. Tylko daj pan spokój... niedaleki ten dzień, w którym pan, widząc moje nieszczęście, sam włożysz mi broń w rękę...

Ale młody adwokat należał do tych ludzi, których przeciwności pobudzają do działania. Opamiętawszy się już po gwałtownym wstrząsie, rzekł:

— Zanim rzucisz pan karty, poczekaj przynajmniej, aż partia będzie przegrana. Czyż jesteś pan skazany? Jeszcze nie. Jesteś pan niewinny, a w niebie istnieje sprawiedliwość prostująca pomyłki sprawiedliwości ziemskiej. Skądże pewność, że pan de Claudieuse spełni swą pogrozkę? Któż wie, czy on w tej chwili jeszcze żyje?

Jakub wyprostował się, jednym skokiem zerwał się na nogi i poblądłszy jeszcze bardziej, zawołał:

— Milcz pan, na Boga! Bo już wczoraj przychodziła mi ta okropna myśl, że on może wczoraj już się nie podniósł! Dałby Bóg, aby tak nie było! Wtedy dopiero byłbym naprawdę mordercą! Gdym się obudził, pierwsza moja myśl była o nim. Chciałem posłać, dowiedzieć się, co się z nim stało... nie miałem odwagi!

Pana Folgata również zdjął bolesny niepokój.

— Nie możemy pozostać w tej niepewności — rzekł. — Na co by się zdała cała nasza rozmowa, gdybyśmy nie byli pewni losu pana de Claudieuse'a, od którego znów zależy nasz los! Pozwól mi pan zatem odejść. Jak tylko dowiem się coś pewnego, doniosę panu natychmiast. Tylko strzeż się pan słabości. Cokolwiek by się stało...

Młody adwokat był pewny, że u doktora Seignebosa dowie się o wszystkim.

Pobiegł więc do niego.

— A witajże pan nareszcie, do kroćset! — zawołał doktor. — Dwudziestu chorych czeka na mnie, a ja czekam na pana. Byłem pewny, że pan przyjdiesz. Co to się stało wczoraj w nocy u państwa Claudieuse?

— Jak to, więc pan wiesz...

— Nie wiem. Skutek widziałem, ale przyczyny się tylko domyślałem. Skutek był taki: wczoraj wieczór około jedenastej, właśnie miałem się położyć do łóżka, gdyż byłem bardzo zmęczony, gdy wtem ktoś zadzwonił do drzwi tak, iż myślałem, że urwie dzwonek. Nie lubię, gdy ktoś tak na gwałt u mnie dzwoni; wstałem więc, żeby zmyć porządnie głowę temu gburowi, aż tu służący państwa de Claudieuse, odepchnąwszy mojego służącego, który go chciał zatrzymać, wpadł jak wariat wołając, żebym szedł prędko, gdyż jego pan umiera.

— Boże wielki!

— Właśnie też i ja tak samo zawołałem, gdyż chociaż wiedziałem, że hrabia jest bardzo chory, ale nie myślałem, żeby miał być tak blisko śmierci.

— Więc on umarł?

— Nie umarł. Ale jeżeli mi pan będziesz ciągle przerywał, to nie skończymy nigdy.

Tutaj zdjął, wytarł i na powrót wsadził na nos złote okulary, po czym mówił dalej:

— W parę minut ubrałem się, a w drugie parę minut byłem na ulicy Mautrec. Wprowadzono mnie do dolnego salonu. Tam, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu znalazłem pana de

Claudieuse'a leżącego na kanapie. Był blady i sztywny, twarz miał okropnie zmienioną, a na czole lekką ranę, z której ściekało trochę krwi. Dalibóg zrazu pomyślałem, że nie żyje.

— A hrabina?

— Pani de Claudieuse klęczała przy mężu i przy pomocy służących usiłowała przywołać go do życia, nacierając go i kładąc mu na piersiach gorące serwety. Gdyby nie to, byłaby już w tej chwili wdową; tymczasem teraz nieprędko zapewne jeszcze zostanie. Ten przeklęty hrabia ma rogatą duszę. We czworo przenieśliśmy go do jego pokoju na górę i położyli na łóżko, mocno przedtem wygrzane. Wkrótce poruszył się, otworzył oczy, a po kwadransie zupełnie odzyskał przytomność i zaczął mówić bardzo swobodnie, choć jeszcze nieco słabym głosem. Wtedy, naturalnie zapytałem się, co się to stało i po raz pierwszy ujrzałem, że owa zwykła, straszliwa zimna krew nie dopisała hrabinie. Bełkotała coś niewyraźnie i jakimś wystraszoną wzrokiem spoglądała na męża, jakby chciała wyczytać w jego oczach, co ma odpowiedzieć. Nareszcie on mi odpowiedział, ale z pewnym zakłopotaniem, które nie mogło ująć mojej uwagi. Powiedział mi, że na chwilę znalazł się sam w swoim pokoju, a że czuł się lepiej niż zwykle, przyszła mu fantazja spróbować swoich sił. Wstał więc, wdział szlafrok i zszedł na dół. Ale wchodząc do salonu dostał zawrotu i upadł tak nieszczęśliwie, że czołem uderzył o kant jakiegoś sprzętu. Udając, że temu wierzę, powiedziałem mu, że to bardzo z jego strony nierozsądnie i żeby drugi raz nie próbował czegoś podobnego. Wtedy on w szczególniejszy sposób wpatrując się w żonę, odrzekł: „Och! Bądź pan spokojny, więcej razy nie zrobię nic podobnego; zanadto pragnę wyzdrowieć; nigdy mi tak nie zależało na tym, żeby żyć”.

Pan Folgat poruszył już wargami, chcąc coś odpowiedzieć, ale doktor skinieniem powstrzymał go.

— Poczekaj pan — rzekł — jeszcze nie skończyłem.

I mordując bez litości swoje złote okulary mówił dalej:

— Miałem już odejść, gdy nagle wpada pokojowa i z wystraszoną miną powiada pani de Claudieuse, że jej starsza córka, Marta dostała straszliwych konwulsji. Naturalnie pobiegłem do niej i znalazłem ją w ataku nerwowym, rzeczywiście niepokojącego charakteru. Z trudnością zdołałem ją uspokoić, a gdym widział, że już jej lepiej i domyślając się pewnego związku między chorobą córki a przypadkiem, który spotkał ojca, odezwałem się ojcowskim tonem: „Teraz, moje dziecko, musisz mi powiedzieć, co ci się to stało?”. Ona zawahała się, ale nareszcie rzekła: „Przelekłam się”. „Czego moja duszko?” Ona podniosła się na łóżku, szukając wzrokiem oczu matki, aleja stanąłem tak, żeby ich nie mogła ujrzeć. A gdym powtórzył pytanie, odrzekła: „Otóż tak było, proszę pana. Właśnie miano mnie kłaść do łóżka, kiedy usłyszałam, że ktoś zadzwonił. Wstałam i usiadłam przy oknie, chcąc zobaczyć, kto też to mógł przyjść tak późno. Widziałam, jak służąca ze świecą poszła otworzyć i wróciła do domu z jakimś panem, którego nie znam”. Hrabina przerwała jej żywo: „To był woźny z trybunału z pilnym interesem”. Ja udawałem, że nie słyszę i zapytałem się znów Marty: „I to tego pana tak się przelekłaś?”. „Och nie!”. „A więc czego?”. Spod oka przypatrywałem się pani de Claudieuse. Stała jakby na rozpalonych węglach. Nie śmiała jednak przerwać dziewczynce, która mówiła dalej: „Otóż, doktorze, zaledwie ten pan wszedł do domu, gdy ujrzałam między drzewami, jak jeden z posągów ruszył się z podstawy i powoli zaczął sunąć aleją topolową”.

Pan Folgat zadrzał.

— Czy przypominasz sobie, doktorze — rzekł — że wówczas, kiedyśmy pytali Martę, wyznała nam, że owe posągi w ogrodzie przejmują ją niewypowiedzianym strachem.

— Ma się rozumieć, że sobie przypominam — odrzekł doktor — ale poczekaj pan jeszcze.

Hrabina żywo przerwała córce: „Nie pozwalaj jej, doktorze, nabijać sobie głowę podobnymi rzeczami. Ona, która niczego nie bała się w Valpinson i chodziła wieczorem po całym zamku bez światła, od czasu, jak tu jesteśmy, lęka się wszystkiego i jak tylko zapadnie noc, zdaje jej się, że nasz ogród zaludnia się widmami. Przecież ty, Marciu, jesteś już dosyć duża, żeby zrozumieć, że posągi z kamienia nie mogą się poruszać i chodzić...” Dziecko zadrzało i zaczęło tłumaczyć:

— „Poprzednim razem nie wierzyłam, ale teraz jestem pewna. Chciałam odejść od okna, ale nie mogłam i widziałam, doskonale widziałam... Widziałam posąg, cień, posuwający się w alei, powoli, ostrożnie i stojący tuż przy ostatniej topoli, najbliżej okien salonu. Wtedy usłyszałam straszny krzyk... a potem nic. Cień stał ciągle pod drzewem i widziałam jego każde poruszenie; podnosił się i schylał aż do ziemi. Potem znów odezwały się dwa krzyki... Och, te były okropne... W tej chwili cień stojący pod drzewem podniósł ręce w górę, ot tak, i uciekł. Prawie jednocześnie ukazał się drugi, który także uciekł”.

Pan Folgat jakby skamieniał ze zdziwienia.

— Dziwne te cienie! — odezwał się.

— Wydają się panu podejrzone, nieprawdaz? I mnie się też tak zdawało. Mimo tego usiłowałem obrócić w żart opowiadanie Marty, tłumacząc jej, jak to w ciemności człowiek ulega dziwnym złudzeniom optycznym. I gdym wychodził, odprowadzony przez służącego ze świecą, jestem pewien, że hrabina była przekonana, że nie mam najmniejszego podejrzenia. A ja miałem więcej niż podejrzenie. Tępeż zaledwie wszedłem do ogrodu, upuściłem pieniądze, który trzymałem już w tym celu w pogotowiu. Naturalnie, że szukałem go w okolicy topoli najbliższej salonu, służący mi świecił. Otóż mogę panu zaręczyć, że to nie cień chodził koło drzewa. A jeżeli ślady, które dostrzegłem, wydeptane były przez posąg, to ten posąg miał potężne stopy, obute w porządnie kute trzewiki.

Na to właśnie czekał młody adwokat.

— Nie ulega wątpliwości — zawołał — scena w salonie miała świadka!

— Co za scena? Jakiego świadka? Właśnie dlatego, żebyś mnie pan w tej mierze oświecił, czekałem na pana z niecierpliwością — rzekł doktor.

Nie zdawał się jednak wcale być zdziwiony tym, co mu opowiedział młody adwokat o rozpaczliwym kroku Jakuba i o jego tragicznym rezultacie. A gdy skończył, zawołał:

— Ja to odgadłem! Dalibóg, na honor, takem sobie mózg nad tym suszył, że doszedłem niemal do prawdy! Któż na miejscu Jakuba nie posunąłby się do tego ostatecznego kroku? Ale nie ma szczęścia.

— Kto wie! — przerwał mu pan Folgat.

I nie dopuszczając doktora do głosu mówił:

— Czyż nasze szanse są teraz mniejsze niż przed tym wypadkiem? Nie. Tak samo jak wczoraj, możemy lada chwila pochwycić dowody, o których istnieniu wiemy, a które by nas ocaliły. Któż może zareczyć, czy nie odnaleźli się sir Francis Burnett i Lucy Wood? Czyż pańskie zaufanie do Goudara zmniejszyło się?

— Co to, to nie! Widziałem go dzisiaj w szpitalu podczas wizyty i znalazł sposobność powiedzieć mi, że jest prawie pewien pomyślnego rezultatu.

— No, proszę!

— Jestem przekonany, że się Cocaleumu usta rozwiążą. Ale czy mu się rozwiążą na czas? Oto pytanie.

— A godziny są policzone. Wszak w przyszłym tygodniu rozpocznie się sesja? Powiadano mi, że prezes sądów przysięgłych już przybył, a pan du Loptde la Gransiere zamówił sobie apartament w Hotelu Przewoźników. Co pan zrobisz, jeżeli nic nowego nie zajdzie aż do rozprawy?

— Pan Magloire i ja ograniczymy się do umówionego systemu obrony...

— A jeżeli hrabia de Claudieuse dotrzyma swojej pogroźki, jeżeli powie, że widział, jak Jakub strzelał do niego?

— Powiemy, że się omylił.

— I Jakub zostanie skazany...

— A chociażby — rzekł młody adwokat. I zniżając głos, jakby się obawiał, aby go kto nie posłyszał, dodał:

— Tylko że wyrok nie będzie ostateczny. Och! Nie pytaj mnie się doktorze, i na wszystko, na zbawienie Jakuba, zaklinam pana, ani słówka! Najmniejsze podejrzenie obudzone w panu Galpinie byłoby zniweczeniem naszej ostatniej nadziei, gdyż miałyby czas poprawić omyłkę, którą popełnił, a dzięki której mogę panu powiedzieć, że nawet gdyby hrabia złożył zeznanie, którym zagroził, nawet gdyby wyrok zapadł, nic jeszcze nie będzie straconego...

Ożywiał się coraz bardziej, a po jego ruchach i po tonie, którym przemawiał, znać było człowieka pewnego siebie.

— Nie, nic nie będzie stracone — mówił — i będziemy mieli dosyć czasu, zanim nadejdzie drugie sądowe posiedzenie, na wyszukanie świadków i na wydobycie prawdy z Cocaleugo. Niech więc pan de Claudieuse złoży zeznanie... i owszem, wolę, to mi odejmie ostatnie skrupuły. Zdemaskować panią de Claudieuse wydało mi się rzeczą wstrętną, gdyż myślałem sobie, że najsrożej ukarani byłby wtedy hrabia. Ale gdy nas hrabia zaatakuje, my się musimy bronić i opinia będzie za nami. A nawet będą nas podziwiać, żeśmy nasz honor poświęcili dla honoru kobiety i żeśmy pozwolili raczej skazać się niesłusznie, aniżeli zdradzić nazwisko tej, która nam się oddała.

Doktor nie zdawał się być przekonany, ale młody adwokat nie zważał na to.

— Nie — mówił dalej — na drugim posiedzeniu sądowym musi nam się powieść. Scena na ulicy Mautrec miała świadka; czy to nie jego podkute trzewiki zostawiły ślady pod topolą, czy nie jego widziała Marcia z okna? Któż miałby być tym świadkiem, jeśli nie Cheminot? A jego potrafimy odszukać. On umieścił się tak, że mógł widzieć i słyszeć wszystko i powie, co widział i słyszał. Powie, że hrabia de Claudieuse krzyczał do Jakuba: „Nie, ja ciebie nie zabiję; mam pewniejszą zemstę: pošlę cię na galery!”.

Pan Seignebos smutnie pokiwał głową i rzekł:

— Bodaj się sprawdziły pańskie nadzieje, kochany mecenasie!

Ale w przeciągu godziny trzy razy już przychodzono po doktora. Uściskawszy się więc za ręce rozstali się i po krótkiej wizycie u pana Magloire'a, którego trzeba było zawiadomić o tym, co się stało, pan Folgat pospieszył na ulicę de la Rampe.

Z samej miny panny Dionizy zrozumiał, że nie ma jej nic nowego do powiedzenia, gdyż ona zna prawdę i poznała niesłuszność swoich podejrzeń.

Rzekł więc tylko po prostu:

— A co, nie mówiłem pani?

Ona zawstydzona, że zdradziła tajemnicę zwątpienia, które rozdzierało jej serce, nie odpowiadając na pytanie, odezwała się:

— Panie Folgat, przyszły tu jakieś listy do pana; zanesiono je do pańskiego pokoju.

Jakoż nadeszły dwa listy: jeden od pani Goudar, drugi od agenta posłanego do Anglii.

Pierwszy nie miał żadnego znaczenia. Pani Goudar prosiła po prostu młodego adwokata, żeby doręczył jej mężowi list przesłany pod jego adresem.

Drugi za to był nadzwyczaj interesujący.

Agent z Anglii pisał:

Nie bez wielkich trudności, a zwłaszcza nie bez wielkich wydatków udało mi się wykryć w Londynie brata pana Burnetta, niegdyś kasjera domu Gilmour i Benson.

Sir Francis nie umarł. Ojciec pošłił go w bardzo ważnym interesie bankowym do Madrasu, skąd spodziewają się jego powrotu pierwszym parowcem pocztowym. Jak tylko wyśiądzie na ląd, będziemy o tym zawiadomieni.

Mniej miałem kłopotu z wyszukaniem rodziców Lucy Wood, którzy są ludźmi bardzo za-możnymi i utrzymują porządną oberżę w Folkestone. Nie ma trzech tygodni, jak mieli wiadomość od swojej córki, którą bardzo kochają, jak mi sami powiadali. Mimo tego wielkiego przywiązania nie umieli mi powiedzieć z pewnością, gdzie ją znajdę. Tyle tylko wiedzą, że jest prawdopodobnie na Jersey kelnerką, w jakimś publicznym zakładzie.

Wyspa jest niewielka, a ja ją znam dobrze, gdyż jeździłem tam już za pewnym notariuszem, który umknął z pieniędzmi swoich klientów. Można więc uważać Lucy za odszukaną. Gdy Pan odbierze ten list, ja będę w drodze na Jersey.

Przyślij mi Pan pieniądze do Hotelu pod Złotym Jabłkiem, gdzie zamierzam stanąć. Życie w Londynie jest tak niesłychanie drogie, że już mi mało co zostało z kwoty, którą mi Pan wręczyłeś przy moim odjeździe.

Z tej strony więc przynajmniej wszystko szło dobrze...

Uszczęśliwiony tym pierwszym powodzeniem pan Folgat włożył w kopertę banknot tysiącfrankowy i kazał go zanieść na pocztę.

Po czym poprosiwszy pana de Chandore o konia i powóz, kazał się zawieźć do Boisconran. Chciał się zobaczyć z Michałem, synem karbowego, owym dzielnym chłopakiem, który tak prędko umiał odszukać Cocaleugo.

Właśnie w chwili, gdy przybył na miejsce, Michał wjeżdżał na folwark z furą słomy. Wziąwszy go więc na bok, zapytał:

— Czy chcesz wyświadczyć wielką przysługę panu Jakubowi?

— O co chodzi? — odpowiedział poczciwy chłopiec tonem, który lepiej niż najwymowniejsze zapewnienia dowodził, że jest gotów na wszystko.

— Czy znasz Frumencjusza Cheminota?

— Tego włóczykija?

— Tego samego.

— Co bym nie miał znać! Nakradł ci mi on dosyć kartofli, kanalia! Ale ja tam nie mam za to do niego pretensji, bo to ostatecznie niezły chłopak.

— On siedział w więzieniu w Sauveterre...

— Wiem, za to, że wlaźł do cudzego ogrodu.

— Otóż on uciekł...

— A, takie buty!

— A trzeba by go koniecznie znaleźć. Rozesłano wprawdzie za nim żandarmów, ale czy oni go wyszukają?

Michał zaśmiał się na całe gardło.

— Nigdy w życiu! — odrzekł. — Cheminot pójdzie na wyspę Oleron, gdzie ma przyjaciół. Niech go spróbują znaleźć żandarmi.

Pan Folgat poklepał przyjaźnie chłopaka po ramieniu.

— Ale ty, gdybyś tylko chciał... — rzekł. — Nie marszcz się tak, nie idzie tu bynajmniej o jego schwytanie. Chciałbym tylko, żebyś mu oddał ten oto bilecik i przyniósł mi od niego odpowiedź.

— A, jeżeli tak, to jestem na pańskie usługi. Tylko się przebiorę, opowiem się ojcu i ruszam natychmiast...

Tak więc, o ile tylko mógł, pan Folgat rzucił zasiew na przyszłość i przygotowywał wypadki, naprzeciw zręcznym manewrom prokuratury stawiając wszelkie kombinacje, jakich mu mogły dostarczyć doświadczenie i talent.

Czyż wynikało z tego, żeby jego zaufanie w pomyślny rezultat miało być tak silne, jak to wmawiał innym?

Bynajmniej... Dźwigając na sobie całą odpowiedzialność, ocenił on aż nadto dobrze szanse przeciwnej strony w tej strasznej grze, w której stawką były honor i życie niewinnego człowieka. Lepiej niż ktokolwiek wiedział, że dość było lada drobnostki, żeby zniweczyć jego nadzieje i że los Jakuba był na łasce pospolitego przypadku.

Trzeba było niepospolitej mocy charakteru, żeby na jego miejscu zachować pozory obojętności i spokoju. Wszyscy dokoła niego rozpaczali, wszyscy upadali na duchu. Niegdyś taki wesoły i pełen życia dom na ulicy de la Rampe stał się teraz ponury i milczący jak grób...

W przeciągu dwóch miesięcy dziadek Chandore stał się w całym znaczeniu tego słowa starcem. Silna jego postać zgarbiła się, pochylila, złamała. Zaczął powłóczyć nogami, ręce mu się trzęsły.

Jeszcze silniej ucierpiał margrabia de Boiscoran. Jeszcze przed kilku tygodniami taki krzepki, zdawał się nachylać ku zgrzybiałości. Prawie zupełnie nic nie jadał i nie sypiał. Wychudł okropnie. Każde słowo przychodziło mu z trudnością.

Co się tyczy margrabiny, ta zdawała się być dotknięta u samego źródła życia. Słyszała przecież, jak pan Magloire mówił, że ocalenie Jakuba zależało od uzyskania odroczenia sprawy. A ona, ona sama sprzeciwiła się staraniom o to odroczenie! Ta myśl ją zabijała. Za ledwie na tyle sił jej pozostało, żeby się codziennie zawlec do więzienia i ucałować syna.

Wszystkie codzienne problemy spadły na ciotki Lavarande, które też blade, podobne do cieni mówiły po cichu i chodziły na palcach, jak w domu, który nawiedziła śmierć.

Tylko panna Dioniza swoją energią usiłowała sprostać nieszczęściu. Ona nie łudziła się bynajmniej.

— Czuję, że Jakub będzie skazany! — powiedziała panu Folgatowi.

Ale dodała zaraz, że upadanie na duchu i rozpacz są udziałem zbrodniarzy, ale straszny los, którego ofiarą pada Jakub, powinien w jego przyjaciółach budzić tylko gniew i chęć zemsty.

I podczas kiedy jej dziadek i margrabia de Boiscoran o ile możliwości jak najrzadziej wychodzili z domu, ona naumyślnie pokazywała się w mieście, zadziwiając „damy z towarzystwa” sposobem, w jaki przyjmowała ich obłudne komplementy i ubolewania.

Ale było widoczne, że to tylko gorączka ją podtrzymuje, nadając rumieniec jej policzkom, oczom blask, a głosowi dźwięk metaliczny i wibrujący.

Dla niej to przede wszystkim pan Folgat pragnął końca tej niepewności, gorszej niż najgorsze nieszczęście.

Chwila ta zbliżała się

Prezes sądów przysięgłych, pan Domini, zjechał do Sauveterre.

Był to jeden z tych ludzi, których charakter jest chlubą sądownictwa, przejęty dostojnością swego zawodu, ale nie uważający się za nieomylnego, poważny, ale nie przesadny, rygorysta, zimny, a jednak uprzejmy, nie zapalający się do niczego prócz sprawiedliwości, nie mający innej ambicji oprócz odkrycia prawdy.

Przesłuchiwał już Jakuba; ale była to tylko czysta formalność i nie doprowadziła do niczego.

Prócz tego przystąpił do ukonstytuowania sądu przysięgłych.

Już przysięgli wybrani przez losowanie przybywali ze wszystkich stron departamentu. Zatrzymywali się w Hotelu Przewoźników, spotykali się przy stole, razem spacerowali po mieście.

Przybył też i pan du Lopt de la Gransiere.

Ale ten siedział zamknięty w swoim apartamencie w hotelu, gdzie pan Galpin-Daveline codziennie przesiadywał długie godziny.

— Zdaje się—mówił poufnie Mechinot panu Folgatowi — że przygotowuje jakiś piorunujący akt oskarżenia...

Nazajutrz, rozłożywszy gazetę, panna Dioniza wyczytała następujący porządek spraw na sesji sądowej:

Poniedziałek. Podstępne bankructwo, malwersacja, fałszerstwo.

Wtorek. Morderstwo i kradzież.

Środa. Dzieciobójstwo. Kradzieże domowe.

Czwartek. Podpalenie i zamach na życie. (Sprawa Jakuba de Boiscorana).

Na ów to sławny czwartek mieszkańcy Sauveterre obiecywali sobie niepospolite wzruszenia.

Toteż wszyscy na wyścigi starali się o bilety wejścia na posiedzenie sądu. Pracownicy sądu nie mogli się opędzić prośbom. Rzecz niesłychana, kupowano bilety za pieniądze. Narzeczcie jakaś rodzina miała tę niepojętą odwagę, że napisała do margrabiego de Boiscorana z prośbą o trzy bilety, przyrzekając za to swoją postawą przyczynić się do uniewinnienia oskarżonego.

Wtedy właśnie, wśród największego zainteresowania tą sprawą, poczęła po mieście obiegać lista subskrypcyjna na rodziny nieszczęśliwych strażaków, którzy zginęli podczas pożaru w Valpinson.

Kto puścił w obieg tę listę? Pan Seneschal na próżno usiłował dojść do tego. Ten szkaradny podstęp pozostał tajemnicą.

— W tym jest ręka Galpina — mówił zgrzytając zębami doktor Seignebos. — Gdy sobie pomyślę, że on może tryumfować! Czemu ten Goudar nie zabrał się wcześniej do roboty!

Goudar bowiem, chociaż zareczał za pomyślny rezultat, jednak żądał czasu. Uspokoić nieufność podejrzliwego Cocoleu to było zadanie wymagające cierpliwości. Goudar twierdził, że chcąc przyspieszyć rozwiązanie, popsułby wszystko.

Zresztą nic nowego nie zaszło.

Hrabia de Claudieuse miał się raczej lepiej niż gorzej.

Agent z Jersey telegrafował, że jest na tropie Lucy, że ją znajdzie z pewnością, ale nie powiadał, kiedy.

Michał nareszcie nadaremnie przeszukał wyspę Oleron; nikt nie mógł nic powiedzieć o Cheminocie.

Tak tedy, w dniu posiedzenia sądu, na naradzie, w której wzięli udział wszyscy przyjaciele Jakuba, postanowiono, że obrońcy nie wymienią nazwiska pani de Claudieuse i bez względu na to, co powie hrabia, trzymać się będą systemu obrony obmyślonego przez pana Folgata.

Niestety! Ten plan miał mało szans powodzenia, gdyż sąd przysięgłych, wbrew zwyczajowi, okazał się nadzwyczaj surowy.

Bankrut skazany został na dwadzieścia lat ciężkich robót. Człowiek oskarżony o zabójstwo, z pominięciem okoliczności łagodzących, skazany został na śmierć.

Było to we środę.

Postanowiono, że margrabia i margrabina de Boiscoran oraz pan de Chandore będą obecni podczas rozprawy. Pannie Dionizie chciano oszczędzić tych okropnych wzruszeń, ale ona oświadczyła, że jeżeli jej nie wezmą ze sobą, to sama pójdzie i trzeba było zgodzić się z jej wolą.

Dzięki upoważnieniu pana Domini, pan Folgat i pan Magloire spędzili wieczór u Jakuba, określając ostatecznie rozmaite szczegóły i umawiając się co do niektórych odpowiedzi.

Jakub był blady, ale bardzo spokojny. A gdy obrońcy żegnając się z nim zalecili mu nadzieję i odwagę, odpowiedział:

— Nadziei nie mam. Ale odwagę będę miał, bądźcie panowie o mnie spokojni!

Nareszcie Jakub de Boiscoran ujrzał wstający dzień, który miał zdecydować o jego losie.

Miał być sądzony!

Było to wydarzenie zbyt ważne, żeby je miejscowy dziennik miał pominąć.

W rannym numerze zapowiedział „ze względu na ważność wypadków” wieczorne wydanie, z którym biegali krzycząc ulicznicy przeszło do północy.

Sprawozdanie jego brzmiało, jak następuje:

SĄD PRZYSIĘGLYCH W SAUVETERRE

Posiedzenie w czwartek 23... Pod przewodem pana Dominiego Morderstwo—
podpalenie (Korespondencja własna)

...Skądże to w naszym mieście ten niezwykły ruch, ten zgiełk, to ożywienie?

Bo to dzisiaj sąd przysięgłych sędzić ma ową tajemniczą sprawę, której teatrem jest Valpinson i która od tylu tygodni tak żywo zajmuje naszą ludność.

Bo to dzisiaj ma być sądzony człowiek oskarżony o tę straszną zbrodnię...

Na kilka godzin przed otwarciem rozprawy cała sala była już pełna, natłoczona, napchana.

Nie stracono ani odrobiny miejsca. Dokoła wzdłuż muru stoją mężczyźni. Po obu stronach estrady ustawiono krzesła, które zajmuje znaczna liczba dam z towarzystwa, zarówno z Sauveterre jak z okolicy, a nawet z sąsiednich miast. Niektóre z nich w przepysznych toaletach.

Obiegają tysiączne wersje, tysiączne domysły i przypuszczenia, których nie myślimy tutaj powtarzać. Powiemy tylko, że oskarżony nie skorzystał z przysługującego mu prawa wyłączenia pewnej liczby przysięgłych. Zgodził się na wszystkie nazwiska, które wyszły z urny, a przeciwko którym nic nie miał urząd publiczny.

Szczegół ten znamy od jednego adwokata. Właśnie kiedy nam go kończył opowiadać, zrobił się wielki zgiełk przy drzwiach, po którym nastąpił gwałtowny ruch krzeseł i stłumione okrzyki.

To rodzina oskarżonego zajmowała krzesła przeznaczone dla niej tuż przy estradzie.

Margrabia de Boiscoran wprowadził pod rękę pannę de Chandore ubraną z wielką dystynkcją, w suknię ciemnopopielatą. Baron de Chandore prowadził margrabinę de Boiscoran.

Margrabia i baron zachowują postawy poważne i zimne. Matka oskarżonego wydaje nam się wielce przygnębiona. Panna de Chandore przeciwnie jest bardzo ożywiona i nie zdaje się być wcale niespokojna; z uśmiechem odpowiada na ukłony, dosyć zresztą nieliczne.

Ale niebawem ciekawość publiczna przestaje się nimi zajmować.

Uwaga powszechna zwraca się na wielki stół stojący na środku, na którym leżą rozmaite przedmioty, których atoli nie można widzieć, gdyż są nakryte wielkim czerwonym kobiercem.

Są to przedmioty stanowiące dowody rzeczowe.

Tymczasem bije jedenasta. Woźni krążą dokoła bacząc, czy wszystko jest w porządku. Potem otwierają się drzwi na lewo i wchodzą obrońcy.

Czytelnicy nasi znają ich obu. Jeden z nich, to pan Magloire, chluba naszych obrońców. Drugi, to adwokat paryski, pan Folgat, jeszcze młody, a już sławny.

Pan Magloire uśmiechając się rozmawia z panem Seneschalem, podczas gdy pan Folgat otwiera swoją tekę i przegląda akta.

Godzina wpół do dwunastej.

Jeden z woźnych ogłasza:

— Sąd idzie!

Pan Domini zasiada na prezydialnym krześle, pan du Lopt de la Gransiere zajmuje krzesło przeznaczone dla oskarżyciela publicznego.

Za nimi, w milczeniu i z powagą zasiadają przysięgli.

Nagle powstaje zgiełk.

Każdy się podnosi i wspina na palce. Niektórzy nawet, siedzący w głębi, stają na krzesłach.

Prezes bowiem wydał rozkaz wprowadzenia oskarżonego. Jakoż ten ukazuje się...

Ubrany jest zupełnie czarno, z wielką elegancją. Uwagę wszystkich zwraca czerwona wstążeczka Legii Honorowej, błyszcząca na jego piersiach.

Jest blady, ale wzrok ma pewny i jasny, śmiały, ale nie wyzywający. Postawa jego jest smutna, ale dumna...

Zaledwie usiadł, ktoś z publiczności przedziera się przez trzy rzędy krzeseł i nie zważając na woźnych podchodzi do niego, aby mu uścisnąć rękę.

Prezes nakazuje woźnym, aby wezwali publiczność do uciszenia się i przypomniawszy, że wszelkie oznaki współczucia lub niezadowolenia są surowo wzbronione, zwraca się do oskarżonego:

— Powiedz mi pan swoje nazwisko, imię, wiek, zatrudnienie i miejsce zamieszkania...

Oskarżony odpowiada:

— Ludwik Trywulcy Jakub de Boiscoran, lat dwadzieścia siedem, właściciel ziemski, zamieszkały w Boiscoran.

— Usiądź pan i wysłuchaj przedstawienia czynów, o które jesteś obwiniony.

Pisarz, pan Mechinet odczytuje akt oskarżenia, którego straszliwa prostota przejmuje słuchaczy drżeniem.

Nie będziemy go tu powtarzać, gdyż wszystkie objęte nim wypadki są dobrze znane naszym czytelnikom.

Przesłuchanie obwinionego

Prezes — Oskarżony niech wstanie i odpowiada. Podczas śledztwa nie chciałeś pan odpowiadać na wiele pytań. Tutaj powinno się wszystko wyjaśnić. I muszę panu powiedzieć, że w jego własnym interesie leży, żebyś był szczery.

Oskarżony — Nikt bardziej ode mnie nie życzy sobie, aby prawda została poznana. Gotów jestem odpowiadać.

P. — Dlaczego pan nie chciałeś odpowiadać podczas śledztwa?

O. — Uważałem dla siebie za rzecz korzystną odpowiadać dopiero tutaj.

P. — Słyszałeś pan, o jakie zbrodnie jesteś obwiniony?

O. — Jestem niewinny. Proszę mi pozwolić zrobić jedną uwagę. Zbrodnia dokonana w Valpinson jest straszna, okropna, nikczemna, ale zarazem jest tak głupia i bez sensu, że wydaje się być nieświadomym czynem wariata. Tymczasem mnie nie odmawiano nigdy pewnej inteligencji...

P. — To właśnie pytanie.

O. — Ależ, panie prezesie...

P. — Później będzie panu wolno podać wszelkie twoje uwagi, rozumowania i tłumaczenia. Obecnie jednak ogranicz się pan do odpowiedzi na zadawane panu pytania.

O. — Zastosuję się do tego.

P. — Wszak pan miałeś niebawem zawrzeć związek małżeński?

Na to pytanie wszystkie spojrzenia zwróciły się na pannę de Chandore, która zarumieniła się jak piwonია, ale nie spuściła oczu.

O. (słabym głosem) — Tak jest.

P. — Czy w ów wieczór, kiedy dokonano zbrodni, zaledwie na kilka godzin przed jej popełnieniem nie pisałeś pan do swojej narzeczonej?

O. — Tak jest i odesłałem list przez Michała, syna mego gumienego.

P. — Co pan w nim pisałeś?

O. — Że ważny interes pozbawia mnie możliwości spędzenia wieczoru u niej.

P. — Cóż to był za interes?

W chwili gdy oskarżony otwiera usta chcąc odpowiedzieć, Prezes wstrzymuje go skinieniem.

P. — Zwracam pańską uwagę. Pytanie to zadano panu podczas śledztwa i odpowiedziałeś, że byłeś w Brechy u handlarza drzewem.

O. — Tak rzeczywiście odpowiedziałem w pierwszej chwili... ale to nieprawda.

P. — Dlaczego pan skłamałeś?

O. (z widocznym gniewem) — Nie sądziłem, że się znajduję w tak niebezpiecznym położeniu. Nie mogłem przypuścić, żebym miał być na serio skompromitowany oskarżeniem, które przecież zaprowadziło mnie na ławę sądową. Dlatego nie widziałem potrzeby mówić o swoich prywatnych sprawach.

P. — Niebawem przekonałeś się pan, że położenie pańskie jest istotnie niebezpieczne.

O. — W istocie.

P. — Dlaczegoż pan wtedy nie wyznałeś prawdy?

O. — Dlatego, że urzędnik, który miał sobie poruczone prowadzenie śledztwa, był ze mną dawniej w zbyt bliskich stosunkach, żebym mógł być mieć do niego zupełne zaufanie...

P. — Wytłumacz się pan jaśniej.

O. — Muszę prosić o pozwolenie zamilczenia. Może być, że mówiąc o panu Galpin-Davelinie nie mógłbym zachować bezstronności.

Publiczność głuchym szmerem przyjmuje tę odpowiedź.

Du Lopt de la Gransiere wstaje:

— My nie możemy ścierpieć podobnych wypowiedzi przeciw urzędnikowi, który postąpił szlachetnie i nie oglądając się na nic spełnił swój obowiązek. Jeżeli obwiniony miał przeciw sędziemu uprawnione podejrzenia, dlaczego z nimi nie wystąpił? Nie może się tłumaczyć nieświadomością! Zna bowiem prawo. Jego obrońcy są osobami doświadczonymi.

Magloire ze swojego miejsca:

— Toteż myśmy radzili panu de Boiscoranowi, aby zrobił stosowne podanie, ale on nie chciał zastosować się do naszej rady, ufając, jak mówił, w słuszność swojej sprawy.

Du Lopt de la Gransiere siadając:

— Panowie przysięgli ocenią ten system...

P. (do oskarżonego) — A teraz czy pan jesteś gotów powiedzieć prawdę o tym interesie, który panu nie pozwolił spędzić wieczoru przy narzeczonej?

O. — Tak jest. Mój ślub miał się odbyć w kościele w Brechy, chciałem więc porozmawiać z proboszczem co do tej ceremonii. Prócz tego miałem do spełnienia obowiązek religijny. Proboszcz z Brechy, który jest moim przyjacielem, może zaświadczyć, że choć nie umówiliśmy się konkretnie, to na skutek jego żądania miałem w jednym z tych dni, wieczorem, być u niego u spowiedzi.

Publiczność, która spodziewała się czegoś nadzwyczajnego, zdaje się być zawiedziona w swoich nadziejach; dają się słyszeć z różnych stron szydercze śmiechy.

P. (surowo) — To nieprzyzwoite! Niechaj woźni wyproszą zaraz każdego, kto sobie pozwala na śmiech. I po raz ostatni uprzedzam, że za najmniejszą manifestację każę wszystkim opuścić salę.

Potem zwracając się do oskarżonego rzekł:

— Mów pan dalej.

O. — W ów wieczór szedłem do proboszcza w Brechy. Na nieszczęście, przyszedłszy, nie zastałem nikogo na probostwie. Nadaremnie dzwoniłem trzy albo cztery razy, gdy wtem jakaś wiejska dziewczyna powiedziała mi, że spotkała niedawno proboszcza idącego drogą, którą mi wskazała. Pobiegłem natychmiast w tym kierunku, mając nadzieję, że go spotkam, lecz nadaremnie zrobiłem milę drogi! Przekonany więc, że owa dziewczyna omyliła się, albo mnie zwiodła, postanowiłem wrócić do domu...

P. — Więc takie jest pańskie tłumaczenie?

O. — Tak jest.

P. — I pan uważa je za prawdopodobne?

O. — Zobowiązałem się powiedzieć nie rzecz prawdopodobną, ale prawdę. Zresztą muszę wyznać, iż właśnie dlatego, że tłumaczenie to jest tak proste, nie podawszy go od razu, wahałem się podać je później. A jednak, gdyby zbrodnia nie została popełniona i gdybym ja nazajutrz był powiedział: Byłem wczoraj wieczór w Brechy u proboszcza, alem go nie zastał, kto by był pomyślał, że to nie jest rzeczą zupełnie naturalną?

P. — I to dlatego, żeby pójść w celu spełnienia tak naturalnego obowiązku, udałeś się pan boczną drogą, trudną do przebycia, prawie niebezpieczną, przez bagna?

O. — Wybrałem drogę najkrótszą...

P. — A więc skądże ten przestrah, kiedy pan spotkałeś młodego Ribota?

O. — Nie byłem wcale przestraszony, ale zdziwiony tym spotkaniem w miejscu, w którym nie spodziewałem się spotkać nikogo. I jeżeli ja byłem zdziwiony, to i Ribot okazał nie mniejsze zdziwienie.

P. — Widzisz pan, żeś się spodziewał, że nie spotkasz nikogo.

O. — Przepraszam pana prezesa, ja tego nie powiedziałem. Przypuszczać a spodziewać się, to zupełnie co innego.

P. — W takim razie po co pan usiłował usprawiedliwić swoją bytność w tym miejscu?

O. — Ja się bynajmniej nie usprawiedliwiałem. Młody Ribot pierwszy, śmiejąc się, powiedział mi, gdzie idzie, a ja mu odpowiedziałem, że idę do Brechy.

P. — Powiedziałeś mu pan także, że udałeś się przez bagna, żeby zabić parę wodnych ptaków i zarazem pokazałeś mu pan swoją strzelbę.

O. — Być może. Ale czyż to stanowi dowód przeciwko mnie? Ja sędzę, że przeciwnie. Gdybym miał przypisywane mi w oskarżeniu zbrodnicze zamiary, widząc, że mnie ktoś spotkał, że zatem z łatwością mogę być odkryty, byłbym wrócił do domu. Ale ja szedłem do mego przyjaciela proboszcza.

P. — I idąc do proboszcza, wzięłeś pan strzelbę ze sobą?

O. — Moja posiadłość leży między lasami i bagnami i nie było prawie dnia, żebym nie ubił królika lub wodnego ptaka. Wszyscy ludzie okoliczni mogą zaświadczyć, że nigdy nie wychodziłem bez strzelby.

P. — Az powrotem dlaczego pan poszedłeś przez las Rochepommier?

O. — Ponieważ z miejsca, w którym się znajdowałem, była to prawdopodobnie najkrótsza droga do Boiscoran. Mówię prawdopodobnie, gdyż w owej chwili wcale nad tym nie myślałem. Człowiek przechadzający się zapewne znalazłby się w wielkim kłopotcie, gdyby się go ktoś zapytał, dlaczego idzie tą drogą a nie inną...

P. — Widział pana w lesie także drwal, nazwiskiem Gaudry.

O. — Mówił mi o tym pan sędzia śledczy.

P. — Świadek ten twierdzi, że pan byłeś wzburzony. Obrywałeś pan liście z gałęzi, mówiłeś głośno...

O. — To pewne, że byłem bardzo niezadowolony z tego, że nadaremnie straciłem wieczór, a przy tym zły, że się dał zwieść owej dziewczynie; bardzo więc być może, że mimo woli wymknęło mi się nawet coś podobnego jak: Bodaj tego proboszcza z jego obiadami w mieście!

Publiczność zaczęła się uśmiechać, ale tak ostrożnie, że prezes nie znalazł powodu do przygany.

P. — Więc panu było wiadomo, że proboszcz z Brechy obiadował tego wieczoru poza domem.

Magloire wstając:

— Panie prezesie, pan de Boiscoran dopiero od nas dowiedział się o tym szczególe.

Kiedy nam bowiem powiedział, w jaki sposób spędził ów wieczór, udaliśmy się do plebana w Brechy, który ze swej strony wytłumaczył nam, dlaczego ani on, ani stara służąca nie znajdowali się na probostwie. Na nasze to żądanie kapłan ten został wezwany przed sąd. Powołujemy się zresztą na innego jeszcze księdza, który o tejże samej godzinie przechodził wspomnianą drogą i którego właśnie widziała owa dziewczyna.

Dawszy znak obrońcy, ażeby usiadł, prezes odezwał się znowu do oskarżonego:

P. — Zameżna Courtois, która pana spotkała, zeznaje, że widziała pana w jakimś niezwykłym stanie, żeś się wcale do niej nie odezwał i spieszyłeś się zejść z jej oczu.

O. — Noc była zbyt ciemna, ażeby ta kobieta mogła widzieć wyraz mej twarzy. Prosiła mnie o małą przysługę i tę jej wyświadczyłem. Nie odezwałem się do niej, bo nie miałem o czym z nią mówić. Nie uciekałem także od niej, lecz wyprzedziłem ją tylko, bo jej osioł szedł zbyt powoli.

Na znak dany przez prezesa woźni zdjęli kobierzec, który okrywał przedmioty stanowiące dowody rzeczowe.

Publiczność poruszyła się ciekawie, wyciągając na wyścigi szyje i głowy, by im się bliżej przypatrzeć.

Na stole rozłożone były suknie, a mianowicie: spodnie aksamitne jasnoszare, żakiet aksamitny kasztanowaty, stary kapelusz słomiany i para juchtowych butów. Obok nich dubeltówka, ładunki, dwa słoiki napełnione drobnym śrutem i nareszcie wielka miednica z angielskiego fajansu, w której widać jakiś płyn podobny do ciemnego błota.

Prezes (wskazując obwinionemu ubranie) — Czy to są te same suknie, jakie pan miał na sobie wieczorem, w którym została popełniona zbrodnia?

Obwiniony — Tak, panie.

P. — Szczególne ubranie na wizytę do sędziwego kapłana i dla dopełnienia ważnych obowiązków religijnych.

O. — Proboszcz w Brechy był moim przyjacielem. Zażyłość nasza wyjaśnia, jeżeli nie usprawiedliwia takie zaniedbanie form towarzyskich...

P. — Czy pan poznajesz i tę miednicę? Woda z niej wyparowała i pozostały na spodzie same części nierozpuszczalne.

O. — Tak. Kiedy sędzia śledczy przybył do mnie, znalazł tę miednicę napełnioną wodą czarną i zagęszczoną zwęglonymi szczątkami. Pytał mnie więc o przyczynę tego, a ja z całą otwartością objaśniłem go, że wróciwszy zeszłego wieczoru do domu, umyłem w niej ręce. Czy nie jest jasne, że poczuwając się do winy, byłbym się przede wszystkim starał o usunięcie wszelkich śladów mojej zbrodni? Tymczasem okoliczność ta uznana została jako jawny dowód występku i dzisiaj stanowi najcięższy zarzut przeciwko mnie.

P. — Rzeczywiście jest to zarzut bardzo poważny.

O. — Otóż ja z największą łatwością mogę objaśnić tę okoliczność. Jestem miłośnikiem palenia tytoniu. Wychodząc z domu, zabrałem ze sobą kilka sztuk cygar, lecz chcąc pierwsze z nich zapalić, spostrzegłem, że nie miałem zapalek.

Pan Magloire wstając:

— Zwracam tu uwagę, że to nie jest żadne z tych zmyślonych tłumaczeń, dla wyjaśnienia jakiejś wątpliwej przyczyny. Gdzie dowód, zapytajcie mnie panowie. Dowód? Posiadam go. Jeżeli pan de Boiscoran nie miał wtedy przy sobie zapalek, które zawsze nosi ze sobą, to dlatego, że poprzedniego dnia zapomniał swego pudełka u pana de Chandore, gdzie je sam widziałem i gdzie się ono dotąd znajduje.

P. — Dobrze, panie Magloire, pozwól pan mówić oskarżonemu.

O. — Pragnąc zapalić cygaro, uciekłem się do środka używanego przez wszystkich myśliwych. Otworzyłem jeden z moich ładunków, śrut zastąpiłem kawałkiem papieru i zapaliłem go.

P. — I tym sposobem otrzymuje się ogień?

O. — Nie zawsze, ale na trzy wystrzały raz niezawodnie.

P. — I taka operacja zaczerpnia ręce?

O. — Sama operacja nie. Ale zapaliwszy cygaro, miałem wyrzucić palący się papier, jaki do tego używałem. Wszakże mógłbym wzniecić pożar.

P. — Wśród bagnisk?

O. — Ależ panie, ja w ciągu wieczora wypaliłem pięć do sześciu cygar, co ma znaczyć, że takową operację powtarzałem w rozmaitych miejscach, jak na drodze, a nawet i w lesie. Za każdym więc razem gasiłem zapalony papier palcami, co połączone z kopciem prochowym musiało moje ręce uczynić tak czarnymi jak ręce węglarza.

Obwiniony złożył to zeznanie głosem najnaturalniejszym w świecie, chociaż z pewnym zapalem, który widoczne uczynił wrażenie na niektórych słuchaczach.

P. — Przejdźmy teraz do fuzji. Czy ją pan poznajesz?

O. — Poznaję. Czy wolno mi ją spróbować?

P. — Dobrze.

Oskarżony z gorączkowym pośpiechem wziął podaną mu broń do ręki, odwiódł i spuścił kurki po czym jeden palec wsadził do luf. Wtedy zaczerwienił się nagle i pochyliwszy się do swoich obrońców szepnął im na ucho kilka słów, których przecież nie mogliśmy dosłyszeć.

P. — Co to znaczy?

Magloire (podnosząc się z miejsca). — Dochodzi właśnie okoliczność, która będzie jawnym dowodem niewinności pana de Boiscorana. Zrządzeniem Opatrzności jego służący Antoni na dwa dni przed tymi wypadkami wyczyścił tę fuzję. Dlatego dzisiaj jędrna z luf jest zupełnie czysta. Wynika więc stąd, że to nie pan de Boiscoran dał owe dwa strzały, które zraniły pana de Claudieuse'a.

Jednocześnie oskarżony przystąpił do stołu, na którym znajdowały się dowody rzeczowe. Owinął cienką białą chustką do nosa stempel fuzji, wsunął go następnie do jednej lufy, wyciągnął i pokazał, że chustka była zaledwie zasmolona.

Publiczność z wielkim wzruszeniem przypatrywała się tym ruchom.

Prezes (do oskarżonego) — Powtórz pan to samo doświadczenie na drugiej lufie.

Oskarżony spełnia polecenie. Chustka jego powraca z lufy zupełnie czysta.

Prezes — Widzisz pan! A jednak mówiłeś nam, że do zapalenia cygar użyłeś osiem do dziewięciu ładunków. Lecz akt oskarżenia przewidział te tłumaczenia i jesteśmy w stanie odepnąć. Woźny, wprowadź przed sąd świadka Maucroy...

Wszyscy niemal mieszkańcy Paryża znają doskonale tego świadka, którego piękny magazyn broni, przyrządów myśliwskich i rybołówczych jest jedną z celniejszych ozdób placu Marche Neuf. Świadek ten, wystrojony świątecznie, złożył bez żadnego wahania przepisana prawem przysięgę.

Prezes — Powtórz pan swoje zeznanie co do tej fuzji.

Świadek — Jest to broń wyborna i znakomitej wartości, broń, jakiej nie wyrabiają we Francji, gdzie ludziom głównie chodzi o taniość...

Na taką odpowiedź cała sala parsknęła śmiechem; wiadome było, że Maucroy każdy swój towar sprzedawał niesłychanie drogo. Nawet kilku przysięgłych przy tym ogólnym niemal śmiechu zaledwie zdołało zachować powagę.

Prezes — Uwolnij nas pan od podobnych uwag i powiedz tylko to, co wiesz przymiotach tej fuzji.

Świadek — Jak najchętniej! Z powodu szczególnego urządzenia futerałów ładunkowych i z powodu specjalnych własności materiału strzelniczego, lufy tej fuzji prawie wcale się nie zanieczyszczają.

Oskarżony (bardzo żywo) — Mylisz się pan. Ja sam i to kilkakrotnie czyściłem moją dubeltówkę i przekonałem się, że przeciwnie, lufy jej bywały bardzo zasmolone.

Świadek—Dlatego, że pan zbyt wiele z niej strzelał. Ale ja utrzymuję, że po jednym lub dwóch strzałach w lufach nie pozostaje prawie żaden ślad.

Oskarżony — Zaprzeczam temu najzupełniej.

Prezes (do świadka) — A gdyby z niej wystrzelono osiem do dziesięciu razy?

Świadek — O, wtedy byłyby bardzo nieczyste.

Prezes — Obejrzyj je pan teraz i powiedz nam swoje zdanie.

Świadek (po bardzo szczegółowym obejrzeniu broni). Utrzymuję, że po ostatnim czyszczeniu z tej fuzji nie wystrzelono nawet dwa razy.

Prezes (do oskarżonego). — A więc cóż znaczy owych dziesięć ładunków wystrzelonych dla zapalenia cygar i skutek czego pana ręce tak musiały poczernieć?

Oskarżony, który od początku posiedzenia okazywał dziwną przytomność umysłu najzimniejszą krew, nic na to nie odpowiedział, ale w jednym mgnieniu oka okrył się śmiertelną bladością.

Magloire — Kwestia ta jest zbyt ważna, ażeby ją można rozstrzygnąć z zeznań tylko jednego świadka.

Prokurator generalny — My tylko szukamy prawdy. Wszak możemy zrobić doświadczenie.

Świadek — O, niewątpliwie...

Prezes — Więc zabierz się pan do niego.

Świadek wsadza nabój do każdej lufy i z okna leżącego za estradą daje dwa strzały, których huk wywołuje przeraźliwy krzyk kilku przestraszonych dam siedzących wśród publiczności. Potem wracając pokazuje sędziom, że lufy nie są bynajmniej więcej zasmolone, jak przed strzałami i dodaje:

— A co? Czy nie miałem słuszności?

Prezes (do oskarżonego) — Widzisz pan teraz, że okoliczność, za pomocą której się chciałeś uniewinnić, zamiast ocalenia, świadczy przeciwko tobie i że nam złożyłeś kłamliwe zeznanie co do stanu twoich rąk.

Na rozkaz prezesa świadek wychodzi i rozpoczyna się dalsze badanie oskarżonego.

P. — Jakie pan miałeś stosunki z panem de Claudieusem?

O. — Nie miałem żadnych!

P. — Przepraszam. Wiadome jest w okolicy, że pan go nienawidziłeś.

O. — To są mylne wieści. Jednakże ręczę honorem, że miałem go, zawsze za najlepszego, najzaczniejszego człowieka.

P. — Pod tym względem przynajmniej zgadza się pan z tymi wszystkimi, którzy go znają osobiście. Mimo to jednak pan się z nim procesowałeś!

O. — Mój stryj wraz z majątkiem przekazał mi ten proces sukcesyjnie. Przeprowadziłem go więc, ale bez żadnego namiętnego rozdrażnienia. Chciałem sprawę załatwić polubownie.

P. — A ponieważ pan de Claudieuse uchylił się od tego, więc pan znienawidziłeś go śmiertelnie.

O. — Bynajmniej.

P. — I znienawidziłeś go do tego stopnia, że pewnego razu zmierzyłeś się bronią przeciwko niemu, żeś nawet głośno wyrzekł: „Ten człowiek nie da mi spokoju, dopóki go nie zastrzelę!”. Nie zaprzeczaj pan temu. Masz świadków przeciwko sobie.

Na wezwanie prezesa, oskarżony, z głową dumnie wzniesioną powrócił na ławkę oskarżonych. Jego poprzednie zwątpienie i upadek na duchu teraz zupełnie ustąpiły. Widzimy go rozmawiającego jak najspokojniej ze swymi obrońcami.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w tej chwili opinia publiczna skłania się na jego korzyść, że zjednał sobie współczucie nawet tych ciekawych, którzy przybyli na posiedzenie sądu przysięgłych z najnieprzyjaźniejszym dla niego usposobieniem. Nie było też jednej osoby w sali, której by nie wzruszyła jego postawa tak dumna i tak smutna zarazem, której by nie ujęły jego tak szczere, prostoduszne odpowiedzi.

Jakkolwiek badania dotyczące użycia fuzji nie wypadają na jego korzyść, jednakże one nie potępiają go jeszcze w opinii publicznej. Kwestia zanieczyszczenia luf fuzji jest rozmaicie i bardzo żywo komentowaną, a wielu niedowiarków powtarza, że pan Macroy był zbyt stanowczy i śmiały w swoich twierdzeniach.

Inni znowu dziwią się niepojętej słabości obrońców, nie tyle może słabości pana Folgata, który jest zbyt mało znany w Sauveterre, ile raczej niedbałości pana Magloire'a, którego zręczność korzystania z każdej okoliczności dla bronionej przez niego sprawy była dotąd powszednie znana.

Posiedzenie nie zostało wprawdzie zawieszono, ale nastąpiła chwila zwłoki wywołana bieganiną woźnych, nakrywaniem stołu i ustawianiem pod samą estradą jakiegoś poręczowego krzesła.

Nareszcie jeden z woźnych zbliżył się do prezesa i rzekł cicho kilka słów.

Prezes odpowiedział mu skinieniem głowy, a gdy woźny odszedł, rzekł donośnym głosem:

— Przystępujemy teraz do dalszego przesłuchania świadków i zaczniemy od pana de Claudieuse'a. Jakkolwiek bardzo chory, domagał się jednak stanowczo, by być przesłuchany na naszym posiedzeniu.

Na te słowa doktor Seignebos podniósł się z krzesła, jak gdyby chciał zabrać głos, lecz na znak adwokata Folgata, który nań skinął z pewnym porozumieniem, doktor usiadł spokojnie na miejscu.

Prezes — Wprowadź na salę hrabiego de Claudieuse'a.

Badanie świadków

Boczne drzwi, którymi wyszedł rusznikarz, otworzyły się powtórnie i stanął w nich sędziwy hrabia de Claudieuse, wsparty, niemal dźwigany na ramieniu swego kamerdynera.

Ogólny szmer współczucia i politowania wita to zjawienie się czcigodnego starca. Jego nadzwyczajne wycieńczenie, przerażająca chudość, rysy zwiastujące niemal ostatni wysiłek uchodzącego życia, uderzają przykro wpatrującą się w niego publiczność. Resztki tlejącego się życia promieniają tylko w dziwnym blasku niezmiernie ożywionych oczów.

Przystępuje do złożenia przepisanej przysięgi.

Lecz po głuchym milczeniu towarzyszącym słowom prezesa na zapytanie: „Czy pan przysięgasz wyznać nam całą prawdę?” usłyszano we wszystkich zakątkach sali donośnie dźwięczną odpowiedź starca: „Przysięgam!”.

Prezes (uprzejmie)—Wdzięczni jesteśmy panu za tę ofiarę dla wyjaśnienia prawdy. To krzesło jest przygotowane dla pana. Proszę usiąść...

Pan de Claudieuse — Dziękuję panu, mam jeszcze dosyć siły, ażeby się utrzymać na własnych nogach.

P. — Zechciej pan nas objaśnić, co może ci być wiadome o zamachu, którego padłeś ofiarą?

Świadek — Było około godziny jedenastej. Przed chwilą położyłem się, zagasiłem świecę i w na wpół senny ujrzałem nagle mój pokój sypialny zalany olśniewającym blaskiem. Domyślając się, że to pożar, wyskoczyłem z łóżka i zarzuciwszy na siebie jakieś ubranie, wybiegłem na schody. Tutaj z niejaką trudnością przyszło mi otworzyć zewnętrzne drzwi, które poprzednio sam zamknąłem. Otworzyłem je nareszcie. Lecz zaledwie stanąłem na progu, uczułem w lewym boku straszny ból jednocześnie z hukiem bardzo bliskiego - strzału z broni palnej. Wiedziony instynktem, rzuciłem się w stronę, z której usłyszałem strzał, ale nie ubiegłszy nawet trzech kroków, zostałem rażony powtórnie w ramię i wtedy upadłem już zupełnie pozbawiony przytomności.

P. — Ile mogło upłynąć czasu pomiędzy pierwszym a drugim strzałem?

Świadek — Najwięcej trzy lub cztery sekundy.

P. — To jest mniej więcej tyle, ile było trzeba dla dojrzenia napastnika?

S. — Właśnie też ja go dostrzegłem stojącego na czatach za sztachetami i uciekającego potem w pole.

P. — W takim razie może nam pan opisać, jak był ubrany?

S. — Oczywiście. Był w jasnych spodniach, krótkim, czarnym okryciu i kapeluszu słomianym o szerokich skrzydłach.

Na znak prezesa wśród głuchego milczenia, przy którym można by dosłyszeć, jak pajak snuje swą delikatną tkaninę, woźni odkrywają stół, na którym złożono dowody rzeczowe.

Prezes — Czy ubranie widziane przez pana jest podobne do tego?

Pan de Claudieuse — Niewątpliwie jest to ubranie mojego mordercy.

P. — Więc pan go poznałeś?

S. — Pożar tak się już rozszerzył, że było widno jak w samo południe. Poznałem pana Jakuba de Boiscorana.

W obszernej sali posiedzeń sądowych nie było jednego słuchacza, któremu by się serce boleśnie nie ścisnęło na tę potępiającą odpowiedź.

Jednakże spodziewaliśmy się jej z taką pewnością, że badawczo wpatrywaliśmy się w oskarżonego.

Tymczasem ani jeden muskuł na jego twarzy nie drgnął, a jego obrońcy pozostali równie jak on sam w jakiejś martwej obojętności.

Prezes i prokurator, podobnie jak my, spoglądali badawczo na oskarżonego i jego obrońców. Czy spodziewali się jakiegoś zaprzeczenia, jakiejś odpowiedzi? Bardzo prawdopodobne.

Gdy się atoli nikt nie odezwał, prezes zwrócił się do świadka:

P. — Pana zeznanie jest bardzo ważne.

S. — Znam jego doniosłość.

P. — Różni się ono jednak zupełnie od pierwszego zeznania, złożonego przed sędzią śledczym.

S. — Rzeczywiście.

P. — Badany w kilka godzin po popełnieniu zbrodni, oświadczył pan, że nie znasz mordercy. Co więcej, gdy wymówiono nazwisko pana de Boiscorana, zdawałeś się pan być oburzony, że go śmiano podejrzewać, ręczyłeś prawie za jego niewinność.

S. — Wtedy nie mówiłem prawdy, wiedziony łatwo dającym się zrozumieć uczuciem litości chciałem uchronić od hańbiącego wyroku człowieka należącego do rodziny słusznie i powszechnie szanowanej.

P. — A teraz?

S. — Teraz wyznaję, że byłem w błędzie, że sprawiedliwości powinno się stać zadość. I dlatego to, dotknięty chorobą, która mnie zabije, bliski stawienia się przed Bogiem, przychodzę zeznać: pan de Boiscoran jest winowajcą, poznałem go.

Prezes (do oskarżonego) — Czy pan słyszy?

Oskarżony podniósł się:

O. — Na wszystko, co mam najświętszego i najdroższego na świecie przysięgam, że jestem niewinny. Pan hrabia de Claudieuse mówi, że wkrótce stanie przed Bogiem, ja odwołuję się do sprawiedliwości Boga...

Głośne łkanie stłumiło głos oskarżonego. Margrabina de Boiscoran upadła zemdlona; wynoszą ją bez życia, za nią wybiegają doktor Seignebos i panna de Chandore.

Oskarżony (do pana de Claudieuse'a) — Panie! To moja matka umiera!

Zaiste, ludzie, którzy spodziewali się silnych wrażeń, nie doznali zawodu. Wszystkie twarze zdradzają głębokie wzruszenie. Łzy błyszczą w oczach wszystkich kobiet.

A jednak przyjrząwszy się bacznie, jakim wzrokiem spoglądają na siebie pan de Claudieuse i pan de Boiscoran, nasuwa się mimo woli pytanie: czy rzeczywiście pomiędzy tymi dwoma ludźmi nie zachodzi coś więcej nad to, co wykryło badanie sądowe? Trudno jest nie zwrócić uwagi na dziwaczość ich odpowiedzi, trudno jest wytłumaczyć sobie uporczywe milczenie obrońców. Czy opuszczają swego klienta? Nie, ponieważ widzimy ich ściskających jego rękę, pocieszających go i podtrzymujących jego odwagę słowami serdecznej przyjaźni.

Niechaj nam wolno będzie wyznać, że prezes sądu i prokurator generalny zdawali się być przez chwilę jakby osłupieni.

Ale wkrótce potem prezes odezwał się znowu:

— Panie hrabio, przed paroma minutami pytałem oskarżonego, czy pomiędzy wami nie było jakiegoś powodu do zawziętej nienawiści.

Świadek głosem coraz słabszym:

— Nie wiem o żadnym innym, prócz procesu o spadek wody...

P. — Czy oskarżony groził panu kiedy swoją fuzją?

S. — Tak jest, lecz tej groźby nie brałem poważnie i z tego powodu nie zachowałem żadnej niechęci do niego.

P. — Czy pan podtrzymuje swoje zeznanie?

S. — Nie odwołuję go. I potwierdzam pod przysięgą, że poznałem nieomylnie pana Jakuba de Boiscorana.

Czas już był, żeby hrabia de Claudieuse skończył swoje zeznanie. Chwiał się bowiem na nogach, oczy mu zasłyły mgłą, głowa opadła na ramię i ażeby go usunąć z sali, trzeba było pomocy dwóch woźnych, którzy wspólnie z jego kamerdynerem prawie go wynieśli.

Czy teraz po nim nastąpi pani de Claudieuse?

Mniemaliśmy tak, a z nami cała publiczność. Lecz stało się inaczej. Zatrzymana przy łóżku najmłodszej córki, która dogorywa, hrabina nie będzie wcale przesłuchana i pisarz odczytuje tylko jej zeznanie.

Jakkolwiek bardzo rozrzewniające, zeznanie to nie podaje żadnego nowego faktu i nie wywrze żadnego wpływu na bieg procesu.

Potem wprowadzają świadka Ribota.

Jest to przystojny chłopak z Saintonge, prawdziwy wiejski kogut, w białym z różowym krawacie, z ciężkim, błyszczącym łańcuszkiem od zegarka na brzuchu.

Zdaje się być dumny ze swej roli i wodzi po publiczności wzrokiem, w którym maluje się wielkie zadowolenie z siebie. Utrzymuje, jakby wszystko wiedział i wszystko mógł wyjaśnić. Chętnie byłby zeznał, że oskarżony ujawnił mu swój zamiar morderstwa i podpalenia. Niemal wszystkie jego odpowiedzi publiczność przyjmowała głośnym śmiechem, co wywoływało nowe, surowe upomnienia ze strony przewodniczącego.

Świadek Gaudry, który po nim występuje, jest człowiekiem wynędzniałym, niepewnym i lęklwym, który kłania się ustawicznie i na wszystkie strony. Wydaje się, jakby

wszystkim zapomniał. Widać w nim obawę, żeby się komuś nie narazić. Wysławia pod niebiosy pana de Claudieuse'a, ale nie mniejsze pochwały oddaje i panu de Boiscoranowi. Podkreśla także swą cześć i uszanowanie dla zacnych sędziów, dla wszystkich panów

obecnych dam i co chwila kłania się całemu towarzystwu.

Zameżna Courtois, świadcząca po Gaudrym, widocznie chciałaby się schować pod ziemię i prezes tylko przy największej cierpliwości wydobywa z niej słówko po słówku treść jej zeznania, które zresztą jest prawie bez żadnego znaczenia.

Następnym świadkiem jest dozorca polowy z Brechy. Temu wiadome jest, że raz hrabia de Claudieuse, zatrzymawszy wodę strumienia, naraził pana de Boiscorana na stratę przeszło dwudziestu stożków najlepszego siana. Dodaje, że taki sąsiad mógł rzeczywiście zniecierpliwic oskarżonego.

Prokurator nie przeczy temu faktowi. Ale wiadome mu jest także, że pan de Claudieuse ofiarował poszkodowanemu równowartość poniesionej straty, którą pan de Boiscoran z obrażającą dumą odrzucił.

Oskarżony twierdzi, że nie przyjął wynagrodzenia za poradę swego pełnomocnika prawnego, a ubliżających wyrazów wcale nie powiedział.

Idzie potem sześć zeznań nie mających żadnego prawie znaczenia i lista świadków powołanych przeciwko oskarżonemu zostaje zamknięta.

Po nich występują świadkowie mający zeznawać na jego korzyść.

Pierwszym jest czcigodny pleban z Brechy. Potwierdza on w zupełności słowa oskarżonego. W dniu zbrodni był na obiedzie w zamku Bressan, służąca wyszła wieczorem na jego spotkanie i na probostwie nie było nikogo. Świadczy nadto, iż ten miał przyjść któregoś wieczoru dla dopełnienia obowiązków religijnych, jakie Kościół przepisuje przed przystąpieniem do związków małżeńskich. Zeznaje też, że zna Jakuba de Boiscorana od jego lat dzie-

cinnych jako najzacniejszego, najlepszego człowieka. Jego zdaniem nienawiść, o której tyle mówią, nigdy nie istniała i istnieć nie mogła. Zresztą on nie może wierzyć i nie uwierzyć/, że oskarżony jest winny.

Drugim świadkiem jest ksiądz obsługujący sąsiednią parafię. Zeznaje on, że pomiędzy dziewiątą a dziesiątą wieczorem znajdował się na drodze blisko rozstaja zwanego Starą Kuźnią. Noc była dosyć ciemna. Jest on postury plebana z Brechy; młoda wieśniaczka mogła więc łatwo wziąć jednego księdza za drugiego i mimo woli wprowadzić w błąd oskarżonego.

Po wysłuchaniu trzech innych świadków, gdy ani oskarżony, ani jego obrońcy nie znaleźli nic do dodania, oddano głos prokuratorowi generalnemu.

Wymowa pana du Lopt de la Gransiere'a zanadto jest sławna, ażebyśmy musieli niej pisać. Powiemy tylko, że tutaj przeszedł samego siebie, że mówiąc przeszło godzinę, całą publiczność miotaną najrozmaitszymi wzruszeniami trzymał jakby oczarowaną.

Rozpoczyna on swą mowę opisem majątności Valpinson, „tej uroczej, poetycznej siedziby, gdzie zachwycające drzewa lasu Rochepommier przeglądają się zalotnie w drżących kryształach strumienia”.

— Tu — mówi on — żyli hrabia i hrabina de Claudieuse. Hrabia, jeden z tych szlacheckich mężów minionych czasów, który nie znał innej czci jak honor, innej namiętności jak obowiązek, hrabina, jedna z tych niewiast, które są chwałą swojej płci, niezrównanym wzorem wszystkich cnót rodzinnych...

Niebo pobłogosławiło ich związek, dając im dwie córki, które oboje uwielbiali. Fortuna uśmiechała się do nich i sprzyjała ich rozumnej pracy. Szanowani, kochani, uwielbiani przez wszystkich, żyli szczęśliwie, mieli prawo liczyć jeszcze na najdłuższe lata pomyślności...

Ale nie, nienawiść przerwała ich szczęście.

Jednej nocy złowrogie światło pożaru budzi hrabiego. Wybiega z domu, rażony dwoma strzałami, pada nurzając się w krwi. Przestraszona hukiem strzałów wybiega znowu hrabina i potyka się o martwe ciało swego małżonka. Przejęta zgrozą, chwieje się

wreszcie upada bez przytomności.

Czy i niewinne dzieci mają zginąć? Nie, Opatrzność czuwa nad nimi. Ona to roznieciła światło rozumu w mózgu obłąkanego człowieka, który rzuciwszy się w kłęby dymu i płomieni, wyrwał dwa dziewczątka z ich kołyszek otoczonych już szerzącym się wkoło nich pożarem...

Rodzina ocalona, ale pożar wzrasta z całą wściekłością nie dającego się niczym poskromić żywiołu.

Na zwiastujący wielkie nieszczęście głos dzwonów wszyscy mieszkańcy okolicznych wsi spieszą z braterską pomocą.

Tymczasem coraz wyraźniejszy turkot zwiastuje zbliżających się strażaków. Przybywają nareszcie i robią wszystko, co w ich mocy.

Ale, Boże wielki! Cóż to za straszny krzyk trwogi odbija się o wasze uszy? To dach zamkowy zawala się, grzebiąc pod gorejącymi belkami dwóch najodważniejszych, pełnych poświęcenia ludzi. Tymi bohaterami są: Bolto, doboz, który w chwili wybuchu pożaru bęnił na alarm i Guillebault, ojciec pięciorga dzieci. Czy im pozwolą zginąć? Rzuca się jeden żandarm, a za nim dzierzawca. Bohaterstwo bezowocne! Nieubłagany żywioł nie odda nikomu raz pochwyconych przez siebie ofiar. Ich uratowało wielkie poświęcenie poczciwych włóścian. Wprawdzie wydobyto ich z płomieni jeszcze żyjących, ale okrytych tak strasznymi ranami, że ci szlachetni, odważni ludzie pozostaną do końca swego życia kalekami, zmuszonymi wyciągać ręce po skąpy dar jałmużny publicznej.

Dalej prokurator przedstawia w najczarniejszych kolorach klęski poniesione w Valpinson, przedstawia hrabinę de Claudieuse, klęczącą przy umierającym mężu a tłum wiejski ratujący rannych i wydobywający z płomieni zwęglone szczątki Boltona i Guillebaulta.

Nareszcie, podnosząc do najwyższego szczytu swój zapał retoryczny dodaje: „A podczas tego wszystkiego cóż robi sprawca tylu zbrodni i nieszczęść? „Zaspokoivszy swą zemstę, ucieka przez lasy, dostaje się do swego mieszkania. Nie czuje żadnych wyrzutów sumienia. Znalazłszy się w domu, je, pije, pali cygaro... Jest zupełnie spokojny... ale tak spokojny, że zapomina o najprostszej nawet ostrożności, że nie myśli o wylaniu wody, w której umył swoje ręce zaczerwione ogniem, z którego potem wywołał nieszczęsny pożar.

Zapomina o Opatrzności, której pochodnia w takich ważnych zdarzeniach przyświeca i przewodniczy sprawiedliwości ludzkiej.

W jaki sposób bez tego opatrnościowego pośrednictwa sprawiedliwość ośmieliłaby się szukać winowajcy w jednym z najbogatszych zamków tej okolicy?

I niechaj nikt się nie waży powiedzieć nam, że przeszłość Jakuba de Boiscorana może zasłonić go od strasznego oskarżenia, jakie na nim ciąży. Przeszłość tę my znamy doskonale.

Widzimy go płaczącego się żarliwie w stronniczych i występnych zapasach naszej burzliwej epoki, występującego przeciw wszystkiemu co jest święte i godne poszanowania, rozniecającego w innych najbrzydsze namiętności.

Pan Magloire — Jeżeli to jest proces polityczny, należało nas uprzedzić...

Prokurator — Nie idzie tu o politykę, ale o postępowanie człowieka, który był apostołem niezgody...

Pan Magloire — Czy pan sądzisz, że tutaj jako przedstawiciel władzy rządowej jesteś kaznodzieją zgody?

Prezes — Wzywam obrońcę, ażeby nie przerywał...

Prokurator — Iw tych to właśnie ambitnych zachciankach oskarżonego, szukać należy źródła tej dzikiej nienawiści, która go miała doprowadzić do zbrodni. Proces o spadek wody jest tu tylko kwestią podrzędną. Jakub de Boiscoran przysposabiał się na kandydata do przyszłych wyborów...

Oskarżony — Nigdy o tym nie myślałem!

Prokurator (nie zważając na powyższe słowa):

— Nie mówił on o tym; lecz jego przyjaciele mówili za niego i zabiegali na wszystkie strony głosząc, że przez swój majątek i przekonania polityczne jest człowiekiem, na którego republikanie powinni głosować. I rzeczywiście, byłoby mu się powiodło, gdyby pomiędzy nim a celem jego ambitnych dążeń nie stanął był człowiek taki jak hrabia de Claudieuse, którego wpływ już wielu innych upokorzył...

Pan Magloire (z pewnym oburzeniem) — Czy to przymówka do mnie?

Prokurator — Ja nie wymieniam osób.

Pan Magloire — Dlaczegoż nie powie otwarcie, że ja i moi przyjaciele jesteśmy współnikami pana de Boiscorana i że to my właśnie nasadziliśmy go na pozbycie się naszego politycznego przeciwnika?

Prokurator (pomijając i ten zarzut)—Panowie, oto jest prawdziwa przyczyna zbrodni. Z niej powstała ta nienawiść, której oskarżony wcale nie ukrywał, jak tego dowiodły zeznania świadków.

Następnie prokurator przechodzi do objaśnienia dowodów obwiniających, które uznaje za niezbite i dodaje:

— Ale czyliż potrzebujemy jeszcze analizować złożone nam dowody i zeznania po stanowczym zeznaniu hrabiego de Claudieuse'a? Słyszeliście je! Wszak to były słowa człowieka, który dotknięty zbrodniczą ręką może dzisiaj, może jutro stanie przed trybunałem najwyższym!

Czy po tym wszystkim będziecie się jeszcze panowie wahali ukarać winowajcę? Nie, ja jemu nie mogę wierzyć. Po tylu zbrodniach sprawiedliwość domaga się zadośćuczynienia! Żądamy więc sprawiedliwości w imieniu umierającego hrabiego de Claudieusea! Sprawiedliwości w imieniu zmarłych! Sprawiedliwości w imieniu matki Boltona, w imieniu wdowy Guillebaulta i jej pięciorga dzieci!

Szmer powszechnego uznania daje się długo słyszeć w sali po tych ostatnich słowach prokuratora. Nie ma wśród publiczności jednej kobiety, której by oczy nie były zamglone łzami.

Prezes — Dajemy głos obrońcy.

Ponieważ dotąd tylko pan Magloire brał udział w dyskusjach, myślano więc, że to on wystąpi z obroną. Omylono się, gdyż nie on, lecz pan Folgat się podniósł.

Pałac Sprawiedliwości w Sauveterre w wielu już uroczystych chwilach słyszał słowa wszystkich prawie mistrzów wymowy. Ale nawet po tych znakomitych mówcach pan Folgat znalazł jeszcze środki zdumienia nas i wywołania głębokiego wzruszenia.

Mimo najszczerzej chęci nie zdołamy opisać jego wspaniałej postawy jaśniejącej dumą i pogardą zarazem, jego ruchów pełnych godności, a szczególnie jego głosu, którego metaliczny dźwięk odbijał się we wszystkich piersiach.

— Bronić pewnych ludzi przeciwko pewnym zarzutom — mówił on — byłoby dla nich poniżeniem. Takich ludzi nic nie zdoła dotknąć. Przeciwko portretowi pana de Boiscorana

nakreślonego przez prokuratora generalnego postawię tylko proste słowa czcigodnego plebana z Brechy. Cóż on wam powiedział? „Pan de Boiscoran jest najlepszym, najzaciejszym człowiekiem”. Oto jest najświętsza prawda. Usiłują zrobić z niego jakiegoś dumnego intryganta. Rzeczywiście celem jego dumy było stać się użytecznym swemu krajowi. Kiedy inni rozprawiali, on działał. Tutejsza gwardia powie wam, z jakimi to on namiętnościami występował przeciwko nieprzyjacielowi i przez jakie intrygi zdobył tę wstążkę honorową, którą generał Chanzy przypiął na jego piersiach. On pragnął władzy, mówicie... nie, on dążył do szczęścia. Wspominacie o liście, jaki napisał do swej narzeczonej na kilka godzin przed zbrodnią. Przeczytajcie go tylko... ma on cztery stronnice, od drugiej będziecie już zmuszeni odstąpić od waszego oskarżenia.

Potem z nieugiętą logiką młody adwokat chwyta się systemu samego oskarżonego i pod pociskami jego świetnej wymowy całe oskarżenie zdaje się rozpadać w proch, całe zgromadzenie zdaje się być oczarowane, olśnione.

A teraz — mówi on dalej — cóż pozostanie z owych dowodów? Zeznanie pana de Claudieuse'a. Mówicie, że ono jest stanowcze, niezbita. Ja powiadam, że ono jest dziwaczne. Jak to! Świadek, który czeka do ostatniej godziny, ostatniej minuty, ażeby złożyć swoje zeznanie? I to zdaje wam się być naturalne! Utrzymujecie, że on przez wspaniałomyślność milczał. Ja was pytam, czy nie tak by postąpił nasz najgorszy wróg?

Nigdy sprawa nie była jaśniejsza, mówi prokurator. Ja, przeciwnie, utrzymuję, że nie było sprawy ciemniejszej i że śledztwo zamiast odsłonić jej tajemnicę, nic a nic nie wykryło...

Pan Folgat siadł na swym miejscu, a długie, rześiste oklaski rozległy się w całej sali posiedzeń. Gdyby w tej chwili przystąpiono do głosowania, pan de Boiscoran byłby pewnie uniewinniony.

Lecz posiedzenie zostało na kwadrans zawieszona. Korzystano z tej sposobności, by z powodu zbliżającej się nocy pozapalać lampy.

Po przerwie prezes daje głos prokuratorowi, który przemawia w ten sposób:

— Zrzekam się odpowiedzi, z jaką zamierzałem wystąpić. Hrabia de Claudieuse za chwilę podobno przypłaci życiem ten wysiłek, jaki uczynił, by wam złożyć swoje świadectwo. Nie zdołano przewieźć go do domu. Być może, iż kiedy to mówię, on już oddaje ostatnie tchnienie.

Obrońcy nie zażądali już głosu, a gdy oskarżony oświadczył, że nie ma nic do powiedzenia, przewodniczący streszcza ostatecznie wszystkie fakty i przysięgli udają się do sali obrad.

Gorąco jest nieznośne, na wszystkich twarzach maluje się straszne znużenie, a mimo to nikt nie myśli o powrocie do domu. Najrozmaitsze zdania i wieści krążą pomiędzy tym tłumem miotanym trwogą i niepokojem. Jedni mówią, że hrabia de Claudieuse już umarł, inni przeciwnie, że jest mu lepiej i że wezwał do siebie proboszcza z Brechy.

Nareszcie w kilka minut po dziewiątej przysięgli wracają do sali posiedzeń.

Uznany winnym z dopuszczeniem okoliczności łagodzących Jakub de Boiscoran został skazany na dwadzieścia lat ciężkich robót.

CZEŚĆ CZWARTA

GOCOLEU

Tak więc pan Galpin-Daveline zwyciężył, a pan du Lopt de la Gransiere miał wszelkie prawo być dumny ze swojej wymowy. Jakub de Boiscoran uznany został za winnego.

Ale on z czołem dumnie podniesionym, ze wzrokiem pewnym i śmiałym wysłuchał strasznego wyroku, jaki mu ogłosił prezydujący pan Domini; był stokroć odważniejszy od człowieka skazanego na śmierć, który wobec plutonu egzekucyjnego nie pozwala sobie zawiązać oczu i sam daje hasło swej śmierci.

Jeszcze rano, krótko przed otwarciem posiedzenia, mówił on do panny de Chandore:

— Wiem, co mnie czeka. Ale jestem niewinny. Nikt mnie nie ujrzy ani bladym, ani proszącym o łaskę.

I rzeczywiście skupiwszy całą energię, na jaką tylko dusza ludzka zdobyć się może, dotrzymał słowa.

Pochyliwszy się tylko ku swoim obrońcom, w chwili kiedy ostatnie słowa przewodniczącego zagłuszał nagły gwar publiczności, rzekł do nich cichym głosem:

— Czyliż wam nie mówiłem, że przyjdzie dzień, w którym wy pierwsi podacie mi broń do ręki!

Pan Folgat powstał z miejsca.

Nie było w nim widać ani gniewu, ani zniechęcenia, jakie zwykle się dostrzec daje w adwokacie, przegrywającym sprawę, o której słuszności jest przekonany.

— Ale ten dzień jeszcze nie nadszedł — odpowiedział uroczyście. — Pamiętaj o twej przysiędze. Dopóki pozostanie jedna isierka nadziei, będziemy walczyli. A dzisiaj mamy jeszcze więcej niż samą nadzieję. Może jutro będziemy się mogli zemścić...

Nieszczęśliwy poruszył tylko głową na znak zwątpienia, mówiąc:

— Nie zmyje to jednak hańby, jaką mnie okryto.

I odpiąwszy wstążkę Legii Honorowej podał ją panu Folgatowi.

— Zachowaj ją jako pamiątkę po mnie, jeżeli nie odzyskam prawa do jej noszenia.

Ale żandarmi pilnujący oskarżonego podnieśli się już z ławki.

— Trzeba iść, panie — rzekł do Jakuba brygadier. — Chodźmy. Do licha, nie rozpaczaj pan i nie trać odwagi. Wszakże to jeszcze nie koniec... Masz pan przed sobą apelację, odwołanie się do łaski, nie licząc tego, co jeszcze może zająć i co trudno przewidzieć.

Pan Folgat mógł jeszcze towarzyszyć swemu klientowi i właśnie zabierał się pójść za nim, ale ten zatrzymał go, mówiąc smutnym głosem:

— Zostaw mnie samego, mój przyjacielu. Są inni, którzy potrzebują twojej pociechy. Dioniza, moja biedna matka, mój ojciec... Pójdź do nich. Powiedz im, że pamięć o nich czyni mi strasznym ten niesprawiedliwy wyrok. Niechaj mi przebaczą smutek, jaki im sprawiłem, wstyd, że jestem ich synem, narzeczonym...

Potem ściskając ręce swych obrońców, dodał:

— A wam, moi przyjaciele, jak zdołam wyrazić całą moją wdzięczność? Gdyby do mego ocalenia nie było potrzeba nic więcej prócz wielkiego talentu i szlachetnego poświęcenia, byłbym wolny, a tymczasem...

I wskazując wąskie drzwiczki, którymi go miano wyprowadzić, dodał z goryczą:

— To brama do galer! Teraz...

Nie mógł powiedzieć nic więcej; stłumione łkanie przerwało mu mowę. Siły jego już się wyczerpały. I odsunawszy rękę, którą mu podał brygadier, wybiegł spiesznie z sali posiedzeń.

Pan Magloire był niepocieszony.

— I nie móc go ocalić!—rzekł do swego młodego towarzysza. — Niechaj mi teraz kto mówi o sile przekonania. Ale chodźmy już stąd.

Weszli szybko w rozchodzący się tłum, wzburzony jeszcze wrażeniami tego nieszczęsnego dnia.

Dziwny, nielogiczny, a jednak często powtarzający się w podobnych okolicznościach zwrot zaczął się już objawiać w opinii publicznej.

Dopóki Jakub był oskarżony, był przedmiotem powszechnego oburzenia i wzgardy. Jako skazany, zjednał sobie współczucie wszystkich. Zdawałoby się, że fatalny wyrok stał z niego sromotną plamę zbrodni. Żałowano go, litowano się nad jego losem, a ubolewając nad jego rodziną, matką, narzeczoną, powstawano na surowość sędziów.

Ale też ludzie nawet najmniej doświadczeni zauważyli szczególny bieg tej sprawy. Nie było prawie jednego człowieka, który by nie dopatrywał w niej pewnej tajemniczej strony, której tak oskarżyciele, jak i obrońcy najstaranniej unikali. Dlaczegoż to pobieżnie tylko, jakby od niechcienia wspomniano o Cocoleum?

Był on idiotą, prawda, ależ i to jest prawda, że tylko jego jedyne zeznanie wprowadziło sprawiedliwość na ślad pana de Boiscorana. Czemuż więc nie powoływali się na niego ani prokurator, ani adwokaci? — ^

Zeznanie pana de Claudieuse'a, które zdawało się być tak stanowcze w danej chwili, było teraz surowo roztrząsane.

Najpobłażliwsi mówili:

— Złe jest to, co on zrobił. To jakiś podstęp. Dlaczego wcześniej nie mówił? Nie czeka się na zgubę człowieka, ażeby wtedy dopiero nań uderzyć!

Na co inni odpowiadali:

— Czy zauważyliście, jakim wzrokiem patrzyli na siebie hrabia i pan de Boiscoran? Słyszeliście słowa, jakimi do siebie przemawiali? Przysiąc by można, że pomiędzy nimi szło zupełnie o co innego, nie o dawny proces.

A ze wszystkich stron powtarzano:

— Pan Folgat miał słuszość, ta sprawa nie jest wcale jasna. Przysięgli wahali się, byli w niepewności. Być może, że Boiscoran byłby uwolniony, gdyby w ostatniej chwili nie był przyszedł pan de la Gransiere z wiadomością, że hrabia Claudieuse umiera w przyległej sali.

Panowie Magloire i Folgat przyjmowali z żywą radością takie opinie.

— Teraz — szeptał pan Magloire do ucha swego młodego towarzysza — bądź zupełnie spokojny. Znam nasze Sauveterre... Opinia jest za nami.

Rozpychając łokciami cisnący się tłum, zbliżali się już do wyjścia z sali posiedzeń, kiedy woźny ich zatrzymał, mówiąc:

— Panowie, czekają na was...

— Kto?

— Krewni skazanego. Biedni ludzie! Znajdują się wszyscy w gabinecie pana Mechineta, który pan Daubigeon kazał nam oddać do ich dyspozycji. Zaniesiono tam nawet panią margabinę de Boiscoran, kiedy zemdląła na posiedzeniu...

Zaprowadził ich aż na koniec sali, po czym otworzył boczne drzwi i wpuszczając ich przed sobą dodał:

— Tutaj, proszę panów.

Na wielkim krześle z przymkniętymi oczyma i na pół otwartymi ustami spoczywała matka Jakuba. Obok fotela stali pan de Chandore i margrabia de Boiscoran, wpatrując się w nią martwym wzrokiem. Wyglądali jakby piorunem rażeni; od chwili, w której usłyszeli wyrok, nie przemówili jeszcze jednego słowa.

Jedna tylko Dioniza zachowała zdolność myślenia i przytomność. Lecz twarz miała rozognioną, jej oczy błyszczały ogniem gorączki, drżała na całym ciele.

Ujrzawszy obrońców, zawołała:

— Oto sprawiedliwość ludzka! — A gdy milczeli, mówiła dalej:

— Więc Jakub jest skazany na galery, to jest w imieniu sprawiedliwości zhańbiony, splamiony, zgubiony, wykreślony na zawsze z liczby ludzi honoru. On jest niewinny, ale mniejsza o to, jego najlepsi przyjaciele wyprą się go teraz, odwrócą się od niego.

— Pojmuję aż nadto pani ból — odezwał się pan Magloire.

— Ból jest mniejszy od mego gniewu! — przerwała mu. — Jakub musi być pomszczony i będzie. Mam dopiero dwadzieścia lat, on nie ma jeszcze trzydziestu; mamy więc całe długie życie przed sobą, aby je poświęcić na jego uniewinnienie i rehabilitację. Bo ja go nie opuszczę... nie! Jego niezasłużone nieszczęście czyni mi go droższym. Dziś rano byłam jego narzeczoną, teraz jestem jego małżonką. Ten wyrok stał się naszym ślubem. I jeżeli to prawda, jak mówi mój dziadek, że prawo zabrania galernikowi zaślubić kobietę, którą on kocha, to dobrze, ja... zostanę jego kochanką.

Dioniza wypowiedziała to donośnym głosem, dodając, że pragnęłaby i byłaby dumna, ażeby ją słyszał cały świat.

— Ach! — rzekł Folgat. — Pozwól mi pani na kilka słów. Położenie nie jest takie, jak pani sądzi. Wyrok nie jest jeszcze ostateczny.

Margrabia de Boiscoran i sędziwy pan de Chandore zbliżyli się nagle do niego.

— Co pan mówisz?

— Proste zapomnienie się sędziego Galpin-Daveline'a unieważniło całą procedurę w tej sprawie. Jakim sposobem nikt nie zwrócił na to uwagi? Pewnie sam los zgotował nam taki odwet. Rzeczą ta nie podlega najmniejszej wątpliwości. Idzie tu o pewne uchybienie formalne, a przepisy prawa są wyraźne. Wyrok zostanie unieważniony i odeślą nas do innych sędziów.

— A pan nam tego nie powiedziałeś! — zawołała Dioniza.

— Bośmy sami zaledwie mogli myśleć o tym — odpowiedział pan Magloire. — Była to jedna z tych tajemnic, których się nikomu nie powierza. Pomyśl pani, że w ciągu posiedzenia ten błąd mógł być jeszcze naprawiony. Teraz już jest za późno. Mamy jeszcze wiele czasu przed sobą, a postępek hrabiego de Claudieuse'a rozwiązuje nam ręce. Teraz odkryjemy wszystko, zedrzymy tę ciemną zasłonę...

Nagle otwarcie drzwi przerwało mu dalszą mowę. Wpadł do pokoju doktor Seignebois, cały zaczerwieniony z gniewu i z iskrzącymi się pod złotymi okularami oczyma.

— Jak hrabia de Claudieuse? — zapytał niespokojnie pan Folgat.

— Leży tu obok — odpowiedział doktor. — Złożono go na materacu i jego żona znajduje się przy nim. Jakież to przekłete rzemiosło lekarza! Oto mamy człowieka, nędznika, którego bym z radością udusił własnymi rękoma; tymczasem musiałem go ratować, krzątać się koło niego, szukać środków złagodzenia jego cierpień...

— Więc jest mu lepiej?

— Jeżeli się nie mylę, to w ciągu dwudziestu czterech godzin wyniosą go nieżywego z Pałacu Sprawiedliwości. Oznajmiłem to jego żonie mówiąc, że jeżeli chce, ażeby jej mąż przed śmiercią porachował się z Bogiem, powinna natychmiast posłać po księdza...

— I posłała?

— Bynajmniej. Odpowiedziała mi, że widok sutanny przeraziłby jej męża i przyspieszył jego śmierć. Dlatego też, gdy pleban z Brechy, przybywszy z własnego natchnienia, chciał odwiedzić chorego, ona go bardzo niegrzecznie odprawiła...

— Nędznica! — zawołała panna Dioniza.

Po chwili jednak namysłu dodała:

— Jest jeszcze ratunek... tak, ratunek niezawodny... Nie można się wahać! Zaczekajcie na mnie. Niedługo wrócę...

Wybiegła szybko z pokoju. Dziadek rzucił się za nią, lecz pan Folgat zatrzymał go, mówiąc:

— Pozwól jej pan, panie baronie, pozwól.

Wybiła godzina dziesiąta. Pałac Sprawiedliwości tak ożywiony przez cały dzień, był milczący i ponury. W ogromnej sali, oświetlonej zaledwie jedną kopcącą lampą, pozostało tylko dwóch ludzi: ksiądz, pleban z Brechy, modlący się na kolanach przy bocznych drzwiach i woźny, który się przechadzał po sali i którego powolne kroki odbijały się głuchym echem jakby w kościele.

Panna Dioniza zwróciła się do woźnego.

— Gdzie jest hrabia de Claudieuse? — zapytała go żywo.

— Tam, pani — odpowiedział woźny, wskazując jej drzwi, przed którymi klęczał kapłan — tam, w gabinecie pana prokuratora.

— Kto jest przy nim?

— Jego żona i jedna służąca...

— Dobrze! Proszę udać się do pani de Claudieuse i tak, żeby jej mąż nie słyszał, powiedzieć jej, że panna de Chandore pragnie z nią mówić...

Nie odpowiedziawszy ani słowa, woźny poszedł spełnić to polecenie, lecz wróciwszy za chwilę, oznajmił jej:

— Hrabina kazała oświadczyć pani, że nie może opuścić swego męża, który prawie dogorywa...

Dioniza przerwała mu rozkazującym gestem, mówiąc:

— Dostyc! Wróć pan powiedzieć pani de Claudieuse, że jeżeli nie przyjdzie do mnie, ja wejdę natychmiast, wejdę przemocą, jeżeli będzie potrzeba, będę wołać o pomoc i nic mnie nie powstrzyma. Muszę ją koniecznie zobaczyć.

— Jednakże, pani...

— Proszę iść! Czy pan nie widzi, że to jest kwestia życia lub śmierci?

W jej głosie było tyle siły i stanowczości, że woźny nie wahał się dłużej. Wyszedł więc powtórnie, a w chwilę potem powrócił i powiedział:

— Wejdz, pani.

Weszła i znalazła się w sali poprzedzającej gabinet prokuratora. Wielka miedziana lampa oświetlała ją skąpo. Drzwi prowadzące do gabinetu, w którym leżał hrabia, były zamknięte.

Na środku sali stała hrabina de Claudieuse.

Tyle ciosów, jakie na nią w ciągu krótkiego czasu spadło, nie zdołało złamać tej energicznej duszy. Była niezmiernie blada lecz spokojna.

— Ponieważ pani domagasz się tak natarczywie — odezwała się pierwsza — przychodzę więc sama powtórzyć jej, że nie mogę pani wysłuchać. Czy pani nie wie, że stoję pomiędzy dwoma otwartymi grobami, pomiędzy moją córką, która umiera w domu i moim mężem, który tutaj kona?

Uczyniła ruch, jakby chciała odejść, lecz panna de Chandore zatrzymała ją jednym groźnym skinieniem i rzekła do niej drżącym głosem:

— Jeżeli pani wrócisz do pokoju, gdzie się znajduje twój mąż, wejdę tam za tobą i w jego obecności powiem wszystko. Zapytam ciebie, dlaczego zabroniłaś księdzu przystępu do jego śmiertelnego łoża i dlaczego zniweczywszy jego szczęście na tym świecie, pragniesz jeszcze odebrać mi je w wieczności!

Hrabina cofnęła się o parę kroków.

— Nie rozumiem pani! — odparła spokojnie.

— O, rozumiesz mnie pani. Po co tu zaprzeczać? Czy pani nie widzisz, że ja wiem o wszystkim, że odgadłam nawet to, czego mi nie powiedziano!... Jakub był pani kochankiem, a twój mąż zemścił się na nim...

— Tego już zanadto! — zawołała hrabina. — Tego zanadto!

— I pani to zniósłaś — mówiła dalej dziewczyna urywanym głosem — i pani nie przyszłaś wyznać przed sędziami, że twój mąż był fałszywym świadkiem! Jakaż pani jesteś kobietą! Więc to ciebie nic nie obchodzi, że twoja miłość zawiedzie niewinnego człowieka aż na galery! I pani będziesz mogła żyć dalej z tą myślą, że człowiek, którego kochasz, jest zhańbiony na zawsze i przykuty do najpodlejszych zbrodniarzy! Pani wiesz, że kapłan wyjednałby od twego męża odwołanie jego haniebnego zeznania, ale dlatego właśnie nie dopuszczasz do niego plebana z Brechy. I po cóż tyle zbrodni? Dla ocalenia twojej kłamliwej reputacji uczciwej kobiety? Ach, to podłość, nیکczemność, to...

Nareszcie hrabina oburzyła się. Czego nie zdołała uzyskać cała zręczność pana Folgata, to wy dobyła z niej miłość Dionizy. I zrzucając maskę, którą dotąd osłaniała swoje czyny, zawołała gwałtownie:

— Otóż nie! Ja nie dla ocalenia mojej reputacji pozwalałam na wszystko, co się stało. Co dla mnie znaczy ta reputacja? Nie ma jeszcze tygodnia, kiedy Jakub z więzienia przybył do mnie, a ja pragnęłam nakłonić go do ucieczki.

Wystarczyło tylko jedno jego słowo, a dla niego byłabym opuściła ojczyznę, rodzinę, dzieci, wszystko. Odpowiedział mi: „Wolę galery!”.

Wśród tylu gwałtownych wzruszeń nieopisana radość nappełniła serce Dionizy. W tej chwili nie wątpiła już w miłość Jakuba.

— Więc — mówiła dalej pani de Claudieuse — on sam wydał na siebie wyrok. Ja chciałam się zgubić dla niego... ale nie dla innej.

— A tą inną jestem ja... prawda?

— Tak... pani, dla której mnie porzucił, pani, którą miał zaślubić, pani, z którą sobie planował długie lata szczęścia, szczęścia prawego i szanowanego wśród ludzi...

Łzy załśniły w oczach panny de Chandore. Ona była kochana. Ona czuła, co musiała cierpieć tamta, która kochana już nie była...

— Jednakże ja byłabym szlachetniejsza — odparła z cicha.

Hrabina parsknęła śmiechem.

— A dowodem na to jest — rzekła Dioniza — że przychodzę do pani z pewnym układem...

— Układy...

— Tak. Ocal pani Jakuba, a przysięgam na wszystko, co mi jest najświętsze, że wstąpię do klasztoru, zniknę ze świata i nigdy nie usłyszysz pani o mnie jednego słowa.

Hrabina de Claudieuse z nie dającym się opisać zdumieniem patrzyła na piękną twarz Dionizy. Takie poświęcenie zdawało jej się być zbyt wzniosłe, żeby nie kryło w sobie jakiejś zasadzki.

— Pani uczyniłabyś to rzeczywiście? — zapytała nareszcie.

— Bez żadnego wahania.

— Byłaby to wielka ofiara dla mnie.

— Dla pani, bynajmniej! Dla Jakuba.

— Więc pani go bardzo kochasz!

— Kocham tak, że gdyby mi przyszło wybierać, wolę tysiąc razy jego szczęście niż moje własne. Zagrzebana w murach klasztornych będę miała przynajmniej tę pociechę, iż sobie powiem, że mnie zawdzięcza swoją rehabilitację i mniej będę cierpieć, widząc go przy boku innej kobiety, niż myśląc, że niewinnie jest skazany na hańbiącą karę!

W miarę jak Dioniza mówiła, brwi hrabiny marszczyły się coraz pochmurniej i przelotny rumieniec wystąpił na jej blade policzki.

W końcu odezwała się z dumnym szyderstwem:

— To bardzo wzniosłe!

— Pani!

— Zgadzasz się pani łaskawie na odstąpienie mi pana de Boiscorana. Czy on mnie dla tego będzie kochać? Wiesz o tym, że nie i że kocha tylko ciebie.

Heroizm w takich okolicznościach jest łatwy. Czego się pani masz lękać? Zamkniętą w klasztorze on będzie kochał tym goręcej, a mnie będzie tym bardziej nienawidził.

— On się nie dowie o naszym układzie...

— I cóż to znaczy! On się domyśli, jeżeli mu pani nie powiesz... Daj pani spokój; ja znam moją przeszłość. Już dwa lata cierpię widząc, że on stopniowo odsuwa się ode mnie. Czego nie próbowałam, aby go zatrzymać! Ile podstępów, ile podłości popełniłam, by go mieć jeden dzień, jedną godzinę dłużej. Wszystko na próżno. Stawałam się dla niego ciężarem. On mnie już nie kochał, a moja miłość zdawała mu się być nieznośniejsza niż ta kula, którą jutro przykują do jego galerniczego łańcucha.

Dioniza zadrżała.

— To okropne! — jęknęła stłumionym głosem.

— Okropne, tak jest. Zdajesz się pani być zmieszana? Bo jesteś jeszcze w samym zaraniu uśmiechającej się do ciebie miłości. Poczekaj jej smutnego wieczora, a wtedy mnie zrozumiesz. Czy historia nas wszystkich nie jest do siebie podobna? Widziałam Jakuba u moich kolan, jak pani go widzisz u swoich; przysięgi, jakie tobie składa, składał i mnie drżącym głosem namiętności i z takimi samymi płomiennymi oczyma... Ale pomyśl pani, ja byłam jego kochanką, ty jesteś jego narzeczoną. Cóż on ci teraz mówi?.. Że cię będzie wiecznie kochać, ponieważ wasza miłość jest taka, jaką Bóg i ludzie uznają. Do mnie zaś mówił, że ponieważ stawialiśmy się wyżej nad opinię i prawo, złączeni będziemy węzłem silniejszym niż wszystko! Pani mu wierzy? I ja-wierzyłam... A dowodem tego jest, że oddałam mu wszystko; własny honor, honor mojej rodziny, że chciałam mu oddać jeszcze więcej, by go tylko przekonać, że należałam wyłącznie do niego. A po tym wszystkim być zdradzoną, opuszczoną, wzgardzoną, upaść tak nisko, by się stać przedmiotem twojej litości! Upaść tak strasznie, żebyś śmiała przyjść do mnie z propozycją odstąpienia mi Jakuba! O, to można oszaleć! I ja miałabym się wyrzec zemsty, którą już trzymam w ręku! I ja byłabym na tyle głupia, niczemna, podła, aby się dać wzruszyć twymi udanymi łzami! Ja miałabym zapewnić wam szczęście, kosztem mego dobrego imienia! Ach, nie spodziewaj się pani tego!

Głos jej zachrypnął. Przebiegła kilkanaście kroków po sali; po czym odwróciła się nagle i stanąwszy tuż przed panną de Chandore zapytała:

— Kto pani doradził ten krok, który jest dla mnie straszną zniewagą?

— Nikt — odpowiedziała trwożliwie.

— Pan Folgat?

— Nie wie o niczym.

— Więc Jakub?

— Nie widziałam się z nim. Myśl ta przyszła mi w tej chwili, niespodzianie, jakby natchnienie z nieba. Dowiedziawszy się od doktora Seignebosa, żeś pani odprawiła księdza, powiedziałam sobie: Oto ostatnie nieszczęście i najcięższe ze wszystkich... Jeżeli pan de

Claudieuse umrze nie odwoławszy swego zeznania, cokolwiek by zaszło, chociażby Jakub został uniewinniony, zawsze będzie na nim ciążyć jakieś podejrzenie. Postanowiłam więc udać się do pani. Kosztowało mnie to strasznie... Lecz miałam nadzieję, że zdołam panią wzruszyć, że pani docenisz wielkość ofiary...

Hrabina była rzeczywiście wzruszona. W złym równie jak w dobrym, nie ma duszy bezwarunkowo nieugiętej. Błagalny głos i słowa Dionizy zachwiały jej postanowienie...

— Czy ofiara byłaby rzeczywiście tak wielka? — rzekła po chwili namysłu.

Rzęsiste łzy trysnęły z oczu dziewczyny.

— Niestety! — odpowiedziała. — Z nią oddaję moje życie. Czuję, że pani niezbyt długo będziesz o mnie zazdrosna.

Głuchy jęk dochodzący z pokoju, w którym dogorywał hrabia de Claudieuse przerwał Dionizie.

Hrabina uchyliła drzwi. — Zaraz idę mój przyjacielu — powiedziała. I przymknąwszy drzwi, wróciła do panny de Chandore, mówiąc głosem urywanym, ale stanowczym:

— Któż mi zaręczy, że jeżeli Jakub zostanie uniewinniony i zrehabilitowany, pani dotrzyma swoich obietnic?

— Ach, pani — zawołała Dioniza — na cóż ci mam przysiąc, że ja zniknę ze świata?.. Wynaleźć potrzebne ci rękojmie... Wszystkie, jakich tylko zażadasz, dam ci bezwarunkowo...

I rzuciwszy się na kolana, mówiła dalej:

— Widzisz mnie pani u swoich stóp, widzisz mnie błagającą, upokorzoną, mnie, którą oskarżasz o chęć znieważania ciebie. Ulituj się nad Jakubem. Mój Boże! Gdybyś go pani tak kochała jak ja, nie wahałabyś się jednej chwili!

Pani de Claudieuse szybko podniósłszy łkającą dziewczynę, zatrzymała przez chwilę jej ręce w swych dłoniach. W głębokim milczeniu, z oczami zamglonymi łzami patrzyła na jej piękne rysy. Nareszcie, odsuwając ją lekko od siebie zapytała głosem tak głęboko wzruszonym, że go zaledwie można było dosłyszeć:

— Więc cóż mam uczynić?

— Wyjednać u pana de Claudieuse'a, ażeby odwołał swoje zeznanie.

Hrabina poruszyła głową przecząco.

— Daremnie bym tego próbowała — odparła spokojnie. — Pani nie znasz hrabiego. To człowiek żelaznej woli, on nie cofnie jednego słowa. Nie wyobrażasz sobie pani, jakie były jego cierpienia, jaka żądza zemsty i wściekłość ogarnęły jego duszę. Przed kilku dopiero minutami mówił mi, że umiera zadowolony, bo/-wskutek jego zeznania Jakub został skazany na hańbiącą karę...

Ta kobieta została pokonana, siła jej woli osłabła, łzy płynęły z jej oczu.

— Doznał strasznego zawodu! — mówiła dalej. — Kochał mnie aż do uwielbienia; mnie tylko jedną kochał na świecie, a ja... występna żona, złamałam wiarę małżeńską! Ach, gdyby można wiedzieć, przewidzieć! Nie, ja nie wyjednam u niego tego odwołania.

Wobec takiej boleści, Dioniza zapomniała niemal o swojej własnej.

— Dlatego też nie pani postara się to uzyskać — rzekła słodkim błagającym głosem.

— Więc któż?

— Pleban z Brechy. On znajdzie słowa, które zdołają zmienić najsilniejsze postanowienie. Przemówi do hrabiego w imię tego Boga, który umierając na krzyżu przebaczył miłośniernie swoim katom.

Hrabina wahała się jeszcze jakąś chwilę; nareszcie, pokonawszy ostatnie podszepty swej dumy, rzekła:

— Dobrze! Przywołam księdza...

— A ja — dodała Dioniza — przysięgam pani, że spełnię moje zobowiązanie...

Lecz hrabina przerwała jej dalsze słowa i z wielkim wysiłkiem powiedziała:

— Nie, będę próbować ocalić Jakuba bez żadnych warunków z mej strony. Oddaję go tobie... Ty, kochana, chciałaś mu poświęcić swoje życie; ja, wzgardzona, poświęcam mu mój honor! Bądź zdrowa!

I pobiegłszy do drzwi, przywołała plebana. Dioniza wróciła tymczasem do swoich przyjaciół.

Nazajutrz, około dziewiątej rano prokurator, pan Daubigeon, dowiedział się od swego pomocnika o wszystkim, co się działo, jak również o uchybieniu formom procedury prawnej, wskutek czego wyrok skazujący Jakuba de Boiscorana podlegał unieważnieniu.

Obrońcy wnieśli już także do sądu swój memoriał, na którego zredagowaniu spędzili większą część nocy.

Prokurator nie taił już wcale swego zadowolenia.

— Otóż to — zawołał — teraz opadną trochę skrzydełka temu poczciwemu Daveline'owi.

Po czym, ubrawszy się spiesznie, pobiegł do pana Daveline'a, ażeby, jak mówił do swego pomocnika, dowiedzieć się o wszystkich szczegółach, rzeczywiście zaś, ażeby się ucieścić widokiem zafrasowanego pana sędziego.

Znalazł go w rozpaczy i takim gniewie, że sobie wrywał włosy z głowy.

— Jestem człowiek zhańbiony — powtarzał co chwila — zgubiony na zawsze; już przepadła moja przyszłość! Nigdy... nigdy mi nie przebaczą takiego głupstwa!

Pan Daubigeon zdawał się być bardzo zmartwiony.

— Więc — rzekł udając głębokie współczucie i politowanie — prawdą jest, co mi powiedziano, to pan popełniłeś takie uchybienie formom procedury.

— Ja sam! Zapomniałem o rzeczach, które są doskonale znane studentowi. Czy pan to pojmuje? I pomyśleć tylko, że nikt nie spostrzegł tego mojego zapomnienia! To prawdziwe nieszczęście! Oto owoc tej reputacji, na którą tyle lat pracowałem. Dawniej każdy mówił: „To Daveline prowadził śledztwo: nie ma potrzeby sprawdzenia go; nic nie może brakować”. A teraz! Tylko w łeb sobie strzelić!

— Tym bardziej — wtrącił pan Daubigeon — że wczoraj uniewinnienie pana de Boiscorana wisiało na włosku.

Sędzia ze złości aż zgrzytał zębami.

— Tak, na włosku — odpowiedział niechętnie — i to z winy pana Dominiego, którego słabości nie rozumiem i który nie umiał, nie chciał korzystać z materiałów tej sprawy. Także i z winy pana prokuratora, który do swojej mowy musiał przyczepić politykę.

Pierwszy raz w życiu, ale prawdopodobnie i ostatni pan Daubigeon cieszył się z cudzego nieszczęścia.

I jątrząc rozmyślnie najboleńszą ranę biednego sędziego, dodał jeszcze:

— Obrona wypowiedziana przez pana Folgata także coś tu znaczyła...

— Nic a nic!

— Podobała się jednak powszechnie...

— Podobała się! Koniec końców cóż on powiedział? Że oskarżenie jest tak niejasne, iż sprawa pana de Boiscorana okazuje się wątpliwa. To głupstwo...

— Może inni sędziowie będą odmiennego zdania...

— Zobaczymy...

— Cóż mówią obrońcy?

— Nie wiem. Ale wysłałem naszego pisarza po wiadomości i jeżeli zechcesz poczekać...

Pan Daubigeon zaczekał i dobrze zrobił, ponieważ w chwilę potem nadbiegł Mechainet z twarzą strasznie zakłopotaną, w duszy zaś rad i zadowolony jak nigdy.

— I cóż? — zapytał ciekawie sędzia.

Mechinet strząsnął głową i rzekł lamentującym głosem:

— To niesłychane, jak opinia ludzka jest zmienna. Przedtem pan de Boiscoran, pokazawszy się na ulicach Sauveterre, byłby poszarpany na sztuki. Dzisiaj zaś, niech tylko wyjdzie, będą go obnosili w tryumfie. Oskarżony to zbrodniarz; skazany to męczennik. Wszyscy już wiedzą, że wyrok ulegnie zmianie i wszyscy radośnie zacierają ręce. Dowiedziałem się od moich sióstr, że tutejsze panie namawiają się, aby jawnie okazać margrabinie de Boiscoran i panie de Chandore swoje współczucie. Adwokaci mają wydać świetną ucztę na cześć pana Folgata.

— Śmieszne! — zawołał sędzia śledczy z oburzeniem.

— Potem — ciągnął Mechinet — poszedłem do pana du Lopt de la Gransiere, by mu doręczyć pana list.

— Cóż odpowiedział?

— Miał jakąś ważną konferencję z prezesem. Odebrał list, przeczytał go bardzo pobieżnie i odpowiedział zimno: „Dobrze!”. Mówiąc otwarcie zdawał się być bardzo rozjątrzony.

Sędzia wzruszył ramionami jak człowiek, który już traci resztę odwagi i powiedział:

— On mnie zgniecie... Ludzie, w których żyłach płynie nie krew ale żółć są nieubłagani...

Mechinet opowiadał dalej:

— Wyszedłszy od pana prokuratora, udałem się do Pałacu Sprawiedliwości, gdzie otrzymałem ważną wiadomość, która poruszyła całe miasto. Hrabia de Claudieuse umarł...

Panowie Daveline i Daubigeon jednocześnie zawołali:

— Mój Boże! Czy to prawda?

— Dzisiaj rano, na kilka minut przed szóstą wydał ostatnie tchnienie... Widziałem jego ciało w gabinecie pana prokuratora. Pleban z Brechy przyszedł do niego, by mu udzielić ostatnich sakramentów. Hrabina nie dopuściła go do swego męża. Wkrótce potem panna de Chandore przybyła tamże i żądała od hrabiny chwili posłuchania.

— Coś takiego!

— Właśnie. Rozmowa ich trwała co najmniej kwadrans. Nie wiadomo, o czym mówiły. Wychodząc panna de Chandore była niezmiernie zmieszana. Następnie hrabina przywołała księdza, który już do ostatniej chwili pozostał przy umierającym.

Panowie Daubigeon i Daveline nie wyszli jeszcze z pierwszego zdumienia, gdy wtem zapukano do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołał Mechinet.

Drzwi się otworzyły i w nich stanął brygadier żandarmerii.

— Przychodzę z domu pana prokuratora, gdzie mi gospodyni oświadczyła, że go tutaj znajdę. Aresztowaliśmy Cheminota...

— Tego zbiegłego więźnia?

— Tak jest. Chcieliśmy go odprowadzić do więzienia, lecz oznajmił nam, że pragnie złożyć bardzo ważne i bardzo pilne zeznanie dotyczące skazanego wczoraj Boiscorana...

— Cheminot?

— Odstawiliśmy go więc do trybunału i przychodzę dowiedzieć się...

— Powiedz mu pan — zawołał prokurator — że przyjdę natychmiast. Idź pan co prędzej, idź!

— Wychodzę — rzekł pan Daubigeon nadzwyczaj niespokojny. — Słyszałeś pan? Trzeba się dowiedzieć, co to wszystko znaczy...

Sędzia śledczy był nie mniej od niego zaniepokojony.

— Pozwoli mi pan sobie towarzyszyć? — zapytał.

Miał do tego wszelkie prawo.

— I owszem — odpowiedział prokurator — tylko się pan pośpiesz...

Obaj urzędnicy wyszli bezzwłocznie w towarzystwie Mechineta. Łatwo sobie

wyobrazić, jakie musiało być zdumienie mieszkańców Sauveterre widzących, w jakim pośpiechu zdążali w stronę trybunału.

Jednakże przybywszy do trybunału, obaj zmuszeni byli zatrzymać się. Prawie pięciuset ciekawych zapełniło dziedziniec, tłocząc się na schodach i zapychało wejście.

Jednocześnie nastąpiło wielkie milczenie, odkryły się wszystkie niemal głowy i tłum rozstał się z uszanowaniem.

Na pierwszym stopniu schodów, pojawił się pleban z Brechy i dwóch innych księży. Za nimi postępowała służba szpitalna, dźwigając nosze okryte czarnym sukniem, pod którym rysowały się kształty trupa...

Kobiety żegnały się znakiem krzyża, a te, które miały dosyć miejsca, przyklekały.

— Biedna ta pani de Claudieuse — mówiła po cichu jedna z nich — odnoszą jej ciało męża, a podobno i jej młodsza córka dopiero co umarła...

Prokurator i sędzia śledczy, równie jak Mechinot byli zbyt zajęci, ażeby mogli mieć czas sprawdzić tę ostatnią wiadomość. Przejście było już wolne, więc weszli do trybunału i w pierwszej zaraz sali zastali kilku żandarmów pilnujących swego więźnia.

Ten, spostrzegłszy wchodzących urzędników, podniósł się spiesznie i z uszanowaniem zdjął przed nimi czapkę. Był to rzeczywiście Cheminot. Ale dawny, obojętny na wszystko włóczęga, zawsze uśmiechnięty, był teraz nieco blady i widocznie wzruszony.

— I cóż — odezwał się do niego pan Daubigeon — dałeś się znowu złapać?

— Proszę wybaczyć, panie sędzio, mnie wcale nie złapano, ja sam oddałem się żandarmom.

— Przypadkiem, mimo woli...

— Przeciwnie, z własnej woli; niech się pan sędzia zapyta brygadiera.

Brygadier wystąpił kilka kroków naprzód i kłaniając się, oświadczył:

— To najczystsza prawda. Cheminot sam przyszedł do naszych koszar i powiedział: „Wracam jako dawny więzień; chcę mówić z prokuratorem i złożyć mu zeznanie”.

Więzień wyprostował się dumnie, dodając:

— Pan sędzia widzi, że ja nie kłamię. Wtedy, kiedy ci panowie kłusowali za mną po wszystkich drogach i ścieżkach, ja siedziałem sobie spokojnie w jednej izdebce oberży Pod Czerwonym Baranem i myślałem, że dopiero wtedy z niej wyjdę, kiedy już o mnie zupełnie zapomną.

— Dobrze, ale żeby mieszkać Pod Czerwonym Baranem na to trzeba pieniędzy, a ty ich nie miałeś...

Cheminot najspokojniej w świecie sięgnął do kieszeni i wydobył z niej garść monet oraz banknotów pięciofrankowych.

— Panowie widzicie, że miałem czym opłacić moją kwaterę... Jeżeli się sam oddałem żandarmom, to dlatego, że jestem uczciwym człowiekiem, że wolę sam trochę przecierpieć, niż widzieć wysłanie na galery niewinnego człowieka.

— Pana de Boiscorana?

— Tak! On jest niewinny. Wiem o tym, jestem tego pewny, mam na to dowody. A jeżeli on wam nie chciał mówić, to ja wszystko powiem, ja!

Prokurator i sędzia wyglądali, jak gdyby ich kto uderzył pałką w głowę.

— Wy tłumacz się jaśniej — zawołali jednogłośnie.

Lecz włóczęga potrząsnął przecząco głową i pokazując palcem żandarmów odpowiedział:

— To jest wielka tajemnica, a kiedy się człowiek spowiada, nie lubi, żeby go kto więcej słyszał nad jego proboszcza... Zresztą, chciałbym, aby moje zeznanie było spisane na papierze...

Na skinienie pana Daveline'a, żandarmi wyszli z sali, a Mechinot zasiadł przy stole, by spisać protokół.

— Teraz, kiedy już można gadać — odezwał się Cheminot — powiem wszystko. Ja nie myślałem wcale uciekać z więzienia. Ale pan Jakub de Boiscoran miał potrzebę spędzić jeden wieczór poza więzieniem, na świecie.

— Uważaj, co ty mówisz — przerwał mu surowo pan Galpin-Daveline.

— Sprawiedliwość nie puszcza bezkarnie takiego naigrawania się z jej władzy.

— Bodajem przepadł, jeżeli nie mówię prawdy — zawołał włóczęga. — Pan Jakub spędził cały wieczór w mieście, nie w więzieniu.

Sędzia, oburzony do najwyższego stopnia, podskoczył na krześle i zawołał:

— Człowieku! Co ty pleciesz?

— Mam na wszystko dowody — odpowiedział spokojnie Cheminot — i złożę je sądowi. Otóż, pan Jakub udał się do mnie i umówiliśmy się, że za pewną sumę, którą mi zaraz wypłacił, a z której resztę panom dopiero co pokazałem, wybije dziurę w murze i ucieknę z więzienia, a on tymczasem, wydobywszy się razem ze mną, załatwi swoje interesy w mieście i powróci.

— A dozorca? — zapytał pan Daubigeon.

Cheminot, wierutny łgarz w potrzebie, nie chciał tym razem narazić Blanguina. I przyjmując całą odpowiedzialność na siebie, odpowiedział:

— Dozorca nie wiedział o niczym. Nie potrzebowaliśmy go wcale, przecież ja tu byłem niby poddozorcą...

Teraz Cheminot nie kłamał, bo rzeczywiście tak było.

— Dalej... dalej! — wołał nań pan Daveline głosem urzędowo surowym.

— Otóż — mówił włóczęga — stało się to, cośmy z panem Jakubem - pomiędzy sobą ułożyli. Pewnego wieczoru, około dziewiątej, przebijam otwór, dostajemy się na stare okopy miejskie... Tutaj, pan Jakub wsuwa mi pieniądze, zalecając, żebym drapnął, gdzie mnie oczy poniosą, kiedy on tymczasem miał pójść za swymi interesami. Zdawało mi się już wtedy, że to musiał być niewinny człowiek, jednakże, rozumiecie panowie, jeszcze bym za niego nie przysiągł, dlatego przez ciekawość poszedłem za nim.

Jakkolwiek z powołania przywykli do ukrywania swoich wrażeń, prokurator i sędzia nie umieli dostatecznie ukryć jeden budzącej się w jego duszy nadziei, drugi pewnej trwogi, która go coraz bardziej przejmowała. Mechinot, który już wiedział, o czym oni dopiero się mieli dowiedzieć, śmiał się w duchu, spisując najspokojniej zeznania Cheminota.

— Obawiając się, aby go nie poznano — mówił dalej włóczęga — pędził mniej zaludnionymi uliczkami jak strzała. Szczęście, że mam dobre nogi... Jednym tchem przebiegł całe miasto i przybywszy na ulicę Mautrec, zatrzymał się w końcu bardzo długiego muru i zadzwonił do jednej wielkiej bramy.

— Do domu pana de Claudieuse'a?

— Wiem o tym teraz, ale wtedy nie wiedziałem... Przyszła mu otworzyć służąca. Rozmówił się z nią i wprowadziła go z takim pośpiechem, że nawet zapomniała zamknąć bramę.

Pan Daubigeon skinieniem ręki zatrzymał go, dodając:

— Zaczekaj!

I wydobywszy z teki jakiś drukowany blankiet, wypełnił w nim próżne miejsce. Potem zadzwonił i rzekł do wchodzącego do sali woźnego, oddając mu ów druk:

— Odnieś to natychmiast; pospiesz się i nie mów nikomu ani słowa!

Po wyjściu woźnego włóczęga mówił dalej:

— Stałem jak cieleń na ulicy Mautrec. Powinienem był pójść sobie w swoją stronę; to było najbezpieczniej... Ale te diabelskie uchylone drzwi wabiły mnie jakoś do siebie. Mówiłem ja sobie: Jeżeli wejdziesz, a zdybia cię, będą myśleli, żeś złodziej i ciepło ci wtedy będzie! Lecz to przechodziło moje siły... Ciekawość wzięła górę nad rozumem. I niech się dzieje co chce, przeskoczyłem ulicę, popchnąłem drzwi tylko tyle, żeby się przesunąć i znalazłem się w wielkim ogrodzie. Dokoła było ciemno jak w lochu, ale w głębi ogrodu spostrzegłem trzy oświetlone okna parterowe. Za daleko już zaszedłem, żeby się cofnąć. Idę więc po cichu jak kot jeszcze dalej, aż stanąłem pod drzewem, nie więcej jak o łokieć od

owych okien, wychodzących z pięknego salonu na ogród. Zaglądnąłem i poznaję... kogo? Pana de Boiscorana. W oknach nie było firanek, widziałem go więc tak dobrze, jak widzę panów. Twarz jego była straszna. Pytałem się, na kogo on tam mógł czekać, chowając się za jedną połowę drzwi salonu, niby człowiek czyhający w złych zamiarach na kogoś drugiego. Zaczęło mnie to niepokoić, gdy w chwilę potem weszła jakaś pani. Wtem... trzask... pan Jakub zamyka drzwi, pani się obraca, spostrzega go i wydaje przeraźliwy okrzyk. Tą kobietą była pani de Claudieuse...

Cheminot zatrzymał się, jak gdyby się chciał przekonać o wrażeniu, jakie wywarło jego opowiadanie. Ale niecierpliwy Mechinet, zapominając o swoim podrzędnym stanowisku, rzekł do niego:

— Mów dalej, mów!

— Jedno z okien było na wpół otwarte, tak że mogłem widzieć i słyszeć wszystko. Nie straciłem ani jednego słowa. Strasznie było. Z pierwszych zaraz wyrazów zrozumiałem, że pan Jakub i pani de Claudieuse byli kochankami. Mówili sobie ty...

— Co za niedorzeczność — zawołał pan Daveline.

— Ja też zgłupiałem. Pani hrabina, święta kobieta. Ale mam uszy, nieprawdaż? Pan Jakub przypominał jej, że wieczorem, krótko przed pożarem znajdowali się razem, blisko Valpinson, na umówionej poprzednio schadzce. Na tej schadzce popalili wszystkie swoje listy miłosne i właśnie to paląc te listy pan Jakub tak sobie ręce poczercił...

— Słyszałeś to? — zapytał pan Daubigeon.

— Tak jak pana teraz słyszę, panie sędzio.

— Pisz, panie Mechinet — zawołał żywo prokurator — pisz dosłownie...

Pisarz pełnił skrupulatnie swój obowiązek.

— Co mnie najwięcej dziwiło — opowiadał Cheminot — to to, że pani de Claudieuse obwiniła pana Jakuba, a on ją... i oboje oskarżali się wzajemnie o zbrodnię. Ona mówiła: „Ty chciałeś zamordować mego męża, boś go się obawiał”. On zaś: „Ty usiłowałaś go zabić, ażeby być wolna i przeszkodzić memu małżeństwu!”...

Sędzia Daveline wił się jak wąż na krześle, powtarzając:

— To niesłychane! Niesłychane!

— W końcu oboje zrozumieli i wyznali przed sobą, że go nie ocali kosztem swojej reputacji i dlatego, ażeby ocalony ożenił się z panną de Chandore. Wtedy on jej powiedział: „Więc dobrze! Wyznam wszystko”. A ona: „Nie uwierzą ci, ja zaprzeczę, a ty nie masz dowodów!”... Wyrzucał jej następnie, że go nigdy nie kochała. Ale ona przysięgała się, że przeciwnie, kocha go bardziej niż kiedykolwiek i gotowa jest opuścić wszystko i wyjechać z nim w dalekie kraje. Co za kobieta!... Myślałem, że on się zgodzi... Gdzież tam! Odrzucił wszystko i w największej złości zawołał: „Wolę galery!”... Ona zaśmiała się okropnie i powiedziała spokojnie: „Więc dobrze, niech tak będzie... pójdiesz na galery!”...

Jakkolwiek Cheminot w swoim zeznaniu przytaczał wiele szczegółów, widoczne przecież było, że nie wszystko jeszcze powiedział. Pan Daubigeon nie chciał go zbyt ściśle badać z obawy, aby mu nie przerwać wątku opowiadania...

— Ale to wszystko jest nic — mówił Cheminot dalej. — Podczas kiedy pan Jakub z hrabiną kłócili się między sobą spostrzegłem otwierające się drzwi salonu, a zaraz potem na progu jakąś postać jakby widmo, okryte śmiertelnym całunem. Był to hrabia de Claudieuse. Twarz miał straszną. W rękę trzymał rewolwer. Stał oparty o uchylone drzwi i podsłuchiwał, jak jego żona i jej dawny kochanek rozgadywali się o swoich dawnych miłostkach. Przy niektórych jej słowach podnosił pistolet, jak gdyby chciał dać ognia do jednego z nich... potem opuszczał rękę i znowu słuchał. Było to tak przerażające, że jednej suchej nitki nie miałem na ciele!

Nie wiem, dlaczego nie ostrzegłem Jakuba i hrabinę... A oni nic nie widzieli, bo oboje byli wściekli, a nawet pan Jakub zamierzył się ręką na hrabinę. „Zabraniam ci bić moją żonę!” — zawołał wtedy hrabia. Obejrzeni się oboje i jednogłośnie wydali krzyk strasznego przerażenia. Hrabina upadła jak martwa na krzesło. Ja stałem przełękły, nie mogąc złapać tchu... Pan Jakub był tak piękny w tej chwili, że równego mu nigdy nie widziałem... Zamiast uciec rozpiął nagle palto i nadstawiając pierś rzekł do hrabiego: „Strzelaj pan, jesteś w swoim prawie... zemścij się!”. Pan de Claudieuse roześmiał się tylko: „Sprawiedliwość pomści się za mnie”. „Pan wiesz, że jestem niewinny”. „Wcale mnie to nie obchodzi”. „Pozwolić na skazanie mnie byłoby rzeczą haniebną”. „Ja zrobię coś lepszego: aby być pewniejszy tego skazania, powiem, że pana poznałem”. Hrabia chciał dalej postąpić, ale był już słaby i upadł jak długi na posadzkę... Wtedy strach mnie ogarnął, uciekłem...

Prokurator tylko siłą woli zdołał zapanować nad wzruszeniem. Po chwili rzekł drżącym głosem:

— Dlaczego nie przyszedłeś zaraz opowiedzieć tego wszystkiego?

Włóczęga potrząsnął głową i odpowiedział:

— Miałem chęć to uczynić, ale brakło mi odwagi. Pan sędzia musi mnie zrozumieć! Bałem się, że za moją ucieczkę przyjdzie mi ciężko odpokutować...

— Twoje milczenie spowodowało oplakaną dla sądu pomyłkę...

— Ja nie mogłem dać wiary, ażeby pan Jakub został skazany. Mówiłem sobie: Takie grube sztuki jak on, mające dobrych adwokatów, umieją się zawsze wywinąć. Nie przypuszczałem wreszcie, że hrabia de Claudieuse dotrzyma swej groźby. Być zdradzonym przez własną żonę, to boli. Ale wysłać niewinnego człowieka na galery, to...

— A jednak tak się stało.

— Ach, gdybym ja to mógł być przewidzieć... Miałem dobre zamiary i chociażem zaraz nie przyszedł wyjawić wszystkiego, przysięgłem sobie jednak, że gdyby jakie nieszczęście miało spotkać pana Jakuba, przyjdę sam i zeznam, com widział i słyszał. Dowodem tego jest, że zamiast uciec w dalsze strony, ukrywałem się w gospodzie czekając tam na wyrok sądu. Skorom się tylko o nim dowiedział, nie wahałem się wcale i dobrowolnie oddałem się w ręce żandarmów.

Pan Daveline otrząsnąwszy się nieco ze swego zdumienia, podniósł się z krzesła i rzekł poważnie:

— Ten człowiek kłamie. Pieniądze, które nam pokazał, są nagrodą za jego fałszywe świadectwo. Czy można przyjąć podobne zeznanie?

— Sprawdzimy to — odparł pan Daubigeon.

Potem zadzwonił, a gdy woźny wbiegł do sali zapytał go:

— Czy moje rozkazy spełniono?

— Spełniono — odpowiedział woźny. — Pan de Boiscoran i służąca państwa de Claudieuse czekają.

— Wprowadźcie zaraz służącą, a gdy zadzwonię, wprowadzić pana de Boiscorana.

Służąca, dziewczyna krępa i czerstwa, zdawała się być bardzo wzruszona. Przekonywały o tym żywe rumieńce na jej twarzy i rześiste krople potu spływające z czoła.

— Czy panna sobie przypominasz — zapytał prokurator — że pewnego wieczora w zeszłym tygodniu przybył do was jakiś mężczyzna, który chciał się widzieć z państwem de Claudieuse?

— O, pamiętam bardzo dobrze — odpowiedziała. — Nie chciałam go przyjąć; ale gdy mi powiedział, że był przysłany przez sędziów, wpuściłam go...

— Czy byś go panna poznała?

— Z pewnością.

Prokurator zadzwonił, drzwi się otworzyły, a w nich ukazał się Jakub, z wyrazem pewnego zdziwienia na twarzy...

— To on! — zawołała służąca.

— Czy mogę znać przyczynę... — zaczął mówić nieszczęśliwy.

— Nie, nie w tej chwili! — odpowiedział prokurator. Odejdź pan... i miej nadzieję.

Jakub stał na progu, wodząc wokół siebie zdziwionym wzrokiem, nie wiedząc, co mogło znaczyć to nowe przywołanie go przed urzędników sądowych. Rzeczywiście trudno było biednemu więźniowi domyśleć się, o co tu chodziło. Sędzia wydawał się niezmiernie zmieszany, prokurator Daubigeon promieniejący radością, a nadto zalecający jakąś nadzieję. Nadzieję czego? Co więcej, Mechinot dawał mu ukradkiem jakieś znaki... Dozorca musiał przypomnieć biednemu więźniowi, iż kazano mu wyjść.

Po wyjściu Jakuba prokurator rozpoczął dalsze badanie dziewczyny.

— Teraz powiedz nam, moje dziecko, czy ten pan, który do was przyszedł, któregoś poznała, nie wywołał jakiegoś szczególnego zajścia w waszym domu?

— Owszem, pomiędzy nim a moim państwem odbyła się bardzo gwałtowna scena.

— Czy byłaś przy niej obecna?

— Nie, ale jestem pewna tego, co mówię.

— Więc?

— Oto tak... Kiedym poszła do pani hrabiny z oznajmieniem, że przyszedł jakiś pan przysłany przez sędziów i czeka na nią w salonie, ona zeszła natychmiast na dół i kazała mi pozostać przy panu hrabim. Naturalnie musiałam posłuchać. Zaledwie zeszła, usłyszałam jakiś straszny krzyk. Pan hrabia, niby to śpiący, usłyszał go także i zerwał się na posłaniu, pytając mnie, gdzie pani? Powiedziałam mu, że wyszła, więc odwrócił się do ściany, by znowu zasnąć, kiedy wtem powtórnie rozległy się bardzo donośne głosy. „To coś nadzwyczajnego” rzekł pan hrabia. Chciałam zejść na dół, żeby się przekonać i powiedzieć mu, co by to mogło być, lecz zabronił mi stanowczo. A gdy ten hałas coraz bardziej się powiększał, podniósł się, mówiąc do mnie: „Ja sam zejdem na dół; podaj mi szlafrok”.

Biedny pan mógł ten krok przypłacić życiem! Zwróciłam na to jego uwagę, ale zaklął straszliwie, kazał milczeć i spełnić natychmiast jego wolę. Pan hrabia, który niech w Bogu spoczywa, był najlepszym człowiekiem, ale kiedy się rozgniewał, a zaczął po swojemu piorunować, wtedy cały dom drżał przed nim, nawet sama pani... Uczyniłam więc, czego żądał... Biedne panisko! Był tak osłabiony, że nie mógł ustać na nogach i kiedym go ubierała w szlafrok, musiał się trzymać krzesła, żeby nie upaść. Chciałam go jeszcze sprowadzić ze schodów, ale spojrzawszy na mnie takim wzrokiem, że aż ciarki po mnie przeszły, powiedział z gniewem: „Zostaniesz tutaj, rozumiesz! A jeśli pozwolisz sobie choćby drzwi otworzyć, nie zostaniesz tu ani jednej godziny dłużej w służbie”. Wyszedł, chwytając się ściany jak człowiek, któryomalże nie może zrobić jednego kroku. Ja zostałam w pokoju, ze ściśniętym sercem jakby w przeczuciu jakiegoś nieszczęścia.

Jednakże wszystko się uciszyło i czekając minutę za minutą, zaczęłam już wymawiać sobie, że byłam głupia, gdy nagle posłyszałam dwa okrzyki tak przerażające, tak straszne, że wszystko we mnie zamarło. Nie śmiejąc wyjść z pokoju, przyłożyłam tylko ucho do drzwi i usłyszałam głos mojego pana kłócącego się z drugim mężczyzną. Słów ich rozróżnić nie mogłam, ale czułam, że im szło o coś bardzo ważnego. W końcu doszedł mnie głuchy łoskot, niby upadek jakiegoś ciała, a potem nowy, przeraźliwy krzyk trwogi... Krew zastygła mi w żyłach. Szczęściem reszta służby, usłyszawszy, coś zerwała się z pościeli i wszczął się ruch na schodach. Ryzykując już wszystko, wychodzę z pokoju, biegnę za innymi i w salonie znajdujemy panią hrabinę omdlałą w fotelu, a pana hrabiego leżącego bez zmysłów na posadzce...

— A cóż ja mówiłem? — zawołał z pewnym zadowoleniem Cheminot.

Lecz prokurator nakazał mu ruchem ręki milczenie i jednocześnie zapytał służącą:

— Cóż na to wszystko ów gość, któregoś wpuściła do domu?

— Nie wiem... nie widziałam go... znikł, przepadł jak kamfora!

— I cóż dalej?

— Podnieśliśmy pana hrabiego i przenieśli na górę do jego pokoju. Ocuciliśmy hrabinę, a kamerdyner poszedł tymczasem po doktora Seignebose.

— Co wam mówiła pani de Claudieuse, wróciwszy do przytomności?

— Nic, wyglądała tylko jak odurzona.

— Czy więcej nic już nie było?

— I owszem panie.

— Cóż takiego?

— Starsza panienka, Marta dostała strasznych konwulsji.

— Jak to?

— Opowiadała rozmaite rzeczy...

— Powtórz nam to.

— Rzeczy bardzo dziwne... Kiedy ten pan, którego poznała, zadzwonił do naszych drzwi, panna Marta, będąc już w łóżku podniosła się i pobiegła do okna, chcąc widzieć, kto to taki. Zobaczyła mnie, idącą ze świecą w ręku, ażeby otworzyć i wracającą następnie z owym panem. Kiedy już miała powrócić do łóżka, zdawało jej się, jakoby jeden z posągów w ogrodzie poruszył się i zaczął chodzić. Wszelkie tłumaczenia nic nie pomogły. Utrzymuje ona, że się nie omyliła, że widziała doskonale, jak posąg z wolna postępował, a potem zatrzymał się pod drzewem stojącym najbliżej salonu.

Cheminot tryumfował:

— To byłem ja! — zawołał.

Służąca spojrzała na niego i nie dziwiąc się bynajmniej, rzekła:

— Bardzo to być może.

— A cóż ty sądzisz o tym? — pytał dalej pan Daubigeon.

— Ja myślę, że to jakiś mężczyzna dostał się do ogrodu i tak nastraszył pannę Martę, a to dlatego, że pan Seignebos wychodząc, upuścił jedną sztukę pięciofrankową, która się potoczyła aż pod drzewo, gdzie panna Marta widziała ów posąg. Kamerdyner, który odprowadzał doktora, pomagając mu odszukać pięciofrankówkę przy świetle, dojrzał pod drzewem ślady podkutych trzewików...

— Ślady moich trzewików — przerwał Cheminot.

I usiadłszy, podniósł obie nogi, mówiąc:

— Zobaczcie moje podeszwy, czy w nich brakuje choćby jednego gwoździa...

Prokurator nie miał już żadnej wątpliwości i rzekł:

— Dobrze, dobrze... wierzę ci zupełnie.

Następnie zwrócił się do służącej i zapytał jeszcze:

— Nie wiesz, moja panienko, czy potem nie było jakich zająć albo tłumaczeń pomiędzy państwem de Claudieuse?

— Nie wiem. Zauważyłam tylko, że państwo nie byli już ze sobą tak jak dawniej.

I rzeczywiście nie wiedziała już nic więcej. Dawszy jej do podpisania protokół, pan Daubigeon odprawił ją do domu.

Potem zwrócił się do Cheminota, mówiąc:

— Odprowadzą cię jeszcze do więzienia. Ale jesteś dobry chłopak i możesz być spokojny. Idź, mój kochany!

Prokurator z sędzią i pisarzem pozostali sami w sali sądowej.

— A więc — rzekł pan Daubigeon do sędziego — cóż pan myślisz o tym wszystkim?

Pan Daveline był zupełnie przygnębiony.

— W głowie mi się miesza — odpowiedział stłumionym głosem.

— Czy pan wierzysz nareszcie, że Folgat miał słuszność i że sprawa nie była wcale tak jasna, jak pan utrzymywałeś?

— Któż by się nie omylił tak jak ja... Wszakże pan sam podzielałeś przez jakąś chwilę moje zdanie? A jednak, jeżeli Jakub de Boiscoran i pani de Claudieuse są niewinni, gdzie jest winowajca?

— Dowiemy się wkrótce, bo postanowiłem sobie nie spocząć jednej chwili, dopóki prawda nie wyjdzie na jaw! Jakie to szczęście, że uchybienia formalne unieważniają ten wyrok! Nie mamy ani chwili do stracenia. Weź nogi za pas, kochany panie Mechinet i poproś pana Folgata, ażeby bezzwłocznie przybył do sądu. Czekam na niego.

Gdy panna de Chandore, opuściwszy hrabinę, wróciła do swej rodziny i przyjaciół Jakuba, rzekła do nich prawie wesoło:

— Teraz... teraz, mamy już nadzieję!

Dziadek i margrabia de Boiscoran nalegali na nią, ażeby się jaśniej wytłumaczyła. Nie uczyniła tego jednak i dopiero późnym wieczorem przyznała się panu Folgatowi, co uzyskała, że zatem było bardzo prawdopodobne, iż hrabia przed śmiercią odwoła swoje zeznanie.

— To jedno tylko mogłoby ocalić Jakuba — odpowiedział młody adwokat.

Jakkolwiek znużony pracą i wzruszeniami, spędził prawię całą noc w gabinecie pana de Chandore, gdzie wspólnie z Magloirem układał memoriał wyjaśniający wszystkie powody mające służyć za podstawę do unieważnienia wyroku.

Dzień już był jasny, kiedy pracę tę ukończono. I nie chcąc się położyć, usiadł tylko w fotelu, ażeby nieco wypocząć. W godzinę niespełna zbudzony został przez starego Antoniego, który przyszedł mu oznajmić, że na dole czeka jakiś nieznajomy, pragnący natychmiast z nim pomówić. Przecierając oczy zszedł na dół i ujrzał przed sobą człowieka lat około pięćdziesięciu, fizjognomii dosyć podejrzaney z wąsami i bródką hiszpańską, ubranego w ciasny surdut a szerokie spodnie, jakie zwykle lubią nosić dawni wojskowi.

— Czy... pan Folgat? — zapytał nieznajomy.

— Tak — odpowiedział adwokat.

— Dobrze! Jestem agentem, którego mój przyjaciel Goudar wyprawił do Anglii.

Pan Folgat aż podskoczył z ciekawości.

— Dawno pan przybyłeś?

— Dzisiaj rano. Spóźniłem się o całą dobę... wiem o tym, dowiedziałem się z dziennika kupionego na stacji. Pan de Boiscoran jest skazany. Jednakże przysięgam panu, że nie straciłem ani jednej minuty i sumiennie zarobiłem przyrzeczoną mi nagrodę w razie, jeżeli się rzecz uda...

— Więc powiodło się panu?

— Naturalnie. Wszakże doniosłem panu z Jersey, że jestem pewny swego!

— I znalazłeś pan pannę Lucy?

— W dwadzieścia cztery godziny po napisaniu listu do pana, w domu publicznym Bouly Bay. Nie chciała jechać ze mną, kanalia jedna!

— Ale ją pan przywiozłeś?

— Ma się rozumieć! I ulokowałem w Hotelu Francuskim, a potem przyszedłem do pana.

— Czy ona wie, o co idzie?

— Wie o wszystkim.

— Przyrowadź ją pan do mnie...

Od chwili, jak pan Folgat powziął nadzieję osiągnięcia jakiegoś rezultatu z tego kroku, postanowił wyciągnąć z niego wszelkie możliwe korzyści. W albumie Dionizy, wśród kilkudziesięciu fotografii znajdował się wizerunek słynnej z nadzwyczajnej piękności hrabiny de Claudieuse. Poszedł więc po album i zaledwie zdążył położyć go na stole, agent wrócił trzymając pod rękę sprowadzoną przez siebie Angielkę. Była taka, jak ją opisał kelner z winiarni na ulicy des Vignes.

Na pierwsze pytanie pana Folgata odpowiedziała bez namysłu bardzo zrozumiale w języku francuskim, chociaż z obcym akcentem:

— Cztery lata służyłam w domu przy ulicy des Vignes i pewnie byłabym tam dotąd jeszcze siedziała, gdyby nie ta nieszczęsna wojna. W pierwszych zaraz dniach zorientowałam się, że moim obowiązkiem było pilnować miejsca, w którym schodziło się dwoje kochanków. Nie bardzo mi to przypadło do smaku, bo przecież każda z nas, ma swoją miłość własną...

Kiedy miała przyjść, pan wyprawiał mnie zawsze to do Wersalu, to do Saint Germain, to nawet do Orleanu... Zrozumiałam te manewry i zabolaly one mnie tak strasznie, że postanowiłam sobie wyjaśnić to wszystko, co przede mną zbyt starannie ukrywano. Niewielka to była praca. Zaraz w następnym tygodniu wysledziłam, że mój pan nie nazywa się bynajmniej sir Burnett, ale że to było nazwisko pożyczone chwilowo od jednego z jego przyjaciół.

— Jakżeż się pani do tego wzięła? — zapytał pan Folgat.

— O, bardzo prosto. Pewnego dnia, kiedy mój pan wyszedł z domu piechotą, wybiegłam za nim i ujrzałam go wchodzącego do jednego okazałego domu przy ulicy Uniwersyteckiej. Przed tym domem stało kilku służących, którzy mu się kłaniali z wielkim uszanowaniem. Na moje pytanie, kim jest ten pan, odpowiedzieli mi, że to syn margrabiego de Boiscorana.

— Dobrze... co do pana. Ale cóż pani wiesz o damie, która go odwiedzała?

Suky Wood uśmiechnęła się ironicznie.

— Z nią postąpiłam tak samo. Ale potrzebowałam na to czasu i cierpliwości, ponieważ była niezmiernie ostrożna, tak że kilka moich wycieczek za nią spęzło na niczym. Ale im więcej się kryła, tym większa była moja ciekawość. Panowie to rozumiecie. Nareszcie, jednego wieczoru, kiedy wyjeżdżała od nas powozem, ja wzięłam dorożkę i pognałam za nią. Wysiadała na ulicy Ferme des Mathurins. Nazajutrz poszłam na zwiady do odźwiernego i jego żony i tam, udając kobietę, szukającą jakiegoś miejsca, dowiedziałam się, że ta pani była z prowincji, że była zamężna, że corocznie przybywała do swoich krewnych w Paryżu na jaki miesiąc czasu, że się nazywa hrabina de Claudieuse. No i tyle. A mój pan, Jakub de Boiscoran myślał, że Lucy nic wiedzieć nie powinna i nie mogła! Jakie głupstwo!

— Ale czyś pani widziała tę damę? — zapytał adwokat.

— Widziałam tak dobrze, jak pana teraz widzę.

— I poznałabyś ją?

— Wśród tysiąca innych.

— Nawet z portretu?

— Pewnie bym się nie omyliła.

Pan Folgat podał jej album Dionizy, mówiąc:

— A więc pokaż mi ją pani.

Przewróciwszy kilkanaście kartek. Suky Wood wskazała palcem na fotografię hrabiny de Claudieuse i zawołała radośnie:

— To ona!

Nie było już najmniejszej wątpliwości. Jednakże adwokat jako przezorny prawnik zapytał jeszcze:

— Czy pani możesz to, coś mnie teraz powiedziała, zeznać przed sądem?

— Zeznam z największą chęcią, boć to jest najświętsza prawda.

— W takim razie postaramy się natychmiast o stosowne mieszkanie dla pani, w którym zechcesz poczekać na wezwanie. Bądź pani zupełnie spokojna. Na niczym ci nie będzie zbywać i otrzymasz za cały czas odpowiednią płacę.

Jeszcze pan Folgat nie dokończył tych słów, kiedy nagle, jakby jakaś zawierucha, wpadł do gabinetu doktor Seignebos, wołając tryumfalnie:

— Zwycięstwo! Tym razem zwycięstwo najzupełniejsze!

Nie chcąc obszerniej mówić wobec miss Lucy i agenta, wyprawił oboje bez żadnej ceremonii z pokoju, a po ich wyjściu, rzekł do pana Folgata:

— Wracam ze szpitala. Widziałem Goudara. Powiodło mi się najzupełniej, bo Cocaleu odzyskał przy nim mowę.

— I cóż powiedział?

— To, o czym wiedziałem, że powie, skoro mu się rozwiąże język... Ale pan sam go usłyszysz, bo to nie dosyć, że Cocaleu przyznał się do wszystkiego Goudarowi; tu trzeba jeszcze świadków, którzy by zeznania tego nędznika mogli potwierdzić.

— On wobec świadków znowu nie będzie mówić...

— Ale on ich nie zobaczy, będą ukryci. Miejsce sprzyja doskonale takiemu podejściu...

— A jeżeli i wobec tych ukrytych świadków Cocaleu uprze się nic nie powiedzieć?

— Bynajmniej. Goudar odkrył sekret wciągnięcia go do gawędy. Ha! Jaki to zręczny człowiek, jak on doskonale zna swoje rzemiosło! Czy masz pan do niego zaufanie?

— Najzupełniejsze.

— Więc on ręczy za skutek. Powiedział mi bowiem: przyjdź pan dzisiaj między godziną pierwszą a drugą, z panem Folgatem, prokuratorem i panem Davelinem. Ukryjcie się w miejscu, które wam wskażę i słuchajcie. Potem pokazał mi ową kryjówkę i nauczył, w jaki sposób mam go uprzedzić o naszej obecności.

Teraz pan Folgat przestał się już wahać i powiedział:

— Więc nie mamy chwili do stracenia, chodźmy do sądu.

Ale zaraz na korytarzu doktor i pan Folgat zatrzymani zostali przez pisarza Mechineta, który nadzwyczaj uradowany oświadczył im, że właśnie przychodzi z polecenia pana Daubigeona.

Następnie opowiedział im wszystko, co się z rana wydarzyło, tudzież zeznania Chemineta i służącej państwa de Claudieuse.

— Ha! Tym razem to już mamy pewny ratunek! — zawołał doktor Seignebos.

Adwokat aż pobladł ze wzruszenia, a w końcu rzekł:

— Wypadałoby nam zawiadomić o wszystkim margrabiego de Boiscorana i pannę Dionizę.

— Nie — odparł doktor — dajmy spokój, dopóki nie będziemy mieli zupełnej pewności. Chodźmy już!

I bardzo słusznie, że się spieszyli. Prokurator i sędzia czekali na nich z wielką niecierpliwością. Skoro bowiem weszli do sali, pan Daubigeon zapytał ich zaraz:

— A co? Czy Mechineta powiedział wam wszystko?

— Tak jest — odpowiedział pan Folgat — lecz my wiemy jeszcze coś więcej, czego panowie nie wiecie.

I zaczął opowiadać o przybyciu miss Lucy Wood i jej zeznaniu. Zgnębiony tyłu dowodami swej omyłki sędzieja Galpin-Daveline siedział nieruchomo nie mogąc wymówić słowa. Ale pan Daubigeon był rozpromieniony radością...

— Nie ma najmniejszej wątpliwości — powiedział doktor — że ja już znam winowajcę.

— Czyżby?

— I panowie poznacie go również, jeżeli zechcecie udać się ze mną do szpitala.

Właśnie wybiła godzina pierwsza. Żaden z nich nic jeszcze nie miał w ustach, ale nie była pora myśleć o śniadaniu.

— Czy pójdziesz z nami, panie Daveline? — zapytał prokurator.

Biedny sędzieja podniósł się jak automat i ruszyli w drogę. Mieszkańcy

Sauveterre dziwili się niezmiernie, widząc ich wszystkich razem spieszących się ku szpitalowi. Przybywszy na miejsce, pan Daubigeon udał się przede wszystkim do przełożonej szpitala, tłumacząc jej cel tych odwiedzin. Pobożna niewiasta wzniosłszy oczy ku niebu odpowiedziała:

— Czyńcie panowie, co się wam podoba. Obyście tylko osiągnęli pomyślny skutek, bo te ustawiczne zajęcia sądowe są prawdziwie ciężkim krzyżem dla naszego spokojnego zakładu.

— Teraz chodźcie panowie ze mną do oddziału obłąkanych — rzekł doktor.

Oddział obłąkanych był w niskim budynku, podzielonym na sześć celek, mających każda po dwoje drzwi, z których jedne otwierają się na zewnątrz do użytku obłąkanych, drugie zaś są dla służby. Doktor Seignebos otworzył jedne z tych ostatnich. I zaleciwszy swym towarzyszom głębokie milczenie, gdyż najmniejszy szelest mógłby zbudzić podejrzenie i nieufność Cocolego, wprowadził ich do celi, której drzwi wychodzące na dziedziniec były zamknięte. Były opatrzone okratowanym lufcikiem, przez który, nie będąc widzianym, można było widzieć i słyszeć wszystko, co się działo na dziedzińcu. O kilka kroków od tych drzwi siedzieli na słońcu Goudar i Cocoleu. Skutkiem silnej woli i wyuczenia się, agent policyjny potrafił swoim rysom nadać wyraz zupełnej głupoty do tego stopnia, że nawet służba szpitalna poczytywała go za większego idiotę niż tamtego. Miał w ręku swoje skrzypce i na nich wtórował sobie do tej samej śpiewki, którą nucił owego dnia, kiedy go spotkał pan Folgat na Nowym Targu. Cocoleu trzymając spory kawał chleba w jednej ręce, w drugiej szeroki nóż chłopski kończył swoje śniadanie. Lecz ta muzyka tak go zachwycała, że zapomniał o jedzeniu i z obwisłą wargą, przymkniętymi oczyma kołysał się do taktu.

— Jacyż oni szkaradni! — szepnął młody adwokat.

Tymczasem Goudar spostrzegłszy umówiony znak, dokończył swą śpiewkę, pochylił się i wydobył spod ławki ogromną butelkę, z której, zdawało się, pociągnął porządny łyk. Następnie podał ją Cocoleumu, który ją chciwie przyłożył do ust z wyrazem uszczęśliwionego

idiotyzmu i wypił znaczną część zawartego w niej napoju. Następnie głaszcząc się ręką po brzuchu, wyjąkał:

— To-to-to-dobre.

Pan Daubigeon, nachyliwszy się do ucha doktora, szepnął:

— Ha! Rozumiem teraz i widzę z oczu Cocoleugo, że oni się już długo bawią tą butelką. Nędznik jest pijany.

Goudar wziął znowu skrzypce do ręki i zaczął grać i śpiewać. Po chwili jednak Cocoleu przerwał mu, mówiąc:

— Pić!

Tym razem Goudar dał mu się nieco dłużej prosić. W końcu podał mu flaszkę i kiedy ten łakomie łykał, rzekł do niego:

— Słuchaj no! W Valpinson nie miałeś tak dobrego wina jak moje!

— Ej, miałem — odpowiedział Cocoleu.

— Ale nie tyle, ile chciałeś?

— Ba, mo... mogłem się nie... nieraz upić.

I śmiejąc się filuternie, mówił:

— O, oknem wła... wlażyłem do piwnicy i przez słom... słomkę pi... piłem, co chciałem.

— Teraz załujesz pewnie tej gratki?

— A juści!

— Ale kiedy ci tak dobrze było w Valpinson, dlaczegożeś ogień podłożył?

Cisnąc się około otworu w drzwiach celi, świadkowie tej dziwnej sceny, nie śmieli prawie odetchnąć, by nie stracić żadnego słowa.

— Ja, ja chciałem tylko pod... podpalić drzewo, żeby wywabić z domu pa... pana hrabiego — odpowiedział Cocoleu. — Nie moja wina, że potem wszystko poszło z dymem.

— A dlaczegoż to chciałeś zabić hrabiego?

— Żeby się z naszą panią ożenił pan de Boiscoran.

— Więc ona kazała ci to zrobić?

— Oj nie... ale mówiła z płaczem, że byłaby szczęśliwa, gdyby jej mąż umarł. Więc, kiedy ona była dobra dla Cocoleugo a hrabia zły, strzeliłem...

— Dobrze! Ale po cóż mówić, że to zrobił pan de Boiscoran.

— Zaczęto gadać, że to była moja sprawka. Cóż było robić? Woląłem, żeby jemu głowę uciąto, nie mnie.

Mówiąc to drżał na całym ciele, tak że Goudar z obawy, czy nie za daleko zaszedł, wrócił do swego śpiewu i przygrywki. Potem znowu podał mu butelkę. Wreszcie po krótkiej chwili zapytał:

— A od kogo dostałeś fuzję?

— Wzią... wziąłem ją hrabiemu, ażeby z nią pójść na ptaki... i i mam ją jeszcze ukrytą w tej jamie, gdzie mnie Michał znalazł.

Niecierpliwy doktor Seignebos nie mógł już dłużej wytrzymać. I nagle otworzywszy drzwi, wyskoczył na dziedziniec, wołając:

— Brawo, panie Goudar, brawo!

Na łoskot i głos doktora, Cocaleu zerwał się z ławki. W jednej chwili zrozumiał wszystko. Przestraszony wytrzeźwił go zupełnie.

— Ha! Zbójco! — krzyknął i jak wściekły rzucił się na Goudara, zadając mu dwie rany swoim szerokim nożem.

Zbyt nagły i niespodziewany był ten napad, żeby mu można było zapobiec. Odepchnąwszy gwałtownie pana Folgata, który go usiłował rozbroić, Cocaleu skoczył w najbliższy kąt dziedzińca i tam rozwścieczony jak dzikie zwierzę, z oczyma nabiegłymi krwią groził nożem każdemu, kto tylko próbował zbliżyć się do niego. Na krzyk pozostałych zbiegła się służba szpitalna i byłaby prawdopodobnie nastąpiła krwawa walka, gdyby nie przytomność umysłu jednego ze stróży, który dostawszy się na mur, zdołał pochwycić jedną rękę zbrodniarza w pętlę. W jednej chwili powalono go na ziemię i rozbrojono.

— Mogą zrobić ze mną, co chcą, ale nie powiem już ani jednego słowa — rzekł z gniewem.

Tymczasem mimowolny, lecz ciężko zasmucony sprawca tego wypadku, doktor Seignebos, krzątał się około Goudara, który leżał nieprzytomny na piasku dziedzińca. Dwie rany nieszczęśliwego agenta były ciężkie, lecz nie śmiertelne, ani nawet niebezpieczne, ponieważ nóż mordercy obsunął się po żebrach. Przeniesiony do osobnego pokoju w szpitalu, wkrótce powrócił do przytomności. A widząc pochylonych nad łóżkiem panów Daubigeona, Daveline'a, Folgata i doktora, rzekł uśmiechając się smutnie:

— A cóż, nie miałem racji, kiedy mówiłem, że moje rzemiosło jest nędznym kawałkiem chleba?!

— Wszakże nic panu nie przeszkadza porzucić go — odpowiedział pan Folgat—jeżeli pewien dom, któryśmy razem zwiedzili, potrafi zadowolić twoje żądania...

Błada twarz policjanta rozjaśniła się nagle.

— Dano by mi ten dom? — zawołał.

— Albożeś pan nie odkrył i nie oddał w ręce sprawiedliwości prawdziwego winowajcę?!

— Niechaj w takim razie błogosławione będą otrzymane przeze mnie rany. Czuję, że za dwa tygodnie będę już na nogach. Prędko! Dajcie mi panowie pióro i atrament, ażebym się podał do dymisji i przekazał tę radosną wiadomość mojej żonie.

Dalsze słowa przerwało mu wejście woźnego, trybunału, który zbliżywszy się do prokuratora oświadczył mu z uszanowaniem:

— Ksiądz proboszcz z Brechy czeka na pana w sądzie.

— Idę w tej chwili — odpowiedział pan Daubigeon.

I zwracając się do swych towarzyszy, dodał:

— Chodźcie, panowie.

Kapłan czekał rzeczywiście i widząc wchodzących prokuratora, sędziego, pana Folgata i doktora Seignebosa, podniósł się z krzesła.

— Może pan chce mówić tylko ze mną? — zapytał pan Daubigeon.

— Nie, panie — odpowiedział sędziwy pleban. — Dzieło odwołania, które mam zlecone, powinno być publiczne. I oddając mu list dodał. — Przeczytaj pan, przeczytaj głośno...

Złamawszy drżącą ze wzruszenia ręką wielką pieczęć herbową, prokurator odczytał, co następuje:

Umierając jako chrześcijanin, którym całe życie byłem, winienem sobie samemu, Bogu, którego obraziłem i ludziom, których wprowadziłem w błąd, donieść całą prawdę: Uniesiony nienawiścią, stałem się winny niecnego fałszywego świadectwa utrzymując, że człowiekiem, który do mnie strzelał, był pan de Boiscoran i że go osobiście poznałem. Nie tylko go nie poznałem, ale wiem, że jest niewinny. Jestem tego pewny i przysięgam na wszystko, co jest najświętsze na tym świecie, który opuszczam i na drugim, gdzie mnie oczekuje inny sędzia.

Oby mi pan de Boiscoran przebaczył, jak ja sam przebaczam.

Trywulcy de Claudieuse

— Nieszczęśliwy człowiek — rzekł z cicha pan Folgat.

Lecz kapłan mówił dalej:

— Widzicie, panowie, że hrabia de Claudieuse nie kładzie żadnych warunków na to swoje odwołanie. Pragnie on tylko dać świadectwo prawdzie. A jednak pozwólcie mi być tłumaczem ostatniej woli umierającego, błagając was, ażeby w nowym procesie imię hrabiny de Claudieuse nie było wcale wspomniane.

Łzy błyszczały we wszystkich oczach.

— Bądź pan spokojny, księżu proboszczu — odpowiedział prokurator — ostatnia wola hrabiego zostanie spełniona. Imię jego żony nie będzie wspomniane, bo nie ma do tego żadnej potrzeby. Tajemnica jej błędu zostanie święcie dochowaną przez tych, którzy ja znają.

W tej chwili na zegarze wybiła czwarta. W godzinę potem przybył do trybunału żandarm, któremu zlecono sprawdzenie zeznań Cocoleugo. Przynieśli oni fuzję, której ten nędznik użył i którą ukrył w owej jamie wykopanej przez siebie w lesie Rochepommier.

Niewinność Jakuba była już teraz jasna jak słońce, a jakkolwiek skazujący go wyrok miał jeszcze moc aż do zwołania nowego sądu, jednakże ustalono, że jeszcze tegoż samego

wieczoru zostanie tymczasowo wypuszczony na wolność. Jego obrońcom, panom Folgatowi i Magloire'owi przypadło przyjemne posłannictwo zanieśienia mu tej pomyślnej wiadomości.

Znaleźli go przechadzającego się niespokojnie po celi więziennej pod wpływem nieopisanej trwogi, jaką w jego duszy zbudziły słowa wyrzeczone z rana przez pana Daubigeona. Tak, on miał teraz nadzieję. A jednak, gdy się dowiedział, że był ocalony, wolny, padł jak bezwładny na krzesło. Radość osłabiła go bardziej niż wszystkie poprzednie cierpienia i bóleści. Ale po takich wzruszeniach człowiek szybko przychodzi do siebie. Niedługo potem Jakub, podawszy ręce swoim obrońcom, opuścił to więzienie, w którym tyle czasu znosił straszliwe cierpienia uczciwego człowieka jako straszną pokutę za to, co dla wielu innych ludzi jest zaledwie mało znaczącym uchybieniem. Przybyli na ulicę de la Rampe.

— Pewnie się tu ciebie nie spodziewają — rzekł pan Folgat do swego klienta. — Zatrzymaj się więc chwilkę; ja wejdę pierwszy.

Rodzina i przyjaciele Jakuba byli zebrani w salonie, czekając w trwodze i niepokoju na dalsze wypadki, ponieważ nie wiedzieli, ile mogło być prawdy w rozmaitych wieściach, jakie do nich w ciągu tego dnia dochodziły. Młody adwokat przy zachowaniu największej ostrożności przygotowywał ich do usłyszenia całej prawdy. Ale Dioniza pierwsza mu przerwała, pytając:

— Gdzie jest Jakub?

Jakub klęczał już u jej kolan, przemawiając do niej słowami najczulszej wdzięczności i miłości...

Nazajutrz odbył się pogrzeb hrabiego de Claudieuse'a i jego młodszej córki; wieczorem zaś hrabina opuściła Sauveterre i osiadła przy swoim ojcu w Paryżu; gdzie wkrótce rzuciła się w odmet rozmaitych gier politycznych.

Jak to już było przewidziane, wyrok zapadły na Jakuba został unieważniony, a Cocaleu, uznany winnym zbrodni popełnionej w Valpinson, skazany został na całe życie ciężkich robót.

W miesiąc później Jakub de Boiscoran zaślubił w kościele w Brechy pannę Dionizę de Chandore. Świadkami nowożeńców byli pan Magloire i doktor Seignebos, panny młodej zaś panowie Folgat i Daubigeon.

Zacny prokurator zapomniał nawet w tym uroczystym dniu o wysokiej powadze swego urzędu i powtarzał tylko co chwila, że nareszcie nadszedł czas radości i spełnienia toastów.

Rzeczywiście pił wesoło przy obiedzie, a wieczorem pierwszy rozpoczął bal z panną młodą.

Sędzia Galpin-Daveline, wysłany do Afryki, nie był na weselu. Za to Mechinet wyswobodzony przez Jakuba z dotychczasowych kłopotów pieniężnych promieniał na nim radością i zadowoleniem.

Małżonkowie Blanguin przejedli już dotąd wszystkie niemal pieniądze wyłudzone od panny Dionizy. Cheminot, strażnik polny w Boiscoran jest postrachem wszystkich włóczęgów. Goudar, zamiłowany ogrodnik, sprzedaje najpiękniejsze brzoskwinie w Paryżu.